

Jedna z najważniejszych
książek roku w rankingach
„The New York Times”
i „Los Angeles Times”



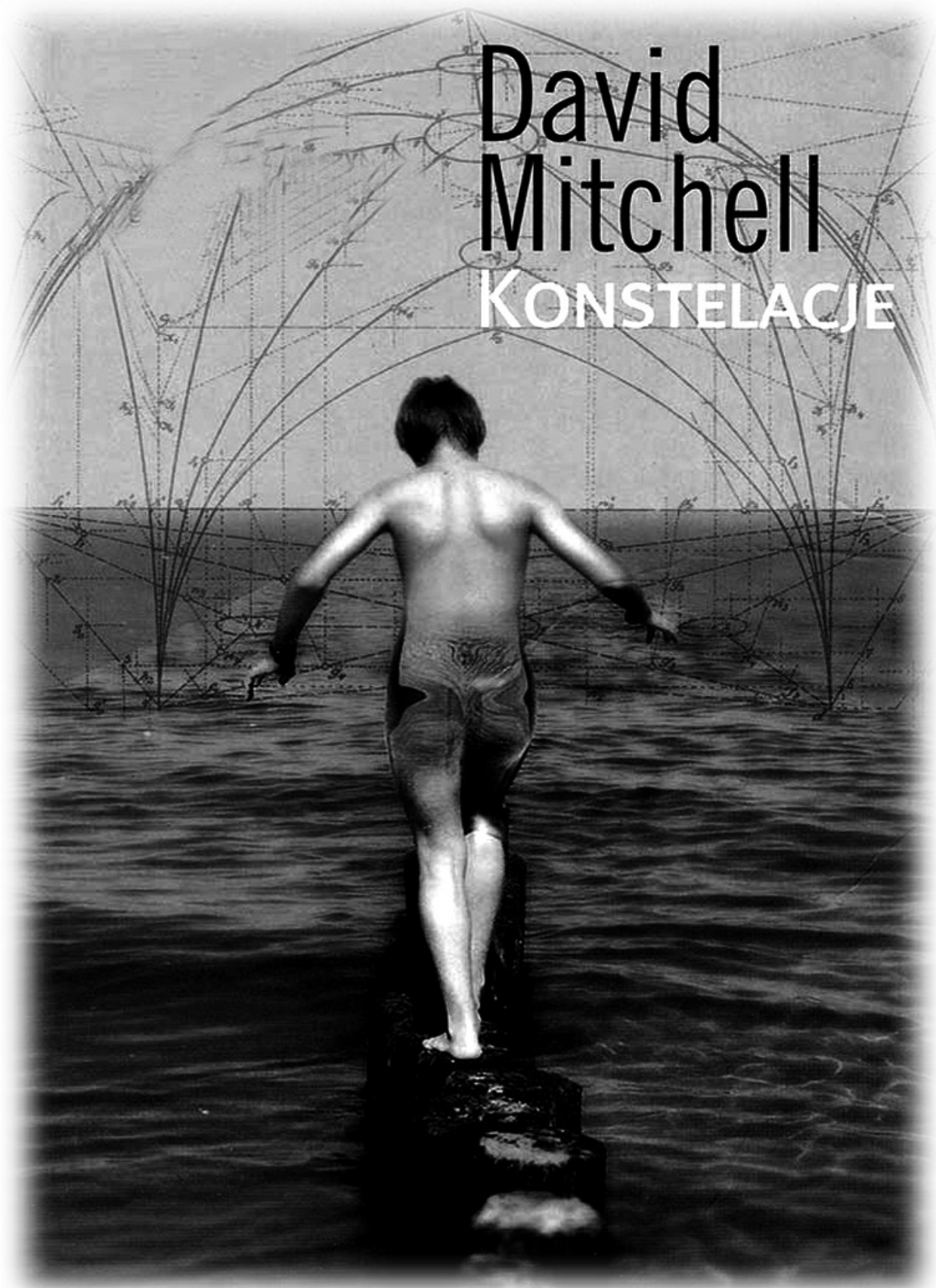
David Mitchell

KONSTELACJE



David Mitchell

KONSTELACJE



Styczniowy człowiek

Żelazna zasada taty brzmi: „Nie waż się wchodzić do gabinetu”. Ale telefon zadzwonił dwadzieścia pięć razy. Zwykle każdy rezygnuje po dziesięciu, najwyżej jedenastu dzwonek, chyba że chodzi o sprawę niecierpiącą zwłoki, prawda? Tato ma automatyczną sekretarkę z wielkimi rolkami taśmy, jak James Garner w *Aktach Rockford*. Ale od pewnego czasu jej nie włącza. Trzydziesty dzwonek. Julia, u siebie, na stryszku przerobionym na pokój, też nic nie słyszała, bo na cały regulator dudniło *Don't You Want Me? The Human League*. Dzwonek czterdziesty Mama nie mogła nic usłyszeć, bo odkurzała salon, a na dodatek wszystko zagłuszał wariacki rumor pralki. Pięćdziesiąt dzwonek. To jednak przesada. A jeśli gdzieś na M5 rąbnęła w tatę ciężarówka, a policjanci znaleźli tylko numer do gabinetu, bo reszta dokumentów utknęła w wozie? I mogliśmy stracić ostatnią szansę ujrzenia zwięzłego ojca na oddziale dla nieuleczalnie chorych...

Wszedłem jednak do gabinetu jak panna młoda, której zakazano wstępu do komnaty Sinobrodego. (Choć przecież Sinobrody tylko na to czekał). W biurze taty pachnie banknotami, papierowo, ale też tak trochę metalicznie. Rolety zostawił spuszczone, więc było ciemno jak pod wieczór, a nie o dziesiątej rano. Na ścianie wisi taki dostojny zegar, identyczny jak zegary w szkole. I jest zdjęcie, na którym tato podaje rękę

Craigowi Saltowi, z okresu, kiedy awansował na dyrektora okręgowego handlu Greenland (sieci supermarketów, a nie w wiosce Greenland). Na stalowym biurku stoi komputer IBM taty. Tysiące funtów kosztują te IBM-y. Telefon w gabinecie jest czerwony jak gorąca linia nuklearna i ma przyciski, a nie tarczę, jak zwyczajne telefony.

Nieważne. Wzięłem głęboki wdech, podniosłem słuchawkę i podałem nasz numer. Chociaż tyle dam radę powiedzieć bez jąkania. Na ogół.

Ale tamten ktoś się nie odezwał.

— Halo? – mówię. – Halo?

Tamten coś wydyszał, jakby sobie rozciął palec.

— Słyszysz mnie pan? Bo ja pana nie.

Ledwie udało mi się rozpoznać muzykę z *Ulicy Sezamkowej*.

— Jeśli pan mnie słyszy – przypomniałem sobie jeden film instruktażowy dla dzieci, w którym właśnie tak radzili – proszę zastukać.

Ale nie zastukał, tylko dalej grało.

— Może to pomyłka – pomyślałem na głos.

Rozległo się wycie niemowlaka i ktoś trzasnął słuchawką.

Kiedy człowiek słucha, to zawsze przecież usłyszy.

Ja go usłyszałem, więc on mnie na pewno też.

„Skoro mam zawisnąć, to już niech wiem za co”, jak wieki temu uczyła nas pani Throckmorton. No, a że miałem powód, by wejść do zakazanej komnaty, skorzystałem z okazji i wyglądnałem przez ostre jak brzytwa żaluzje na parafie, kogutka i pola aż po Wzgórza Malvern. Błady poranek, lodowate niebo, oszronione wzgórza i, co najgorsze, ani śladu roztopów. Obrotowy fotel taty bardzo przypomina laserową wieżę z Millennium Falcon z *Gwiezdnych wojen*. Zacząłem ostrzeliwać sowiecką eskadrę migów nad Malvern, ratując życie tysięcy ludzi stąd aż po Cardiff. Ziemię plebanii zasłały szczątki kadłubów i usmolone skrzydła. Jak który lotnik chciał się katapultować, to ja go zaraz rzutką z usypiaczem. A potem zgarniali ich żołnierze piechoty morskiej. Nie zgodziłem się przyjąć ani

jednego odznaczenia. „Przykro mi, lecz nie mogę – odrzekłem Margaret Thatcher i Ronaldowi Reaganowi, kiedy ich tu do nas zaprosiła mama. – Zrobiłem tylko co do mnie należy”.

Do biurka taty jest przymocowana kapitalna temperówka. Ostrzy tak, że można by przebić zbroję. Ołówki H są najostrzejsze, to ulubione taty. Ja wolę 2B.

Ktoś zadzwonił do drzwi. Ściągnąłem żaluzję, żeby tato niczego się nie domyślił, sprawdziłem, czy przypadkiem nie ma śladów wtargnięcia, wykradłem się z gabinetu – i biegiem na dół, zobaczyć, kto to. Ostatnich sześć schodów pokonałem jednym susem.

Baran, wyszczerzony i pryszczaty jak zwykle. Uwaga – tyłek mu się robi coraz grubszy.

— W życiu nie zgadniesz!

— Co?

— Znasz to jezioro w lasku?

— Bo co?

— Zamarzło – Baran rozejrzał się, czy ktoś nie podsłuchuje – calutkie, na kamień! Bawi się tam teraz prawie cała wioska. Super kryjówka, co nie?

— Jason! – z kuchni wyglądnęła mama. – Wpuszczasz zimno! Albo zaproś Deana – witam – albo zamknij drzwi.

— Yyy... wyjdę sobie trochę, mamuś.

— Aaa... dokąd?

— Zażyć świeżego powietrza.

Był to błąd strategiczny.

— Co znów kombinujesz?

Już miałem odpowiedzieć, że nic, ale Kat stwierdził, że mnie nie wypuści.

— Czemu zaraz: „kombinujesz”? – odwróciłem wzrok, zakładając marynarską katanę.

— Czy mogłabym wiedzieć, z jakiej to przyczyny obraziłeś się na tę nową czarną parkę?

Nie mogłem przecież odpowiedzieć, że z żadnej. (Wiadomo, że czarne rzeczy nosi tylko pacan, i dorosły tego raczej nie

zrozumie).

— Bo w tej po prostu mi cieplej.

— Obiad jest punkt pierwsza – mama wzięła się do wymieniania worka w odkurzaczu. – Tatuś je dziś w domu. Włóż wełnianą czapkę, bo uświerkniesz.

W wełnianych chodzą pedały, ale można ją było później wcisnąć do kieszeni.

— To do widzenia, pani Taylor – pożegnał się Baran.

— Do widzenia, chłopcze.

Mama go nie znosi.

Baran jest mojego wzrostu i w sumie nic do niego nie mam, ale tak od niego zalatuje mięchem, że rany boskie! Nosi buty ze spiczastymi czubkami ze sklepu z używaną odzieżą i mieszka przy Drugger's End w ceglany domu, który tak samo cuchnie wywarami z mięsa. Naprawdę nazywa się Dean Moran (do rymu z „taran”), ale pan Carter, nasz nauczyciel wuefu, już w pierwszym tygodniu szkoły zaczął na Deana mówić „Baran”, no i tak zostało. Kiedy jesteśmy sami, mówię mu po imieniu, ale z imionami to nie taka prosta sprawa. Jak ktoś jest bardzo lubiany, mówi się do niego po imieniu, więc Nick Yew to zwyczajnie „Nick”. Chłopakom lubianym tylko trochę daje się ksywę, która wyraża pewien szacunek, więc przykładowo Gilbert Swinyard to „Bard”. Potem tacy jak ja, do których mówi się po nazwisku, a jeszcze niżej – chłopaki z jajcarskim przezwiskiem, jak Moran Baran albo Nicholas Briar, czyli Niezły Frajer. Bo jak się jest chłopakiem, to liczy się hierarchia, tak jak w wojsku. Gdybym Gilberta Swinyarda nazwał Bardem, zaraz by mi wkropił. Albo jakbym Barana przy wszystkich nazwał Deanem, od razu bym osłabił swą pozycję. Tak że trzeba uważać.

Dziewczyny prawie się nie przezywają, z wyjątkiem Dawn Madden, która miała być chłopcem, tylko chyba coś się pokićkało jej rodzicom. No i nie biją się tyle, co chłopaki. (Choć raz przed samą Gwiazdką, po lekcjach, w kolejce do autobusu Dawn Madden i Andrea Bozard wydarły się na siebie: „Zdziro!” i „Szmato!”. Targały się za włosy i tłukły po cycach. Powaga).

Czasem trochę żałuję, że nie jestem dziewczyną. Ogólnie rzecz biorąc, są one dużo bardziej kulturalne. Ale jakbym się do tego przyznał, zaraz by mi na szafce w szatni napisali: „DUPOWIERT”. Przytrafiło się to Floydowi Chaceleyowi, kiedy powiedział, że lubi Johanna Sebastiana Bacha. A gdyby się wydało, że Eliot Bolivar, którego wiersze drukują w parafialnej gazecie Black Swan Green, to ja – rozdarliby mnie na kawałki. Tępyimi narzędziami stolarskimi, za kortem tenisowym. I jeszcze by mi na grobie wymalowali logo Sex Pistols farbą w sprayu.

Ale nieważne. Po drodze nad jezioro Baran mi opowiedział o torze wyścigowym i samochodzikach Scaletrix, które dostał na Gwiazdkę. W drugi dzień świąt wysadziło transformator, tak że cała rodzina mało nie straciła życia.

— Akurat – mówię na to.

Ale Baran zaklinał się na grób swojej babci. Więc mu powiedziałem, żeby to opisał i posłał do BBC, do „Samego życia”, to Esther Rantzen załatwi mu odszkodowanie od producenta. Baran stwierdził, że może być z tym problem, bo jego tato kupił rzecz na jarmarku w Wigilię od jednego fagasa z Birmingham. Nie śmiałem zapytać, co oznacza „fagas”, aby się przez przypadek nie okazało, że to samo, co „dupoliz”, czyli homo.

— No jasne, jasne – odparłem, jakby nigdy nic.

Wtedy Baran się spytał, co dostałem pod choinkę.

Dostałem kupony na książki warte trzynaście pięćdziesiąt i plakat ze środkiem Ziemi, ale książki są pedalskie, więc trzeba było odpowiedzieć, że Grę o Życie – od wujka Briana i cioci Alice. To taka gra planszowa, w której wygrywa ten, kto pierwszy dojedzie samochodzikiem do samego końca drogi życia – no i najwięcej zarobi. Minęliśmy skrzyżowanie koło „Czarnego Łabędzia” i weszliśmy w las. Pożałowałem, że nie wtarłem sobie w usta wazeliny, bo jak jest tak zimno, zawsze mi pękają.

Idąc wśród drzew, po chwili usłyszeliśmy nawoływania i krzyki.

— Kto drugi, ten ciamajda! – ryknął Baran i, nim się zdążyłem przygotować do biegu, pocwałował nad jezioro.

Zaraz też potknął się o zamarznąłą bruzdę po oponie, podskoczył i wylądował na tyłku. Jak to Baran, wiadomo.

— Pewno mam wstrząs mózgu – powiedział.

— Wstrząsu mózgu dostaje się od uderzenia w głowę. Chyba że masz go w dupie.

Ale fajna kwestia! Szkoda, że nie usłyszał mnie ktoś, kto się liczy.

Jezioro w lesie wyglądało potężnie. Kropelki zmrożone pod powierzchnią jak w lodowych miętówkach Foksa. Neal Brose miał prawdziwe olimpijskie łyżwy, wypożyczone za pięć pensów od kolejki, za to Pete'owi Redmarleyowi dali jeździć za darmo, tak że chłopaki mogły się przyglądać, jak śmiga w kółko, i sobie pomarzyć. Już samo stanie na lodzie jest okropnie trudne. Pamiętam, że zanim się jako tako nauczyłem ślizgać w trampkach, wywracałem się chyba ze sto razy. Byli też Ross Wilcox, jego kuzyn Gary Drake, no i Dawn Madden. Wszyscy troje ślizgają się bardzo dobrze.

Poza tym Drake i Wilcox są ode mnie wyżsi. (Poobcinali palce w rękawiczkach, żeby było widać blizny od ciągłego grania w kuku. Mnie mama by zabiła). Na garbatej wysepce pośrodku jeziora, gdzie mieszkają kaczki, siedział Ciapciak, krzycząc na każdego, kto się wywrócił:

— Podnoś dupsko! Podnoś dupsko!

Ciapciak urodził się za wcześnie i jest trochę stuknięty, więc nikt go nie leje. No, w każdym razie nie za mocno. Grant Burch wjechał na lód raleigh chopperem swego pachołka Philipa Phelpsa. Parę sekund udało mu się utrzymać równowagę, ale jak skrzył kierownicę, rower podskoczył w górę i po lądowaniu cały się powyginał jak zamęczony na śmierć przez Uri Gellera. Phelps uśmiechnął się półgębkiem. Idę o zakład, że się zastanawiał, co powie tacie. Później Pete Redmarley z Grantem stwierdzili, że na zamarznętym jeziorze można by zrobić fantastyczną rozgrywkę Brytyjskich Buldogów. Nick Yew na to:

— Dobra, mi pasuje. – I kłamka zapadła.

Nienawidzę Brytyjskich Buldogów. Kiedy pani Throckmorton

zabroniła nam grać w podstawówce, odkąd Lee Biggs stracił trzy zęby, odczułem straszliwą ulgę. Ale tego ranka każdy, kto by się przyznał, że nie lubi Brytyjskich Buldogów, wyszedłby na totalnego mięczaka. Zwłaszcza ktoś z Kingfisher Meadows, jak ja.

Dwudziestu, może dwudziestu pięciu chłopaków plus Dawn Madden stanęło zbitą gromadą, czekając na wybranie, jak niewolnicy na targu niewolników. Kapitanami jednej drużyny zostali Grant Burch i Nick Yew, a drugą dowodzili Pete Redmarley z Gilbertem Swinyardem. Przede mną Pete Redmarley wybrał Rossa Wilcoksa i Gary'ego Drake'a, ale Grant Burch wskazał mnie za szóstym razem, czyli w sumie żaden wstyd. Na ostatek zostali Baran z Ciapciakiem. Grant Burch i Pete Redmarley zaczęli robić jaja, że nie, że możemy ich sobie zatrzymać, bo oni mają zamiar wygrać!, na co Baranowi z Ciapciakiem pozostało tylko się roześmiać, jakby to było bardzo zabawne. I może nawet Ciapciak się roześmiał. (Baran nie. Jak już nikt nie patrzył, miał identyczną minę, jak wtedy, kiedyśmy mu powiedzieli, że się bawimy w chowanego, i kazaliśmy mu się schować. Dopiero po godzinie się połapał, że go nikt nie szuka). Losowanie wygrał Nick Yew, więc najpierw myśmy byli Biegaczami, a drużyna Pete'a Redmarleya – Buldogami. Po obu stronach jeziora z kurtek nieważnych chłopaków sporządziliśmy bramki – i cele, i miejsca do bronienia. Łazęgi i dziewczyny, oprócz Dawn Madden, musiały zejść z tafli. Buldogi Redmarleya utworzyły zwartą grupę na środku jeziora, a my – Biegacze – zajęliśmy pozycję wyjściową. Mało mi serce nie wypadło z piersi. Buldogi i Biegacze przykucnęli jak do sprintu. Kapitanowie zaczęli skandować:

— Brytyjskie Buldogi! Raz, dwa, trzy!

Zaczęliśmy atak z wrzaskiem, niby kamikadze. Pośliznąłem się (przez przypadek: specjalnie), akurat nim czołowa fala Biegaczy naparła na Buldogów. Tym sposobem najtęższe Buldogi mają się zająć walką z czołowymi Biegaczami. (Buldog musi złapać Biegacza za oba ramiona i przyciskać do lodowiska tak

długo, aż zdąży krzyknąć: „Brytyjskie Buldogi, raz, dwa, trzy!”). Jak coś takiego wyjdzie, robi się trochę miejsca, można wykonać unik i dotrzeć do własnej bramki. Z początku wszystko wskazywało na to, że mój plan się uda. Gary Drake z braćmi Tookey wpadli na Nicka Yewa. Ktoś kopnął mnie w goleń, ale go minąłem, żeby nie dać plamy. Wtem ruszył na mnie Ross Wilcox. Chciałem się wywinąć, ale Wilcox z całej siły chwycił mnie w nadgarstku i próbował ściągnąć do parteru. Tylko że zamiast mu się wyrwać, też chwyciłem go w nadgarstku i pchnąłem prosto na Darrena Croome’a i Anta Little’a. Trafiony, zatopiony... W zabawie i w sporcie nie liczy się udział ani nawet zwycięstwo. W zabawach i sporcie tak naprawdę liczy się upokorzenie przeciwnika. Lee Biggs, spryziula, chciał mnie przyblokować jak w rugby, ale wymknąłem się bez trudu. Zbyt mu zależy na tej reszcie zębów, więc nie daje rady być porządnym Buldogiem. Dobiegłem jako czwarty. Grant Burch mnie pochwalił:

— Ładnie, chłopcze!

Nick Yew też wyrwał się Tookeyom i Gary’emu, i tak samo dobiegł. Jedną trzecią Biegaczy złapano i wcielono do Buldogów w drugiej kolejce.

W tej grze najbardziej mnie wkurza, że się zostaje zdrajcą.

No, ale dobra. Chórem zakrzyknęliśmy:

— Brytyjskie Buldogi, raz, dwa, TRZY! – i natarliśmy jak poprzednim razem.

Tylko że teraz nie miałem żadnych szans, bo już na dzień dobry wzięli mnie na celownik Ross Wilcox, Gary oraz Dawn Madden. Choćbym nie wiem jak starał się uniknąć walki – położenie moje było beznadziejne. Nie zdążyłem dotrzeć nawet do połowy lodowiska. Ross Wilcox chwycił mnie za nogi, Gary Drake przewrócił, a Dawn Madden siadła mi na piersi i kolanami przygwoździła barki. W pozycji leżącej normalnie dałem się przerobić na Buldoga. W głębi serca i tak zawsze będę Biegaczem. Gary Drake – nie wiem, specjalnie czy nie – walnął mnie w łydkę, aż dostałem skurczu. Dawn Madden patrzyła z okrucieństwem

chińskiej cesarzowej, a starczy, że raz zerknie na mnie w szkole, to później myślę o niej do wieczora. Ross Wilcox podskoczył, grzmocąc pięścią powietrze, jakby strzelił gola na Old Trafford. Taka ciamajda.

— Aha, pięknie, Wilcox – powiedziałem – troje na jednego, gratuluje.

Wilcox pokazał mi znak „wiktorii” i polecił się bić gdzie indziej. Grant Burch z Nickiem Yewem wzięli się za paczkę Buldogów, z połowy robiąc wiatrak.

Gilbert Swinyard ryknął wniebogłosy:

— ZBIĆ SIĘ!!!

Na znak wszyscy Biegacze i Buldogi na lodowej tafli, wskakując sobie na głowy, utworzyli skłębioną, jęczącą i z każdą chwilą coraz większą piramidę chłopaków. Teraz już mało kto chciał pamiętać o rozgrywce. Cofnąłem się, udając, że kuleję na tę zdrętwiałą nogę.

Wtem z leśnej gęstwiny dobiegł odgłos piły tarczowej. Gnała prosto na nas.

Nie była to piła tarczowa. Tylko Tom Yew na swym fioletowym suzuki 150. Pleców Toma kurczowo trzymał się Pluton Noak bez kasku. I gra już na dobre poszła w zapomnienie, bo Tom Yew cieszy się w Black Swan Green wielką sławą. Tom Yew odbywa służbę w Marynarce Królewskiej na fregacie zwanej HMS „Coventry”. Tom Yew ma wszystkie co do jednego albumy Led Zeppelin, jak również umie zagrać gitarowy wstęp *Stairway to Heaven*. Tom Yew raz nawet ścisnął rękę angielskiemu bramkarzowi Peterowi Shiltonowi. Pluton Noak zdecydowanie nie dorównuje mu popularnością. Na koniec szkoły w zeszłym roku nawet nie odebrał świadectwa. Teraz pracuje w przetwórni odpadów wieprzowych w Upton nad rzeką Severn. (Krażą pogłoski, że Pluton Noak palił marihuanę, ale chyba nie ten gatunek, który lasuje mózg i przez który skacze się z dachu na żelazne pręty). Tom Yew zaparkował motor przy ławce, nad wąskim krańcem jeziora, i po damsku przysiadł na siodełku. Pluton Noak klepnął go w plecy na znak wdzięczności i nawiązał

rozmowę z Colette Turbot, która – według siostry Barana, Kelly – odbyła z nim stosunek płciowy. Starsi chłopcy usadowili się na ławce naprzeciw niego jak apostołowie, po czym zabrali się za fajki. (Ross Wilcox i Gary Drake palą. Co gorsza, Ross Wilcox zagadnął Toma Yew o tłumik suzuki, a Tom Yew odpowiedział tak, jakby Ross Wilcox też miał już skończone osiemnaście lat).

Grant Burch wysłał swego pachółka Phelpsa do sklepu Rhydda po orzechowy baton Yorkie oraz puszkę Top Deck, rycząc za nim:

— Biegiem, nie słyszałeś?! – aby się popisać przed Tomem Yewem.

My, chłopcy z warstwy średniej, siedliśmy na zmrożonej ziemi wokół ławki. Starsi chłopcy zaczęli gadać o najfajniejszych rzeczach w tiwi w święta i sylwestra. Kiedy Tom Yew pochwalił się, że widział *Wielką ucieczkę*, wszyscy zgodnie stwierdzili, że w porównaniu z *Wielką ucieczką*, a zwłaszcza ze sceną, w której Steve McQueen daje się złapać nazistom na drucie kolczastym – cała reszta jest do dupy. Ale Tom Yew zaraz wtrącił, że jego zdaniem film się trochę ciągnie, i wtedy wszyscy przyznali, że chociaż to klasyka, ma potworne dłużyzny. (Ja filmu nie widziałem, bo rodzice akurat oglądali świąteczny odcinek specjalny *The Two Ronnies*. Ale przysłuchiwałem się z uwagą, abym – kiedy w przyszły poniedziałek znów zacznie się szkoła – mógł udawać, że go znam).

W pewnym momencie rozmowa zeszła na najokropniejsze zgony.

— Ukąszenie zielonej mamby – oświadczył Gilbert Swinyard. – To najbardziej jadowity wąż na świecie. Pękają narządy i siury mieszają się z krwią. Męczarnia.

— Jasne, że męczarnia – prychnął Grant Burch – ale umiera się w try miga. Gorsze jest łupienie ze skóry, jak ściąganie skarpet. Robią to Apacze. Najwprawniejsi umieją przeciągać rzecz do białego rana.

Pete Redmarley oznajmił, że ponoć w Wietkongu wykonuje się taką to ciekawą egzekucję:

— Rozbierają delikwenta do goła, wiążą i ładują mu w dupsko

serek Filadelfia. Następnie zamykają w trumnie, z której sterczy rura. Później się tam przez nią wpuszcza wygłodniałe szczury i one przeżerają ser, no i potem ciebie.

Wszyscy spojrzeli na Toma Yewa, ciekawi, co odpowie.

— Nieraz miewam sen... – chyba ze sto lat zaciągał się tym papierosem – że przeżyłem wojnę atomową. Ja i jeszcze paru. Idziemy autostradą. Ani jednego auta, tylko wszędzie zielsko. Ilekroć się obejrzę, widzę, że nas ubywa. Giną od promieniowania, rozumiecie – zerknął na swego brata Nicka i skute lodem jezioro. – Nie boję się, że umrę, tylko, że jako ostatni.

Na dłuższą chwilę zaległo milczenie.

Zbliżył się Ross Wilcox. Snob jeden, zaciągał się papierochem w nieskończoność.

— Gdyby nie Winston Churchill, teraz byście wszyscy gadali po niemiecku.

Aha, pewnie. Bo przecież Ross Wilcox uniknął pojmania i wstąpił do ruchu oporu. Strasznie mnie korciło uświadomić palanta, że gdyby Japończycy nie zbombardowali Pearl Harbor, Ameryka na pewno nie włączyłaby się do wojny, Anglicy musieliby się poddać z głodu, a Winston Churchill zostałby stracony jako zbrodniarz wojenny. Ale wiedziałem, że nie mogę. Trzeba by użyć kłębowiska wyrazów, których bym nie wymówił bez jąkania, a tej zimy Kat był, cholera, bezwzględny. Więc powiedziałem, że muszę się odlać, wstałem i ruszyłem drogą w stronę wioski. Gary Drake krzyknął:

— E, Taylor, nie baw się parową, otrzep jak należy! – co okropnie rozbawiło Neala Brose'a i Rossa Wilcoksa.

Na odchodnym pokazałem im znak „wiktorii”. Ostatnio wszyscy mają świra na punkcie otrzepywania parowy. A mnie brak odwagi, żeby kogoś spytać, co to znaczy.

Wśród drzew zawsze jakoś raźniej. Między ludźmi też, ale Gary Drake z Wilcoxem pewnie dalej by mi przygadywali, więc w miarę jak cichły ich głosy, coraz mniej mi się chciało wracać. Targała mną furia, że nie oświeciłem Wilcoksa w kwestii

mówienia po niemiecku, ale jakbym się zaczął jąkać, byłby horror. Szron na ciernistych gałęziach powoli odmakał, skapując wielkimi kap-kap-kap kroplami. Kojąco, tak jakby. W zagłębieniach, gdzie nie dochodziło słońce, zostało jeszcze trochę śniegu zmieszanego ze żwirem, ale stanowczo za mało, by ulepić śnieżkę. (Neron miał w zwyczaju mordować swych gości, częstując ich jedzeniem ze szkłem, dla zabawy). Zauważyłem rudzika, dzięcioła, srokę, kosa, i z dali nagle dobiegł śpiew słowika, chyba, bo nie mam pewności, czy one są już w styczniu. Tamtędy, gdzie ścieżyna wiodąca z „Domu w Lesie” schodzi się z główną drogą nad jezioro, leciał jakiś zadyszany chłopak. Skryłem się między dwie sosny. Był to Phelps – z batonem Yorkie i puszką lemoniady dla swego pana. (Zwykłej, więc top deck pewnie wykupili). Zaraz za sosnami powinna być jakaś droga na dół. Znam tu każdą ścieżkę – pomyślałem. Oprócz tej. Pewnie zaraz po odejściu Toma Yewa Pete Redmarley z Grantem Burchem zaczną kolejną rozgrywkę. Uznawszy, że po to już nie warto wracać, ruszyłem drogą, ciekaw, dokąd mnie zaprowadzi.

W lesie nie ma więcej domów, więc go nazywamy „Domem w Lesie”. Podobno mieszka tam jedna staruszka, ale nie mam pojęcia, kto to ani jak wygląda. Dom ma cztery okna i komin, identyczne jak na rysunkach małych dzieci. Otacza go mur z cegieł, wysoki jak ja, i rosną dzikie krzewy, ale wyższe. Podczas zabaw w lesie w wojnę nigdy się tam nie zbliżaliśmy. Nie przez duchy albo coś w tym stylu. Po prostu ta część lasu się nie nadaje i już.

Ale teraz dom wyglądał na tak zapuszczony, że zwątpiłem, aby ktoś w nim jeszcze mieszkał. No i rozrywało mi pęcherz, a wtedy człowiek raczej nie jest czujny. Więc obsikałem oszroniony mur. Ledwo zakończyłem kreślić w śniegu żółty autograf, gdy z lekkim skrzypnięciem uchyliły się przerdzewiałe wrota i przede mną stanęła jakaś skwaszona ciotka z epoki czarno-białej. Stała jakby nigdy nic. Wgapiła we mnie.

Momentalnie wyschła mi sikawka.

— O rety! Bardzo przepraszam! – Czekając na piramidalną klęskę, zapiąłem rozporek. Gdyby tak mama przyłapała kogoś, jak sika na nasz płot, żywcem obdarłaby go ze skóry, a zwłoki władowała do pojemnika na kompost. Mnie też. – Nie wiedziałem, że ktoś tutaj mieszka.

Skwaszona ciotka dalej się gapiła.

Ostatnie krople zmoczyły gatki.

— W tym domu wraz z bratem przyszedłem na świat – odezwała się nareszcie; podgardle miała obwisłe jak jaszczurka. – I nie zamierzamy się wyprowadzać.

— Aaa... – wciąż nie byłem pewien, czy lada chwila nie otworzy ognia. – To świetnie.

— Ach, ta dzisiejsza młodzież! Jak można tak hałasować?!

— Przepraszam.

— Przez nieuwagę zbudziłem mojego brata.

Zamurowało mnie.

— Nie ja narobiłem hałasu. Naprawdę.

— Bywa – skwaszona ciotka nawet nie mrugnęła okiem – że brat mój ubóstwia młodych. Ale ostatnio przez was bliski już jest obłądu.

— No, przecież mówię, że żałuję.

— Dopiero pożałujesz – rzekła z niesmakiem – gdy on cię dopadnie.

Co ciche było za głośne, a głośne – niesłyszalne.

— Jest... w domu? Pani brat, znaczy się.

— Pokój jego nietknięty, odkąd się oddalił.

— Choruje?

Jakby mnie nie słyszała.

— Muszę wracać.

— Dopiero pożałujesz – zrobiła taki głupi grymas, jak to starsi ludzie, żeby się przez przypadek nie obślinić – gdy zaczną pękać lody.

— Znaczy: lód na jeziorze? Twardy, jak nie wiem co.

— Każdy z was tak mówi. Ralph Bredon też tak mówił.

— Kto?

— Ralph Bredon. Syn rzeźnika.

Poczułem się nieswojo.

— Muszę już wracać.

Na obiad przy Kingfisher Meadows numer dziewięć w Black Swan Green w hrabstwie Worcestershire – były chrupiące naleśniki z szynką i żółtym serem, gufrowane frytki z piekarnika i brukselka. Brukselka ma smak świeżych rzygów, ale mama kazała mi – bez żadnych ceregieli – zjeść pięć, bo inaczej mogę sobie wybić z głowy deser w postaci Anielskiej Rozkoszy z toffi. Mama mówi, że obiad to nie pora na „fochy nastolatka”. Kiedy raz przed Gwiazdką zapytałem, jak „fochy nastolatka” mają się do niechęci wobec tej jarzyny, oświadczyła, że mędrkowanie nie wyjdzie mi na dobre. Zamiast się zamknąć, odparłem, że przecież tato nigdy jej nie zmusza do jedzenia melona (którego ona nienawidzi), a ona nigdy nie każe tacie jeść czosnku (którego nienawidzi on). Od razu się wkurzyła i wysłała mnie do pokoju. A jak wrócił tato, wysłuchałem wykładu o swojej arogancji.

I w tym tygodniu nie dostałem też kieszonkowego.

No, ale dobra. Teraz pokroiłem brukselkę na drobne kawałeczki i utopiłem ją w keczupie.

— Tato...

— Tak, chłopcze?

— Jak człowiek się utopi, co się dzieje z ciałem?

Julia wzniosła oczy ku niebu jak Chrystus na krzyżu.

— Jak na rozmowę przy obiedzie, to dość makabryczny temat – odpowiedział tato, żując kęs chrupiącego naleśnika. – Czemu pytasz?

Uznałem, że lepiej nie wspominać o zamrożonym jeziorze.

— Bo... w książce *Arktyczna przygoda* braci Hala i Rogera Huntów ściga podły Kaggs, który wpada do...

Tato podniósł rękę na znak, że wystarczy.

— W moim przekonaniu Kaggsa pożerają ryby, tak że zostaje tylko czyściuteńki szkielet.

— To w Arktyce żyją piranie?

— Ryba zeżre wszystko, byle było miękkie. Pamiętaj, że gdyby

wpadł do Tamizy, ciało prędko wypłynęłoby na powierzchnię. Tamiza, jak wiadomo, zawsze wydaje swe ofiary.

Gorzej już nie mogłem pokierować tej rozmowy:

— No, a jakby, powiedzmy, przez lód wleciał do jeziora? Co wtedy by się z nim stało? Zostałby... tak jakby zamrożony?

— Mamo – miauknęła Julia. – Stwór musi zrobić przedstawienie akurat, kiedy jemy.

Mama zwinęła serwetkę.

— U Lorenza Hussingtree'ego są nowe płytki, Michaelu – zwróciła się do taty (a Julia, owoc nieudanej aborcji, wyszczerzyła się do mnie z triumfem) – Michaelu!

— Tak, Heleno?

— Może po drodze do Worcester wstąpilibyśmy do salonu Lorenza Hussingtree'ego? Wystawił nowe płytki. Prześliczne.

— I ceny pewnie też ma stosownie prześliczne?

— Skoro już bierzemy robotników, może by warto przy okazji to i owo zmienić? Kuchnia zapuszczona, aż wstyd.

— Heleno, akurat...

Julia nieraz umie wyczuć kłótnię, uprzedzając rodziców:

— Mogę odejść od stołu?

— Skarbie – odrzekła mama z urazą – a Anielska Rozkosz z toffi?

— Pyszności, ale może zjem wieczorem? Muszę się wziąć za Roberta Peela oraz świątecznych wigów. Poza tym Stwór całkiem zepsuł mi apetyt.

— Trzeba było się nie obżerać cadbury's roses z Kate Alfrick – skontrolowałem – tobyś miała apetyt.

— Aha, a gdzie się podziała, ty Stworze, czekolada pomarańczowa?!

— Julio – westchnęła mama – proszę, byś się w ten sposób nie zwracała do Jasona. Masz tylko jednego brata.

— O jednego za dużo – Julia wstała od stołu.

Tacie coś się przypomniało:

— Czy któreś z was było przypadkiem u mnie w gabinecie?

— Ja nie, tatusiu – Julia przystanęła w drzwiach, wietrząc

krw. – To pewnie mój uroczy, posłuszny i prawdomówny młodszy brat.

Jak on się domyślił?

— Sprawa jest nader oczywista. – Tato miał niezbity dowód. Jedyne ze znanych mi dorosłych, który blefuje, to nasz dyrektor, pan Nixon.

Ołówek! Pewno zostawiłem go w temperówce, kiedy zadzwonił Dean Moran. Przekłety Baran.

— Telefon u ciebie dzwonił wieki, cztery czy pięć minut, poważnie, więc...

— Jak brzmi – tato nie dał się zbić z tropu – zasada dotycząca niewchodzenia do gabinetu?

— Ale mnie się zdawało, że może to coś pilnego, więc odebrałem, no i... – zgromiony przez Kata, nie mogłem powiedzieć „ktoś” – była tam pewna osoba, tylko...

— Zdaje się – teraz gest taty oznaczał WOLNEGO! – o coś cię pytałem.

— Tak, ale...

— O co mianowicie?

— „Jaka jest zasada dotycząca niewchodzenia do gabinetu?”

— Otóż właśnie – czasami głos taty brzmi jak nożyce: ciach, ciach, ciach, ciach. – Może zatem zechcesz udzielić mi odpowiedzi?

Tu Julia wykonała dziwny ruch:

— Śmieszna sprawa...

— Nie sądzę, żeby kogoś to bawiło.

— Nie, nie, tato. W drugi dzień świąt, jak wzięliście Stwora do Worcester, rozdzwonił się telefon w gabinecie. Naprawdę, dzwonił wieki. Nie mogłam się skupić nad powtórką. Im dłużej sobie wmawiałam, że to na pewno nie jest zdesperowany sanitariusz ani nic, tym bardziej wydawało mi się to prawdopodobne. W końcu, już bliska szau, odebrałam i mówię: „Słucham”, ale nikt się nie odezwał. Więc odłożyłam słuchawkę, na wypadek, gdyby to był jakiś zboczeniec.

Tato milczał, lecz zagrożenie bynajmniej nie minęło.

— To tak samo, jak ze mną – odważyłem się. – Tylko że ja nie rozłączyłem się od razu, bo mi się zdawało, że ten ktoś mnie nie słyszy. I też płakał niemowlak? – zapytałem Julię.

— No, moi drodzy, skończcie już to śledztwo! Jeżeli faktycznie ktoś wydzwania dla zabawy, pod żadnym pozorem nie wolno wam odbierać. Na drugi raz wyłączcie telefon i już. Zrozumiano?

Mama siedziała w milczeniu. Zrobiło się nieswojo.

— SŁYSZYCIE!?! – taty grzmotnęło jak cegła w szybę. Aż podskoczyliśmy.

— Oczywiście, tato.

Mama, tato i ja zjedliśmy Anielską Rozkosz z toffi – bez słowa. Nie śmiałem na nich zerknąć. Ani nawet spytać, czy tak samo mógłbym odejść od stołu trochę wcześniej, bo manewrem tym zdążyła już się posłużyć Julia. Że ja popadłem w niełaskę, to akurat nic dziwnego, ale skąd tak nagłe ochłodzenie stosunków między rodzicami? Tato odezwał się wreszcie po ostatniej łyżce Anielskiej Rozkoszy:

— Dziękuję za świetny obiad, Heleno. Pozmywam z Jasonem, tak, synu?

Mama tylko kiwnęła głową i poszła do siebie na górę.

Tato zmywał, nucąc coś bezgłośnie. Ja – wpięrw pozbierałem brudne talerze, a potem wziąłem się za wycieranie. Trzeba było dalej siedzieć cicho, ale stwierdziłem, że za pomocą odpowiednio dobranych słów uda mi się przywrócić dniowi jako taką normalność.

— Tato, czy w styczniu trafiają się (przez Kata wymówienie tego słowa jest udręką) słowiki? Bo rano, zdaje się, słyszałem śpiew słowika. W lesie.

Tato polerował garnek.

— Niby skąd mam wiedzieć?

Nie dałem za wygraną. Tato lubi rozmawiać o przyrodzie i w ogóle.

— A ptak u dziadka, w hospicjum? Mówiłeś, że to słowik...

— Że też to pamiętasz... – odparł tato, zapatrzony w zwisające z dachu letniego domku sople lodu, wydając nagle taki dźwięk,

jakby uczestniczył w Międzynarodowym Konkursie na Największego Smutasa Roku Tysiąc Dziewięćset Osiemdziesiątego Drugiego. – Skup się na szklankach, Jason, bo zaraz coś stłuczesz.

Włączył radiową dwójkę, żeby posłuchać prognozy pogody, i zaczął ciąć nożyczkami Kodeks drogowy na rok 1981. Uzupełniony kodeks na rok 1982 kupił w dniu wydania. Dziś niemal na całym obszarze Wysp Brytyjskich temperatura spadnie znacznie poniżej zera. Uwaga na gołoledź na drogach północy i w Szkocji. W środkowej Anglii spodziewane są mgły i zamglenia.

Potem u siebie na górze grałem w Grę o Życie, ale być dwoma graczami naraz to żadna frajda. Do Julii wpadła koleżanka, Kate Alfrick, żeby razem coś powtarzać. Ale zamiast się uczyć, plotkowały, kto z kim chodzi w szóstej klasie, i puszczały single The Police. Mnie co chwila wyskakiwał nowy problem, jak miliardy trupów w zatopionym mieście. Mama z tatą przy obiedzie. Kat kolonizujący abecadło. Jak tak dalej pójdzie, będę musiał się uczyć języka migowego. Gary Drake i Ross Wilcox. Prawdę mówiąc, wcale się z nimi nie koleguję, no ale dziś przysięgli się przeciwko mnie. Neal Brose też był wmieszany w sprawę. A na dodatek, nie wiedzieć czemu, napędziła mi stracha skwaszona ciotka z lasu.

Gdyby się tak dało zostawić to wszystko, dać drapaka w inny wymiar... W przyszłym tygodniu kończę trzynaście lat, a trzynaście wygląda o wiele gorzej niż dwanaście. Julia ciągle jęczy, że ma już osiemnaście, a z mojego punktu widzenia osiemnastka to potęga. Nie musi kłaść się do łóżka o ustalonej porze, dostaje dwa razy większe kieszonkowe, a osiemnaste urodziny obchodziła w nocnym klubie Tanyi w Worcester – z tysiącem swoich przyjaciół. Tanya ma jedyny w Europie dyskotekowy laser ksenonowy! Coś kapitalnego!!!

Tata gdzieś wybył autem. Sam.

Mama pewno dalej siedzi u siebie. Ostatnio coraz częściej.

Żeby sobie trochę poprawić humor, założyłem omegę dziadka.

W drugim dniu świąt tato wezwał mnie do gabinetu i oznajmił, że chce mi ofiarować coś bardzo ważnego po dziadku. Był to zegarek. Omega Seamaster de Ville. Dziadek odkupił go od prawdziwego Araba, w porcie zwanym Aden, w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym. Aden jest w Arabii, a niegdyś należał do Wielkiej Brytanii. Dziadek nigdy nie rozstawał się z omegą i nawet umarł z nią na ręku – co mnie w ogóle nie przeraża, a tylko podnosi jej wartość. Cyferblat jest srebrny, wielkości pięćdziesięciopensówki, ale cienki jak pchełka do gry. „Ta cienkość – rzekł tato śmiertelnie poważnie – świadczy o doskonałości. Nie to, co te plastikowe kubły, z którymi dziś tak dumnie obnoszą się nastolatki”.

Schówek, jaki wymyśliłem dla omegi, to coś genialnego i bardziej od niej strzegę jeszcze tylko puszek po bulionie w kostkach OXO, pod obłuzowaną deską podłogową. Nożem Stanley wydrążyłem gównianą książkę pod tytułem *Myślistwo dla chłopców*. *Myślistwo dla chłopców* stoi u mnie na półce między prawdziwymi książkami. Choć Julia często węszy mi po pokoju, tej kryjówki nigdy nie udało jej się wykryć. Wiedziałbym na sto procent, bo na wierzchu książki, z tyłu, położyłem półpensówkę. Prócz tego, gdyby Julia ją znalazła, na pewno by zmałpowała ten wyborny pomysł. Sprawdziłem, czy któraś z jej książek przypadkiem nie ma fałszywego grzbietu – no i nie ma.

Sądząc po hałasie, do domu zbliżał się nie znany mi samochód; błękitny jak niebo volkswagen jetta włókł się przy samym krawężniku, tak jakby kobieta za kółkiem nie mogła znaleźć właściwego adresu. Na końcu naszej ślepej uliczki zawróciła, stając trzy razy, przy czym raz zgasł jej silnik – i wybyła z Kingfisher Meadows. Szkoda, że nie zapamiętałem rejestracji, gdyby ją przypadkowo podali w telewizji, w „Policja: 999”.

Dziadek żył najdłużej z wszystkich moich dziadków i tylko po nim zostały mi wspomnienia. Chociaż nie za dużo. Wyznaczanie kredą trasy dla moich autek corgi na ścieżce w jego ogrodzie. Oglądanie serialu *Thunderbirds* w jego bungalowie w Grange nad Sands i picie lemoniady zwanej Mlecz z Łopianem.

Omega przestała chodzić, więc ją nakręciłem, nastawiając czas na ułamek sekundy po trzeciej.

Nienarodzony Bliźniak mruknął: „Idź nad jezioro”.

Zwężenia drogi przez las strzeże pień wiązu. Na pniaku siedział sobie Ciapciak. Naprawdę to Ciapciak nazywa się Mervyn Hill, ale kiedyś, jak się przebieraliśmy na wuef, ściągnął spodnie i okazało się, że ma pieluszkę. No a miał już chyba dziewięć lat. Grant Burch dał mu ksywę Ciapciak i od niepamiętnych czasów nikt go nie nazywa Mervyn. Łatwiej sobie wymienić gałki oczne, niż zmienić przydomek.

Nieważne. Ciapciak głaskał schowane w zgięciu ręki stworzonko, popielate i puszyste.

— Znalazca przy zdobyczy, a patałach ryczy.

— Dobra, co tam masz, Ciapciak?

Ciapciak ma żółte zęby.

— Nie pokażę!

— No, co ty! Mnie nie pokażesz?

— Kitkę – odmamrotał Ciapciak.

— Znaczy: batonik KitKat?

Ciapciak odsłonił mordkę śpiącego kotka.

— Kiciusia! Znalazca przy zdobyczy, a patałach ryczy.

— Ojej, kotka! Gdzieś ją znalazł?

— Nad jeziorem. O świcie. Zanim przyszli chłopacy. A jak żeśmy grali, skrywałem ją w pudełku.

— Dlaczego nikomu nie pokazałeś?

— Boby ją porwali Burch z Redmarleyem i Swinyardem albo inne dranie! Znalazca przy zdobyczy, a patałach ryczy. Schowałem, no i zabieram.

Po Ciapciaku to wszystkiego można się spodziewać.

— Ale grzeczna, co?

Ciapciak bez słowa dalej tulił kotkę.

— Merv, mógłbym ją potrzymać?

— Jak nie piśniesz słowa – Ciapciak zerknął podejrzliwie – to ci dam pogłaskać. Ale zdejmij te rękawice, bo ją jeszcze podrapiesz.

Więc zdjąłem – i wyciągnąłem dłoń do kotki.
Ciapciak podbił ją wysokim łukiem. Jak piłkę.

— Jest twoja!

Zdumiony, złapałem kotkę w locie.

— Twoja! – zaśmiał się Ciapciak i pognał pędem do wsi. –
Twoja!

Kicia była zimna i sztywna jak mięso z lodówki. Dopiero teraz
mnie olśniło, że nie żyje. Wypuszczona z ręki, łupnęła o ziemię.

— Znalazca... – dobiegło z oddali – ...ryczy!!!

Z pomocą dwóch patyków ułożyłem kotkę wśród paru
obrażonych przebiśniegów.

Zeszła spokojnie i z godnością. Pewnie zamarzyła na śmierć
zeszłej nocy.

Istoty martwe pokazują, że los ten czeka każdego.

Jak mi się słusznie zdawało, nad zamarzniętym jeziorem nie
było żywej duszy. Na dwójce pokazywali *Supermana 2*.
Widziałem go ze trzy lata temu w kinie w Malvern, na urodzinach
Neala Brose'a. Niezły, ale żeby dla niego rezygnować z prywatnej
jazdy po zamarzniętym jeziorze; bez przesady. Clark Kent
wyrzeka się swej mocy tylko po to, żeby odbyć stosunek płciowy
z Lois Lane w połyskliwym łóżku. Komu by pasowała taka durna
wymiana?! Kiedy się umie fruwać. Odbijać pociski nuklearne
w kosmos. Cofać czas – kręcąc kulą ziemską w drugą stronę.
Stosunek płciowy nie może być aż tak rewelacyjny.

Przysiadłem na pustej ławce, by zjeść kawał jamajskiego ciasta
imbirowego – i wszedłem na lodową tafłę. A że się nie patrzył
żaden z chłopaków, nie wywaliłem się ani razu. Kręcąc pętle
odwrotnie do ruchu wskazówek zegara, zacząłem okrążyć jezioro,
rozhuśtany jak kamień na sznurku. Zwieszony nad lodem gałęzie
co rusz chciały mnie zagarnąć swymi paluchami. Gawrony kra...
kra... kra... krakały niby starzec, gdy sobie nie umie
przypomnieć, po co wszedł na górę.

Taki jakby trans.

Pociemniało i niebo zaczęło się kierować ku przestrzeni
pozaziemskiej – gdy na jeziorze spostrzegłem kogoś jeszcze.

Ślizgając się w moim tempie, chłopiec krążył po mojej orbicie, ale zawsze w oddaleniu, na drugim krańcu jeziora. Więc gdy ja byłem na godzinie dwunastej, on – na szóstej. Jak dojeżdżałem do jedenastej, on do piątej i tak w kółko, niezmiennie po drugiej stronie. Z początku myślałem, że to dzieciak z wioski i że to tylko wygłupy. I nawet mi się wydało, że to Nick Yew – bo tak samo krępy. Ale co najdziwniejsze, kiedy mu się przyglądałem dłużej niż parę sekund, to mi tak jakby ginął, tonął w ciemnej dziurze. Za pierwszym i za drugim razem zdawało się, że już sobie poszedł, ale gdzieś tak w połowie okrążenia znowu się pojawiał. Choć ledwo dostrzegalny. Raz przejechałem jezioro, żeby go zatrzymać, ale zniknął, nim zdążyłem dotrzeć do wysepki na środku. A kiedy zacząłem jeździć w koło – objawił mi się znowu.

„Do domu – upomniał drażniący Robal w moim sercu. – A jak okaże się duchem?”

Mój Nienarodzony Bliźniak nie znosi Robala. A jeśli to naprawdę duch?

— Nick?! – zawołałem, ale mój głos nie opuścił ciała. – Nick Yew?

Chłopiec jeździł dalej.

— Ralph Bredon?! – zakrzyknąłem.

Odpowiedź dotarła do mnie dopiero po pełnym okrążeniu:

— Syn rzeźnika!

Gdyby lekarz mi powiedział, że chłopak po tamtej stronie jest wytworem mojej wyobraźni i zwyczajnie mi się wydaje, że słyszałem jego głos – wcale bym się nie sprzeczał. Albo jakby Julia powiedziała, że sobie wmawiam, że to był Ralph Bredon, bo chcę się lepiej poczuć – też bym się nie spierał. Nie kłóciłbym się też, gdyby jakiś mistyk stwierdził, że pewien konkretny moment w pewnym konkretnym miejscu może działać jak antena zbierająca nikłe ślady zagubionych.

— Jak tam? – zawołałem. – Zimno, co nie?

Odpowiedź znowu dotarła dopiero po pełnym okrążeniu:

— Do zimna można przywyknąć.

Czyżby te wszystkie dzieciaki, które potopiły się w jeziorze,

miały mi za złe, że naruszam ich teren? Czy chcą, aby znowu ktoś utonął? Żeby mieć towarzystwo? Czy zazdroścą żywym? Nawet mnie?

— A mógłbyś pokazać, jak tam jest? – krzyknąłem.

Księżyc wypłynął na niebo w jeziorze.

Jedno wspólne okrążenie.

Chłopak-cień ślizgał się dalej, przykucnąwszy tak jak ja.

Okrążenie kolejne.

Jakaś sowa z furkotem przeleciała tuż nad zmarzniętą wodą.

— Heja! – wrzasnąłem. – Słyszysz? No, powiedzże, jak tam...

Nagle straciłem równowagę. W sekundzie, w obłądnym locie, jak na zjeżdżalni w lunaparku, znalazłem się w powietrzu. Wysoko jak wykop Bruce'a Lee. Wyczułem, że to nie będzie miękkie lądowanie – ale w życiu bym się nie domyślił, że aż tak bolesne. Trzask od kostki przez szczękę, aż po kosteczki dłoni, jakby do ciepłego soku wrzucić kostkę lodu. Nie! Coś większego niż kostka. Jak lustro upuszczone z niebios. Które nie gruchnęło o ziemię ani się nie rozpadło na miliardy niewidzialnych igieł. Tylko niby sztylety grzmotnęło w moją kostkę.

Wykręciłem i w dreszczach wyhamowałem na skraju jeziora.

Niezdolny się ruszyć, leżąc, chwilę napawałem się tą nadprzyrodzoną męką. Nawet zapaśnik Giant Haystacks uroniłby łezkę.

— Gnój cholerny – wydyszałem, aby stłumić płacz. – Cholerny, cholerny, cholerny gnój!

Zza kamiennych drzew ledwie dało się słyszeć odgłos drogi głównej, ale tak daleko nie uszedłbym w żaden sposób. Próbując jakoś ustać, co chwila padałem na dupę, wykrzywiony z bólu. Nie dałem rady się ruszyć. Gdybym tak tam został, niechybnie bym zszedł na zapalenie płuc. Nie miałem pojęcia, co zrobić.

— No, proszę – westchnęła skwaszona ciotka. – Spodziewaliśmy się, że niebawem wrócisz.

— Boli... – głos mi się łamał. – Uszkodziłem kostkę.

— Widzę.

— Zaraz umrę.

— Niewątpliwie.
— Mógłbym zadzwonić po tatę?
— Telefon to rzecz nam obca.
— To proszę sprowadzić pomoc. Bardzo proszę.
— Nigdy nie opuszczamy domu. A już z pewnością nie pod wieczór.

— Błagam – nieziemski ból tak mną wstrząsał, jak elektryczne gitary. – Bo nie zrobię kroku.

— Znam się na kościach oraz ścięgnach. Lepiej więc wejść do mnie.

Wewnątrz było jeszcze zimniej. Kiedy wszedłem, trzasnęły skoble i obrócił się klucz w zamku.

— Tędy – rzekła skwaszona ciotka. – Do salonu. Już wracam, tylko muszę sporządzić ci lekarstwo. I żebyś mi się nie odzywał. Gorzko pożałujesz, jak mi zbudzisz brata.

— Dobrze... – rozglądnąłem się. – No a gdzie ten salon?

Ale skwaszona ciotka już zniknęła w mroku, powłócząc nogami.

Ujrawszy rozbłysk światła na końcu korytarza, pokuśtykałem tam. Bóg jeden wie, jak długo, poraniony, wlokłem się znad jeziora wyboistą krętą ścieżką... Lecz jakoś mi się udało, bo w końcu dotarłem do ich domu. Z trudem pokonując niezliczone schody, w słabym księżycowym świetle dojrzałem na ścianie stare zdjęcie. Łodzi podwodnej w, zdaje się, arktycznym porcie. Załoga stała na pokładzie, salutując. Lazłem dalej. Rozbłysk światła wcale się nie zbliżył...

Salon był niewiele większy od sporej garderoby – i cały wypakowany rzeczami jakby z muzeum. Klatka bez papugi, magiel, olbrzymi kredens, kosa. I inne rupiecie. Pogięte koło rowerowe i jeden but do piłki nożnej, oblepiony mułem. Wiekowe łyżwy na wieszaku. Nie było tam w ogóle nic nowoczesnego. Ani kominka. Ani żadnej elektryki, oprócz gołej brunatnej żarówki. Kosmate rośliny doniczkowe, znekane żywotem, w maleńkich doniczkach. No i ziąb, że rany! Pod moim ciężarem kanapa zapadła się z ssssssssssssssykiem. Drzwi

dokąd zasłonięte paciorkami. Chciałem wynaleźć pozycję mniej dotkliwą dla kostki, ale na nic.

Pewno upłynęło mnóstwo czasu.

Skwaszona ciotka wróciła – z porcelanową miseczką w jednej ręce i szklanką wypełnioną czymś mętym w drugiej.

— Zdejmij skarpetę.

Bezwładna kostka spuchła mi jak balon. Wsparłszy moją łydkę na taborecie, skwaszona ciotka przyklęła. Strój jej zaszeleścił. Nie słyszałem nic, prócz krwi w uszach i (własnego) sapania. Ciotka zanurzyła dłoń w misce i zaczęła wcierać w kostkę jakąś ciepłą breję.

Kostka się wzdrygnęła.

— To gorący okład – ujęła mnie pod goleń. – Żeby skłęsa opuchlizna.

Gorący okład łaskotał, ale męka była przepotworna, nie mówiąc już o dreszczach. Skwaszona ciotka zasmarowała całą kostkę. W końcu, podając mi mętny płyn, nakazała:

— Wypij.

— Pachnie jak... marcepan.

— Masz wypić, a nie wachać.

— Ale co to jest?

— Nieco złagodzi ból.

Poznałem po jej minie, że nie mam wyboru. Wypiłem płyn duszkiem, jak mleczko z magnezją. Był gęsty jak syrop, ale w sumie bez smaku.

— Pani brat śpi na górze? – zapytałem.

— A gdzie by indziej, Ralph? No już, cicho, cicho.

— Nie mam na imię Ralph – odparłem, ale skwaszona ciotka jakby tego nie słyszała.

Chcąc wyjaśnić nieporozumienie, musiałbym się strasznie postarać, kiedy już sama walka z chłodem była ponad moje siły. Zabawne, że ledwo się poddałem, ogarnęła mnie cudowna senność. Oczyma duszy ujrzałem rodziców z Julią, jak sobie siedzą w domu i oglądają „Czarodziejskie sztuczki” Paula Danielsa – ale ich twarze zaczęły się rozmywać jak odbite w łyżce.

Ze snu wyrwało mnie zimno. Nie miałem pojęcia, kim, kiedy ani gdzie jestem. Uszy piekły niby pogryzione i widziałem swój oddech. Na taborecie stała porcelanowa miska, a kostkę pokrywała gąbczasta twarda skorupa. Wtem wszystko mi się przypomniało i usiadłem. Ból nogi ustąpił, ale w głowie tak dziwnie się kotłowało, jakby tam wleciał gawron i nie umiał się wydostać. Starłem okład usmarkaną chusteczką. Niesamowite, lecz kostka działała idealnie, jak uzdrowiona za pomocą czarów. Założyłem skarpetkę i but, żeby prędko sprawdzić, czy się nie przewrócę. Poczuję słabe ukłucie, ale tylko dlatego, że zbyt wyteżyłem zmysły.

— Halo? – zawołałem przez zasłonę z paciorków.

Nikt nie odpowiedział. Minąwszy trzeszczące koraliki, wszedłem do malutkiej kuchni z kamiennym zlewem i potężnym piecem. Tak wielkim, że spokojnie by się tam zmieściło dziecko. Wprawdzie drzwi były otwarte, ale w środku panował taki mrok, jak w tym pękniętym grobowcu w kościele Świętego Gabriela. Chciałem podziękować skwaszonej ciotce, że mi wyleczyła kostkę.

„Sprawdź, czy da się otworzyć drugie drzwi” – ostrzegł Nienarodzony Bliźniak.

Nic z tego. Ukwiecone mrozem okno (otwierane pionowo) też ani drgnęło. Zapadkę i zawiasy przykryto farbą wieki temu, tak że aby je podważyć, pewno by trzeba użyć dłuta. Ciekaw, która jest godzina, zerknąłem na dziadkową omegę, ale w ciasnej kuchni nie było nawet grama światła. A jeśli to już mocno po południu? Wróciłbym do domu, a na stole, pod szklanym kloszem, czekałby podwieczorek. Mama z tatą okropnie się wściekają, kiedy spóźniam się na podwieczorek. A może już dawno po północy, no i dali znać policji?! Rany. A jeśli przespałem cały dzień i jeszcze kawałek nocy?! I w „Gońcu Malvern” i w „Midlands Today” zamieścili moje szkolne zdjęcie oraz apel do świadków mego zaginięcia!!! Rany. Ciapciak zeznałby, jak widział mnie w drodze nad skute lodem jezioro. I teraz może mnie poszukuje brygada płetwonurków.

Normalnie – koszmar.

Nie, coś o wiele gorszego. Wróciwszy do salonu, spojrzałem na omegę dziadka, ale się okazało, że nie pokazuje czasu.

— No, nie – jęknąłem cicho.

Srebrny cyferblat oraz wskazówka godzinowa i minutowa zniknęły. Została tylko wygięta wskazówka sekundnika. Stało się to pewno, jak upadłem na lód. Z pękniętej koperty wyleciała połowa wnętrzości.

Dziadkowa omega przez czterdzieści lat nie zepsuła się ani razu. A ja ją wykończyłem w niecałe dwa tygodnie.

Chwiejąc się z przerażenia, wszedłem do holu, uniosłem głowę i wyszeptalem:

— Halo?

Na schodach cisza jak w nocy epoki lodowcowej.

— Muszę wracać!

Sprawa omegi na chwilę przytłumiła niepokój związany z pobytem w tym miejscu, ale wciąż nie miałem odwagi krzyknąć – żeby nie obudzić brata ciotki.

— Muszę już iść do domu! – zawołałem szeptem.

Dalej głucha cisza.

Stwierdziłem, że jakby nigdy nic wyjdę drzwiami od frontu i potem za dnia wrócę, aby jej podziękować. Rygle dały się otworzyć całkiem łatwo, nie to, co starodawny zamek. Bez klucza ani rusz i tyle. Musiałbym pójść na górę i zbudzić drażliwe babsko, żeby mi dało klucz, a jakby znów się wkurzyło, no to, normalnie, szkoda gadać. A jakoś, ciekawe jak, trzeba było załatwić makabryczną kwestię zmiążdżonego zegarka. Jakoś, ale przecież nie tutaj, w Domu w Lesie.

Kręte schody na górę okazały się wyjątkowo strome. Po chwili, żeby nie spaść, musiałem obiema rękami chwytać się kolejnych stopni. Ciekawe, jakim cudem włazi tam i złazi skwaszona ciotka – w swej gawroniej sukni?! W końcu udało mi się wspiąć na ciasne półpięterko z dwojgiem drzwi. Szparami w oknie wlatywało trochę światła. Jedne drzwi z pewnością prowadziły do pokoju kwaśnej ciotki. Drugie – do pokoju brata.

Strona lewa ma moc, z którą prawa nijak nie może konkurować, więc od razu ująłem żelazną klamkę po lewej. Wyssała całe ciepło z dłoni, z ramienia, z krwiobiegu.

Szuru-buru.

Zamarłem.

Szuru-buru.

Kołatek wartownik? Szczur na strychu? Zamarznięta rura?

Z którego pokoju dochodził ten odgłos?

Żelazna klamka skrzypnęła, gdy ją nacisnąłem.

Przez kotarę w śnieżynki do pokoju na poddaszu sączył się pudrowy blask księżyca. Miałem rację: pod kołdrą, ze sztuczną szczęką w słoiku koło łóżka, leżała skwaszona ciotka, niby marmurowa księżna na kościelnym katafalku. Zbliżyłem się wolno, powłócząc nogami po zdradliwej podłodze, wystraszony, co będzie, jak ją zbudzę. A jeśli już zapomniała, kim jestem, i sobie pomyśli, że chcę ją udusić, i zacznie wrzeszczeć „Pomocy!” i dostanie wylewu? Włosy zasłaniały pomarszczoną twarz, jak rzęsa na stawie. Co dziesięć, dwadzieścia sekund z jej ust dobywał się obłoczek. Jedyne dowód, że jak ja jest istotą z krwi i kości.

— Słyszysz mnie pani?

Nie, lepiej, jak nią potrząsnę.

Gdy ręka znalazła się w połowie drogi do jej barku, znowu rozległo się to szuru-buru. W głębi jej wnętrza.

Lecz to nie było chrapanie. Tylko szczęk śmiertelny.

Pędem do drugiego pokoju. Zbudzić tego jej brata. Wezwać jakoś karetkę. Nie! Wyważyć drzwi i lecieć po pomoc do „Czarnego Łabędzia”, do Isaaca Pye’a. Też nie! Zaraz by chcieli wiedzieć, co mnie zagnało aż do Domu w Lesie. A wtedy co? Przecież nawet nie wiem, jak baba się nazywa. Za późno. Umiera już, to pewne. A szuru-buru głośniejsze z każdą chwilą, wściekłe i coraz ostrzejsze.

Tchawica jej pęcznieje, dusza chce się wyrwać z serca.

Przez sen zużyte oczy mrugają jak u lalki, czarne, szklące, zdumione.

Z ciemnej szczeliny ust wypada zamieć śnieżna.

Bezgłówny ryk unosi się.
W powietrzu.

Kat

Ciemność, światło, ciemność, światło, ciemność, światło. Deszcz dostał takiego zrywu, że wycieraczki datsuna – nawet nastawione na najszybszy tryb – nie mogły za nim nadążyć. Jadąca z przeciwka wielka ciężarówka całkiem zabryzgała już i tak zalaną deszczem przednią szybę. Przy widoczności jak w myjni samochodowej ledwie udało mi się spostrzec dwa wirujące w niesamowitym tempie radary Ministerstwa Obrony Narodowej. W oczekiwaniu na potęgę sił zbrojnych Układu Warszawskiego. Oboje z mamą milczeliśmy prawie całą drogę. Poniekąd ze względu na cel tego wyjazdu. (Zegar na tablicy rozdzielczej wskazywał szesnastą zero pięć. Dokładnie za siedemnaście godzin miała się odbyć moja publiczna egzekucja). Przed zebra, nieopodal zamkniętego salonu kosmetycznego, mama zapytała, czy udał mi się dzień, na co odparłem, że w porządku. Kiedy się spytałem o to samo, odpowiedziała:

— Ach, dzięki; porażająco twórczy i niesłychanie głęboki.

Mama bywa straszliwie sarkastyczna, chociaż mnie zawsze za to beszta.

— Dostałeś życzenia z okazji walentynek?

Odparłem, że nie, ale nawet gdybym coś dostał, i tak bym powiedział, że nie. (Wprawdzie dostałem jedną kartkę, ale zaraz wylądowała w koszu. Było tam zdanie „Chuj ci w oko”, podpisane przez Nicholasa Briara, ale, zdaje się, pismem Gary’ego Drake’a). Duncan Priest dostał cztery kartki. Neal Brose siedem,

a w każdym razie tyle wyszło mu z obliczeń. Ant Little skądś się dowiedział, że Nick Yew dostał aż dwadzieścia. Nie zapytałem mamy, czy coś do niej przyszło. Tato powiada, że walentynki, Dzień Matki oraz Dni Nieuzbrojonych Bramkarzy to jeden wielki spiszek producentów kartek, kwiaciarzy i wytwórców czekolady.

No, ale dobra. Mama wysadziła mnie na przejściu przy stacji Malvern Link koło kliniki. Zostawiłem dziennik w schowku na rękawiczki i gdyby akurat nie zapaliło się czerwone światło, mama odjechałaby z nim do sklepu Lorenza Hussingtree'ego. Musiałem więc wrócić. („Jason” to wprawdzie nie jest imię wymarzone, ale gdyby u mnie w szkole zjawił się jakiś „Lorenzo”, zaraz by go wykończyli palnikiem Bunsena). Z dziennikiem ukrytym w plecaku przeszedłem zalany wodą szpitalny parking, skacząc z jednej suchej „wyspy” na następną – jak James Bond po grzbietach krokodyli. Przed kliniką zebrała się gromada drugo- i trzecioklasistów ze szkoły Dysona Perrinsa. Zaraz mnie przyuważyli – w nieprzyjacielskim mundurku. Jak mówią Pete Redmarley z Gilbertem Swinyardem, co roku wszyscy czwartoklasiści od Perrinsa i wszyscy czwartoklasiści od nas robią sobie jednodniowe wagary, by spotkać się na tajnej arenie pośród krzewów janowca – celem masowego starcia. Jak ktoś stchórzy, to znaczy, że jest homo, a jak się wygada nauczycielowi – to po nim. Podobno przed trzema laty Pluton Noak tak dołożył najsilniejszemu z tamtych, że w szpitalu w Worcester musieli mu przyszywać szczękę. Chłopak do tej pory je i pije przez słomkę. Całe szczęście, że tak lało, bo teraz banda od Perrinsa wkropiłaby mnie.

Dziś miałem drugą wizytę w tym roku, więc śliczna rejestratorka poznała mnie od razu.

— Już dzwonię po panią de Roo, Jasonie. Usiądź sobie.

Fajna jest. Wie, po co tu przychodzę, więc nigdy nie prowadzi bezsensownych rozmów, które by mnie mogły zdradzić. W poczekalni śmierdzi lizolem i rozgrzanym plastykiem. Czekający ludzie wcale nie wyglądają na poważnie chorych. Ale ja pewno też nie bardzo zwracam uwagę. Siedzi się blisko siebie,

no to o czym gadać? Wiadomo, o tym, co by się wolało zmilczeć: „Co pana/panią sprowadza?”. Jakaś stara kłępa robiła na drutach, których odgłos zestukiwał się z deszczem. Niziołkowaty gość o wodnistych oczach kiwał się na stołku. Kobieta z wieszakami zamiast kości siedziała zaczytana w *Wodnikowym Wzgórzu*. Taka jakby klatka na niemowlęta, z kupą poogryzanych zabawek, dzisiaj była pusta. Zadzwoił telefon i śliczna recepcjonistka odebrała. Była to chyba jakaś jej znajoma, bo dziewczyna zakryła dłonią słuchawkę i zniżyła głos. Rany, jak ja zazdroszczę ludziom, którzy umieją równocześnie mówić to, co myślą, nie sprawdzając, czy się nie zająkną na jakimś wyrazie. Zegar ze słonikiem Dumbo cykał: „już-nad-cho-dzi-ra-nek-więc-so-bie-łyż-ką-pod-łub-w-głó-wie-bo-zli-czyć-do-dzie-się-ciu-nie-po-tra-fisz-zacz-nij-zacz-nij-zacz-nij-od-po-czą-tku”. (Kwadrans po czwartej. Zostało mi już tylko szesnaście godzin i pięćdziesiąt minut). Wziąłem sfatygowany numer „National Geographic”, w którym pewna Amerykanka uczyła szympansy języka migowego.

Prawie każdy sądzi, że jąkanie i zacinięcie to jedno i to samo, tymczasem różnią się tak jak biegunka i zatwardzenie. Zacinięcie polega na tym, że powie się pierwszą sylabę, no i już nie można przestać. „Zaci-zaci-zaci-nanie”. Mniej więcej tak to wygląda. A jąkanie to coś takiego, że człowiek utyka zaraz po pierwszej sylabie, o tak: „Ją... Kkanie!”. I do pani de Roo trafiłem właśnie przez jąkanie. (Naprawdę tak się nazywa. Jest Holenderką, nie Australijką). Zacząłem do niej chodzić pamiętnego lata, kiedy nie spadła ani kropla deszczu i Wzgórza Malvern zrobiły się brunatne, pięć lat temu. W któreś słoneczne popołudnie pani Throckmorton zaczęła igrać z Katem. Na tablicy napisała tak:

S K - W R - N - K

Zgadłby najostatniejszy pacan, no więc się zgłosiłem.

— Tak, Jasonie? – powiedziała pani Throckmorton i wtedy

moje życie zostało podzielone na okres Sprzed Kata i Po Kacie.

Wyraz „skowronek” szamotał mi się po głowie, ale nie miał zamiaru jej opuścić. „S” jeszcze jako tako udało mi się wypowiedzieć, ale im bardziej napierałem na resztę, tym ciaśniej zaciskała się pętla. Pamiętam, jak, tłumiąc chichot, Lucy Sneads zaczęła coś szeptać do Angeli Bullock. Pamiętam, jak na to osobliwe widowisko Robin South aż wytrzeszczył oczy. Sam bym się tak zachował, gdyby nie chodziło o mnie. Kiedy jąkała się jąka, gały robią się czerwone i wyłażą z orbit jak mocarnemu zapaśnikowi, a usta ła-ła-łapią powietrze tak jak ryba w sieci. Musi to wyglądać bardzo śmiesznie.

No, ale dla mnie – ani trochę. Pani Throckmorton czekała. Czekala cała klasa. Czekaly wszystkie wrony i pajaki w Black Swan Green. Wszystkie obłoki i auta na autostradzie, i nawet sama pani Thatcher w Izbie Gmin zamarła w skupieniu, myśląc: „Na co też cierpi Jason Taylor?”.

Lecz mimo ogromu wstrząsu, bezdechu, lęku oraz wstydu, chociaż wyszedłem na totalnego tłuca, choć byłem wściekły na siebie, że nie potrafię wymówić prostego słowa we własnym języku – nie poradziłem sobie ze „skowronkiem”. Wreszcie musiałem powiedzieć: „Nie jestem pewien, proszę pani”, na co pani Throckmorton rzekła: „Rozumiem”. Faktycznie zrozumiała. Pod wieczór zadzwoniła do mamy i niecały tydzień później wzięli mnie do pani de Roo, która w klinice w Malvern Link zajmuje się logopedią. Było to przed pięciu laty.

Około dziesiątej (bodaj tego samego wieczoru) moje jąkanie przeobraziło się w Kata. Szczupacze wargi, złamany nos, poliki nosorożca i czerwone oczy, bo przecież nigdy nie śpi. Wyobrażam go sobie, jak w sali dla dzieci w szpitalu Royal Preston odlicza: „entliczek-pętliczek-czerwony-stoliczek...”. Wyobrażam sobie, jak klepie mnie w pucata buzię i mruczy do ucha: „bęć”. Ale najprzykrzejsze jest zetknięcie nie z jego twarzą, tylko z rękami. Kiedy mi zatapia w języku swe węzowe palce, ściskając tchawicę, żeby nic nie wyszło. Niektóre ulubione słowa Kata zaczynają się na „dz”. Kiedy skończyłem dziewięć lat, myślałem, że oszaleję,

gdy mnie pytano o wiek. W końcu podnosiłem dziewięć palców, udając strasznego mądralę, ale pytający i tak przecież myślał: „Czemu nie powie po prostu, pacan jeden?”. Kat długo też ubóstwiał wyrazy na „jot”, ale ostatnio przestawił się na „s”. Co dobrze nie wróży. Wystarczy zajrzeć do byle jakiego słownika, aby się przekonać, że właśnie rozdział z „s” jest najgrubszy. Dwadzieścia milionów wyrazów zaczyna się na „dz” albo na „s”. Prócz strachu, że Rosjanie rozpoczną wojnę atomową, najbardziej boję się, że Kata nagle zaciekawia słowa na „dź”, bo wtedy nie dam rady wypowiedzieć nawet własnego imienia. W takim wypadku musiałbym sobie zmienić imię notarialnie, na co tato w życiu by się nie zgodził.

Istnieje tylko jeden sposób, aby przechytryć Kata. Trzeba stale pamiętać, jak będzie brzmiało kolejne zdanie – no i gdy się w nim zapowiada newralgiczne słowo, należy zmienić zdanie tak, żeby to słowo dało się pominąć. Oczywiście, aby rozmówca się nie połapał. Z doświadczenia wiem, że bardzo pomaga czytanie różnych słowników; łatwiej wtedy lawirować, tylko nie wolno zapominać, z kim się rozmawia. (Na przykład, gdybym w rozmowie z trzynastolatkiem użył wyrazu „melancholijny”, żeby uniknąć zająknięcia na „smutny”, natychmiast stałbym się pośmiewiskiem, bo przecież dzieciaki nie używają takich dorosłych wyrazów jak „melancholia”. A już na pewno nie dzieciaki z państwowej szkoły średniej w Upton nad Severn). Zgodnie z inną metodą, trzeba umieć ciągle zyskiwać na czasie, mówiąc: „yyyyy”, bo w chwili roztargnienia Kata dane słowo można zwyczajnie opuścić. Ale gdy się to „yyyyy” powtarza za często, można po prostu wyjść na ciemniaka. Jest wreszcie taka metoda, że kiedy nauczyciel o coś pyta, a odpowiedzią musi być słowo, na którym człowiek miałby się zająknąć – najlepiej udawać, że się nie wie i już. Nie zliczę, ile razy z niej korzystałem. Nauczyciel nieraz traci cierpliwość (zwłaszcza kiedy poświęca pół lekcji, żeby coś wyjaśnić), ale nie ma nic gorszego niż etykieta „szkolnego jąkały”.

Przed tym przewiskiem zawsze ledwie co udawało mi się

wybronić, no ale jutro w końcu to nastąpi, rano, pięć po dziewiątej. Muszę stanąć przed Garym Drake'em i Nealem Brose'em, i przed całą klasą i odczytać fragment z książki pana Kempseya pod tytułem *Proste modlitwy w intencji złożonego świata*. Będą tam dziesiątki wyrazów, na których się zająknę, wyrazów, których zastąpić nie potrafię, a udawać, że ich nie znam, nie mogę, bo przecież są w tym tekście, stoją czarno na białym. Kiedy zacznę czytać, Kat popędzi naprzód, podkreślając wszystkie swe ulubione słowa na „dz” i na „s” i mruczając mi do ucha: „No, próbuj, próbuj, Taylor!”. Już widzę, jak na oczach Gary'ego Drake'a, Neala Brose'a i całej klasy Kat zmiążdży mi gardło, popłącze język i wykręci głowę. Gorzej niż Joeyowi Deaconowi. Będę się jąkał jak jeszcze nigdy w życiu. Koło dziewiątej piętnaście moja tajemnica rozniesie się po szkole jak obłok trującego gazu. Wraz z końcem pierwszej przerwy me życie straci sens.

Najbardziej groteskowa ze znanych mi historii przedstawia się następująco. Pete Redmarley zaklinał się na grób własnej babci, że historia jest autentyczna, więc chyba rzeczywiście. No więc było tak: jeden chłopiec z szóstej klasy zdawał egzaminy końcowe. Miał rodziców z piekła rodem, którzy potwornie go nękali, aby wszystko zdał bardzo dobrze, i jak przyszło co do czego, chłopak był tak spięty, że nawet nie rozumiał pytań. Wobec tego wyciągnął z piórnika dwa długopisy, przytknął je sobie szpicami do oczu i walnął głową w ławkę. Po prostu. W sali egzaminacyjnej. Długopisy wbiły się w gałki tak głęboko, że z zakrwawionych oczodołów sterczały na jakiś centymetr. Dyrektor szkoły, pan Nixon, zatuszował sprawę, żeby przez przypadek nie dostała się do gazet. To chora, upiorna historia, ale teraz byłem gotów zamordować Kata jak ten chłopiec – byle nie dać mu się wykończyć jutro rano.

Na serio.

Pani de Roo tak klapie pantoflami o podłogę, że od razu wiadomo, kiedy idzie po delikwenta. Ma lat czterdzieści, albo jeszcze więcej, i rzadkie włosy; nosi kolosalnych rozmiarów

srebrne broszki i suknie w kwiaty.

Podając czyjąś kartę prześlicznej rejestratorce, ofuknęła deszcz za oknem i powiedziała:

— I tak oto najgłębsze ostępy Worcestershire nawiedziła pora monsunowa!

Przytaknąłem, że duje jak rzadko, i ruszyłem za nią zwawym krokiem. Aby przez przypadek inni pacjenci nie zorientowali się, po co tam jestem. Poszliśmy korytarzem, mijając tablicę informacyjną ze słowami typu „PEDIATRIA” i „ULTRASONOGRAFIA”. (Mojemu mózgowi nie dałby rady żaden ultrasonograf. Pokonałbym go, przypominając sobie wszelkie satelity w Układzie Słonecznym).

— Luty w naszych stronach jest taki ponury – stwierdziła pani de Roo. – Prawda? Zupełnie nie jak miesiąc, tylko dwudziestoósmiodniowy poniedziałkowy ranek. Człowiek po ciemku wychodzi i po ciemku wraca. W tę słotę żyje się jak w pieczarze pod jakimś wodospadem.

Powiedziałem pani de Roo, że podobno dzieci eskimoskie przesiadują pod sztucznym światłem słonecznym, żeby się nie nabawić skorbutu, bo na biegunie północnym zima trwa prawie cały rok, i poradziłem, aby sobie może sprawiła łóżko z kwarcówką.

Pani de Roo odrzekła:

— Pomyślę o tym, pomyślę.

Minęliśmy salę, w której wyło niemowlę, świeżo po zastrzyku. W kolejnej na wózku inwalidzkim siedziała jakaś piegowata w wieku Julii. Pewno by wolała jącać się jak ja, gdyby jej dali zdrową nogę, więc zaraz sobie pomyślałem, czy też ludzkie szczęście bierze się z cudzego nieszczęścia. Ale rzecz ma i złe, i dobre strony. Po jutrzejszym poranku będą mi się przyglądać i myśleć: „Hm, wprawdzie żyję w szambie, ale przynajmniej nie jestem na jego miejscu. No bo ostatecznie umiem mówić”.

Luty to ulubiony miesiąc Kata. Wraz z nadejściem letniej pory zapada w drzemkę i aż do jesieni trwa w stanie hibernacji, tak że udaje mi się mówić troszkę sprawniej. Prawdę powiedziawszy,

po pierwszej serii wizyt u pani de Roo przed pięcioma laty – gdy mi się zaczął katar sienny, wszyscy sądzili, że wyleczyłem się z jąkania. Ale ledwie przyjdzie listopad, Kat budzi się znowu, trochę jak John Barleycorn^[1], tylko że na odwrót. A w styczniu to już szaleje na całego, no i muszę wracać do pani de Roo. W tym roku Kat jest jeszcze gorszy niż normalnie. Dwa tygodnie temu była u nas ciocia Alice i pewnego wieczoru na półpiętrze usłyszałem, jak mówi do mamy: „Poważnie, Heleno, kiedy ty się weźmiesz za to jego zacinięcie? Chłopak w życiu sobie nie poradzi w towarzystwie!!! Nigdy nie wiem, czy powinnam kończyć zdanie za niego, czy zostawić biedaka nad przepaścią!”. (Podszuchiwanie jest całkiem fajne, bo można się dowiedzieć, co kto naprawdę myśli, ale potem człowiek czuje się podle dokładnie z tej samej przyczyny). Któregoś dnia po wyjeździe cioci Alice do Richmond mama kazała mi usiąść i powiedziała, że może znów by mi się przydały wizyty u pani de Roo. Ja na to, że w porządku, bo w sumie już dawno chciałem, tylko wstyd mi było poprosić, no i też dlatego, że kiedy się wspomina moje jąkanie, nabiera ono większej wagi.

Gabinet pani de Roo jest przesiąknięty zapachem kawy neski. Bez przerwy pije złotą neskę.

Są tam dwie kanapy w mysim kolorze, jeden żółty dywanik, przycisk do papieru w kształcie smoczego jaja, zabawkowy wielopiętrowy parking Fisher-Price i gigantyczna maska z Afryki, zuluska. Pani de Roo urodziła się w Afryce Południowej, ale pewnego dnia rząd nakazał jej opuścić kraj w ciągu doby, bo inaczej zostanie wtrącona do więzienia. Nie żeby coś przeszkobała, a dlatego, że w Afryce Południowej robią tak, gdy ktoś się nie zgadza na trzymanie kolorowych w chatkach z błota i słomy w wielkich rezerwatach, gdzie w ogóle nie ma szkół, pracy ani szpitali. Julia mówi, że policja w Afryce Południowej nieraz nawet nie posyła przestępcy do więzienia, tylko go strąca z wieżowca, mówiąc, że próbował ucieczki. Pani de Roo z mężem (hinduskim neurochirurgiem) zbiegli do Rodezji jeepem, ale musieli zostawić cały dobytek. Wszystko zabrał rząd. (Czytałem

wywiad z nią w „Gońcu Malvern” i stąd wiem to wszystko). Kiedy w Afryce Południowej panuje lato, my mamy zimą, więc luty tam jest śliczny i upalny. Pani de Roo do tej pory mówi z tym takim śmiesznym akcentem; „i” zamiast „e”, w ten deseń.

— No, Jasonie – zaczęła dzisiaj. – Co słychać?

Prawie każdemu, gdy tak zwraca się do dziecka, wystarcza: „Dzięki, w porządku”, ale panią de Roo naprawdę to interesuje. Więc jej się zwierzyłem, że nazajutrz czeka mnie zebranie klasowe. Gadanie o jąkaniu peszy mnie prawie tak jak samo jąkanie, ale przy pani de Roo nie ma się czym przejmować. Kat wie, że z nią nie wygra, więc się zachowuje, jakby w ogóle nie istniał. I dobrze, bo dzięki temu widać, że potrafię mówić jak normalny człowiek – ale też źle, bo jakim cudem pani de Roo zdoła pokonać Kata, skoro go do tej pory nie widziała?

Pani de Roo zapytała, czy już prosiłem pana Kempseya, aby mnie zwolnił na kilka tygodni. Odparłem, że tak, a on wtedy do mnie: „Każdy kiedyś musi zmierzyć się ze swymi demonami, i dla ciebie, Taylor, to najwyższa pora”. Na zebraniach klasowych uczniowie czytają według alfabetu. Dotarliśmy do litery „t”, czyli do mojego nazwiska, no i dla pana Kempseya rzecz nie podlega kwestii.

Pani de Roo westchnęła na znak, że rozumie.

Na chwilę oboje zamilkliśmy.

— A robisz jakieś postępy, jak chodzi o pamiętnik?

Pamiętnik to nowy pomysł taty. Któregoś dnia tato zadzwonił do pani de Roo, że wzięwszy pod uwagę moją „wykazywaną co roku skłonność do nawrotów”, przydałaby mi się jakaś dodatkowa „praca domowa”. Więc pani de Roo poradziła, bym zaczął pisać dziennik. Choć ze dwa, trzy zdania, zaznaczając, kiedy, gdzie i na jakim słowie się jąkam – oraz jak się z tym czuję. Tak oto wygląda Tydzień Pierwszy:

DATA	MIEJSCE	SŁOWO	JAK SIĘ CZUJĘ
12 lutego 1982	jadalnia	normal- nie	Żle
13 lutego 1982	sala gim- nastyczna	Simon le bon	głupio
14 lutego 1982	szkolny autobus	plywanie	Żle i głupio
15 lutego 1982	przez telefon	Notting- -ham	okropnie
16 lutego 1982	sklep pana Rhyelisa	dziennik	okropnie i Żle
17 lutego 1982	lekcja francuskie- go	Sur le Pont d' - Avignon	Żle

— To raczej taka tabelka – stwierdziła pani de Roo – a nie typowy dziennik, co? (Po prawdzie, spisałem to zeszłego wieczoru. Nie jakieś kłamstwa, tylko zmyślane prawdy. Gdybym miał pisać za każdym razem, kiedy muszę uchylać się przed Katem, dziennik byłby gruby jak książka adresowa). Nader pouczające. Bardzo też staranne te linijki.

Spytałem, czy na drugi tydzień mam pisać dalej. Pani de Roo odparła, że może nie powinienem zawieść ojca, więc chyba jednak warto, abym pisał.

Następnie wyjęła swojego Metro Gnoma. Metro Gnomy to takie wahadła do góry nogami, tylko że bez elementu zegarowego. Wystukują rytmy. Są niewielkie i być może dlatego nazywają się gnomami. Zwykle korzystają z nich studenci szkół muzycznych, ale logopedzi też. Czyta się głośno i do rytmu, który wybija taki gnom, mniej więcej w ten deseń: gdy-by-kóz-ka-nie-ska-ka-ła-to-by-nóż-ki-nie-zła-ma-ła. Dziś czytamy przeróżne wyrazy na literę „n”, ze słownika, po kolei. Metro Gnom znacznie

ułatwia mówienie; mówi się, jakby się śpiewało, no ale trudno, żebym coś takiego nosił przy sobie stale, prawda? Chłopaki, jak Ross Wilcox, zaraz by się czepiali: „A cóż to niby, Taylor?”, i w ćwierć sekundy urwaliby wahadło z komentarzem: „Ale partacka robota!”.

Po czytaniu z Metro Gnomem wziąłem się za książkę *Z jak Zachariasz*, którą pani de Roo przechowuje z myślą o mnie. *Z jak Zachariasz* jest o dziewczynce imieniem Anne, która mieszka w dolinie wyposażonej we własny świśnięty układ pogodowy, chroniący dolinę po zatruciu reszty kraju i wyginięciu wszystkich mieszkańców w wyniku wojny jądrowej. I Anne wie tylko, że na Wyspach Brytyjskich ona jedna została przy życiu. Książka jest niesamowita, chociaż trochę ponura. Może pani de Roo poradziła mi tę lekturę, abym – mimo jąkania – poczuł, że mam więcej szczęścia niż ta Anne. Utknąłem na kilku słowach, ale nie patrząc, pewno byście się nie połapali. A pani de Roo, jak zwykle, powiedziała, że na głos daję radę czytać bez jąkania. Istnieją jednak takie sprawy, których nie zrozumie żaden logopeda. Od czasu do czasu zdarza się, że Kat – choćby był w złym humorze – pozwala mi powiedzieć, co tylko zechcę, nawet wyrazy zaczynające się na wyjątkowo groźne litery. Dzięki temu: a) czasem mam nadzieję, że się wyleczyłem, co później Kat kompromituje z całą radością – i b) mogę chłopakom wciskać kit, że jestem normalny, w strachu, że moja tajemnica w końcu i tak wyjdzie na jaw.

Ale to nie wszystko. Kiedyś spisałem sobie Cztery Przykazania Kata.

Przykazanie pierwsze: —

będziesz krył się,
przed logopedami

Przykazanie drugie: —

Masz dusić Taylora,
gdy wnerwia się jękiem

Przykazanie trzecie: —

Masz wciągać Taylora
w zasadzkę, gdy nie
wnerwia się jękiem

Przykazanie czwarte: —

Gdy Taylor „zacina się”
przy ludziach, los jego spoczywa
w twoich rękach

Kiedy skończyliśmy, pani de Roo zapytała, czy czuję się choć trochę pewniej przed spotkaniem klasowym. Chciała, żebym odpowiedział: „Jasne!”, ale pod warunkiem, że naprawdę. Odrzekłem:

— Szczerze mówiąc, nie za bardzo.

I spytałem, czy jękanie jest jak pryszczek, z których się wyrasta, albo czy jąkały to może coś takiego jak zabawki, których porządnie nie dokręcono w fabryce i już na całe życie zostają popsute. (Dorosłych, którzy się jękają, spotyka się tak samo. W BBC, na jedyńce, w niedzielne wieczory jest komedia pod tytułem *Czynne całą dobę*, gdzie Ronnie Barker gra sklepikarza, który się zacina tak strasznie i tak śmiesznie, że publiczność w studio normalnie leje po nogach. Sama świadomość, że to pokazują, sprawia, że się kurczę jak kawał plastyku w ogniu).

— Właśnie – rzekła pani de Roo. – Oto jest pytanie. Ja bym powiedziała: to zależy. Logopedia to nauka niedoskonała w takim samym stopniu, jak złożonym zjawiskiem jest ludzka mowa. Za tworzenie dźwięków odpowiadają siedemdziesiąt dwa

mięśnie. Liczba połączeń nerwów, z których w obecnej chwili korzysta mój mózg, abym do ciebie mogła powiedzieć to właśnie zdanie, wynosi dziesiątki milionów. Trudno zatem się dziwić, że jeden z naukowców określił procent osób cierpiących na takie czy inne zaburzenia mowy jako dwanaście. Nie licz na cudowne uzdrowienie. W znakomitej większości przypadków postęp nie rodzi się z próby zwalczania wady wymowy. Spróbuj ją wykorzenić, a mocniej zapuści korzenie, rozumiesz? Tymczasem – choć może uznasz, że to bez sensu – warto wsłuchiwać się we własne niedostatki, oswajać je w sobie i szanować, zamiast uciekać przed nimi. Wprawdzie wada nieraz da ci się we znaki, ale znając jej źródło, poradzisz sobie z jej okiełznaniem. W Durbanie poznałam świetnego człowieka, który kiedyś zmagał się z chorobą alkoholową. Gdy raz go zapytałam, jak wyleczył się z uzależnienia, odparł, że wcale się nie leczył! Ja na to: „Co ty opowiadasz?! Od trzech lat nie miałeś w ustach kropli alkoholu!”. Odparł, że stał się po prostu alkoholikiem niepijącym. I to mi przyświeca w życiu: chciałabym pomagać ludziom, aby z jąkających się jąkał zmienili się w jąkały, które się nie jąkają.

Pani de Roo wie, co mówi, i wszystko to mi się zgadza.

Ale do jutrzejszego ranka ma się to jak pięść do nosa.

Na kolację był placek stekowo-cynaderkowy. Kawałki steku są okay, ale od nerek później zawsze chce mi się rzygać. Staram się więc łykać naraz. Chowanie farszu do kieszeni stało się zbyt ryzykowne, odkąd mnie ostatnio zakapowała Julia. Tato akurat opowiadał mamie o nowym sprzedawcy na praktyce, nazwiskiem Danny Lawlor, w nowo otwartym megasamie Greenland w Reading:

— Irlandczyk jak się patrzy, ledwo skończył jakiś tam kurs dla menedżerów, a, słowo daję, chłopak ma gadane! Akurat pouczałem personel, chciałem ich natchnąć prawdziwym poczuciem dyscypliny, gdy wstąpił Craig Salt i, wyobraź sobie, nie minęło pięć minut, a jadł Danny'emu z ręki! Młodziak, a już teraz widać, że mu pisane poważne kierownicze stanowisko. Jak

w przyszłym roku Craig Salt da mi krajowe transakcje, zaklepię Danny'ego Lawlora i guzik mnie obchodzi, kto na tym może stracić.

— Irlandczycy od zarania żyją własnym sprytem – podsumowała mama.

Tato przypomniał sobie, że to Dzień Logopedii, dopiero kiedy usłyszał od mamy, że wypisała Lorenzowi Hussingtree'owi „pokaźny” czek. I dopiero wtedy się spytał, co pani de Roo sądzi o jego pomysły z pamiętnikiem. Na wieść, że mój dziennik jest „puczający”, jego świetny nastrój jeszcze się polepszył:

— Puczający? Powiedzmy sobie: niezbędny! Reguły zarządzania sprawdzają się bez wyjątku! Jak powiedziałem Danny'emu Lawlorowi: bez danych nie ma mowy o sprawnym operatorze. Bez danych jesteś jak przedzierający się bez radaru przez lody Atlantyku „Titanic”: zderzenie, katastrofa i cześć pieśni.

— Czy radar nie został wynaleziony podczas drugiej wojny światowej? – spytała Julia, atakując widelcem bryłkę steku. – I czy przypadkiem „Titanic” nie zatonął przed pierwszą?

— Zasada, droga córeczko, to wartość ponadczasowa. Bez dokumentacji wszelkie prognozy są absolutnie niemożliwe. Dotyczy to detalistów, szkoleniowców, wojska, słowem: każdej sfery kierowania. Pewnego pięknego dnia swej świetlanej kariery w Old Bailey z bólem zdasz sobie z tego sprawę i pomyślisz: „Warto było słuchać rodziciela. Bo miał wiele racji”.

Julia parsknęła jak kobyła, co zawsze jej uchodzi, bo jest Julią. Ja nigdy nie mogę powiedzieć tacie, co naprawdę myślę. We mnie to wszystko musi gnić jak spleśniałe kartofle w worku. Jąkała nigdy nie wygra, bo jak raz się zająknie, t-t-t-o w-w-w-i-a-d-o-m-o: m-m-m-m-o-ż-e i-i-ś-ć ś-ś-ś-s-i-ę w-w-w-w-y-p-ch-a-ć! Kiedy się jąkam przy tacie, robi taką minę, jak wtedy, gdy mu przysłali zestaw do majsterkowania Black and Decker – i okazało się, że brakuje zestawu najważniejszych śrubek. Kat po prostu uwielbia tę minę.

Gdy pozmywałem naczynia z Julią, rodzice zasiedli przed

telewizorem, aby obejrzeć nowy quiz prowadzony przez Terry'ego Wogana, pod tytułem „Blankety Blank”. Zawodnicy mieli zgadywać brakujące w zdaniu słowo i kiedy im się udało zgadnąć to samo, co komisji złożonej ze sławnych osób – wygrywali główniane nagrody typu stojak na kubki wraz z kubkami.

Potem poszedłem na górę, do siebie, i wziąłem się za pracę domową na temat feudalizmu, którą nam zadała pani Coscombe. Ale, nie wiedzieć kiedy, wessał mnie wiersz o łyżwiarzu na jeziorze skutym lodem. Łyżwiarz tak strasznie chce się dowiedzieć, jak to jest być martwym, że wyobraża sobie, jak rozmawia z chłopakiem topielcem. Napisałem poemat na maszynie Silver Reed Elan 20. Nie ma cyfry „1” i trzeba używać litery „l” – coś kapitalnego!

Gdyby u nas kiedyś wybuchł pożar, to od kiedy zepsuła się omega po dziadku, najpierw chciałbym ocalić właśnie swoją maszynę. Omega – najgorszy z sennych koszmarów w domu zamkniętym na amen.

No, ale dobra. Radio z budzikiem nagle pokazało kwadrans po dwudziestej pierwszej. Zostało mi już ledwie dwanaście godzin. Deszcz bębnił o parapet. Rytm Metro Gnomów pośród kropli, wiersze i oddech – nie tylko cykanie zegarów...

Ponad głową przelazła mi Julia i zeszła na dół. Otworzy drzwi do salonu, zapytała, czy może zadzwonić do Kate Alfrick w sprawie jakiegoś zadania z ekonomii. Tato się zgodził. Telefon stoi w sieni, żeby korzystanie z niego było utrudnione, więc jak przez półpiętro zakradną się na stanowisko inwigilacyjne, prawie wszystko do mnie dociera.

— Tak, tak, dostałam walentynkową kartkę; jest urocza, dzięki, ale posłuchaj, chyba wiesz, czemu dzwonię! Zdałeś?

Cisza.

— No, mów, Ewan! Zdałeś?

Cisza.

(Jaki Ewan?)

— Świetnie! Cudnie! Wspaniale! Bobym cię rzuciła, jakbyś

oblał. Nie mogę mieć chłopaka, który nie prowadzi auta.

(„Chłopaka”? „Rzuciła”?)

Stłumiony śmiech i cisza.

— Nie! No, nie opowiadaj!

Cisza.

Julia wydała kilka jęków, jak zwykle, kiedy jest megazazdrosna.

— Rany, dlaczego to ja nie mam obrzydliwie bogatego wujka, który by mi kupował sportowe samochody? Nie dałbyś mi którego? Naprawdę... po co ci aż tyle...?

Cisza.

— Jasne. Może w sobotę? Aha, znów zapomniałam, że całe rano masz zajęcia...

Zajęcia w sobotę rano? Ten Ewan chodzi pewnie do szkoły katedralnej w Worcester. Czyli: wyższe sfery.

— ...więc w kawiarni Russella i Dorrella. O wpół do drugiej. Kate mnie podwiezie.

Przebiegły śmiech Julii.

— Nie, na pewno go nie wezmę. W soboty Stwór łązi po drzewach albo się kryje w różnych dziurach.

Sień wypełniła melodyjka „Wiadomości wieczornych”, bo ktoś otworzył drzwi salonu. Julia zaczęła gadać niby z Kate.

— Tak, Kate, to już mam, ale dalej nie rozumiem pytania dziewiątego. Może lepiej sprawdzę twoje odpowiedzi przed samym sprawdzianem. Okay... okay. Dzięki. To na razie. Dobranoc.

— Załatwiłaś? – z kuchni dobiegł głos taty.

— Prawie – odparła Julia, zasuwając zamek piórnika.

Julia umie kłamać przegenialnie. Wybiera się na prawo i już dostała odpowiedź od kilku uczelni. (Prawo-wszawo, prawo-wszawo. Dopiero teraz tak mi się to skojarzyło). Na myśl, że jakiś chłopak liże się z moją siostrą, zbiera mi się na pawia, choć ona podoba się niejednemu szóstoklasiście. Idę o zakład, że Ewan to jeden z tych superpewnych siebie chłopaków, którzy zlewają się blue stratos, noszą dzwony i strzygą się na Nicka Heywarda

z Haircut 100. Założę się, że Ewan mówi długimi bezbłędnymi zdaniami, jak mój kuzyn Hugo. Taka jakby mowa-defilada, bo porządne wysławianie się brzmi identycznie jak wydawanie rozkazów.

Bóg raczy wiedzieć, do jakiej to roboty będę zdolny ja. Na prawnika się nie nadaję, wiadomo. W sądzie nie można się jąkać. W klasie też nie można. Uczniowie by mnie ukrzyżowali. Nie ma zbyt wielu zawodów, w których nie musi się posługiwać mową. Nie mogę zostać etatowym poetą, bo, jak raz powiedziała pani Lippets, nikt nie kupuje poezji. Mógłbym być zakonnikiem, ale kościół jest jeszcze nudniejszy niż wpatrywanie się w planszę kontrolną tiwi. Kiedy byliśmy mali, mama posyłała nas do szkółki niedzielnej do Świętego Gabriela, ale co niedzielę można było się wykończyć z nudów. Po paru miesiącach nawet mama się znudziła. Usidlenie w klasztorze to zgon. A jakbym tak został stróżem latarni morskiej? W kółko tylko sztormy i zachody słońca, i żeby już się zupełnie pograć w samotności – kanapki z Dairylea. A przecież muszę zacząć się oswajać z samotnością. Która dziewczyna chciałaby się umówić z jąkałą? Albo choć zatańczyć? Zanim bym zdążył wykrztusić: „Z-z-z-z-z-a-t-t-t-t-t-a-ń-ń-ń-ń-ń-cz-cz-cz-cz-cz-y-sz?”, skończyłaby się ostatnia piosenka na dyskotecy w Black Swan Green. A gdybym zaczął się jąkać na własnym ślubie i nie dał rady nawet odpowiedzieć: „Tak”?

— Podśluchiwałeś?

W drzwiach do mojego pokoju stanęła Julia.

— Co?

— Chyba słyszysz. Pytam, czy przed chwilą podśluchiwałeś, o czym mówię przez telefon.

— Jaki telefon? – odparłem zbyt prędko i zbyt niewinnie.

— Moim skromnym zdaniem – od spojrzenia siostry twarz mi zapłonęła – każdemu się należy odrobina intymności. Gdybyś tylko miał do kogo dzwonić, Jason, ja bym cię na pewno nie podśluchiwała. Ludzie, którzy podśluchują, to pospolite glisty.

— Nie podśluchiwałem! – zabrzmiało to potwornie jękliwie.

— Aha, to jakim cudem przed trzema minutami miałeś drzwi zamknięte, a teraz, proszę bardzo: otwarte na oścież?

— Nie... – (Kat przechwycił „wiem”, więc spazmatycznie musiałem przerwać tę wypowiedź). – A co ci do tego? Zrobiło się tu gorąco. (Kat przepuścił „gorąco” bez szemrania). Wyszedłem do klopa. Przeciąg je otworzył.

— Przeciąg? Jasne, półpiętrem targa wichura. Tak że ledwo stoję.

— Wcale cię nie podsłuchiwałem!

Z milczenia Julii jasno wynikało, że nie da sobie wcisnąć kitu.

— A kto ci pozwolił pożyczać *Abbey Road*?

Płyta siostry stała obok mojego dupianego gramofonu.

— Prawie w ogóle jej nie słuchasz.

— Ale to jeszcze nie znaczy, że możesz ją sobie przywłaszczyć. Sam nigdy nie nosisz tego zegarka po dziadku. Czy, wobec tego, miałby on stanowić moją własność? – wchodząc do pokoju, żeby zabrać *Abbey Road*, Julia wlaźła na moją firmową torbę Adidasa. Zerknęła na maszynę do pisania; ze wstydu mało nie padłem. – Czyli: zgadzasz się ze mną, że każdy potrzebuje chociaż trochę prywatności – wysyczała jak dobrze wychowana jaszczurka. – A jak na tej płycie znajdę jedną rysę, zginiesz!

Z góry nie dobiegała *Abbey Road*, tylko singel *The Man with the Child in His Eyes* Kate Bush. Julia puszcza to w kółko, kiedy coś ją bardzo wzruszy albo kiedy ma okres. Ona to ma życie! Skończyła osiemnaście lat, za kilka miesięcy wyjeżdża z Black Swan Green, ma chłopaka ze sportowym samochodem, kieszonkowego dostaje dwa razy tyle co ja i na dodatek słowami umie sobie załatwić, co dusza zapagnie.

Samymi słowami.

Właśnie włączyła *Songbird* Fleetwood Mac.

W środy tato wstaje przed świtem, bo musi jeździć do Oksfordu na cotygodniowe zebrania w firmie Greenland HQ. Garaż jest pod moim pokojem, więc zawsze słyszę warkot zapalnego silnika. Kiedy pada, jak tego ranka, koła rovera 3500 taty szurają o kałużysty podjazd, a w uniesione drzwi garażu

grzmoci deszcz. Radio z budzikiem neonowozielono wyświetliło szóstą trzydzieści pięć; zostało mi jeszcze tylko sto pięćdziesiąt minut życia. Już teraz widziałem rzędy i kolumny twarzy w mojej klasie: tłum Najeźdźców z Kosmosu. Oblicza rozbawione, zdumione, przerażone i pełne współczucia. Kto właściwie ustala, które wady są śmieszne, a które tragiczne? Nikt przecież nie drwi ze ślepoty i nie stroi żartów z żelaznego płuca.

Gdyby boskim zrządzeniem minuta trwała pół roku – przed samym śniadaniem byłbym w średnim wieku, a zmarłym, wsiadając do szkolnego autobusu. Mógłbym spać w nieskończoność. Próbowałem odsunąć w czasie wiadomą sytuację, leżąc na wznak i wyobrażając sobie, że sufit to nie znana kartografom powierzchnia planety klasy G na orbicie Alfy Centauri. Bezludna, więc mógłbym milczeć.

— Wstawaj, Jason! – wrzasnęła z dołu mama.

Akurat śniło mi się, jak po przebudzeniu w błękitnym niby gaz lesie znajduję omegę dziadka, całą, bez draśnięcia, wśród płomiennych krokusów. Po chwili – tupot i myśl, że to pewno jakiś duch wraca na cmentarz Świętego Gabriela.

— Jason! – znów wrzasnęła mama, a budzik wskazał godzinę siódmą czterdzieści jeden.

— Dobra! – odmamrotałem, nakazując nogom, by się wywlokły z łóżka i pociągnęły za sobą resztę.

Pech chciał, że w lustrze w łazience nie dostrzegłem oznak trądu. Miałem zamiar przycisnąć sobie do czoła gorący ręcznik, wytrzeć je, a następnie iść do mamy ze skargą, że mam gorączkę, ale, niestety, ona nie jest aż taka łatwowierna. Czerwone gatki, które noszę na szczęście, były w praniu, więc musiałem założyć bananowożółte. Dziś nie ma wuefu, więc to bez znaczenia. Na dole mama oglądała nową Telewizję Śniadaniową na jedynce, a Julia wkrawała banana do jogurtu.

— Dzień dobry – powiedziałem. – Co to za pismo?

Julia podniosła w górę okładkę „Face”.

— Tknij tylko, a uduszę.

„To ja powinienem był przyjść pierwszy na świat” – syknął

Nienarodzony Bliźniak – „a nie ty, ty krowo”.

— Czy ta mina może coś przypadkiem znaczyć? – Julia nie zapomniała wczorajszego wieczoru. – Wyglądasz, jakbyś się polał.

Nie mogłem się zrewanżować pytaniem, czy Ewana też by udusiła, gdyby tknęła jej „Face”, bo stałoby się wiadome, że jestem kłamliwą glistą. Po zjedzeniu płatków Weetabiks, które smakowały jak trociny, włożyłem książki do torby Adidasa, a długopisy Bic do piórnika. Julia zdążyła się wynieść. Do szkoły zawozi ją Kate Alfrick, która już ma prawo jazdy.

Mama opowiadała (przez telefon) cioci Alice o naszej nowej łazience.

— Czekaj chwilę, Alice – zasłoniła słuchawkę. I do mnie: – Masz pieniądze na lunch?

Przytaknąwszy, chciałem jej powiedzieć o spotkaniu klasowym:

— Mamuś, ch...

Kat przyblokował „chciałbym”.

— Pospiesz się, Jason! Nie zdążysz na autobus!

Na dworze było wietrznie i mokro, jakby ktoś wycelował w Black Swan Green maszynę do produkcji deszczu. Wszędzie dookoła mury w wilgotnych smugach, ociekające ptasie karmniki, zmoknięte krasnale, przelewające się stawy i lśniące alpinaria. Z suchego ganku pana Castle przyjrzał mi się siwy kot. Zapragnąłem jakimś cudem zamienić się w kota. Minąłem przejazd na ścieżkę do konnej jazdy. Gdybym był Grantem Burchem albo Rossem Wilcoxem, albo jakimś chłopakiem z osiedla przy Wellington End – mógłbym się tam urwać, pójść, gdzie oczy poniosą. Chciałoby sprawdzić, czy prowadzi do zaginionego tunelu pod Wzgórzami Malvern. Ale tacy jak ja nie mogą i już. Pan Kempsey momentalnie by się zorientował, że w tym makabrycznym dniu nie ma mnie w szkole, i na pierwszej przerwie zadzwoniliby do mamy. Pan Nixon wziąłby sprawę w swoje ręce i tato by musiał wracać ze środowego zebrania. Moim śladem podążyliby urzędnicy od wagarów z psami

policyjnymi. Pojmano by mnie, przesłuchiowano, żywcem obdarto ze skóry, a pan Kempsey i tak kazałby mi czytać fragment z *Prostych modlitw w intencji złożonego świata*.

Wystarczy pomyśleć o następstwach danego czynu i zaraz ma się dosyć.

Przy „Czarnym Łabędziu” dziewczyny stłoczyły się pod parasolkami. Chłopcy nie mogą używać parasoli, bo są pedalskie. (To znaczy, z wyjątkiem Granta Burcha, który zawsze jest suchy, bo pacholek Philip Phelps łązi za nim z parasolem golfowym). W budrysówce prawie nie moknę od góry, ale na rogu drogi głównej w wielką kałużę wjechał vauxhall chevette i ochlapał mi golenie. Całe skarpetki miałem w błocie. Pete Redmarley z Gilbertem Swinyardem oraz Nick Yew z Rossem Wilcoksem i resztą towarzystwa bili się w kałuży, ale gdy tam dotarłem, zaraz podjechał szkolny autobus z oczami jak Noddy. Norman Bates spojrział na nas zza kierownicy jak czujny rzeźnik na chlew pełen świń do uboju. Wsiedliśmy i drzwi zamknęły się z sykiem. Mój casio wskazał ósmą trzydzieści pięć.

W deszczowe dni szkolny autobus cuchnie chłopakami, bekaniem i popielnicą. Przód zajmują dziewczyny, które wsiadają przy Guarlford i Blackmore End i zaraz zaczynają gadać o tym, co było na zadanie. Najwięksi twardziele zawsze siadają w tyle, ale kiedy prowadzi Norman Bates, nawet Pete Redmarley i Gilbert Swinyard starają się zachowywać poprawnie. Norman Bates to stuknięty młot, z którym lepiej nie zadzierać. Kiedy raz Pluton Noak – dla jaj – otworzył wyjście awaryjne, Norman Bates wywlókł go do przodu i dosłownie wyrzucił z autobusu. Wtedy Pluton Noak wydarł się z rowu, że poda go do sądu, cholera jasna, za uszkodzenie ręki!

Norman Bates na to wyjął papierosa z kącika ust, po czym, wychylając się ze swego autobusu, wywalił jęzor jak Maorys i niespiesznie zgasił na nim tłącego się jeszcze papierosa. Aż syknęło. Następnie cisnął petem w chłopaka w rowie.

I jakby nigdy nic siadł za kierownicą i odjechał.

Od tej pory nikt nie waży się tykać drzwi awaryjnych, kiedy

prowadzi Norman Bates.

Na przystanku Drugger's End, na skraju wioski, wsiadł Dean Moran.

— Cześć, Dean – przywitałem się. – Jak chcesz, siadaj ze mną.

Moran był tak uradowany, że przy wszystkich nazwałem go po imieniu, aż uśmiechnął się szeroko i zaraz usadowił koło mnie.

— Rany – powiedział. – Jak dalej będzie tak łało, przed końcem zajęć Severn wystąpi z brzegów w Upton. I w Worcester. I w Tewkesbury.

— Niewątpliwie – zachowywałem się przyjaźnie, mając na względzie i jego, i własną z tego korzyść. Miałbym wielkie szczęście, gdyby w drodze powrotnej dziś po południu z J-j-j-j-jasonem T-t-t-t-taylorem sz-sz-sz-sz-szkolnym j-j-j-j-jakałą zechciał usiąść Niewidzialny Człowiek.

Na zaparowanej szybie graliśmy z Moranem w connect 4. Raz wygrał on, nim zdążyliśmy dojechać do Welland Cross. Moran jest w drugiej „w”, u pani Wyche. Druga „w” to już prawie dno. Ale Moran coś tam jednak w głowie ma. Chodzi po prostu o to, że gdyby dostawał za dobre stopnie, w klasie by go normalnie wykończyli.

Na bagnistym polu stał smętny czarny koń. Ale nie wyglądał tak nędznie, jak miałem wyglądać ja za dwadzieścia jeden minut.

Od waru z grzejnika pod naszym siedzeniem spodnie przykleiły mi się do goleni. Ktoś puścił bąka śmierdzącego jajem. Gilbert Swinyard ryknął:

— Ciapciak zrzucił bombę wodorową!

Ciapciak wyszczerzył się i, jak to on, poczerwieniał, po czym wydmuchał nos w torebkę po chrupkach Monster Munch i chciał ją cisnąć za okno, ale torebka po Monster Munch daleko nie uleci, tak że wylądowała na siedzącym tuż za nami Robinie South.

Nie wiedzieć kiedy autobus zajechał pod szkołę i wszyscy, tłocząc się, wysiedliśmy. W słotne dni na dzwonek nie czeka się na boisku, tylko w holu głównym. Dziś wszędzie śliska posadzka, wilgotne parujące anoraki, besztanie, żeby się nie drzeć,

pierwszaki grające w berka na korytarzu, choć to zabronione, dziewczyny z trzecich klas przechadzające się pod rękę i śpiewające ballady The Pretenders. Zegar koło tunelu do pokoju nauczycielskiego, gdzie za karę każą stać przez całą przerwę na lunch, oznajmił, że mam zaledwie osiem minut życia.

— A, Taylor, doskonale – pan Kempsey uszczypnął mnie w ucho. – Oto i uczeń, którego mi trzeba. Chodź, chodź. Niechże tchnę słowa w twój narząd słuchu.

Wychowawca poprowadził mnie ponurym przejściem wiodącym do pokoju nauczycielskiego. Pokój nauczycielski jest jak Bóg. Nie można go zobaczyć i żyć dalej. Drzwi majaczyły w dali, uchylone, a z wnętrza dobywały się kłęby dymu niczym mgła w Londynie za czasów Kuby Rozpruwacza. My jednak skręciliśmy, wkraczając do schowka na artykuły piśmienne. Schowek na artykuły piśmienne to taka jakby cela, gdzie przetrzymuje się dzieciaki, które porządnie nabroiliły. No, ale czemu ja?!

— Przed pięcioma minutami – oświadczył pan Kempsey – odebrałem telefon. Telefon dotyczący Jasona Taylora. Od życzliwego.

Pan Kempsey potrzebuje trochę czasu, żeby się rozkręcić.

— Ze skierowanym do mnie pozwem o udzielenie ułaskawienia.

Za drzwiami mignął w locie pan Nixon, nasz dyrektor, w oparach furii i tweedu.

— Słucham? – zapytałem.

Pan Kempsey skrzywił się, jaki to ze mnie ciemniak.

— Czy mam rozumieć, że antycypujesz dzisiejsze klasowe zgromadzenie z trwogą, jaką można by określić „deprymującym strachem”?

Wyczułem niewinną sztuczkę magiczną pani de Roo, ale nawet nie śmiałem liczyć, że może mnie ocalić.

— Tak, proszę pana.

— Cóż, Taylor. Zdaje się, że oddana ci specjalistka w dziedzinie logopedii sądzi, iż odłożenie dzisiejszej przeprawy

mogłoby na dłuższą metę przysłużyć się do umocnienia w tobie poczucia pewności względem Nauki Retoryki i Publicznej Przemowy. Czy popierasz ten wniosek, Taylor?

Wiedziałem, co należy na to odpowiedzieć, ale pan Kempsey spodziewał się, że nic nie zrozumie.

— Proszę?

— Chcesz czy może nie chcesz zostać zwolniony z dzisiejszego czytania?

— Oj, bardzo tego pragnę, proszę pana.

Pan Kempsey wykrzywił usta. Według powszechnej opinii, pozbycie się jąkania powinno polegać na skakaniu na głęboką wodę i tym podobnych chrztach bojowych. Ludzie oglądają w tiwi jąkałów, których pewnego cudownego dnia zmusza się do występu przed tysiącem osób i nagle – niewiarygodnie! – z ust delikwenta płyną nieskalane zdania! „Proszę – wszyscy się uśmiechają – zawsze miał potencjał, tylko trzeba mu było delikatnie wskazać drogę! I oto uleczony”. Piramidalna bzdura. Jeśli coś takiego w ogóle się zdarza, to wyłącznie dlatego, że Kat nagle przestrzega Pierwszego Przykazania. Radziłbym posłuchać „uleczonego” jąkały po tygodniu. Wtedy się okaże. Bo prawda jest taka, że skok w głębinę zawsze kończy się utonięciem. Chrzt ogniowy powoduje oparzenia trzeciego stopnia.

— Nie możesz przez całe życie uciekać przed perspektywą publicznej przemowy, Taylor.

Robał na to:

„Zakład?”

— Wiem, proszę pana. Dlatego właśnie bardzo staram się to przezwyciężyć. Przy pomocy pani de Roo.

Pan Kempsey nie poddał się od razu, ale wyczuł, że jestem wolny od podejrzeń.

— Doskonale, Taylor. Sądziłem jednak, że jesteś choć trochę odważniejszy. A wobec powyższego muszę uznać, że byłem w błędzie.

I sobie poszedł.

Gdybym był papieżem, beatyfikowałbym panią de Roo.

Momentalnie.

Pan Kempsey czytał z *Prostych modlitw w intencji złożonego świata* o tym, jak w życiu może padać przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy, ale Bóg obiecał rodzajowi ludzkiemu, że nastanie dzień, gdy na niebie pojawi się tęcza. (Julia mówi, że to absurd, aby w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku nauczać biblijnych przypowieści, jakby one były faktem historycznym). Potem śpiewaliśmy hymn, który idzie tak: „Z Nieba spływają dary wszelkie, więc dziękujmy Panu, dziękujmy Panu, bo nas umiłował”. Myślałem, że na tym się skończy, ale po odczytaniu przez pana Kempseya ogłoszeń i rozporządzeń dyrekcji Gary Drake podniósł rękę.

— Przepraszam pana, ale sądziłem, że dziś miał czytać Jason Taylor. Nie mogę się doczekać na jego wystąpienie. Czy, wobec tego, wystąpi w przyszłym tygodniu?

Cała klasa zwróciła głowę w moją stronę.

Oblały mnie siódme poty. Nie wiedząc, co począć, wgapiłem się w kredowe esy-floresy na tablicy.

Po kilku sekundach, które trwały kilka godzin, pan Kempsey powiedział:

— Twa uduchowiona obrona przyjętego protokołu, Drake, jest godna pochwały i bez wątpienia wynika z altruizmu. Posiadam jednak wiarygodną informację, iż aparat głosowy Taylora znalazł się w stanie niezdatnym do żeglugi. Toteż kolega twój zostaje dziś zwolniony z wystąpienia z przyczyn quasi-medycznych.

— Więc zrobi to za tydzień, tak, proszę pana?

— Ludzkie słabości, Drake, nie mają wpływu na kolejność alfabetyczną. W przyszłym tygodniu zatem czytać będzie Michelle Tirley i nie nam kwestionować ów wyrok.

— Trochę to nie w porządku, racja, proszę pana?

Co ja takiego zrobiłem temu Gary'emu Drake'owi?

— Życie, Drake, z zasady jest nie w porządku. – Pan Kempsey zamknął pianino. – Mimo największych naszych starań. Musimy zatem stawiać czoło wszelkim nowym wyzwaniom. Im prędzej

pojdziesz tę mądrość – tu zmierzył wzrokiem mnie, a nie Gary’ego Drake’a – tym lepiej.

Zajęcia środowe rozpoczynają dwie godziny matmy z panem Inkberrowem. Podwójna matma to najgorsza lekcja w całym tygodniu. Normalnie siedzę na matmie koło Alastaira Nurtona, ale tego ranka Alastair Nurton usiadł z Davidem Ockeridge’em. Jedyne wolne miejsce było obok Carla Norresta, przed samym biurkiem pana Inkberrowa, musiałem więc usiąść tam. Lało tak strasznie, że pola za oknem prawie rozpuściły się w bieli. Pan Inkberrow rozdał zeszyty z zadaniem z ubiegłego tygodnia i rozpoczął lekcję, zadając kilka banalnie prostych pytań, „celem uruchomienia umysłu”.

— Taylor! – zauważył, że staram się uniknąć jego wzroku.

— Słucham?

— ...coby się troszkę skupić, hmm? Jeżeli A to jedenaście, B to dziewięć, a X to wynik mnożenia A przez B, ile wynosi X?

Bułka z masłem: dziewięćdziesiąt dziewięć.

Ale „dziewięćdziesiąt dziewięć” to podwojone „dz”, więc człowiek musi się zająknąć aż dwa razy. Kat zapragnął odwetu za zawieszenie wykonania wyroku. Wraził mi paluchy prosto w gardło i zaczął ścisnąć żyły, którymi do mózgu płynie tlen. Zawsze, kiedy tak robi, próbując wykrztusić z siebie dane słowo, wychodzę na totalnego tłuka.

— Sto jeden, tak, proszę pana?

Rozległ się jęk klasowych inteligentów.

Gary Drake zarechotał hałaśliwie.

— Ten chłopak to geniusz!

Pan Inkberrow zdejmuje okulary, ochuchuje szkła i wyciera je dołem krawata.

— Dziewięć razy jedenaście ma się równać sto jeden, hmm, Taylor? Pozwolę więc sobie zadać ci pytanie pomocnicze. Po co zawracać sobie głowę i wstawać tak wcześnie rano? Może mi powiesz, hmm? Czemuż, ach, czemu, do diaska, zawracać sobie głowę?

Rodzina

— Już są! – ryknąłem, bo w Kingfisher Meadows wjechał dostojnie biały ford granada ghia wujka Briana.

Drzwi pokoju Julii zamknęły się, jakby chciała powiedzieć: „I co z tego?“, ale na dole aż się zakotłowało od zgiełku przygotowań. Już wcześniej zdążyłem znieść do piwnicy swoją mapę środka Ziemi, schować globus i wszelkie inne rzeczy, które Hugo uznałby pewnie za dziecinne, tak że mogłem sobie spokojnie siedzieć w oknie. Wczorajsza wichura – makabryczny atak King Konga na nasz dach – dopiero teraz zaczęła się powoli uspokajać. Naprzeciwno pan Woolmere uprzątał resztki zmiecionego wiatrem ogrodu. Wujek Brian skręcił na nasz podjazd, zatrzymując granadę obok maminego datsuna cherry. Najpierw wysiadła ciocia Alice, siostra mamy. Później z tylnego siedzenia wywlokła się trójka moich kuzynów Lambów. Pierwszy – Alex w tiszercie z napisem: „THE SCORPIONS NA ŻYWO 1981“, i w opasce na głowę firmowanej przez Björna Borga. Alex skończył siedemnaście lat, ale ma pryszczę, jakby chorował na dymienicę, i ciało o trzy rozmiary za duże. Później – najmłodszy, Nigel Strzykwa, zajęty składaniem kostki Rubika w tempie odrzutowym. Jako ostatni wylazł Hugo.

Hugo czuje się w swym ciele idealnie. Jest ode mnie starszy o dwa lata. Pewno każdy chłopak uznałby imię Hugo za dopust boży, ale on je obnosi niby aureolę. (Prócz tego, Lambowie chodzą do prywatnej szkoły w Richmond, gdzie każdy się czepia nie za to, że człowiek jest z wyższej sfery, a za to, że z nie dość wysokiej).

Hugo miał na sobie czarną bluzkę na zamek, bez kaptura i bez logo, lewisy z rozporkiem na guziki, ciżmy i tę taką plecioną opaskę na rękę, którą się zakłada na znak, że już się prawiczką nie jest. Hugo to prawdziwy szczęściarz. Ja, Alex i Nigel do tej pory wymieniamy się naklejkami z Euston Road na Old Kent Road, plus trzysta funtów premii, i modlimy się, żeby zgarnąć pulę Free Parking – Hugo ma już hotele na Mayfair i Park Lane.

— Nareszcie! – mama przebiegła podjazd i uściskała ciocię Alice.

Lekko uchyliłem okno, aby lepiej słyszeć.

Tymczasem tato wrócił ze szklarni, obładowany narzędziami ogrodniczymi.

— Aleście nam przywieźli zawieruchę, Brian!

Wujek Brian wylazł z auta i na widok taty wykonał niby krok wstecz na znak zaskoczenia jego widokiem.

— Proszę: ogrodnik, co się zowie!

Tato machnął rydlem.

— Cholerne wietrzyśko zrównało mi żonkile z ziemią! Lwią część roboty w ogrodzie załatwia „nasz człowiek”, ale że jest zajęty do wtorku, a chińskie przysłowie mówi...

— Broadwas to prawdziwy wsiowy oryginał – wtrąciła się mama. – Wprost nieoceniony. Liczy nam dwa razy mniej, niż powinien, wzięwszy pod uwagę, że musi stale naprawiać to, co zniszczy Michael.

— ...w myśl chińskiego przysłowia, „Mędrzec powiada: aby radować się tydzień, weź sobie żonę, aby radować się miesiąc, ubij świnie, aby radować się całe życie, załóż ogród”. Zabawne, nie?

Wujek Brian udał, że go to niezwykle ubawiło.

— Odkąd Michael usłyszał tę swoją wiekową chińską mądrość w „Pytaniach do ogrodników” – zauważyła mama – nad żonę przedkłada świnie. Chłopak, ależ wy rośnecie! Alice, co ty im sypiesz do płatków? Oj, przydałoby się to mojemu Jasonowi.

Normalnie: cios w nos.

— No, chodźcie już do domu – rzekł tato – bo nam pourywa głowy.

Hugo odebrał sygnał telepatyczny i spojrzał na mnie.

Prawie mu pomachałem.

Barek otwiera się tylko z okazji odwiedzin gości oraz krewnych. Śmierdzi lakierem i sherry. (Raz, kiedy wszyscy gdzieś wybyli, spróbowałem kapkę sherry. Smakuje jak poślodzony domestos). Mama kazała mi przywlec do salonu dodatkowe krzesło z jadalni. Te krzesła ważą parę ton, więc się potwornie uwalilem w goleń, nic jednak po sobie nie pokazując. Nigel władował się na worek grochu, a Alex dostał fotel. Alex zaczął walić w podłokietnik, jakby grał na bębnie. Hugo siadł sobie po turecku na dywanie i oświadczył:

— Bardzo wygodnie, dzięki, ciociu Heleno – w momencie, gdy mama mnie zbeształa, że zabrakło krzeseł.

Julii wciąż nie było. „Zejdę za minutkę!” – wydarła się dwadzieścia godzin temu.

Tato z wujkiem Brianem jak zwykle zaczęli od sprzeczki o trasę z Richmond do Worcestershire. (Obaj w pulowerach do gry w golfa, które podarowali sobie na Gwiazdkę). Zdaniem taty, A40 skróciłaby jazdę A419 o dwadzieścia minut. Wujek Brian się z tym nie zgadzał, stwierdzając, że dziś wieczór zamierza jechać do Bath przez Cirencester i A417 – na co ojciec zrobił przerażoną minę.

— A417? Przez Cotswolds w święto? Brian, czyś ty oszalał?

— Brian z pewnością wie, co robi, Michaelu – powiedziała mama.

— A417? Gehenna! – tato już kartkował swój *Skorowidz miast angielskich*, a wujek Brian posłał mamie spojrzenie pod tytułem: „Dobra, niech się stary cieszy”. (Spojrzenie to mnie wnerwiło). – Istnieje w tym kraju wynalazek powszechnie znany jako „autostrady”, Brian... Zobacz: M5 pojedziesz do piętnastego skrzyżowania... – tato dźgnął mapę. – Widzisz? Potem kieruj się na wschód. Chyba że wolisz utknąć w Bristolu. M4 do osiemnastego skrzyżowania, potem A46 do Bath. Prościej

się nie da.

— Ostatnio, jak nas zaprosili Don z Drucillą – wujek Brian nawet nie spojrzał na *Skorowidz miast angielskich* – pojechałem M4 na północ od Bristolu. I wiesz, co? Staliśmy w korku dwie godziny! Nie tak było, Alice?

— Faktycznie, trwało to dość długo.

— Dwie godziny, Alice.

— No, bo – odparował tato – wstrzymał was ruch z przeciwnej strony, jak wytyczali nowy pas. M4 dziś śmigniecie. Bez obaw. Macie to jak w banku.

— Dziękuję, Michael – odparł miaukliwym tonem wujek Brian. – Ale ja nie przepadam za jazdą autostradami.

— Cóż, Brian – tato hałaśliwie zamknął *Skorowidz miast angielskich* – skoro, jak widać, przepadasz wlec się trzydziestką wśród geriatryków z przyczepami, A417 do Cirencester będzie dla ciebie idealna.

— Pomóż no nam, Jason.

„Pomóż” oznaczało: „przynieś wszystko”. Mama pokazywała cioci Alice swą świeżo odpicowaną kuchnię. Z piekarnika wydobywała się woń mięsa. Gładząc nowe płytki, ciocia Alice rzekła: „znakomite!”, a mama nalała coli do trzech szklanek: dla Aleksa, Nigela i dla mnie. Hugo poprosił o szklankę zimnej wody. Ja przesypałem paluszki z paczki do miski. (Dorośli sądzą, że dzieci ubóstwiają paluszki, które mają smak popalonych zapalek umoczonych w soli). Później ustawiłem to na tacy w okienku, wywindowałem na górę i przeniosłem na ławę. Strasznie to nie w porządku, że musiałem zająć się wszystkim. Gdybym to ja, a nie Julia, do tej pory siedział w swym pokoju, dawno wysłałiby po mnie oddziały specjalne.

— Jak widzę, memsahibowie świetnie cię wyszkolili – stwierdził wujek Brian.

Udałem, że wiem, co znaczy „memsahib”.

— Brian! – tato machnął karafką. – Jeszcze kapkę sherry?

— Czemu nie, do licha, czemu nie!

Alex coś mruknął pod nosem, gdy mu podawałem colę. I wziął

całą garść paluszków.

Nigel dziarsko podziękował i też zabrał się za paluszki.

— Dzięks ci, Jace, za wodę – i – dzięks, na palce nie mam ochoty – rzekł Hugo.

Wujek Brian z tatą porzucili Jazdę Autem, aby przejść do Recesji.

— Nie, Michael – powiedział wujek Brian. – Tym razem wyjątkowo jesteś w błędzie. Regres w gospodarce nie ma większego wpływu na rachunkowość.

— Chcesz powiedzieć, że twoi klienci nie odczuwają braku gotówki?

— Braku gotówki? Kurczę blade, Michael, oni ledwo dyszą! Bankructwa i egzekucje mienia! Od rana do nocy, na okrągło! Dopiero teraz, cholera, mamy huk roboty... Wybacz to słownictwo. Powiem ci, że jestem wdzięczny tej babie z Downing Street za finansową – jak się to dziś mówi? – anoreksję. Niedawno robiliśmy bokami, a teraz? Nareszcie można się obłowić! A że z premiami wspólników wiążą się spore zyski, wierz mi, nie mam powodu do narzekań.

— Bankruci – przypomniał tato – raczej nie odnawiają umów.

— A któż by się tym martwił – wujek Brian łyknął sherry – przy nieskończonych dostawach? O, nie, mój drogi, współczuć w tej sytuacji należy wam, detalistom. Recesja za chwilę wykończy handel detaliczny. Wspomnisz moje słowa.

— Nic podobnego – oznajmił tato, kiwając palcem. – Cechą charakterystyczną nowoczesnego zarządzania jest sukces w latach chudych, a nie w latach tłustych. Co prawda, bezrobocie sięga trzech milionów, ale w tym kwartale Greenland przyjął dziesięciu stażystów zarządzania. Klienci chcą produktów spożywczych wysokiej jakości po cenach hurtowych.

— Spokojnie, Michael – wujek Brian udał, że się poddaje. – Nie jesteś na naradzie handlowej w nadmorskim kurorcie. Ale wydaje mi się, że chowasz głowę w piasek. Już nawet torysi sugerują „zaciśnięcie pasa”... Związki zawodowe ledwie dyszą, co mnie akurat specjalnie nie przeszkadza. Ale British Leyland

robi bokami... Przemysł stoczniowy podupada... Brytyjska metalurgia zjada własny ogon... Nikt nie zamawia statków znad Tyne czy Clyde, tylko, cholera jasna, z jakiejś Korei Południowej... Towarzysz Scargill grozi rewolucją... Trudno wyczuć, czy na dłuższą metę nie uderzy to w mrożone naleśniki i paluszki rybne. Wiesz, niepokoiśmy się z Alice.

— Cóż – tato odchylił się do tyłu – miło mi, że tak was to trapi, ale sektor detaliczny daje sobie radę i Greenland też świetnie się trzyma.

— No, to się ogromnie cieszę, Michael.

(Ja tak samo. Metalbox w Tewkesbury zwolnił tatę Gavina Coleya. Odwołano jego urodziny w Alton Towers, Gavinowi oczy zapadły się o parę milimetrów, a rok później państwo Coleyowie wzięli rozwód. Kelly Moran mi mówiła, że jej tato dalej bierze zasiłek).

Hugo miał na szyi cienki skórzany rzemyk. Zapragnąłem identycznego.

Zawsze kiedy nas odwiedzają Lambowie, na sól i pieprz tajemnym zrządzeniem mówi się: „przyprawy”. Na kolację mama podała jako przystawkę koktajl z krewetek w kieliszkach do wina, kotlety z jagnięcia z kartoflami duchesse i duszonym selerem jako danie główne, a na „deser”, nazwany tak zamiast, jak się u nas zwykle mówi, „słodkiego” – szarlotka na gorąco. Używamy kółek na serwetki z macicy perłowej. (Tato taty przywiózł je z wyprawy do Birmy, jak rozwaloną przeze mnie w styczniu omegę). Przed przystawkami wujek Brian otworzył przywiezione przez siebie wino. Julia z Alekssem dostali po pełnym kieliszku, Hugo i ja – napełnione tylko do połowy, a Nigel – „naparsteczek”.

Ciocia Alice wzniosła swój stały toast:

— Za rody Taylorów i Lambów!

Wujek Brian, jak zwykle, zakrzyknął:

— ZDRÓWKO, KOLEGO!

Tato udał, że go to niezwykle ubawiło.

Trąciliśmy się kieliszkami (wszyscy, z wyjątkiem Aleksa) i pociągnęliśmy łyk.

Zawsze przy takim spotkaniu tato musi unieść szkło do światła i orzec:

— Leciuteńkie! – Dziś też nas nie zawiódł. Mama spiorunowała go wzrokiem, ale on tego nigdy nie zauważył. – Tyle ci powiem, Brian, że na dobrym winku znasz się jak mało kto.

— Wielce sobie cenię twoje zdanie, Michael. Kupiłem skrzynkę: co mam sobie żałować? Pochodzi z winnicy nieopodal uroczego domku, któryśmy w zeszłym roku wynajmowali nad jeziorem.

— Wino? Z Krainy Jezior? Z Cumbrii? Oj, tu się chyba mylisz, Brian.

— Ależ skąd! Nie znad jezior angielskich, Michaelu, tylko włoskich. Z Lombardii – wujek Brian delikatnie zakręcił winem w kieliszku, wciągnął jego aromat i połknął mały łyżeczek. – Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt trzy. Jeżynowo-melonowe z subtelną dębową nutą. Całkiem niezły rocznik.

— Już – zakomenderowała mama – bierzcie się do jedzenia!

Po pierwszej kolejce zachwyków, jakie to wszystko pyszności, ciocia Alice powiedziała:

— Sporo się dzieje w szkole w tym semestrze, prawda, chłopcy? Nigel został kapitanem klubu szachowego.

— Właściwie – poprawił Nigel – to prezesem.

— Niebawem! Nigel jest prezesem klubu szachowego. A Alex wyprawia niesamowite rzeczy ze szkolnym komputerem, prawda, Alex? Ja to nawet nie wiem, jak się nastawia wideo, ale...

— Prawdę powiedziawszy, Alex jest o niebo lepszy od swoich nauczycieli – oznajmił wujek Brian. – Co takiego dokładnie kombinujesz, Alex?

— FORTRAN. BASIC – Alex odpowiedział tak, jakby go to zabolalo. – PASCAL. Kod Z-80.

— Ależ ty musisz być inteligentny – stwierdziła Julia tak wesoło, że się nie połapałem, ironicznie czy na serio.

— Ooch, z całą pewnością – rzekł Hugo. – Mózg Aleksandra Lamba to ostatni bastion brytyjskiej nauki.

Alex spiorunował brata wzrokiem.

— Informatyka ma wspaniałą przyszłość. – Tato nabrał na łyżkę sporą porcję krewetek. – Technika, projektowanie, elektryczne auta... Tego was powinni uczyć w szkole. A nie głupot w rodzaju „wędrowałem samotnie niby obłok”. Dopiero co mówiłem Craigowi Saltowi... to dyrektor główny Greenland, że...

— W pełni podzielam twoje zdanie, Michael – wujek Brian zrobił minę podstępного dyktatora, ogłaszającego plan podboju wszechświata. – I dlatego właśnie za każdy stopień bardzo dobry Alex dostaje świeżutki banknot dwudziestofuntowy, a dziesięć funtów za dobry – żeby mógł sobie kupić IBM-a. (Moja zazdrość nabrzmiała jak bolący ząb. Tato mówi, że płacenie dzieciom za naukę to „błąd wychowawczy”). Nie ma to jak motywacja w formie zysku, prawda?

Tu włączyła się mama:

— No a co tam u ciebie, Hugo?

Wreszcie mogłem spokojnie przyjrzeć się Hugonowi.

— Przeważnie – Hugo upił łyk wody – wygrywam wyścigi kajakowe, ciociu.

— Hugo – wujek Brian beknął – wprost tonie w sukcesach! Na dobrą sprawę już dawno powinien stanąć na czele drużyny wioślarskiej, ale jeden taki... dziany... członek zarządu... żeby go szlag trafił... wybaczcie słownictwo... właściciel połowy Ubezpieczeń Lloyda, zagroził, że jak nie mianują jego Małego Lorda Herberta, zrobi straszny smród. Jakże się ten mały nazywa, Hugo?

— Chodzi ci chyba o Dominika Fitzsimmonsa, tatusiu.

— Dominic Fitzsimmons! Nie do pomyslenia, co?!

Modliłem się, aby jupitery oświeciły teraz Julię. I żeby mama nie wspomniała o nagrodzie w konkursie poetyckim, no, w każdym razie nie przy Hugonie.

— Jason zdobył główną nagrodę w Konkursie Poetyckim Bibliotek Hrabstwa Hereford i Worcester – oznajmiła mama. – Nie mylę się, Jasonie?

— Musiałem to napisać – od wstydu palącego uszy trzeba było

spuścić wzrok na talerz. – W ogóle nie (sprawdziłem sobie wyraz „wiedziałem” parę razy, by stwierdzić, że się na nim wygrzmocę) miałem świadomości, że pani Lippetts chce go zgłosić.

— Nie bądźże taki skromny! – wykrzyknęła ciocia Alice.

— Jason otrzymał w nagrodę świetny słownik – powiedziała mama. – Prawda, Jasonie?

Alex, drań, wycelował sarkazm tak, że nikt z dorosłych się nie zorientował:

— Bardzo bym chciał usłyszeć twój wiersz, Jasonie.

— Nie da rady. Zeszyt zostawiłem w szkole.

— Jaka szkoda!

— Nagrodzone wiersze drukowali w „Gońcu Malvern” – powiedziała mama. – I nawet dali zdjęcie Jasona! Poszukamy po kolacji.

(Już samo wspomnienie było męką. Przyszli do szkoły fotografa, który kazał mi upozować się w bibliotece nad książką, jak jakiemuś pedziowi).

— Poeci – cmoknął wujek Brian – z tego, co słyszałem, łapią paskudne choroby od paryskich panien złego prowadzenia, a potem umierają w wirze kankana nad Sekwaną. To ci dopiero kariera, co, Mike?

— Przepyszne te krewetki – zwróciła się do mamy ciocia Alice.

— Mrożone, z Greenland w Worcester.

— Świeże, Michaelu, świeże. Prosto ze sklepu rybnego.

— Hm, hm, kto by pomyślał, że jeszcze się takie uchowały...

Alex znów podjął kwestię wiadomej nagrody:

— No to chociaż powiedz, o czym jest ten poemat. O wiosennym kwieciu? A może miłosny?

— Nie sądzę, żebyś cokolwiek z niego zrozumiał – powiedziała do Aleksa Julia. – W poezji Jasona próżno by szukać subtelności i dojrzałości spojrzenia The Scorpions.

Hugo parsknął na znak, że Aleksiem nie ma się co przejmować. I żeby mi pokazać, po czyjej jest stronie. Niewiele brakowało, a ucałowałbym Julię.

— Ha, ha, boki zrywać – warknął na Hugona Alex.

— Nie dąsaj się, Alex. Złość piękności szkodzi.

— Chłopcy – upomniała ciocia Alice.

Stół okrążyła elegancka sosjerka. Pomiedzy purée ziemniaczanym a miniaturowymi kawałkami mięsa w cieście stworzyłem Morze Śródziemne sosu. Czubek marchewki stał się Gibraltarem.

— Smacznego! – zachęciła mama.

Ciocia Alice pierwsza ogłosiła, że kotlety są boskie.

— Rozpływajante się w ustone! – orzekł wujek Brian z gównianym włoskim akcentem.

Nigel spojrział na swego ojca z uśmiechem uwielbienia.

— Cały sekret polega na marynacie – powiedziała mama do cioci Alice. – Dam ci później przepis.

— Ależ, Heleno, nie ruszę się stąd, dopóki go nie dostanę!

— Michaelu, jeszcze ciut winka? – wujek Brian wpierw dolał tacie (z drugiej butelki), nim ten zdążył się odezwać, a potem sobie. – Chyba nie masz nic naprzeciw? No, to zdrówko, kolego! Jak widzę, Heleno, twoja pagoda na kółkach wciąż jeszcze nie przeniosła się na wielkie niebiańskie śmietniska Orientu?

Mama przybrała wyraz uprzejmego zdumienia.

— No, twój datsun, Heleno! Gdybyś nie była tak znakomitą kucharką, nie sposób byłoby ci wybaczyć naruszenia Kardynalnej Zasady Automobilistów. Nie ufaj Japońcowi ani żadnej rzeczy, która jego jest. Choć raz coś się udało Niemcom. Widzieliście nowe reklamy volkswagena? Chłopaczek, taki mikrus, lata i szuka swojego nowego golfa, aż nagle golf spada z sufitu i go przygniata! Polałem się, jak to zobaczyłem pierwszy raz, nie, Alice?

— A ten aparat, wujku – Julia otarła usta serwetką – to chyba nikon, prawda?

— Japoński sprzęt hi-fi też nie jest najgorszy – rzekł Hugo.

— Tak samo ich układy scalone – dodał Nigel.

Więc powiedziałem:

— Produkują też fantastyczne motory.

Wujek Brian sceptycznie wzruszył ramionami.

— O to mi chodzi, chłopcy i dziewczęta! Japońcy, komu się da, podbierają technologie, zmniejszają na własną miarę, a potem odsprzedają reszcie świata. Racja, Mike? Mike? Choć w tym przyznaj mi rację! Czegóż się spodziewać po jedynym mocarstwie osi, które nigdy nie przeprosiło za wojnę! Uszło im płazem. Na sucho!

— Dwieście tysięcy cywilów zginęło od bomb atomowych – oznajmiła Julia – i jeszcze dwa miliony spłonęło żywcem. Że tak całkiem „na sucho”, to bym nie powiedziała.

— Ale rzecz w tym, że (wujek Brian słyszy tylko to, co chce) Japońcy toczą wojnę do tej pory. Mają w rękach Wall Street. Za chwilę wezmą się za Londyn. Po drodze z Barbicanu do mojego biura... trzeba by dwudziestu chłopą, żeby zliczyć sobowtórów Fu Manchu, którzy się tam kręcą. Słuchaj, słuchaj, Heleno! Moja sekretarka kupiła sobie tę taką... jakże się nazywa do cholery jasnej... no, tę riksę z silnikiem... już wiem: hondę civic. Hondę civic w kolorze łajna. Wyprowadziła ją z salonu, a na pierwszym rondzie – nie żartuję – odpadła rura wydechowa! To teraz widzisz, czemu są tacy konkurencyjni. Produkują buble. Racja? Z tego wszystkiego to się można nabawić grzybicy, nie, Mike?

— Bądź tak miła i podaj mi przyprawy – poprosił tato Julię.

Zerknęliśmy na siebie z Hugonem i przez sekundę byliśmy sami w pokoju figur woskowych.

— Mój datsun – mama zaproponowała odrobinę duszonego selera cioci Alice, która wykonała gest pod tytułem „Nie, dziękuję” – na przeglądzie technicznym, tydzień temu, spisał się idealnie.

— Tylko mi nie mów – prychnął wujek Brian – że dałaś pagodę na kółkach do przeglądu tam, gdzieś ją kupowała...

— A czemu nie?

— Ach, Heleno – wujek Brian pokręcił głową.

— Nie bardzo cię rozumiem.

— Heleno, Heleno, Heleno.

Hugo poprosił o „skraweczek” szarlotki na gorąco, więc mama

ukroiła mu wielki kawał, jak dla taty.

— Na litość boską, chłopcze, przecież ty rośniesz! (Zapamiętałem sobie tę taktykę, by z niej skorzystać w razie czego). – No, jedzcie, bo się lody stopią.

Po pierwszej łyżeczce ciocia Alice powiedziała:

— Nieziemska!

— Pyszności, Heleno – rzekł tata.

— Mike – zwrócił się do taty wujek Brian – pijmy, bo nam zmarnieje te pół butli! – Nalał „z czubkiem” tacie oraz sobie i wzniosł kieliszek, zwracając się ku mojej siostrze: – To zdrowko, koleżanko! Choć nie za bardzo rozumiem, czemu tak uzdolnionej młodej panny nie ciągnie Oksford albo Cambridge. W szkole prywatnej w Richmond, nie żartuję, od rana do nocy mówi się wyłącznie o tych znamienitych uczelniach. Prawda, Alex?

Aby przytaknąć ojcu, Alex uniósł głowę o ćwierć milimetra.

— Od rana do nocy – ze śmiertelną powagą potwierdził Hugo.

— Znajomy pana Williamsa, naszego doradcy w kwestii wyboru zawodu – Julia w ostatniej chwili oblizała łyżeczkę, żeby nie poplamzić obrusa – pracuje w najlepszej londyńskiej kancelarii i, jego zdaniem, jeżeli chcę robić specjalizację z prawa ochrony środowiska, to studia w Edynburgu albo w Durham byłyby naj...

— To ja bardzo przepraszam – wujek Brian zamachnął się jak dzudoka. – Przepraszam, przepraszam, przepraszam, ale pana Williamsa... bez wątpienia kryptowalijczyka... pana Williamsa powinno się unurzać w smole, obsypać pierzem, przywiązać do grzbietu muła i wysłać z powrotem do Haverfordwest! Na uniwersytecie nie chodzi o naukę – wujek Brian zrobił się aż szkarłatny – ale o nawiązywanie kontaktów! A z przyszłymi elitami można się zapoznać wyłącznie w Cambridge i w Oksfordzie! Wierz mi, że gdybym dziesięć lat temu nosił krawat odpowiedniej uczelni, już wtedy znalazłbym współników! Mike... Heleno! Macie zamiar stać beczynnymi, kiedy wasza pierworodna chce trwonić talent na uczelni w jakiejś dziurze?!

Julia spochmurniała z irytacji.

(W takich chwilach zazwyczaj salwuję się ucieczką).

— Edynburg i Durham to renomowane szkoły...

— Zapewne, zapewne, powinnaś jednak się zastanowić – wujek Brian już prawie piszczął – czy aby są najlepsze na rynku! A odpowiedź brzmi: „sranie w banię”! Niech mnie kule biją: na tym, właśnie na tym polega problem państwowych szkół średnich. Dla przeciętniaczka są wymarzone, ale czy promują uczniów najzdolniejszych?! Sranie w banię! Przecież ich związkowcy uważają, że „zdolny” to nieprzyzwoite słowo!

Ciocia objęła męża ramieniem.

— Brianie, zdaje się...

— Ty mi nie mów: „Brianie”, bo tu chodzi o przyszłość naszej jedynej siostrzenicy! Jak mam tu wyjść na snoba, bo się o nią martwię, to, kurwa mać, trudno! Wybaczcie słownik! Jeżeli tak, to zostanę największym snobem i jeszcze się będę tym snobizmem chełpił! Po prostu nie mieści mi się w głowie, z jakiej to przyczyny ktoś, komu jest pisany Oksford albo Cambridge, wybiera się na umysłowe zadupie! – Wujek Brian opróżnił kieliszek jednym gwałtownym haustem. – No, chyba że... – w ciągu trzech sekund oburzenie na obliczu wujka przeszło w grymas perwersji – chyba że w grę wchodzi jakiś szkocki ogier z włochatą skórzaną torbą, no a ty się nie chcesz przyznać, co, Julio? Mike’u? Heleno? Przecież to możliwe, nie, nie?

— Brian...

— Nie martw się, ciociu – powiedziała Julia z uśmiechem. – Wujek Brian dobrze wie, że zamiast omawiać z nim życie prywatne, wolałabym się zderzyć z kilkoma autami naraz. Zamierzam studiować prawo w Edynburgu, tak że wszyscy Lambowie z ambicjami będą sobie musieli nawiązywać kontakty bez mojego udziału.

Mnie nigdy, ale to przenigdy coś takiego nie uszłoby płazem.

Hugo wzniosł kieliszek na cześć Julii:

— Doskonale to ujęłaś!

— Ho! – wujek Brian zaśmiał się tak, jakby nagle złapał gumę. – Zapewne jako prawniczka, młoda damo, zajdziesz bardzo wysoko, choć tak się upierasz przy drugorzędnej uczelni. Sztukę

sekowania masz, jak widać, w jednym palcu.

— Cudownie, wujku, że zechciałeś to docenić.

Zaległo niezręczne milczenie, jakby gdzieś nagle zaryczała krowa.

— Pięknie! – rzekł szyderczo wujek Brian. – Panna musi mieć ostatnie słowo.

— Na brodzie masz włókno selera, wujku.

Najzimniej u nas w domu jest w kłocie na dole. W zimie tyłek przymarza do sedesu. Julia pożegnała się z Lambami i poszła do Kate Alfrick popowtarzać historię. Wujek Brian udał się na górę, do pokoju gościnnego, żeby „dać odetchnąć oczom”. Alex już po raz trzeci od przyjazdu poleciał do łazienki. Za każdym razem siedział tam ponad dwadzieścia minut. Nie mam pojęcia, w jakim celu. Tato pokazywał Hugonowi i Nigelowi swoją nową minoltę. Mama z ciocią Alice przechadzały się po wietrznym ogrodzie. Uważnie przyjrzałem się sobie w lustrze nad umywalką, szukając na twarzy śladów podobieństwa do Hugona. Czy mógłbym się w niego zmienić samą tylko siłą woli? Tak, komórka za komórką. Coś takiego potrafi Ross Wilcox. W podstawówce był tępym niedojdą, a teraz pali z Gilbertem Swinyardem i Pete’em Redmarleyem, i resztą starszych chłopców – i zamiast „Wilcox”, wszyscy mówią na niego „Ross”. Czyli pewnie jest to wykonalne.

Siedziałem sobie, celem walnięcia porządnego kupska, gdy nagle odgłosy rozmowy przybrały na sile. Wiem, że nie należy podsłuchiwać, ale czy to moja wina, że mamie i cioci Alice zachciało się poplotkować akurat pod wentylatorem?

— Nie ty zawiniłaś, Heleno. Brian zachował się... Rany boskie, ja go kiedyś zabiję!

— Michael wyzwała w nim najgorsze instynkty.

— Dajmy już sobie... Ależ rozmaryn, Heleno! Toż to prawie drzewo! A moje zioła takie marne. Prócz mięty. Mięta jakby oszalała.

Chwila ciszy.

— Ciekawe – odezwała się mama – jak by ich teraz odbierał

tatuś...

— Briana i Michaela?

— Tak.

— No cóż, pewnie byśmy usłyszały: „Nie mówiłem!”. Później zakasałyby rękawy, podjął jakiś bądź temat ich sprzeczki i zszedłby z ringu dopiero, gdy obaj – znokautowani – przyznaliby mu rację bez szemrania.

— Trochę to bezwzględne...

— Tatuś bywał stokroć bardziej bezwzględny! Ale Julię z pewnością umiałby docenić.

— Oj, Julia potrafi... być nieugięta.

— Na szczęście, Heleno, gdy chodzi o Komisję ONZ do spraw Narkotyków i Amnesty International, a nie o Mięsnego Klopsa czy inne Głuche Lamparty^[2].

Znów na moment cisza.

— Hugo robi się niesłychanie szarmancki.

— No, nie przesadzajmy.

— Ale sama widziałaś, jak się upierał, że pozmywa. Wiadomo, że bym mu nie dała...

— Tak, wiem, i wcale się tym nie zmartwił. Jason wciąż niepokojąco małomówny. Jak to jego leczenie?

(Tego już nie chciałem słuchać. Ale nie mogłem wyjść bez spuszczenia wody. Gdybym ją spuścił, zaraz by się domyśliły, że podsłuchiwałem. Więc utknąłem w klopie).

— Okropnie się ślimaczy. Chodzi do takiej pani z Afryki Południowej. De Roo. Ona mówi, żebyśmy nie czekali na cudowne ozdrowienie. To nie czekamy. Radzi zachować cierpliwość. Zachowujemy. No, i tyle.

Dłuższe milczenie.

— Wiesz, Alice, to już tyle lat, a mnie ciągle trudno się pogodzić z myślą, że rodzice odeszli. Że to... nieodwołalne. Że nie wybrali się na pół roku w rejs po Oceanie Indyjskim. Czy że... Co cię tak bawi?

— Utknąć z tatusiem w liniowcu! Przecież by to była gehenna. Mama nie odezwała się słowem.

Jeszcze dłuższa cisza.

— Heleno, nie chcę być wścibska – ciocia Alice zmieniła ton – ale od stycznia w ogóle nie wspomniałaś o tych głuchych telefonach...

Cisza.

— Wybacz, Heleno, nie powinnam wtykać nosa w nie...

— Nie, nie... To znaczy, jesteś jedyną osobą, z którą mogę o tym porozmawiać. Nie, później już nie dzwonili. Mam poczucie winy, że tak pochopnie wyciągnęłam wnioski. Była to po prostu burza w szklance wody, jestem przekonana. Powiedzmy, burza nie istniejąca. Gdyby nie... wiesz, ten „incydent” Michaela sprzed bodaj pięciu lat, w ogóle bym sobie tym nie zaprzętała głowy. Pomyłki i przebicia na linii zdarzają się bez przerwy, prawda?

(Co za „incydent”?)

— Właśnie – odparła ciocia Alice. – Właśnie. Ale nie... powiedziałaś...

— „Konfrontacja” z Michaeliem byłaby gorsza od śmierci.

(Ciało rozboleło mnie od gęsiej skórki).

— Masz rację – zgodziła się ciocia Alice.

— O tym, co się kotłuje w głowie Michaela, lepsze pojęcie od jego własnej żony ma byle stażysta Greenland. Nareszcie wiem, czemu mama tak często bywała przygnębiona.

(Tego nie zrozumiałem. Nie chciałem. Chciałem. Sam nie wiem).

— A cóż to za czarne myśli, hmm?

— Oj, Alice, tylko dzięki tobie całkiem się nie pograżyłam. Masz klasę. Poznajesz chińskich skrzypków i smagłych indiańskich wirtuozów fletni Pana... Kto występuje w tym tygodniu?

— Trupa Basila Brusha, „Bum Bum”.

— Proszę bardzo!

— Mają okropnie nadętego agenta. Jakby tu miał wystąpić co najmniej Liberace, a nie byle aktorzyzna z ręką w lisim zadku...

— Nie ma to jak show-biznes.

Cisza.

— Heleno... Dalej mam ci powtarzać, że życie nie kończy się na pieczeniu szarlotki? W tym roku Julia wyfrunie z gniazda. Może byś się zastanowiła nad powrotem do pracy?

Chwila przerwy.

— Po pierwsze, jest recesja i ludzi się zwalnia, nie przyjmuje. Po drugie, jestem kurą domową o niezdrowych myślach. Po trzecie, nie mieszkam koło Londynu, tylko w głębi Worcestershire, gdzie jest o wiele mniej możliwości. Po czwarte, nie pracuję od urodzenia Jasona.

— Nie możesz potraktować tych trzynastu lat jako trochę dłuższego urlopu macierzyńskiego?

Mama zaśmiała się jak ludzie, którym wcale nie do śmiechu.

— Nawet tatuś wychwalał twoje projekty przed kolegami z klubu golfowego. Nic tylko: „Helena to, Helena tamto” ...

— Ja w kółko słuchałam: „Alice to, Alice tamto”.

— Cały tatuś, prawda? Pokaż no mi, gdzie myślisz urządzić to alpinarium...

Wstrzymując oddech, spuściłem wodę i popsikałem w klopie odświeżaczem. Świeża Mgła Alpejska cuchnie, że można się porzygać.

W jednym garażu mieszka rover 3500 taty, ale mama zwykle parkuje swojego datsuna cherry na podjeździe, więc drugi garaż stoi pusty. Rowery mieszkają sobie pod murem. Narzędzia taty – na półeczkach nad stołem warsztatowym. Kartofle mieszkają w worze bez dna. Wolny garaż jest osłonięty, nawet w takie wietrzne dni jak dzisiaj. Tato pali tu papierosy, więc nieraz nimi pachnie. Lubię nawet plamy smaru na betonowej posadzce.

Ale najfajniejsza jest tarcza do gry w rzutki. Rzutki – super gra. Uwielbiam ten łomot, kiedy szpic zagłębia się w tarczy. Uwielbiam wyciągać rzutki. Kiedy poprosiłem Hugona, żebyśmy sobie razem porzucali, zgodził się natychmiast. Ale zaraz Nigel stwierdził, że też chętnie zagra. Tato powiedział, że to świetny pomysł, i tak we trzech graliśmy w garażu Na Okrągło (celujesz w jedynekę, aż w nią trafisz, później w dwójkę, aż w nią trafisz, później w trójkę i tak dalej. Wygrywa ten, kto pierwszy trafi

dwudziestkę).

Rzuciliśmy po razie, żeby zobaczyć, kto zacznie.

Hugo trafił osiemnastkę, ja dziesiątkę, a Nigel czwórkę.

— A powiedz – zwrócił się do mnie Nigel, gdy jego brat trafił jedynekę pierwszym rzutem – czytałeś *Władcę pierścieni*?

„Nie” – skłamał Robal, żeby Hugo nie pomyślał, że chcę się spoufalać.

Hugo nie trafił dwójki drugim, ale trafił trzecim.

Nigel do mnie:

— Jest potężna.

Hugo zdjął trzy rzutki z tarczy i podał mnie.

— Nigel, nikt już nie mówi: „potężna”.

(Nie mogłem sobie przypomnieć, czy od ich przyjazdu użyłem tego słowa).

Pierwszymi dwoma rzutkami nie trafiłem jedynki, ale za trzecim razem się udało.

— Niezły rzut – orzekł Hugo.

— W szkole przerabialiśmy *Hobbita* – Nigel wyciągnął rzutki z tarczy – ale *Hobbit* to w sumie taka zwykła bajka.

— Próbowałem czytać *Władcę pierścieni* – oznajmił Hugo – ale to śmiech na sali. Co drugi nazywa się Gondogorn albo Sarulon i w kółko głądzi, jak to „o zmierzchu las ten od orków się zaroi”. A ten cały Sam i wieczne: „Ach, panie Frodo, jakże cudny twój sztylet”... Szczyt wszystkiego! Do tego rodzaju homoerotycznej pornografii dzieci nie powinny mieć dostępu! A może właśnie to ci się podoba, co, Nigel?

Nigel chybił, rzutka odbiła się od cegły.

— Uważaj – westchnął Hugo. – Bo stępisz Jace’owi rzutki.

Trzeba było powiedzieć do Nigela: „Nie szkodzi”. Robal nie odezwał się słowem.

Drugą rzutką trafił w kraj tarczy. Znowu pudło.

— Wiesz, Jace – rzekł od niechcienia Hugo – że jest naukowo dowiedzione, iż homoseksualiści nie umieją rzucać prosto?

Z przerażeniem stwierdziłem, że Nigel za chwilę się rozbeczy.

Hugo tak jakoś potrafi wpływać na ludzkie szczęście.

Trzecia rzutka z brzękiem odbiła się od obręczy. Nigel stracił panowanie nad sobą.

— Wszystkich nastawiasz przeciwko mnie! – wrzasnął, czerwony z wściekłości. – Nienawidzę cię, cholerny bękarcie!

— Oj, nieładnie, Nigel. Rozumiesz to słówko, czy znowu małpujesz swoich koleżków szachistów!

— Owszem!

— Rozumiesz słowo „bękart” czy małpujesz koleżków?

— Rozumiem słowo „bękart”, i ty nim właśnie jesteś!

— Skoro tak, to znaczy, że aby mnie począć, mama rznąła się z obcym facetem, prawda? Czyli: oskarżasz ją o zdradę, tak?

Łzy napłynęły do oczu Nigelowi.

Czułem, że na tym się nie skończy.

Hugo był bardzo rozbawiony.

— Oj, tacie też się to pomówienie nie spodoba. Idźże stąd i pobaw się tą swoją kostką w jakimś ustronnym miejscu, co? A my z Jasonem postaramy się zapomnieć o tej przykrej sprawie.

— Przepraszam cię za Nigela – Hugo trafił trójkę, chybił i potem czwórkę. – Brat mi spadł z księżycy. Niech się chłopak uczy wyczuwać aluzje. Jeszcze mi kiedyś podziękuje za te nauki. Bo Alex to neandertalczyk. I jemu, niestety, już nic nie pomoże.

Niby się zaśmiałem, próbując dociec, gdzie ten Hugo nauczył się używać wyrazów typu „aluzja” i „niestety” tak pewnie, a bez nadęcia. Chybiłem, potem miałem dwójkę i trójkę.

— W zeszłym semestrze był u nas w szkole Ted Hughes – nadmienił Hugo.

A, czyli dlatego nie czepiał się, słysząc o mojej nagrodzie.

— Taaa?

Hugo trafił piątkę, później szóstkę i nic.

— Podpisał mi *Jastrzębia w deszczu*.

— *Jastrząb w deszczu* jest genialny. – Czwórka, nic i nic.

— Właściwie to wolę poetów z okresu pierwszej wojny. – Hugo trafił siódemkę i ósemkę, a potem chybił. – Wilfreda Owena, Ruperta Brooke’a i resztę...

— Taaa. – Trafiłem piątkę, nic i szóstkę. – Szczerze mówiąc,

też ich wolę.

— Ale najlepszy jest George Orwell. – Dziewiątka, pudło, pudło. – Mam wszystko, co napisał, nawet pierwsze wydanie *Roku 1984*.

Pudło, pudło i siódemka.

— *Rok 1984* jest po prostu niesamowity. (Szczerze powiedziawszy, ugrzązłem w długim eseju O'Briena i nigdy nie udało mi się doczytać książki do końca). I *Folwark zwierzęcy*. (Był na liście lektur).

Hugo trafił dziesiątkę.

— Jak nie czytałeś publicystyki Orwella – prawie pudło – to tak, jakbyś go w ogóle nie znał. – Znów prawie pudło. – Cholera! Przyślę ci zbiór esejów *W brzuchu wieloryba*.

— Dzięki. – Fuksem trafiłem po kolei ósemkę, dziewiątkę i dziesiątkę, udając, że to nic wielkiego.

— Genialnie! Słuchaj no, Jace: może byśmy tak trochę ożywili rozgrywkę, co? Masz przy sobie forszę?

Miałem pięćdziesiąt pensów.

— Dobra, wchodzę. Kto pierwszy trafi dwudziestkę, wygrywa pięćdziesiąt pensów.

Szkoda by mi było stracić połowę kieszonkowego.

— Oj, Jace – Hugo uśmiechnął się tak, jakby mnie bardzo lubił. – Nie bądź taki Nigel. Wiesz co: dam ci zacząć. Trzy darmowe rzuty.

Zgoda mogłaby mnie trochę do niego upodobnić.

— Okay.

— Pięknie! Ale może nie wspominaj o tym – Hugo wyglądał z garażu – naszym rodzicielom, bo resztę wieczoru spędzimy grając w chińczyka albo w Grę o Życie pod ich ścisłym nadzorem.

— Sie wie. – Chybiłem, celnałem w ścianę i znowu chybiłem.

— Masz pecha – stwierdził Hugo.

Chybił, trafił jedenastkę, chybił.

— To jak się macha tym wiosłem? – Jedenaście, pudło i dwanaście. – Bo ja to tylko pedałuję po Zimowych Ogrodach Malvern.

Hugo roześmiał się tak, jakby to był świetny kawał, więc też się uśmiechnąłem. Trzy razy z rzędu nie trafił w dwunastkę.

— Masz pecha – powiedziałem.

— Wioślarstwo jest fantastyczne. Ten pośpiech, napięte mięśnie, rytm i szybkość... I czasem tylko cichy plusk, pomruk czy oddech współtowarzysza. Jakby się tak zastanowić, bardzo przypomina seks. I fajnie jest unicestwić załogę przeciwnika. Jak mawia nasz profesor od wufu: „Nie udział się tu liczy, chłopcy, a jedynie zwycięstwo!”.

Trafiłem trzynastkę, czternastkę i piętnastkę.

— Rany! – Widać nieźle zaimponowałem Hugonowi. – Udajesz mi tu niewiniątko, a tymczasem: proszę! Stawiam funciaka, co ty na to? – Z kieszeni lewisów wydobyl lśniący portfel i machnął mi przed oczami banknotem jednofuntowym. – Jak tak dalej pograsz, pięć rzutów i jest twój! Co na to twoja skarbonka?

Gdybym przegrał, byłbym spłukany do przyszłej soboty.

— Uuuuu – zajęczał Hugo. – Nagle masz cykora?

Usłyszałem, jak opowiada o mnie innym Hugonom w klubie wioślarskim. „Mój kuzyn Jason Taylor to prawdziwy mistrzu”.

— Okay.

— Okay! – Hugo wsunął banknot do kieszeni bluzki. – Myślisz, że los będzie mi przychylniejszy?

Pierwszą rzutką walnąłem w cegłę. Druga odbiła się od obręczy. Trzecia – pudło.

Hugo bez mrugnięcia trafił kolejno piętnastkę, szesnastkę i siedemnastkę.

Pod drzwiami garażu rozległo się człapanie. Hugo zaklął pod nosem i posłał mi spojrzenie pod tytułem: „Ja się tym zajmę”.

To co miałem robić?

— Hugo! – Do garażu wpadła ciocia Alice, jak w obłędzie. – Zechcesz mi wyjaśnić, czemu Nigel płacze?!

Hugo zasłużył swą ripostą na Oscara.

— Płacze?

— Tak!

— Płacze? Oj, mammo, czasem trudno uwierzyć, co wyprawia ten chłopak!

— Nie domagam się wiary, tylko wyjaśnienia!

— A co tu wyjaśniać? – Hugo wzruszył ramionami ze współczuciem. – Jason namówił nas na rzutki. Nigelowi od początku nie szło. Udzieliłem mu kilku wskazówek, a on nagle wyleciał stąd jak oparzony. A na dodatek jeszcze obrzucił nas mięsem. Cóż on się tak ciągle stara być najlepszy, mammo? Pamiętasz, jak go przyłapaliśmy na zmyślaniu słów tylko po to, żeby wygrać w scrabble? Myślisz, że to sprawa wieku?

Ciocia Alice zwróciła się do mnie:

— Mów, Jason, jak to było?

Hugo mógłby sprzedać Nigela fabryce kleju, a Robal i tak by odpowiedział:

— „Tak jak mówi Hugo, ciociu, serio”.

— Może do nas wrócić – zapewnił matkę Hugo. – Jak się uspokoi. Zgoda, Jace? Nie wyzwał cię ze złości.

— Nie mam nic przeciwko.

— Mam inną propozycję – ciocia Alice znalazła się w sytuacji patowej. – Cioci Helenie kończy się kawa, a tatusiowi przydałby się porządny kubek na obudzenie. Zgłaszam cię na ochotnika: pójdziesz po kawę, Hugo. Jason, jak tacy z was wielcy sojusznicy, zaprowadź kuzyna do sklepu, bardzo proszę, żeby mu przypadkiem korona z głowy nie spadła.

— Mammo, już prawie skończyliśmy, więc...

Ciocia Alice tylko otworzyła usta.

Właściciel „Czarnego Łabędzia”, Isaac Pye, przyszedł do sali gier na zapleczu, żeby zobaczyć, co się dzieje. Przed konsolą asteroidów stał Hugo, a obok – ja, Grant Burch, sługus Burcha Philip Phelps, Neal Brose, Ant Little, Oswald Wyre i Darren Croome. Nikt z nas nie mógł w to uwierzyć: od dwudziestu minut Hugo grał wciąż tą samą dziesięciopensówką. Na ekranie aż się kotłowało od asteroidów, więc ja bym pewno zginął w trzy sekundy. Ale Hugo widzi cały ekran naraz, nie tylko tę taką najgroźniejszą skałę. I prawie wcale nie używa myśliwców.

Zalicza wszystkie torpedy co do jednej. Kiedy zygzakiem nadlatuje UFO, wypala salwę torped – o ile deszcz asteroidów nie jest zbyt obfity. W przeciwnym razie po prostu ignoruje UFO. Z przycisku hiperkosmicznego korzysta tylko w ostateczności. A twarz ma tak spokojną, jakby sobie czytał jakąś niezłą książkę.

— Trzy miliony? W życiu! – wykrzyknął Isaac Pye.

— Prawie trzy i pół – oświecił go Grant Burch.

Gdy wreszcie ostatnia premia Hugona rozbłysła gwiazdami, automat zabrzączał spazmatycznie, ogłaszając przekroczenie Najwyższego Wyniku Wszech Czasów. Komunikat ten świeci się nawet po wyłączeniu maszyny.

— Przedwczoraj wydałem piątaka, żeby dobić do dwóch i pół miliona – warknął Isaac Pye – a tu, do ciężkiej cholery, w ogóle nie ma się czym chwalić! Postawiłbym ci piwko, chłopcze, ale w barze mam teraz dwóch gliniarzy po służbie.

— Miło mi – odpowiedział Hugo – ale za picie podczas prowadzenia statku kosmicznego nieźle dostałbym po łapach.

Isaac Pye zachichotał i potoczył się z powrotem do baru.

Hugo wpisał się jako INRI.

— Co to niby za skrót? – zapytał Grant Burch.

— Jezus Nazareński Król Żydowski.

Grant Burch roześmiał się, no a za nim wszyscy. Rany, jaki dumny się poczułem. Neal Brose powie Gary’emu Drake’owi, jak to Jason Taylor koleguje się z Chrystusem.

— Ile lat ćwicyłeś, żeby do tego dojść? – spytał Oswald Wyre.

— Lat? – akcent Hugona nieco stracił na elegancji i zabrzmiał nieco bardziej londyńsko. – Gra na automatach nie wymaga aż tyle czasu.

— Ale pewno wydałeś kupę forsy – stwierdził Neal Brose. – No bo się przecież nie da tyle ćwicyć za darmo.

— Jeśli się ma cokolwiek w głowie, pieniądz nie stanowi problemu.

— Co ty?

— Skądże. Określasz i zaspokajasz popyt, klienci są ci wdzięczni, wykańczasz konkurencję.

Neal Brose zapamiętał z tego każde słowo.

Grant Burch wyciągnął paczkę papierosów.

— Zapalisz, kolego?

Odmawiając, Hugo natychmiast straciłby w ich oczach.

— Dziękś – ledwie zerknął na pudełko playersów numer sześć – ale mogę tylko Lambert & Butler, po innych gardło mi napieprza godzinami. Bez urazy.

Zapamiętałem z tego każde słowo. To ci dopiero zdolność wymigania się od palenia!

— Taaa – zgodził się Grant Burch. – Po Woodbine’ach mam to samo.

Z baru dobiegł głos Isaaca Pye’a:

— Za picie podczas prowadzenia statku kosmicznego nieźle bym dostał po łapach!

Z zadymionego baru wychynęła mama Dawn Madden – aby się przyjrzeć Hugonowi.

— To prawdziwe cycki? – syknął do nas Hugo. – Czy dwie zapasowe głowy?

Pan Rhydd obkleja szyby plastikową taśmą w kolorze oranżady, aby mu wystawy nie spłowiły. Te jego „wystawy” to w zasadzie tylko piramidy brzoskwiń w puszkach, a przez plastikową taśmę wewnątrz sklepu ma coś z klimatu fotografii z epoki wiktoriańskiej. Przeczytaliśmy z Hugonem ogłoszenia na tablicy – używane klocki lego, bezdomne kocięta, prawie nowe pralki po dziesięć funtów lub ofertę najbliższą tej sumie – a także reklamy obiecujące dodatkowy zarobek w wysokości stu funtów (w wolnym czasie). Ledwo się tam wejdzie, uderza chłodno-mydlany, zgniło-żółtawy, gazetowy zapach sklepu pana Rhydda. W rogu stoi budka pocztowa, w której pani Rhydd, naczelniczka poczty, sprzedaje znaczki i zezwolenia na trzymanie psa – ale nie dzisiaj, bo dzisiaj jest sobota. Pani Rhydd miała dochowywać tajemnicy państwowej, ale wyglądała całkiem normalnie. Jest tam stojak z kartkami okolicznościowymi. Na jednych faceci w stroju księcia Filipa łowią ryby i są wydrukowane słowa: „W Dniu Ojca”. Na innych naparstnice w wiejskim ogrodzie i słowa:

„Najukochańszej Babci”. Są półki z makaronem w kształcie liter alfabetu, opakowania karmy dla psów i deseru ryżowego Ambrozja. Stoją też pudła z zabawkami „dmuchany futbol” czy „fałszywe” pieniądze do gry, których nikt nie kupuje, bo są strasznie gówniane. Automat Slush Puppy robi kubeczki pianki w kolorach pisaków, ale nie w marcu. Za ladą są papierosy i półki z piwem i winem. Na najwyższych półkach stoją słoiki bombek sorbetowych, kostek o smaku coli, jabłek winnych i pastylek marynarskich. Sprzedaje się je w papierowych torebkach.

— Jejku! – zawołał Hugo. – Stacja Ekscytacja! Zmarłem i poszedłem do Harrodsa.

Akurat wtedy do sklepu wpadła Kate Alfrick, najlepsza przyjaciółka Julii – i podeszła do lady równocześnie z mamą Robina Southa. Mama Robina Southa przepuściła Kate, bo Kate chciała tylko butelkę wina. Może kupować alkohol, bo skończyła osiemnastkę.

— Dziękuję bardzo – pan Rhydd wydał Kate resztę. – Świętujemy?

— Niezupełnie – odparła Kate. – Jutro wieczór rodzice wracają z Norfolk, więc sobie pomyślałam, że na powitanie zrobię coś pysznego na kolację. To – puknęła w butelkę – dopełni efektu.

— Świetnie – pochwalił pan Rhydd. – Świetnie. Czym mogę służyć? – zwrócił się do pani South.

Wychodząc, Kate przeszła koło nas.

— Cześć, Jason.

— Cześć, Kate.

— Hej, Kate – przywitał się Hugo. – Jestem jego kuzynem.

Kate przyjrzała się Hugonowi przez swe okulary rosyjskiej sekretarki.

— A, to ten cały Hugo.

— Od mojego przyjazdu do Black Swan Green minęły ledwie trzy godziny – Hugo niby się zatoczył ze zdumienia. – I już się o mnie mówi?

Powiedziałem Hugonowi, że to właśnie do Kate Julia wyszła

wcześniej, aby coś powtarzać.

— Ach, więc ty jesteś Kate! – Hugo wskazał butelkę. – Liebfraumilch?

— Owszem – odrzekła Kate tonem: „cóż ci do tego?”. – Liebfraumilch.

— Trochę za słodkie. Do ciebie pasowałoby coś bardziej wytrawnego. Jesteś, zdaje się, typem chardonnay...

(Ja znam wyłącznie wina czerwone, białe, musujące i różowe).

— Być może nie znasz się na typach tak świetnie, jak ci się wydaje.

— Być może, Kate – Hugo odgarnął włosy z czoła – być może. No, ale tobie przecież się spieszy do powtórki. Z pewnością obie jesteście nią teraz bardzo pochłonięte. Liczę jednak, że kiedyś jeszcze się spotkamy.

— Uważaj, żebyś się nie przeliczył – Kate uśmiechnęła się ponuro.

— No, nie, Kate, nie mam zamiaru przez to nie spać. Aż tak naiwny nie jestem. Ale życie co rusz nas zaskakuje. Mimo młodego wieku, wiem jednak to i owo.

W drzwiach Kate się obejrzała.

Hugo już miał przygotowaną minę pod tytułem: „Widzisz?”.

Kate wyszła, obrażona.

— Dosyć – Hugo powiedział to jak wujek Brian – apetyczna.

Zapłaciłem panu Rhyddowi za kawę.

— W tym słoju na samej górze to chyba nie prawdziwy imbir w cukrze...? – spytał Hugo.

— Naturalnie, że tak, Błękitku – pan Rhydd nazywa każde dziecko Błękitkiem, bo nie ma głowy do naszych imion. Wydmuchał dziobaty nochal. – Zasmakowała w nim matka pani Yew, więc specjalnie dla niej zamawiałem. Umarła, więc nowy słoik jest ledwo napoczęty.

— Niebawem. Moja ciocia Drucilla z Bath, u której się zatrzymaliśmy, ubóstwia kandyzowany imbir. Nie chciałbym pana kłopotać, ale...

— Nie szkodzi, Błękitku, nic nie szkodzi. – Pan Rhydd wcisnął

chusteczkę do kieszeni, przyciągnął sobie drabinę i wspiął się po niej, by zdjąć słój, który wcale nie stał blisko.

Hugo rozglądnął się, czy jesteśmy sami.

Przechylił się ponad ladą i sięgając pomiędzy szczeblami, jakieś piętnaście centymetrów poniżej cichobiegów pana Rhydda, wziął karton papierosów Lambert & Butler – i prędko się wyprostował.

— Co ty wyprawiasz? – bąknąłem sparaliżowany.

Hugo wepchnął sobie karton w majtki.

— Dobrze się czujesz, Jason?

Pan Rhydd machnął przed nami słojem.

— Ekstra towar, co, Błękitku?

W jego nozdrzach kłębiła się włochata ciemność.

— Zgadza się, proszę pana – odpowiedział Hugo.

— Świetnie, świetnie.

O mało się nie posrałem.

Ni stąd, ni zowąd, kiedy pan Rhydd złąził już z drabiny – Hugo porwał dwa śmietankowe jajka Cadbury i wrzucił mi do kieszeni kurtki. Gdybym zaczął protestować albo próbował odłożyć je na miejsce, z pewnością nie umknęłoby to panu Rhyddowi. Jakby tego było mało, w momencie gdy pan Rhydd stawiał nogę na ziemi i już-już miał się do nas obrócić, Hugo świsnął opakowanie cukierków Fisherman's Friends i też wsunął je do mojej kieszeni. Rozległ się cichy szelest. Pan Rhydd wytarł słój z kurzu.

— No to jak, Błękitku? Może być ćwierć funta?

— Ćwierć funta będzie w sam raz, proszę pana.

— Czemuś (Kat wpierw przyblokował: „zwinął”, później „zwędził”, więc musiałem użyć zwyczajnego „ukradł”) ukradł fajki?

Chciałem czym prędzej uciekać z miejsca zbrodni, ale na drodze za jakimś ciągnikiem zrobił się korek, tak że chwilowo nie mogliśmy przejść skrzyżowania.

— „Fajki” to pali pospólstwo. Ja palę papierosy. Poza tym nie „kradnę”. Kradnie plebs, ja natomiast „wyzwalam”.

— Tak? To czemuś „wyzwolił” te... (teraz nie mogłem wypowiedzieć „papierosy”)?

— Taaak?

— Lambert & butler.

— Jeśli mnie pytasz, czemu wyzwoiliłem papierosy w ogóle – temu, że palenie to prosta przyjemność, nie wywołująca żadnych skutków ubocznych poza, co dowiedzione, rakiem płuc i chorobą serca. A ja tych dolegliwości nigdy nie dożyję. Jeśli zaś chodzi ci o wyzwolenie tej konkretnej marki... Otóż dlatego, że wolałbym zdechnąć pod płótnem, niż by mnie ktoś miał zobaczyć z innym papierosem. A! Toleruję jeszcze passing cloudy, ale oczywiście ten dziadyga nie ma ich w swoim wsiowym warzywniaku.

Nadal nie rozumiałem.

— Chyba cię na nie stać, prawda?

To ubawiło kuzyna.

— Czy ja wyglądam na biedaka?

— Więc po co się narażać?

— Aaach; nic się nie może równać ze smakiem wyzwolonego papierosa.

Wreszcie do mnie dotarło, czemu ciocia Alice węszyła w garażu.

— No a dlaczego wzięłaś fisherman’s friends i śmietankowe jajka?

— Pierwsze to zabezpieczenie przed panem Tytoniowym Oddechem. Drugie natomiast – przed tobą.

— Jak to: przede mną?

— No bo jako przemytnik chyba byś mnie raczej nie chciał zakapować.

Koło nas przemknęła cysterna, wzniecając tuman pyłu.

— A zakapowałem, jak Nigel przez ciebie się rozbeczał?

— Przeze mnie? Co ty bredzisz?

Spostrzegłem dom Kate Alfrick, a ściśle rzecz ujmując, zaparkowane przed nim srebrne mg. Drzwi Kate, kiedy pokonała podjazd, z całą pewnością otwarł facet, a nie Julia. W oknie

na górze drgnęły zasłony.

— Ej, patrz...

— Chodźmy na drugą stronę – Hugo przyszykował się do skoku, bo między autami wreszcie zrobiło się trochę luzniej. – A co mam zobaczyć?

Przebiegliśmy szosę i weszliśmy na ścieżkę wiodącą ku jezioru w lesie.

— Nic.

— Nie, nie, nie, nie, nie, trzymasz go jak nazista z hollywoodzkiego filmu. Spokojnie! Ujmij go jak wieczne pióro. Właśnie. A teraz niech się stanie światłość... – Mój kuzyn sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. – Bez zapalniczki, jak wiadomo, nie zaimponujesz pannie, ale jakby ją u ciebie znalazł na przykład wścibski Nigel, rzecz by się wydała. Zatem podczas dzisiejszej lekcji musimy się obyć zapałkami.

Jezioro zmarszczyło się niespokojnie.

— Wyzwoliłeś je u pana Rhydda?

— Nie, w pubie. Wziąłem od tego przyjemniaczka, który chciał się ze mną kolegować.

— Ukradłeś zapałki Grantowi Burchowi?

— Nie bądź taki przerażony. Czemu ten cały Grant Burch miałby mnie podejrzewać? Nie przyjąłem od niego tego lepkiego papierocha. Kolejna zbrodnia doszła.

Hugo zapalił i osłonił dłonią zapałkę, po czym zbliżył się do mnie.

Nagły poryw wiatru wytrącił mi papierosa, tak że wylądował między listwami ławki.

— Dupa blada! – zakląłem, schylając się, by go wyciągnąć. – Sorki.

— Weź sobie drugiego, tylko nie mów: „sorki”. I tak będę musiał oddać nadwyżkę tytoniu tutejszej florze i faunie. – Kuzyn podał mi paczkę lambert & butler. – Roztropny dealer nie może dać się pojąć z towarem.

Spojrzałem na pudełko.

— Hugo, jestem ci wdzięczny za... no, wiesz, że mi chcesz

pokazać i w ogóle, ale, wiesz, tak szczerze, ja chyba nie po...

— Jace! – przybrał wyraz niby-zaskoczenia. – Teraz chcesz się wycofać? Sądziłem, że za obopólną zgodą mamy cię pozbawić tak sromotnego dziewictwa!

— Nooo... Ale może... Nie dzisiaj.

W zalęknionej gęstwinie wiatr tłukł się jak stado ślepych dzików.

— Aha, więc „nie dzisiaj”?

Przytaknąłem, w obawie, że się wkurzy.

— Jak sobie chcesz – nagle Hugo złagodniał jak baranek. – W końcu jesteśmy przyjaciółmi, prawda? Nie mogę do niczego cię namawiać siłą.

— Dzięki – aż ogłupiałem z tej wdzięczności.

— Ale – zapalił papierosa – mam obowiązek zwrócić ci uwagę, że tu chodzi nie tylko o wypalenie nieznacznej ilości substancji rakotwórczych.

— Jak to?

Hugo wykrzywił się w rozterce: „powiedzieć czy nie powiedzieć?”.

— No, mów!

— Musisz więc wysłuchać kilku gorzkich prawd, kuzynie – zaciągnął się głęboko. – Ale wpierw chcę od ciebie usłyszeć, że wiesz, że to wszystko tylko dla twojego dobra.

— Okay... (Kat przechwycił „wiem”). Rozumiem.

— Na pewno?

— Na pewno.

W zależności od pogody oczy Hugona robią się zielone albo szare.

— Twoja postawa „nie dzisiaj” to rak. Rak, który ci zżera osobowość. I hamuje rozwój. Dzieciaki wyczuwają tę niedzisiejszość i mają cię w pogardzie. Właśnie przez to „nie dzisiaj” obawiasz się prostaczków z Black Swan Green. „Nie dzisiaj”... Idę o zakład, że jest to źródło twojej wady wymowy. (Tutaj wstyd, niczym bomba, rozsadził mi głowę). „Nie dzisiaj” sprawia, że byle dupki, zera traktują cię jak pieska salonowego.

Widzą, że się im nie postawisz. Nie dzisiaj ani nigdy. „Nie dzisiaj” to ślepe oddanie najbliższemu nawet regułom czy zasadom. I tej, która mówi (Hugo jakby to wybeczał): „Nie wolno, palenie jest GROŹNE! Nie słuchaj podszeptów krnąbrnego Hugona Lamba!”. Musisz unicestwić to „nie dzisiaj”, Jason!

Zabrzmiało to tak potwornie prawdziwie, że nie pozostało mi nic innego, jak tylko słabo się uśmiechnąć.

Hugo ciągnął dalej:

— Kiedyś byłem taki sam. Identyczny jak ty, Jace. Wiecznie się wszystkiego bałem. Ale jest jeszcze jeden powód, dla którego musisz wypalić tego papierosa. Musisz nie dlatego, że to pierwszy krok do osiągnięcia pozycji, jaką te kurojeby, twoi koledzy, będą szanować, a nie wykorzystywać. Ani nie dlatego, że młody wilczek z dorodnym papierosem cieszy się wśród płci pięknej dużo większym wzięciem niż chłopiec z oranżadą w proszku. Powód jest następujący. Chodź, powiem ci na ucho – Hugo przysunął się tak blisko, że dotknął wargami mego ucha i mój układ nerwowy rozbrzmiał dziesięcioma tysiącami woltów. (Na ułamek sekundy objawił mi się Hugo Wioślarz na spienionej fali, a za nim, w tle, rozmyte kształty katedr i nabrzeża... Napięte do granic mięśnie pod obcisłą kamizelą... Nad rzeką szpaler wielbicielek... Gotowych mu wylizać wszelkie możliwe części ciała). – Jak się nie rozprawisz z tym „nie dzisiaj” – Hugo zaczął mówić głosem ze zwiastuna horroru – pewnego dnia się zbudzisz, spojrzysz do lustra i zobaczysz Briana i wujka Michaela!

— No, no!... Wciągnij... ustami, nie przez nos...

Z ust wypuściłem haust gazowanego paskudztwa. Hugo był bardzo surowy:

— Nie wciągnąłeś do płuc, prawda, Jace?

Pokręciłem głową, marząc, żeby odpluć.

— Masz wdychać. Wciągać w płuca, Jace. Inaczej to jest jak stosunek bez orgazmu.

— Okay. (Prawdę powiedziawszy, nie wiem, co znaczy „orgazm”; zdaje się, że to takie określenie kogoś, kto się wydurnia). Dobra.

— Zatkam ci nos – rzekł Hugo – żebyś nie oszukiwał. – Wetknął mi palce w nozdrza. – Weź głęboki wdech... ale bez przesady... i wpuść dym z powietrzem. – Teraz drugą ręką zamknął mi usta; powietrze było zimne, a jego ręce ciepłe. – Raz, dwa... trzy!

Gorące gazowane świństwo wypełniło płuca.

— Przytrzymaj – pouczył Hugo. – Raz, dwa, trzy, cztery, pięć i... – otworzył mi usta – ...wypuszczaj!

Dym wyleciał ze mnie niby dżin z butelki.

Dżina rozwiął wiatr.

— I to – oznajmił Hugo – cała filozofia.

Ohydztwo.

— Fajnie.

— Spodoba ci się. Dokończ papierosa. – Rozsiadłszy się na ławce, Hugo też zapalił. – A w kwestii widoków marynistycznych... Jakoś mnie nie powaliło to twoje jezioro. Tu niby są te łabędzie?

— Wiesz, w Black Swan Green nie ma łabędzi – drugi mach okazał się równie obrzydliwy jak pierwszy. – Tylko się tu tak mówi, dla żartu... Ale w styczniu jezioro wyglądało kapitalnie. Całe skute lodem, więc można było grać na prawdziwym lodowisku. Ale podobno utonęło w nim ze dwadzieścioro dzieci.

— Wcale się nie dziwię – Hugo westchnął ze znużeniem. – Wprawdzie Black Swan Green to prawie koniec świata, ale też świat, cholera, z tej perspektywy prezentuje się nie najgorzej. Zbladłeś, Jace.

— Nic mi nie jest.

BLLLEEEEE. Moim ciałem wstrząsnął pierwszy potok wymiotów – i zalał ubłoconą trawę. W parującej brei pełno było strzępów krewetek i marchewki. Obrzygałem sobie rozpostarte palce. Ciepłe to jak budyń z ryżu... Zbliżała się kolejna fala. Pod powieką zamajaczył papieros Lambert & Butler, wystający z paczki jak w reklamie. Drugi potok miał kolor musztardowo-żółty. W panice nabrałem tlenu jak w śluzie powietrznej. Modląc się, by był to potok ostatni. Nastąpiły trzy krótkie palące spazmy.

Nieco słabsze i słodsze. To pewnie ta szarlotka na gorąco...

O, Jeeezu.

Obmyłem rękę w jeziorze i otarłem łzy wymiotne. Taki wstyd!
Hugo chce mnie przerobić na swoje podobieństwo, a ja nie potrafię nawet wypalić papierosa.

— Bardzo – wytarłem usta – ale to bardzo cię przepraszam.

A on nawet nie spojrzał.

Siedział sobie na ławce, wgapiony w zachmurzone niebo.

Zanosząc się śmiechem.

Ścieżka konna

Ogarnąwszy wzrokiem plakat z czarnymi aniołami morskimi zmieniającymi się w białe łabędzie, mapę środka Ziemi, framugę drzwi, zasłony płonące jasnofioletowo w blasku wiosennego słońca – runąłem w oślepiającą otchłań.

Słuchając, jak oddychają ściany, człowiek popada w stan nieważkości.

Ale wylegiwanie się pod nieobecność domowników nie jest już tak podniecające, więc wyskoczyłem z łóżka. Zasłony na półpiętrze były zasunięte, bo mama z Julią wybrały się do Londynu tuż przed świtem. Tato, jak co tydzień, znowu ma konferencję w Newcastle nad Lyme albo Tyne. Dziś dom należy do mnie.

Wpierw się wysikałem przy szeroko otwartych drzwiach ustępu. Później w pokoju Julii puściłem jej płytę Roxy Music. Dostałaby szau. Pogłośniłem na full. Tato by się tak wściekał, że by mu odpadła głowa. Rozwalony na kanapie siostry, wysłuchałem odjazdowej piosenki pod tytułem *Virginia Plain*. Dużym palcem trąciłem dzwonki z muszelek, które Julia przed kilkoma laty dostała na urodziny od Kate Alfrick. Bo tak mi się chciało. Potem zacząłem grzebać w komodzie, w poszukiwaniu sekretnego pamiętnika. Znalazłszy jednak pudełko tamponów, zawstydziłem się i zrezygnowałem.

W chłodnym gabinecie taty pootwierałem szafki, wdychając ich metaliczny zapach. (Po ostatniej wizycie wujka Briana pojawiła się wolna od cła paczka papierosów Benson & Hedges).

Wirując na fotelu jak w „Millennium Falcon”, przypomniałem sobie, że to prima aprilis. Podniósłszy słuchawkę nietykalnego telefonu taty, powiedziałem:

— Halo? Craig Salt? Mówi Jason Taylor. Zwalniam cię. Jak to: „czemu”? Boś orgazm, ty tłuściochu! W tej chwili łącz mnie z Rossem Wilcoxem! Wilcox? Tu Jason Taylor. Wieczorem przyjdzie weterynarz, by skrócić twą niedolę. Pa, pa, tłučku jeden! Koszmarnie było cię poznać.

W kremowej sypialni rodziców siadłem przy maminej toaletce i nastroszyłem sobie włosy żelem l’Oreal. Na twarzy nasmarowałem wielki zygzak à la Adam Ant i przysłoniłem oko opalową broszką. Ujrzałem przez nią nie nazwane barwy słońca.

Na dole promyk ze szpary między pospiesznie zsuniętymi zasłonami rozświetlił złoty klucz Yale i taki oto list:

Jasontku,
zostawiaj klucz do domu.
ŻEBYS' GO NIE ZGUBIŁ!
Na wszelki wypadek dałam
zapasowy pani Woolmere.
Na kartce masz numer
cioci Alice. W razie czego
idź do pani Woolmere. Na
lunch zrób sobie kanapkę,
tylko potem schowaj chleb
do pojemnika, bo wyschnie.
Na obiad masz w lodówce
quiche Lorraine. Zjedz
sałatkę owocową, masz
w miseczce. Wracam wie-
czorem, przed 10. Przed
wypiciem wszystko wyłączaj.
DRZWI ZAMYKAJ NA KLUCZ.
Nikogo nie wpuszczaj. Nie
siedź długo przed TV. Ściskam
mama

Jejku! Dostałem klucz od domu! Mama pewnie wpadła na to w ostatniej chwili. Normalnie chowamy zapasowy w studziencie w garażu. Pognałem na górę po breloczek, który

mi kiedyś podarował wujek Brian, z królikiem w czarnej muszce. Przyczepiłem go do szlufki spodni i zjechałem po poręczy. Na śniadanie zjadłem jamajskie ciastko imbirowe, popijając koktajlem z mleka i ovaltyny. Całkiem niezłe. Nie, no naprawdę pycha! Postanowiłem co godzinę krzepić się kawałkiem czekolady Black Magie. Radio w kuchni przestawiłem z czwórki na jedynekę. Akurat grał ten bajeczny numer Men At Work z niby-retro flecikiem. Zjadłem trzy french fancies od Marksa i Spencera, prosto z pudełka. Niebo przelatowały klucze ptactwa z dalekich stron. Syrenie obłoki dryfowały ponad ziemią, kogutkiem, Wzgórzami Malvern. Rany, jak strasznie chciałem wznieść się razem z nimi!

Więc – niby czemu nie?

Pan Castle w zielonych kaloszach mył szlauchem swego vauxhalla vivę. Drzwi od frontu miał otwarte, a w sieni panowały nieprzeniknione ciemności. Kto wie, czy mnie w tych ciemnościach nie obserwowwała pani Castle. Bo jej to się w sumie nigdy nie widuje. Mama nazywa panią Castle „nieszczęśnicą” i mówi, że jej dokuczają nerwy. Czy nerwy są zaraźliwe? Aby cudnego poranka nie popsuć sobie jękaniem, chciałem niepostrzeżenie przemknąć obok pana Castle’a.

— Dzień dobry, młodzieńcze!

— Dzień dobry, panu – odrzekłem.

— Czyżbyś się gdzieś wybierał?

Pokręciłem głową. Przy panu Castle’u zawsze tak się jakoś denerwuję. Kiedyś usłyszałem, jak tato mówi do wujka Briana, że to wolnomularz, co się wiąże z magią i pentagramami.

— Ale rano taki... (Kat przyblokował „przyjemny”)... ładny, więc...

— W rzeczy samej! W rzeczy samej!

Płynne słońce zalało przednią szybę samochodu.

— Właściwie, ile ty masz lat, co, Jason? – pan Castle spytał tak, jakby od niepamiętnych czasów zgłębiał tę kwestię wraz z zespołem ekspertów.

— Trzyście – odparłem, przekonany, że według niego

dopiero dwanaście.

— Niesamowite! Już trzynaście?

— Trzynaście.

— Trzynaście – pan Castle prześwidrował mnie wzrokiem. – Sędziwy wiek, mój chłopcze.

Przełaz u wylotu Kingfisher Meadows rozpoczyna ścieżkę konną. Świadczy o tym zielona tablica z wizerunkiem konia i napisem „ŚCIEŻKA KONNA UŻYTKU PUBLICZNEGO”. Dokąd prowadzi ścieżka konna – nie sposób określić już tak łatwo. Pan Broadwas mówi, że się urywa w Red Earl Wood. Pete Redmarley i Nick Yew mówią, że raz wybrali się tam z fretkami na króliki i że ścieżkę w Malvern Wells zastawia jakaś nowa posiadłość. Ale najfajniejsze są pogłoski, jakoby ścieżka konna wiodła do podnóża Pinnacle Hill, gdzie – jak się człowiek przedrze przez zębate jeżyny, ciemny bluszcz i jadowite pokrzywy – w końcu napotyka ujście starego tunelu. Idzie się nim, aż się wyjdzie dopiero w Herefordshire. Koło obelisku. Od niepamiętnych czasów nikomu nie udaje się znaleźć tunelu, tak że jego odkrywca natychmiast trafiłby na pierwszą stronę „Gońca Malvern”. No, a czy można zejść dalej?

Postanowiłem dotrzeć ścieżką do tajemniczego końca. Choćby nie wiem co.

Najpierwszy odcinek ścieżki konnej nie jest ani trochę tajemniczy. Dzieciaki z wioski łążą tam bez przerwy. Mija się kilka zapuszczonych ogrodów i wychodzi na boisko. Boisko to właściwie należący do taty Gilberta Swinyarda skrawek ziemi za wiejską świetlicą. Kiedy owce pana Swinyarda się nie pasą, wolno nam pograć tam w nogę. Robimy bramki z kurtek i nikt się nie przejmuje rzutem z autu. Wyniki sięgają wyników w rugby, bo nieraz mecz toczy się godzinami, aż przedostatni chłopak pójdzie do domu. Jak nieraz przyjadą na rowerze ci z Welland i Castlemoron, mecz zamienia się w regularną bitwę.

Tego ranka prócz mnie na boisku nie było żywej duszy. Ale istniała szansa, że przyjdą pograć pod wieczór.

I żaden ze znanych mi piłkarzy się nie domyśli, że byłem

tu przed nimi. Ja wtedy będę hen, daleko. Kto wie, czy nie w głębi ziemi pod Wzgórzami Malvern.

Lepkie muchy żerowały na krowich plackach barwy curry.

Żywopłot znów wypuszczał młode listki.

Powietrze, jak słodki sos, aż zgęstniało od nasion.

Na wysokości zagajnika ścieżka konna przeszła w drogę księżycowych kraterów. Gałęzie w górze tak się posplatały, że ledwie było widać strzępy nieba. Wędrując w chłodzie i po ciemku, zacząłem się zastanawiać, czy nie należało wziąć ze sobą kurtki. W kotlinie za zakrętem natknąłem się na kryty strzechą domek z czarnych od sadzy cegieł i pokrzywionych bali. Pod dachem urzędowali Martinowie. Na tabliczce przyklepionej do bramy – w miejscu, gdzie zwykle jest nazwisko właściciela – umieszczono napis „OBCYM WSTĘP WZBRONIONY”. W ogrodzie ocean nowo narodzonych lukrecji, niebieskich, żółtych i różowych. Usłyszałem jakby szczęk nożyc. I jakby z tego dźwięku nagle zrodził się poemat. Na chwilę się zaśluchałem, tak jak głodny rudzik nasłuchuje robaków.

Może to i trwało ze dwie, trzy minuty.

Psiska na mnie huzia.

Ja huzia na drogę, no i bęc na dupsko.

Brama skrzypnęła, ale nikt jej, dzięki Bogu, nie otworzył.

Przednimi łapami napały na nią obłąkańczo rozszczekane dwa, nie – trzy dobermany. Jak wstałem, to się okazało, że mi dorównują wzrostem. Od razu trzeba było zwiewać, gdzie pieprz rośnie, ale te psy miały przedpotopowe kły, wściekłe ślepie i ozory, a wokół szyi – stalowe łańcuchy. Oprócz tęgich muskułów, lśniący brunatnoczarny zamsz krył coś jeszcze, coś owładnięte żądzą zabijania.

Mimo przerażenia, nie mogłem oderwać od nich oczu.

Wtem kuksaniec w tę kostkę, co kiedyś była ogonem.

— Jątrzysz zwierzęta!

Szybki obrót. Facet miał wykrzywioną wargę, a w smoliście czarnych włosach pasemko bieli, niby wczesane ptasie gównno. W rękę trzymał laskę, którą bez trudu dałoby się rozwalić czachę.

— Jątrysz mi zwierzęta!

Przełknąłem ślinę. Na ścieżce konnej obowiązują całkiem inne zasady niż na drogach głównych.

— Bardzo mi się to nie podoba – zerknął na dobermany. – CICHO!

Psy w ciszy odstąpiły od bramy.

— Co za tupet! – Facet bacznie mi się przyjrzał. – Żeby mi tak rozjątrzyć psiska! A nawet nie przekroczył bramy!

— Prze... piękne stworzenia.

— Doprawdy? Na moje skinienie zaraz by cię przerobiły na mielone! I co? Dalej ci się tak strasznie podobają?

— No, chyba nie.

— No, chyba. Pewnie sobie mieszkaś w którymś z tych luksusowych nowych domów...?

Przytaknąłem.

— A jakże! Miejscowi szanują moje psiska, nie to co miastowi... Przyleźli nie wiadomo skąd, kręcą się po okolicy, nigdy drzwi nie domkną... Domeczki sobie postawili na ziemi, gdzie człowiek haruje od pokoleń. Chce mi się rzygać. Jak na ciebie patrzę.

— Nie chciałem zrobić nic złego. Naprawdę.

Zamachnął się laską.

— A idźże w cholerę!

Ruszyłem szybkim krokiem, raz tylko się oglądnałem.

Na chwilę nie spuścił mnie z oka.

„Prędzej” – ostrzegł Nienarodzony Bliźniak. – „W nogi!”

Zamarłem, widząc, jak otwiera bramę. Machnięcie było niemal przyjazne.

— BIERZCIE GNOJA!

Trzy czarne dobermany pocwałowały prosto na mnie.

Pognałem jak wariat, ale trzynastolatek w życiu nie prześcignie warczących dobermanów. Strzęp darni, przeskok nad rowem, no i się wygrzmociłem. Bez tchu rymnąłem o glebę. W przelocie spostrzegłem, że bestie są tuż-tuż. Wrzasnąłem jak baba i skulony czekałem, aż wściekli porywacze torebek zatopiają

mi w boku i w nogach ostre swe zębiska; śliniąc się, rozerwą mnie na części, wytargają moszną i wątrobę, serce i nerki rozniosą na cztery strony świata.

Nieopodal odezwała się kukułka. Czyżby więc minęła już godzina?

Otwarłszy oczy, odważyłem się unieść głowę.

Ani śladu psów, ani tego ich pana.

Koło mnie przysiadł motyl z obcych krajów. Podniosłem się ostrożnie.

Miałem parę fantastycznych sińców i tętno wciąż za szybkie, niemiarowe. Poza tym nic mi się nie stało.

Ale czułem się jak struty. Gość od dobermanów gardził mną, bo nie tu przyszedłem na świat. Gardził, bo mieszkałem na Kingfisher Meadows. Z tak wielką niechęcią nie sposób dyskutować. Podobnie jak z owładniętymi szalem psami.

Z zagajnika jakoś wywlokłem się na ścieżkę konną.

Twarz mi smagały okryte rosą pajęczyny.

Na wielkim polu kłębiły się lękliwe owce ze świeżo narodzonymi jagniętami. Zbliżyło się do mnie kilka małych, pobekując w durnym zachwycie, jak te takie gówniane zabawkowe autka. Nieco zelżała sromota po spotkaniu z psami i ich panem. Dwie owcze mamy oderwały się od stada i podeszły do mnie, niezbyt ufne. Zresztą nic w tym dziwnego: farmer jest dla nich dobry, a skąd niby mają wiedzieć czemu. (Ludzie tak samo powinni uważać na dobroć bez powodu. Powód istnieje zawsze i rzadko bywa miły).

Nieważne. Przechodząc pastwisko, gdzieś w połowie drogi spostrzegłem na nasypie kolejowym trójkę chłopców. Na szczycie Wydrążonej Kłody, koło muru z cegieł. Już mnie zauważyli, więc gdybym zmienił kurs, zaraz by było jasne, że mnie obleciał strach przed spotkaniem. Zacząłem żuć znaleziony w kieszeni listek gumy owocowej. By sobie dodać animuszu, groźnie przydeptałem parę ostów.

Na całe szczęście. Bo byli to Grant Burch, jego sługus Philip Phelps oraz Ant Little. Palili fajkę na spółę. Z wnętrza kłody

wypełzli Darren Croome, Dean Moran oraz Ciapciak.

— No i co tam, Taylor? – zakrzyknął Grant Burch.

— Chciałbyś zobaczyć naparzanek? – spytał Philip Phelps.

— Czyją? – odkrzyknąłem z podnóża nasypu.

— Moją – Grant Burch przycisnął jedno nozdrze i drugim, niby z torpedy, wysmarkał gorącego gila. – Z Rossem Wilcoxem Gruchowałem Trzecim!

Dobra nasza.

— A o co?

— Wczoraj wieczór grałem ze Swinyardem na asteroidach w „Czarnym Łabędziu”, co nie? Nagle wchodzi Wilcox, Wielki Ważniak, i nic nie mówi, tylko gasi fajkę w mojej shandy. Aż mnie, kurwa, zatkało! Pytam się, czy specjalnie, na co on: „Jak myślisz?”. No to mu powiedziałem: „Pożałujesz, Siurze!”.

— Siurze! – zaśmiał się Philip Phelps. – Rewelacja!

— Phelps! – Grant Burch zmarszczył brwi. – Nie wtrącaj się, jak ja mówię.

— Sorry, Grant.

— No, dobra, więc mu mówię: „Pożałujesz, Siurze”. Wilcox wtedy: „To się jeszcze okaże”. Ja na to: „Może wyjdziemy?”. Wilcox: „Ale sam wyznacz pole walki, żeby Isaac Pye mógł mnie z ciebie ściągnąć”. „Nie, Chuju Bosy, ty wyznaczaj” – mówię. Wilcox: „Wydrażona Kłoda. Jutro, o wpół do dziesiątej”. Ja: „Już dziś dzwoń po karetkę, Dupny Włamywaczu. Stoi!”. Wilcox na to: „Dobra”, no i sobie poszedł.

— Wilcoxowi odwalilo – zwrócił się do Granta Ant Little. – Zostanie z niego miazga.

— Nooo – przytaknął Darren Croome. – Wiadomo.

Nieźle. Ross Wilcox zakłada szkolną bandę i nie ulega kwestii, że główną jej ofiarą będę ja. Grant Burch to jeden z największych twardzieli wśród trzecioklasistów. Gdyby mu dokopał Wilcox, zaraz by z niego zrobili pośmiewisko.

— Phelps, która to godzina?

Phelps spojrzął na zegarek.

— Za kwadrans dziesiąta.

— Ma cykora, nie przyjdzie – stwierdził Ant Little.

— Czekamy do dziesiątej. – Grant Burch smarknął po raz drugi. – I idziemy po niego przez Wellington Gardens. Nikomu nie ujdzie płazem zadzieranie ze mną.

— Grant, a jego tato? – odezwał się Phelps.

— Co niby „jego tato”?

— No, przecież mamę Wilcoksa wsadził do szpitala...

— Nie boję się szmyrgniętych mechaników. Dawaj nową fajkę!

— Nie gniewaj się, Grant, ale zostały już tylko woodbine’y – wybąkał z trudem Phelps.

— Woodbine’y?

— Przepraszam, ale u mamy w torebce nie było nic innego.

— No a szóstki starego?

— Nooo, chyba też się mu skończyły, sorki.

— O Boże! Dobra. Dawaj te woodbine’y. Taylor, chcesz zapalić?

— Rzucił – Ant Little uśmiechnął się pogardliwie. – Co nie, Taylor?

— Ale znowu palę – odpowiedziałem Burchowi, gramoląc się pod górę.

— W porządku? – Dean Moran pomógł mi pokonać śliski brzeg nasypu.

— W porządku – odpowiedziałem.

— Iiiii-HAAAAAAA! – siadłszy na Kłodzie okrakiem jak na koniu, Ciapciak trzasnął się w tyłek witką. – Tydzień pochodzi chłopaczek z obolałym dupskiem! – zdanie to usłyszał pewno w jakimś filmie.

Średniak mojego pokroju nie powinien odmawiać starszakowi jak Grant Burch. Ujawszy papierosa zgodnie ze wskazówkami kuzyna, udałem, że mocno się zaciągam. (Naprawdę to cały dym wstrzymałem w ustach). Ant Little spodziewał się, że sobie wykaszlę płuca. Ale wypuściłem dym, tak jakbym to już robił setki razy, i podałem papierosa Darrenowi Croome’owi. (Czemu coś tak zakazanego, jak palenie, ma tak obrzydliwy smak?)

Zerknąłem na Granta Burcha, żeby sprawdzić, czy wywarło to na nim wrażenie. On jednak się zapatrzył w Bramę Pocałunków przy kościele.

— Zobaczcie, cholera jasna, kogo tutaj niesie!

Pod Wydrążoną Kłodą dwaj bojownicy poczęli mierzyć się wzrokiem. Grant Burch przystąpił do Rossa Wilcoxsa ze dwa, trzy centymetry, ale Ross mimo wszystko jest zręczniejszy. Jako swych sekundantów Ross przyprowadził Gary'ego Drake'a i Wayne'a Nashenda. Wayne Nashend swego czasu należał do punków z Upton, później był w paczce New Romantic, a teraz już na dobre przystał do modsów z Upton. Rzadki z niego tępak. Czego o Garym Drake'u jednak nie można powiedzieć. Chodzimy do jednej klasy. Ale Gary Drake jest krewnym Rossa Wilcoxsa, więc trzymają się razem.

— Spieprzaj do domu, do mamusi – rzekł do Rossa Wilcoxsa Grant Burch – póki czas! (Wstęp wyjątkowo podły. Przecież każdy wie, co spotkało mamę Rossa).

Ross Wilcox ocharkał mu nogi.

— Każ mi, to wtedy spieprzę!

Grant Burch spojrzął na swe ocharkane trampki.

— Jęzorem, kurwa, je wyczyścisz, Siurze jeden!

— Uważaj, bo się zdziwisz! Zmusz mnie!

— Gówna się nie zmusza, bo wylezie samo.

— No, Burch, aleś się wysilił!

Nienawiść ma zapach spalonych sztucznych ogni.

Szkolne naparzanki są wdechowe. Każdy wrzeszczy: „DAWAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAAJ!” i pędzi ku epicentrum. Następnie przez licznie zgromadzoną publikę przedziera się do walczących pan Carver albo pan Whitlock. Ta naparzanka jednak była sto razy potworniejsza. Aż sam odruchowo zacząłem się uchylać przed razami, jak to przy oglądaniu w telewizji skoków wzwyż bezwiednie podnosi się nogę. Grant Burch bez ceregieli natarł na Rossa Wilcoxsa całym ciałem.

Ross Wilcox, osłabiony, chciał mu oddać, by jednak się nie wywalić, wykonał skręt w bok.

— Kutasie! – Grant Burch chwycił Rossa za gardło.

— Sam jesteś kutas! – Ross chwycił za gardło Granta Burcha. I pięścią uderzył go w łeb. Boleśnie.

Grant Burch założył Rossowi podwójnego nelsona. Dopiero zabolalo.

Ross Wilcox zaczął się wic jak piskorz, więc Grant, nie mogąc go sprowadzić do parteru, dał mu pięścią w twarz. Rossowi jakoś udało się wykręcić rękę i wczepić palcami w gębę Granta Burcha.

Grant Burch pchnął Rossa Wilcoxsa i kopnął go w żebro.

I zaczęli się bóść, niby dwa barany.

Po czym, klnąc przez zęby, zaczęli się mocować.

Z nosa Granta Burcha wyciekła szkarłatna smużka i upaprała twarz Rossa.

Ross Wilcox podłożył Grantowi nogę.

Grant Burch mu to samo.

Ross Wilcox podłożył drugą.

Aż się potoczyli na sam kraj nasypu.

— Uwaga! – ostrzegł Gary Drake. – Bo zlecicie!

Spleceni, zachwiali się, zakołysali nad krawędzią.

No i polecieli.

Ross Wilcox jakoś wstał z ziemi. Grant Burch w ogóle nie mógł się pozbierać, tylko polegiwał, tuląc prawą rękę w lewej i mrużąc oczy ze straszego bólu. „O, kurczę” – pomyślałem. Na twarzy miał zaschłą krew i ziemię.

— Uuu – rzekł z kpina Ross Wilcox. – Mamy dosyć, prawda?

— Nie mogę ruszyć ręką – skrzywił się Grant Burch. – Przez ciebie, kurwa, ty palancie!

Ross Wilcox splunął niby od niechcenia.

— Coś mi się zdaje, że przegrałeś, racja?

— Nie przegrałem, gnoju, mamy, kurwa, remis!

Ross Wilcox wyszczerzył się do Gary’ego Drake’a i Wayne’a Nashenda.

— Skoro Grant Burch, zwany Siurem, twierdzi, że mamy remis, to co byście, panowie, powiedzieli na drugą rundę, hm, hm? Trzeba się rozliczyć, co nie?

Grantowi nie pozostało nic innego, jak obrócić swą porażkę w wypadek.

— Taaa, już lecę, Wilcox, ze złamaną ręką!

— Więc chcesz, żebym ci załatwił drugą, tak?

— Patrzcie, jaki twardziel! – Grantowi udało się podnieść. – Chodź, Phelps! Pora się nam zbierać!

— A idźże sobie, spadaj do mamusi.

Grant Burch nie odważył się odpowiedzieć, że on przynajmniej ma mamę. Tylko spiorunował wzrokiem pobladłego sługę.

— PHELPS! Czyś ty nagle ogłuchł? Zbieraj się! IDZIEMY!

Philip Phelps się ocknął i zjechał z nasypu na tyłku. Ale na drodze stanął mu Ross Wilcox.

— Phil, to ty się dalej zgadzasz, żeby pomiatał tobą ten klarnet? Nie jesteś jego własnością. Chociaż raz mu powiedz, żeby się od ciebie odpierdolił! Cóż ci może zrobić?

— PHELPS! – ryknął Grant Burch. – Bo drugi raz już nie powtórzę!

Phelps chwilę dumał nad tym wszystkim, mogę się założyć. Po czym, ominąwszy Rossa Wilcoxsa, pokłusował za swym panem. Na odchodnym Grant Burch pokazał Rossowi znak „wiktorii” sprawną ręką.

— Ej, dupki! – Ross Wilcox podniósł sporą grudkę ziemi. – Zapomnieliście śniadania!

Grant Burch najwidoczniej zakazał Phelpsowi się odwracać.

Na linii rzutu nie było żadnych przeszkód.

Więc bomba ziemna wybuchła na karku Philipa Phelps.

Wprawdzie w tej potyczce Ross Wilcox sporo ryzykował, ale opłaciło się, i to jeszcze jak! Jako zdobywca skalpu Granta Burcha, stał się największym twardzielem wśród drugoklasistów. Teraz to na pewno będą go chcieli do spooksa. Rozsiadł się na swym tronie na Wydrążonej Kłodzie.

— Wiedziałem, że tobie Grant Burch nie podskoczy! – oznajmił Ant Little.

— Ja też – dodał Darren Croome. – To było wiadomo już jak

tu szliśmy rano.

Ant Little wyciągnął paczkę playersów numer sześć.

— Częstuj się.

Ross Wilcox zakosił całą paczkę.

Wyraźnie uradowało to Anta Little'a.

— Kto ci przekłuwał ucho? – zwrócił się do Rossa.

— Sam sobie przekłułem. Igłą. Wyjałowiłem nad świeczką. Boli jak diabli, ale, kurczę blade, żadna filozofia.

Gary Drake zapalił zapałkę, pocierając nią o drzewo.

— Wy dwaj... – na mnie i Deana Morana spojrzął z ukosa Wayne Nashend – ...przyszliście z Burchem, co nie?

— Ja nic o bójce nie wiedziałem – zaprotestował Dean Moran.

– Wybieram się do Białołistnego Dębu, babcia mnie zaprosiła.

— Na piechotę? – Ant Little podejrzliwie zmrużył oczy. – Przecież to kawał drogi. Czemu cię stary nie zawiezie?

— Chory – stropił się Moran.

— Znów poszedł w tango – rzekł Wayne Nashend. – Co nie?

Moran wbił wzrok w ziemię.

— A mama cię nie może zawieźć?

— Przecież nie zostawi taty...

— A pan – głos Gary'ego Drake'a zabrzmiał jak syk żmii – Jason Taylor, Prezes Towarzystwa Wylizywaczy Dupy Granta Burcha? Cóż pana tu sprowadza?

Nie można normalnie odpowiedzieć, że się wyszło na spacer, bo spacery są pedalskie.

— Iiiii-HAAAAAAA! – siadłszy na Kłodzie okrakiem jak na koniu, Ciapciak trzasnął się w tyłek witką. – Tydzień pochodzi chłopaczek z obolałym dupskiem!

— A ciebie – strzyknął śliną Darren Croome – to już dawno powinni zamknąć u czubów w Little Malvern, wiesz, Ciapciak?

— No, Taylor? – Rossa Wilcoksa niełatwo zbić z pantałyku.

W panice wyplułem gumę, przeżutą na wylot. Kat ścisnął mi język u nasady i po prostu nie mogłem wyjąkać ani jednej litery.

— Idzie ze mną do babci – oświadczył Dean Moran.

— Ciekawe, że my się dowiadujemy o tym – stwierdził Ant Little tonem oskarżenia – dopiero teraz, jak Ross już dokopał temu wałowi, Burchowi.

— Bo nie pytałeś, Little – jakoś się udało.

— Umówiliśmy się tu z Taylorem – Moran chciał zażegnać sprawę. – Już dawno. Idzie ze mną do babci. Chodź, Jason, nie mamy czasu.

W szkółce choinek panowały ciemności jak podczas zaćmienia Słońca, a wokół roznosiła się woń wybielacza. Armie drzew w niekończących się szeregach. Do ust i do oczu wlatywały muchy tycie jak przecinki. Powinienem był podziękować Moranowi, że przy Wydrążonej Kłodzie udzielił mi pomocy – ale tym samym przyznałbym się, jak strasznie spanikowałem. Wobec tego postanowiłem mu opowiedzieć o trzech dobermanach. Wcale się nie zdziwił.

— A, Kit Harris? Znam go. Trzykrotnie brał rozwód z tą samą kobietą. Powinno się babsztyla leczyć. Kit Harris ma tylko jedną miłość: psy. Pewno nie uwierzysz, ale jest nauczycielem.

— Nauczycielem? Przecież to wariat.

— No. W poprawczaku; wiesz, jak się idzie w stronę Pershore. Ma ksywę „Borsuk”, od tego pasma siwych włosów. Znaczą: do niego to tak nikt nie mówi. Raz tam jeden chłopak narznął mu na maskę. Zgadnij, jak Borsuk wykrył sprawcę.

— Jak?

— Po kolei wszystkim wciskał pod paznokcie szpile, aż w końcu któryś się złamał i wsypał chłopaka.

— Nie mów!

— Powaga! Kelly mi mówiła, moja siostra. W zakładach poprawczych panuje zaostrzona dyscyplina, stąd nazwa „zakłady poprawcze”. Z początku Borsuk chciał wyrzucić klienta. Ale dyrektor się nie zgodził, bo wywalenie z poprawczaka jest równoznaczne z pójściem do więzienia. Więc kiedy minęły dwa-trzy tygodnie, Borsuk zorganizował podchody na Wzgórzu Bredon. Wieczorem.

— Co to są podchody?

— Taka gra wojskowa. Skauci też w nią grają. Grupa musi zdobyć flagę przeciwnika, coś w tym stylu. No, w każdym razie, na drugi dzień rano zniknął chłopiec, który obsrał Borsukowi auto.

— Gdzie zniknął?

— Właśnie! Dyrektor zawiadomił Interpol, no i powiedziało im, że może po prostu chłopak chciał dać nogę. W poprawczakach często się to zdarza. Ale moja siostra dotarła do sedna sprawy. Tylko przysięgnij na swe życie, że nikomu nie wygadasz.

— Przysięgam.

— Na swe życie.

— Na swe życie.

— Kelly załatwiła coś u Rhydda, a tu nagle wchodzi Borsuk. Trzy tygodnie po zaginięciu chłopaka, kumasz? Więc Borsuk kupuje chleb i inne takie. Zbierał się już, gdy pan Rhydd go pyta: „A karma dla piesków, panie Harris?”. Borsuk na to, że niby pieski są na diecie. Kiedy sobie poszedł, Kelly podsłuchiwała, jak pan Rhydd mówił do staruszki Pete’a Redmarleya, że Borsuk od trzech tygodni nie kupuje tej karmy.

— Mhm – nie całkiem zrozumiałem, o co biega.

— Chyba nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, czym karmił te swoje dobermanym trzy tygodnie, co nie?

— Co?!

— No, żarły tego chłopaka, co zaginał!

— Rany – zadrzałem. – Rany boskie!

— Więc skoro tylko cię nastraszył – Moran klepnął mnie w ramię – to się powinieneś cieszyć.

Ścieżkę w pewnym miejscu zalała gnojówka i trzeba ją było przeskoczyć. Mnie tężyzna fizyczna nie zawiodła, ale Moran zamoczył nogę aż po kostkę.

— A powiesz, gdzie naprawdę szedłeś, Jace?
(Kat przechwycił „nigdzie”).

— Bez celu. Tak sobie.

Moranowi chlupnęło w bute.

— Na pewno masz jakiś cel...

— No, bo wiesz... – wyznałem – ...podobno ścieżka konna ciągnie się przez Wzgórza do tunelu. Stwierdziłem, że warto się tam wybrać i trochę rozejrzeć.

— Tunelu? – Moran przystanął i z niedowierzaniem poklepał mnie po ramieniu. – Też tam idę!

— A wizyta u babci w Białołistnym Dębie?

— Po drodze, na nowo odkrywam zaginiony tunel, czujesz? Zbudowany przez Rzymian, żeby napaść Hereford.

— Rzymianie? Tunel?

— A jak by inaczej wykopali tych zasranych wikingów? Przeprowadziłem badania, więc wiem. Mam latarkę, kłębek sznurka i w ogóle. Przez Wzgórza biegną trzy tunele. Jeden należy do Brytyjskich Kolei Państwowych i jeździ nim pociąg do Hereford. Jest nawiedzony. Mechanik w pomarańczowym kombinezonie z czarnym paskiem straszy w miejscu, gdzie został przejechany. Drugi tunel należy do Ministerstwa Obrony Narodowej.

— Słucham?

— No, Ministerstwo Obrony Narodowej wykopało schron przeciwatomowy. Wejście jest w centrum ogrodniczym Woolwortha w Great Malvern. Jak bum-cyk-cyk. Jedna ściana centrum to imitacja ściany, za którą kryją się drzwi do lochu, jak w banku. Gdy tylko włączy się czterominutowe ostrzeżenie, żandarmeria wojskowa przewiezie do Woolwortha całe towarzystwo z Ministerstwa Obrony Narodowej, zebrane w Royal Signals and Radar Establishment. Wpuszczą tam radnych z Rady Malvern, jak również dyrektora Woolwortha wraz z zastępcą. Następnie żandarmi... którzy wyproszą spanikowanych klientów, grożąc im bronią... też tam wejdą. Dla prokreacji wezmą ze dwie co ładniejsze sprzedawczynie. Co wyklucza moją siostrę, no nie? Później drzwi się zamkną, a my wylecimy w powietrze, prosto do Królestwa Niebieskiego.

— To już chyba nie Kelly ci to powiedziała, co?

— Nieee. Gość, od którego tato kupuje koński nawóz

do ogrodu. Ma kumpla barmana w RSRE.

Więc to jednak prawda.

— Rany!

Wtem w zaspie sosnowych igieł barwy khaki ujrzałem jakby rogi Herna Myśliwego. Była to jednak zwykła gałąź.

— A jak byśmy tak połączyli siły? – zaproponowałem. – I razem poszukali trzeciego tunelu. Tego zaginionego.

— A... – Moran chciał kopnąć szyszkę, ale chybił – ...kto udzieli wywiadu „Gońcowi Malvern”?

Pod moim kopniakiem szyszka potoczyła się w dół posępnej drogi.

— Obaj.

Wariacki bieg przez pole stokrotek, z oczami utkwionymi w ziemi. Coś kapitalnego. Zielony wszechświat zasnuwają płatki gwiazd i komety dmuchawców. Podróż wśród galaktyk tak nam zakręciła w głowach, że postanowiliśmy odpocząć w stodole na drugim końcu łąki. Miałem sto razy lepszy nastrój od Morana, bo jemu wciąż chlupało w bucie, lśniącym na dodatek od krowiego łajna. Na szczyt patelniowatego dachu wspięliśmy się bez trudu, bo pod ścianą stały, jedna na drugiej, wielkie bele słomy. Widoczny ode mnie z pokoju kogucik nie poruszał się z lewa na prawo, tylko z prawa na lewo.

— Fajna by tu była kryjówka dla snajpera – stwierdziłem, by się pochwalić wiedzą w kwestiach wojskowości.

Moran zsunął trampek upaprany gównem i położył się na plecach.

Też się położyłem. Zardzewiałe żelazo paliło żywym ogniem.

— To dopiero życie – westchnął Moran po chwili.

— Mógłbyś to powtórzyć – powiedziałem po chwili.

— To dopiero życie – natychmiast powtórzył Moran.

Czułem, że to powie.

— Ależ lotna kwestia.

W dali beczwały owce z jagniętami.

A gdzieś z drugiej strony warczał traktor.

— Powiedz, czy twój stary czasem się zalewa? – spytał Moran.

Jakbym odparł, że tak, skłamałbym; jak nie – wyszedłbym na pedała.

— Czasem wypije ze dwa drinki, jak jest u nas wujek Brian.

— Nie chodzi mi o dwa drinki. Tylko czy się, kurwa mać, nawala... no tak, że nie jest w stanie mówić?

— Nie.

Przez to moje „nie” dzielący nas metr zmienił się w kilometr.

— Wiadomo – Moran przymknął oczy – że to do twojego taty nie pasuje.

— Do twojego też nie. Jest taki miły i fajny...

Nagle ponad nami skrzydła samolotu: błysk rtęci w ciemnym błękicie.

— Maxine wtedy mówi: „Tacie świat ciemnieje”. Ma rację. Wszystko mu ciemnieje. Zaczyna... wiesz, od kilku puszek... Później hałasuje i opowiada gówniane kawały, które mają nas okropnie śmieszyć. Krzyczy i w ogóle... Więc sąsiedzi walą w ścianę. Wtedy on też. I jeszcze ich wyzywa, że aż uszy puchną. Potem zamyka się w pokoju, no, ale tam ma butelki. Słysząc, jak rozbija. Jedną za drugą. Aż zaśnie. A później tak strasznie żałuje... „Więcej tego paskudztwa już do ust nie wezmę...” Kto wie, czy to nie gorsze... Wiesz, to coś takiego, jakby ten okropny, zaślapiiony facet, który w ogóle nie jest moim tatą, brał tatę na niekończący się ubaw i tylko ja, mama, Kelly, Max i Sally... wiemy, że to nie on. Ludzie to mówią: „Frank Moran pokazuje prawdziwe oblicze i tyle”. Ale to nieprawda – Moran wykręcił głowę w moją stronę. – Ale prawda. Nieprawda. Prawda. Nieprawda... Jeja, skąd mam wiedzieć?

Minęła chwila nasycona bólem.

Zieleń powstaje, rzecz prosta, w wyniku połączenia błękitu i żółcieni – ale jak spojrzeć na zieleń, gdzie niby znikają te kolory? Z tatą Morana jest tak jakby podobnie. Podobnie jest z każdym i ze wszystkim. Lecz gdybym chciał to powiedzieć Moranowi, na pewno coś bym sknocił.

— Masz może ochotę na dzięcioła? Zimny, pycha – westchnął Moran.

— Co ty? Wzięłeś jabłecznik?

— Nie. Tato wypił wszystko. Ale – Moran pogrzebał w torbie – mam puszkę irn bru.

Irn bru ma smak musującej gumy w płynie, ale odparłem: „Jasne”, bo nie wziąłem nic do picia, a irn bru lepsze niż nic. Liczyłem na chłodne górskie źródła, ale oprócz gnojowy jakoś żadnej wody dotąd nie spostrzegłem.

Irn bru eksplodowało w rękę Morana niby granat.

— Kurczę!

— Pieni się, musisz uważać.

— Znalazł się, mądrala! – oblizując rękę, Moran dał mi pociągnąć.

W zamian poczęstowałem go karmelową cadbury. Całkiem wyciekła z papierka, ale po obraniu z paprochów (mojej kieszeni) smakowała nie najgorzej. Dostałem napadu kataru siennego i musiałem kichnąć w zbryloną chusteczkę chyba ze dwadzieścia razy.

Niebo rozdarła smuga kondensacyjna.

Ale się zagoiło. Bez ceregieli.

KRRRRRRRRRA!

Gdzieś między snem a przebudzeniem o mało nie zleciałem z dachu. No ale w końcu zdołałem jakoś odzyskać równowagę.

W miejscu, gdzie dotąd leżał Moran, urzędowały trzy monstrualne wrony.

Morana – ani śladu.

Wrony miały dzioby jak sztylety. A w oczkach – złe zamiary.

— A sio!

Już one wiedzą, kiedy się przyczepić.

Kościelny dzwon wybił jedenastą czy dwunastą; wrony tak mnie rozstroiły, że nie udało mi się policzyć. Raptem twarz i szyję zakłuły wodne strzałki. Pogoda się popsuła, kiedy spałem. Wzgórza Malvern zniknęły za kulisami deszczu. Zafalowały łąki. Wrony jakby nie mogły znaleźć sobie miejsca.

W stodole Morana też nie było. Na pewno uznał, że nie podzieli się ze mną wywiadem na pierwszej stronie „Gońca

Malvern”. A to zdrajca! No, ale jak się chce bawić w „Scott kontra Amundsen”, ja nie mam nic przeciwko! W życiu mu się nie zdarzyło mnie pokonać.

W stodole woniało potem, sianem i szczochami.

Deszcz podjął atak dywanowy, zrzucając z dachu pociski i bombardując kałuże. (Moran Dezerter będzie miał za swoje, jak zmoknie i nabawi się zapalenia płuc). Deszcz chciał skasować wiek dwudziesty. Deszcz zmieniał świat w połącie bieli i szarości.

Podwójna tęcza nad uśpioną potęgą Wzgórz Malvern złączyła obelisk Worcestershire Beacon z fortyfikacją British Camp. Przed wiekami tam właśnie Rzymianie urządzili masakrę Brytyjczyków. Słońce barwy melona ociekało parnym blaskiem. Prędko podjąłem wyprawę, na przemian: biegiem i spokojnym krokiem. Stwierdziłem, że jeśli spotkam Morana, słowem się do niego nie odezwę. Niech zdrajca szejnie. Wilgotna darni skrzypiała pod stopami. Przelazłem rozchwierutaną bramę oraz wybieg dla koni z przeszkodami sporządzonymi ze słupków w paski i policyjnych pachółków. Za wybiegiem było podwórze. Dwa silosy lśniły w słońcu niby statek kosmiczny z epoki wiktoriańskiej. Altanki porastało kwiecie o kielichach jak puzony. Na obłazącej tabliczce widniał napis: „KOŃSKI NAWÓZ NA SPRZEDAŻ”. Stadka kur doglądał zawadiacki kogut. Na sznurze wisały przemoczone białe poszwy i prześcieradła oraz falbaniaste majtki i staniki. Omszała ścieżka wiodąca ku drodze głównej niknęła za wzniesieniem. Mijając stajnię, zerknąłem w ciemność przesiąkniętą ostrym zapachem nawozu.

Jeśli się nie mylę, stały tam trzy konie. Jeden gwałtownie odrzucił łeb do tyłu, jeden parsknął, a jeden zaczął mi się przyglądać. Czym prędzej ruszyłem w dalszą drogę. Skoro ścieżka konna biegnie przez podwórze, to pewnie nie jest prywatna, choć trudno na cudzym podwórku czuć się jak u siebie. Zawsze się boję, żeby nie usłyszeć: „Wstęp surowo wzbroniony! Podam cię do sądu, jeszcze popamiętasz!”. (Dawniej to wkraczanie na cudzy teren kojarzyło mi się z Niebem i Piekłem, ze względu na modlitwę *Ojciec nasz...*).

No, ale dobra. Za następną bramą było takie sobie średnie pole. Ciągnik firmy John Deere rzeźbił w ziemi śliskie bruzdy. Za pługiem kręciły się mewy, dziobiąc wielkie tłuste dżdżownice. Schowałem się, dopóki traktor nie odjechał.

I popędziłem ścieżką, jak agent Powietrznych Służb Specjalnych.

— TAYLOR!

Ledwo zdążyłem się rozpędzić, a już musiałem przystopować.

W kabinie wiekowego traktora siedziała i strugała patyk Dawn Madden w lotniczej kurtce i ubłoconych martensach z czerwonymi sznurówkami.

Oddech mi się uspokoił.

— Heja (chciałem odpowiedzieć: „Madden”, bo zwróciła się do mnie po nazwisku), Dawn.

— Gdzie masz – spytała, odzierając kijek z łykowatej kory – ten ogień?

— Hm?

— Hm? – zmałpowała. – Gdzie cię goni?

Ma włosy czarne jak smar i punkowatą fryzurę. Pewno używa żelu. Chętnie bym jej go powcierał.

— Lubię trochę pobiegać. Tak sobie.

— Aha, a cóż cię przygnało aż tu, na konną ścieżkę?

— Nic. Myślałem, żeby się chwilę przekimać na powietrzu.

— Więc – wskazała maskę ciągnika – tu się przekimaj!

Bardzo chciałem jej usłuchać.

— A to niby czemu? – zaraz mi się bardzo odechciało.

Szminek miała czerwono-porzeczkową jak guma owocowa.

— Bo tak mi się podoba.

— A – po przednim kole wgramoliłem się na maskę – ty co tu porabiasz?

— Już zapomniałeś? Mieszkam.

Zmoczyłem sobie cały tyłek.

— W tamtej zagrodzie?

Dawn Madden rozpięła kurtkę.

— W tamtej zagrodzie.

Między jej drobnymi piersiami spoczywał krucyfiks. Masywny i czarny, jak to noszą fani gotyckiego rocka.

— Myślałem, że mieszkasz w tym domu koło pubu.

— Kiedyś tak. Ale hałas był nie do zniesienia. A Isaac Pye, właściciel, to rzadki flejtuch. Ten zresztą – kiwnięciem głowy wskazała orzący pole traktor – też nie lepszy.

— Co za jeden?

— Mój ojczym, z urzędu. Ten dom to jego. Czy ty coś w ogóle wiesz? Mieszkam tutaj z mamą. Pobrali się w zeszłym roku.

Teraz mi się przypomniało.

— Jaki jest?

— Ma mózg byka – spojrzała na mnie zza niewidzialnej zasłony. – Choć, sądząc po odgłosach z sypialni, chyba nie tylko mózg. – Jej kark barwy mlecznej czekolady musnął duszny powiew.

— Te kuce w stajni to twoje?

— Aha: myszkuje się po okolicy?

Ojczym skręcił traktorem w naszą stronę.

— Zajrzałem tylko do stajni. Naprawdę.

Znów wzięła się za kijek.

— Utrzymanie koni to majątek! – Ciach, ciach, ciach. – W domu remont, a on się godzi, żeby szkółka jeździecka dalej je trzymała. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

Pięćset różnych rzeczy.

— Co strugasz?

— Strzałę.

— Na co ci strzała?

— Do łuku.

— A po co ci łuk i strzała?

— Nic tylko: „co-co-co-co-co-co?”. (Tu pomyślałem z przerażeniem, że nabija się z mojego jąkania, ale to chyba było pytanie bardziej ogólne). Aleś ty ciekawski, Taylor! Mam zamiar powystrzelać wszystkich chłopaków – po to. Świat się bez nich obejdzie. Chłopcy to jedna wielka szumowina, żebyś sobie wiedział.

- Kurde, dzięki.
- Nie ma za co.
- Dasz obejrzeć nóż?

Dawn Madden rzuciła nożem, we mnie. Chyba jakimś fuksem w żebra trafiło nie ostrze, a rękojeść.

- Madden!
- Co? – odmalowało się w jej ciemnomiodowych oczach.
- O mało mnie nie zabiłaś!

Dawn Madden ma ciemnomiodowe oczy.

- Och, biedaku!

Traktor dotoczył się do nas i wolno zakręcił. Ojczym Dawn Madden posłał mi setkę nienawistnych spojrzeń. Koło lemieszy powstały głębokie rdzawe bruzdy.

Dawn Madden, obłąkańczym głosem, wydarła się na ciągnik:

— Czyś ty, moja panno, córka własna czy przybrana, chcę w domu widzieć porządek albo stąd zabieraj to kościste dupsko! I nie licz, że ci się uda wystrychnąć mnie na dudka, bo jeszcze się przeliczysz!

Rękojeść noża była rozgrzana i lepka od jej dłoni. Ostrzem spokojnie by się dało odrąbać nogę albo rękę.

- Fajny.
- Głodnyś? – zapytała Dawn Madden.
- To zależy.

— Wybredny – wyjmując z papierowej torebki zgniecione ciasto duńskie, Dawn Madden ściągnęła z wierzchu papierek. – Ale chyba dasz się skusić, co? – oderwała kawałek i zaczęła machać mi przed nosem.

Lukier załśnił w słońcu.

- No, dobra.
- Proś, Taylor, proś, pieseczku! Chodź tu! Jaki grzeczny!

Podpełzłem do niej. Na czworakach, ale nie jak pies, tylko tak ostrożnie, żeby mnie przypadkiem nie zepchnęła w kępę pokrzyw. Z Dawn Madden to nigdy nie wiadomo. Kiedy się nade mną pochyliła, ujrzałem guzkowate sutki. Była bez stanika. Wyciągnąłem rękę.

— Łapy z daleka! W zęby, piesku!

I zaczęła mnie karmić. Za pomocą strzały.

Cytrynowy lukier, cynamonowe ciasto, słodko-ostre rodzynki.

Dawn Madden też jadła. Spostrzegłem, jak przeżuwa. A z bliska udało mi się też zobaczyć, że na jej krzyżu wisi chudy Jezus. Na pewno mu ciepło od jej ciała – szczęściarz. Ciasto duńskie szybko się skończyło. Delikatnie nabiła wiśnię na koniuszek strzały. Delikatnie wziąłem ją zębami.

Rozgorzało słońce.

— Taylor! – Dawn Madden zerknęła na strzałę. – Ukradłeś mi wisienkę! – wykrzyknęła z furją.

Wiśnia utknęła mi w gardle.

— Przecież... sama mi dałaś.

— Ukradłeś, kurwa, wisienkę, więc teraz pożalujesz!

— Dawn, no, ale...

— Kto ci niby pozwolił mówić mi na ty?

Dalej pogrywa? W co innego? Czy teraz już nie pogrywa?

Wbiła mi strzałę w jabłko Adama. Pochylona tak blisko, że poczułem słodycz jej oddechu.

— Cóż ty sobie wyobrażasz?

Oj, ostra ta jej strzała. Pewno przebiłaby tchawicę, gdybym jej czym prędzej nie wydobył z szyi. Gdybym. Bo to wcale nie było takie łatwe. Choćby dlatego, że miałem wzwód rozmiarów dobermana.

— Masz zapłacić za to, co wziąłeś! Takie jest prawo.

— Ale nie mam forsy.

— No to się dobrze namyśl! Czym, wobec tego, mógłbyś mi zapłacić?

— Yyy... – dołek w brodzie, aksamitny puszek ponad górną wargą, diabli nosek, usta jak płatki i szelmowski uśmiech... moje odbicie w groźnych sarnich oczach. – W kieszeni mam paczkę owocowych polo. Ale tak się skleiły, że byś je musiała rozwalić kamieniem.

Czar prysł. Strzała wyleciała z szyi.

Znudzona Dawn Madden z powrotem wspięła się na siodełko.

— Że co?

W odpowiedzi spojrzała na mnie z niesmakiem, jakbym się nagle zmienił w parę dzwonów z lumpeksu.

Od razu znów zapragnąłem strzały w szyi.

— Że co?

— Jak doliczę do dwudziestu, ma cię tu nie być, słyszysz, Taylor?! – Dawn Madden wsunęła do ust zgnieciony uprzednio listek wrigley's spearmint. – Powiem ojczymowi, żeś mnie obmacywał, powiem, że mnie... – oblizała się ze smakiem – obmacywałeś. Przysięgam!

— Nawet cię nie tknąłem!

— W kuchni, nad kredensem, ojciec ma śrutówkę, Taylor... Mógłby cię pomylić z łalutkim kłóliczkiem... Raz – dwa – trzy...

Ścieżka konna biegła przez ten taki sad z zamierzchłej epoki. Kruche osty i puchata trawa sięgały aż po łokcie, więc w zasadzie się nie szło, tylko trzeba było brodzić. Nadal myślałem o Dawn Madden. Bez pojęcia. „Pewnie podobam się jej trochę”. Bo chyba tym duńskim ciastem nie podzieliłaby się z bądź kim. Mnie Dawn Madden podobała się jak jasna cholera. A sympatia do dziewczyn jest groźna. Nie groźna, tylko niełatwa. Bywa niebezpieczna. W szkole to zaraz wszyscy sobie robią jaja. „Dziecko w drodze” – mówią, jak się ktoś z kimś prowadzi po korytarzu za rękę. Gdy dana dziewczyna podoba się innym chłopakom, zaraz chcą wkroić delikwentowi, aby jej dowieść, że chodzi z mięczakiem. A kiedy już się ma dziewczynę oficjalnie, jak Lee Biggs Michelle Tirley, musi się znosić, jak jej koleżanki zapisują zeszyty inicjałami obojga w sercach z dwiema strzałami, dodając jeszcze: „NA WIEKI”. Nauczyciele też w tym uczestniczą. Kiedy w zeszłym semestrze pan Whitlock dwupłciowo rozmnażał dżdżownice, to jedną nazwał „Lee”, a drugą – „Michelle”. Ja z chłopakami uznaliśmy, że to mało śmieszne, ale dziewczyny normalnie ryły ze śmiechu, jak publika w studio „Happy Days”. Oprócz Michelle, która poczerwieniała jak burak, ukryła twarz w dłoniach i rozplakała się rzewnymi łzami. Na co pan Whitlock

zaczął sobie z niej robić jeszcze większe jaja.

Z Dawn Madden sporo mnie różni. Według większości dzieciaków Kingfisher Meadows jest najelegantsza w całym Black Swan Green. Dom jej ojczyma stanowi przeciwieństwo elegancji. Ja chodzę do II KM, najlepszej klasy w szkole. Ona do II LP, w hierarchii przedostatniej. Niełatwo zlekceważyć te różnice. Trzeba przestrzegać zasad.

Później: stosunek płciowy. Na biologii przerabia się go dopiero w trzeciej klasie. Odbycie go to jednak całkiem co innego niż podręcznikowy rysunek wzwiedzionego członka w pochwie. Prawdziwą pochwę widziałem dotąd tylko na zatłuszczonej fotografii, którą nam pokazywał Neal Brose, pięć pensów od łebka. Przedstawiała ona kangurzątko we włochatej torbie mamy. Prawie sobie rzygnąłem outer spacerem i marsem.

W życiu jeszcze z nikim się nie całowałem.

Dawn Madden ma oczy koloru spadziowego miodu.

Z ziemi wystrzelił kasztanowiec, aż się napięły miliony silnych nóg i ramion. Na jednym z konarów ktoś powiesił huśtawkę z opony. Opona zawirowała, tak jak ziemia pod nią. W środku była deszczówka, ale ją wylałem, żeby się pohuścić. Najfajniejszy byłby stan nieważkości na orbicie Alfry Centauri, ale nieważkość na huśtawce też jest niezła. Można by się zabawić, gdyby był tu Moran. Drżąc, wspiąłem się po wystrzępionym sznurze, by sprawdzić, na ile drzewo jest wytrzymałe. Na górze stwierdziłem, że jest wytrzymałe jak diabli. Prócz tego znalazłem ruiny nadrzewnego domku. Choć nawet nie pamiętam, że kiedyś mnie bawiły takie sprawy. Wylazłem po gałęzi na sam szczyt, by wyrzeć z wnętrza zielonego dzwonu. Wokół bezkresny pejzaż. Ogarnąłem wzrokiem Black Swan Green, silos na farmie Dawn Madden, spirale dymu, szkólkę choinek i wieżę Świętego Gabriela z dwiema niemal równie wysokimi sekwojami.

Nożem armii szwajcarskiej wyciąłem w przegowanej korze:



Z ostrza ściekło trochę soku pachnącego zieleniną. Pani Throckmorton mówiła, że ludzie, którzy wycinają na drzewach napisy czy obrazki, to wandalę najgorszego rzędu, bo nie dość, że robią graffiti, to jeszcze na dodatek ranią żywe istoty. No i pewno ma rację, ale też z pewnością w życiu nie była trzynastoletnim chłopakiem, który poznał taką dziewczynę jak Dawn Madden. „Kiedyś – pomyślałem – jej to pokażę”. I z nią przeżyję swój pierwszy pocałunek. A ona mnie pomaca. Właśnie tutaj.

Po drugiej stronie kasztanowca widać było dalszy ciąg ścieżki konnej. Czyli: krętą drogę wiodącą do Marl Bank i Castlemorton, pola, znowu pola, w przebłysku – wznoszącą się nad jodłami stareńką wieżyczkę. Rząd słupów sieci elektrycznej. Bez trudu też dało się wyróżnić rozmaite szczegóły Wzgórz Malvern. Auta na Wells Road odbijające słoneczne promienie. Piechurzy wielkości termitów przemierzający Wzgórze Wytrwałości. Gdzieś w dole biegł trzeci tunel. Zjadłem kawałek sera Wensleydale i pokruszone krakersy Jacobs, żałując, że nie wziąłem chociaż kropli wody. Wróciwszy do huśtawki, już miałem zsunąć się na ziemię, gdy nagle rozległy się głosy. Męski i kobiecy.

— Widzisz? – Tom Yew, poznałem go od razu. – Mówiłem, że to tylko kawałeczek dalej.

— Owszem, Tom, mówiłeś. Ze dwadzieścia razy.

— Przecież ci zależało, żeby było intymniej.

— Ale nie wlec się aż do Walii – dopiero teraz zobaczyłem Debby Crombie. Nigdy nie gadałem z Debby Crombie, ale Tom Yew, starszy brat Nicka Yewa, to żołnierz Królewskiej Marynarki Wojennej, akurat na przepustce. Mogłem po prostu się przywitać, zleźć na dół i po sprawie. Przepajnie było pobyć niewidzialnym.

Wycofałem się więc po konarze w miejsce, gdzie pień się rozwidłał – i czekałem, kiedy sobie pójda.

Ale nie szli.

— To tu – Tom Yew przystanął tuż koło huśtawki. – Prywatny Kasztanowiec Toma i Nicka Yewów.

— A nie ma tu przypadkiem mrówek, pszczoł i takich innych stworów?

— To się zwie „przyrodą”, Debby. Na wsi człowiek co rusz się z tym styka.

Debby Crombie rozścieliła koc pomiędzy dwoma korzeniami.

Wciąż jeszcze mogłem (powinienem) się im pokazać.

I chciałem. Lecz zanim mi się udało wymyślić usprawiedliwienie bez jąkania, Tom Yew i Debby Crombie ułożyli się na kocu i zaczęli całować. Tom porozpinał guziczki jej lawendowej sukienki, po kolei, od kolan po spaloną słońcem szyję.

Gdybym teraz się odezwał, niechybnie byłoby po mnie.

Kasztanowiec zaszeleścił, zakołysał się i skrzypnął.

Debby Crombie wetknęła Tomowi palec do rozporoka i zamruczała:

— Ahoj, żeglarzu.

Tak ich to rozśmieszyło, że musieli przestać się całować. Tom Yew wyciągnął z plecaka dwie butelki piwa i podważył kapsle nożem armii szwajcarskiej. (Ja mam czerwony, a on czarny).

Stuknęli się.

— Za... – Tom Yew wzniósł toast.

— ...mnie, za moją urodę.

— Za mnie, przecudownego.

— Ja pierwsza to powiedziałam.

— No, dobra. Twoje zdrowie.

Pociągnęli po hańsach brązowego słońca.

— I za to... – dodała z powagą Debby Crombie – ...żebyś bezpiecznie wrócił z rejsu.

— Debby, przecież wiadomo, że mi nic nie grozi! Pięć miesięcy pływania po Adriatyku, Morzu Egejskim, Kanale Sueskim i Zatoce Perskiej...? Najwyżej trochę spiekę się na słońcu.

— Tak, ale ledwo się znajdziesz na pokładzie „Coventry” – Debby Crombie, zdaje się, wyduła wargi – zaraz zapomnisz o swej ukochanej, która tu, w Worcestershire, usycha z tęsknoty i okropnej nudy. Pójdiesz się zabawić gdzieś w Atenach i złapiesz chorobę weneryczną od jakiejś greckiej kusicielki imieniem...

— No, ciekawe, jakim?

— ...Iannos.

— „Iannos” to imię męskie. Po grecku znaczy: „John”.

— Tak, ale do ciebie dotrze to dopiero, kiedy cię spoi ouzo i przywiąże do łóżka.

Tom Yew z uśmiechem położył się na plecach – i spojrzał prosto na mnie.

Całe szczęście, że nie widział tego, na co patrzy. Kobra potrafi dostrzec swą ofiarę z odległości kilometra. Jeżeli jednak człowiek nawet nie drgnie, to nie zobaczy nic, choćby podeszła na półtora metra. Więc tego popołudnia ocalił mnie właśnie bezruch.

— Łaziło się po tym drzewie, jak Nick był mały i sikał jeszcze w majtki. Raz, latem, zbudowaliśmy domek wśród gałęzi. Ciekawe, czy z niego coś zostało...

Debby Crombie już zaczęła pieścić mu podbrzusze.

— Twój siurek, Thomasie Williamie, raczej mały nie jest.

Ściągnęła mu przez głowę tiszert z harleyem davidsonem. I odrzuciła szybkim ruchem. Tom Yew ma plecy lśniące i muskularne jak Action Man. A na ramieniu tatuaż: błękitnego miecznika.

Debby raz-dwa wyskoczyła z rozpiętej lawendowej sukienki.

W porównaniu ze słodkimi bułeczkami Dawn Madden, piersi Debby Crombie wyglądają jak dwa kosmiczne hopperry. Każda uzbrojona w jadowitą brodawkę. Tom Yew wziął się do ich

całowania, a ślina na jego wargach łyssała w kwietniowym słońcu. Wiem, że podglądanie jest naganne, ale nie mogłem się powstrzymać. Tom Yew ściągnął jej czerwone figi i zaczął głąaskać gęste jak rzezucha rude owłosienie.

— Jeśli chce pani, madame Crombie, abym przestał, musi mi pani to powiedzieć teraz.

— A skądże – zagruchała – ani mi się waź, paniczu!

Tom Yew wlażł na nią i zaczął tak jakby posuwać się zrywami, a ona – wzdychając, jakby jej zadawano chińskie tortury, objęła go nogami niby żaba. Wtedy Tom Yew zaczął poruszać się to w dół, to w górę, na modłę człowieka z Atlantydy. Na szyi pobrząkiwał mu srebrzysty łańcuszek.

Jej utyłane podeszwy złączyły się jak w modlitwie.

Na jego skórze szklił się pot, niby na pieczonym wieprzu.

Debby jęknęła jak Muminek na mękach.

Tomem nagle szarpnęło i – złożony w scyzoryk – wydał taki odgłos, jaki wydaje rozdierany kabel. I drugi, jakby ktoś go kopnął w jaja.

Debby zaryła paznokciami w jego tyłku, zostawiając łososiowe smugi.

Jej usta rozwarły się, tworząc idealne „O”.

Hen, w dali kościelny dzwon wybił pierwszą albo drugą. Moran Dezerter z pewnością uszedł kawał drogi. Mogłem liczyć tylko na to, że przypadkiem złapie się w zardzewiałe borsucze wnyki. Zaraz by mnie zaczął błagać, żebym sprowadził pomoc. A wtedy ja odparłbym: „Dobra, Moran, ale najpierw muszę się chwileczkę zastanowić!”.

Debby Crombie i Tom Yew wciąż trwali sklejeni. Debby sobie drzemała, a Tom pochrapywał. Nad wgłębieniem jego pleców przysiadł czerwony admirał, żeby zaspokoić pragnienie kropelką potu.

Byłem głodny i wnerwiony, i chory, i zazdrosny, i ospały, i zawstydzony, i kto wie, co jeszcze. Wcale nie dumny czy radosny, i całkiem mi się odechciało zrobić to, co oni. Te nieludzkie odgłosy... Wietrzyk kołysał kasztanem, kasztan

kołysał mną.

— EeeeeEEEEEE! – wrzasnął Tom Yew. – YYYYYYYYYYYY!

Debby Crombie też wrzasnęła. I wybałuszyła oczy.

Odskoczył od niej i przewrócił się na bok.

— Tom! Tom! Uspokój się! Uspokój się! SPOKOJNIE!

— Kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa, kurwa.

— Skarbie, to ja, Debby! Nie bój się! To zły sen! Coś ci się przyśniło!

Purpurowy od słońca, Tom Yew przymknął wystraszone oczy, kiwnął, że rozumie, i kucając pod korzeniastą macką, złapał się za gardło.

— No, juuuuuż – Debby Crombie z powrotem wskoczyła w lawendową sukienkę i przytuliła go matczynym gestem. – Kochanie, ty cały drzysz! Okryj się. Będzie dobrze...

— Przepraszam, Debby – głos mu się załamywał. – Pewno cię nieźle nastraszyłem.

Narzuciła mu koszulę na ramiona.

— Powiedz mi, co to było?

— Nic.

— Jasne, nic jak cholera! Mów w tej chwili!

— Byłem na pokładzie „Coventry”. W nieprzyjacielskim ogniu...

— No i? No i?

Tom Yew zacisnął powieki i pokręcił głową.

— A mówże wreszcie!

— Nie mogę. Za bardzo to było... kurwa, realistyczne.

— Ależ, Tom, daj spokój. Kocham cię i chcę wiedzieć.

— Nooo, a ja kocham cię za bardzo, żeby ci opowiedzieć, i już. Chodź. Wracajmy do wioski. Bo jeszcze nas zobaczy jakiś gówniarz.

Kalafiory rosły w równiutkich rzędach między spiczastymi brzdami. Byłem gdzieś w połowie drogi, gdy z rykiem nadleciały samoloty, burząc nieboskłon nad Doliną Severn. Nad naszą szkołą kilka razy dziennie zrywa się tornado, więc już się szykowałem osłonić rękoma uszy. Ale nie byłem gotów

na spotkanie z trzema samolotami Hawker Harrier, co śmignęły nad ziemią tak niziutko, że można by je spokojnie trafić piłką do krykieta. Niesamowity warkot! Skulony, raz po raz zerkiałem na to widowisko. Samoloty zatoczyły koło i prawie że roztrzaskały się o Wzgórza Malvern – po czym odleciały w kierunku Birmingham, z piskiem umykając kontroli radarowej Sowietów. Jak wybuchnie trzecia wojna, migi stacjonujące w Warszawie albo w Niemczech Wschodnich będą z piskiem unikać kontroli radarowej NATO. I spuszczać na nas bomby. Na miasta, wioski i miasteczka Anglii, jak Worcester, Malvern i Black Swan Green.

Drezno, wojna błyskawiczna, Nagasaki.

Czekałem, aż ryk samolotów umilknie, zagłuszony w końcu warkotem samochodów w dali i szumem pobliskich drzew. Ziemia jest jak drzwi, wystarczy tylko zbliżyć do niej ucho. Wczoraj w telewizji pani Thatcher opowiadała grupce uczniów o pociskach samosterujących dalekiego zasięgu. „Aby spacyfikować szkolnego tchórza, który znęca się nad słabszymi – powiedziała, pewna swego, tak jak błękitu swoich oczu – wystarczy na każdy jego cios reagować ciosem znacznie, znacznie silniejszym!”

Ciekawe, że strach przed odwetem jakoś nie powstrzymał przed wiadomą naparząnką ani Rossa Wilcoxsa, ani Granta Burcha.

Otrzeptałem się ze słomy oraz kurzu i ruszyłem w dalszą drogę. Na skraju kolejnego pola ujrzałem staroświecką wannę. Jak należało się domyślać ze śladów kopyt dookoła, służyła jako koryto. W środku coś było, przykryte wielkim worem po nawozie. Zaciekawiony, prędko odsunąłem wór.

W wannie leżały powalane błotem zwłoki chłopca w moim wieku.

Wtem zwłoki się podniosły i skoczyły mi do gardła.

— Z PROCHU POWSTAŁEŚ – usłyszałem – I W PROCH SIĘ OBRÓCISZ!

Po upływie minuty Dean Moran nadal lał w gacie ze śmiechu.

— Żebyś ty się widział! – aż zaczął się krztusić. – Żebyś ty to widział!

— No, dobra, dobra – powtórzyłem po raz setny. – Gratulacje. Jesteś po prostu genialny.

— Wyglądałeś, jakbyś się normalnie zesrał!

— Okay, nabrałeś mnie, Moran. Nabrałeś, już daj spokój!

— W życiu mi się nie udał lepszy kawał na prima aprilis!

— Tak? A czemuś wtedy spieprzył? Myślałem, że tego tunelu mamy szukać razem...

Moran się uspokoił.

— Bo, wiesz...

— Nie, nie wiem. Chyba się umówiliśmy?

— Nie chciałem cię budzić – z zakłopotaniem odpowiedział Moran.

„Tu chodzi o jego tatę” – stwierdził Nienarodzony Bliźniak.

Moran ocalił mnie przed pięściami Gary’ego Drake’a, więc postanowiłem przymknąć na to oczy.

— To co? Szukamy tunelu razem czy jednak wolisz w pojedynkę?

— Czekałem, aż mnie tu dogonisz, co nie?

Nieużytki osłaniało z jednej strony wzniesienie pokryte zaroślami.

— W życiu nie zgadniesz, kogo tam spotkałem... – tak zacząłem opowieść.

— Dawn Madden – powiedział Moran. – Na traktorze.

Ciekawe.

— Ty też?

— Wariatka, cholera jasna! Kazała mi wleźć na traktor.

— Nie mów!

— No! Musiałem się z nią posiłować na rękę. Chciała mi dać nóż za duńskie ciasto.

— Kto wygrał?

— Ja! Przecież to dziewczyna! Ale ciasto i tak mi odebrała. Kazała mi spieprzać z ziemi ojczyma, bo jak nie, to go zawoła, a on mi swoją śrutówką pokaże, gdzie raki zimują! Normalnie:

wariatka.

Poczułem się mniej więcej tak, jakbym w połowie grudnia wytropił prezent gwiazdkowy, nie znajdując go jednak pod poduszką w Boże Narodzenie.

— A ja widziałem coś o wiele fajniejszego niż Dawn Madden na traktorze.

— No? No?!

— Toma Yewa z Debby Crombie.

— Nie wierzę! – Moran ma szpary między zębami. – Pokazała cycki?

— Nooooo...

Oczyrna duszy ujrzałem, jak się rodzi plotka. Ja powiem Moranowi. Moran swojej siostrze Kelly. Kelly powie siostrze Petera Redmarleya, Ruth. Ruth Redmarley powie Pete'owi Redmarleyowi. Pete Redmarley powie Nickowi Yewowi. Nick Yew powie Tomowi, który jeszcze przed zmrokiem podjedzie suzuki pod mój dom, zwiąże mnie, wsadzi do wora i utopi w jeziorze w lesie.

— Co „no”?

— Nic, tylko się całowali.

— Szkoda, żeś nie został dłużej, wielka szkoda. – Moran wykonał swoją popisową sztuczkę z wkładaniem języka do dziurki w nosie. – Mógłbyś zobaczyć, jak się parzą.

W świetlnych kręgach, gdzie poprzez gęstwiny docierało słońce, roiło się od dzwonków. Powietrze było przesiąknięte ich zapachem. Dziki czosnek woniał przypieczoną flegmą. Kosy śpiewały tak, jakby od tego zależało ich życie. Śpiew ptaków to są myśli lasu. Coś pięknego, ale chłopcom nie wolno mówić: „pięknie”, bo jest to tak pedalskie, że szkoda słów. Ścieżka konna gwałtownie się zwężyła. Zgodziłem się, by Moran poszedł pierwszy, no i mnie osłaniał. (Nie na darmo latami zaczytywałem się w *Warlord*; co chwila się tam mówi o technikach przetrwania). Więc kiedy raptem przystanął, wtarabaniłem się na niego.

Moran dał mi znak palcem, że mam siedzieć cicho. Na ścieżce,

ze dwadzieścia kroków przed nami, stał wysuszony facet w turkusowym chałacie. Wpatrywał się w dół wiru jasności i bzyczenia, który się okazał mrowiem pszczoł.

— Co on wyprawia? – szepnął Moran.

Chciałem odpowiedzieć, że się modli, ale ugryzłem się w język.

— Skąd mam wiedzieć?

— Ul dzikich pszczoł – szepnął Moran. – Nad nim, na tym dębie. Widzisz?

Nie widziałem.

— Myślisz, że to pszczelarz?

Moran nie odpowiedział mi od razu. Facet od pszczoł był bez maski, choć owady zakrywały mu całą twarz i chałat. Skóra zaczęła mnie swędzieć od samego patrzenia. Miał ogoloną głowę i takie jakby dziobate blizny. Podarte buty jak kaptcie.

— Nie wiem. Jak myślisz: da się go wyminąć?

— A jak tak – przypomniał mi się horror o pszczołach – one się wyroją?

W miejscu, gdzie przystanęliśmy, od ścieżki konnej odchodziła wąska dróżka. Pomysł zaświtał nam obu równocześnie. Moran poszedł pierwszy, co jednak wcale nie świadczy o odwadze, bo przecież zagrożenie miał za sobą. Po kilku ostrych zakrętach odwrócił się zalękniony i wyszeptał:

— Słuchaj!

Pszczoły? Kroki? Coraz bliżej?

Tak, zdecydowanie!

Wzięliśmy nogi za pas. Gnaliśmy przez ławicę woskowatych liści i szponiastego ostrokrzewu. Nierówna od korzeni ziemia kołysała się i chyliła, wznosiła i opadała...

Wykończeni, padliśmy z Moranem w bagnisty wykrot pod zasłoną bluszczu i jemioly. Wcale mi się tam nie spodobało. Wymarzona kryjówka dla jakiegoś zbroja, żeby wpierw udusić, a później pogrzebać ofiarę. Zaczęliśmy nasłuchiwać odgłosów pościgu. Kiedy się ma kolkę, to naprawdę trudno wstrzymać oddech.

Ale pszczoły już nas nie goniły. Facet od pszczoł też nie.

Może więc las chciał nas tak trochę postraszyć, dla zabawy.

Moran odchrząknął flegmę i ją połknął.

— Chyba go zgubiliśmy.

— Chyba tak. Ale gdzie się podziała ścieżka konna?

Przecisnąwszy się przez dziurę w omszałym płocie, stanęliśmy u podnóża pagórkowatego trawnika. Tu i tam wyrastały kretowiska. Ze szczytu wzniesienia patrzyła na nas wielka rezydencja z takimi jakby wieżyczkami. W stawie na zboczu topniały perłowe promienie słońca. Nad wodą ścigały się rozognione muchy. Nad zmurszałą estradą rozkwitłe drzewa tryskały ciemnym kremem. Na stołach, na biegnącym wokół domu niby-tarasie, stały porzucone dzbany soku z pomarańczy i cytryn. Wtem powiew wiatru zburzył krzywą wieżę papierowych kubków i kilka poturlało się w naszą stronę. Wokół – żywej duszy.

Ani żywej duszy.

— Rany – powiedziałem – ale bym się napił tego soczku!

— Ja też. To pewnie letni festyn albo coś takiego.

— No. Ciekawe, gdzie się wszyscy pochowali? – Usta miałem słone i spierzchnięte jak chrupki. – Bo chyba jeszcze nie zaczęli, co nie? Chodź, można się poczęstować. Jak nas ktoś zobaczy, udamy, że mieliśmy zapłacić. Sok pewno nie kosztuje więcej jak pięć pensów.

Moran niezbyt był zachwycony tym pomysłem.

— Dobra.

Ale tak nam potwornie zaschło w gardle...

— No to chodźmy.

Ponad lawendą, jak pompony, kręciły się naćpane pszczoły.

— Ale cisza, co nie? – szept Morana był za głośny.

— No.

Gdzie się podziały stragany? Kołowrotek, którym się kręci, żeby wygrać Pomagne? Gdzie poszukiwanie schowanego uprzednio skarbu? Gdzie zawody w podbijaniu piłeczki pingpongowej, aż wpadnie do kieliszka?

W oknach posiadłości nie zobaczyliśmy nic, oprócz własnych

odbić na tle ogrodu. W dzbanie utopiło się trochę mrówek, więc ja lałem sok, a Moran trzymał kubki. Dzban ważył chyba tonę, a w środku grzechotały kostki lodu. Zmarzły mi ręce. Jest pełno przypowieści o strasznych rzeczach, jakie spotykają intruzów, którzy się częstują jadłem i napitkiem.

— Zdrówko! – udaliśmy, że się trącamy kielichami.

Od świeżego soku w ustach zrobiło mi się zimno i mokro niby w grudniu.

— Aaaaach – westchnąłem całym sobą.

Drzwi rezydencji otworzyły się z trzaskiem i towarzystwo wyległo do ogrodu, odcinając nam w ten sposób drogę ucieczki. Większość miała na sobie turkusowe chałaty, jak ten gościu od pszczół. Kilkoro pogiętych pchały na wózkach pielęgniarki w pielęgniarskich fartuchach. Reszta poruszała się o własnych siłach, ale tak jakoś spazmatycznie, jak uszkodzone roboty.

Wtem, przerażony, pojąłem, o co chodzi.

— Przecież to wariatkowo! – syknąłem do Morana.

Ale Moran już nie stał koło mnie. Tylko mi mignął w przelocie, przełaząc przez wiadomą dziurę. Kto wie, może myślał, że mu dotrzymuję kroku; a może zostawił mnie na lodzie. Gdyby mnie jednak teraz ktoś przyłapał, od razu by się wydało, że zwędziliśmy soczek.

Rodzice dowiedzieliby się, że kradnę. I nawet gdybym się nie dał złapać, z pewnością wysłano by w pościg ludzi z psami.

Tak że nie miałem wyboru. Musiałem poszukać kogoś, kto by zapłacił za nasze drinki.

— Uciekł Augustin Moans! – w biegu wpadła na mnie pielęgniarka o włosach jak miotła. – Zupa była wrząca, a ten gdzieś się włóczy!

— Czy chodzi pani – przełknąłem ślinę – o tego w lesie? Z pszczołami? Jest tam – wskazałem kierunek zgodnie z prawdą – na ścieżce do konnej jazdy. Mogę panią zaprowadzić.

— Augustynie Moans! – przyjrzała mi się bacznie. – Jak mogłeś?

— Nie, pani mnie z kimś myli. Na... (Kat nie dał

mi powiedzieć „imię”) ...zywam się Jason.

— Masz mnie za nienormalną? Już ja wiem, kim jesteś! Na drugi dzień po ślubie zachciało ci się szukać tego idioty Ganache'a! Boście sobie coś przyrzekli, jeszcze w piaskownicy! Szczyt infantylizmu! A tak się zaklinałeś, że mnie kochasz! Ledwo zahukał puszczyk w lesie, i tyle cię widziałam! Samą zostawiłeś, z dzieckiem, i... i...

Cofnąłem się.

— Zapłacę za sok, jeśli...

— Nie ma mowy! Zobacz! – upiorna pielęgniarka ścisnęła mi ramię. – Konsekwencje! – wraziła mi w usta rękę aż po przegub. – Konsekwencje! – żyły jej wzdłuż i wszerz przecinały szkaradne, przeskaradne blizny. – I to ma być miłość? To niby się nazywa: kochać i szanować aż do śmierci? – Tak pryskała śliną, że przymknąłem oczy i się odwróciłem. – Jakim... prawem... zadajesz... bliźnim tyle bólu?

— Rosemary! – Podeszła do nas inna pielęgniarka. – Rosemary! Sto razy ci mówiłam, że nie wolno brać fartuchów, prawda?! – Miała przyjemny szkocki akcent. – Proszę, słucham! – skinęła głową na znak, żebym się uspokoił. – Stanowczo za młody dla ciebie, a poza tym nie figuruje chyba w spisie oficjalnych gości.

— A ja – odwarknęła Rosemary – mówiłam ci tysiąc razy, że mam na imię Yvonne! Jestem Yvonne de Galais!

Najprawdziwsza w świecie wariatka z wieży Little Malvern znowu zwróciła się do mnie.

— Słuchaj no... – z ust jej śmierdziało baraniną i lizolem. – Co bądź nie istnieje, żebyś to sobie zapamiętał! Wiesz, czemu? Bo wszystko się ustawicznie zmienia w coś innego!

— Spokojnie – prawdziwa pielęgniarka zaczęła przemawiać do Rosemary takim głosem, jakim się przemawia do spłoszonego konia. – Puść już chłopca, słyszysz? Czy mam zawołać siłaczy? No więc jak, Rosemary?

Nie wiem, czego się spodziewałem, na pewno jednak nie czegoś takiego. Z wątpi Rosemary, przez rozwarte usta, dobywa

się przeraźliwe wycie, głośniejsze niż wszelkie ryki znane mi z doświadczenia – przybierając na sile jak odgłos syreny, tyle że znacznie wolniej i znacznie bardziej żałośnie. Zgromadzeni na trawniku: czuby, pielęgniarki i lekarze, w jednej chwili kamienieją. Wycie Rosemary przechodzi w samotniczy, przeszywający skowyt. Przez kogo tak wyje? Przez Granta Burcha ze złamaną ręką. Przez żonę pana Castle'a i jej stargane nerwy. Przez popijawę taty Morana. Przez tego chłopca z poprawczaka, którego Borsuk rzucił na pożarcie własnym psom. Przez Ciapciaka, który za szybko wylazł z brzucha mamy. Przez dzwonki, które pomrą wraz z nadejściem lata.

Choćby się przedrzeć przez gęstwiny jeżyn, choćby, szarpiąc kruche cegły pazurami, wgramolić się jakoś w zaginiony tunel – i w tej grzmiącej głuszy, w górskich ostępach Malvern, nawet tam z pewnością, bez wątpienia, nie sposób byłoby uciec przed tym niemożliwym wyciem.

Głazy

Nikt nie daje wiary.

Przez wzgląd na ustawę o tajemnicy państwowej, gazety nie mogły napisać, który z naszych okrętów dostał pierwszy. Ale teraz o tym mówią w BBC i ITV. HMS „Sheffield”. We fregatę grzmotnął przeciwokrętowy pocisk Exocet z Super Etendarda, „w wyniku czego doszło do poważnych eksplozji, których liczba nie została jednak potwierdzona”. Siedzieliśmy w salonie: ja, mama, tato i Julia (pierwszy raz od wieków wspólnie) – i w milczeniu oglądaliśmy telewizję. Nie pokazywali filmu z wojny, tylko jedno niewyraźne zdjęcie buchającego dymem okrętu – a Brian Hanrahan opisywał, jak pozostałych przy życiu ratują: HMS „Strzała” i śmigłowce Sea King. „Sheffield” jeszcze nie zatonął, lecz zimą na południowym Atlantyku jest to tylko kwestia czasu. Wciąż trwają poszukiwania czterdziestu naszych, a co najmniej tyle samo uległo groźnym oparzeniom. Powracająca myśl, że Tom Yew pływa na HMS „Coventry”... Wstyd się przyznać, ale wszystkim w Black Swan Green ulżyło, że to tylko „Sheffield”. Coś okropnego. Do dziś każdy śledził wojnę o Falklandy jak Puchar Świata. Argentyna ma silną reprezentację piłkarską, ale w zasadzie nie jest niczym więcej jak republiką peklowanej wołowiny. Kiedy, przed trzema tygodniami, siły specjalne wypłynęły z Plymouth i Portsmouth, nikt nie miał wątpliwości, że damy im popalić. Orkiestry dęte na nabrzeżu, machające kobiety, sto tysięcy jachtów, klaksony i fajerwerki z branderów. Wysłaliśmy okręty HMS „Hermes”, HMS „Niezwyciężony”, HMS

„Wspaniały”, SAS, SBS. Pумы, rapiery, sidewindery, rysie, wydrzyki, torpedy Tigerfish oraz kontradmirała Johna „Sandy’ego” Woodwarda. Okręty Argentyńców to wanny, mianowane, by uczcić hiszpańskich generałów z wąsikami. Alexander Haig nie mógł tego powiedzieć oficjalnie, na wypadek, gdyby po stronie Argentyny stanął Związek Radziecki, ale trzymał z nami nawet sam Ronald Reagan.

Tymczasem wiele wskazywało na to, że możemy przegrać.

Brytyjskie Ministerstwo Spraw Zagranicznych stara się rozpocząć negocjacje, ale junta odpowiada, żebyśmy się wypchali. Nim Argentyńcom skończą się exocety, zabraknie nam okrętów. I na to właśnie liczą. W sumie nawet słusznie. Przed Pałacem Leopolda Galtieriego w Buenos Aires tysiące ludzi w kółko skandują: „Czujemy twoją wielkość!”. Spać nie mogę, taki hałas. Galtieri staje na balkonie i napawa się tym. Kilku młodych chłopców z szyderstwem wykrzykuje do kamery: „Poddajcie się! Wynocha! Anglia jest chora! Anglia kona! Historia mówi, że Malwiny należą do Argentyny!”.

— Stado hien! – podsumował tato. – My byśmy jednak zachowali się z godnością. Na litość boską, tam przecież giną ludzie! Oto właśnie, co nas różni. No, popatrzcie tylko!

Tato poszedł się położyć. Obecnie sypia w pokoju gościnnym ze względu na chory kręgosłup, ale mama mówi, że przez to, że strasznie wierci się w łóżku. Pewno i dlatego, i dlatego. Dziś wieczór, przy kolacji, znowu się nieźle poprzytykali. Przy mnie i przy Julii.

— Tak sobie myślę... – zaczęła mama.

— Szkoda czasu – żartobliwie przerwał tato, jak to ma w zwyczaju.

— ...że można by teraz zająć się tym alpinarium.

— Alpi-co?

— Alpinarium, Michaelu.

— Dopiero odnowiliśmy kuchnię – tato przybrał ton pod tytułem „Bądź rozsądna”. – Na co ci jeszcze kupa gruzu?

— Żadna kupa gruzu. Ogródek skalny, jak nazwa wskazuje,

składa się ze skał. No i przydałoby się jeszcze oczko wodne...

— Jakie oczko wodne? – tato zaśmiał się fałszywie. – Wody nam nie brakuje.

— Ozdobna sadzawka. Fontanna albo na przykład miniaturowy wodospad.

— Mhm – tato wydał dźwięk w stylu „Niebywałe!”.

— Od lat mamy zamiar zrobić coś z tym wolnym skrawkiem ziemi koło róż...

— Chyba ty masz zamiar. Ja nie.

— Jakże? Omawialiśmy to przed Bożym Narodzeniem. I ty powiedziałaś: „Może w nowym roku”. To samo było przed rokiem i rok wcześniej. Mówiłeś poza tym, że tak ci się podoba alpinarium Briana.

— Kiedy?

— Na jesieni. A Alice na to, że dodałoby uroku naszemu ogrodowi. I ty jej przytaknęłaś.

— Matka – rzekł tato do Julii – to dyktafon w ludzkiej skórze. Julia odmówiła udziału w dyskusji.

Tato łyknął wody.

— Może i tak, ale nie na serio. Starąłem się być grzeczny.

— Szkoda, że ta grzeczność nie dotyczy twojej własnej żony.

Julia i ja spojrzeliśmy po sobie.

— A jakie – tato zaczął ze znużeniem wbijać groszek na widelec – by to miało być duże? Makieta Krainy Jezior w skali jeden do jeden?

Mama wzięła z toaletki kolorowe czasopismo.

— Chodzi mi o coś takiego...

— Rozumiem. Skoro w „Harper’s Bazaar” aż tyle miejsca poświęcili oczkom wodnym, to przecież my się bez oczka wodnego nie możemy obyć!

— Kate ma śliczne oczko – neutralnym tonem oznajmiła Julia. – Obrośnięte wrzosem.

— A to szczęściara! – tato założył okulary, by przestudiować artykuł. – Wszystko ładnie-pięknie, ale oni tu, Heleno, wykorzystali prawdziwy włoski marmur.

— Owszem – mamy znaczyć: „I ja też chcę marmur”.

— A masz ty chociaż pojęcie, ile on kosztuje?

— Naturalnie. Już się porozumiałam z architektem krajobrazu z Kidderminster.

— Niby z jakiego tytułu – tato cisnął „Harper’s Bazaar” na podłogę – mam bulić za kupę kamieni?!

W takim momencie mama zwykle się wycofuje, dziś jednak tego nie zrobiła.

— Ach, tak, więc trwonić sześćset funtów na kartę członkowską klubu golfowego, z której prawie nie korzystasz, to można, a kiedy ja chcę coś upiększyć w domu, to już ci się nie podoba?

— Na polu golfowym – tato starał się nie krzyknąć – co zresztą próbuję ci uzmysłowić od niepamiętnych czasów, finalizuje się umowy. W tym również – kluczowe dla firmy promocje. Czy się nam to podoba, czy nie, jest to fakt. A Craig Salt nigdy nie zagra na polu dla społeczeństwa.

— Przestańże wymachiwać tym widelcem, Michaelu.

Tato widelca nie odłożył.

— U nas to ja zarabiam na utrzymanie i, wobec powyższego, sądzę, że choć ten drobny ułamek własnej pensji mam prawo wydawać, jak mi się żywnie podoba.

Wystygło mi purée.

— Czyli – mama złożyła serwetkę – mam, jakby nigdy nic, dalej robić te swoje konfitury, bo przecież podejmowanie decyzji to domena mężczyzny, tak?

Tato wznosił oczy ku niebu. (Mnie za coś takiego niechybnie by zabili).

— O równouprawnieniu, Heleno, to ty sobie lepiej pogadaj z koleżaneczkami z Women’s Institute. Miałem ciężki dzień. Weź to łaskawie pod uwagę.

— Protekcyjnie, Michaelu, to ty się możesz odnosić do podwładnych w tym swoim markecie, wiesz?! – Mama hałaśliwie pozbierała talerze i odniosła je do kuchennego okienka. – A w domu może jednak daj sobie z tym spokój. Miałam

ciężki dzień. Weź to łaskawie pod uwagę. – Poszła do kuchni.

Tato zapatrzył się w (mamine) puste krzesło.

— No, co tam w szkole, Jason?

Żołądek zawiązał się na supeł. Kat nie dał mi powiedzieć: „Całkiem, całkiem”.

— Jasonie! – powtórzył tato głosem rozżarzonego do białości. – Pytam cię, jak było w szkole.

— Dobrze, dobrze. (Dziś było do dupy. Pan Kempsey przyczepił się, cholera, o okruchy ciasta w książce do wychowania muzycznego, a pan Carver powiedział, że w roli hokeisty sprawdzam się „jak epileptyk”).

Z kuchni dobiegały odgłosy sprzątanania resztek.

Przeraźliwy jazgot noża na porcelanie.

— Doskonale – rzekł tato. – A u ciebie, Julio?

Nim siostra zdążyła wypowiedzieć słowo, o kuchenną podłogę rąbnął talerz. Tato zerwał się z miejsca.

— Heleno?! – stracił animusz w pół sekundy.

W odpowiedzi mama zatrzasnęła drzwi do kuchni.

Tato podskoczył i poleciał za nią.

Wokół kościelnej wieży rozkrakały się gawrony.

Julia wydeła policzki.

— Trzy gwiazdki?

Smętnie wystawiłem cztery palce.

— Znów się nie dogadują; tyle – Julia uśmiechnęła się z triumfem. – Konflikty miewa prawie każde małżeństwo. Naprawdę. Możesz być spokojny.

MACIE ZA SWOJE

Wieczorem na jedyńce pani Thatcher wykańczała takiego jednego przygłupa pod muszką. Powiedział, że zatopienie „Generała Belgrano” poza Strefą Całkowitego Wykluczenia było naganne zarówno pod względem etycznym, jak i prawnym. (Tak naprawdę to zatopiliśmy „Belgrano” kilka dni temu, ale zdjęcia

ukazały się w gazetach dopiero teraz, a od czasu „Sheffield” nie mamy dla tych drani, Argentyńców, nawet krzty współczucia). Pani Thatcher utkwiała w durniu swe witrażowo niebieskie oczy i zwróciła mu uwagę, że nieprzyjacielski krążownik przekraczał strefę wielokrotnie cały dzień. Powiedziała coś takiego: „Ojcowie i matki naszej ziemi wybrali premiera nie po to, by narażał życie ich potomków w imię subtelności prawnych. Czyżby pan nie pamiętał, że kraj nasz prowadzi wojnę?”. Publiczność w studiu zgotowała jej owację – i pewno cały kraj oprócz Michaela Foota, „Czerwonego” Kena Livingstone’a, Anthony’ego Wedgwooda Benna i reszty pokopanych lewicowców. Pani Thatcher jest, cholera, kapitalna. Taka silna, pewna i spokojna.

O wiele lepsza od Królowej, która od początku wojny siedzi jak mysz pod miotłą. Według niektórych państw, przykładowo: Hiszpanii, ostrzelanie „Generała Belgrano” było z naszej strony błędem, jednak aż tylu Argentyńców potopiło się tylko i wyłącznie dlatego, że zamiast ratować swoich, inne okręty z konwoju odpłynęły w siną dal. Królewska Marynarka Wojenna nigdy, ale to przenigdy nie zostawiłaby naszych na pastwę losu. Poza tym wszędzie na świecie wojskowy czy marynarz jest opłacany za to, że ryzykuje życie. Na przykład Tom Yew. Galtieri stara się teraz o wznowienie negocjacji, ale Maggie oświadczyła mu, że jest gotowa rozmawiać tylko o rezolucji 502 ONZ. Czyli: bezwarunkowym wycofaniu się Argentyny z ziem Zjednoczonego Królestwa. W Nowym Jorku jeden argentyński dyplomata, oprócz przynudzania, jakoby „Belgrano” znajdował się poza strefą wojny, stwierdził, że Wielka Brytania już dawno nie panuje nad wodami świata, a jedynie maści wodę. „Daily Mail” pisze, iż to chyba nic dziwnego, że mały latynoski karierowicz wygłasza dęte sentencje o sprawach ostatecznych. „Daily Mail” podaje, że Argentyńcy powinni byli rozważyć konsekwencje przed zatknięciem swej syfiastej błękitno-białej flagi w kolonii naszej monarchii. „Daily Mail” ma tu rację w stu procentach. „Daily Mail” pisze, że Leopoldo Galtieri najechał Falklandy tylko po to, by odwrócić uwagę świata od faktu, że torturuje, morduje

i strąca w morze ze śmigłowców niezliczoną ilość swoich. Tu też „Daily Mail” ani trochę się nie myli. „Daily Mail” twierdzi, że prezentowany przez Galtieriego gatunek patriotyzmu to wyraz najgorszego upodlenia. „Daily Mail” ma rację, tak jak Margaret Thatcher. Anglia jest jakby pod prądem. Ludzie czekają w kolejkach przed szpitalami, żeby oddać krew. Prawie całą lekcję biologii pan Whitlock powtarzał, jak to pewni młodzi patrioci właśnie w tym celu wybrali się na rowerach do Worcester. (Każdy wie, że chodziło o Gilberta Swinyarda i Pete’a Redmarleya). Po czym od pielęgniarki usłyszeli, że są jeszcze za młodzi. Wobec tego pan zwraca się listownie do Michaela Spicera, naszego posła w Parlamencie, ze skargą, iż dzieciom Albionu odmawia się prawa uczestnictwa w zmaganiach wojennych. Pismo już opublikował „Goniec Malvern”.

Za sprawą Toma Nick Yew został szkolnym bohaterem. Nick mówi, że „Sheffield” to był taki trochę niefortunny fuksik. Obecnie nasze systemy przeciwbalistyczne zostaną zmodyfikowane tak, by skutecznie eliminować exocety. Dziennik „Sun” urządził konkurs na najlepszy dowcip antyargentyński. Płacą stówę. Wprawdzie nie znam się na żartach, ale prowadzę zeszyt z wycinkami o wojnie. Wklejam sobie różne rzeczy z gazet codziennych i z tygodników. Neal Brose tak samo. Liczy, że za dwadzieścia, trzydzieści lat, kiedy wojna o Falklandy wejdzie do historii, ten jego zeszyt będzie wart fortunę. Ale to wielkie poruszenie nigdy się nie pokryje kurzem i nie zżółknie w archiwach państwowych oraz bibliotekach. Nic z tego! Ludzkość do końca świata będzie wspominać walkę o Falklandy.

Kiedy wróciłem ze szkoły, mama siedziała przy stole w jadalni, obłożona różnymi papierami z banku. Wyjęła też i otworzyła ognioodporną kasetkę z dokumentami taty. Przez kuchenne okienko spytałem, czy dobrze się miewa.

— „Dobrze” to może nie najlepsze słowo – mama oderwała się od kalkulatora. – Aczkolwiek muszę powiedzieć, że doznałam dziś olśnienia.

— No to fajnie – jakoś nie mogłem w to uwierzyć.

Dostałem dwa razowe herbatniki i szklankę ribeny.

Wszystkiutkie ciastka Jaffa zwinęła Julia, bo od rana siedzi i uczy się do egzaminów końcowych. Zachłanna krowa.

— Co porabiasz?

— Jeżdżę na deskorolce!

Trzeba było od razu iść na górę.

— Co na obiad?

— Ropucha.

Dałaby sobie czasem spokój z tym sarkazmem!

— A czy to nie tato zajmuje się zawsze wyciągami z konta i tak dalej?

— Owszem – mama wreszcie na mnie spojrzała. – Tatusia czeka po powrocie przemiła niespodzianka – zabrzmiało to tak złowieszczo, że do tej pory nie mogę poluzować supła w brzuchu.

Szkoda, że na obiad nie było ropuchy, tylko marchewka konserwowa, fasola w sosie pomidorowym z puszki oraz klopsiki Heinza. Talerz brązowego oranżu. Mama potrafi ugotować sama, chociażby kiedy odwiedza nas rodzina. Ale teraz chyba postanowiła traktować tę czynność rutynowo, dopóki nie dostanie wymarzonego alpinarium. Tato stwierdził, że obiad był „przepyszny” – nawet nie siląc się na udawanie, że to serio. Mama nie pozostała mu dłużna: „Ogromnie się cieszę”. (Od pewnego czasu rodzice między sobą mówią całkiem co innego, niż myślą. Wymiana uprzejmości nie powinna być aż tak toksyczna, no, ale nieraz bywa). Poza tym do końca posiłku oboje nie odezwali się słowem. Na deser był biszkopt z jabłkami. Smuga syropu z mojej łyżki stała się szlakiem naszych marynarzy. By nie dać się przykrej atmosferze, śmiało poprowadziłem naszych chłopców poprzez sos do ostatecznego zwycięstwa w Port Stanley.

Zmywanie naczyń przypadało, co prawda, Julii, ale bodaj przed dwoma tygodniami zawarliśmy coś w rodzaju sojuszu, więc zgodziłem się za nią powycierać. Przy zmywaniu nawet trochę mi poopowiadała o swojej sympatii, Ewanie. Jego mama występuje w Orkiestrze Symfonicznej Birmingham. Jest perkusistką; wali w talerze i gra na kotłach, tak że normalnie

pewno bym lał po pachy – ale od ostatniej awantury, gdy mama rozbiła to, co wiadomo, Kat ani na chwilę nie daje mi spokoju. Więc prawie nie przerywałem Julii. Ledwo otworzę oczy rano, zaraz zaczynam myśleć o wojnie. Przed snem – tak samo. Więc fajnie dla odmiany posłuchać o czym innym.

Dolinę między ogrodem a Wzgórzami Malvern zalało przedwieczne słońce.

Tulipany są czarno-śliwkowe, białe jak farba emulsyjna i jajkowo żółte.

Kiedy siedziałem z Julią w kuchni, rodzice chyba zawarli jakieś dziwaczne zawieszenie broni, bo potem siedli przy stole i najzwyczajniej w świecie zaczęli sobie gawędzić.

Kiedy Julia zapytała, czyby się nie napili kawy, tato odpowiedział:

— Z przyjemnością, skarbie.

A mama:

— Dzięki ci, kochanie.

Stwierdziłem, że (po powrocie ze szkoły) błędnie odczytałem ich sygnały, no i węzeł w żołądku odrobinę puścił. Tato opowiadał mamie taką oto prześmieszoną anegdotę o swoim szefie: w weekend integracyjny Craig Salt pozwolił stażystce taty, Danny'emu Lawlorowi, przejechać się swoim sportowym autkiem DeLorean po torze gokartowym. W rezultacie nie poszedłem do siebie, tylko do salonu obejrzeć w telewizji „Świat przyszłości”.

I dzięki temu usłyszałem, jak mama zasadza się na tatę.

— A tak przy okazji, Michael... Po co w styczniu wzięłeś w NatWest drugi kredyt na pięć tysięcy funtów?

Pięć tysięcy funtów! Przecież dom kosztował tylko dwadzieścia dwa!

W przyszłości, jak się dowiedziałem ze „Świata”, samochody będą się poruszać pasami wszczepianymi w drogi. Wystarczy wklepać cel – i już. Nie będzie żadnych wypadków.

— Oj, zdaje się, że ktoś węszy mi w rachunkach...

— Gdybym nie zajrzała do wyciągu, dalej byłabym ciemna jak

tabaka w rogu, nie sądzisz?

— Jasne. Więc poszłaś do gabinetu i sama się obsłużyłaś.

„Tato! Nie mów tak do niej!” – pomyślałem.

— Czy ty znowu – mamie roztrząsał się głos – dajesz mi, mi, Michaelu, do zrozumienia, że mam omijać twój gabinet szerokim łukiem? Że nie mam wstępu do szafek na akta, tak samo jak dzieci? Proszę: słucham!

Tato nic na to nie powiedział.

— Może to niedzisiejsze, ale według mnie żona, która odkrywa, że mąż jest zadłużony na pięć tysięcy funtów, ma, do cholery, prawo domagać się jakiegoś wyjaśnienia.

Poczułem się chory, stary i zziębnięty.

— Skąd u ciebie nagle – w końcu odpowiedział tato – tak wielkie zainteresowanie księgowością?

— Dlaczego znowu zastawiłeś dom?

Gospodarz „Świata przyszłości” zawisł, przyklejony do sufitu studia. „Brytyjscy chemicy głowią się nad wiązaniem silniejszym od grawitacji!”. Uśmiechnął się głupkowato. „Już dziś mogą państwo obstawiać! Nie ma nic do stracenia!”

— W porządku. Powiem ci, skoro się aż tak domagasz.

— Owszem. Bardzo mi na tym zależy.

— Reorganizacja.

— Masz zamiar – mama się zaśmiała – olśnić mnie fachową terminologią?

— To nie żadna „fachowa terminologia”. Tylko reorganizacja. Proszę, nie histeryzuj, bo...

— A niby czegoś ty się spodziewasz, co, Michaelu? Nasz dom jako zabezpieczenie! Ciekawe, na co idzie tyle forsy! Czy może raczej: na kogo?

— Co ty – odpowiedział tato lodowatym szeptem – sugerujesz?

— Uprzejmie cię pytam, o co tutaj chodzi – mama jakby się cofnęła znad przepaści. – A ty wciąż stosujesz uniki. Może byś w końcu zechciał mnie oświecić... Co? Bo nie rozumiem, co się...

— Właśnie, Heleno! Wielkie dzięki! Otóż i trafiłaś w sedno!

Nie rozumiesz! Wziąłem pożyczkę, bo nastąpił niedobór! Wiem, że opieka nad pieniędzmi to sprawa maluczkich, ale, jak może zauważyłaś, bawiąc się dziś w Sherlocka Holmesa, z tytułu pierwszego kredytu mamy... zaraz mnie tu szlag trafi, olbrzymie płatności! Ubezpieczenia tych wszystkich śmieci, które ty przecież musisz kupować! Dobra konsumpcyjne! Nowa kuchnia, bo przecież bez niej byś żyć nie mogła! Nowa, do ciężkiego licha, zastawa stołowa Royal Doulton... żebyśmy dwa razy do roku mogli się popisać przed twoją siostrą i Brianem... Czymś przecież musi się to spłacić! Samochód zmieniasz co chwilę, ledwie popielniczka w nim wyjdzie z mody, prawda?! A teraz, teraz nagle stwierdzasz, że życie nie ma sensu bez, bez... nowych przygód w dziedzinie projektowania terenów zielonych!

— Ciszej może, Michaelu, bo dzieci usłyszą.

— Nigdy ci to jakoś nie przeszkadza!

— Teraz to ty zachowujesz się histerycznie.

— Jasne. Histerycznie. Świetnie! Domagasz się wskazówki, Heleno, no więc: proszę bardzo. Radzę, byś spróbowała spędzać całusieńki czas na zebraniach, nic tylko, cholera jasna, siedzieć na zebraniach... W kółko wysłuchiwać, że ponosisz winę za niedobory personelu, wycieki z magazynów, zaskakująco słabe zestawienia bilansowe... Radzę ci, do cholery, żebyś choć raz zaliczyła dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści tysięcy mil w ciągu roku! Wtedy, dopiero wtedy będziesz mogła wymyślać mi od histeryków. Póki co jednak zechciej, proszę, nie wymuszać na mnie zeznań na temat mojej żonglerki twoimi rachunkami, bo mnie tu zaraz krew zaleje! To właśnie ci radzę.

Tato poszedł na górę ciężkim krokiem.

W tej chwili trzaska szafkami na akta.

Mama została w jadalni. Proszę Boga, aby nie płakała.

Żeby tak „Świat przyszłości” otwarł się i mnie połknął.

Wojna to licytacja, gdzie wygrywa ten, kto wypłacając tytułem odszkodowania ile tylko się da, nadal zachowuje twarz. Złe wieści. Brian Hanrahan stwierdził, że lądowanie w Zatoce San

Carlos było najkrwawszym dniem w dziejach Królewskiej Marynarki Wojennej od czasów drugiej wojny. Nasz radar zasłoniły wzgórza, więc wrogie samoloty spostrzegliśmy dopiero, gdy już znalazły się nad nami. Argentyncom przysłużyła się idealna widoczność tego ranka. Zaatakowali główne okręty, a nie transportery, bo jak zatopią oddział specjalny, bez trudu pokonają wojska lądowe. Zatonął HMS „Ognisty”. HMS „Promienny” – uszkodzony. HMS „Antrim” i HMS „Argonauta” – wyeliminowane z działań wojennych. W telewizji na okrągło pokazują te same zdjęcia. Nieprzyjacielski Miraż III-E przedzierający się poprzez Morskie Koty, Wilki i Ślimaki. Rozprysk wody w zatoce. Spływające z kadłuba „Ognistego” obłoki czarnego dymu. W końcu po raz pierwszy ujrzeliśmy Wyspy Falklandzkie. Ani śladu drzew, domów, żywopłotów; prócz szarości i zieleni – zupełnie bezbarwne. Julia słusznie stwierdziła, że wyglądają jak Hebrydy. (Przed trzema laty spędziliśmy w Muli najbardziej słotne, ale za to najfajniejsze wakacje w historii rodu Taylorów. Cały tydzień grałem z tatą w subbuteo. Ja byłem Liverpoolem, a tato Nottingham Forest). Brian Hairrahan doniósł, że tylko kontratak naszych Sea Harriers zapobiegł całkowitej katastrofie. Opowiedział też, jak jeden harrier załatwił wrogi samolot, kręcąc nad nim młynka, aż ten wpadł do morza.

W relacji nie było słowa na temat HMS „Coventry”.

Teraz to już w ogóle nie można się połapać, kto wygrywa ani kto przegrywa. Pojawiły się pogłoski, że Związek Radziecki przekazuje Argentyncom zdjęcia satelitarne naszej floty, tak że zawsze wiedzą, gdzie nas znaleźć. (Breżniew umiera, albo już umarł, więc nikt nie ma pojęcia, co się dzieje na Kremlu). Neal Brose powiedział, że jeśli to prawda, to ze względu na sojusz NATO w sprawę będzie się musiał zaangażować Ronald Reagan. A wtedy może wybuchnąć trzecia wojna światowa.

„Daily Mail” podał spis łgarstw, jakie junta wciska swoim ludziom. Dostałem szału. Nasz minister obrony, John Nott, w życiu by nas nie okłamał. Julia zapytała, skąd wiem, że nas nie

okłamują. „Jesteśmy Brytyjczykami” – odparłem, dodając: „Czemu miałyby nas okłamywać nasz własny rząd?”. A Julia na to, że chcą, abyśmy tkwili w przeświadczeniu, że ta cudowna wojna idzie jak po maśle, podczas gdy tak naprawdę jest jak maślane rzygi. „Ale przecież – odrzekłem – nas się nie da okłamać”. Wtedy Julia oświadczyła, że w tej chwili Argentyńczykom pewno też się tak wydaje.

W tej chwili. Na samą myśl mam cykora. Zanurzam pióro w atramencie, a tu helikopter Wessex wpada na lodowiec w Południowej Georgii. Ustawiam kątomierz pod kątem w zeszyte do matmy, kiedy Miraż III dostaje pociskiem naddźwiękowym. Kreślę kółko cyrklem, a w kępie płonącego janowca podnosi się walijski wartownik i zostaje trafiony kulą w oko.

A życie toczy się jakby nigdy nic; jak to w ogóle możliwe?

Przebierałem się ze szkolnego mundurka, gdy nagle w Kingfisher Meadows wjechało przecudne srebrne mg. Majestatycznie zakreśliło na podjeździe i zatrzymało się pod moim oknem. Od południa siąpił deszcz, więc auto miało podniesiony daszek. Tak oto sympatię mojej siostry Julii ujrzałem po raz pierwszy dzięki inwigilacji powietrznej. Wyobrażałem sobie, że Ewan przypomina księcia Edwarda, ale on ma wściekle rude włosy, smoliście czarne piegi i rozkołysany chód. Ubrany był w wyciągnięty sweter koloru indygo, brzoskwiniową koszulę, czarne rurki, ten taki nabijany ćwiekami pasek, który opada na biodra, oraz buty ze szpicami i grube białe skarpety, jakie teraz noszą wszyscy. Ryknąłem w stronę strychu, że przyjechał Ewan. Rozległ się dziki łomot, rumor tłuczonego szkła i gniewny szept Julii: „Kurwa!”. (Czym te dziewczuchy zajmują się przed wyjściem? Julia to zwykle szykuje się lata świetlne. Dean Moran mówi, że jego siostra tak samo). Po chwili Julia ryknęła: „MAMO! Możesz otworzyć?”. Mama już biegła do sieni. Jak snajper uplasowałem się na półpiętrze.

— Ewan, nie myślę się, prawda? – spytała mama tonem, jakiego używa, kiedy stara się kogoś uspokoić. – Miło mi cię

poznać. Wreszcie.

Ewan bynajmniej nie sprawiał wrażenia zdenerwowanego.

— I mnie bardzo miło, proszę pani – zabrzmiało to dosyć wytwornie, choć nie tak jak sztucznie wytworna intonacja mamy.

— Julia opowiada o tobie bez przestanku.

— Ojej – Ewan ma żabi uśmiech. – Muszę się mieć na baczności.

— Ach, wręcz przeciwnie – mama zaśmiała się perliście. – Mówi w samych superlatywach.

— A mnie „bez przestanku” opowiada o pani.

— Tak, tak, wybornie, świetnie. Wejdz, proszę; milady kończy... No, po prostu kończy.

— Chętnie.

— O ile mi wiadomo – mama zamknęła drzwi – uczęszczasz do szkoły katedralnej. Do ostatniej klasy, prawda?

— Tak. Razem z Julią. Końcowe egzaminy już za pasem.

— Mhm, mhm. I jak: zadowolony?

— Ze szkoły czy z egzaminów?

— Yyy... – mama z uśmiechem wzruszyła ramionami. – Ze szkoły.

— Jest może trochę staroświecka. Ale ja nie narzekam. Za bardzo.

— Tradycja ma wiele zalet. Szkoda wylewać dziecko wraz z kąpielą.

— W zupełności się z panią zgadzam.

— Taak – mama zerknęła na sufit. – Julia jeszcze się szykuje... Może napiłbyś się herbaty czy kawy?

— Ogromnie przykro mi odmówić – Ewan znalazł wymówkę doskonałą – ale uroczysta kolacja z okazji urodzin mamy zawsze zaczyna się o ściśle ustalonej porze. Jeśli się spóźnię choć minutę, rano czeka mnie egzekucja.

— Ach, jakże ją rozumiem! Brat Julii łaskawie nie siądzie do kolacji, dopóki wszystko nie wystygnie na lód. Doprowadza mnie tym do szału. Liczę jednak, że jeszcze kiedyś zechcesz

przyjąć zaproszenie. Mąż marzy, by cię poznać. (O, to coś nowego).

— Nie chciałbym sprawić państwu kłopotu...

— Jaki tam kłopot!

— Bo... Wie pani, jestem wegetarianinem.

— No, to nareszcie będę miała pretekst, żeby poszperać w książce kucharskiej i przygotować coś nietypowego. A więc umawiamy się na kolację. Naturalnie przyjdiesz?

(Tato nazywa wegetarian „Brygadą Rypniętych Kotletów”).

Grzeczny uśmiech Ewana wcale nie wyrażał zgody.

— Świetnie. Pozwól, że... skoczę na górę upomnieć Julię, że przyszedłeś. Bądź łaskaw poczekać dwie minutki.

Ewan podjął inspekcję rodzinnych zdjęć nad telefonem. (Fotka z małym Jasonem przyprawia mnie o dreszcze, ale rodzice w życiu jej nie zdejmą). Ja zaś podjąłem inspekcję Ewana – tajemniczej istoty, która spędza czas z Julią z własnej woli, a nawet funduje jej naszyjniki, longplaye i kto wie, co jeszcze. Ciekawe, po co?

Kiedy zszedłem na dół, wcale nie był zaskoczony.

— Masz na imię Jason, prawda?

— Nie. Nazywam się Stwór.

— Mówi tak tylko, jak ją wkurzysz.

— Taaa: co dzień w każdej minucie.

— Nieprawda. Słowo daję. Rany, żebyś ty wiedział, co usłyszałem, jak pół dnia przesiedziała u fryzjera – odparł niby zawstydzony – a ja nic nie zauważyłem.

— No co?

— Gdybym to powtórzył słowo w słowo – Ewan ściszył głos – pod wpływem wstrząsu zarwałby się wam sufit. Tapety by się wam poodklejały. Chyba się ze mną zgodzisz, że w ten sposób raczej nie olśniłbym waszych rodziców. Bardzo mi przykro, ale pewne sprawy winny pozostać owiane tajemnicą.

Ten Ewan to ma fajnie: jak on potrafi się wysławić! Znam tylu gorszych od niego kandydatów na szwagra.

— Mogę sięść w twoim aucie?

Ewan zerknął na masywną sekundę (z metalowym paskiem).

— Czemu nie?

— I jak: podoba ci się?

Zamszowa kierownica. Obicie w kolorze wolej krwi. Wykończenie: chrom i orzech. Dźwignia zmiany biegów dopasowana do ręki. Upiorny blask tablicy rozdzielczej, gdy Ewan włożył kluczyk do stacyjki. Niezliczone mrowie wskaźników. Składany dach przesiąknięty nikotyną, tak że w ogóle nie czuć wiatru. Niesamowita pieśń z czterech schowanych głośników. („*Heaven* – beztrosko, acz z dumą oznajmił Ewan. – Talking Heads. David Byrne jest genialny”. Tylko mu przytaknałem, w obawie, by czegoś nie uronić). Gorzka woń pomarańczy z kryształopodobnego odświeżacza powietrza. Obok nalepki podatkowej – naklejka Kampanii na rzecz Rozbrojenia Nuklearnego. Rany, gdybym miał takie auto, wyfrunąłbym z Black Swan Green szybciej od Super Etendarda. Jak najdalej od rodziców i ich trzy-, cztero- i pięciogwiazdkowych kłótni. Jak najdalej od szkoły, Rossa Wilcoxsa, Gary’ego Drake’a, Neala Brose’a i pana Carvera. Może bym zabrał Dawn Madden, ale tylko ją. Kanał La Manche przemierzyłoby się jednym susem z białych urwisk Dover, ponad przezyste promienie wschodzącego słońca. Z wybrzeży Normandii droga nasza wiodłaby na południe, gdzie, nie podając prawdziwego wieku, zatrudnilibyśmy się w winnicy albo jakiejś górskiej chacie. Zbiór moich wierszy z moją podobizną na okładce wydałaby oficyna Faber & Faber. Dawn rozrywaliby najmodniejsi europejscy fotograficy. W szkolnym prospekcie wychwalano by nas pod niebo, lecz ja do błotnistego Worcestershire nie wróciłbym już nigdy, nigdy w życiu.

— Może byś się zamienił? – spytałem Ewana. – Dam ci za niego big traka. Można wprogramować aż dwadzieścia poleceń.

Ewan udał, że nie wie, co począć z tak kuszącą propozycją.

— Oj, nawet jeżdżąc big trakiem, chyba bym sobie nie poradził na tutejszych jednokierunkowych drogach... – z ust

mu pachniało miętowymi tik-takami, no i poczułem też old spice'a. – Wybacz.

W szybę zastukała Julia z wyrazem zadziwienia w oczach. Uprzytomniłem sobie, że moja irytująca siostra jest kobietą. Miała ciemną szminkę i sznur niebieskawych pereł po babci. Odkręciłem szybę. Julia spojrzała na Ewana, na mnie i znów na niego.

— Spóźniłeś się.

Ewan ściszył Talking Heads.

— Ja?

Ten uśmiech w ogóle mnie nie dotyczy.

Ciekawe, czy rodzice też tak się zachowywali swego czasu.

Jadalnię lekko wstrząsnęło, niby po wybuchu niewidzialnej bomby. Kiedy w radiowej czwórce podali, który okręt zatonął, ja i mama z Julią zamarliśmy. HMS „Coventry” stał zakotwiczony tam, gdzie zawsze, wraz z fregatą HMS „Pałasz”. Około godziny czternastej skądś nadleciały dwa nieprzyjacielskie jastrzębie. „Coventry” wystrzelił morskie pociski, ale spudłował i wtedy jastrzębie z bardzo bliska zrzuciły cztery tysiącfuntowe bomby. Jedna przeleciała koło rufy, ale pozostałe trzy wryły się w lewą burtę – i zdetonowały w samych trzewiach okrętu, niszcząc systemy zasilania. Wkrótce też zalało kierujących ogniem i po kilku minutach „Coventry” mocno przechylił się z lewej. Znad San Carlos przyleciały śmigłowce Sea King i Wessex, żeby powyciągać ludzi z lodowatej wody. Wszystkich, którzy nie doznali obrażeń, przeniesiono do namiotów polowych. Przypadki poważniejsze przewieziono drogą powietrzną na okręty szpitalne.

Nie pamiętam, o czym było dalej w wiadomościach.

— Dziewiętnastu spośród ilu? – spytała mama, z twarzą wciąż ukrytą w dłoniach.

Odpowiedź znałem z zeszytu z wycinkami.

— Około trzystu.

— Czyli że na ponad dziewięćdziesiąt procent Tomowi nic się nie stało – obliczyła Julia.

Mama zbladła.

— Biedna matka! Pewnie tam dostaje kota!

— I biedna Debby Crombie – pomyślałem na głos.

Mama o niczym nie wiedziała.

— Cóż ma z tym wspólnego Debby Crombie?

— To dziewczyna Toma – uświadomiła ją Julia.

— Rozumiem – szepnęła mama. – Rozumiem.

Jak chodzi o państwa, wojna może faktycznie jest licytacją, ale dla żołnierzy to prawdziwa loteria.

Minął kwadrans po ósmej, a szkolnego autobusu wciąż nie było. Śpiew ptaka z dębu na błoniach atakował okolicę niby alfabetem Morse'a. Zasłony na piętrze „Czarnego Łabędzia” lekko drgnęły i w blasku słońca jak samolot mignął mi przed oczyma Isaac Pye, znów wściekły na cały świat. Nick Yew nie pojawił się jeszcze, ale on na ogół się spóźnia, bo idzie aż z Hake's Lane.

— Moja stara chciała zadzwonić do pani Yew – oznajmił John Tookey – ale było zajęte. Non stop.

— Pół wsi próbowało się tam dodzwonić – odrzekła na to Dawn Madden. – Więc pewnie dlatego.

— Taaa – przyznałem jej rację. – Pfewno zablokowała się centrala.

Ale Dawn Madden nawet nie raczyła zauważyć, że się odezwałem.

— Bum, bum, bum, bum – zaczął skandować Ciapciak. – Bum-bum-bum-bum-BUM!

— Przymknij gębę, Ciapciak – warknął Ross Wilcox – albo ja ci przymknę!

— Nie czepiaj się Ciapciaka – upomniała Rossa Wilcoxsa Dawn Madden. – Nie jego wina, że jest przygłup.

— Przymknij gębę, Ciapciak – rzekł Ciapciak, naburmuszony – albo ja ci przymknę.

— Tom na pewno żyje – stwierdził Grant Burch. – Jakby coś było nie tak, już dawno byśmy wiedzieli.

— No – potwierdził Philip Phelps. – Jakby coś było nie tak, już dawno byśmy wiedzieli.

— Co to niby: echo? – burknął Ross Wilcox. – Bardzo ciekawe, skąd wy mielibyście się dowiedzieć?

— Stąd, że w momencie, kiedy – splunął Grant Burch – dotrze to do Yewów wojskowymi kanałami, zadzwonią do mojego starego, bo stary Toma i mój stary razem dorastali. Proste.

— Tak, Burch, już to widzę – rzekł kpiącym tonem Wilcox.

— No – Grant Burch wciąż miał rękę w gipsie, więc musiał sarkazm Wilcoxsa pozostawić bez właściwego komentarza, ale Grant Burch jest bardzo pamiętliwy. – Właśnie.

— Ej! – wykrzyknął Gavin Coley. – Patrzcie!

W dali, za krzyżówką, pojawili się Gilbert Swinyard z Pete'em Redmarleyem.

— Pewno zahaczyli o Hake's Lane – głośno pomyślał Keith Broadwas. – Musieli wstać bladym świtem... Poszli do Yewów, dowiedzieć się, co z Tomem.

Dopiero po chwili spostrzeżliśmy, że Gilbert Swinyard i Pete Redmarley biegną.

Na próbę chciałem sobie przepowiedzieć: „A gdzie Nick?”, lecz Kat przyblokował „Nicka”.

— A czemu – odezwał się Darren Croome – nie ma z nimi Nicka?

Ptactwo rozpierzchnęło się tak nagle, jakby w koronie dębu zdetonowała bomba. Aż podskoczyliśmy, ale jakoś nikogo to nie rozśmieszyło. Widok był niesamowity. Nieprzeliczone setki ptaków wpierw okrążyły błonia tak jak zwykle, potem dwukrotnie: wolnym lotem, trzy razy: dużo szybciej, wreszcie: jak na komendę, znów skryły się pośród liści.

— Może – zaryzykowała przypuszczenie Dawn Madden – Nixon zwolnił dziś Nicka ze szkoły. Wiecie, z wiadomych względów...

Zabrzmiałoby to sensownie, gdybyśmy wreszcie nie ujrzeli min Redmarleya i Swinyarda.

— Ooo... – wymamrotał Grant Burch. – Nie, no, kurwa, nie.

— Zapewne – pan Nixon odchrząknął – wszystkim wam już wiadomo, że w ciągu minionej doby nasz zacny uczeń, Thomas

Yew, stracił życie w konflikcie zbrojnym o Falklandy. (Dyrektor się nie mylił: wiedzieliśmy wszyscy. Kierowca szkolnego autobusu Norman Bates miał nastawione Radio Wyvern, no i tam podali nazwisko Toma). Thomas nie zasłużył sobie na miano najpilniejszego z naszych uczniów. Trudno także byłoby nazwać go uczniem posłusznym. W istocie, jak mi podpowiada rejestr przewin i kar, aż czterokrotnie musiałem mu złożyć tyłek. Zarówno jednak Thomas, jak i ja nie żyjemy (martwa cisza)... nigdy nie żywiliśmy do siebie urazy. Kiedy przedstawiciel komisji poborowej zwrócił się do mnie z prośbą o opinię na temat charakteru Thomasa, z całą szczerością, bez żadnych zastrzeżeń zarekomendowałem go jako młodzieńca wielkiej odwagi. Po kilku miesiącach Thomas zrewanżował mi się za to – zapraszając mnie wraz z żoną do Portsmouth na swoją przysięgę. Nieczęsto... (Na wieść, że ktoś zgodził się poślubić pana Nixona, zebranych ogarnęło lekkie poruszenie. Pan Nixon zgasił je zaledwie jedną groźną miną). Nieczęsto zdarza mi się przyjmować zaproszenie na oficjalną uroczystość z taką przyjemnością i tak olbrzymią dumą. Pod wojskowym rygorem Thomas niebywale się rozwinął. Wyrósł na godnego ambasadora naszej szkoły i prawdziwą chlubę sił zbrojnych Jej Królewskiej Mości. To dlatego smutek, który ściska serce, od chwili, gdy dowiedziałem się o jego śmierci (czyżby panu Nixonowi nagle głos się załamał?) na pokładzie HMS „Coventry”, jest tak nasycony goryczą, płynie bowiem z głębi serca. Bolesny nastrój, jaki panuje dzisiaj w pokoju nauczycielskim i tu, na tej sali, świadczy o głębokim żalu nas wszystkich. (Pan Nixon zdjął okulary i przez chwilę nie wyglądał jak dowódca SS, tylko jak umęczony ojciec rodziny). Po zebraniu prześlę w imieniu całej szkoły depezę kondolencyjną do rodziny Thomasa. Mam nadzieję, że uczniowie i uczennice zaprzyjaźnieni z państwem Yewami zechcą ich wesprzeć nie tylko dobrym słowem. Życie nie szczędzi nam cierpień, lecz żadne nie jest tak dojmujące, jak śmierć osoby najbliższej. Liczę jednak również, że nie będziecie zbyt narzucać się rodzicom i rodzeństwu Thomasa ze swoim

współczuciem. (Kilka dziewczyn z trzeciej klasy zanosilo się płaczem. Pan Nixon popatrzył na nie, wyłączając tym razem swój śmiertelny promień. Pięć, dziesięć, piętnaście sekund w ogóle nic nie mówił. Parę osób zaczęło nerwowo szurać nogami. Dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści sekund. Przechwyciłem spojrzenie pani Ronkswood, wysłane pani Wyche, pod tytułem: „Źle się poczuł?”. Pani Wyche leciutko wzruszyła ramionami). Wierzę – pan Nixon wreszcie podjął swą przemowę – że mając na względzie poświęcenie Thomasa, zechcecie się zastanowić nad konsekwencjami przemocy, zarówno militarnymi, jak i psychicznymi. Liczę, że dotrze do was, kto inicjuje przemoc, kto przemoc stosuje i kto musi za nią płacić. Wojny nie biorą się ot tak, z niczego. Kiełkują nadzwyczaj długo, a wierzcie mi, proszę, ci, którym się nie udaje zapobiec rozlewowi krwi, zmagają się później z niewyobrażalnym wprost poczuciem winy. Mam również nadzieję, że zastanowicie się nad tym, co w waszym życiu naprawdę istotne, a co wypływa li tylko z... czczego... pustego... małego... ordynarnego egotyzmu – dyrektor był najwyraźniej wyczerpany. – To tyle.

Na jego znak siedzący przy pianinie pan Kempsey zaintonował hymn, który idzie tak: „Wysłuchaj żalu naszego po tych, co na morzu giną”. Wstaliśmy wszyscy i zaśpiewali na cześć Toma Yewa.

Normalnie to na zebraniu dużymi literami zapodaje się mądrości w stylu: „Pomagaj bliźniemu” albo „Nawet największa ciemnota może odnieść sukces, jeśli nie zrezygnuje z wytyczonego celu”. Ale mnie się wydaje, że tego ranka nawet nauczyciele nie całkiem zrozumieli, o co chodziło panu Nixonowi.

Wraz ze śmiercią Toma Yewa prysł cały czar wojny. Ponieważ nie dało się sprowadzić zwłok do Worcestershire, został pochowany wśród skalistych wysp, o które wciąż trwają walki. Życie na razie jeszcze nie toczy się ustalonym torem. Fajnie jest smucić się na niby. Gdy jednak ktoś umrze naprawdę, wszystko

się jakoś tak potwornie wlecze. Wojny ciągną się miesiącami albo i latami. Tak przecież było z Wietnamem. Kto wie, czy teraz też tak nie będzie? Argentyna ma na Falklandach trzydzieści tysięcy ludzi i wszyscy okopani. My – tylko sześć tysięcy, którzy usiłują wydostać się z przyczółka. Kiedy Argentyńcy zatopili transporter „Atlantyk”, straciliśmy dwa z zaledwie trzech śmigłowców typu Chinook, więc nasi żołnierze muszą posuwać się w kierunku Port Stanley pieszo. Chyba nawet Luksemburg ma więcej niż trzy przyzwoite śmigłowce. Podobno okręty argentyńskiej floty wojennej uciekają z portów i blokują naszą drogę morską do Wysp Wniebowstąpienia. Prócz tego kończy się nam benzyna. (Zupełnie jakby armia brytyjska nie mogła się obyć bez jakiegoś gównianego rodzinnego sedana). Góra Kent, Dwie Siostry, Wałaca się Góra. Całkiem miłe nazwy, ale teren – bynajmniej. Brian Hanrahan mówi, że jedyną osłonę dla żołnierzy stanowią gigantyczne głazy. Nasze śmigłowce nie mogą osłaniać ich z powietrza ze względu na mgłę, śnieg, grad i wichury. Jak Dartmoor, powiedział, w środku zimy. Nasi spadochroniarze nie mogą kopać lisich dziur, bo grunt jest zbyt twardy, a do tego niektórzy zdążyli się nabawić podagry. (Dziadek mi kiedyś opowiadał, jak jego tato nabawił się podagry w Passchendaele w 1916). Wschodnie Falklandy to jedno wielkie pole minowe. Zaminowali plaże, mosty, wąwozy, wszystko. W nocy nieprzyjacielscy snajperzy wystrzelują race, więc pejzaż jest rozświetlony jak wnętrze lodówki. Bez przerwy świszczą kule. Jak twierdzi pewien ekspert, Argentyńczycy korzystają z amunicji, tak jakby mieli nieograniczone jej zapasy. Plus – nasi nie mogą bombardować domów, bo wtedy wymordowaliby ludność cywilną, którą mają ocalić. A tej ludności tak za wiele nie ma. Generał Galtieri wie, że zima mu sprzyja. Przemawiając z balkonu swego pałacu, oświadczył, że Argentyna będzie walczyć aż do krwi ostatniej.

Nick Yew na razie nie wraca do szkoły. Dean Moran widział go u pana Rhydda, jak kupuje jajka i płyn do mycia naczyń – ale nie wiedział, co powiedzieć. Według Morana, Nick miał martwą

twarz.

Przed tygodniem było w „Gońcu Malvern” zdjęcie Toma Yewa. Na pierwszej stronie. Tom w mundurze chorążego z uśmiechem salutuje do aparatu. Wkleiłem je do zeszytu z wycinkami. Kończą mi się strony.

W poniedziałek, po powrocie ze szkoły, ujrzałem podjazd zatarasowany co najmniej dziesięcioma granitowymi kłocami oraz pięcioma workami z napisem „MATERIAŁ WYPEŁNIAJĄCY Z TŁUCZONYCH MUSZLI”. Do tego jeszcze – gigantyczna skorupa żółwia, która się okazała wykonanym z włókna szklanego korytem stawu. Pan Castle stał na składanej drabinie i przystrzygał swój żywopłot, oddzielający jego ogród frontowy od naszego.

— Tatusz chce odtworzyć Wiszące Ogrody Babilonu, racja?

— Coś w tym stylu.

— Znakiem tego pewnie ma w garażu podnośnik.

— Słucham?

— Na podjeździe leży tona skał z okładem. Taczkami nikt tego nie udźwignie. Poza tym trwale uszkodzili asfalt – pan Castle uśmiechnął się i skrzywił równocześnie. – Byłem tu, widziałem, jak zrzucają.

Mama przysłała do domu dwadzieścia minut później, w stanie ślepej furii. Akurat oglądałem wojnę w telewizji, więc nietrudno było usłyszeć, jak dzwoni (z sieni) do zakładu, gdzie zamówiła projekt alpinarium.

— Skałki mieliście przywieźć jutro! I położyć w ogrodzie! A nie na środku podjazdu, że ruszyć się nie można! Co? „Zaszło nieporozumienie”? O, nie! To się nazywa karygodna głupota! I gdzie my mamy parkować?

Na koniec mama krzyknęła przeraźliwie, że porozumie się z adwokatem! – i odłożyła słuchawkę.

Po powrocie do domu, grubo po siódmej, tato nie wspomniał o głazach na podjeździe. Ani słowem. Ale to jego milczenie było mistrzowskie. Mama też nie poruszyła kwestii głazów, więc mieliśmy remis. Napięcie, jakie zapanowało w pokoju, było

słyszalne jak trzaski przeciążonej trakcji elektrycznej. Mama uwielbia chwalić się gościom i rodzinie, że zawsze, ale to zawsze co wieczór wszyscy razem zasiadamy do kolacji. Przydałoby się, żeby choć raz zwolniła nas z tego rytuału. Julia w najlepszej wierze zaczęła snuć opowieść o dzisiejszym egzaminie końcowym z wiedzy o świecie (dostała dokładnie te pytania, z jakich się przygotowała) i chociaż rodzice uprzejmie poświęcili jej uwagę, nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że głązy na podjeździe czekają, aż ktoś się nimi zajmie.

Mama podała tartę z melasą i lody waniliowe.

— Heleno, nie chciałbym wyjść na zrzędę – rozpoczął tato – ale chętnie się dowiem, kiedy będę mógł wstawić samochód do garażu?

— Robotnicy zajmą się porządkowaniem alpinarium jutro. Zaszło jakieś nieporozumienie co do terminu dostawy. Skończą robotę jutro wieczór.

— Aha, doskonale. Tylko że w myśl polisy ubezpieczenie przysługuje nam wyłącznie, kiedy parkujemy poza jezdnią, gdybyś więc...

— Jutro, Michaelu.

— Świetnie! Przepyszna tarta; z Greenland?

— Z Sainsbury.

Nastąpił zgodny chrobot łyżeczek o talerze.

— Heleno, niech to nie wygląda na jakieś wtrącanie się...

(Mama rozdęła nozdrza niczym byk z kreskówki).

— ...ale mam nadzieję, że jeszcze im nie zapłaciłaś...?

— Nie. Wpłaciłam zadatek.

— Ach, tak? Pytam, bo co rusz się słyszy, jak to niby-spec wziął od klienta okazałą sumkę, a na drugi dzień nie było po nim śladu. A później, ledwo się człowiek opamięta, już nawet nie ma po co dzwonić do prawnika, bo się okazuje, że „szef firmy” czmychnął do jakiegoś Costa del Frytos i wyleguje się w słońcu. W związku z czym, niestety, klient nie dostaje ani grosza zwrotu. Człowiek haruje jak wół, żeby się potem tak dać okantować. Coś okropnego.

— Zdawało mi się, że w kwestii alpinarium „umywasz ręce”...

— Owszem – tato nie potrafi ukryć satysfakcji w imię świętego spokoju. – Ale nie przypuszczałem, że nie będę mógł własnego auta stawiać na własnym podjeździe. Nie mam nic więcej do dodania.

Raptem coś huknęło, choć nikt niczego nie upuścił.

Mama wstała od stołu. Nie zła, nie rozzalona – gorzej. Jakby w ogóle nas nie było.

Tato ledwo zerknął na jej krzesło.

— Dziś na egzaminie – Julia zaczęła kręcić loczek – mieliśmy taki termin, którego nie rozumiem do końca... „pyrrusowe zwycięstwo”; tato, wiesz, co to znaczy?

Tato spojrzał na Julię wielce srogim wzrokiem.

Ale jej to wcale nie obeszło.

Tato wstał i poszedł do garażu, prawdopodobnie na papierosa.

Między mną i Julią spoczywały szczątki deseru.

Na chwilę zapatrzyliśmy się na nie.

— Jakie zwycięstwo?

— Pyrrusowe. Starożytna Grecja. Pyrrusowe zwycięstwo znaczy, że wygrałeś, ale cena, jaką musiałeś ponieść, żeby odnieść zwycięstwo, jest tak wysoka, że lepiej byłoby w ogóle nie zawracać sobie głowy walką. Pożyteczne słówko, prawda? No, Jace, wygląda na to, że znów my zmywamy? Wolisz dziś wycierać?

Zawieszenie broni na Falklandach

Kraj ogarnęło takie święto, jakbyśmy równocześnie mieli i Piątego Listopada, i Gwiazdkę, i Dzień Świętego Jerzego, i Srebrny Jubileusz Królowej – wszystko naraz. Pani Thatcher wystąpiła przed swoją rezydencją, ze słowami: „Radujcie się, po prostu!”. Flesze błyskały jak w obłędzie, tłum normalnie oszalał. Bo wcale nie zachowała się jak polityk, tylko jak Bucks Fizz, cała czwórka, na wieść, że wygrali Konkurs Eurowizji.

Wszyscy śpiewali, że Brytania włada falami i że nigdy przenigdy Brytyjczycy nie będą niewolnikami. W kółko. (Ciekawe, czy ta pieśń ma jakieś zwrotki, czy tylko ten niekończący się refren). Tegoroczne lato nie jest, jak zwykle, zielone, tylko czerwono-biało-błękitne, jak flaga brytyjska. Rozdzwoniły się dzwony, latarnie morskie zapłonęły światłem i jak Wyspa długa i szeroka ludzie bawią się na ulicach. Wczoraj Isaac Pye urządził w „Czarnym Łabędziu” całonocną happy hour. Według doniesień z Argentyny, w największych miastach wybuchły zamieszki, co chwila notuje się tam strzelaniny i grabieże, tak więc, według pewnych osób, upadek junty to tylko kwestia czasu. „Daily Mail” rozpisuje się o triumfie właściwego nam hartu ducha i daru przewodzenia. Według sondaży Margaret Thatcher jest najpopularniejszym premierem w dziejach.

Powinienem cieszyć się jak nigdy.

Julia czytuje „Guardiana”, gdzie piszą przeróżne rzeczy, jakich w „Daily Mail” się nie znajdzie. Mówi, że te liczące trzydzieści tysięcy ludzi oddziały nieprzyjaciela to w większości zwykli poborowi i Indianie, bo ledwie się tam pojawili nasi spadochroniarze, cała ich wojskowa elita pędem wróciła do Port Stanley. Część tych, których zostawili, zakłuto bagnetami. Wywlekanie wnętrzości przez szparę w brzuchu! Tak oto w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku ginie się jeszcze na modłę roku tysiąc dziewięćset czternastego. Brian Hanrahan powiedział, że widział wywiad z jednym żołnierzem, który się przyznał, że nie ma zielonego pojęcia, co to są Malwiny ani po co się tam znalazł. Julia mówi, że główne powody, dla których zwyciężyliśmy, są następujące: a) Argentyńczyków nie było stać na zakup większej ilości exocetów, b) ich flota wojenna zaszyła się w bazach lądowych i nie wystawiała stamtąd nosa, c) ich siłom powietrznym zabrakło szkolonych pilotów. Julia mówi, że taniej niż wojna wypadłoby osiedlenie każdego mieszkańca Wysp Falklandzkich wraz z dobytkiem w Cotswolds. Według niej nikt nie zechce płacić za sprzątanie całego tego bałaganu, tak że większość pól uprawnych na wyspach będzie niedostępna,

dopóki za miny nie weźmie się rdza.

Co może potrwać i ze sto lat.

Dzisiaj w „Daily Mail” wielka afera, czy piosenkarz Cliff Richard sypia z tenisistką Sue Barker, czy tylko blisko się przyjaźnią.

W przededniu katastrofy „Coventry” Tom Yew napisał do rodziny. List trafił do Black Swan Green zaledwie parę dni temu. Czytała go mama Deana Morana, bo była matką chrzestną Toma Yewa – no i Kelly Moran wyciągnęła od niej rozmaite szczegóły. Nasi marines uważali mieszkańców Wysp Falklandzkich za jedną wielką bandę popaprańców („powaga – pisał Tom – niektórzy wyglądają na swoich własnych ojców”), jak ten taki niepociumany Benny złota rączka z serialu *Crossroads*. Do tego stopnia, że zaczęli ich nazywać „Benkami”. („Nie zmyślam; dziś rano poznałem jednego Benka, który myśli, że chipy z silikonu i chipsy z Sycylii to jedno i to samo”). W końcu wszyscy niżsi rangą zaczęli mówić: „Benek to, Benek tamto”. Kiedy dotarło to do oficerów, natychmiast został wydany zakaz posługiwania się tym imieniem. Żołnierze dali sobie spokój. Ale po paru dniach Toma wezwał przełożony, żądając odpowiedzi, czemu załoga już nie mówi na miejscowych „Benki”, tylko „Jednaki”. „No to uświadomiłem porucznika, że to przecież jednak Benki”.

W kwestii nieuczciwości architekta krajobrazu tato poniekąd miał rację. Kiedy firma przestała odpowiadać na nasze telefony, mama udała się do Kidderminster, by znaleźć tam opustoszałe biuro z jednym połamanym krzesłem. Oraz sterczące ze ścian kable. Jacyś dwaj goście, zajęci ładowaniem fotokopiarki na ciężarówkę, powiedzieli, że firma splajtowała. Tak że głazy zostały na podjeździe jeszcze dwa tygodnie, do powrotu pana Broadwasa z urlopu w Ilfracombe. Pan Broadwas czasem pomaga rodzicom w pracach ogrodniczych. Tacie jakoś udało się odciągnąć mamę od uczestnictwa w akcji ratowniczej. Dziś o ósmej rano (jest sobota) przed dom zajechała ciężarówka z podnośnikiem widłowym. Z szoferki wysiadł pan Broadwas

wraz z synami, Gordonem i Keithem. Podnośnikiem kierował zięć pana Broadwasa, Doug. Wpierw tato z Dougiem rozebrali boczną bramę, żeby za pomocą urządzenia można było przetaszczyć granit za dom. Następnie wszyscy wzięliśmy się do kopania rowu pod sadzawkę. Urobiliśmy się po łokcie. Mama stała z boku w pozycji wyczekującej, ale ludzie z łopatami wzniesli taką jakby niewidzialną ścianę. Przyniosła tacę z holenderskimi kruchymi ciasteczkami oraz kawą. Wszyscy grzecznie dziękowali, a mama równie grzecznie odpowiadała: „Bardzo proszę”. Tato wysłał mnie na rowerze do pana Rhydda po 7-Up i marsy. (Pan Rhydd stwierdził, że w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim tak upalnego dnia jeszcze nie było). Po powrocie, wraz z Gordonem targaliśmy wiadra ziemi na drugi koniec ogrodu. Nie wiedziałem, o czym gadać z Gordonem Broadwasem. Mamy po tyle samo lat (choć on chodzi do klasy dla tumanków), a tu nagle mój tato wynajmuje jego tatę za pieniądze. Można się spalić ze wstydu! Gordon też prawie się nie odzywał, więc chyba też mu było głupio. Mama stopniowo kamieniała, w miarę odkrywania kolejnych różnic pomiędzy alpinarium w ogrodzie i alpinarium jej projektu. Po wstawieniu w rów koryta, czyli stawu, kiedy zrobiliśmy sobie przerwę na opiekane kanapki, oznajmiła wszem i wobec, że wybiera się do Tewkesbury po sprawunki. Kiedy odjechała i wróciliśmy do roboty, tato westchnął, tak dla żartu:

— I tak to jest z babami! Najpierw się człowiek nasłucha, że musi mieć alpinarium, a teraz nagle sklep ważniejszy...

Pan Broadwas przytaknął jak ogrodnik. Nie jak sprzymierzeniec.

Kiedy mama wróciła do domu, nie zastała już ani pana Broadwasa, ani jego synów, ani Douga, ani ciężarówki z podnośnikiem widłowym. Tato pozwolił mi napełnić sadzawkę wodą ze szlauchu. Potem grałem w swingball. Julia wybrała się z Kate, Ewanem i kilkoma jego znajomymi do Worcester, do nocnego klubu Tanyi, świętować zakończenie egzaminów. Tato czułym gestem wsadzał w szczeliny między kamieniami

paprociowate roślinki pnące.

— No i? – machnął rydlem. – Jak ci się widzi?

— Bardzo ładnie – odpowiedziała mama.

Od razu się domyśliłem, że wie coś, o czym my nie wiemy.

Tato pokiwał głową.

— Chłopaki nieźle się spisali, hm?

— Aaa: wprost doskonale.

— Pan Broadwas mówi, że jak tylko krzewy się przyjmą, będzie to najlepszy staw w wiosce. No, toś chyba troszkę pojeździła po tym Tewkesbury, co?

— O, tak, było bardzo przyjemnie – odrzekła mama i w tej samej chwili wychynął z za domu pulchny jegomość o bokobrodach jak ze sklepu ze śmiesznymi rzeczami; przed sobą pchał biały kubeł na kółkach, z wieczkiem. – To mój mąż, a to syn, Jason. Michaelu, przedstawiam ci pana Suckleya.

Pan Suckley skinął głową na znak: „Miło mi panów poznać”.

— Staw jest tutaj – wskazała mama panu Suckleyowi. – Proszę, bardzo proszę.

Pan Suckley zaparkował kubeł na skraju sadzawki, a następnie wzniosł coś na kształt bramki, przez którą jak ze śluzy wpłynęły do środka dwie olbrzymie i dorodne ryby. Nie te takie mikrusy, jakie zwykle sprzedają w plastikowych workach. Pewno kosztowały krocie.

— W Japonii czci się karpie jako żywy skarb – oznajmiła mama. – Symbolizują długie życie. Żyją kilkadziesiąt lat i pewno nas przeżyją.

Tato spuścił nos na kwintę.

— Oj, wiem, wiem, Michaelu, że ten podnośnik to niemałe dodatkowe koszta. Ale chyba się zgodzisz, że sporo oszczędziliśmy, decydując się na granit zamiast marmuru. Poza tym w najlepszej sadzawce muszą przecież pływać wyjątkowe ryby, prawda? Jak to się one nazywają po japońsku? – spytała pana Suckleya.

Pan Suckley skończył opróżnianie kubła do ostatniej kropeczki.

— Koi.

— Koi – mama ogarnęła staw macierzyńskim spojrzeniem. – Ten podłużny złoty ma na imię Moby, a cętkowanego nazwiemy Dick.

Tyle się dziś zdarzyło, że pan Suckley z pewnością już by wystarczył. Ale kiedy po podwieczorku grałem sobie w garażu w rzutki, z hukiem otwarły się nagle drzwi kuchni.

— Wynocha! – przeraźliwy pisk mamy był zniekształcony gniewem. – W TEJ CHWILI SIĘ STĄD WYNOŚCIE, wstrętne CHAMY!

Czym prędzej pognałem do ogrodu na tyłach domu, by ujrzeć, jak mama ciska kubkiem z księżną Dianą i księciem Karolem w gigantyczną czaplę, która postanowiła przysiąc na alpinarium. Herbata chlusnęła w powietrze jak płyn w przestrzeni pozbawionej siły przyciągania, trafiając jedynie ławicę skąpanych w słońcu komarów. Kubek rozbił się o alpinarium. Uniósłszy anielskie skrzydła, czapla niespiesznie wzbiła się nad ogród. Z jej dzioba próbował wyrwać się Moby.

— ZOSTAW mi TĘ RYBĘ! – zaryczała mama. – Cholerne PTASZYSKO!

Przerażona mama patrzy, jak czapla znika na bezkresnym niebie.

Moby rzuca się w blasku Sądu Ostatecznego.

Tato obserwuje to wszystko z kuchennego okna. Wcale się nie śmieje. Wygrał.

A ja... Mnie, cholera jasna, chce się ten durny świat kopać w zęby, póki, cholera jasna, nie zrozumie, że niezadawanie bólu liczy się, cholera, dziesięć tysięcy razy bardziej niż obstawanie przy swoim.

Strachy

Rechocząc, przywiązywałem nić do kołatki na drzwiach pana Bake'a. Mosięzna kołatka miała kształt ryczącego lwa. „Oto więc niedojda, której miejsce w łożu, oto więc i bestia, co łeb jej odgryzie”. Za mną, na boisku, stał Ross Wilcox, dodając mi animuszu gestem oraz słowem. Koło niego, na drabince, przysiadła Dawn Madden – z cudną głową w aureoli światła latarni. Kto wie, co sobie myślała. Wirując na „kapeluszu więdźmy”, podwórkowej karuzeli, moim postępom w robocie przyglądali się Gilbert Swinyard z Pete'em Redmarleyem. Na górnym siodełku huśtawki przycupnął Dean Moran. Dolny obciążył Pluton Noak z fajką gorejącą w ciemności. On właśnie był powodem moich obecnych działań. Kiedy pan Blake skonfiskował piłkę, która za sprawą wykopu Gilberta Swinyarda wylądowała u niego w ogrodzie, Noak oświadczył:

— Według mnie, staremu – oblizał się, wypowiadając te słowa – trzeba zdrowo nastukać i tyle!

„Zdrowo nastukać” brzmi niewinnie, ale tylko na papierze. Zapukać do drzwi i zwać, nim ofiara zdąży odpowiedzieć, to zwyczajny, nieszkodliwy psikus, ale „zdrowo nastukać” oznacza: „Czyśmy dziecinne wiatru tchnienie, czy przybywamy w łożu życia cię pozbawić?... Czemuż ze wszystkich domów we wsi na twój akurat padło?”.

Coś potwornego, serio.

Może zresztą wszystkiemu winien był Ross Wilcox. Gdyby nie pocałował Dawn Madden tak namiętnie, z jęzorem, kto wie, czy

kiedy Pluton Noak wspomniałby o zdrowym nastukaniu, nie poleciałbym do domu? I może bym się nie przechwalał, jak to mój kuzyn Hugo załatwia sprawę, przywiązując końcówkę szpuli nici do kołatki, a następnie puka do drzwi ofiary z bezpiecznej odległości i doprowadza ją do obłędu.

Wilcox chciał zniszczyć mój pomysł w zarodku.

— Przecież zobaczą nitkę, co nie?

— Nie – podjąłem kontratak. – Tylko trzeba użyć czarnej i po zapukaniu poluzować, żeby zleciała na ziemię.

— A skąd ty to wiesz, Taylor? W życiu tego nie robiłeś.

— Jak nie, do jasnej cholery? U kuzyna. W Richmond.

— W jakim, kurwa, Richmond?

— Praktycznie w samym Londynie. Ubaw był, że hej!

— Powinno się udać – przemówił Pluton Noak. – Tylko wpierw trzeba jakoś przywiązać tę nitkę.

— No, ale do tego to trzeba mieć jaja – Dawn Madden była ubrana w spodnie z wężowej skóry.

— Gdzie tam! – w końcu sam zacząłem. – Bułka z masłem, zobaczcie.

Ale przywiązanie nici do kołatki, kiedy byle obsuwa znaczy pewną śmierć, bynajmniej nie jest bułką z masłem. Pan Blake akurat oglądał „Wiadomości wieczorne”. Przez otwarte okno dolatywała woń smażonej cebuli oraz wieści z konfliktu w Bejrucie. Podobno pan Blake ma wiatrówkę. Swego czasu był zatrudniony w fabryce urządzeń górniczych w Worcester, ale potem go zwolnili i odtąd już nie pracuje. Jego żona zmarła na białaczkę. Ma dwudziestoletniego syna Martina, ale (jak twierdzi Kelly Moran) pewnego wieczoru strasznie się poprzytkali, no i ten syn przepadł bez wieści. Później raz ktoś tylko dostał od niego list z platformy wiertniczej na Morzu Północnym i potem jeszcze z Alaski, z jakiejś fabryki konserw.

Nieważne. Na razie Pluton Noak, Gilbert Swinyard i Pete Redmarley byli ZABLOKOWANI, więc chyba trochę im zaimponowałem, mówiąc, że sam wykonam pętlę. Niestety, bardzo długo nie mogłem sobie poradzić z węzłem prostym jak

konstrukcja cepa.

Nareszcie!

Z wrażenia aż mi zaschło w gardle.

Śmiertelnie ostrożnie opuściłem kołatkę.

Teraz pod żadnym pozorem nie wolno mi było dać za wygraną, spanikować ani pomyśleć, co zrobią mi pan Blake i rodzice, gdyby mnie przyłapali.

Zacząłem się pomału wycofywać, rozwijając nić i starając się nie naruszyć żwiru na ścieżce.

Prehistoryczne drzewa pana Blake'a rzucały tygrysie cienie.

Przeżarte rdzą zawiasy bramy pisnęły jak szkło, które ma zamiar roztrzaskać się na kawałki.

Okno otwarło się z trzaskiem.

Wiatrówka wypaliła i dostałem w szyję kulką śrutu.

Dopiero gdy umilkł telewizor, uzmysłowiłem sobie, że okno zamknęło się z trzaskiem. Nabojem był przypuszczalnie latający żuk albo coś w tym stylu.

— Żebyś ty się widział – warknął z pogardą Ross Wilcox, kiedy do nich dołączyłem. – Ledwie uchyliło się okno, zrobiłeś taką minę, jakbyś się normalnie zesrał!

Ross był jednak samotny w swoim szyderstwie.

— Ale zrobił to, wiesz, Wilcox – spluwając, orzekł Pete Redmarley.

— Właśnie – zawtórował mu Gilbert Swinyard. – Odważył się i zrobił.

— Gratulacje, Jace – dodał Dean Moran.

Telepatycznie przekazałem Dawn Madden:

„A twój walnięty chłoptaş w życiu by się nie ośmielił”.

— Ej, dzieciarnia, spokój! – Pluton Noak zeskoczył z huśtawki, a Moran zleciał na ziemię i z jękiem poturlał się po błocie. – Daj no tę nitkę, Jason. – Po raz pierwszy nie zwrócił się do mnie per „Taylor” ani „ty”. – Odwiedzimy wała!

Uradowany pochwałami, podałem mu szpulkę.

— Chcę pierwszy, zgoda, Pluton? – odezwał się Pete Redmarley. – W końcu to moja nitka.

— Łzesz, złodzieju; wcale nie twoja; zwędziłeś swojemu staruszkowi – wdrapując się na zjeżdżalnię, Pluton Noak rozwinął jeszcze trochę nici. – Poza tym, jak wiadomo, rzecz wymaga zręczności. Gotowi?

Zgodnie przytaknąwszy, przybraliśmy niewinne pozy.

Pluton Noak naprężył nitkę i delikatnie pociągnął.

Mosiężna kołatka w kształcie lwa zadźwięczała. Raz, dwa, trzy.

— Wprawa! – mruknął Pluton Noak, co dla mnie zabrzmiało jak plusk wody.

Tępy topór ciszy ściał wszelkie dźwięki dokoła.

Pluton Noak, Swinyard i Redmarley spojrzeli po sobie.

I – na mnie, jakbym był jednym z nich.

— Taaak? – w żółtym prostokącie pojawił się pan Blake. – Kto tam?

„Żeby to teraz przypadkiem – pomyślałem, czując, jak krew w żyłach gotuje się i rzednie – nie spaliło, kurczę pieczone, na panewce”.

Pan Blake postąpił naprzód.

— Halo, halo, kto to? – jego wzrok padł na nas.

— Tato Nicka Yewa – powiedział Pete Redmarley, tak jakbyśmy byli pochłonięci dyskusją – chce sprzedać stare suzuki Toma Grantowi Burchowi.

— Burchowi? – prychnął Wilcox. – A na co temu kalece motor?

— Według mnie – zwrócił się do niego Gilbert Swinyard – złamana ręka to nie żadne kalectwo.

Wilcox nie ośmielił się mu odciąć. Ku mojej wielkiej radości.

Gdy tak rozmawialiśmy, pan Blake łypał na nas wściekłym okiem. W końcu postanowił wycofać się do domu.

Gdy tylko drzwi się zamknęły, Pluton Noak parsknął:

— Więc jak, kurwa, do upadłego...?

— Do upadłego – powtórzył Dean Moran.

Dawn Madden zagryzła dolną wargę i ukradkiem posłała mi taki jakby nagi uśmiech.

„Pięćdziesiąt nici gotów jestem wiązać – przesłałem jej

w myślach – do pięćdziesięciu kołatek”.

— Stary pierdoła – mruknął Ross Wilcox. – Pewnie, cholera jasna, ślepy jak nietoperz. Prawdopodobnie nadepnął na nitkę.

— A niby po co – odpowiedział Gilbert Swinyard – miałby szukać jakiejś nitki?

— Dajże teraz spróbować – poprosił Noaka Pete Redmarley.

— Mhm, mhm, akurat, nic z tego, kolego. Ma być zabawa, co nie? Druga rundka?

Kołatka pana Blake’a odezwała się raz, dwa razy...

Drzwi otworzyły się w jednej chwili, wytrącając szpulkę z dłoni Plutona Noaka, aż z łoskotem poturlała się pod huśtawkę.

— Dobra, ty... – warknął pan Blake na niewidzialnego złoczyńcę, który wcale nie skulił się ze strachu ani w jego progu, ani w ogóle nigdzie.

Doznałem takiego dziwnego wrażenia, jakby to wszystko nie działo się tu i teraz.

Pan Blake zaczął przemierzać ogród, licząc, że kogoś tam nakryje.

— A za ile – głosem donośnym, acz niewinnym, zapytał Pete’a Redmarleya Gilbert Swinyard – Yewowie chcą im spylic to suzuki?

— Nie wiem – odrzekł Pete Redmarley. – Pewno za dwie stówy.

— Dwieście pięćdziesiąt – zapiszczał Moran. – Isaac Pye tak mówił Borsukowi Harrisowi w „Czarnym Łabędziu”. Kelly podsłuchiwała.

Pan Blake podszedł do bramy. (Trochę spuściłem głowę, w nadziei, że mnie nie pozna).

— Giles Noak. Że też od razu się nie domyśliłem. Znowu chcesz spędzić noc u gliniarzy w Upton?

Gdyby wmieszała się w to policja, Ross Wilcox na stówę by mnie zakapował.

Pluton Noak wychylił się lekko na zjeżdżalni i spuścił z góry bombę śliny.

— Do ciebie mówię, bezczelny gówniarzu – pan Blake

podniósł głos.

— Niemożliwe! A mnie się wydawało, że do tego chłopaka, co huknął panu w drzwi i uciekł.

— Gówny prawda! To ty!

— Mhm, i aż tu odskoczyłem jednym wielkim susem, tak?

— Wobec tego: kto?

Pluton Noak zaśmiał się pod nosem na znak: „Spierdalaj, dziadu”.

— Co: „kto”?

— W porządku! – pan Blake cofnął się o krok. – Wzywam policję!

Pluton Noak wstrząsająco zagrał pana Blake’a:

— Policja? Mówi Roger Blake. Tak: sławny bezrobotny dręczyciel dzieci z Black Swan Green. Chcę zgłosić, że jakiś chłopiec najpierw dobija się do mnie, a później ucieka. Nie, nie znam nazwiska. Nie, nie widziałem go, ale i tak macie tu przyjechać i go zaaresztować. Zasłużył na solidne grzmoty lśniąca twardą pałką! Domagam się kategorycznie możliwości własnoręcznego wymierzenia mu tej kary!

Upierne, że mój figiel miałby się skończyć czymś takim.

— Po tym, co spotkało twojego ojca łobuza – rzekł pan Blake głosem ociekającym jadem – powinieneś sobie wreszcie uświadomić, jak kończą szumowiny.

Moran głośno kichnął.

Oto prawdziwa historia z życia Gilesa „Plutona” Noaka. Zeszłej jesieni nasz nauczyciel plastyki, pan Dunwoody, zaprosił jego ówczesną sympatię, Colette Turbot, na zajęcia kółka plastycznego. Odbywają się one po lekcjach i wolno na nie uczęszczać tylko dzieciakom zaproszonym przez Dunwoody’ego. Kiedy Colette Turbot przyszła na kółko, okazało się, że oprócz niej i Dunwoody’ego nie ma nikogo. Kazał jej pozować topless, do zdjęć, w swojej ciemni. Colette Turbot na to, że „raczej nie, proszę pana”. Dunwoody zaczął jej tłumaczyć, że jeśli roztrwoni swe atuty, z pewnością zmarnuje życie, wychodząc za jakiegoś palanta i pracując w kasie. Colette Turbot wyszła, jakby nigdy

nic. Na drugi dzień w porze lunchu na parkingu pracowników szkoły zjawił się Pluton Noak ze swoim kolegą z przetwórnicy odpadów wieprzowych w Upton. Przyszło sporo widzów. Pluton Noak wraz z kolegą rozkołysali Citroëna Dunwoody'ego, przewracając go kołami do góry.

— JAK POWIESZ TYM ŚWINIOM, CO ZROBIŁEM – ryknął Pluton na cały regulator w okno pokoju nauczycielskiego – TO JA IM POWIEM, ZA CO!

Ludzie nieraz mówią: „Mam to gdzieś”, ale Pluton Noak traktuje te słowa jako światopogląd.

No, ale dobra. Pan Blake bardzo ostrożnie cofnął się jeszcze ze dwa kroki, lecz Pluton dobiegł już do bramy.

— Żeby tak powiedzieć o czyimś ojcu, wpierw trzeba się rozeznac w sprawie, Roger! Więc może załatwmy to po męsku. Ty i ja. Tutaj, zaraz. Chyba się nie boisz? Według Martina masz prawdziwy dar niszczenia krnąbrnych nastolatków.

— Sam... – zdołał w końcu odpowiedzieć pan Blake, głosem załamany i jakby też histerycznym. – Sam nie wiesz, o czym mówisz.

— No, ale Martin jednak wiedział, prawda?

— Palcem go nie tknąłem, nigdy!

— Palcem to nie – dopiero po chwili dotarło do mnie, że drugi głos należy do Deana Morana. – Bardziej w twoim stylu był pogrzebacz owinięty w poszewkę, racja? – Po Deanie Moranie wszystkiego można się spodziewać. – Bo nie zostawia śladów.

Pluton Noak wykorzystał to natychmiast.

— Wspaniałe to były czasy, co nie, Rog?

— Plugawe srajdy! – pan Blake wmaszerował do domu. – Każdy jeden ma zatruty umysł! Policja prędko się z wami rozprawi!

— Mój stary ma swoje wady, nie zaprzeczam! – wykrzyknął Pluton Noak. – Ale tego, co ty Martinowi, nie zrobił mi nigdy w życiu!

Drzwi domu pana Blake'a trzasnęły jak śrutówka.

Co mnie, durnia, podkusiło, żeby w ogóle wspominać o tej nici

i kołatce?!

Pluton Noak wrócił do nas zwawym krokiem.

— Niezły strzał, Moran. Pograłbym na automatach w „Czarnym Łabędziu”. Idziecie?

Zaproszenie dotyczyło tylko Redmarleya i Swinyarda. Odpowiedzieli chórem:

— Okay, Pluton.

Pluton Noak na odchodnym kiwnął do mnie porozumiewawczo: „Dobra robota”.

— Ale – Ross Wilcox musiał dodać swoje – rano Blake znajdzie nitkę.

— Dobra – Pluton Noak opluwa wytworny czerwcowy księżyc.

Przerwy w szkole są zwykle dosyć ponure. Jak spędza się je samemu, to jest się Ofiarą Bez Przyjaciół. Gdy człowiek próbuje wejść do kręgu chłopaków z wyższej warstwy, jak Gary Drake albo David Ockeridge, może się narazić na obojętne: „A ty czego?”. Spędzając czas z chłopakami z warstwy niższej, jak Floyd Chaceley i Nicholas Briar, automatycznie stajesz się jednym z nich. Kolegowanie się z dziewczynami, na przykład z szatnianą paczką Avril Bredon, za wiele nie załatwia.

Wprawdzie dziewczynom nie trzeba bez przerwy dowodzić swej wartości, no i zdecydowanie o wiele ładniej pachną. Ale wtedy ktoś zaraz puszcza pogłoskę, że któraś ci się podoba, i na tablicach zaczynają się pojawiać inicjały i serca.

Podczas przerw staram się przemieszczać w różnych kierunkach, co przynajmniej sprawia wrażenie, że zawsze gdzieś mam coś do załatwienia.

Dziś jednak było inaczej. Chłopacy lgnęli do mnie sami. Każdy chciał się dowiedzieć, czy naprawdę uwiązałem nitkę do frontowych drzwi domu Rogera Blake’a. Warto cieszyć się pewną renomą jako twardziel, byle tylko nauczyciele nic nie zauważyli. Więc każdemu, kto się do mnie zgłaszał, mówiłem: „No cóż, nie warto wierzyć we wszystko, co się słyszy”. Ta sprytna riposta oznaczała: „Jasne, że to prawda”, jak również:

„A niby czemu miałbym się z tego zwierzać tobie?”.

Wszyscy odpowiadali: „Awangarda”. Zgodnie z najnowszą modą.

Za ladą sklepiku ze słodyczami urzędował Neal Brose oraz kilku wójtów szóstych klas. (Nealowi udało się załatwić tę robotę tylko dlatego, że wcisnął panu Kempseyowi, iż bardzo chce zapoznać się z działalnością handlową). Neal Brose od samego początku semestru odnosił się do mnie chłodno, ale dziś zakrzyknął:

— Na co masz ochotę, Jace?

Zabrzmiało to tak przyjaźnie, że prawie straciłem rezon.

— Może double decker...?

Przysmak pofrunął w moją stronę momentalnie. Uniosłem dłoń, by zatrzymać tabliczkę czekolady, która wpasowała się w nią idealnie, jak nigdy.

Dużo chłopaków to widziało.

Neal Brose zgiętym kciukiem dał mi do zrozumienia, że mam mu zapłacić z drugiej strony. Kiedy jednak wyciągnąłem należne piętnaście pensów, z chytrym uśmieszkiem zacisnął moje palce na monetach, tak aby wyglądało, że je bierze. A drzwi zamknął tak prędko, że nie zdążyłem nawet się odezwać. Był to najsmaczniejszy double decker, jaki jadłem w życiu. Nigdy jeszcze nie jadłem tak puszystego nugata. Ani tak cudownie chrupiących i słodziutkich rodzynek.

A potem przyszli Duncan Priest i Mark Badbury. Z piłeczką tenisową. Mark Badbury zapytał:

— Zagrasz gema?

Jakbyśmy od lat się kumplowali.

— Okay – odpowiedziałem.

— Okay! – ucieszył się Duncan Priest. – Najfajniej gra się w trójkę.

Wychowania plastycznego uczył ten sam pan Dunwoody, którego samochód w zeszłym roku Pluton Noak wywrócił podwoziem do góry. Według Julii, pan Nixon wkroczył wtedy do akcji dla ratowania własnej skóry, żeby uniknąć skandalu.

Plutona Noaka nikt się nie czepiał, a dopóki nie naprawiono Citroëna, pana Dunwoody'ego podwoziła do szkoły pani Gilver. Pewno byłaby z nich niezła para małżeńska. Oboje nie cierpią ludzi.

No, ale dobra. Pan Dunwoody posiada przeogromny nochał. Wciąż zajeżdża od niego kamforą z maści Wicka. Tylko doświadczony jąkała potrafi u niego dostrzec drobne obsuwy przy wymawianiu słów na „t”. Nie wiedzieć czemu, jego artystyczna klasa jest przesiąknięta zapachem jakby gliny. Której się przecież nigdy nie używa na zajęciach. Pan Dunwoody trzyma swoje rzeczy w piecu do wypalania, a jego ciemnia to tajemnicza strefa, do której mają wstęp jedynie członkowie kółka plastycznego. Z okna klasy pana Dunwoody'ego widać boiska sportowe, więc ławki pod nim okupują chłopacy z wyższej warstwy. Raz zajął mi tam miejsce Alastair Nurton. Tego popołudnia widoczność była tak świetna, że nad Wzgórzami Malvern zobaczyłem całą konstelację balonów na gorące powietrze.

Dzisiejsza lekcja była poświęcona złotemu podziałowi. Jak powiedział pan Dunwoody, pewien Grek imieniem Archimedes określił, gdzie na obrazie powinno się umieszczać drzewo i horyzont. Pan Dunwoody pokazał nam, jak znajduje się to miejsce za pomocą ołówka i linijki – ale właściwie nikt nic nie zrozumiał, nawet Clive Pike. Pan Dunwoody zrobił tę swoją minę pod tytułem: „Po cóż ja się wysilam?”. Złapał się za nos i rozmasował skronie.

— I po to było studiować cztery lata w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych?... Zostawcie już te ołówki. Zostawcie linijki.

W piórniku znalazłem list, od którego zawirowała sala sztuk plastycznych:

Dziś 8 wieczur ementarz Strachy

Dzięki za ledwie jednej cyfrze oraz czterem słowom zmieniło się moje życie.

Gdy człowiek kończy trzynaście lat, traktuje przynależność do bandy jak dziecinną zabawę, coś jak klocki lego czy sekretną kryjówkę w pieczarze. Ale Strachy to raczej tajne stowarzyszenie. Tato Deana Morana mówi, że Strachy powołano przed wieloma laty jako coś w stylu tajnego związku robotników rolnych. Kiedy, dajmy na to, jakiś pracodawca nie chciał wypłacić umówionej sumy, Strachy skrzykiwały się, by wyegzekwować, ile się należy. W owych czasach do Strachów należała połowa męskiej populacji Black Swan Green. Od tamtej pory wiele się zmieniło, lecz ich działalność nadal jest otoczona wielką tajemnicą. Prawdziwe Strachy nigdy nie wspominają słowem na ten temat. Według mnie i Morana, kiedyś należeli do nich Pete Redmarley z Gilbertem Swinyardem, a przywódcą prawie na sto procent był Pluton Noak. Ross Wilcox chwalił się, że jest członkiem, co znaczy, że na pewno nie jest. A John Tookey jest. Raz na dyskotece w Malvern Link poturbowali go jacyś skini. Na drugi tydzień, też w piątek, wybrała się tam na motorach

i rowerach bodaj dwudziestka Strachów, między innymi Tom Yew. Wszystkie wersje zdarzenia kończą się tak samo: skini musieli wylizać buty Johnowi Tookeyowi. Ale prócz tej historii istnieje ze sto innych.

Moja dzielna postawa minionego wieczoru niewątpliwie poruszyła odpowiednie osoby. A Plutona Noaka to już na pewno. Kto jednak wetknął mi list? Po schowaniu go do kieszonki blezera prześwieciłem całą klasę, licząc na porozumiewawcze spojrzenie. Gary Drake i Neal Brose – nic. David Ockeridge i Duncan Priest, co prawda, cieszą się popularnością, ale oni mieszkają aż w Castlemorton i Corse Lawn, a Strachy są przecież przypisane Black Swan Green.

Pod oknem, w ramach treningu przed dniem sportu, przebiegła gromadka dziewczyn z drugiej klasy. Pan Carver pogroził im kijem hokejowym, jak Man Friday. Cycki Lucy Sneads podskoczyły jak dwie gigantyczne piłki.

„A zresztą, czy to ważne, kto wsunął mi ten list? – pomyślałem, zapatrzony w łydki Dawn Madden koloru kawy ze śmietanką. – Najważniejsze, że go dostałem”.

— Perły przed wieprze! – pan Dunwoody aż się zachłysnął, wciągając aromat wieka. – Perły przed wieprze!

Kiedy wróciłem ze szkoły, mama rozmawiała przez telefon z ciocią Alice, ale pomachała mi wesoło. W telewizji szła transmisja z Wimbledonu, ze ściszym dźwiękiem. Pootwieranymi drzwiami i oknami dom przenikało lato. Zrobiłem sobie i mamie po szklance lemoniady Barley Water Robinsona.

— Proszę! – westchnęła mama, gdy postawiłem szklanek koło aparatu. – Jakiego troskliwego wychowałam syna!

Kupiła ciastka z wiórkami czekolady. Świeże, po prostu pychota. Wziąłem pięć, poszedłem do siebie, przebrałem się, położyłem, zjadłem, włączyłem *Mr Blue Sky Electric Light Orchestra* i grałem to pięć, sześć razy, kombinując, jaką to próbę wyszykowały dla mnie Strachy. Bez próby się nie obejdzie. Mogliby, na przykład, kazać mi przepłynąć wpław jezioro w lesie,

wspiąć się na szczyt kamieniołomu przy Pig Lane albo przekraść się przez jakiś zarośnięty ogród nocną porą. Wszystko jedno! Dałbym sobie radę. Gdybym należał do Strachów, każdy dzień byłby tak wielki jak dzisiejszy.

Muzyka umilkła. Zacząłem sobie porządkować odgłosy popołudnia.

Spaghetti bolognese to zwykle makaron z mielonym mięsem oraz kleksem ketchupu. Ale tym razem mama przyrzadziła je dokładnie według przepisu, chociaż nikt wcale nie obchodził urodzin. Tato, ja i Julia na zmianę zgadywaliśmy, jakich użyła składników. No więc było tam wino, bakłazany (gumiaste, ale nie do wyrzygania), grzyby, marchew, papryka, czosnek, cebula, płatki woniejącego nogami żółtego sera oraz czerwony proszek, również zwany papryką. Tato zaczął opowiadać, że niegdyś przyprawy traktowało się tak, jak w naszych czasach złoto albo ropę. Sprowadzano je szkunerami i kliperami aż z Dżakarty, Pekinu i Japonii. Tato powiedział, że Holandia była wtedy tak potężna, jak teraz Związek Radziecki. Holandia: kto by pomyślał! (Nieraz mam takie wrażenie, że chłopcy nigdy nie zmieniają się w mężczyzn. Tylko się kryją w męskiej formie, jakby zrobieni z masy papierowej. Czasem nawet można się zorientować, że ten w środku to jeszcze chłopak). Julia zdała relację z pracy w kancelarii notariusza w Malvern. Odbywa tam letnią praktykę: sporządza rozmaite dokumenty, odbiera telefony, pisze listy. Chce odłożyć na wakacje z Ewanem, bo w sierpniu wybierają się do Europy. Interraiłem. Płaci się sto siedemdziesiąt pięć funtów i przez miesiąc można sobie jeździć za darmo, gdzie dusza zapagnie. Akropolis o świcie... Księżyc nad Jeziorem Genewskim...

Fajowo.

Nieważne. Przyszła kolej na mamę:

— Na pewno nie uwierzycie, kogo spotkałam dziś u Penelope Melrose.

— Zupełnie zapomniałem spytać. – Tato ostatnimi czasy bardzo stara się być miły. – Jak było? Kogo spotkałaś?

— Penny ma się świetnie, a zaprosiła... jeszcze tylko Yasmin Morton-Bagot.

— Yasmin Morton-Bagot? To z całą pewnością wymyślone nazwisko.

— Nikt nie zmyślił jej nazwiska, Michaelu. Była na naszym weselu.

— Nie mów!

— Za czasów studenckich Penny, ja i Yasmin byliśmy nierozłączni.

— Pamiętaj, Jason: płęć piękna – tato przebiegle kiwnął do mnie głową – zawsze poluje stadnie.

Uznałem, że wypada odpowiedzieć mu uśmiechem.

— W przeciwieństwie do niepięknej – odezwała się Julia. – Tak, tato?

Mama ciągnęła dalej:

— Dostaliśmy od niej te weneckie kieliszki do wina.

— A, to! Z tym kolcem zamiast stopki, że cały czas trzeba trzymać, tak? Dalej zagracają stryszek?

— Zdziwiające, że pamiętasz tylko to. Yasmin jest niesłychana! Jej mąż, Bertie, swego czasu prawie zawodowo grywał w golfa.

— Coś takiego! – Tato był pod wrażeniem. – „Grywał”?

— Mhm. A przejście na zawodowstwo uczcił, wiążąc się z jakąś fizjoterapeutką. Oczyszczył ich wspólne konto do ostatniego pensa. Nic nie zostawił biednej Yasmin.

Tato zmienił się w Clint Eastwooda:

— Co z niego za mężczyzna?!

— A dla niej te pieniądze były po prostu niezbędne; zajęła się projektowaniem wnętrz.

— Niepewny biznes – cmoknął tato.

— Pierwszy zakład w Mayfair zrobił taką furorę, że już po roku otworzyła w Bath następny. Yasmin nie lubi się przechwalać, ale miewa zamówienia od koronowanych głów. W tej chwili mieszka u Penny, bo niedługo otworzy jeszcze jeden zakład w Cheltenham. Tym razem z dużą salą ekspozycyjną;

będzie też wystawiać. Tylko że, niestety, zatrudniona specjalnie do tego menadżerka się nie sprawdziła.

— No tak, pracownicy, wiadomo! A człowiek wciąż się łudzi, że może na nich liczyć! Nie dalej jak wczoraj mówiłem Danny'emu Lawlorowi, że jeśli...

— No i Yasmin mnie zaproponowała tę robotę.

Nad wyraz zdumione milczenie.

— Fantastycznie, mamó! – rozpromieniła się Julia. – Po prostu genialnie!

— Dziękuję, mój skarbie.

Wargi taty uniosły się w uśmiechu.

— O tak, to z pewnością ogromne wyróżnienie – zwrócił się do mamy.

— W Chelsea półtora roku prowadziłam butik Fredzie Henbrook.

— Ten śmieszny sklepik, gdzie pracowałaś po zajęciach?

— Mama ma fantastyczne oko do kolorów, tkanin i w ogóle, tato. Poza tym ma świetny kontakt z ludźmi. Tak ich oczaruje, że kupią wszystko.

— Nikt temu nie zaprzecza! – tato wykonał gest kapitulacji, nie na serio. – Jestem przekonany, że ta cała Yasmin Turton-Bigot nie zdecydowałyby się...

— Morton-Bagot, Michaelu. Yasmin Morton-Bagot.

— ...zgłosić z tym do ciebie, gdyby wątpiła w twoje talenta, ale...

— Yasmin to urodzona biznesmenka. Personel dobiera osobiście.

— Iii... co mianowicie... jej odpowiedziałaś?

— Ma zadzwonić w poniedziałek; wtedy jej odpowiem.

Dzwonnicy u Świętego Gabriela wzięli się do roboty, jak co tydzień.

— Ale... to nie jest jakaś sprzedaż wiązana, co, Heleno?

— Jest to, Michaelu, galeria i projektowanie wnętrz.

— A omówiłaś z nią warunki? Żeby się nie okazało, że masz tylko prowizję...

— Yasmin płaci pensje, tak jak supermarkety Greenland. Sądziłam, że się ucieszysz, że mogłabym sobie coś zarobić. Odtąd nie będziesz musiał bulić tyle forsy na różne moje zachcianki. Będzie mnie na nie stać.

— Ależ tak. Cieszę się. Cieszę, naturalnie.

Na polu tuż za naszym ogrodzeniem, nieopodal skalniaka zebrały się czarne krowy.

— Rozumiem, że codziennie będziesz jeździć do Cheltenham, tak? Tam i z powrotem sześć razy w tygodniu?

— Pięć. A kiedy sobie znajdę asystentkę, cztery. Cheltenham jest znacznie bliżej niż Oksford, Londyn czy wszystkie te miejscowości, do których wyjazdy dla ciebie jakoś nie są kłopotliwe.

— Czekają nas więc poważne zmiany, jak chodzi o codzienne rytmy.

— Przecież i tak stale coś się zmienia. Julia zaraz pójdzie na uczelnię. I Jason też już dawno nie jest dzieckiem.

W tym momencie rodzina postanowiła spojrzeć na mnie.

— Też się cieszę, mamo.

— Dziękuję ci, skarbie.

(Trzynaście lat to wiek zbyt zaawansowany, żeby się było „skarbem”).

— Chyba się zgodzisz, co, mamo? – zachęcała Julia.

— Bardzo mnie to kusi – mama uśmiechnęła się płochliwie. – Nie mogę tak codziennie tkwić w tych czterech ścianach...

— Tkwić? – zapiszczał tato, ubawiony. – Zaręczam ci, Heleno, że nie ma nic gorszego, niż być dzień w dzień uwiązany do sklepu.

— Ale to galeria, a nie tylko sklep. No i też nareszcie byłabym wśród ludzi.

Wyraźnie zdumiało to tatę.

— Masz dziesiątki znajomych.

Wyraźnie zdumiało to mamę.

— Kogo masz na myśli?

— Dziesiątki! Chociażby Alice.

— Alice ma dom i rodzinę, a do tego jeszcze pracuje na pół etatu. W Richmond. Na sam dojazd naszą niezawodną koleją państwową traci pół dnia.

— Sąsiedzi są tacy mili.

— Bez wątpienia. Tyle że nie mamy z nimi nic wspólnego.

— A... twoje znajome ze wsi?

— Michaelu, wprowadzie mieszkamy tutaj od przyjscia na świat Jasona, ale jesteśmy miastowi. Owszem, są wobec mnie bardzo grzeczni; nie mogę powiedzieć. Ale...

(Zerknałem na casio. Zblizala się godzina wyznaczona przez Strachy).

— Mama ma rację – stwierdziła Julia, bawiac się egipskim naszyjnikiem w ksztalcie litery „tau”, który jej podarował Ewan. – Kate mówi, że jeśli nie mieszka się w Black Swan Green od czasu wojny Dwu Róż, nigdy nie zostanie się tutejszym.

Tato wkurzył się tak, jakbyśmy się wszyscy zmówili przeciw niemu.

Mama głośno westchnęła:

— Jestem samotna – i tyle.

Świszcząc ogonami, krowy odganiały muchy od swych usranych tyłków.

Na cmentarzach spoczywają, ściśnięte jak sardynki, gnijące zwłoki, więc oczywiście jest tam strasznie. Trochę. Choć, jak się człowiek nad tym dłużej zastanowi, nie jest to takie całkiem proste. W lecie zeszłego roku, gdy tylko było słonecznie, jeździłem na rowerze, gdzie się dało – w obrębie mapy 150 Brytyjskiego Urzędu Kartograficznego. Raz nawet aż do Winchombe. Kiedy zdarzało mi się natknąć na kościół normański (zaokrąglony) albo anglosaski (pękaty), a wokół nie było żywej duszy, stawiałem sobie rower gdzieś na tyłach i kładłem się w cmentarnej trawie. Niewidzialne ptactwo, gdzieniegdzie samotny kwiatek w słoiku po dzemie. Wbitego w kamień Excalibura wprowadzie tam nie odkryłem, ale za to znalazłem nagrobek z tysiąc sześćset sześćdziesiątego piątego roku. Był to rok zarazy. Dotąd nie udało mi się pobić tego

rekordu. Większość nagrobków łuszczy się mniej więcej tak po dwu stuleciach. I nawet śmierć tak jakby ginie. Najsmutniejsze zdanie, jakie przeczytałem w życiu, znalazłem na jednym z nagrobków na Wzgórzu Bredon. Brzmi tak: „OBFITOŚĆ JEJ CNÓT PRZYODDOBIĆ BY MOGŁA ŻYWOT DŁUŻSZY ZNACZNIE”. Grzebanie ludzi to w ogóle cała moda, jak noszenie dzwonów albo rurek. Na cmentarzach rosną cisy, bo Szatan nie znosi ich zapachu, wiem to od pana Broadwasa. Nie wiem, czy tak jest faktycznie, ale jak chodzi o tabliczki ouija, to już w ogóle nie mam wątpliwości. Można z nich wyczytać mnóstwo opowieści. Na przykład, litery na szkiełku układają się w napis w stylu: „SZ-A-T-A-N-T-W-O-I-M-P-A-N-E-M”, a gdy szkiełko się stłucze, dzieciaki zaraz muszą lecieć po pastora. (Kiedyś tak opętało Granta Burcha, więc zwierzył się Philipowi Phelpsowi, że umrze drugiego sierpnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Od tej pory Philip Phelps nie może zasnąć bez Biblii pod poduszką).

Zmarłych zawsze chowa się twarzą na zachód, żeby – kiedy nastąpi koniec świata i zabrzmią ostatnie trąby – mogli się pozbierać i skierować ku tronowi Pana, który ich osądzi. Dla mieszkańców Black Swan Green oznacza to, że tron Chrystusowy znajduje się w Aberystwyth. Uwaga: samobójcy są grzebani twarzą zwróconą na północ. Ci nigdy nie znajdą Chrystusa, bo zmarli przemieszczają się tylko w linii prostej. Wobec tego wszyscy skończą w John o’Groats. Aberystwyth to mordownia, ale tato mówi, że John o’Groats to tylko parę domów i że Szkocja kończy się tam już na amen.

Nie lepiej byłoby wcale nie mieć Boga, gdy ten tak obchodzi się z ludźmi?

Na wypadek, gdyby Strachy miały mnie szpiegować, przekulałem się jak żołnierz do zadań specjalnych. Ale cmentarz Świętego Gabriela był puściusieńki. Dzwony były nieprzerwanie. Z bliska okazuje się, że one wcale nie dzwonią tak głośno, tylko lekko się kiwają, jakby potykają i trącają, bimm-bamm, bommm. Kwadrans po ósmej minął nie wiadomo kiedy. Zerwał

się wietrzyk, aż zachrobotą kośćmi para gigantycznych sekwoi. Wpół do dziewiątej. Dzwony umilkły na dobre. Cisza też tak samo dzwoni w uszach. Zacząłem się niepokoić. Jutro sobota, ale jeśli nie przyjdę do domu za godzinę, będzie piekło, że: „Kiedy to się wraca, proszę, słucham!”. Z kościoła wyszło dziewięciu czy dziesięciu dzwonników zajętych rozmową o jakimś Malcolmie, który wstąpił do sekty Moona i ostatni raz widziano go w Coventry, jak rozdaje ludziom kwiatki. Rozgadani dzwonnicy wpłynęli w zadaszoną bramę, kierując się w stronę „Czarnego Łabędzia”.

Na murze cmentarnym siedział jakiś chłopak. Pluton Noak nie, bo za drobny. Grant Burch, Gilbert Swinyard czy Pete Redmarley – też nie, bo zbyt kościsty. Podkraǳłem się doń cicho jak wojownik Ninja. Miał wojskową czapkę, daszkiem do tyłu, jak Nick Yew.

Czułem, że należy do Strachów.

— Sie ma, Nick.

— Łaaa! – z wrzaskiem zleciał z muru Dean Moran.

Moran wyskoczył z morza pokrzyw, klepiąc się po rękach, nogach oraz szyi.

— Poparzyły mnie cholery, do cholery jasnej! – prędko się opamiętał, że przy tak skromnej posturze nie ma co się rzucać. – Co ty tu robisz?

— Dostałem list, co nie? Zaproszenie od... – od razu widać, kiedy Moran myśli. – Aaa, tam. Nie jesteś może przez przypadek Strachem...?

— Nie. Myślałem, że... ty.

— To skąd ten list w piórniku?

Rozpostarłszy zmięty list, identyczny jak mój, właściwie odebrał moje zmieszanie:

— Też dostałeś?

— Taaa.

Sytuacja rozwijała się aż nadto zawile, wręcz zatrważająco nie po mojej myśli. Zawile, bo Dean Moran nijak nie nadawałby się na Stracha. Nie tak, jak się spodziewałem, bo jaki sens miałyby

uczestnictwo w tajnym stowarzyszeniu, które przyjmuje takiego patałacha jak Dean Moran? A niepokojąco, bo mi tak jakoś dziwnie zapachniało podstępem.

Moran się wyszczerzył.

— No, to kapitalnie, Jace! – z moją pomocą z powrotem wdrapał się na mur. – Czyli że Strachy chcą nas obu naraz.

— No – przytaknąłem. – Kapitalnie.

— Pewnie stwierdzili, że świetnie się dobraliśmy. Jak Starsky i Hutch.

— Taaa – zerknąłem, czy za którymś z grobów nie czai się Wilcox.

— Albo: Torvill i Dean. Bo przecież ty lubisz takie świecące spódniczki.

— Śmieszne jak diabli.

Zza rogu księżycy wyjrzała świetlista Wenus.

— Myślisz – zapytał Moran – że przyjdą?

— Przecież się tu z nami umówili.

Gdzieś z plebanii dobiegł stłumiony odgłos trąbki.

— No tak, ale... nie zdaje ci się, że to jakiś kawał?

Może czekanie miało być jakimś tajemnym sprawdzianem.

„Jeśli Moran zrezygnuje – podpowiedział Robal – zrobisz lepsze wrażenie”.

— Idź sobie do domu, jak tak myślisz.

— Nie, nie o to mi chodzi. Tylko... Zobacz! Spadająca gwiazda!

— Gdzie?

— Tam!

— Eee – jeżeli trzeba się czegoś dowiedzieć z książki, Moran tego nie wie. – To satelita. Nie wypala się. Widzisz? Leci sobie po prostej. Kto wie, czy to nie ta stacja kosmiczna, Skylab. Może wytraca wysokość. Nie wiadomo, gdzie się rozbije.

— Ale jak...

— Ciiiiii!

Pod wijącym się jak korkociąg ostrokrzewem, gdzie składują uszkodzone płyty nagrobne, jest takie trochę dzikie miejsce. Rozległy się tam szepty, na sto procent. Po chwili też poczułem

zapach papierosowego dymu. Moran poszedł za mną, pytając:

— Co to takiego? (Rany, ale z niego czasem tuman).

Schyliłem się, by wleźć w ciemnozieloną gęstwę. Na kupie starych nagrobków siedział Pluton Noak. Na stercie dachówek – Grant Burch. Na trzecim stosie – John Tookey. Strasznie mnie korciło, żeby im powiedzieć, że ja ich spostrzegłem, a nie Moran. Witanie się z twarżdzielami słowem „cześć” jest pedalskie, więc powiedziałem tylko:

— Sie ma.

Pluton Noak, Pan Strachów, odpowiedział mi skinieniem głowy.

— Jeja – zgarbiony Moran pchnął mnie czołem w tyłek. – Sorki, Jace.

— Nigdy nie mów: „sorki”.

— No, to znacie zasady, co nie? – Grant Burch splunął. – Wpierw przełazicie mur, potem w piętnaście minut musicie przelecieć sześć tych ogrodów za domami. Jak skończycie, biegiem do lasu. Pod dębem będą czekali Redmarley ze Swinyardem. Jeśli wam się uda zmieścić w czasie, witamy w szeregach Strachów. Jakbyście się spóźnili albo jak się nie pokażecie, możecie na wieki zapomnieć o członkostwie.

Kiwnęliśmy głowami.

— I jak was kto przyłapie – dodał John Tookey – też nie ma mowy o Strachach.

— A... – Grant Burch uniósł palec w geście ostrzeżenia – gdyby was kto przyłapał, to nigdy w życiu nawet nie słyszeliście o Strachach.

Ignorując lęk i Kata, spytałem:

— Pluton, co znaczy: „Strachy”?

Pluton Noak tylko zachęcająco parsknął.

Gałęzie ostrokrzewu zadrżały dokładnie w momencie, gdy kościelny dzwon wybił kwadrans przed dziesiątą.

— Do startu, gotowi! – Grant Burch spojrzał na mnie i Morana. – Który pierwszy?

— Ja – odparłem, nie patrząc na Morana. – Nie jestem

tchórzem.

Ogród na tyłach pierwszego domku wyglądał jak zarośnięte trójlistnym zielskiem moczary. Siadłszy okrakiem na grzbiecie muru, po raz ostatni spojrzałem na cztery twarze w cmentarnych zaroślach, rozhuśtałem się i dałem nura w wybujałą trawę. W domu najwidoczniej nie było nikogo. Nie paliło się światło, rura odpływowa ciekła, do tego – obwisłe firanki. Mimo to pełzłem przy samiutkiej ziemi. Z któregoś okna, przy zgaszonym świetle mógł mnie obserwować dziki lokator. Z kuszą. (Tym właśnie różnimy się z Moranem, że on przeleciałby ten ogród tak, jakby był u siebie. Moran w ogóle nie bierze pod uwagę spotkania ze snajperem). Wdrapałem się na rosnącą koło następnego muru śliwę.

Tuż nad moją głową zaszeleścił płaszcz.

Ale ze mnie kretyn! Nie płaszcz, tylko łopocząca wśród gałęzi reklamówka. Znowu rozległ się dźwięk trąbki, tym razem potwornie blisko. Ześlizgnąwszy się po sękatej gałęzi, oparłem stopy na tym drugim murze. Jak na razie szło mi jak po maśle. Zwłaszcza że płaski dach cysterny był zaledwie pół metra niżej i na dodatek osłonięty drzewami o ciemnogradatowych szpilkach.

— Bummm – huknęła cysterna pod moim ciężarem.

Drugi ogród wyglądał o wiele bardziej niebezpiecznie. Zastony były rozsunięte, co drugie okno – otwarte. W pokoju, na kanapie, siedziały dwie grube panie i oglądały Asteriksa z Obeliksem w europejskim programie „Boki zrywać”. Śmiech prezentera Stuarta Halla zabrzmiał jak odgłos startującego harriera jump jeta. W ogrodzie nie było gdzie się schować. Porzucona na wydeptanym trawniku siatka do gry w kometkę – i tyle. Wokół wały się: plastikowe rakietki, piłki, tarcza strzelnicza oraz brodzik, wszystko okropnie tandetne, jak z Woolwortha. Co gorsza, z boku stała przyczepa kempingowa, w której grał na trąbce facet z gębą jak budyń. Wydymając poliki jak ropucha, koncertował zapatrzony w ogród.

Raz głośniej.

Raz ciszej.

Upłynęły dobre trzy minuty. Nie miałem pojęcia, co dalej.

Z kuchni potuptała do przyczepy gruba pani. Uchylając drzwiczki, oznajmiła:

— Vicky śpi.

Trębacz wciągnął ją do środka, cisnął swój instrument w kąt – i zaczęli się całować tak żarłocznie, jak psy walczące o karton czekoladek Milk Tray. Przyczepa zaczęła się trząść.

Zeskoczyłem z cysterny, pośliznąłem się na piłeczce golfowej, wstałem, przeleciałem trawnik, wygrzmociłem się na bramce do krokietu, wstałem i – źle sobie wcelowałem w szparę w płocie. W nodze trzasnęło przeszywająco!

„Masz przechlapane” – stwierdził Nienarodzony Bliźniak.

Zrobiłem przewrotkę i padłem po drugiej stronie płotu jak wór kartofli.

W trzecim domu mieszkał pan Broadwas. Gdyby mnie przyuważył, zaraz zadzwoniłby do taty i jeszcze przed północą zostałbym rozerwany na sztuki. Szszszuiu-szszszuiu-szszszuiu – szumiały zraszacze. Nie sposób było skryć się przed mgłą kropel. Prawie cały ogród zasłaniała rosnąca w rzędach fasolka szparagowa.

Wyłonił się następny problem. Z tyłu, w ogrodzie tego trębacza jakaś kobieta zawołała:

— Gerry, wraaacaj! To pewnie znowu lisy!

— Żadne lisy! Tylko te dzieciary!

Pobiegłem sprintem na drugi koniec fasolowego szeregu. I zamarłem.

W progu siedział pan Broadwas. Z metalową konewką, do której chlustały z kranu strugi wody.

Ogarnęła mnie panika, niby stado os zamkniętych w puszcze.

Kobięcy głos za mną powtórzył:

— No, Gerry, mówię ci, że to lis! W zeszłym tygodniu Ted ustrzelił jednego gagatka, bo mu się zdawało, że to bestia z Dartmoor.

— Akurat! – ten drugi ktoś zrezygnował z przełazenia przez

płot, wkładając rękę w wywaloną przeze mnie dziurę w płocie. – To też, według ciebie, sprawka lisa?

Trębacz znów podjął próbę przedostania się na „moją” stronę. Gdy zaczął się podciągać, płot aż jęknął.

Dotąd pan Broadwas nic nie słyszał, bo wszystko zagłuszała woda, teraz jednak odstawił konewkę na stopień i podniósł się z progu.

Pułapka, pułapka, pułapka. Tato mnie zamorduje.

— Mandy? – w ogrodzie za mną rozległ się jeszcze jeden głos. – Gerry?

— Ach, Vicky – odezwała się pierwsza kobieta. – Słyszeliśmy przedziwny hałas.

— Ćwiczyłem sobie na trąbce – odpowiedział jegomość – aż nagle słyszę taki dziwny odgłos... No i wyszedłem, żeby się rozejrzeć.

— Mhm...? I cóż to takiego?

Pan Broadwas odwrócił się do mnie tyłem.

Ogrodzenie przede mną było za wysokie, aby je przesadzić bez trzymania się rękami.

— CAŁA NIM PRZEŚMIERDŁAŚ, CZUJĘ! WSZYSTKO WIDAĆ, BO CI SIĘ ROZMAZAŁA SZMINKA!

Pan Broadwas zakręcił kran.

— NIE ŻADNA SZMINKA, KRETYNIE, TYLKO DŻEM!

Rozchlapując wodę z konewki, ogrodnik taty podszedł do mnie. Przywarłem do ziemi. Nasze oczy spotkały się – co jednak najwyraźniej wcale go nie zdumiało.

— Szukam piłki tenisowej – wybąkałem.

— Najłatwiej wyjść tamtędy, za szopą.

Dopiero po chwili dotarło do mnie, co powiedział.

— Tracisz tylko czas – dodał pan Broadwas, kierując się w stronę rzędu cebul.

— Dzięki – przełknąwszy ślinę, uprzytomniłem sobie, że wie, że skłamałem, ale i tak pozwoli, by mi to uszło na sucho.

Przemknąłem ścieżką za róg szopy. Zalatywało z niej świeżym kreozotem. Pan Broadwas za młodu z pewnością też należał

do Strachów.

— SZKODA, ŻE MATKA NIE UTOPIŁA WAS W KANALE!
W WORCESTER! – wrzask drugiej kobiety rozciął chłodną ciszę. –
OBOJE POWINNA WRZUCIĆ DO WORA Z KAMIENIAMI!

Czwarty księżycowy ogród był zasłany betonowymi bezami i żwirem. Wszędzie rozmaite ozdóbki. Nie tylko krasnale, ale też egipskie sfinksy, smerfy, duszki, foki, Kubuś Puchatek z Prosiaczkiem i Osiołkiem, popiersie Jimmy’ego Cartera, czegoś tam nie było. Pośrodku – Himalaje sięgające mi do ramienia. Ten ogród rzeźb był niegdyś znany w całej okolicy, podobnie jak jego twórca, Arthur Evesham. W „Gońcu Malvern” wydrukowali fotografie z nagłówkiem „NIE MA TO JAK U GNOMÓW”. Pani Throckmorton zabrała tu całą naszą klasę, abyśmy mogli obejrzeć te cuda. Uśmiechnięty pan poczęstował wszystkich ribeną i lukrowanymi ciasteczkami, na których wierzchu mocowali się mikroskopijni atleci! Niestety, kilka dni po naszej wizycie Arthur Evesham zmarł na atak serca. Wtedy to pierwszy raz usłyszałem termin „atak serca” i długo mi się wydawało, iż oznacza, że serce wpada w obłąd i zaczyna atakować inne części ciała – jak rozeźlona fretka kolonię królików. Panią Evesham można czasem spotkać w sklepie pana Rhydda; kupuje artykuły spożywcze i inne rzeczy dla staruszków, między innymi duraglit do czyszczenia srebra i tę taką pastę do zębów, która ma smak germolene.

Nieważne. Po śmierci Arthura Eveshama jego królestwo mocno podupadło. Statua Wolności leżała na ziemi jak porzucone narzędzie mordy. Kubuś Puchatek wyglądał jak ofiara broni chemicznej... Świat niszczy wszystko prędzej, niż ludzie to wytwarzają. Jimmy’emu Carterowi odpadł nos. Schowałem go do kieszeni, tak na wszelki wypadek. Jediną oznaką życia była świeca w oknie na piętrze. Przelazszy cały Chiński Mur, o mało nie władowałem się we wskazujących księżyc – Edmunda Hillary’ego i szarpa Tenzinga. Tuż za nimi ujrzałem otoczony świeżo zwiezionymi kamieniami niewielki kwadratowy trawnik.

Dałem susa w zieleń.

I – po samego fiutka zanurzyłem się w zimnej wodzie.

„Pacanie jeden! – zaśmiał się Nienarodzony Bliźniak. – Palancie, pokopany patałachu!”

Gdy gramoliłem się na brzeg stawu, z nogawek wylała się woda. Oblepiły mnie jakieś listki, niby krople wymiocin. Mama dostanie szału. Myśl tę jednak czym prędzej wyrzuciłem z głowy, bo za kolejnym płotem czekał najniebezpieczniejszy ogród.

Na całe szczęście w ogrodzie pana Blake’a nie było właściciela, a po drugiej stronie rosły araukarie Monkey-Puzzle Trees i mieczyki. Wyborna kryjówka dla Stracha. Na nieszczęście pod samym płotem wznosiła się szklarnia, długa na cały ogród. A płot miał trzy metry wysokości i okazał się wyjątkowo niestabilny. Musiałbym więc posuwać się wzdłuż ogrodzenia okraciem i bardzo wolno, by w końcu, niestety, dotrzeć pod okno salonu pana Blake’a. Gdybym zleciał, pewnie rozwalilibym szybę i rymnął o beton. Chyba żebym się nadział na patyk podpierający krzak pomidora, jak w *Omenie* ten ksiądz, którego przebija piorunochron.

Nie miałem wyboru.

Chropawy wierzch płotu ciachał mi tyłek i dłonie niczym piła. Diabelnie ciężły przemoczone dżinsy.

Niewiele brakowało, a bym zleciał. Gdyby teraz nagle pan Blake wyjrzał przez okno, nie byłoby co zbierać. Znów o mało nie spadłem.

Przeleżałem po dachu szklarni i zeskoczyłem na ziemię.

Szklana tafla zadźwięczała groźnie. Traf chciał, że jedynym gościem w salonie pana Blake’a był Dustin Hoffman, w *Sprawie Kramerów*. (Oglądaliśmy to na wakacjach w Obanie. Julia przepłakała cały film, by potem stwierdzić, że gorszego ze świecą by się nie znalazło). Salon pana Blake’a, w końcu samotnego faceta, wyglądał tak jakoś dziwnie babsko. Lamy o koronkowych abażurach, gliniane mleczarki i obrazy afrykańskich pastwisk, jakie się, bez przekonania, kupuje na schodach w Littlewoods. Pewnie kupiła to wszystko jego żona, nim ją dopadła białaczką. Przekradłem się pod kuchennym

oknem, a później poprzez zarośla aż do pustej beczki. Zupełnie nie wiem, po co, ale się obejrzałem.

Z okna na piętrze wyglądał pan Blake. Jeszcze przed sześćdziesięcioma sekundami po prostu musiałby spostrzec mnie na płocie. (Zwycięstwo wymaga szczęścia, jak również odwagi. Z nadzieją pomyślałem, że Moran powinien mieć ogromne ich zasoby). Naklejone na szybie logo Rolling Stonesów z wywalonym jęzorem oparło się wszelkim próbom zdrapania. Otaczał je zresztą cały tłum naklejkowych duchów. W tym pokoju dawno temu mieszkał pewno syn Blake'a, Martin.

Pomarszczony pan Blake stał sobie po prostu i się gapił. Na co? Nie na mnie. Schowałem się pośród liści.

Czyżby więc w odbicia swoich oczu...?

Lecz zamiast oczu pan Blake miał dwie czarne dziury.

Ostatni ogród należał do Mervyna Hilla. Tato Ciapciaka to zwykły śmieciarz, ale ogród ma niczym posiadłość National Trust. Jako ostatni z ogrodów GLEBE jest on bardzo rozległy.

Alejka wyłożona dziwacznymi kamyczkami prowadziła aż do ławki pod obrośniętą różami altaną. Za oszklonymi drzwiami zobaczyłem Ciapciaka; grał w twistera z dwoma młodszymi chłopakami i – tak mi się zdaje – ich ojcem. Pewno jacyś goście. Kołowrotkiem kręcił tato Ciapciaka. *Sprawa Kramerów* (w telewizorze, naprzeciw kanapy) dobiegała końca; w ostatniej scenie mama tego małego przychodzi, by go wziąć do siebie. W myśli zaplanowałem trasę. Nie może mi się nie udać: przesadzę mur, odbijając się od tej góry kompostu na końcu ogrodu. Skulony, pogałem do altanki. Powietrze aż ciężkie od zapachu róż...

— Cichutko – na ławce, półtora metra ode mnie, siadła kobieta-widmo. – A to ci figlarka!

— Ooo – odparła na to druga zjawa. – Znowu kopie, skarbie? (Niemożliwe, żeby dotąd mnie nie usłyszały).

— Au, au, au... – ciężkie westchnienie. – To z radości, że cię słyszy, mamó. Dotknij, proszę, o, tu...

Przycupnąłem w szczelinie między altanką a murem, ale

ciernie kłuły tak strasznie, że prawie się nie mogłem ruszać.

— Jak sobie przypominam, kochanie, ty też uwielbiałaś takie akrobacje – oznajmiła starsza zjawa. (Po głosie poznałem, że to mama Ciapciaka). – Bez przerwy jakieś salta, gwiazdy, kung-fu... Po prawdzie, Merv był spokojniejszy, jeszcze zanim przyszedł na świat.

— Oj, nie będę żałowała, kiedy nasza panienka stwierdzi, że to już jej pora. Mam po dziurki w nosie bycia chodzącym wielorybem.

(O rany. Ciężarna. Wiadomo, że jak się taką wystraszy, dziecko wyskakuje przedwcześnie. A później, gdyby się, nie daj Boże, okazało opóźnione w rozwoju – byłoby na mnie).

— I dalej myślisz, że dziewczynka?

— Eleanor z księgowości zrobiła ten cały test... Przywiązała moją obrączkę do kosmyka moich włosów i uniosła mi nad dłoń. Jeśli się zakołysze, to znak, że będzie chłopiec. Tu – nic, tak że dziewczynka.

— Mówisz, że się jeszcze starej nie znudziło?

— Eleanor twierdzi, że nigdy się nie myli.

(W tej chwili casio oznajmił, że mój czas się kończy).

Grający w twistera zmienili się w jedno wielkie kłębowisko ciał, rąk i nóg.

— No zobacz, co wyprawiają! – rozpromieniła się mama Ciapciaka.

— Wiesz, mammo, Benowi jest tak przykro, że ten kolega ze Sprzedaży Wysyłkowej Kaya wam odmówił. Chodzi o pracę dla Merva, kiedy skończy szkołę...

— Trudna rada, kochanie. Ładnie ze strony Bena, że chciał pomóc.

(„Czas” – casio zaczął panicznie pulsować w mroku. „Czas”. Ja to się zawsze muszę kimś za bardzo przejąć. A gdy należy się do Strachów, człowiek ma być tak twardy, że w ogóle nic go nie obchodzi).

— Choć, prawdę mówiąc, boję się o przyszłość Merva. Przecież oboje z tatą nie będziemy żyć wiecznie...

— Co ty opowiadasz, mammo!

— Sam przecież się o siebie nie zatroszczy. Dla niego to, co będzie pojutrze, jest nie do ogarnięcia myślą...

— W razie czego zawsze ma mnie i Bena, mammo.

— Niedługo będziecie mieli trójkę własnych, prawda? A Merv nie dojrzewa, tylko dziecinnieje z wiekiem. Mówił ci tata może? Wchodzę ci ja do niego, do pokoju, jakoś tak w zeszłym tygodniu, a on przegląda „Penthouse” czy coś takiego... Kobiety rozebrane do rosołu. Rozumiesz: ta faza.

— Ależ to normalne, mammo. Wszyscy chłopcy to robią.

— Wiem, skarbie, ale, widzisz, u zwykłych chłopców, to to w końcu znajduje swoje ujście. Podrywanie dziewcząt, zaloty i tak dalej. Kocham Merva, ale, powiedz mi, która zechce się z nim umówić? Jak utrzymałby rodzinę? Takie to ni pies, ni wydra. Jak chodzi o zasiłek, to się okazuje, że za bardzo rozwinięty, a z drugiej strony za mało rozgarnięty, żeby pakować towar w magazynach Kaya...

— Ben mówi, że po prostu nie mają tam wakatów. Wszystko przez recesję.

— A najgorsze jest to, że Merv myśli, że wszystko z nim w porządku. Odpowiada mu rola wsiewego przygłupa, bo inne dzieci tego po nim oczekują.

Trawnik przebiegł księżycowoszary kot. Lada chwila zaczną dzwonić dzwony.

— Ben mówi, że w tej przetwórni odpadów w Upton zatrudniają bądź kogo. Przyjęli nawet Gilesa Noaka, po aresztowaniu ojca.

(Dotąd nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Wszyscy nabijali się z Ciapciaka – tyle. Ale co z nim będzie, jak skończy dwadzieścia, trzydzieści lat? Ile ta jego mama musi z nim mieć roboty? I tak dzień w dzień... A kiedy skończy pięćdziesiątkę albo siedemdziesiątkę – co się z nim wtedy stanie? Przecież to w ogóle nie jest śmieszne).

— Może i by się nadał do przetwórni, skarbie, ale to nie zmienia postaci...

— Jackie! – zawołał z okna młody tato. – Jackie!

Przywarłem do muru.

— Co tam, Ben? Tu siedzę! Na ławce.

Róże, cierniste jak orki, zatopiły zębiska w mych piersiach i twarzy.

— Jest tam może Wendy? Merv znów za bardzo pobudzony. I znowu zdarzył mu się taki drobny wypadek...

— Aż dziesięć minut – szepnęła mama Ciapciaka. – To chyba jakiś rekord. Już, już, Ben! – podniosła się z ławki. – Iiide!

Zbliżała się dziewiąta. Kiedy mama Ciapciaka z jego ciężarną siostrą były w połowie drogi do domu, dzwon u Świętego Gabriela rozbrzmiał po raz pierwszy. Rzuciłem się w kierunku góry kompostu. Lecz zamiast odbić się od niej jak od trampoliny – po pas zanurzyłem się w gnijącej brei. Jest taki senny koszmar, gdzie ziemia to najgorszy wróg.

Z trudem wygramoliłem się z topieli i dałem susa przez ostatni mur; gdy dzwon zadzwieczał po raz trzeci, zamajtałem nogami w otchłani i padłem na podjazd nieopodal sklepu pana Rhydda. Wreszcie – w mokrych i upapranych zgnilizną dżinsach – przeleciałem krzyżówkę, by móc ubiegać się o miano Stracha, mając w zapasie nie dwie minuty, a dwa uderzenia dzwonu.

Gdy w końcu przykląkłem u stóp dębu, oddech mi świszczął niby zardzewiała piła. Nie miałem siły nawet wyciągać cierni ze skarpetek. Ale nigdy, przenigdy nie czułem takiej radości.

— No, synku – Gilbert Swinyard klepnął mnie po plecach. – Strach z ciebie jak się patrzy!

— Jeszcze nikomu nie udało się w tym tempie! – Grant Burch zarechotał jak goblin. – Masz w zapasie trzy sekundy!

Pete Redmarley siedział po turecku, z fajką.

— Myślałem, że dałeś nogę.

Pete'a Redmarleya nic nie dziwi i ma już całkiem dorodny wąsik. Nigdy mi nie powiedział, że uważa mnie za pedała snoba, ale ja i tak wiem swoje.

— No, to się pomyliłeś – stwierdził Gilbert Swinyard. (Cała frajda przynależności do Strachów polega właśnie na tym,

że można liczyć na wsparcie kogoś takiego, jak on). – Jeeezu, Taylor! Cóżes ty zrobił ze spodniami?!

— Wpadłem, cholera jasna... – wciąż trudno mi było złapać oddech – ...do stawu Arthura Eveshama...

Ubawiło to nawet Pete'a Redmarleya.

— A później... – sam się roześmiałem – ... do kompostu u Ciapciaka...

Pluton Noak się poderwał:

— Więc jak: zaliczone?

— Jasne – odparł Gilbert Swinyard. – O włos, ale zaliczył.

— No, no, niewiele mu zostało czasu – przytaknął Grant Burch.

— Kupa... – opamiętałem się, żeby już nie salutować przed Plutonem Noakiem. – Tak późno, a tam się jeszcze kręci kupa ludzi.

— Wiadomo. Przecież jeszcze jasno. Czułem, że ci się uda – Pluton Noak grzmotnął mnie w ramię. (Tato zrobił to tylko raz, kiedy się nauczyłem prowadzić). – Czułem. Trzeba by to uczcić.

Pluton Noak wypiął tyłek, siadając na niewidzialnym motorze. Następnie zapalił motor wykopem prawej nogi. I – rozgrzewając silnik swego Harleya-Davidsona – puścił nieziemskiego bąka. Trzy, pięć, aż dziesięć sekund maszyna tak ryczała na swych czterech biegach.

A my, ekipa Strachów, laliśmy po nogach.

O zmierzchu hałas wywracanego płotu i przebijającego szklaną płytę chłopaka niesie się daleko. Żart o niemowlęciu w mikrofalówce zamarł na ustach Gilberta Swinyarda. Strachy spojrzały na mnie, jakbym wiedział, skąd pochodzą te odgłosy. Wiedziałem.

— Szklarnia Blake'a.

— Moran? – zachichotał Grant Burch. – Rozwalił ją?

— Przebił szkło. (Burch oniemiał). To co najmniej trzy metry.

Z „Czarnego Łabędzia” wytoczyli się dzwonnicy, śpiewając o kocie, który wkradł się do krypty, zrobił kupę i się z krypty wykradł.

— Moran Baran – zrymował Pluton Noak. – Ale z ciebie taran.

— To, kurwa, niedorajda – odezwał się Pete Redmarley. – Wiedziałem, że coś schrzani – skrzywił się znacząco. – Na guzik nam było więcej Strachów. (Miał na myśli także mnie). – Szkoda, żeśmy do kompletu nie zwerbowali jeszcze Ciapciaka.

— Lepiej stąd spadajmy – Gilbert Swinyard powstał z ziemi. – I to wszyscy.

Coś jakby mnie zakłuło. Gdybym to ja rozwalił szklarnię temu psycholowi, Moran na pewno nie zostawiłby mnie na jego pastwę. W życiu.

„Morda w kubeł, durniu” – nakazał mi Robal.

— Pluton?

Pluton Noak i Strachy odwrócili głowy.

— Może by jednak... (wypowiedzenie tych słów okazało się sto razy trudniejsze od gonienia po cudzych ogrodach) ... sprawdzić, czy Moran nie jest (Kat przyblokował „ranny”)... No, może ma złamaną nogę albo... się cały pokaleczył...?

— Blake wezwałby karetkę – odparł Grant Burch.

— Ale może by trzeba... no, wiecie...

— Nie, Taylor – Pluton Noak przybrał zbójcecką pozę. – Ja się w to nie mieszam.

— Wał jeden, wiedział, jakie są zasady – Pete Redmarley splunął. – Jak cię przyłapią, nikt ci nie pomoże. I co, panie Jasonie, masz zamiar teraz, po tym wszystkim dobijać się do Blake’a? Od razu by się wydało co, kto, gdzie i kiedy. Wpierw daliby nam popalić, a potem wyszłaby na jaw cała sprawa ze Strachami. Co to, to nie: zapomnij! Jeszcze cię tu nie było, a myśmy już dawno istnieli.

— Nie chciałem...

— Słusznie. Bo Black Swan Green to, kurwa, nie Londyn ani Richmond. Tutaj nic się nie ukryje. Tylko do niego zapukaj, zaraz się dowiemy.

Wiatr poruszył tysiącami stronic dębu.

— No, gdzie tam – zaprotestowałem. – Ja tylko...

— Na oczy nie widziałeś dziś Morana – Pluton Noak dźgnął

mnie grubym palcem. – Nas też nie. I nie słyszałeś o Strachach.

— Taylor – pogroził na koniec Grant Burch. – Idź do domu, dobra?

Po dwóch wyrwanych czasowi minutach staję oko w oko z lwem pana Blake'a i sram w gacie. Pan Blake straszliwie złorzeczy. Ale nie na Morana. Drze się do telefonu, że nadal nie ma karetki. Gdy tylko odłoży słuchawkę, zaczną się tłuc, aż mnie w końcu wpuści. To dopiero początek. W przebłysku dociera do mnie, jak ci wszyscy samobójcy wloką się aż na północ, na północ, właśnie na północ, gdzie góry stykają się z falami.

To żaden dopust. Ani kara.

To najprawdziwsze ich pragnienie.

Solarium

„OTWIERAĆ! OTWIERAĆ! – grzmią kołatki. – BO ROZWALĘ DOM!”. Dzwonki są bardziej nieśmiałe. Mówią tylko: „Halo? Jest tam kto?”. Na plebanii był i dzwonek, i kołatka, więc użyłem obu, ale i tak nikt nie chciał mi otworzyć. Czekałem. Może pastor właśnie maczał gęsie pióro w atramencie, wzdychając ciężko: „Boże drogi, już trzecia?”. Przycisnąłem ucho do drzwi, ale wielki stary dom nie chciał mi nic zdradzić. Spragniony trawnik zalewało słońce, kwiaty płonęły, drzewa, kołysane wiatrem, zapadły w słodką drzemkę. W garażu stało zakurzone volvo, w nadziei na rychłe mycie i woskowanie. (Prócz ABBY, Szwecja słynie jeszcze tylko z volvo – które mają roll-bars, więc gdyby cię przypadkowo zrzuciła z nasypu autostrady ciężarówka, nie rozsypiesz się w drobny mak).

Właściwie to trochę liczyłem, że mi nikt nie otworzy. Plebania to miejsce dostojne, nie przeznaczone dla dzieci. Gdy jednak zakradłem się tutaj pod osłoną nocy w zeszłym tygodniu, do skrzynki na listy była przyklejona koperta: „DO WIADOMOŚCI POETY ELIOTA BOLIVARA”. W środku znalazłem krótki list napisany liliowym atramentem na ciemnoszarym papierze – z zaproszeniem, bym odwiedził plebanię w niedzielę o godzinie trzeciej po południu, w celu podyskutowania o mojej twórczości. „Twórczości”... Nikt dotąd nie nazwał wierszy Eliota Bolivara twórczością.

Kopnąłem kamyk na podjeździe.

Zasuwa strzeliła jak karabin i w drzwiach ukazał się starszy

mężczyzna. Skórę miał plamistą jak gnijący banan. Był w koszuli bez kołnierzyka i miał aparat prostujący zęby.

— Dzień dobry.

— Heja, yyy, witam. (Chciałem odpowiedzieć: „Dzień dobry”, ale Kat ostatnio upodobał sobie „d”). To pan jest pastorem?

Mężczyzna rozejrzał się po ogrodzie, jakby ktoś wystawił mnie na przynętę.

— Zdecydowanie nie. A czemu tak sądzisz? – odrzekł z obcym akcentem, bardziej cierpkim od francuskiego. – A ty?

Pokręciłem głową. (Kat nie dał mi wypowiedzieć prostego słowa: „nie”).

— Pastor mnie zaprosił – pokazałem mu kopertę. – Tylko że nie ma tu jego... (Nie mogłem wypowiedzieć: „nazwiska”). Nie podpisał się.

— Aha, ja – nie-pastora od lat chyba nic nie zdziwiło. – Przejdźmy do solarium. Może zdejmij buty.

W środku woniało ziemią i wątróbką. Wpadający do sieni słoneczny blask załamywał się na aksamitnych schodach. Na chyba tureckim krześle spoczywała błękitna gitara. W złożonych ramach – naga kobieta pływała łodzią po jeziorze nenufarów. „Solarium” – ale fajne słowo! Czyżby nie gwiazdne, a słoneczne planetarium? Może pastor w wolnych chwilach zajmował się astronomią...

Staruszek podał mi łyżkę do butów. Nie za bardzo wiem, jak się z niej korzysta, więc odparłem:

— Nie, dziękuję – i zrzuciłem tenisówki tak jak zwykle. – Jest pan kamerdynerem?

— Kamerdynerem? Aha, ja. Sądzę, że właściwie określa to moją funkcję tutaj. Bardzo proszę za mną.

Pomyślałem sobie, że kamerdyner pasuje tylko do kogoś tak wytwornego jak papież albo arcybiskup, no ale pewnie pastor też może mieć kamerdynera. Wydeptane klepki Ribbled ugniatały mi podeszwy przez skarpety. Kręty korytarz wiódł koło nieciekawego salonu oraz schludnej kuchni. Z wysokiego stropu zwieszały się pokryte pajęczyną żyrandole.

O mało nie wpadłem kamerdynerowi na plecy.

Kiedy, przystanąwszy w wąskich drzwiach, zaanonsował:

— Gość.

W solarium nie było żadnej naukowej aparatury, chociaż w świetlikach spokojnie dałoby się zmieścić teleskopy. Olbrzymie okno wychodziło na zarośnięty ogród pełen naparstnic i gorejących szkarłatek. Pod ścianami – rzędy regałów na książki. Wokół nie używanego kominka – jakieś karłowate drzewka w omszałych donicach. Wszystko spowijał dym papierosowy, niby w retrospekcji w jakimś filmie w telewizji.

Na trzcinowym tronie siedziała starsza pani o ropuszym wejrzeniu.

Stara, ale tak wspaniała, jakby przed sekundą zstąpiła z obrazu – o srebrzystych włosach, w królewskim fioletowym szalu. Domyśliłem się, że to matka pastora. Klejnoty miała ogromne jak kostki o smaku coli i bombki sorbetowe. Mogła mieć ze sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Ze starszymi ludźmi i małymi dziećmi to nigdy nie wiadomo. Chciałem się zwrócić do kamerdynera, ale zniknął.

Staruszka jak szalona gnała wodnistymi oczami tekst w swej książce.

Kaszlnąć? To chyba bez sensu. Wiedziała, że przyszedłem.

Dym z jej papierosa płynął jak strumień w moją stronę.

Siadłem na kanapie bez poręczy, czekając, aż uzna za stosowne się odezwać. Książka nazywała się *Le Grand Meaulnes*. Ciekaw, co oznacza to „Meaulnes”, pożałowałem, że nie znam francuskiego tak świetnie, jak Avril Bredon.

Zegar na kominku minuty przemieniał w sekundy.

Kostki u rąk miała prążkowane jak Toblerone. Kościste palce co jakiś czas strącały popiół ze stronicy.

— Nazywam się Eva van Outryve de Crommelynck – tak pewnie zabrzmiałby głos pawia, gdyby paw umiał mówić ludzkim głosem. – Możesz się do mnie zwracać: „Madame Crommelynck”. – Stwierdziłem, choć nie na sto procent, że to francuski akcent. – Moi angielscy znajomi, w dzisiejszych

czasach gatunek prawie na wymarciu, mówią mi: „Evo, twoje «Madame» jest dla Brytyjczyka zbyt wielkopańskie. Nie wystarczyłoby po prostu: «pani Crommelynck»?”. A ja odpowiadam: „Idźcież wy do diabła! Co komu wadzi wielkopaństwo? Jestem madame i to «e» na końcu wielce sobie cenię!”. *Allons donc.* Już trzecia, a nawet trochę po... Mam zatem przyjemność z poetą Eliotem Bolivarem...?

— Tak. („z poetą!”) Bardzo mi miło panią poznać... Madame Cromylenk?

— Crom-mel-ynk.

— Crom... mel... ynck.

— Fatalnie, ale już lepiej. Jesteś młodszy, niż mi się wydawało. Czternaście masz lat? Czy piętnaście?

Wdechowo jest być brany za starszego.

— Trzynaście.

— Ach, to cudowny, nieszczęśliwy wiek. Ani malec, ani nastolatek. Popędliwy, ale też i nieśmiały. Uczuciowo niestabilny.

— Pastor niedługo przyjdzie?

— Słucham? – wychyliła się ku mnie. – Któż („k” jakby nie wypowiedziała) to taki mianowicie?

— To chyba plebania, prawda? – zaniepokojony, pokazałem jej zaproszenie. – Tak jest napisane na tabliczce. Przy drodze głównej.

— Mhm – madame Crommelynck kiwnęła głową. – Pastor, plebania... Źle pojmujesz jedną rzecz. Otóż kiedyś niewątpliwie zamieszkiwał tutaj pastor... A przed nim dwaj pastory, trzech pastorów... wielu – kościstą dłonią odpędziła obłok dymu. – Te czasy jednak minęły. Kościół anglikański upa-da, upa-da z każdym rokiem, podobnie jak brytyjskie samochody Leyland. Jak mawiał mój ojciec, tylko katolicy znają się na swoim fachu. Katolicy i mormoni. Mnóście nam klientelę, nakazują wiernym; jak nie, to czeka was piekło! Nie to, co tutaj, w Kościele anglikańskim. W rezultacie te wasze czarowne domy sprzedaje się albo wynajmuje, a pastory muszą się przeprowadzać

do mniejszych. Zostaje tylko miano „plebanii”.

— Ale ja... – przełknąłem ślinę – ...przecież wrzucam wiersze do państwa skrzynki od stycznia. To jakim cudem co miesiąc ukazują się w gazetce parafialnej?

— Dla człeka – madame Crommelynck zaciągnęła się papierosem tak potężnie, że skurczył się na moich oczach – o sprawnym umyśle nie powinno to być trudne do zrozumienia. Przekazuję twoje wiersze autentycznemu pastorowi, który urzęduje na prawdziwej plebanii. W paskudnym parterowym domku koło zamku w Hanley. Nic mi nie jesteś winien za tę przysługę. To gratis. Znakomite ćwiczenie dla moich nieruchawych kości. Ale za to najpierw czytam twoje wiersze.

— Jejku. A pastor o tym wie?

— Poza tym dostarczam mu twoje wiersze po ciemku, anonimowo, żeby mnie nie zatrzymała jego żona... Nawiasem mówiąc, stokroć gorsza od niego. Rzadka plotkara, jędza, wierz mi. Miała zamiar urządzić letni festyn Kongregacji Świętego Gabriela w moim ogrodzie! „To taka tradycja – mówi do mnie pastora. – Musimy mieć miejsce dla Human Bridge. Na stragany”. Więc jej powiedziałam: „Idźże sobie do diabła! Chyba płacę czynsz, prawda?! Na co komu boski stwórca, który musi sprzedawać poślednią marmoladę?” – madame Crommelynck cmoknęła skórzastymi ustami. – Ale przynajmniej jej mąż chce drukować twoje wiersze w tym swoim piemku. Może mu się to opłaca – wskazała stojącą na perłowym blacie butelkę wina. – Napijesz się odrobinę?

„Pełny kieliszek” – podszepnął Nienarodzony Bliźniak.

Usłyszałem głos taty: „Co piłeś?!”.

— Nie, dziękuję.

— Twoja strata – madame Crommelynck wzruszyła ramionami.

I napełniwszy sobie kielich krwawym atramentem, zadowolona, stuknęła stosik gazet parafialnych Black Swan Green:

— Oby się nam wiodło!

— Młodzieniec powinien wyczuć, kiedy kobieta pragnie, by jej zapalono papierosa.

— Przepraszam.

Zapalniczka madame Crommelynck kryje się pod zwojami szmaragdowego smoka. Przeląknęłam się, że ubranie przesiąknie mi zapachem papierosów i gdy rodzice spytają, gdzie byłem, trzeba będzie zmyślać. Pałac, madame Crommelynck mruczała pod nosem mój wiersz pod tytułem *Głazy*, z numeru majowego.

Upajałem się dumą, że uwagę tak egzotycznej damy przykuwają moje własne słowa. Ale też trochę się bałem. Dając komuś do czytania własne wypociny – człowiek tak naprawdę wręcza mu zaostrzony kołek, kładzie się w trumnie i mówi: „Jestem do usług”.

Madame Crommelynck parsknęła.

— Niech ci się nie zdaje, że biały wiersz daje wolność. Nic podobnego. Rezygnacja z rymów to jakby rezygnacja ze spadochronu... Uczucia mylą ci się z sentymentalizmem... Oj, kochasz ty słowa, bez wątpienia (zaczęło mnie rozpierać), nie ty, nie ty jednak nad nimi panujesz, ale one nad tobą... (bańka dumy prysła). – Madame Crommelynck przyjrzała mi się bacznie. – Nie zmienia to jednak faktu, że twój wiersz ma w sobie dość siły, aby go poddać krytyce. Znakomita większość tak zwanych wierszy rozlatuje się już po pierwszej lekturze. Ewidentnie masz wyobraźnię, prawdziwą i świeżą, nie sposób jej tu nie dostrzec. Czy mogłabym natomiast o coś cię zapytać?

— Jasne. Proszę, słucham.

— Czy cała ta, że tak powiem, oswojona sfera – kuchnie, ogrody i sadzawki – nie jest przypadkiem... metaforą owej śmiechu wartej wojny na południowym Atlantyku?...

— Kiedy pisałem wiersz, trwały walki o Falklandy – odrzekłem. – Więc wojna tak jakby sama tu przeniknęła.

— A zatem demony prowadzące wojnę w ogrodzie symbolizują generała Galtieriego i Margaret Thatcher. Mam rację?

— No, tak jakby.

— Ale to równocześnie twoi rodzice, prawda?

I cóż tu odpowiedzieć, kiedy pytający i tak od początku zna odpowiedź?! Opisywać rodziców a przyznać się do tego to dwie całkiem różne sprawy.

Madame Crommelynck z rozkoszą zaciągnęła się tytoniem.

— Jesteś kulturalnym trzynastolatkiem, stanowczo zbyt nieśmiałym, aby się odważyć odciąć pępownię! Wyjawszy to – wściekle szturchnęła stronicę. – Tutaj, w swoich wierszach, mówisz wszystko, co cię napawa strachem tutaj – wskazała okno. – Tu, w świecie, który cię otacza. Żeby wyrazić to, co tutaj – palcem dźgnęła mnie w serce.

Zabolało.

Zawsze przy prześwietleniu czuję się niewyraźnie.

Wypuści człowiek wiersz w świat, a ten zaraz zacznie hulać.

— *Niewidzialne ogrody...* – madame Crommelynck wzięła numer z czerwca.

Byłem pewien, że uzna ten tytuł za powalający.

— Cóż to za koszmarny tytuł?

— Yyy... Długo nad nim rozmyślałem.

— Po to, by opatrzyć własne dzieło tak poślednim mianem?

— Chciałem go zatytułować *Strachy*. Ale już istnieje banda o tej nazwie. Łażą po wsi w nocy. Gdybym tak nazwał wiersz, mogliby się domyślić, że to ja napisałem, no i... daliby mi do wiwatu.

Madame Crommelynck chyba średnio to zaimponowało, bo pociągnęła nosem. Zaczęła odczytywać wersy ciszej niż na pół gwizdka. Liczyłem, że zauważy chociaż opisy zmroku, księżycowego światła i ciemności.

— Jest tu wiele pięknych słów.

— Dzięki – też tak sądziłem.

— Twoją poezję psują właśnie piękne słowa. Potrawę wzbogaca się odrobiną piękna, ty jednak walisz do gara wszystko, co ci się nawinie!!! Wiedz, że od tego można dostać mdłości. A tobie się wydaje, że wiersz powinien być piękny, bo inaczej jest niedoskonały. Mam rację?

— No, tak jakby.

— Drażni mnie to „tak jakby”. „Tak” albo „nie”, bardzo proszę, ewentualnie zgłaszaj zastrzeżenia. „Tak jakby” to próżny *loubard*, nierozumny *vandale*. „Tak jakby” komunikuje: „wstydzę się przejrzystości i precyzji”. Zaczniemy więc od początku. Dla ciebie wiersz ma być piękny, bo inaczej nie jest wierszem. Mam rację?

— Tak.

— A jakże! To pogląd właściwy kretynom. Piękno wcale nie polega na doskonałości. Piękno to rysa, szrama, piękno to kosmetyka, ostateczne piękno to zmęczenie. Posłuchaj... – odczytała fragment piątej zwrotki. – „Zza rogu księżycy wyrzała świetlista Wenus”. Wiersz twój cierpi na deflację. Ffffffffffth! Dziurawa guma. Wypadek samochodowy. Co drugi wers dopomina się uznania! A idźże ty z tym w diabły! Czy kiedy w ogrodzie rośnie ci magnolia, biegasz do niej co chwila i malujesz płatki?! Przypinasz połyskliwe lampki choinkowe?! Papużki z plastyku?! Otóż – nic podobnego.

Było w tym sporo racji, ale...

— Myślisz sobie zapewne – madame Crommelynck wciągnęła głęboki haust dymu – „zwariowała, wiedźma!”. Krzew magnolii istnieje bez pomocy poezji, bo istnieje. Wiersz zaś, i to wiersz udany, dopiero trzeba stworzyć.

Przytaknałem. (Sam bym do tego doszedł, gdyby mi dała jeszcze parę minut).

— Musisz mówić, co myślisz, bo w przeciwnym razie spędzisz całą sobotę nie rozmawiając ze mną, tylko z głową w kuble. Czy rozumiesz?

— Dobra – odparłem z niepokojem, że „dobra” wcale nie brzmi dobrze.

— Doskonale. Powtarzam: wersy „się robi”. Ale jak chodzi o prawdziwą poezję, słowo „robota” nie jest odpowiednie. „Tworzenie” też niestosowne. Dlatego mianowicie, że wiersz istnieje nim jeszcze się go zapisze.

Tego nie złapałem.

— A gdzie?

— Oto, jak rzecz wyraził T.S. Eliot, poemat to atak na niewyraźne. A ja, Eva van Outryve de Crommelynck, zgadzam się z nim w całej rozciągłości. Wiersze, które jeszcze, czy też w ogóle, nie są napisane, istnieją w sferze niewyraźnej. Piękna – sięgnęła po nowego papierosa, ale tym razem miałem już w pogotowiu smoczą zapalniczkę – jest sztuka fabrykowana właśnie z tego, co niewyraźne. Nawet kiedy dotyczy spraw plugawych. Srebrne księżycy, grzmiące morza, kiczowate klisze... to piękno zatrute. Amator sądzi, że piękno tworzą jego słowa, jego barwy i jego zapiski. Tymczasem prawdziwy mistrz wie, że jego słowa mają tylko nieść piękno. Mistrz wie, że nie wie, z czego piękno wynika. Spróbujmy... Jak zdefiniowałbyś piękno?

Madame Crommelynck strzepnęła papierosa do rubinowej popielnicy z kropelkami w środku.

— Piękno to...

Była zachwycona moim prostactwem. Chciałem zrobić wrażenie, podając jakąś mądrą definicję, ale w kółko przychodziła mi do głowy tylko jedna: „Piękno to coś, co jest piękne”.

Szkopuł w tym, że to wszystko takie nowe, świeże. W szkole na angielskim przerabiamy gramatykę autorstwa niejakiego Ronalda Ridouta, czytamy *Cider with Rosie*, omawiamy polowania na lisy i uczymy się na pamięć: „Znów muszę wyruszyć na morze/na puste wody i nieba”^[3] Johna Masefielda. Nad niczym w zasadzie nie musimy myśleć.

— Trudne to – przyznałem.

— Trudne?! (Zauważyłem, że popielniczka ma kształt skulonej dziewczyny). Niemożliwe! Nie sposób kategoryzować piękna. Gdy jest, po prostu je dostrzegasz. Zimowy wschód słońca w brudnym Toronto, nowy kochanek w starej kawiarence, złowieszcze sroki na dachu. Ale czy z tego składa się piękno? Nie! Piękno jest, nic więcej. Po prostu jest.

— Ale... – zawahałem się, niepewny, czy mam dokończyć.

— Wymagam od ciebie tylko – oświadczyła – byś mówił to, co myślisz!

— Bo pani wybrała takie zwykłe rzeczy... A muzyka czy

malarstwo? Przecież się mówi: „Garncarz robi piękny wazon”. Nie tak?

— Mówi się, mówi się... Uważaj z tym: „mówi”. Słowa mówią: Określając daną abstrakcję czy pojęcie, automatycznie je ujmujesz. Nic podobnego. Słowa kłamią. Albo raczej: są kalekie. Niezręczne. Może i ten twój garncarz zrobił wazon, ale nie wytworzył piękna, a tylko przedmiot, w którym ono zamieszkuje. Póki nie zbije się wazonu. Albowiem zniszczenie jest mu przypisane.

— Ale... – wciąż nie zadowalały mnie te tłumaczenia – ... chyba ktoś, gdzieś wie, czym jest piękno, prawda? Na jakiejś wyższej uczelni...?

— Uczelni?! – wydała dziwny odgłos, który mógł być śmiechem. – Nad nieodgadnionym można snuć dysputy, lecz zgłębić go – nie ma mowy. Zapytaj byle filozofa, tylko bądź ostrożny. Jeśli usłyszysz: „Eureka!”, jeżeli uznasz, że jego odpowiedź nazywa twoją wątpliwość, to dowód, że jest on oszustem. Jeśli natomiast twój filozof naprawdę wywodzi się z pieczary Platona, jeżeli posiada wgląd w owo słońce ślepców... – na palcach policzyła trzy opcje – to albo jest szaleńcem, albo odpowiedzi, których ci udziela, to wyłącznie pytania udające odpowiedzi, albo – milczy. Milczy, bo albo się coś wie, albo się o tym mówi. Jedno i drugie równocześnie nie ma żadnego sensu. Mam pusto w kieliszku.

Ostatnie krople okazały się najgęstsze.

— Czy pani jest poetką? (Niewiele brakowało, a dodałbym: „również”).

— Nie. To zdraдлиwy tytuł. Za młodu jednak miałam z nimi pewną bliskość. Robert Graves napisał o mnie wiersz. Notabene nie najlepszy. William Carlos Williams chciał, abym dla niego zostawiła męża i – wypowiedziała to słowo jak czarownica z bożonarodzeniowej bajki – *elope!* Niesłychanie romantyczne, ja jednak miałam pragmatyczny umysł, on zaś był pozbawiony środków, jak... *épouvantail*, czyli... jak się mówi na takiego w polu, który straszy ptaki?

— Strach na wróble?

— Strach na wróble. Właśnie. Więc mu powiedziałam: „Idź w cholerę, Willy, wprowadź nasze dusze żywią się poezją, ale człowiek musi wykarmić aż siedem grzechów głównych!”. I przystał na tę logikę. Poeci umieją słuchać, jeśli tylko nie odurzy ich alkohol. Natomiast powieściopisarze – madame Crommelynck skrzywiła się z odrazą – to schizofrenicy, obłąkani, łgarze. W naszej kolonii w Taorminie mieszkał, na przykład, Henry Miller. Wieprz, upocona świnia, a Hemingway... Znasz go?

Coś tam kiedyś słyszałem, więc kiwnąłem głową.

— Najlubieźniejsza świnia w towarzystwie! Filmowcy? Fffffffh! *Petit Zeus* wszechświatka! Wszyscy traktują świat jak osobisty plan filmowy. Charles Chaplin nie inaczej... Był moim sąsiadem w Genewie, po drugiej stronie jeziora. Uroczy *petit Zeus*, tym niemniej: *petit Zeus*. Malarze? Szukając nowego pigmentu, serce sobie wycisną do ostatniej kropli. Nic człowiekowi nie zostawia. Chociażby Picasso, ten kozioł z Andaluzji. Bez przerwy zgłaszają się do mnie jego biografowie, błagają, abym coś zdradziła, proponują pieniądze, a ja niezmiennie odpowiadam: „Idźcie do diabła, nie jestem szafą grającą, lecz kobietą!”. Kompozytorzy? Mój ojciec był kompozytorem. Vyvyan Ayr. Uszy wciąż mu płonęły od własnych kompozycji. A mnie, podobnie jak matki, nie słuchał prawie nigdy. W swoim czasie był nie do pobicia, lecz ostatnio wypadł z repertuaru. Żył na wygnaniu w Zedelghem, na południe od Brugii. Matka miała tam posiadłość. Mój ojczysty język to flamandzki. Jak zapewne słyszysz, w angielskim nie czuję się zbyt zręcznie. Za dużo przeczeń i zaprzeczeń. Wzięłeś mnie za Francuzkę?

Przytaknąłem.

— Jestem Belgijką. Tak to już jest, że dyskretnych sąsiadów zwykle bierze się za tych wrzaskliwych, zza węgła. Widziałeś?! Jakieś zwierzę! Na trawniku. Koło pelargonii...

W sekundzie ujrzeliśmy drżące serce wiewiórki.

W następnej – zniknęła bez śladu.

Madame Crommelynck powiedziała:

— Spójrz na mnie.

— Patrę.

— Nie, nie patrzysz. Siadźże tutaj.

Usiadłem na jej podnóżku. (Ciekawe, czy ten kamerdyner to dlatego, że coś nie tak z jej nogami).

— Okay.

— Nie chowaj się pod tym swoim: „okay”. Bliżej proszę. Nie gryzę nastolatków. Gdy jestem najedzona. Popatrz.

Jest taka zasada, zgodnie z którą nie powinno się zbyt wpatrywać w twarz. Madame Crommelynck właśnie nakazała mi ją złamać.

— Przypatrz się bliżej.

Poczułem te takie fiołki parmeńskie, przeróżne materiały, ambrowate perfumy i jakby zgniliznę. I stało się coś przedziwnego. Starsza pani zmieniła się w coś. Pod i nad powiekami zwisały temu czemuś upiorne wory. Rzęsy kleiły się w szpikulce. W plamiste białka wpływały węzowato niezliczone czerwone żyłki. Tęczówki – zasnute mgłą jak dawno zapomniane kule do gry. Zmumifikowana skóra cała obsypana pudrem. Zapadnięty chrząstkowaty nos...

— Dostrzegasz tu piękno? – coś odezwało się złym głosem.

Kultura kazała mi przytaknąć.

— Łżesz! – Istota cofnęła się i znowu przemieniła w madame Crommelynck. – Przed trzydziestu i nawet jeszcze przed czterdziestu laty zapewne dałabym ci wiarę. Rodzice chowali mnie bardzo tradycyjnie. Tak jak ten twój garncarz lepi swoje garnki. Wyrosłam na powabną pannę. Przeglądając się w lustrze, powtarzałam z zachwytem: „Tak, oto ja, w całej krasie”. Mężczyźni robili podchody, uciekając się do rozmaitych forteli, by mnie oczarować... Wielbili mnie i zdradzali, trwonili pieniądze na wszelkie me zachcianki, byle tylko „zdobyć” tę tu, piękną. Złoty wiek...

W odległym pokoju ktoś nagle zaczął walić młotkiem.

— Uroda jednak przemija, opada jak jesienne liście. Ledwie się człowiek obejrzy, a tu coraz częściej albo jest „zmęczony”, albo

ma „zły dzień i tyle”. Lecz z biegiem lat coraz trudniej okłamywać lustro. Piękno podupada, niknie z każdą chwilą, aż zostaje sama tylko *vieille sorcière*, istota, która za pomocą kosmetycznych mikstur usiłuje się odmładszać. Podobno, tak mówią ludzie, „stare, a ciągle piękne!”. Są protekcyjnalni i schlebiają, zapewne, by pocieszyć siebie samych. Na próżno. Korzenie piękna podgryza... – znużona madame Crommelynck opadła na trzeszczący tron. – No, jakże się to nazywa... Ten ślimak bez skorupy...

— Pomrów?

— Nienasycony, niezniszczalny pomrów. Gdzie się, u diabła, podziały papierosy?

Pudełko spadło jej pod nogi. Podniosłem i podałem.

— Idź już – odwróciła głowę. – A wróc w przyszłą sobotę o trzeciej po południu. Podam ci jeszcze więcej powodów, dla których twoje wiersze są nieudane. Albo i nie wracaj. Czeka mnie tysiąc innych zajęć – sięgnąwszy po *Le Grand Meaulnes*, madame Crommelynck zaczęła czytać od tego miejsca, gdzie przerwała. Oddech jej się zrobił tak świszczący, jakby była chora.

— Dziękuję, to do...

Poczułem mrowienie w nogach.

Ale w przekonaniu madame Crommelynck dawno opuściłem jej solarium.

Ponad lawendą, jak pomponiki, kręciły się naćpane pszczoły. Zakurzone volvo w garażu nadal domagało się mycia i woskowania. Dziś też nie powiedziałem rodzicom, dokąd się wybieram. Opowiedzenie im o madame Crommelynck oznaczałoby: a) wyjawienie prawdziwej tożsamości Eliota Bolivara; b) dwadzieścia pytań związanych z jej osobą, na które nie mogę odpowiedzieć, bo stanowi ona przecież jeden wielki znak zapytania; c) upomnienie, abym jej nie nachodził i nie dręczył. Dziecko nie powinno odwiedzać starszej pani, która nie jest jego ciocią albo babcią.

Zadzwonilem.

Całe wieki trwało, nim mój dzwonek wybrzmiał.

Cisza. Czyżby poszła na przechadzkę?

Przed tygodniem kamerdyner aż tak się nie ociągał.

Zastukałem kołatką, pewien, że to też na nic.

Kręciłem pedałami jak szalony, bo się spóźniłem aż o pół godziny. Jak widać, madame Crommelynck, zdaje się, miała do punktualności stosunek identyczny jak feldmarszałek: zero zmiłowania dla spóźnialskich. Wziąłem ze szkolnej biblioteki *Starego człowieka i morze* Ernesta Hemingwaya, tylko dlatego, że zeszyłem razem o nim wspomniała. (We wstępie podawali, że kiedy książka była czytana w radiu, Amerykanie płakali rzewnymi łzami. Ale to nic specjalnego: jeden taki dziadek ugania się po morzu za sardynką-monstrum. Jeżeli coś takiego rusza Amerykanów, no to gratulacje). W dłonie wtarłem sobie trochę lawendy. Fajny zapach. Mój ulubiony, na trzecim miejscu po tippeksie oraz skórce z boczku. Nie wiedząc co począć, przysiadłem na schodach.

Czerwcowe popołudnie aż ziało, rozognione.

Kiedy tu jechałem, kałuże skrzyły się jak fatamorgana.

Można było przysnąć na tych rozpalonych stopniach...

Nagusieńkie mrówki.

Zasuwa strzeliła jak karabin i drzwi otworzył stary kamerdyner.

— Wróciłeś po dalsze nauki – dzisiaj był w pulowerze do gry w golfa. – Zdejmij buty, proszę.

— Dzięki – zrzucając tenisówki, usłyszałem dźwięk fortepianu i po chwili, cichszy, skrzypiec.

Żeby tak madame Crommelynck nie zaprosiła kogoś jeszcze! Bo przecież trzy osoby to już w zasadzie tak jak setka. Schody wymagały naprawy. Na pokrzywionym stołku leżała zmordowana gitara. W krzykliwych ramach – obrazek z roztrzęsioną babą w łódce na dawno nie czyszczonym stawie. I znowu kamerdyner wskazał mi drogę do solarium. (Sprawdziłem w encyklopedii: „solarium” znaczy po prostu „przestronne pomieszczenie”). Mijając kolejne drzwi, zacząłem rozmyślać o różnych przestrzeniach ze swojej przeszłości

i przyszłości. Oddział szpitala, gdzie się urodziłem, klasy, namioty, kościoły, różne biura, hotele, muzea, domy spokojnej starości, pokój, w którym umrę. (Ciekawe, czy już istnieje?) Auta to też jest przestrzeń. Las też. A niebo jest stropem. Odległości – ścianą. Łono to przestrzeń matki. Przestrzenią grobów jest ziemia.

Muzyka się wzmogła.

Kąt solarium zajmował sprzęt hi-fi, żywcem wyjęty z Julesa Verne'a; tyle tam było srebrnych gałek i pokręteł. Madame Crommelynck znów siedziała na trzciniowym tronie, z przymkniętymi oczami, zasłuchana. Jakby kąpała się w muzyce. (Już miałem opracowane, że pewno się długo do mnie nie odezwie, więc postanowiłem usiąść na sofie bez poręczy i spokojnie czekać). Włączona była płyta z muzyką poważną. Ale nie to takie rzępolenie, jakie pan Kempsey puszcza na lekcjach wychowania muzycznego. Tylko – tęskna, a zarazem słodka, żałosna, a zarazem cudna, chropawa, a równocześnie krystaliczna. Lecz gdyby się ją dało nazwać słowem, straciłaby sens istnienia.

Fortepian umilkł. Do skrzypiec dołączył teraz śpiew fletu.

Na biurku Ewy Crommelynck ujrzałem dziesiątki stronic nie dokończonego listu. Pewnie włączyła sobie płytę, kiedy straciła wątek... Na kartce leżało okazałe srebrne pióro. Z trudem zdusiłem chęć podpatrzenia, o czym pisze.

Ramię gramofonu z trzaskiem spoczęło na podstawce.

— Nieutulona żalność – oznajmiła madame Crommelynck – działa tak kojąco. Cóż to za ogłoszenie masz wypisane na piersi? – niezbyt się chyba ucieszyła na mój widok.

— Jakie ogłoszenie?

— Ach! Ogłoszenie na swetrze!

— To firmowy strój klubu piłkarskiego Liverpool. Kibicuję im, odkąd skończyłem pięć lat.

— Co znaczy to: „HITACHI”?

— Federacja zmieniła zasady i piłkarzom wolno teraz nosić logo sponsora. Hitachi to firma produkująca sprzęt

elektroniczny. Zdaje mi się, z Hongkongu.

— Czyli płaci się firmie za to, że się ją reklamuje? *Allons donc*. Jak chodzi o strój i kuchnię, Anglicy posiadają nieprzepartą potrzebę samookaleczenia. A ty się dzisiaj spóźniłeś...

Tłumaczenie zawilości afery pana Blake'a zajęłoby mnóstwo czasu. Straciłem rachubę, ile razy mama z tatą, a nawet Julia (kiedy chce mi dopiec) powtarzają: „Już dosyć na ten temat”, aby za pięć minut znowu go odgrzebać. Więc odpowiedziałem madame Crommelynck, że za karę, bo coś tam rozbiłem, kazali mi zmywać samemu cały miesiąc, i lunch się trochę opóźnił, bo mama zapomniała odmrozić barani udziec.

Madame Crommelynck znudziła się, zanim skończyłem opowiadać. Gestem ręki wskazała butelkę wina na perłowym stole.

— Dzisiaj się napijesz?

— Wolno mi tylko naparsteczek, tak od święta.

— Skoro uważasz, że moje towarzystwo nie jest świętem, napełnij mi kieliszek.

(Białe wino pachnie jabłkami Granny Smith, zmrożonym metanem i drobnymi kwiatuskami).

— Pamiętaj zawsze łać tak, by było widać naklejkę! Jeśli wino jest dobre, pijący powinien to wiedzieć. A jeśli wino niedobre, wstyd leży po twojej stronie.

Uśluchałem. Z szyjki skapnęła jedna kropla.

— No. Dowiem się dzisiaj, jak brzmi tve prawdziwe miano, czy nadal mam gościć nieznanomego, który się ukrywa za śmiesznym pseudonimem?

Kat nie chciał mi dać nawet odpowiedzieć: „Sorry”. Ale z tych nerwów, podniecenia i ze złości i tak wyrzuciłem z siebie: „Sorry!”. Niestety o wiele za głośno, więc i trochę niegrzecznie.

— Twe eleganckie przeprosiny to nie odpowiedź na mą kwestię.

— Jason Taylor – wybąkałem i zachciało mi się płakać.

— Jay JAKI? Mówże wyraźnie! Uszy też mam stare! I nigdzie nie schowałam mikrofonu, który by zbierał każde twoje słowo!

Ohydne to moje nazwisko.

— Jason Taylor – bez treści jak pomięte kwity.

— Gdybyś się zwał Adolf Trumna czy Pius Miotłogłowy, to rozumiem. Lecz po cóż zasłaniać Jasona Taylora imieniem nieprzystępnego symbolisty i nazwiskiem działacza rewolucyjnego z Ameryki Łacińskiej?

Chyba spostrzegła moje „hę?”

— Eliot! T.S.! Bolivar! Simón!

— Uznałem, że Eliot Bolivar po prostu brzmi bardziej... poetycko.

— Czyż jest coś bardziej poetyckiego, niż imię antycznego bohatera?! Kto, jak nie starożytni Grecy, zakładał literaturę Europy? A „Taylor”... Kimże, według ciebie, jest poeta, jak nie krojczym^[4] słowa? Poeci i krawcy mają wgląd w rzeczy innym niedostępne. Poeci i krawcy w rzemiośle tają swe rzemiosło! Nie, nie przyjmuję twojej odpowiedzi. Moim zdaniem, chcesz się posługiwać pseudonimem, bo twa poezja to wstydlivy sekret. Czy mam rację?

— „Wstydliva” to właściwie... niewłaściwe słowo.

— Jakież więc właściwie będzie tu właściwe?!

— Pisanie wierszy jest... – zacząłem rozglądać się niepewnie, ale madame Crommelynck zaraz mnie przyszpiliła wzrokiem. – ...no, takie pedalskie.

— Pedalskie? Czyżbyś miał na myśli rozkosz rozpędzonego cyklisty?

Zaczął się robić beznadziejnie.

— Pisanie wierszy to... zajęcie dla świrusów i ciot.

— Mhm, więc jesteś „świrusem”?

— Nie.

— Wobec tego: „c-i-o-o-o-t-ą”; cokolwiek miałyby to znaczyć?

— Nie!

— Zatem nijak nie pojmuję twojego wywodu.

— Gdy ma się tatę sławnego kompozytora i mamę arystokratkę, można robić rzeczy, których się nie robi, kiedy tato pracuje w firmie Greenland Supermarkets i chodzi się

do państwowej szkoły średniej. Poezja to właśnie coś takiego.

— Aha! Pojmuję! Obawiasz się, że skoro piszesz wiersze, włochaci barbarzyńcy nie zechcą cię w swym plemienu.

— No, tak... Mniej więcej.

— Mniej czy więcej? Właściwie które słowo jest właściwe?

(Można było się wykończyć).

— Właściwie to pani nazwała.

— I ty pragniesz zostać włochatym barbarzyńcą?

— Jestem jeszcze dzieckiem. Mam trzynaście lat. Sama pani słusznie powiedziała, że to nieszczęśliwy wiek. Gdy się od nich odstaje, zmieniają człowiekowi życie w piekło. Tacy jak Floyd Chaceley czy Nicholas Briar...

— No, teraz wyrażasz się jak prawdziwy poeta.

— Nic nie rozumiem, kiedy pani mówi w taki sposób!

(Mama powiedziałaaby: „Nie mów do mnie tym tonem!”).

— Chodzi mi o to – odrzekła madame Crommelynck, wreszcie choć trochę ucieszona – że jesteś w zgodzie z własnym słowem.

— A co to oznacza?

— Że wypowiadasz prawdę w jej istocie.

— Mówić prawdę to przecież umie każdy.

— Owszem, jeśli chodzi o banały, trywialności. Z cierpieniem rzecz ma się jednak inaczej. Musisz zatem wieść podwójne życie. Jako Jason Taylor, który chce akceptacji włochatych barbarzyńców. I – jako Eliot Bolivar, który szuka zrozumienia w świecie literatury.

— Czy to niewykonalne?

— Jeżeli pragniesz zostać wierszokletą – hałaśliwie przepłukała usta winem – to wykonalne niewątpliwie. Jeśli zaś jesteś prawdziwym artystą, nie ma mowy. Jeżeli ty jako ty nie będziesz żył w zgodzie ze światem, twórczość twoja cuchnąć zacznie fałszem.

Nic nie umiałem na to odpowiedzieć.

— Nikt nie zna twoich wierszy? Nauczyciel? Czy powiernik?

— Właściwie to tylko pani...

Madame Crommelynck czasem tak niesamowicie rozbłyskują

oczy. Jak gdyby samoistnie.

— Taisz swe wiersze przed ukochaną?

— Nie – odpowiedziałem. – Ja, yyy, nie...

— Nie taisz poezji czy nie masz ukochanej?

— Nie mam dziewczyny.

W tempie ponaddzwiękowym zapytała:

— Wolisz chłopców?

Dotąd nie mogę uwierzyć, że to usłyszałem. (Jednak wierzę).

— Jestem normalny!

Bębnienie palców o stosik parafialnych gazet wyrażało wątpliwość: „Normalny?”.

— Bardzo lubię taką jedną dziewczynę – wyrzuciłem z siebie, by jej tego dowieść. – Dawn Madden. Ale ona już ma chłopaka.

— Mhm? A czy ten chłopak Dawn Madden to poeta czy barbarzyńca? (Była zachwycona, że podstępnie wyciągnęła ze mnie jej nazwisko).

— Ross Wilcox to pacan, nie poeta. Ale jeśli chce pani mnie namawiać, żebym napisał dla niej wiersz – nic z tego. Zostałbym pośmiewiskiem całej wsi.

— Niewątpliwie tak; jeżeli skomponujesz go z bajeczek o Kupidynie i tym podobnych schematów, Dawn Madden zostanie ze swoim „pacanem”, ty zaś całkowicie słusznie narazisz się na szyderstwa. Jeśli jednak zawrzesz w wierszu piękno oraz prawdę, twe słowa staną się dla panny Madden cenniejsze niż pieniądze czy świadectwa... Nawet gdy będzie już tak stara, jak ja. Zwłaszcza wtedy.

— Ale – prędko zmieniłem temat – przecież cała masa artystów występuje pod pseudonimem, prawda?

— Kto taki?

— Yyy... – przypomnieli mi się tylko Cliff Richard i Sid Vicious.

Zadzwoił telefon.

— Prawdziwa poezja zasadza się na prawdzie. Prawda nie ma wzięcia, więc poezja też nie.

— Ale... prawda na jaki temat?

— Ooo, prawda życia, śmierci, serca, pamięci, czasu, kotów, strachu. Wszystkiego. (Kamerdyner, widać, też nie podniósł słuchawki). Prawda jest wszędzie... W nasionach drzew... Nawet i w oszustwie znajdziesz cząstkę prawdy. Lecz oko zaćmiewa codzienność, przesady, troski, skandale, żarłoczność, namiętność, *ennui*, no i rzecz najgorsza, czyli telewizja. Nikczemny to mechanizm! W solarium był telewizor. Kiedy tu przybyłam. Od razu wyrzuciłam go do piwnicy. Wciąż mi się przyglądał. Poeta wyzbywa się wszystkiego poza prawdą. Wszystko musi wywalić do piwnicy. Jasonie, czy coś się stało?

— Yy... dzwoni telefon.

— Wiem, że dzwoni telefon! I niech go szlag trafi! W tej chwili rozmawiam z tobą! (Rodzice, by sprawdzić, czy przypadkiem ktoś nie dzwoni do nich, wjechałoby w sam środek płonącej kopalni azbestu). Jak ustaliliśmy tydzień wcześniej, na pytanie: „Czym jest piękno?”, nie da się udzielić odpowiedzi, tak? Dziś zatem: jeszcze większa tajemnica. Jeżeli artysta jest prawdziwy, jeżeli artysta wolny jest od fałszu, a priori oznacza to piękno.

Musiałem sobie to przetrwać.

(Telefon w końcu umilkł).

— Najlepszy z twoich wierszy tutaj – poszperała w kupce gazet – nosi tytuł *Kat*. Zawiera cząstkę prawdy na temat twojej wady wymowy, czy mam rację?

Znajomy wstyd objął żarem szyję – ale przytaknąłem.

Nagle dotarło do mnie, że tylko w wierszach udaje mi się powiedzieć dokładnie to, co bym chciał.

— Oczywiście, że mam rację. Gdyby stało tutaj: „Jason Taylor”, a nie: „Eliot Bolivar, BBC, OBE, Św.” czy coś podobnego – szturchnęła stronicę z *Katem* – włochaci barbarzyńcy Black Swan Green zostaliby sromotnie upokorzeni prawdą, tak?

— Wolałbym się powiesić.

— Pfff! Powiesić to się może ten twój Eliot Bolivar. A ty, ty musisz pisać. Jeśli nadal obawiasz się publikować pod własnym nazwiskiem, lepiej nie publikuj wcale. Ale poezja jest prężniejsza, niżli ci się wydaje. Przez wiele lat pomagałam

Amnesty International. (Julia nieraz o nich głądzi). Poeci wychodzą cało z gułagów, aresztów, więzień, przeżywają tortury. Poeci działają nawet w tej podłej dziurze, Merdegate, nie, zaraz, do cholery, tam nad morzem... Stale zapominam... (Puknęła się w czoło, by przywołać nazwę). Aha, Margate. Wierz mi, szkoła państwowa to nie żaden dopust.

— Kiedy przyszedłem, grała muzyka... Czy to kompozycja pani taty? Przepiękna. Nie wiedziałem, że coś takiego istnieje.

— Sekstet Roberta Frobishera. Sekretarzował memu ojcu, kiedy był już zbyt stary, zbyt ślepy i zbyt słaby, by utrzymać pióro.

— Sprawdziłem Vyvyana Ayrsa w Encyklopedii Britannica, w szkole.

— Mmm? Jak więc ów autorytet odnosi się do ojca?

Hasło było tak krótkie, że nauczyłem się go na pamięć:

— „Brytyjski kompozytor, urodzony w tysiąc osiemset siedemdziesiątym w Yorkshire; zmarł w tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim w Neerbeke (Belgia). Najważniejsze utwory: *Wariacje na temat matrioszki*, *Untergehen* *Violinkonzert* i *Tottenvogel...*”

— *TOD-tenvogel! TOD-tenvogel!*

— Przepraszam. „Za życia ceniony przez europejskich krytyków, obecnie pojawia się jedynie w tekstach źródłowych dot. muzyki dwudziestego wieku”.

— To wszystko?

Myślałem, że zrobi to na niej wrażenie.

— Iście królewski panegiryk – rzekła tonem mdłym jak zwietrzała coca-cola.

— No, ale jako córka kompozytora na pewno miała pani kapitałnie.

Zbliżyłem się do niej ze smoczą zapalniczką.

Madame Crommelynck dotknęła papierosem ognia.

— Wielkie nieszczęścia sprawił mojej matce – wciągnęła i wypuściła dym drżący jak młode drzewko. – I dzisiaj jeszcze trudno mi wybaczyć. Gdy byłam w twoim wieku, posłano mnie

do szkoły w Brugii i ojca widywałam jedynie w weekendy. Miał swą chorobę i muzykę, więc nigdy nie rozmawialiśmy. Po pogrzebie pragnęłam go poprosić o tysiące rzeczy. Za późno. Dawne dzieje. Za tobą leży album fotografii. Tak, ten. No, podaj mi go.

Zdjęcie pochodziło z okresu przed wynalezieniem fotografii barwnej. Na kucyku, w cieniu ogromnego drzewa siedziała dziewczyna w wieku Julii. Policzek miała filuternie przysłonięty lokiem. Uda jej niby klamry obejmowały tułów zwierzęcia.

— Boże – pomyślałam na głos – jest prześliczna.

— Owszem. Jakkolwiek określać urodę, wówczas ją posiadałam. Czy raczej: uroda miała mnie w swoim posiadaniu.

— To pani?! – zdumiony, porównałam dawną i dzisiejszą madame Crommelynck. – Przepraszam.

— Uparcie powtarzając to słowo, ujmujesz sobie godności. Nefretete była moim najświetniejszym kucem. Powierzyłam ją Dhondtom – przyjaźniliśmy się z nimi – uciekając z Grigoire’em do Szwecji, pięć lat po zrobieniu tego zdjęcia. Dhondtowie zginęli w czterdziestym drugim, podczas okupacji hitlerowskiej. Sądziś zapewne, że działali w ruchu oporu? Nic podobnego. Jechali sportowym samochodem Morty’ego Dhondta. Zawiodły hamulce. BUM. Losu Nefretete nie znam. Najprawdopodobniej poszła na klej, a może na kiełbasę albo gulasz dla spekulantów, cyganów, oficerów SS... Fotografię tę wykonano w Neerbeke bodaj w dwudziestym dziewiątym albo i w trzydziestym... Za tym drzewem widać Chateau Zedelghem. Dom rodzinny moich przodków...

— Wciąż należy do pani?

— Nie, bo już go nie ma. W tym miejscu Niemcy zbudowali lądowisko, tak że Brytyjczycy czy Amerykanie... – na migi pokazała: „bum”. – Kamienie, kratery, błoto... Teraz stoją tam pudełka udające domy, stacja benzynowa, jakiś supermarket. Nasz dom, który przetrwał pół milenium, istnieje li tylko w pamięci paru starców... Oraz na kilku starych fotografiach. A to, tu, napisała moja roztropna przyjaciółka Susan:

„Uwieczniając daną chwilę... – madame Crommelynck zapatrzyła się w siebie sprzed lat i strzepnęła popiół z papierosa – ...każda fotografia dowodzi, jak czas się nieustannie kurczy”.

Gdzieś niedaleko rozszczękał się znudzony pies.

Przed kamienną kaplicą pozuje para nowożeńców. Po nagich gałęziach widać, że to zima. Wydęte usta pana młodego mówią: „Patrzcie, jak mi się poszczęściło”. Z cylindrem i laseczką, wygląda prawie jak lis. Za to panna młoda to prawdziwa lwica. Uśmiecha się niemalże bez uśmiechu. Zna męża o wiele lepiej, niż on ją zdążył poznać. Nad wejściem do świątyni kamienna dama spogląda na swojego kamiennego rycerza. Na zdjęciach ludzie z krwi i kości patrzą w obiektyw, a posągi – prosto w nasze oczy.

— Moi twórcy – oznajmiła madame Crommelynck.

— Rodzice? Mili byli? – zabrzmiało to idiotycznie.

— Ojciec zmarł na syfilis. W twojej encyklopedii nie ma o tym mowy. Strzeż się: „niemiłe” to zejście z tego świata. Bo, widzisz, w owej erze (westchnęła przeciągle, mówiąc: „erze”) świat wyglądał inaczej. Uczuć nie wyrażało się tak niepowściągliwie. A w każdym razie nie w naszej klasie społecznej. Matka, oj, była ona zdolna do wielkich afektacji, ale też miała skłonność do wybuchów gniewu! Nad każdym potrafiła zapanować. Nie, raczej więc nie „miła”. Po ledwie dwu latach zmarła od aneuryzmu.

Po raz pierwszy w życiu powiedziałem, że jest mi przykro, tak jak się powinno, z głębi serca.

— Łaska boska, że nie musiała patrzeć na rujnację Zedelghem – madame Crommelynck podniosła okulary, żeby się lepiej przyjrzeć ślubnej fotografii. – Tacy młodzi! Oglądając zdjęcia, zapominam, czy czas idzie naprzód, czy się cofa. Inaczej: myślę, czy w ogóle istnieje jakaś przyszłość albo przeszłość. Jasonie, mam pusto w kieliszku.

Nalałem jej wina, jak należy pokazując nalepkę na butelce.

— Nigdy nie pojęłam tego małżeństwa. Ich alchemii. A ty?

— Ja? Czy rozumiem małżeństwo mamy z tatą?

— O to właśnie pytam.

Musiałem się porządnie zastanowić.

— Dotąd (Kat przechwycił „nigdy” i nie miał zamiaru go wypuścić) jakoś nad tym nie myślałem. To znaczy... Rodzice są i tyle. Chyba dość często się kłócą, ale kiedy się kłócą, dużo też sobie mówią. Potrafią być dla siebie mili. Gdy mama ma urodziny, a tato jest poza domem, zawsze przysyła jej kwiaty za pośrednictwem Interflory. Ale ze względu na recesję tato pracuje prawie w każdy weekend, a mama otwiera w Cheltenham galerię. Obecnie toczą między sobą coś w stylu zimnej wojny. (Rozmowy z pewnymi osobami są trochę jak przechodzenie na następny poziom w grze komputerowej). Gdybym był takim bardziej idealnym synem, jak w *Domku na prerii*, gdybym mniej się dąsał, może związek rodziców mógłby być bardziej (tu miało nastąpić: „słoneczny”, ale Kat był dzisiaj w swoim żywiole) przyjacielski. Julia, moja (z okazji kolejnego wyrazu Kat znów zaczął się ze mną drażnić) siostra, tak świetnie umie się nabijać z taty. I on to uwielbia. I Julia umie rozweselić mamę gadaniem o byle czym. Ale już w jesieni wybywa na uczelnię. Tak że zostaniemy w trójkę. Ja to nigdy nie wiem, jak to czy śmo powiedzieć, nie to, co Julia. – Jąkała zazwyczaj tak się denerwuje, że nie ma głowy do tego, by się nad sobą rozczulać, tym razem jednak poczułem dwa, trzy ukłucia żalu nad swym losem. – Nigdy mi się nie udaje wyrazić tego, co bym chciał.

Gdzieś w głębinach domu kamerdyner włączył odkurzacz.

— Aaaaa – odezwała się madame Crommelynck. – Widzisz: taka ze mnie wścibska wiedźma...

— Wcale nie.

Starsza pani z Belgii spojrzała na mnie przenikliwie znad okularów.

— Nie zawsze.

Przed fortepianem zasiadał młody pianista, rozluźniony, uśmiechnięty, z papierosem. Włosy, wzorem dawnych gwiazd filmowych, miał zaczesane w zalotny lok, ale nie wyglądał na elegancika. Tylko jak Gary Drake. Wzrok wściekle

przenikliwy, na ustach – wilczy uśmiech.

— Oto Robert Frobisher.

— To ten – musiałem się upewnić – który skomponował tę niesamowitą muzykę?

— Tak, to właśnie on napisał tę niezwykłą muzykę. Robert czcił mego ojca. Jak uczeń albo jak syn. Gdy chodzi o muzykę, stroili się ze sobą idealnie, a to, proszę cię, bliskość większa niżli seksualna. (Słowo „seksualna” madame Crommelynck powiedziała ot tak, bez żadnych ceregieli). To dzięki Robertowi ojcu udało się ukończyć finalne dzieło, *Die Todtenvogel*. W Warszawie, w Paryżu, w Wiedniu, na jedno krótkie lato nazwisko Vyvyan Ayers odzyskało dawną świetność. Oj, byłam ja zazdrosną *demoiselle*!

— Zazdrosną? Dlaczego?

— Ojciec chwalił Roberta bez wytchnienia! Lecz taka wzajemna rewerencja, wspólność odczuwania, jaka ich łączyła, jest bardzo łatwopalna. Przyjaźń to rzecz spokojniejsza. Zimą Robert wyjechał z Zedelghem.

— Z powrotem do Anglii?

— Robert nie miał domu. Rodzice go wydziedziczyli. Zamieszkiwał w hotelu w Brugii. Matka zakazała mi się z nim spotykać. Pięćdziesiąt lat temu bez naruszenia reputacji trudno było się gdziekolwiek ruszyć. Świetnie urodzonej damie musiała stale towarzyszyć przyzwoitka. Tak czy owak, wolałam go nie widywać. Grigoire i ja byliśmy zaręczeni, a Robert miał w głowie obłąd. Geniusz, choroba, bach-bach, burza, spokój, jak latarnia morska. Osamotniona latarnia. Mógł przyćmić Benjamina Brittena, Oliviera Messiaena, wszystkich wielkich. Gdy jednak ukończył *Sekstet*, strzelił sobie w łeb w hotelowej łazience.

Młody pianista wciąż był uśmiechnięty.

— Dlaczego to zrobił?

— A czy samobójstwo jedną ma przyczynę? Odrzucony przez najbliższych?... Przygnębienie?... Czy może zbyt się wczytywał w zebrane przez mego ojca dzieła Fryderyka Nietzschego? Robert miał obsesję na punkcie wiecznej powtarzalności. Powtarzalność

leży u podstaw całej jego twórczości. Żyjemy dokładnie tak samo, uważał Robert, i schodzimy z tego świata tak samo, ciągle, ciągle i ciągle, poruszając się stale po ósemce nieskończoności. Wiecznie... A może – madame Crommelynck raz jeszcze podpaliła zgasłego papierosa – winić należy tu dziewczynę.

— Jaką dziewczynę?

— Robert zakochał się w pewnej trzpiotce. Która nie odwzajemniała jego uczuć.

— Więc zabił się tylko przez to, że nie chciała go pokochać?

— Należy wziąć pod uwagę i ten czynnik. Na ile był on istotny, odpowiedzieć mógłby tylko Robert.

— Ale... żeby tak popełnić samobójstwo przez dziewczynę...

— Nie pierwszy on i nie ostatni.

— Rany! A ona, wie pani, ta dziewczyna, czy się dowiedziała?

— Naturalnie! Brugia to w istocie jedna wielka wioska. Dowiedziała się. I zapewniam cię, że dziś, po pięćdziesięciu latach, sumienie dręczy ją nadal. Jak reumatyzm. Zapłaciłaby każdą cenę, byle tylko móc go wskrzesić. No, ale przecież nic już na to nie poradzi.

— Utrzymuje pani z nią kontakt?

— Tak, trudno nam się unikać – madame Crommelynck utkwiała wzrok w pianaście. – Chce mego przebaczenia, zanim umrze. Zaklina: „Miałam osiemnaście lat! Oddanie Roberta traktowałam jedynie jako... jako... zabawę, bo mi to pochlebiało! Skąd mogłam wiedzieć, że wygłodniałe jego serce pożre umysł?! Że zabije ciało!”. Biedaczka... Chciałabym przebaczyć. Lecz prawda jest taka (tu spojrzała na mnie), że czuję do niej odrazę! Całe życie budziła we mnie wstręt i doprawdy nie wiem, jak go w sobie stłumić.

Kiedy Julia ostro mi dopiecze, przysięgam sobie, że nigdy nie odezwę się do niej marnym słowem. Na ogół jednak już w porze podwieczorku puszczam wszystko w niepamięć.

— Pięćdziesiąt lat złości to naprawdę bardzo długo...

Madame Crommelynck przytaknęła posępnie:

— Nie polecam.

— A próbowała pani udawać, że jej wybacza?

— Udawanie – spojrzała na ogród – nie ma nic wspólnego z prawdą.

— No, ale wypowiedziała pani dwie prawdy, prawda? Pierwsza to ta, że jej pani nienawidzi. Druga, że nie chce pani, by cierpiała. Jeśli więc pani uzna, że prawda pocieszenia jest ważniejsza od prawdy nienawiści, wystarczy tylko powiedzieć, że jej pani wybacza, choć tak naprawdę wcale nie. Poczująby się chociaż trochę lepiej. I pani może tak samo.

Madame Crommelynck z ponurą miną obejrzała swoje dłonie.

— Sofistyka – powiedziała wolno.

Nie jestem pewien, co to znaczy, więc się nie odezwałem.

Gdzieś w głębi domu kamerdyner wyłączył odkurzacz.

— Dziś *Sekstetu* Roberta nie uświadczysz w żadnym sklepie. Z muzyką jego obcować można jedynie w spokojności plebanii w lipcowe popołudnie. To twa jedyna szansa w całym życiu. Wiesz, jak się włącza ten gramofon?

— Jasne.

— Przesłuchajmy, Jasonie, drugą stronę krążka.

— Świetnie – odwróciłem płytę.

Stare longplaye są ciężkie jak talerze.

Melodię wiolonczeli ze strony A tanecznie powtarzał teraz klarnet.

Madame Crommelynck znowu zapaliła papierosa i przymknęła oczy.

Rozłożyłem się na sofie bez poręczy. W życiu nie zdarzyło mi się słuchać muzyki w tej pozycji. Kiedy się zamknie oczy, słuchanie jest jak czytanie książki.

Muzyka – wędrówka przez las.

W gwieździstej gęstwinie ćwierkał drozd. Talerz gramofonu jęknął jak przed śmiercią i ramię hałaśliwie dokonało żywota. Madame Crommelynck dała mi znak ręką, że nie muszę się zrywać; że sama zapali sobie papierosa.

— Powiedz, kto cię naucza?

— Każdego przedmiotu uczy nas kto inny...

— Chodzi mi o autorów, których najbardziej wielbisz.

— Mhm – w myśli przejrzałem sobie półkę z książkami, by podać takich naprawdę wielkich. – Isaac Asimov. Ursula Le Guin. John Wyndham.

— Azi Smerf? Ursula Gan? Windem...? Czy to współcześni poeci?

— Nie. Science fiction, fantasy. No i jeszcze Stephen King. On pisze horrory.

— Fantazja? Pffft! Posłuchaj ty kazań Ronalda Reagana! Horrory? A Wietnam, Afganistan, Afryka Południowa?! Idi Amin, Mao Tse-tung, Pol Pot...?! Czy ich makabra tobie nie wystarczy? Pytam cię o mistrzów. Znasz Czechowa?...

— Yyy... nie znam.

— Ale *Madame Bovary* czytałeś?

(Nawet nie słyszałem o jej książkach).

— Nie.

— Hermanna Hessego – zaczęła się denerwować – też nie?

— Nie – niezbyt inteligentnie postanowiłem stłumić obrzydzenie madame Crommelynck. – W szkole właściwie nie przerabia się literatury europejskiej...

— Europejskiej? Czyżby Anglię nagle zniosło na Karaiby?! Czyś ty jest z Afryki? A może z Antarktydy? Jesteś Europejczykiem, mało, niedouczony wyrostku!!! Tomasz Mann, Rilke, Gogol! Proust, Bułhakow, Wiktor Hugo! To twoja kultura, twe dziedzictwo, ty umysłowy kikucie! O Kafce też nic ci nie wiadomo?

Wzdrygnąłem się.

— O nim tak.

— To znasz? – machnęła mi przed nosem *Le Grand Meaulnes*.

— Nie, chociaż pani to czytała przed tygodniem.

— To jedna z moich biblii... Czytam to rokrocznie. – Cisnęła we mnie książką, z całej siły; zabolęło. – Alain-Fournier to twój mistrz najpierwszy. Ma w sobie i nostalgę, i tragizm; i czaruje, i cierpi – tak że i ciebie to dotyka. Lecz, co najcudowniejsze, mówi samą prawdę.

Z otwartej książki buchnęły na mnie obce słowa. *Il arriva chez nous un dimanche de novembre 189...* Przecież to po francusku.

— Przekłady fatalnie służą Europie – zorientowała się, że milczę, bo się poczułem winny. – Czyżby w oświeconych latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku angielski uczeń nie był zdolny przeczytać książki w obcym języku?

— Mamy lekcje francuskiego... (madame Crommelynck kazała mi nie przerywać)... ale doszliśmy dopiero do drugiej części podręcznika *Youpla boum!*

— Pffffffffff! Gdy ja miałam skończone lat trzynaście, płynnie umiałam się posługiwać językiem francuskim oraz holenderskim! Konwersowałam także po niemiecku, angielsku oraz włosku! Ach! Cały dzisiejszy system oświatowy, łącznie z ministrem edukacji, powinno się wysłać na tamten świat! Bo to już nawet nie jest arogancja! Jak... niemowlę, zbyt prymitywne, by się zorientować, że pielucha mokra i cuchnąca! Anglicy, oj, warci wy jesteście rządów monstrum Thatcher! Oby was dotknęła zaraza dwudziestoletniej władzy jej podobnych! Być może wtedy pojmiecie, że znajomość jednej tylko mowy to więzienie! Masz choć słownik francuski, gramatykę?

Kiwnąłem głową. Julia ma.

— No! Jeśli na przyszłą sobotę nie przełożysz pierwszego rozdziału Alain-Fourniera z francuskiego na angielski, nie pokazuj mi się na oczy. Zniekształcanie prawdy przez prowincjonalnego uczniaka autorowi z pewnością na nic się nie przyda, ale ja muszę mieć dowód, że spotykając się z tobą, nie marnuję czasu. Idź już.

Odwróciwszy się do biurka, madame Crommelynck sięgnęła po pióro.

Do drzwi plebanii znowu odprowadziłem się sam. Z *Le Grand Meaulnes* wetkniętą pod koszulkę FC Liverpool. Odkąd wywalili mnie ze Strachów, moja popularność znacznie spadła. Gdybym teraz został przyłapany z francuską powieścią, skazałbym się na krzesło elektryczne.

W ostatnim dniu szkoły przez całą lekcję religii grzmiało.

Kiedy dotarliśmy do Black Swan Green, deszcz lał już jak z cebra. Przy wysiadaniu z autobusu dostałem od Rossa Wilcoxsa kuksańca między łopatki i grzmotnąłem na dupę w głębokiej po kostki kałuży, w miejscu gdzie wylał rynsztok. Ross Wilcox, Gary Drake i Wayne Nashend ze śmiechu o mało się nie posrali. Głupie gęsi przystanęły, chichocząc spod parasolek. (Dziewczyna zawsze jakimś cudem umie sobie wyczarować parasolkę). Widziała to też Andrea Bozard – i oczywiście zaraz szturchnęła Dawn Madden, żeby jej pokazać. Dawn Madden, tak po dziewczynisku, aż zapiszczała z uciechy. (Nie śmiałem powiedzieć do niej: „Suko jedna!”. Do gładkiego jej czoła przywarł zmoczony kosmyk cudnych włosów. Z dziką rozkoszą wziąłbym kosmyk w usta i wyssał tę deszczówkę do ostatniej kropli). Nawet kierowca Norman Bates warknął, ubawiony. Ja jednak byłem mokruteńki, upokorzony i okropnie wściekły. Miałem wielką ochotę uszkodzić Rossa Wilcoxsa i na dokładkę pozbawić go kilku kości, ale Robal przypomniał mi, że – jako największy twardziel z wszystkich drugoklasistów – wpierywałby mi ręce z korzeniami, a potem je wykopał daleko poza obręb wioski.

— Bardzo śmieszne, Wilcox. (Na wypadek, gdyby Wilcoxowi zachciało się bić, Robal powstrzymał mnie przed powiedzeniem: „Bardzo, kurwa, śmieszne”). Żałosne – ale mówiąc „żałosne” wydałem taki pisk, jakby mi odpadły jaja.

Usłyszeli to wszyscy. Kolejny wybuch śmiechu rozniósł mnie na kawałeczki.

Aby obwieścić swe przybycie na plebanię, rytmicznie zastukałem kołatką i kilka razy nacisnąłem dzwonek. Bulgoczący po ulewie trawnik zaścielały odchody dżdżownic, niby wyciśnięte pryszcze, a po murze wspinały się pomrowy. Kapało z dachu ganku. Kapało mi z kaptura. Mama pojechała dziś do Cheltenham, spotkać się z budowniczymi, więc powiedziałem tacie, że prawdopodobnie („prawdopodobnie” to słowo z wyrzutnią ratunkową) pójdę do Alastaira Nurtona pobawić się elektronicznymi pancernikami. Od czasu afery z panem Blake'em rodzice uważają, że Dean Moran ma na mnie zły wpływ.

Przyjechałem na rowerze, bo gdyby się okazało, że nikogo nie ma, w każdej chwili mogłem wybrać się gdzie indziej. Wędrując pieszo, człowiek zawsze musi się liczyć z tym, że zostanie przyłapany oraz przesłuchany. Dziś jednak wszyscy oglądali w telewizji pojedynek Jimmy'ego Connorsa z Johnem McEnroe'em. (U nas pada, a w Wimbledon świeci słońce). Owinięta w dwie reklamówki Marks & Spencer *Les Grand Meaulnes* wraz z tłumaczeniem schowałem pod koszulą. Wieki mi zajęła ta robota. Co drugiego wyrazu musiałem szukać w słowniku. Aż Julia się zorientowała, bo wczoraj usłyszałem: „Zdawało mi się, że przed końcem semestru nikt się za bardzo nie przejmuje nauką”. Odparłem, że chcę odrobić zadania na wakacje, żeby potem mieć to z głowy. Dziwne, ale jak już się rozkręciłem, w ogóle nie czułem tych wieków. Było to milion razy ciekawsze od drugiej części *Youpla boum! Le français pour tous (metoda francuska)* o Manuelu, Claudette, Marie-France oraz *monsieur et madame Berri*. Z początku chciałem poprosić naszą nauczycielkę francuskiego, panią Wyche, żeby mi sprawdziła przekład. Lecz gdyby później przypięto mi łatę kujona z okazji wzorowej nauki przedmiotu tak dziewczynskiego jak francuski – musiałbym się pożegnać z i tak już niepewną pozycją członka warstwy średniej.

Tłumaczenie to na poły pisanie wierszy i rozwiązywanie krzyżówki; nie ma mowy o żartach. Masy wyrazów nie można znaleźć w słowniku, bo są to takie, spajające zdania, łączniki gramatyczne. Trzeba nieźle pogłótkować, nim się człowiek połapie, co znaczą, ale gdy już się połapie, to potem idzie bez problemu. *Le Grand Meaulnes* opowiada o takim chłopaku, Augustynie Meaulnesie. Augustin Meaulnes ma jakby taką aurę, jak Nick Yew, która działa na otoczenie. Zamieszkuje w internacie wraz z synem jednego z nauczycieli, o imieniu François. I ten François to wszystko opowiada. Jeszcze nie widzimy Meaulnesa, a już z pokoju piętro wyżej dochodzi odgłos jego kroków. Genialne. Postanowiłem poprosić madame Crommelynck, aby uczyła mnie francuskiego. Ale tak porządnie, nie jak w szkole. Już nawet się rozmarzyłem o wyjeździe do Francji, po końcowych

egzaminach. Francuski pocałunek polega na stykaniu się językami.

Kamerdyner guzdrał się przeraźliwie. Jeszcze gorzej niż ostatnio.

Nie mogąc doczekać się swej świetlanej przyszłości, jeszcze raz nacisnąłem dzwonek.

Nagle otworzył mi jakiś różowawy facet w czerni.

— Wit-tam.

— Witam.

Deszcz wzmógł się lekko.

— Jest pan nowym kamerdynerem?

— Kamerdynerem? – zaśmiał się różowawy. – Niech Bóg broni! A to kawał! Nazywam się Francis Bendincks. Jestem pastorem w parafii Świętego Gabriela – dopiero teraz spostrzegłem koloratkę. – A ty...?

— Ja z wizytą. Do madame Crommelynck...

— Francis! – skrzyp, skrzyp, skrzyp; odgłos kroków (w butach, nie w pantoflach) na drewnianych schodach i nie znoszący sprzeciwu damski głos. – Jeżeli to znowu ci z telekomunikacji, powiedz, że przeszukałam dom od piwnicy aż po dach, ale, zdaje się, wywieźli gdzieś telewizor... – spostrzegła mnie.

— Kawaler przyszedł do Evy – oznajmił jej pastor.

— Może by więc kawaler wszedł do środka. I choć przeczekał tę ulewę.

W sieni było dziś ponuro jak w podwodnej pieczarze. Niebieska gitara łuszczyła się jak skóra dotknięta chorobą. W żółtych ramkach – umierająca kobieta z dłonią bezwładnie zanurzoną w wodzie.

— Dzięki – udało mi się wykrztusić. – Jestem umówiony z madame Crommelynck.

— Ciekawe, w jakim celu? – pytanie pastora zabrzmiało jak szturchnięcie. – Ach! Pewnie jesteś najmłodszym Marjorie Bishampton; chodzi ci o ten konkurs poprawnej pisowni, prawda?

— Nie – wcale nie miałem zamiaru się przedstawiać.

— A więc? – jej uśmiech był jak doczepiony. – Jak się nazywasz?

— Yyy, Jason.

— Jason...?

— Taylor.

— To mi coś przypomina, zaraz, zaraz... Kingfisher Meadows! Najmłodszy Heleny Taylorowej. Sąsiedzi biednej pani Castle. Ojciec – gruba ryba w Greenland Supermarkets, racja? Siostra wybiera się do Edynburga. Matkę poznałam na wystawie, w naszej świetlicy, w zeszłym roku. Zachwycała się olejnym widokiem zamku Eastnor, choć, przykro to powiedzieć, później już się nie pokazała. Połowę zysków przekazaliśmy Pomocy Chrześcijańskiej.

Nie miałem zamiaru jej przeproszać.

— No cóż, Jasonie – odezwał się pastor. – Pani Crommelynck została wezwana w pilnej sprawie. Nagle.

Jejku.

— A wróci... (Pastorowa podziałała na mnie alergicznie, bo znów zacząłem się jąkać i utknąłem przed „niedługo”).

— Niedługo? – wzrok pastora wyrażał coś w stylu: „mnie nie zamydlisz oczu”, aż się przeraziłem. – Raczej nie! Koniec z nimi, wreszcie! Stało się to...

— Gwendolin... – pastor podniósł rękę nieśmiało jak uczeń. (Nazwisko „Gwendolin Bendincks” było mi znane z parafialnej gazetki. Połowa tekstów to jej dzieło). – To chyba niezbyt stosowne, żebyśmy...

— Dajże spokój! Do wieczora rozejdzie się po całej wiosce. Prawda ujrzy światło dzienne. Jasonie, mamy ci do zakomunikowania pewną straszną nowinę – oczy Gwendolin Bendincks rozbłysły niczym kolorowe lampki. – Crommelynckowie dostali nakaz ekstradycji!

Nie całkiem zrozumiałem, co to znaczy.

— Są aresztowani?

— Jakże mi miło to potwierdzić! Krokiem defiladowym odmaszerowali do Bonn, pod eskortą zachodnioniemieckiej

policji! Dziś rano dzwonił ich adwokat. Nie zgodził się podać mi powodu deportacji, ale... kojarząc pewne fakty... pół roku temu mężulek zwolnił się z posady w Bundesbanku... jakiś tam finansowy przekręt... Malwersacja. Przekupstwo. W Niemczech to ostatnio bardzo częste...

— Gwendolin – pastor uśmiechnął się niepewnie. – Chyba trochę za wcześnie tak...

— Przypomnij sobie, jak kiedyś wspomniała o kilkuletnim pobycie w Berlinie. Kto wie, czy nie była szpiegiem Układu Warszawskiego? Mówiłam ci, Francis; od samego początku czułam, że jakoś tak nienormalnie zajmują się prawie tylko sobą!

— No, ale może są... (Przez Kata przytknęło mnie na „niewinni”).

— „Niewinni”? – skrzywiła się Gwendolin Bendincks. – Przecież minister spraw wewnętrznych nie zgodziłby się na interwencję tych z Interpolu, gdyby nie był przekonany o ich winie, prawda? Jak ja to mówię, niepomyślne wiatry... Wreszcie będziemy mogli urządzać festyny na trawniku.

— A ich – zapytałem – kamerdyner?

Przez pełne dwie sekundy Gwendolin Bendincks była całkowicie zbита z tropu.

— Kamerdyner? Francis! Jaki kamerdyner?!

— Grigoire i Eva – odpowiedział pastor – nie mieli kamerdynera. Zapewniam cię, chłopcze.

No jasne; ale ze mnie tłuczek!

Mąż był kamerdynierem.

— Coś mi się pomyliło – powiedziałem, zmieszany. – Chyba już sobie pójdę.

— Jeszcze nie! – Gwendolin Bendincks nie w głowie było się żegnać. – Zmokłeś do suchej nitki! Powiedz, co cię łączyło z Evą Crommelynck?

— Była jak gdyby moją nauczycielką.

— Co ty powiesz? A czego to niby miałyby cię uczyć?

— Yyy... – nie przyznałbym się, że poezji. – Francuskiego.

— Jak miło! Pamiętam swe pierwsze lato we Francji. Miałam

wtedy bodaj dziewiętnaście lat. A może dwadzieścia. Ciotka zabrała mnie do Avignon, wiesz, z tej piosenki o tańcu na mostach. Angielska mademoiselle wywołała wśród miejscowych wielkie poruszenie...

Państwo Crommelynck w tej chwili pewnie siedzą zamknięci w niemieckim areszcie. I pani Crommelynck nie w głowie trzynastoletni jąkała z zapadłej dziury w Anglii. Już nie ma solarium. Moje wiersze są do dupy. Czy to zresztą dziwne? Mam trzynaście lat. Co ja mogę wiedzieć o Pięknie i Prawdzie? Lepiej pogrzebać Eliota Bolivara, niech nie wytwarza więcej tego szmelcu. Ja miałbym się uczyć francuskiego? Chyba mnie pokopało. Rany, Gwendolin Bendincks trajkocze jak pięćdziesiąt telewizorów naraz. Pod naporem niesłychanej głębi jej słownictwa gnie się czasoprzestrzeń. Samotność jak cegła w duszy osiąga graniczne tempo. Mam ochotę na lemoniadę i toblerone, ale w niedzielę sklep pana Rhydda jest zamknięty.

W niedzielę Black Swan Green zamknięte.

Jak i ta cała popieprzona Anglia.

Pamiętki

— Czyli ja mam harować – tato wykrzywił się, by dokładnie zgolić zarost wokół ust – w dusznym pokoju konferencyjnym omawiać sklepowe promocje z gromadą... – wystawił podbródek, którego ogolenie zawsze było najtrudniejsze – Einsteinów, a ty sobie będziesz spacerował po Lyme Regis i to jeszcze w słońcu. Niektórym to się wiedzie całkiem nieźle, hmm? – wyłączył maszynkę.

— No, tak...

Z okna rozciągał się widok na dachy, aż po taką śmieszoną zatoczkę. Mewy nurkowały, krzycząc jak messerschmitty i spitfiry. Parne popołudnie nad kanałem La Manche miało barwę turkusową jak szampon Head and Shoulders.

— Dopiero się wybyczysz! – tato fałszywie zanucił „Jak lubię być nad morzem”. (Przez uchylone drzwi łazienki zobaczyłem w lustrze odbicie jego torsu; właśnie wkładał ażurowy podkoszulek i świeżo uprasowaną koszulę. Klatę ma tak owłosioną, jakby mu ktoś tam zasiał rzezuchę). – Tak chciałbym teraz mieć trzynaście lat!

„Jak widać – pomyślałem sobie – już zapomniałeś, jak to jest...”

Tato wyjął z portfela trzy banknoty jednofuntowe. Po chwili wahania wyciągnął jeszcze dwa i – wychyliwszy się z łazienki – położył pieniądze na komodzie.

— Masz tu na drobne wydatki.

Aż pięć funciaków!

— Dzięki, tato!

- Ale żebyś mi nie grał na automatach.
- Wiadomo – odpowiedziałem, nim tato zdążył objąć zakazem wesołe miasteczko. – Bez sensu trwonić tak gotówkę.
- Cieszę się, że tak myślisz. Hazard to rozrywka dla idiotów. Czy już – spojrział na roleksa – za dwadzieścia druga? Zerknąłem na casio.
- Tak.
- Widzę, że w ogóle nie nosisz omegi po dziadku...?
- Żeby, yyy... – po raz milionowy poczułem wyrzuty sumienia – ...żeby go przypadkiem nie uszkodzić.
- I poniekąd słusznie. Ale z drugiej strony, szkoda, że nigdy go nie nosisz. Bo, na dobrą sprawę, dziadek mógł go oddać do sklepu Oxfamu. No nic. Kończę spotkanie o piątej – i wtedy się widzimy. TU, w pokoju. Najpierw coś zjemy w jakiejś miłej knajpce, a potem, o ile recepcjonistka się nie omyliła, pójdziemy sobie obejrzeć *Rydwany ognia*. Może byś poszukał, gdzie to kino, co? Lyme jest mniejsze od Malvern. Gdybyś się przypadkiem zgubił, pytaj o hotel Excalibur. Jak z Króla Artura. Słuchasz ty mnie, Jason?

W Lyme Regis aż się kotłowało od turystów. Zapachy olejku do opalania, hamburgerów i karmelu... Wetknąwszy w kieszeń džinsów usmarkaną chustkę do nosa – na pohybel kieszonkowcom – ruszyłem główną ulicą. Obejrzałem plakaty w witrynach Bootsa i w księgarni WH Smith, za czterdzieści pensów kupiłem letnie wydanie „2000 A.D.” Zwinąłem je i wsunąłem do tylnej kieszonki. Cały czas ssałem miętówki, na wypadek poznania opalanej dziewczyny, która by mnie zaprosiła na piąterko jednego z tych zapadających się domów, gdzie na kalenicy krzyczą mewy – i zasunąwszy story, pchnęła mnie na łóżko, aby mi pokazać, jak się całuje. Pastylki miętowe Imperials z początku są twarde jak kamień, ale po pewnym czasie rozpływają się w cukrową breję. W witrynach sklepów jubilerskich wypatrywałem omegi seamaster, ale jak zwykle nigdzie nie mieli zegarka tego typu. Jakiś człowiek poradził mi, żebym się rozejrzył po sklepach z antykami. W papierniczym

spędziłem całe wieki, zapatrzony jak w transie w przeróżne kapitalne notatniki. Kupiłem letraset oraz kasetę C-60 TDK, żeby w niedzielę nagrać sobie z radia najlepsze piosenki z listy Top 40. W pobliżu zatoki kręciły się grupki modsów, rockersów, punków i nawet paru teddy boys. Tych ostatnich w miastach się już nie spotyka. Lyme Regis słynie ze skamielin, bo są tu wybrzeża klifowe. Sklep ze skamielinami jest cudowny. Można w nim kupić konchy z czerwonymi żaróweczkami, ale kosztują aż cztery siedemdziesiąt pięć, a poza tym byłoby głupio przepuścić wszystko na jedną pamiątkę. (Tak że kupiłem tylko zestaw trzynastu pocztówek z dinozaurami. Na każdej jest inny, ale gdy ułożyć je koło siebie, od końca do końca, tło łączy się, tworząc taki jakby szlaczek. Moran na pewno będzie mi zazdrościł). Sklepy z pierdołami są pełne dmuchanych ośmiornic, latawców, przeróżnych wiaderek i szufelek. Widziałem też taki długopis. Kiedy odwróci się go do góry nogami, zjeżdża kolorowy pasek, odsłaniając nagą kobietę z pupą jak dwa pociski. Gdy pasek zjechał aż do pępka, usłyszałem:

— Kupujesz czy nie kupujesz, synku?

Obserwacja paska pochłonęła mnie bez reszty.

— Ej! Pytam się, czy kupujesz? – słowa te były skierowane do mnie. Sklepikarz obracał w ustach kuleczkę białej gumy. Na tiszercie miał ogromnego fiuta, goniącego za taką jakby włochatą ostrygą, i hasło: „JEDNO SIĘ BEZ DRUGIEGO NIE OBEJDZIE”. (Do dziś go nie rozgryzłem). – Czy chcesz się podniecać za darmochę?

Niezdarnie wetknąłem długopis z powrotem w otwór na stojaku i smażąc się w ogniu wstydu, wybiegłem ze sklepu.

— Zastrany zbrojeńcu! – krzyknął za mną sklepikarz. – Kup ty sobie lepiej świerszczyk!

PARK ROZRYWKI NAJŚMIELSZE MARZENIA LYME REGIS jest tak jakby wbudowany w zbocze przy nadbrzeżnej ulicy. Ponurzy krępi goście, każdy z papierosem w ustach, grali w tę taką grę, w której prawdziwymi pieniędzmi obstawia się plastikowe konie wyścigowe, biegające wokół toru. Tor jest osłonięty szkłem, żeby

nie można było podpsuć któregoś konia przed gonitwą. W specjalnie wydzielonym miejscu grały w bingo ponure krępe baby, każda z papierosem w ustach; liczby wykrzykiwał debilnie wyszczerzony facet w połyskliwej kurtce. Ustawione w nieco zacienionym miejscu automaty błyskały oślepiająco w takt elektronicznej muzyki Jeana Michela Jarre'a. Patrzyłem, jak dzieciaki grają w pacmana, Scrambler, Frogger i RACER Grand Prix. Asteroidy były zepsute. Jest też taka nowa gra, w której walczy się z gigantycznymi końmi robotami z *Imperium kontratakuje*, ale jedna kolejka kosztuje aż pięćdziesiąt pensów. W budce, u troglodyty czytającego „KE-RRRANG!”^[5] wymieniłem banknot jednofuntowy na dziesięciopensówki.

Monety grzechotały w zaciśniętej pięści jak zaczarowane kule.

Wpierw Najeźdźcy z Kosmosu. Metoda Taylora polega na zestrzeleniu wroga przez obiektyw ze schronu i mordowaniu kosmitów z bezpiecznego stanowiska. Z początku metoda się sprawdzała, ale później jeden kosmita storpedował mnie w moim własnym schronie. Coś takiego nie zdarzyło mi się jeszcze nigdy. Strategia zawiodła i nie udało mi się wyczyścić nawet pierwszego poziomu.

Później postanowiłem pograć sobie w kung-fu. Byłem MegaThorem. Ale pod strasznymi ciosami Reksa Rockstera MegaThor tylko podskakiwał jak rażony prądem paralityk. Gry kung-fu z pewnością nigdy się nie przyjmą. Okropnie rozboleł mnie kciuk, choć Rex Rockster wyszedł z potyczki prawie bez szwanku.

Zachciało mi się też spróbować sił w Air Hockey. To gra, w której plastikowy krążek unosi się na poduszce powietrznej. Stale grają w to chłopaki w amerykańskich serialach. Tylko że w pojedynkę to w ogóle nie ma sensu. Stwierdziłem więc, że forszę, którą przegrałem w kung-fu, odzyskam na Kaskadzie Eldorado. Kaskada Eldorado to taka jakby konsolleta; monety dziesięciocentowe wtacza się na lustrzane półki skalne. Ruchome ściany spychają chwiejące się monety na półkę poniżej i każda dziesięciopensówka, która zleci z półki, należy się graczowi.

Miałem do zgarnięcia chyba z tonę forsy...

Ale, według mnie, te całe chwiejące się monety są poprzyklejane. Straciłem aż pięćdziesiąt pensów!

I nagle zobaczyłem przefajną dziewczynę.

Po czwartym rozbłysku atomowym z budki wyszły trzy dziewczyny. Już od Kaskady Eldorado nie spuszczałem z oczu sześciorga nóg i trzydziestu polakierowanych paznokci. Jak w *Aniołkach Charliego*, jedna była ciemnowłosa, ale bez podbródka; druga była jasną blondynką (z ekstra podbródkiem), a trzecia – miedziano-piegowata. Brunetka i blondynka lizały ciekące lody Cornetto. (Sprzedawane na stoisku tuż obok fotoautomatu). Stłoczone przy otworze, z którego wyskakują zdjęcia, obie zaczęły wykrzykiwać do maszyny nieśmieszne rozkazy w stylu: „Pospiesz się!”. Gdy w końcu je to znudziło, wtarabaniły się z powrotem do budki i – wymieniając się jedną parą słuchawek walkmana Sony – zaczęły wyśpiewywać *Hungry Like The Wolf* Duran Duran. Tymczasem ruda – oblizując loda na patyku – zajęła się studiowaniem lodowego menu. Pępek wyłaził jej spod bluzki.

Nie była aż taka fajna jak Dawn Madden, ale i tak podpłynąłem w jej kierunku, aby też sobie poczytać listę lodów. Magnes nie musi pojmować zjawiska przyciągania. Pachniała rozgrzanym piaskiem. Od samej jej bliskości zjeżyły się mi włoski na ramionach.

Wyjąłem koszulę ze spodni, osłaniając coraz większy wzwód.

— Jesz zooma? – O, rety; chyba się do niej odezwałem.

Spojrzała na mnie.

— No – wzniosłem się w powietrze. – Nic lepszego tu nie mają.

– Jej północnoangielski akcent był żywcem wzięty z serialu *Coronation Street*, kręconego w Manchesterze. – No, chyba że ktoś woli czekoladowe.

— Okay. Dzięki.

Kupiłem zooma od kogoś, kto zaraz wyleciał mi z pamięci.

— Też na wakacjach – przemówiła do mnie – czy tu mieszkasz?

— Na wakacjach.

— Jesteśmy z Blackburn – kiwnięciem głowy wskazała koleżanki, które jak na razie mnie nie zauważyły. – A ty?

— Yyy... z Black Swan Green – byłem tak przejęty, że nawet Kata gdzieś poniosło; niby to bez sensu, ale tak się zdarza.

— Skąd?

— To wioska. W Worcestershire.

— Worcestershire? To chyba jakieś zadupie?

— Taaa. Tak tam nudno, że nikt nie ma pojęcia, gdzie to jest.

A Blackburn leży na północy, prawda?

— No. Pewnie to Black Swan Green słynie z czarnych czy zielonych łabędzi, tak?

— Nie – co by tu powiedzieć, żeby się jej spodobało? – W ogóle nie ma tam łabędzi, nawet białych.

— A więc w Black Swan Green łabędzie nie mieszkają?

— Mhm. To jakby taki... lokalny żart.

— A! Całkiem zabawny, prawda?

— Dzięki – z pięciuset porów trysnęły krople potu.

— Przepięknie tutaj, co nie?

— No, pewno – straciłem wątek – że przepięknie.

— Jesz tego loda, czy jak?

Zoom przykleił się do palców. Chciałem zsunąć papierek, ale go tylko potargałem. Coś obrzydliwego.

— Zobacz, jak to się robi – lśnącymi rubinowo palcami wzięła ode mnie zooma i zerwała papier z czubka. Następnie ten goły czubek wsadziła sobie w usta i lekko dmuchnęła. Papierek wydał się jak balon i teraz już dał się zdjąć bez trudu. Sekretny wzwód był bliski eksplozji, od której z pewnością zginęliby wszyscy goście lunaparku. Upuszczając papierek, rudowłosa oddała mi loda.

— To „Smash Hits”? – chodziło jej o wystający mi z kieszeni letni numer „2000 A.D.”

Cholera jasna: żeby tylko!

— Sally! – podeszła do nas czarnula bez podbródka, którą znienawidziłem w jednej chwili. – Tylko mi nie mów, że już

zaczęłaś łowy...? (W budce, na krzeselku, zachichotała jasnowłosa, która nie spodobała mi się również). Za godzinę autobus. No, powiedz, jak ma na imię?

Sam jej musiałem odpowiedzieć:

— Jason.

— „Jason”! – wykrzyknęła słodko, aż do wyrzygania. – Coś takiego! Sebastian gra z Jasonem w polo na trawniku do krykieta! Proszę, proszę! Niemożliwe! Jason też ssie zooma, tak samo jak Sally! To dopiero parka! Masz gumeczki, Jason? Bo jak nasza Sally zechce utrzymać tempo, będą ci potrzebne już za pół godziny!

Zacząłem się miotać, w nadziei, że wpadnę na jakąś genialnie upokarzającą ripostę, na której bym się nie zająknął. Miotałem się tak i miotałem...

— A może u ciebie w szkole biologii się nie uczy?

— Wszędzie musisz pchać tę swoją tłustą gębę! – warknęła Sally. – Nie darujesz, prawda?

— Wyluzuj trochę, Sally, dobra?! Pytam tylko chłopaczka, czy orientuje się w tych sprawach. Kto wie, co taki wyprawia z kolegami pod prysznicem po wygranym meczu...

Wszystkie spojrzały na mnie, żeby zobaczyć, jak się będę bronił.

Zoom zalał mi nadgarstek.

— Ciekawe, Świnio jedna, czemu Tim męczył się z tobą tyle czasu? – Sally wzięła się pod boki. – Czemu cię nie puścił kantem wcześniej?

Kompletnie nie wiedząc, co począć, przywdziałem czapkę niewidkę.

— Jeśli chcesz wiedzieć, to ja go rzuciłam. Przynajmniej po rozstaniu ze mną mój chłopak nie zabrał się natychmiast za Wendy Lench!

— To kłamstwo, Melanie Pickett, i ty dobrze o tym wiesz!

— Pod płaszcami – prawie wyśpiewała Melanie Pickett – na imprezie u Shirley Poolbrook! Każdy, kto tam był, może ci to potwierdzić!

Zabrzęczał fotoautomat.

Jasna blondynka zachichotała:

— Zdjęcia chyba już gotowe...

Z salonu bingo wymaszerował cały batalion staruszek. Wmieszałem się w nie chyłkiem i pędem poleciałem do hotelu Excalibur. Chłopaki to dranie, ale łatwo ich przejrzeć. Co myślą dziewczyny, to niezgłębiona tajemnica. Dziewczyny są nie z tego świata.

Recepcjonistka z pszczelim ułem na głowie przekazała mi wieść od taty, że seminarium się przedłuża, więc wróci do hotelu nieco później. Koło recepcji kręcili się stażyści firmy Greenland, żartując i porównując swe notatki. Czułem się jak syn nauczyciela w pokoju nauczycielskim, więc zaraz postanowiłem udać się na górę. Tapetę zdobiły jajkowane żonkile, a dywan – rozmyte płatki. W telewizji nic tylko krykiet, do tego bez jednej bramki. I western, w którym nikt nikogo nie zastrzelił.

Rozłożony na łóżku, czytałem „2000 A.D.”

Nie przestając myśleć o tych trzech dziewczynach.

Dziewczyny i sympatie to bardzo trudny problem. Wychowanie seksualne zajmuje się wyłącznie robieniem oraz sposobami nierobienia dzieci. Tymczasem ja chciałbym się dowiedzieć, w jaki sposób zwyczajną dziewczynę, chociażby taką Sally z Blackburn, zmienić w sympatię, z którą można by się całować i to jeszcze tak, żeby to widzieli inni. Nie jestem pewien, czy tak do końca chciałbym odbyć stosunek płciowy, a już na pewno nie chciałbym mieć dzieci. Dzieci tylko srają i bez końca ryczą. Ale kiedy się nie ma dziewczyny, to albo jest się homo, albo łajzą, albo jednym i drugim naraz.

Melanie Pickett poniekąd miała rację. Nie mam pojęcia, czy wiem cokolwiek o tych sprawach. Dorosłych spytać się nie można, bo po prostu nie można. Chłopaków też nie, bo jeszcze przed pierwszą rozniosłoby się to po całej szkole. Więc albo wszyscy wiedzą wszystko, tylko nikt nic nie mówi, albo nikt nie wie nic i znajomości nawiązuje się tak jakby... przypadkowo.

Ktoś zastukał do drzwi.

— Jason – młody gościu miał na sobie metaliczny garnitur

i wzorzysty krawat. – Prawda?

— Prawda.

Komicznym gestem wskazał na swej piersi odznakę GREENLAND SUPERMARKETS, przedstawiając się głosem Jamesa Bonda:

— Nazywam się Lawlor... Danny Lawlor. Mike... twój ta... mój szef, chyba jeszcze o tym nie wspomniałem...? Kazał mi ci przekazać, że jest mu bardzo przykro, ale nadal jest zajęty. Bez ostrzeżenia postanowił nas odwiedzić Cesarz.

— Cesarz?

— Cesarz Greenland, Craig Salt. Ale nie mów ojcu, że go tak nazwałem. Craig Salt jest szefem twojego taty. I wszyscy kierownicy muszą się nim zajmować tak, jak do tego przywykł. Mike zaproponował, żebyśmy – ty i ja – wybrali się poszukać najlepszego kiosku z rybą z frytkami. Co ty na to?

— Teraz?

— Chyba że już masz umówioną jakąś super randkę.

— Nie...

— No, to fantastycznie. Zdażysz jeszcze obejrzeć te *Rydwany ognia*. Jak widzisz, moi informatorzy donoszą mi o wszystkim. Chwila, odepnę tylko tę idiotyczną odznakę... W końcu jestem człowiekiem, a nie wydrukowanym na drukarce Dymo samoprzylepnym paskiem liter...

— Tylko się tak nie wychylaj! – kiwając sobie nogami na nadbrzeżu, oglądaliśmy z Dannym meduzy. – Gdyby się mi tu teraz utopił jedyny męski potomek Michaela Taylora, z pewnością nie miałbym co marzyć o dalszej karierze.

Promienie słońca na falach to uśpione błyskotki.

— Gdyby się wpadło tutaj, od strony zatoki, to jeszcze nic. – Rzeźbiłem językiem puszystego lodu Mr Whippy. – Można by się wgramolić do którejś z tych łodzi rybackich. Ale gdyby człowiek wpadł do wody na pełnym morzu, toby go mogło wessać...

— Lepiej – Danny podwinął rękawy koszuli – nie wcielajmy w życie tej teorii.

— Świetne lody, dzięki. Jeszcze nigdy nie jadłem z dwoma

wafelkami. Zapłaciłeś ekstra?

— Nie. Lodziarz też jest z Corku. Wiesz, trzeba sobie pomagać. Ale życie, co? Toż to skończony sadyzm, żeby Greenland robiło szkolenie w takim fajnym miejscu...

— Co to znaczy: „sadyzm”?

— Nieuzasadnione okrucieństwo.

— Czemu (zauważyłem, że Danny lubi odpowiadać na pytania) ten wał nazywa się „Mewa”? Wszędzie czy tylko tu, w Lyme Regis?

— Jak widzisz, Jasonie, jednak nie jestem wszechwiedzący.

(Kiedy tato nie umie na coś odpowiedzieć, wypowiada co najmniej dziesięć zdań, żeby sobie udowodnić, że jednak zna odpowiedź).

Na plaży spokojne falki jak zamek błyskawiczny wolno zapinały i rozpinają morze. Mamy obmywały dzieciom stopy wodą z plastikowych wiader. Ojcowie rozkładali leżaki, wydając rozmaite polecenia.

— Znasz kogoś z IRY, Danny?

— Pytasz, bo jestem Irlandczykiem?

Kiwnąłem głową.

— Przykro mi, Jasonie, ale muszę cię niestety rozczarować. Radykalne skrzydło IRA jest najbardziej aktywne w Irlandii Północnej, na samej górze. Ja mieszkam sobie w Corku, w chacie krytej darnią, wraz z dobrym duszkiem o imieniu Mick, i uprawiam kartofle.

— Przepraszam, nie chciałem...

Danny uniósł dłoń w pokojowym geście.

— Wiedza o sprawach Irlandii nie jest najmocniejszą stroną Anglików. Naprawdę, nigdzie nie spotkasz przyjaźniejszych ludzi. Nawet na północnym krańcu. Strzelamy do siebie bardzo sporadycznie.

Lody spływały z rożka ślimaczymi smugami.

Nie mam bladego pojęcia, ile nie wiem.

— Spójrz na te latawce! Nie mieliśmy takich, kiedy byłem mały! – Danny zapatrzył się na dwa reklamowe latawce

o węzowatych ogonach ze wstążek. – Fantastyczne, prawda?

Od słońca musieliśmy zmrużyć oczy.

Czerwone ogony zapętały się na niebie, raz kreśląc, a raz wymazując swe podpisy.

— Faktycznie – przytaknąłem. – Są potężne.

— Jak się pracuje z moim tatą?

Do stolika w restauracji rybnej „Cap’n Scallywag” podeszła kelnerka z naszym zamówieniem. Danny odchylił się do tyłu, żeby nie dostać tacką w głowę.

— Michael Taylor... Niech pomyślę. Porządny... uczciwy, skrupulatny... nie cierpi idiotów... wie, kiedy trzeba mi nagadać, za co jestem mu niezmiernie wdzięczny... Starczy?

— Jasne – oblałem rybę ketchupem z dozownika w kształcie pomidora.

Śmieszne, słuchać tak o tacie jako o Michaelu Taylorze. Wzdłuż promenady rozbłysły cukierkowe światła.

— Smakuje ci, jak widzę.

— Uwielbiam rybę z frytkami. Dzięki.

— Stawia twój tato – Danny jadł kanapkę, którą zrobił sobie sam, zamawiając panierowane krewetki, sałatkę i pieczywo. – Muszę mu podziękować – przywołał pierwszą kelnerkę i poprosił o puszkę 7-Up. Biegiem przyniosła ją druga kelnerka, pytając, czy nam smakuje.

— Wspaniałe – odpowiedział Danny.

Kelnerka przybliżyła się do niego, tak jakby był kominkiem.

— Czy brat też się czegoś napije?

Danny mrugnął do mnie.

— Tango (radość wobec faktu, iż zostałem omyłkowo wzięty za brata Danny’ego, zmaćił nieco Kat, nie dając mi wypowiedzieć „7-Up”) proszę.

Napój przyniosła mi pierwsza kelnerka.

— Panowie na urlopie?

— W interesach – Danny tchnął w to nijakie słowo tajemnicę.

– W interesach.

Weszli nowi klienci i kelnerki musiały się nimi zająć.

Danny spojrzał na mnie z błyskiem w oku.

— Trzeba by założyć jakąś spółkę.

Z kuchni dochodziły wesołe okrzyki kucharzy i skwierczenie smażonych ryb.

W głośnikach zabrzmiał *One Step Beyond Madness*.

— Masz (bałem się spytać o dziewczynę) rodzeństwo?

— Zależy – Danny je spokojnie, bez pośpiechu – od punktu widzenia. Wychowałem się w sierocińcu.

Rany!

— Takim jak doktora Barnardo?

— Nie, to był taki jego katolicki odpowiednik. Więcej Jezusa w jadłospisie. Ale nie aż tyle, by to poczyniło trwałe zmiany w mózgu.

Musiałem przeżuć kęs ryby.

— Przykro mi.

— Niepotrzebnie – widać, że Danny był w takiej sytuacji milion razy. – Wcale mnie to nie żenuje. Więc ciebie tym bardziej nie powinno.

— Czyli – Julia i mama grzecznie zmieniłyby temat – że twoich rodziców spotkało coś złego...?

— Spotkali siebie i tyle. Podaj, proszę, ketchup. Żyją, i to nie najgorzej... O ile mi wiadomo, już nie są razem, ale czy to takie ważne? Parę prób z przybranymi rodzicami nie skończyło się szczęśliwie. Byłem, jak to się mówi, krnąbrnym dzieckiem. Aż w końcu państwo stwierdziło, że najlepiej będzie mi u jezuitów.

— Kto to taki?

— Jezuici? Szacowny zakon. Mnisi.

— Mnisi?

— Najprawdziwsi. Prowadzą sierociniec. Oczywiście trafiali się tam bigoci bez poczucia humoru, ale było też wielu natchnionych nauczycieli. Niejeden z nas, wychowanków, przebrnął przez studia, utrzymując się wyłącznie ze stypendium. Żywili nas, ubierali, zapewniali opiekę. W święta przychodził Mikołaj. Zabawa w każde urodziny. Raj, gdyby to porównać

z dorastaniem w slumsach Bangladeszu, Mombasy, Limy... czy kto wie, gdzie jeszcze. Uczono nas improwizacji, czego się wystrzegać w życiu i na co uważać. Wszystkiego, co przydaje się w biznesie. Naprawdę nie mam powodu, żeby się nad sobą rozczulać.

— I nigdy nie masz ochoty spotkać się z prawdziwymi rodzicami?

— Nie lubisz owijać w bawełnę, prawda, Jason? – Danny splótł ręce za głową. – Rodzice... W tej kwestii irlandzkie prawo jest cokolwiek mętne, ale rodzina mojej biologicznej matki mieszka w Sligo. Mają elegancki hotel czy coś takiego. Raz, byłem wtedy mniej więcej w twoim wieku, postanowiłem uciec, żeby ją odszukać. Dotarłem zaledwie do dworca autobusowego w Limericku.

— A co się stało?

— Grzmoty, błyskawice, grad, pioruny kuliste. Największa burza od lat. Mój autobus nie dojechał, bo gdzieś zawalił się most. A kiedy znowu wyszło słońce, straciłem poczucie rzeczywistości. I szybkim krokiem wróciłem do jezuitów.

— Miałeś nieprzyjemności?

— Wiesz, to był sierociniec, a nie obóz jeniecki.

— I... tyle?

— Mhm. Przynajmniej na razie – Danny zaczął balansować widelcem na kciuku. – Nam, to znaczy: sierotom... najbardziej brakuje... najbardziej byśmy pragnęli, czy jak to by jeszcze określić... najbardziej brak nam fotografii osób, do których jesteśmy podobni. I to pragnienie nie przemija nigdy. Pewnego pięknego dnia wybiorę się do Sligo, sprawdzić, czy nie mają paru takich zdjętek. Z teleobiektywem, żeby mi nie puściły nerwy. A jak chodzi o tak zwane wielkie życiowe... „kwestie”... z tym się nie będę spieszył. Do wszystkiego, Jasonie, człowiek musi dojrzeć. Zjesz kanapkę?

— Nie, dziękuję – gdy Danny opowiadał, podjąłem decyzję jakby mimo woli. – Chcę kupić taki latawiec; doradziłbyś mi?

Salą recepcyjną hotelu Excalibur zawładnęli bez reszty

praktykanci Greenland. Przebierając się z garniturów w jasnopopielate spodnie i luźne koszule. Gdy tam weszliśmy z Dannym, zaczęli na nas popatrywać z uśmiechem wyższości. Wiem, dlaczego. Opieka nad synem szefa to przecież zajęcie dla lizusa.

— Daniel spaniel! – wykrzyknął któryś, szczerząc się identycznie, jak to robi Ross Wilcox. – Przyszedłeś podejrzeć nocne ptaki Dorset?

— Wiggs – odciął mu się Danny – nie dość, że z ciebie ochlaptus i zbereźnik, to jeszcze oszukujesz w squashu. Znajdź mi takiego, który by się chciał pokazać publicznie z twoim trupem!

Facet był wyraźnie zachwycony.

— Jason, chcesz się przywitać – spytał Danny – z młodymi wilczkami Greenland?

Zanosił się na koszmar.

— Czy zamiast tego mógłbym pójść na górę i tam poczekać na tatę?

— Wcale ci się nie dziwię. Jak się pojawi, powiem mu, gdzie jesteś – Danny uściśnął mi rękę jak koledze. – Dzięki za towarzystwo. To co, widzimy się rano?

— Jasne.

— Żeby ci się film spodobał!

Odebrałem klucz i – nie czekając na windę – popędziłem do pokoju. W głowie grała mi muzyka Vangelisa z *Rydwanów ognia*, tak bardzo i jak najprędzej chciałem wyrzucić z pamięci Wiggsa oraz młodych pracowników Greenland. Wszystkich oprócz Danny'ego. Danny jest wdechowy.

Radio z budzikiem wskazywało dziewiętnastą piętnaście, ale tato wciąż nie wracał. Na plakacie było napisane, że *Rydwany ognia* zaczynają się wpół do ósmej. Żeby zaimponować tacie, zapamiętałem sobie całutką trasę do kina. Dziewiętnasta dwadzieścia pięć. Tato nie zapomina, kiedy się z kimś umówi. Przyjdzie na sto procent. Nie zdążymy na reklamy i zajawki, ale za to miejsca wskaże nam pani z latarką. Dziewiętnasta

dwadzieścia osiem. Może powinienem zejść na dół i jednak mu się przypomnieć? Stwierdziłem, że to bez sensu, bo moglibyśmy się minąć. I wszystko byłoby na mnie, że się nie trzymam planu. Dziewiętnasta trzydzieści. Trzeba by trochę pogłówkować, o co chodzi, ale i tak spokojnie dałoby się obejrzeć film. O dziewiętnastej trzydzieści pięć za drzwiami dały się słyszeć ciężkie kroki taty.

— Zbieraj się! – krzyknie, wpadając do pokoju. – W drogę!

Hałaśliwe kroki oddaliły się. I więcej nie wróciły.

Pod wieczór jajkowane żonkile na tapecie przybrały barwę szarej skamieliny. Nie zapaliłem światła. Raz po raz dobiegał mnie upiorny śmiech. We wszystkich pubach w okolicy podkręcili muzykę. W sumie można by trochę pooglądać telewizję, bo to przecież sobotni wieczór, ale tato poczułby się bardziej winny, gdyby mnie tu zastał w całkowitej ciszy. Rozmyślałem, co w tej chwili porabia Sally z wesołego miasteczka. Pewno się całuje. Pewno jakiś chłopak pieści tę mięciutką goliznę pomiędzy džinsami i bluzką. Ktoś taki, jak Gary Drake, Neal Brose albo Duncan Priest. Wspomnienie jej okazało się tak nikłe, że dla zabicia czasu postanowiłem ją wymyślić. Wyrzeźbiłem jej piersi na podobieństwo Debby Crombie. Obdarzyłem jedwabistymi włosami Kate Alfrick, lekko zakręconymi ponad nagim karkiem. Zrobiłem jej też doskonałą transplantację twarzy Dawn Madden, pamiętając o tych sadystycznych oczach. Do tego – cokolwiek zadarty nos madame Crommelynck. I usta Debbie Harry, barwy malinowego kremu.

Sally: nieznana dziewczyna z wycinanek.

Gdyby tato się domyślił, że chcę go wpędzić w poczucie winy, miałby świetną wymówkę, żeby do tego nie dopuścić. Więc po dziewiątej włączyłem lampkę na stoliku i czytałem sobie *Wodnikowe wzgórze*. Do tego miejsca, w którym Bigwig stawia czoło generałowi Woundwortowi. Ćmy tłukły się o szybę. Różne owady pełzały po szkle jak łyżwiarze na lodowisku. Zachrobotał klucz i – potykając się – wkroczył do pokoju tato.

— O, Jason, tutaj jesteś.

„A niby gdzie miałbym być?” – nie odważyłem się na tę replikę.

Nie zauważył, że się dąsam.

— Musimy przełożyć te *Rydwany pędu* – głos taty był stanowczo za donośny. – W połowie seminarium objawił się Craig Salt.

— Wiem od Danny’ego Lawlora – powiedziałem.

— Craig Salt ma jacht tu niedaleko, w Poole, no i przyjechał autem, żeby przemówić do swej armii. Niestety, ale nie mogłem, ot, tak sobie, wyskoczyć z tobą do kina.

— W porządku – odpowiedziałem najbardziej stanowczym z tonów mamy.

— Zjadłeś kolację z Dannym, tak?

— Tak.

— W pracy czasami trzeba się poświęcić. Craig Salt zaprosił kierowników gdzieś w okolice Charmouth, więc pewnie już będziesz spał, kiedy... – tato spostrzegł, oparty o kaloryfer, latawiec. – Na cóż to wydajesz kieszonkowe...?

Co tylko bym sobie kupił, tato zawsze się przyczepi. Jeśli tylko mój zakup nie jest tajwańską tandetą, zawsze słyszę, że przepłaciłem za coś, co przyda mi się najwyżej dwa razy. Jeśli nie widzi problemu, to niewątpliwie go stworzy, jak wtedy, gdy kupiłem kalkomanie BMX na rower – zrobił wielki dramat z szukania formularzy ubezpieczeniowych i przerabiania w nich rubryki „opis”. Ja nigdy nie krytykuję jego wydatków.

— Na latawiec.

— I to jeszcze jaki... – tato już rozpakował latawiec. – Cudo! Danny pomógł ci wybrać?

— Tak – nie miałem zamiaru cieszyć się jego radością. – Trochę.

— Kto by się spodziewał, że kupisz latawiec – tato obejrzał szkielec. – Wstajemy, nim wzejdzie słońce! Trzeba go wypróbować nad morzem! Tylko ja i ty, dobra? Zanim ci straszni turyści zajmą całą plażę, dobra?

— Dobrze, tato.

— Przed świtem!

Rozeźlony, wziąłem się do mycia zębów.

Rodzice mogą się na mnie wściekać, ironizować, wkurzać, ile wlezie, ale kiedy mnie zdarzy się okazać chociażby cień złości, reagują tak, jakbym był mordercą noworodków. I tego w nich nie cierpię. Ale też mam sobie za złe, że nigdy nie umiem się postawić tacie, tak jak Julia. A więc nie cierpię w nich tego, że przez nich wnerwiam się na siebie. Dziecko nie ma prawa się skarżyć, że jest traktowane niesprawiedliwie, bo przecież wiadomo, że na to narzekają wszystkie dzieci. „Całe życie, Jasonie, jest niesprawiedliwe; im szybciej to zrozumiesz, tym lepiej”. Tyle. Sprawa załatwiona. Tylko dlaczego mamie z tatą wolno dane mi obietnice spuszczać jak wodę w klopie?

Bo życie, Jasonie, jest niesprawiedliwe.

Mój wzrok padł na elektryczną maszynkę do golenia taty.

Wziąłem ją, ot, tak sobie. Wpasowała się w dłoń jak rączka świetlnego miecza.

„Włącz – szepnął, zaczajony w łazience, Nienarodzony Bliźniak. – Śmiało”.

Maszynka ożyła, wprawiając w drżenie całe ciało.

Na pewno dostanie mi się od taty. Zakaz dotykania golarki wydaje się tak oczywisty, że tato nigdy nawet nie wspomina, abym tego nie robił. Ale tato nie zadał sobie nawet trudu, żeby mnie wysłać na *Rydwany ognia* samego. Zbliżyłem maszynkę do puszku nad górną wargą... jeszcze trochę...

Ugryzła mnie!

I została wyłączona.

O, rany. Nad wargą został śmieszny łysy placek.

„Coś ty narobił?” – usłyszałem od Robała.

Nad ranem tato na pewno zauważy zmianę, tak że mój niecny występki niewątpliwie wyjdzie na jaw. Pozostało mi więc zgolić cały meszek. Co tato spostrzeże na sto procent...

Nie miałem jednak nic do stracenia. Maszynka łaskotała. W skali od zera do dziesięciu – na trójkę.

I trochę też to bolało. W skali od zera do dziesięciu – na 1 i 1/4.

Spanikowany, przyjrzałem się rezultatowi. Twarz wyglądała inaczej, ale trudno by właściwie stwierdzić, co się w niej zmieniło.

Przesunąłem palcem w miejscu, gdzie przed chwilą miałem meszek.

Tak gładkie nie jest chyba nawet masło.

Przypadkowo otworzyłem osłonę ostrza. Do umywalki z białej porcelany posypały się: twarde włoski taty i mój prawie niewidoczny puszek.

Kiedy położyłem się na brzuchu, przednie żebra dźgały mnie w plecy.

Spragniony, zamarzyłem o szklance wody.

Wziąłem szklanekę wody. Woda w Lyme Regis ma posmak papieru. Na boku też nie mogłem zasnąć. Pęcherz napęczniał jak balon.

Sikałem i sikałem, myśląc, czy bardziej podobałbym się dziewczynom, gdybym miał więcej blizn. (Mam tylko taki rowek, na kciuku, po ugryzieniu świnki morskiej mojego kuzyna Nigela. Stało się to, kiedy miałem dziewięć lat. Mój kuzyn Hugo oznajmił, że świnka jest chora na zapalenie błony śluzowej. Uwierzyłem. I nawet napisałem testament. Blizna już prawie zeszła, ale z rany tryskało, jak ze wstrząśniętej puszki lemoniady wiśniowej).

Gdy ułożyłem się na plecach, tylne żebra zaczęły się wrzynać w klatkę piersiową.

Było mi za gorąco, więc ściągnąłem bluzkę od piżamy.

Było mi za zimno, więc włożyłem ją znowu.

Kino pewnie już pustoszeje po *Rydwanach ognia*. Pani z latarką chodzi teraz wzdłuż rzędów, zbierając do worka na śmieci różki po popcornie, opakowania po gumie owocowej i puste torebki po cukierkach. Sally z Blackburn wraz z nowym chłopakiem wychodzą, zachwycając się filmem, choć cały czas pieścili się i całowali. Chłopak chce zabrać Sally do dyskoteki, ale ona na to: „Nie. Chodźmy do przyczepy. Koleżanki wrócą późno”.

Szkieletem hotelu Excalibur wstrząsnął ten taki numer UB40 – *One In Ten*.

W księżycowym świetle zaczęły mi się kleić oczy.

Czas zmienił się w melasę.

— Żeby, cholera jasna, szlag trafił tego cholernego Craiga Salta, cholernika!!!

Tato padł na dywan.

Nie dałem mu poznać, że mnie zbudził – z dwu powodów: a) jeszcze nie byłem gotów mu wybaczyć; b) w oparach alkoholu i tytoniu tłukł się po pokoju jak świśnięty, więc skoro czekała mnie bura za korzystanie z maszynki, lepiej przenieść ją na rano. Dean Moran ma rację. Widok urzęniętego taty jest strasznie deprymujący.

Tato przeniósł się do łazienki takim krokiem, jakby w ogóle nie istniała grawitacja. Usłyszałem, jak rozpina spodnie. Chciał się wysikać po cichu, po bokach klozetu.

Mocz zabębnił o posadzkę.

Po sekundzie wahania tato z wielkim pluskiem skierował strumień tam, gdzie trzeba.

Sikanie trwało czterdzieści trzy sekundy. (Mój rekord to pięćdziesiąt dwie).

Tato wyciągnął kilometr papieru toaletowego, aby zetrzeć rozlewisko.

Następnie wlaż pod prysznic.

Po bodaj minucie usłyszałem trzask, jakby coś się rozdarło: „ping-ping-ping-ping-ping”, huk oraz warknięcie: „...jasssna!”.

Ciut rozchyliłem powieki i o mało nie wrzasnąłem z przerażenia.

W otwartych drzwiach łazienki stał tato z głową w turbanie z szamponu, dzierżąc złamaną szynę prysznicowej zasłonki. Zupełnie nagi, z tym że w miejscu, gdzie ja mam fiutka, tacie dynda jakby tłusty woli ogon. Niebypwał!

Włosy łonowe ma gęste jak broda bizona! (Ja mam tylko dziewięć).

W życiu nie widziałem czegoś równie paskudnego.

Zaśnięcie przy wtórze chrapnięć i bulgotania taty jest po prostu niemożliwe. Nic dziwnego, że rodzice śpią

w osobnych pokojach. Wstrząs wywołany interesem taty pomału przechodzi. Tak jakby. Ale czy grozi mi obudzenie się pewnego ranka z taką cumą między nogami? Strach mnie ogarnia na myśl, że przed czternastoma laty plemnik, który stał się mną, wystrzelił z czegoś takiego.

Czy i ja zostanę kiedyś ojcem? Czy w głębi mego jestestwa czają się już przyszli ludzie? Nawet nie miałem wytrysku; tylko raz we śnie o Dawn Madden. Która dziewczyna będzie nosić w sobie drugą połowę mojego dzieciaka, ukrytą pośród wszystkich tych zawitych splotów? Co teraz robi i jak ma na imię?

W tej chwili się z tym nie uporam.

Tato pewno obudzi się na kacu.

Dzisiaj rano.

Jakie jest prawdopodobieństwo, że o wschodzie słońca nad morzem puścimy latawiec?

Zerowe, totalnie zerowe.

— Wieje na północ – tato musiał krzyczeć – znad Normandii, później nad kanałem La Manche, wali prosto w klify, no i hopla, mamy ciepły wydmuch! Idealny dla latawców!

— Kapitalnie! – odwrzasnąłem.

— Głęboko wdychaj to powietrze, Jason! Pomaga na katar sienny! Morskie powietrze jest napompowane ozonem!

Szpułę zaanektował tato, mogłem więc sięgnąć po następnego gorącego pączka z dżemem.

— Żołnierz musi się wzmocnić, co?

Odpowiedziałem uśmiechem. Wstać jeszcze przed świtem to potęga. Czerwony seter przeskakiwał falki w pogoni za gromadą niewidzialnych psów. Skalne urwiska ciągnące się w stronę Charmouth ociekały żółcią. Słońce skryło się za brudnymi chmurami, ale dziś wiatr wiał sto razy silniej, jakbyśmy go specjalnie zamówili.

Tato coś wykrzyknął.

— Co?

— Latawiec! Tło zlewa się z chmurami! Wygląda jak latający

smok! Ale miałeś oko! Już wiem, jak zrobić podwójną pętlę! – Na zdjęciach tato nigdy tak się nie uśmiecha. – Zobacz: jak podniebny władca! – Trochę się przybliżył, żeby tak nie krzyknąć. – Gdy byłem w twoim wieku, któregoś popołudnia tato zabrał mnie do Zatoki Morecambe... w Grange-over-Sands... na puszczanie latawców. Wtedy robiło się je samodzielnie... Bambus, kawał tapety, sznurek, wieczka z butelek po mleku, no, wiesz, na ogon...

— Nauczyłbyś mnie (Kat przyblokował „kiedyś”), jak ci czas pozwoli?

— Jasne. Hej! Umiesz wysyłać latawcowe depesze?

— Nie.

— Dobra, potrzymaj go moment... – tato podał mi szpulę i wydobył z kurtki długopis. Następnie z paczki papierosów wyciągnął ten taki złoty papierek. Nie miał się na czym wesprzeć, więc ukląkł przed nim jak giermek pasowany na rycerza. – Jaką wieść pošlemy? – spytał, opierając się na moich plecach.

— „Mamo i Julio, szkoda, że was tutaj nie ma”.

— Jak sobie życzysz – tato przyciskał tak mocno, że przez ubranie czułem każdą literę. – Wstawaj. – Obwinął złoty papierek wokół liny latawca. – Rozhuśtaj go. O, właśnie. W górę i w dół... o to chodzi.

Wbrew wszelkim prawom ciężenia, telegram zaczął powoli sunąć w górę liny. Po chwili znikł nam z oczu. Ale wiadomość na sto procent poszła w świat.

— *Lytoceras fimbriatum*.

Zerknąłem na tatę, zupełnie nie wiedząc, o czym mówi. Rozstąpiliśmy się trochę, aby dychawiczny właściciel sklepu ze skamielinami mógł wywlec „koziołka” na chodnik.

— *Lytoceras fimbriatum* – tato skinął głową, patrząc na kamienną spiralę w mojej ręce. – To nazwa łacińska. Rodzina amonitów. Poznać po ściśle ułożonych żebrach, no i tych zgrubieniach co kawałek...

— Masz rację! – odcyfrowałem mikroskopijny napis na półce. – *Ly-to-ce-ras...*

— *Fimbriatum*. Ciekawe, że się nie mylę.

— Odkąd to znasz się na skamielinach i łacińskich nazwach?

— Mój tato był niedzielnym zbieraczem. I nieraz pozwalała mi katalogować swe okazy. Pod warunkiem, że się jak należy zapoznam z ich nazewnictwem. Dziś oczywiście już prawie wszystko zapomniałem, ale *Lytoceras* taty był olbrzymi. Na zawsze utkwił mi w pamięci.

— Co znaczy: „niedzielny zbieracz”?

— Geolog amator. Gdy jeździliśmy na wakacje, zawsze jakoś tam umiał się wymówić i z młoteczką w torbie wędrował w poszukiwaniu skamielin. Mam gdzieś ten młoteczek... Część jego okazów, znalezionych na Cyprze i w Indiach, jest wystawiona w muzeum w Lancaster; tak przynajmniej było, kiedy tam ostatnio zaglądałem.

— Pierwszy raz słyszę – kamień mieścił się w złączonych dłoniach. – Jest rzadki?

— Niezbyt. Ale popatrz tylko, jaki ładny.

— Ile ma lat?

— Sto pięćdziesiąt milionów? Jak na amonity to właściwie smarkacz. Chcesz go?

— Naprawdę?

— Co, nie podoba ci się?

— Jest cudowny!

— Wobec tego dostaniesz pierwszą skamielinę w życiu. Jako pouczającą pamiątkę.

Czy spirala ma koniec? Czy robi się coraz mniejsza, tak mała, że nie da się jej objąć wzrokiem?

Kosze na śmieci przed „Cap’n Scallywag” dumnie przemierzały mewy. Szedłem wolnym krokiem, wciąż zapatrzony w swój amonit, gdy nagle głowa – od mocnego ciosu czymś łokciem – jakby wyskoczyła mi z zawiasu.

— Jason! – warknął tato. – Uważaj, jak idziesz!

Nos pulsował z bólu. Chciałem sobie kichnąć, ale się nie dało.

Biegacz rozcierał ramię.

— Nie mam trwałego uszkodzenia, Mike. Czerwony Krzyż nie

będzie nam musiał wysyłać helikoptera...

— Craig! No, rany boskie!!!

— Ranna rozgrzewka, wiesz, Mike. Ten tu samochodzik to twoja robota, prawda?

— Trafiłeś bezbłędnie. To Jason, mój najmłodszy.

Jedyny Craig, znany tacie, to Craig Salt. I ten opalony facet zgadzał się z opisem.

— Gdybyś tak, szkrabie, chłopcze, nie zderzył się ze mną, tylko z ciężarówką, zostałyby z ciebie naleśnik.

— Tu jest zakaz wjazdu dla aut ciężarowych – zatrąbiłem przez zmiadzony nos. – Wstęp mają tylko piesi.

— Jasonie – ten tato nie miał nic wspólnego z tym ze sklepu ze skamielinami. – Przepróż pana Salta! Gdybyś go przewrócił, doznałby poważnych obrażeń.

„Weźże go, łązęgę, kopnij w goleń” – odezwał się Nienarodzony Bliźniak.

— Bardzo pana przepraszam.

„Łązęga jeden”.

— Wybaczam ci, Jasonie, znaj moje dobre serce. Cóż to? Zbiera się kamyki? Mogę? – Craig Salt wyrwał mi amonit. – Ładny trylobycik. Trochę nadgryziony przez robaki, ale nie najgorszy.

— To nie jest trylobit, tylko *Ly-to...* (Kat przerwał mi w pół słowa). Amonit, prawda, tato?

Tato spojrział w inną stronę.

— Jasonie, skoro pan Salt jest pewien...

— Pan Salt – amonit wylądował w mojej ręce – jest pewien.

Tato uśmiechnął się mizernie.

— Jeśli ktoś ci to wcisnął nie jako trylobita, podaj go do sądu. Znam z tatą dobrego prawnika, prawda, Mike? Ale na mnie już czas. Przed śniadaniem muszę zaliczyć jeszcze ze dwie mile. Później wracam do Poole. Sprawdzić, czy mi rodzinka jeszcze nie zatopila jachtu.

— Ojej, to pan ma jacht?

Craig Salt wyczuł mój sarkazm, ale nie miał dość sprytu, żeby mi się odciąć.

Niewinnie wbiłem wzrok w przestrzeń, zbuntowany i zaskoczony swą odwagą.

— Dwunastometrowy, nic wielkiego! – tato powiedział to tonem wilka morskiego, którym nie jest. – Craig, praktykanci mówią, że wczoraj było tak przyjemnie...

— Tak, tak, Mike. Czułem, że zaszalejemy. Podnoszenie tego w obecności naszych czarnych koni, w hotelu, byłoby z mojej strony nieprofesjonalne, ale, wiesz, Mike, pilnie musimy pogadać o Gloucester. Jestem *mucho depressado* rozliczeniami z ubiegłego kwartału. Z tego, co się, cholera, orientuję, za chwilę możemy stracić Swindon.

— Oczywiście, Craig. Mam w zanadrzu parę nowych pomysłów promocji sklepowej, tak że...

— Nie pomysłu tu trzeba, ale kopa w tyłek. Zadzwoń w środę.

— Już się nie mogę doczekać. Będę u siebie w Oksfordzie.

— Wiem, gdzie mieszczą się biura wszystkich moich kierowników. Jason, na drugi raz uważaj, bo zrobisz komuś krzywdę. Choćby sobie samemu. No to, Mike, do środy.

Chwilę patrzyliśmy, jak Craig Salt oddala się w podskokach.

— Co powiesz – wesołość taty była mocno wymuszona – na kanapkę z boczkiem?

Odechciało mi się z nim rozmawiać.

— Nie jesteś głodny? – tato położył mi rękę na ramieniu. – Jason...?

Niewiele brakowało, a odepchnąłbym tę rękę i wyrzucił zasranego „trylobita” do zasranego morza.

Niewiele.

— Nie dość, że mam na głowie rozmaite zawiadomienia o przesyłce, spisy inwentarza czy listy wysyłkowe, to jeszcze muszę znosić kaprysy artystów – mama przekręciła lusterko, żeby starannie umalować usta. – A ty, panie hrabiczu, od rana będziesz sobie spacerował po Cheltenham! Niektórym to się całkiem nieźle żyje, hm?

— No, chyba.

W datsunie cherry mamy zawsze pachnie miętowymi pastylkami.

— Ależ ty się wybyczysz! Agnes mówi, że *Rydwany ognia* grają za dwadzieścia pięć druga, więc może zjedz gdzieś pasztecika i wróc do galerii... – mama spojrzała na zegarek – ...kwadrans po pierwszej.

— Okay.

Mama postawiła auto koło podjazdu, gdzie akurat wjeżdżała z dostawą furgonetka. Wysiedliśmy.

— Dzień dobry, Heleno! – podszedł do nas facet z fryzurą na jeża. – Synoptycy zapowiadają skwarny dzionek.

— Przydałoby się wreszcie trochę prawdziwego lata. Alanie, to mój syn, Jason.

Uśmiechnąłem się krzywo, udając, że mu salutuję. Tacie Alan by się nie spodobał.

— Jason, właściwie jesteś na wakacjach, więc może bym... – mama wyjęła z portmonetki świeży banknot pięćofuntowy.

— Dziękuję! – cóż oni nagle tacy hojni? – W Lyme Regis tato dał mi tyle samo!

— Ale ze mnie gapa... Przecież ci chciałam dać dzie...

Piątak wrócił do portmonetki, z której wychynęło... dziesięć funtów! W sumie więc uzbierałem dwadzieścia osiem siedemdziesiąt.

— Wielkie dzięki, mamó.

Musiałem się liczyć z każdym groszem.

— Sklepy z antykami? – kobieta w biurze informacji turystycznej wgapiła się we mnie jak sroka w gnat, na wypadek, gdyby ktoś wieczorem zgłosił napad rabunkowy. – A po co ci aż sklep z antykami? Najlepsze okazje trafiają się w sklepach organizacji dobroczynnych.

— Mama obchodzi dzisiaj urodziny – skłamałem. – Jest miłośniczką wazonów.

— A, więc to dla mamy? Na pewno jest szczęśliwa, że ma takiego syna, hm?

— Yyy... – wpadłem w popłoch. – Dziękuję.

— Oj, tak, to prawdziwy uśmiech losu! Też mam synka... Śliczny on jak i ty – machnęła mi przed oczyma zdjęciem grubego bobasa. – To sprzed dwudziestu sześciu lat, ale wciąż jest przeuroczy! Pipek wprawdzie czasem zapomina o moich urodzinach, ale ma naprawdę złote serce. A w końcu tylko to się liczy. Jego ojciec, niestety, był nieudacznikiem. Nienawidziliśmy go oboje. Wstrętna świnią! Mężczyzna (zrobiła taką minę, jakby się przed chwilą nałykała wybielacza) to robi swoje, przewróci się na brzuch i tyle, koniec pieśni. On nie wychowa syna, nie wykarmi własną piersią, nie podetrze pupy ani nie upudruje mu – jakby się trochę rozczuliła, ale już po chwili jej oczy zapłonęły krwiożerczo – ślimaczka. Ojciec prędzej czy później zapomina o potomku. Jak kogut, wleci do kurnika i ledwie się obejrzy, już go nie ma. Ale jak Pipek skończył dziesięć lat, ja tatusiowi pokazałam drzwi. Yvette miała piętnaście. Panna Yvette uważa, że Pipek już dawno powinien się ode mnie wyprowadzić, tylko że odkąd nosi ślubną obrączkę, notabene, kupioną na raty, w ogóle nie pamięta o matce. Yvette już zapomniała, że tylko dzięki mnie Pipek nie dostał się w szpony tej małej ladacznicy z Colwall. Nie pozwoliłam go usidlić. Yvette do tej pory ślepo słucha tego – wzburzona pani wskazała puste drzwi – osła. Knura. Tępej pały. Kto inny by ją tak omamił? Bez przerwy wtyka ten spiczasty nochał do bufetu, gdzie sobie z Pipkiem trzymamy co nieco na wzmocnienie. Jak tak można! Bo matka, pamiętaj kochaneczku, musi się czasem trochę wzmocnić. Choć matką jest się z woli Boga, nie zawsze łatwo się utrzymać na powierzchni. Pipek mnie rozumie. Pipek mówi: „Pamiętaj, mamusiu, że to twoje proszki. Są naszą tajemnicą, ale gdyby się ktoś pytał, to są twoje”. Pipek nie wyraża się tak ładnie, jak ty, kochaneczku, ale za to ma serce ze szczerego złota. Czy ty wiesz, co Yvette zrobiła z naszymi wesołymi pigułkami? Przyszła raz po południu, nieproszona, i ledwie się obejrzałam, utopiła je w klozecie! Rety, jak się Pipek zeźlił po powrocie! Myślałam, dom rozniesie! Nic tylko, że mu „ku...”, przepadł cały towar!” W życiu go nie widziałam w takim stanie! Zaraz poleciał

do Yvette i, no, tak po prawdzie, przestawił jej ten wścibski nochal! – nachmurzyła się. – Yvette wezwała gliny. Na rodzonego brata! A Pip tego jej mężulka tylko tak potarł! Od tamtej pory Pipek jakby zapadł się pod ziemię. Czas mija, a tu po nim ani widu, ani słyhu. A ja bym tylko chciała, kochaneczku, żeby choć raz zadzwonił. Powiedział, jak tam sobie daje radę. Ciągłe mnie nachodzą jakieś ciemne typki. Z policją też nie umiem dojść do ładu. Nic tylko: „Gdzie, ku..., chowacie towar?” ... „Co, ku..., forsa wyfrunęła?” ... „Gdzieś podziała synka, stara ku...?”. Oj, wierz mi, plugawy mają oni słownik. Ale choćby nawet Pipek się odezwał, wolałabym zdechnąć, niżli pisnąć słowem...

Otworzyłem usta, aby się upomnieć o te sklepy z antykami.

Westchnęła, roztrzęsiona:

— Wolałabym zdechnąć...

— Czy zechce pani uprzejmie dać mi mapkę Cheltenham, na której by były zaznaczone sklepy z antykami?

— Nie, kochaneczku. Ja tu nie pracuję. Poproś tę panią za kontuarem.

Pierwszy ze sklepów z antykami nazywał się „George Pines”, a mieścił aż koło obwodnicy, wciśnięty pomiędzy agencję bukmacherską a sklep monopolowy. Cheltenham jest niby bardzo eleganckie, ale i w eleganckim miasteczku można znaleźć nieciekawą okolicę. Aby się tam dostać, trzeba najpierw przejść przez rozklekotaną przerdzewiałą kładkę. Sklep George’a Pinesa niezbyt przypominał tak zwany antykwariat. W drzwiach i w oknach były kraty. A do (zamkniętego na klucz) wejścia przyklejono taśmą kartkę z napisem: „WRACAM ZA 15 MINUT”, tyle że atrament strasznie spłowiał, a papier był wyblakły. Spostrzegłem też ogłoszenie: „NAJTAŃSZE ROZBIÓRKI – TYLKO U NAS”. W cieniu za oknem majaczyły te takie wielkie kredensy, jakie widuje się w domkach starszych osób. Zegarów i zegarków na rękę – ani śladu.

George Pines dawno tutaj nie zaglądał.

Kiedy wracałem kładką, podeszli do mnie dwaj chłopacy. Chyba w moim wieku, ale mieli martensy z czerwonymi

sznurówkami. Jeden był ubrany w tiszert z *Quadrophenii*, a drugi – w tiszert RAF-u. Ich kroki grzmiały unisono: „lewa-prawa, lewa-prawa”. Jeśli spojrzysz chłopakowi prosto w oczy, oznacza to, że uważasz się za takiego samego twardziela jak on. Niosłem fortunę w gotówce, tak że cały czas musiałem się bacznie rozglądać na boki i patrzeć w dół na spowitą wyziewem rzekę hałaśliwych ciężarówek i powolnych samochodów cystern. Gdy jednak zbliżyli się do mnie ci dwaj modsi, od razu poczułem, że łatwo mi nie przepuszczą. Przywarłem więc w napięciu do rozpalonej słońcem balustrady.

— Masz ogień? – burknął na mnie wyższy.

Przełknąłem ślinę.

— Ja?

— Nie, pytam się, kurwa, księżnej Diany.

— Nie – mocniej ująłem poręcz. – Sorry.

Drugi mods burknął:

— Ciota.

Po wojnie atomowej światem zawładną tacy jak oni. I to będzie piekło.

Drugi sklep z antykami znalazłem dopiero przed samym południem. Łukowate sklepienie wiodło na brukowany kocimi łbami placyk pod nazwą Hythloday Mews. Co chwila skądś tam dobiegały ryki niemowląt. Ponad skrzynkami na kwiaty wiatr wydymał koronkowe firanki. Na swego pana oczekiwało eleganckie porsche. Spod muru przyglądały mi się słoneczniki. Spostrzegłem tabliczkę z napisem: „ZBIORY GILESA”. Fasada sklepu wyglądała olśniewająco. Uchylone drzwi przytrzymał pochylony Pigmej z szarfą, z napisem „OTWARTE!”, wokół szyi. W środku pachniało szarym papierem i parafiną. A zimno było tak, jakby się brodziło w kamienistym strumieniu. Mroczne szafki pełne orderów, kieliszków i mieczy. Najgłębsze otchłanie izby zasłaniał większy od mojego pokoju walijski kredens. Wtem usłyszałem coś jakby skrobanie. Po chwili tajemniczy dźwięk okazał się radiową transmisją z meczu krykieta.

Do tego zza kredensu – ciachanie nożem po kuchennej desce.

Zapušciłem żurawia.

— Gdybym wiedziała, że tyle z tym kłopotu – mruknęła na mój widok ciemnoskóra Amerykanka – kupiłabym, cholera, wiśnie. (Była na swój sposób piękna, ale tak jakoś za bardzo odjechana, by mi się mogła spodobać). – Z dłoni jej ociekał lepki sok jakiegoś zielonkawo-czerwonego owocu o jajowatym kształcie. – Wiśnia to jest owoc. Bierzesz w usta, wypluwasz pestkę, żujesz, połykasz i *finito*. Nie trzeba się tak... babrać.

Pierwsze moje słowa skierowane do najprawdziwszej w świecie Amerykanki brzmiały:

— Co to za owoc?

— Nie znasz mango?

— Przykro mi, ale nie.

— Za co tu przeproszać? Anglicy! Nie odróżniacie wy prawdziwego jedzenia od, kurczę blade, plastyku. Chcesz spróbować?

Nie wolno przyjmować słodczy od zboczeńca w parku, ale egzotyczny owoc od właścicielki sklepu z antykami to jednak całkiem co innego.

— Mhm.

Kobieta wkroiła do szklanej miski gruby plaster. Wtykając weń srebrny widelczyk, powiedziała:

— Odpocznij sobie trochę.

Siadłem na wiklinowym taborecie i wziąłem się do jedzenia.

Śliski owoc rozpląnął mi się na języku.

O rany boskie, to mango... Jak wonne brzoskwinie czy utarta róża.

— I co myślisz?

— Jest po prostu...

Komentator w radiu niespodziewanie oszalał:

„...widownia w Oval zrywa się na równe nogi; Botham znowu triumfuje! Z gratulacjami biegnie Geoffrey Boycott...”.

— Botham? – kobieta aż podskoczyła. – To Ian Botham, prawda?

Przytaknąłem.

— Zarośnięty jak Chewbacca? Ze złamanym rzymskim nosem? O oczach barbarzyńcy? Spowita w biel męskość?

— No, tak mi się wydaje.

— Ach – skrzyżowała ręce na płaskiej piersi, jak Najświętsza Panna. – Dla niego przesłabym po rozżarzonych węglach. – Dojadając mango, słuchaliśmy owacji. – No – porządnie wytarła palce wilgotną myjką i wyłączyła radio. – Czy szukasz u mnie łóżka z baldachimem z epoki Jakuba I? Czy urząd podatkowy zatrudnia coraz młodszych inspektorów?

— Yyy... Miałyby pani może marynarską omegę?

— Marynarską omeeegę? To jakaś łódź?

— Nie, zegarek. Nie produkuje się ich od roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego. Koniecznie musi to być model zwany „de Ville”.

— Niestety, kochany, ale Giles nie sprzedaje zegarków. Nieraz się okazuje, że nie chodzą, a on zwrotów nie chce.

— Aha – mogłem dać sobie spokój; w Cheltenham nie było już więcej takich sklepów.

Amerykanka przyjrzała mi się bacznie.

— Być może znam handlarza specjalistę...

— Sprzedaje zegarki? Tutaj, w Cheltenham?

— Nie, bazę ma w Kensington Południowym. Zadzwoń?

— Zechciałaby pani? Mam dwadzieścia osiem funtów i siedemdziesiąt pięć pensów.

— To się tak tym nie chwal. Czekał no, kochany, pogrzebie w tym burdelu, znaczy: gabinecie Gilesa... Może gdzieś ma numer...

— Cześć, Jock! Mówi Rosamunda. Mhm. Nie... Ze sklepu. Gilesa nie ma... Skubać... Do wiejskiej posiadłości jednej zmarłej hrabiny. Czy contessy. Czy innej wielkiej pani. Nie wiem, Jock, u nas takich nie ma... Nie mamy królowych, co się ubierają, jakby odsiadywały dożywocie za bezguście... Co? Co? Pewnie, że powiedział. Chyba w ciekawej okolicy, w Cotswolds... Typowo angielska nazwa... Brideshead?... Nie, to z tego serialu, racja? Mam na końcu języka... Pod Wodą... Nie, Jock, przecież bym

ci powiedziała, gdyby... Co? Co? Mhm, wiem, że nie ma tajemnic między... Mhm, Giles też kocha cię jak brata. Ale czekaj, Jock. Przyszedł tu do mnie jeden młodzian... A jakże, bardzo śmieszne, nie dziwota, że tak cię adorują te londyńskie geriatryczki... Więc ten młody człowiek poszukuje marynarskiej omeeegi. (Zerknęła na mnie, żeby się upewnić, więc wtrąciłem szeptem, że chodzi o „de Ville”). „De Ville”... Mhm. Znasz ten model?

Tu nastąpiła obiecująca chwila ciszy.

— Poważnie?

Człowiek czuje wygraną ćwierć sekundy przed zwycięstwem.

— Przed sobą? Popatrz, jakiego ja mam czuja! Mhm... W idealnym stanie? No, Jock, to się ciekawie zapowiada... Słuchaj, jak chodzi o te sykle... Wiesz, mamy dość napięty budżet... Mhm... Tak, Jock, skoro je przestali produkować w latach pięćdziesiątych, wiadomo, że są rzadko spotykane, oczywiście... Wiem, że nie jesteś instytucją dobroczynną (ręką mi pokazała, że tamten strasznie pytluje). Gdybyś nie parzył się jak królik z każdą królicą, co ledwie cię zobaczy, zadziera puszysty ogonek, nie miałbyś aż tylu zagłodzonych dzieci... Podajże jakąś dobrą cenę?... Mhm... Myślę, że to może... Mhm. Jak ma, zaraz zadzwonię.

Słuchawka z trzaskiem wylądowała na widełkach.

— Ma? Marynarską omegę?

— Mhm – Rosamunda jakby posmutniała. – Jeśli tylko stać cię na osiemset pięćdziesiąt funtów, natychmiast po rozliczeniu czeku wyśle do ciebie do domu gońca z zamówieniem.

Osiemset pięćdziesiąt funtów?

— Skarbie, dołożyć ci mango?

— Ustalmy fakty, Jasonie. Rozpieprzyłeś dziadkowy zegarek... przypadkowo... w styczniu, tak? (Przytaknąłem). I już pół roku z okładem rozglądasz się za drugim? (Przytaknąłem). A środków pieniężnych masz tyle, co każdy nastolatek? (Przytaknąłem). Poruszasz się na rowerze? (Przytaknąłem). A czy o niebo prościej nie byłoby się przyznać? Znieść karę jak przystało na prawdziwego mężczyznę i o wszystkim zapomnieć?

— Rodzice by mnie zabili. Dosłownie.

— Co ty bredzisz? „Zabiliby”? „Dosłownie”? – Rosamunda zakryła usta, jakby chciała powstrzymać wrzask. – Zabić rodzone dziecko? Za to, że rozwaliło jakiś gówniany zegarek? A jak w podobnych sytuacjach pozbywali się reszty swoich dzieci? Topili w muszli klozetowej? Daj że spokój! I co? Ich kostki później znajdował w zatkanych rurach hydraulik?!

— No, dobra, może by mnie nie zabili, ale by dostali szau. A tego... boję się najbardziej.

— Mhm. Powiedz no mi, jak długo byliby ogarnięci „szałem”? Do twojej śmierci? Dwadzieścia lat? Co: nie zwolniliby cię warunkowo?

— Tak długo to nie, wiadomo, ale...

— Mhm. Więc osiem miesięcy?

— No, ale kilka dni na pewno.

— I to cię tak przeraża? Kilka dni? Jason, cholera jasna...

— Dłużej. Co najmniej tydzień. A potem by mi to ciągle wypominali.

— Mhm. A ile tygodni zamierzasz trwać w swej śmiertelnej powłoce?

— P... (Kat nie dał mi powiedzieć, że mi przykro). Nie bardzo rozumiem.

— No, ileż jest tygodni w roku?

— Pięćdziesiąt dwa.

— Mhm. A ile lat trwa życie?

— Różnie. Siedemdziesiąt.

— Siedemdziesiąt pięć, albo i siedem, chyba że wcześniej zamartwisz się na śmierć. Okay. Pięćdziesiąt dwa tygodnie razy siedemdziesiąt pięć równa się... – Wynik obliczyła na kalkulatorku. – Trzy tysiące dziewięćset! I ty mi chcesz wmówić, że najbardziej cię przeraża, że mama z tatą będą się na ciebie wściekali przez jeden z prawie czterech tysięcy tygodni? Niech będą dwa, nawet trzy... – Rosamunda nadęła policzki i ciężko westchnęła. – Chciałbyś się zamienić? Bo ja ci chętnie oddam jeden z moich lęków... Albo i dwa. Nie: oddam ci dziesięć.

Nie żałuj sobie, proszę! Co ty na to?

Samolot przeleciał tak nisko, że w całym Cheltenham zadrżały szyby w oknach.

— Jason, zniszczyłeś zegarek, a nie swoją przyszłość! Nie życie. Nie złamałeś sobie kręgosłupa.

— Nie zna pani rodziców – zacząłem się dąsać.

— Pytanie, czy ty ich znasz?

— Oczywiście. Przecież z nimi mieszkam.

— Łamiesz mi serce, Jason. Oj, łamiesz, kurwa, serce.

Po wyjściu z Hythloday Mews uprzytomniłem sobie, że zostawiłem mapę u Rosamundy na stole, no i musiałem po nią wrócić. Za biurkiem, za uchylonymi niebieskimi drzwiami w malutkim kłopiku – sikając ogłuszająco, Rosamunda na cały regulator śpiewała w jakimś obcym języku „Strumieniem spokojnie wiosłuj sobie, wiosłuj”. Zawsze mi się wydawało, że aby się wysikać, kobiety siadają na klozecie, tymczasem Rosamunda robiła to na stojąco, podwinąwszy spódnicę ponad pupę. Mój kuzyn Hugo Lamb mówi, że kobiety z Women’s Liberation Movement kupują sobie takie kauczukowe fiutki. Może Rosamunda też ma coś takiego... Na nogach miała więcej włosów niż mój tato, co u kobiet spotyka się chyba dosyć rzadko. Tak mnie to speszyło, że prędko wziąłem mapę i po cichu wyszedłem, kierując się z powrotem do maminej galerii. W niesympatycznej piekarni zaopatrzyłem się w kiełbasiany pasztecik i – aby go zjeść – usiadłem sobie na jakimś skwerku. Sierpień dobiega końca, więc jawory wyglądają jak obdarte. Wszędzie na wystawach plakaty: „WITAJ, SZKOŁO”. Ostatnie dni wolności grzechocą jak resztką tic-taków w pudełku.

Do dzisiaj sądziłem, że odkupienie dziadkowej omegi sprowadzi się do wyczajenia w sklepie identycznego modelu. Tymczasem sprawa rozrosła się już do kilku setek funtów. Przeżuważając pasztecik, zastanawiałem się, jaki by tu zmyślić: a) powód zniknięcia omegi, aby równocześnie: b) nie wyjść na psuja oraz c) skłamać na tyle wiarygodnie, żeby rodzice nie pytali o nic więcej.

Stwierdziłem, że to niewykonalne.

Kiełbasiany pasztecik z początku smakuje wybornie, ale potem w ustach zostaje pieprzowy posmak świńskich jąder. Zdaniem Julii paszteciki robi się właśnie z tego.

Właścicielką La Boîte aux Mille Surprises jest koleżanka mamy, Yasmin Morton-Bagot, ale interes prowadzi mama z asystentką imieniem Agnes. (Tato żartobliwie nazywa to „But”, choć „boîte” znaczy po francusku „kufer”). La Boîte aux Mille Surprises to, pół na pół, sklep i galeria. W sklepie można kupić różne rzeczy dostępne tylko w Londynie. Wieczne pióra z Paryża, szachy z Islandii, atomowe zegary z Austrii, biżuterię z Jugosławii, maski z Birmy. Galeria mieści się na zapleczu. Klienci przyjeżdżają z całej Anglii, bo Yasmin Morton-Bagot zna artystów z różnych stron świata. Najdroższy w tej chwili obraz namalował Volker Oldenburg. Volker Oldenburg tworzy sztukę nowoczesną w jakiejś piwnicy na kartofle w Berlinie Zachodnim. Nie mam pojęcia, co przedstawia *Tunel numer dziewięć*, ale kosztuje tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt funtów.

Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąt funtów to trzynaście lat zbierania kieszonkowego.

— Świętujemy, Jasonie – Agnes mówi ze śpiewnym walijskim akcentem, więc czasami nie wiem, czy ją dobrze zrozumiałem. – Przed chwilą mama sprzedała obraz.

— Świetnie. Któryś z tych takich drogich?

— Jeden z naj-naj-naj najdroższych.

— Cześć, skarbie – w progu galerii stanęła mama. – Miły dzionek?

— Yyy (Kat przyblokował „niezły”) ...fajny. Agnes mówi, że właśnie (Kat przyblokował „sprzedałaś”) jeden klient kupił obraz.

— No, tak jakoś go naszło; wiesz, chwila szaleństwa.

— Heleno – rzekła surowo Agnes – po prostu jadł ci z ręki. Wystarczyło, że mu powiedziałaś, jak to samochody tracą na wartości, a sztuka wciąż zyskuje. Spokojnie mogłabyś mu sprzedać Gloucestershire.

Zobaczyłem super dziewczynę.

Wszystkie trzy miały chyba po szesnaście lat i wszystkie były bogate. Pierwsza – w ozdobnym makijażu, spod którego i tak wyłaziły pryszczki, wyglądała na okropnego chytrusa. Druga była kiedyś rybą, którą marny czarodziej zmienił w wyłupiastookie dziewczę o mięsistych wargach. Ale ich liderka, która wkroczyła do La Boite aux Mille Surprise jako pierwsza, spokojnie mogłaby reklamować szampony. Oczy i uszy elfa, obcisły kremowy tiszert, mini w kolorze lukrecji, na doskonałych nogach legginsy, jak namalowane sprayem, i włosy barwy toffi, takie, że oddałbym duszę, byle móc się w nich zanurzyć. (Dziewczęce kształty nigdy nie działały na mnie aż tak silnie). Nawet jej futrzana torba ze słonecznikami pochodziła ze świata, w którym wszelka brzydota jest niedopuszczalna. Niezdolny nie gapić się na Elfa, usiadłem sobie w biurze. Po chwili przyszła mama, żeby zadzwonić do Yasmin Morton-Bagot – i Agnes została sama przy kasie. Cudowne widowisko przysłaniały lekko uchylone drzwi oraz dwie gigantyczne świece z Palermo i bursztynowy abażur z Polski. Nieziemskim zrządzeniem anielska pupa Elfa wysunęła się nagle na pierwszy plan. I znieruchomiła. Tymczasem Pryszczycza z Dorszówną poprosiły Agnes, żeby zdjęła ze ściany zwój chińskiego pergaminu. Ich głosy brzmiały wytwornie i jakoś tak obcesowo. Wciąż pieściłem oczyma krągłe kształty Elfa. I tylko dzięki temu udało mi się spostrzec, jak wsuwa rękę do gablotki, porywa opalowe kolczyki i wsuwa je do słonecznikowej torby.

„Kłopoty, krzyki, groźby i policja – zakwilił Robal. – Jąkanie w sądzie, gdzie wezwą cię jako świadka. Czy aby na pewno to widziałeś, czy tylko tak ci się wydaje?”

Syknąłem:

— Mamo!

Mama spytała tylko raz.

— Jesteś pewny?

Przytaknąłem.

Mama powiedziała do Yasmin Morton-Bagot, że musi kończyć,

odłożyła słuchawkę i wyjęła z szuflady polaroid.

— Dam znak, to im zrobisz zdjęcie, dobrze?

Kiwnąłem głową.

— Dzięki, synku.

Mama wyszła na front i po cichutku zamknęła drzwi na klucz. Agnes spostrzegła to i atmosfera w sklepie zrobiła się ponura i niemila, jak przed szkolną naparzą. Elf dała znak towarzyszkom, że już czas się zbierać.

Głos Elfa zabrzmiał metalicznie:

— Drzwi zamknięte!

— Nie da się ukryć: bo sama je zamknęłam.

— Więc niech pani odemknie!

— Hmm – mama zadzwoniła pękiem kluczy. – Sprawa wygląda tak. Przed sekundą pewna złodziejka schowała w torbie parę cennych australijskich kolczyków z opalem. Odpowiadam za towary, to chyba oczywiste. Złodziejka natomiast zamierza uciec z łupem. Tak że mamy impas. Co ty zrobiłabyś na moim miejscu?

Pryszczyca z Dorszówną były na skraju płaczu.

— Z pewnością – odparła groźnie Elfica – jako sklepowa nie ośmieliłabym się rzucać tak żałosnych oskarżeń!

— Skoro tak, to chyba zgodzisz się opróżnić torbę, aby mi dowieść, jak żałosne jest to moje oskarżenie...? Wyobrażasz sobie minę tej oto sklepowej, kiedy się okaże, że w torbie nie ma kolczyków?!

Przez straszny ułamek sekundy liczyłem, że Elfica jednak odda biżuterię.

— Nikt mi nie będzie grzebał w torbie!

Twardzielka. Oj, różnie mogło się to skończyć...

— Rodzice wiedzą, że kradniecie? – zwróciła się mama do Pryszczycy i Dorszówny. – Jak się zachowają, kiedy wezwie ich policja?

Pryszczyca i Dorszówna aż cuchnęły winą.

— Chciałyśmy zapłacić – Elfica popełniła pierwszy błąd.

— Za co? – mama uśmiechnęła się złowieszczo.

— Nic pani nie może zrobić, chyba żeby nas pani przyłapała, jak wychodzimy ze sklepu! Mój ojciec ma świetnego adwokata.

— Doprawdy? Ja także – odparła pogodnie mama. – Jak również dwoje świadków, którzy widzieli, jak próbujecie wyjść.

Elfica podeszła do mamy takim krokiem, jakby miała zamiar jej przyłożyć.

— DAWAJ KLUCZ, BO POŻAŁUJESZ!

— Dotąd do ciebie nie dotarło (nie miałem bladego pojęcia, że mama jest aż tak odporna), że ja ani trochę się nie boję?

— Proszę... – na policzkach Pryszczyca załśniły łzy. – Proszę, ja...

— Wobec tego – warknęła Elfica – rozwalę drzwi którąś z tych głównianych figurek...

Mama skinęła do mnie: „teraz”.

Flesz błysnął; wszystkie trzy podskoczyły.

Z polaroidu wychynęło zdjęcie. Ujmując je za róg, machnąłem parę razy, żeby wyszło. Zrobiłem jeszcze jedno, bo co sobie żałować.

— A cóż... – Elfica jakby spokorniała – on wyprawia?

— Za tydzień – odrzekła mama – przejdę się ze zdjęciami i z posterunkowym po wszystkich szkołach Cheltenham... Zaczę od college’u dla dziewcząt. – Dorszówna rozpaczliwie zatrzepotała płetwą. – Nie znam dyrektorki, która by nie chciała pomóc w takiej sprawie. Ze strachu, że szkolny skandal mógłby trafić do gazet, każda woli wyrzucić parę zgniłych jabłek... Chyba was to nie dziwi?

— Ofelio – Pryszczyca zamruczała jak kociątko. – Może byśmy...

— Ofelio! – mama bawiła się coraz lepiej. – W kozie to imię spotykane bardzo rzadko...

Elfica Ofelia zaczęła tracić grunt pod nogami.

— Chyba że – mama znów zabrzęczała kluczami – w tej chwili wywróćcie na wierzch torby oraz kieszenie i oddacie to, co zabrałyście. Macie też mi podać nazwiska, adresy, telefony, no i nazwy szkół. Będziecie miały nieprzyjemności.

Bo zawiadomię szkoły. Ale nie wniosę pozwu i nie pójde na policję.

Cała trójka wgapiała się w podłogę.

— Wybór należy do was.

Ani nie drgnęły.

— Jak sobie chcecie. Agnes, dzwoń, proszę, po posterunkowego Mortona. I powiedz mu, żeby opróżnił którąś celę, bo mamy tu trzy złodziejki.

Pryszczyca położyła na kontuarze tybetański amulet i łyzy zalały jej upudrowane dziobate policzki.

— Nigdy czegoś takiego nie zrobiłam...

— Więc lepiej dobieraj sobie koleżanki – mama spojrzała na Dorszównę.

Dorszówna drżącą ręką podała jej duński przycisk do papieru.

— Czy szekspirowskiej Ofelii – zwróciła się mama do Ofelii z krwi i kości – nie spotkał marny koniec?

— Jejku! – biegliśmy Regensfs Arcade, żeby się nie spóźnić na *Rydwany ognia*. – Fantastycznie je załatwiłaś!

— Coś takiego! – mamine pantofle tłukły o lśniący marmur. „Popatrz! Popatrz! Popatrz!” – Żeby taka staruszka umiała sobie „fantastycznie” poradzić z trzema rozpuszczonymi Pollyannami! (Prawdę mówiąc, mama okropnie się zdyszała). Ale ty, Jasonie, spostrzegłeś to pierwszy. Sokole Oko! Gdybym była szeryfem, dostałbyś nagrodę.

— Poproszę popcorn i 7-Up.

— To chyba da się załatwić.

Człowiek to jedna wielka płatanina potrzeb. Nijakich, wyrazistych, nieogarnionych, bezsensownych, przesadnych albo takich w sam raz. Wiedzą to ci od reklam. Wiedzą sklepikarze. Zwłaszcza w pasażach handlowych sklepy ogłaszają: „Mam to, czego pragniesz! Mam to, czego pragniesz! Mam to, czego pragniesz!”. Ale mijając Regensfs Arcade, odkryłem jeszcze jedną potrzebę, na ogół tak bliską, że nigdy jej się nie dostrzega. Z mamą człowiek chce się lubić. Nie kochać, tylko lubić.

— No – westchnęła mama, wyjmując z torebki ciemne

okulary – to cudnie.

Kolejka przed seansem *Rydwanów ognia* wiła się na schodach kina, a potem na ulicy, i była długa na dziewięć, dziesięć sklepów. Film miał się zacząć za trzynaście minut. Przed nami czekało chyba ze sto osób. Głównie dzieciaki: w dwójkach, trójkach albo czwórkach. Poza tym kilku emerytów, kilka parok. Jedynym w kolejce chłopakiem z mamą byłem ja. Szkoda, że aż tak rzucało się to w oczy.

— Tylko mi przypadkiem nie mów, że musisz się załatwić.

Jakiś gruby młot o opadających powiekach zerknął na nas z uśmiechem wyższości.

— Nie muszę! – prawie odwarknąłem.

(Dzięki Bogu, w Cheltenham nikt mnie nie zna. Przed dwoma laty Ross Wilcox z Garym Drake'em widzieli przed naszym kinem, w kolejce na *Gregory's Girl*, Floydę Chaceleya z mamą. Wyśmiewają się z niego do tej pory).

— Nie życzę sobie takiego tonu! Radziłam, żebyś się załatwił w galerii!

Miły nastrój bywa kruchy jak skorupka jajka.

— Ale mi się nie chce!

Rzęzący autobus wzniesił wielkie tumany ołowianego smrodu.

— Jeśli ci wstyd pokazywać się ze mną, to powiedz, bardzo proszę. (Dziwne, jak mama z Julią umieją czasem trafić w dychę). Oszczędzimy sobie wiele trudu.

— Nie! – nie chodzi o „wstyd”, choć w sumie trochę tak; ale nie dlatego, że jest moją mamą, tylko że to mama. A teraz to się wstydzę, że się wstydzę. – Nie.

Zły nastrój jest kruchy jak cegłówka.

Gruby młotek przed nami był po prostu w siódmym niebie.

Rozżalony, zdjąłem sweter i przewiązałem go wokół pasa. Kolejka przesunęła się wolno przed wystawę jakiegoś biura podróży. Za biurkiem siedziała dziewczyna w wieku Julii. Kostropata i blada – z braku słońca. I po to człowiek musi zdawać te wszystkie egzaminy?! Jaskrawy plakat na szybie zachęcał:

„WYGRAJ URLOP ŻYCIA Z E-ZEE TRAVEL!”. Mama w siódmym niebie, tato żywiciel rodzinki, siostra niezła laska i kędzierzawy braciszek. Pod Ayers Rock, przed Tadź Mahal i na Florydzie, w Disneylandzie.

— Czy na przyszły rok – spytałem mamę – znów pojedziemy na wakacje wszyscy razem?

— Poczekamy. – Spod okularów nie dojrzałem jej oczu. – Zobaczymy.

Wigoru dodał mi Nienarodzony Bliźniak.

— Co mamy zobaczyć?

— Rok to mnóstwo czasu. Julia chce pojeździć Euro Railem, czy jak to się nazywa...

— Interrail.

— A może byś się wybrał na narty, ze szkołą? Z kolegami? (Do mamy nie dociera, że nie cieszę się popularnością). Parę lat temu, na wymianie, Julia świetnie się bawiła w Niemczech...

— Mnie Piskliwa Ulrike i Hans Obmacywacz jakoś nie zachwycili...

— Twoja siostra, Jasonie, z pewnością to wyolbrzymiła.

— Nie moglibyśmy się gdzieś wybrać w trójkę, z tatą? W Lyme Regis jest tak ładnie.

— Ja... – mama westchnęła – ...trudno powiedzieć, czy za rok coś się zmieni; sam wiesz, że w tym roku tacie i mnie nie udało się pogodzić urlopów, że nie wspomnę o innych sprawach. Zobaczymy, jak się życie potoczy.

— Mama Deana Morana pracuje w domu spokojnej starości, a jego tato jest listonoszem i im jakoś zawsze udaje się pogodzić...

— Ty już lepiej zostaw państwa Moranów w spokoju – odparła mama tonem, który znaczy, że mówi się za głośno. – Nie każdy, Jasonie, może mieć ruchomy czas pracy.

— Ale...

— Dość, Jasonie!

Z kina wyszedł człowiek, który ocenia, kto zostanie wpuszczony, a kto powinien zbierać się do domu. Kto będzie Odrzucony, a kto Ocalony. Przemierzając chodnik wolno, niby

kondukt pogrzebowy, liczy pod nosem czekających. I skrobie długopisem w kapowniku. Kiedy się oddala, kolejkowicze uśmiechają się z ulgą, zerkając, kto znajdzie się wśród Odrzuconych. Ocaleni to banda zadowolonych z siebie gnojków, którym przypadnie miejsce w barwnym królestwie w ciemnościach. I nawet jeśli się znajdują zbyt blisko ekranu, to dla nich te *Rydwany ognia*. Dzieliło nas od niego już tylko dwadzieścia osób. Jeszcze parę kroczków w naszą stronę, no, proszę, jeszcze trochę, błagam.

Błagam.

Glista

— Jason Taylor – Rossowi Wilcoksowi śmierdziało z ust starą szynką – chodzi do kina z mamusią! – Jeszcze przed sekundą Mark Badbury wypytywał mnie, jak wygrać w pacmana, a teraz coś takiego; niestety, szansa, aby zaprzeczyć, już przepadła. – Widzieliśmy! W Cheltenham! Z mamusią w kolejce!

Ruch i czas na korytarzu przyhamowały.

Chciałem, dureń jeden, skompromitować Rossa Wilcoxsa uśmiechem.

— Co się tak szczerzysz, kurwa, co, robalu zafajdany? Obmacywało się mamcię w ostatnim rzędzie, co nie? – wściekle szarpnął mnie za krawat, tak dla sportu. – Wtykało się jęzor, prawda? – świsnął po nosie, też dla sportu.

— Taylor! – Gary Drake zawsze poluje wraz z kuzynem. – To obrzydliwe!

Neal Brose spojrzał na mnie tak, jak patrzy się na psa, który za chwilę ma zostać uśpiony przez weterynarza. Z żalem, ale i z pogardą, że osłabł aż do tego stopnia.

— Całowałaś mamę po francusku, co nie? – Ant Little jest nowym pacholkiem Wilcoxsa.

Wayne Nashend należy do tych dawnych.

— Wsadzałeś paluszek?!

Widzowie oceniali spektakl uśmiechami.

— No co, odpowiesz wreszcie? – Wilcox lubi sobie przygryzać czubek języka. (Języka, który smakował najbardziej skryte zakamarki Dawn Madden). – Cz-cz-cz-cz-y n-n-n-n-ie w-w-w-w-

yduśisz s-s-s-s-ło-wa, ty p-p-p-p-ieprzony j-j-j-j-ąkało?

W tym miejscu napaść na mnie zyskała nowy wymiar. Odpowiedź zastąpiłem głuchą ciszą.

— Ross! – syknął Darren Croome. – Idzie Flanagan!

Wilcox przydeptał mi nogę, jakby chciał zgasić papierosa.

— Chujotrysk robał jākajło, co rżnie swą mamusię.

Zastępca dyrektora szkoły pan Flanagan zaczął pędzić dzieciaki z III GL w kierunku sali geograficznej. Wilcox, Ant Little i Wayne Nashend odeszli, lecz moja popularność umierała, wijąc się w ostatnich spazmach. Mark Badbury z Colinem Pole'em powtarzali zadanie z matmy. Nie podszedłem do nich, bo czułem, że nie zechcą ze mną gadać. Cóż było robić? Dopóki nie wtoczył się na korytarz pan Inkberrow – patrzyłem przez okno.

We mgłę złote liście matowieją, a rude robią się brunatne.

Dwie godziny matmy to w najlepszym wypadku dziewięćdziesiąt minut totalnej nudy, a dzisiejszy dzień był najgorszym z najgorszych. Szkoda, że dręczyłem mamę, aby mnie zabrała na te *Rydwany ognia*. Szkoda, że nie poszedłem sam i sam nie kupiłem biletu.

Choć Wilcox pewnie i tak znalazłby jakiś powód, żeby mi dokopać. Nienawidzi mnie. Psy nienawidzą lisów. Naziści nienawidzą Żydów. Nienawidzi się bez przyczyny. Rozmyślałem tak, kiedy pan Inkberrow walnął w moją ławkę swą metrową linijką. Tak podskoczyłem na krześle, że się grzmotnąłem w kolano. Chyba znów umknęło mi coś z lekcji.

— Nie możesz się skupić, Taylor, hmm?

— Yyy... Nie wiem, proszę pana.

— No, to sobie zrobimy szybkie głowa w głowę, Taylor. Ty przeciw Pike'owi.

Jęknąłem bezgłośnie. Głowa w głowę polega na tym, że chłopak A rozwiązuje zadanie z lewej strony tablicy, a chłopak B to samo zadanie z prawej, który pierwszy; na wyścigi. Clive Pike to w III KM najtęższy mózg matematyczny, więc nie miałem żadnych szans. Co oczywiście jeszcze bardziej rozgrzało publikę. Już zapisując równanie, co chwila łamałem kredę.

Pół klasy chichotało – niektóre dziewczyny też.

— Co za patałach – mruknął Leon Cutler.

W tym, że Ross Wilcox w pierwszym semestrze ciągle się kogoś czepia i to zawsze publicznie – nie ma nic dziwnego. Ale kiedy jakby nigdy nic przygaduje człowiekowi taki przeciętniaczek, Leon Cutler, to traci się, cholera, resztki wiarygodności.

— Do startu – zakrzyknął pan Inkberrow – gotowi... już!

Clive Pike spokojnie wziął się do roboty.

Ja – od początku wiedziałem, że sobie nie poradzę. Nie mam nawet pojęcia, czemu służą równania.

— Proszę pana! – zawołał Gary Drake. – Taylor odpisuje od Pike'a. To chyba niezbyt sportowa postawa, prawda?

— W... (Kat przydeptał buciorem moje „wcale”). Nieprawda, proszę pana.

Pan Inkberrow bez słowa wycierał okulary w chusteczkę do nosa.

Tasmin Murrell odważyła się prychnąć:

— Taylor, jakiś ty niegrzeczny!

Tasmin Murrell – żeby ją szlag trafił!

— Chłopcze, z tak rozwiniętym poczuciem uczciwości – zwrócił się do Gary'ego Drake'a pan Inkberrow – powinienesz, być może, pomyśleć nad studiami prawniczymi...

— Bardzo panu dziękuję. Kto wie, czy tak nie zrobię.

Udało mi się naskrobać parę nieznaczących kresek. Tymczasem Clive Pike już odstąpił od tablicy.

Pan Inkberrow odezwał się dopiero po chwili:

— Doskonale, Pike. Możesz usiąść.

Moje obliczenia zamarły w drugiej linijce iksów i igreków.

W klasie rozległy się stłumione śmiechy.

— Spokój! – uciszył klasę pan Inkberrow. – Mnie ani trochę nie bawi, że straciłem aż tydzień, aby choć jedno z was nauczyć rozwiązywania równań kwadratowych, wam natomiast zostało z tego w głowie tyle... co kot napłakał. Otwórzcie książki na stronie osiemnastej. Taylor, proszę na miejsce. Sprawdzimy,

czy reszta klasy podziela tę karygodną ignorancję.

— Młotek – syknął Gary Drake, gdy przekraczałem nogę, którą mi podstawił. – Robal.

Kiedy usiadłem w ławce, mój towarzysz, Carl Norrest, nie odezwał się słowem. On zna to uczucie. Ale dla mnie był to dopiero początek. Zdążyłem nauczyć się na pamięć naszego rozkładu lekcji i wiedziałem, co się szykuje w trzecim i czwartym semestrze.

Pan Carver od wuefu zabrał drużynę rugby złożoną z piątoklasistów do męskiego college'u w Malvern i zastępował go praktykant, pan McNamara. Przyjemnie, kiedy pan Carver wyczuje, że jest się nielubianym, czepia się delikwenta, tak jak inni. Na przykład w zimie, gdy idziemy pod prysznic po meczu, Carver nieraz siadał na koniu gimnastycznym i wykrzykiwał: „Floyd Chaceley, narznąłeś w gacie, czy może cię pogięło?” albo: „Pod ścianę, chłopaki, idzie Nicholas Briar!”. Oczywiście prawie wszyscy się śmiali, jakby to był świetny kawał.

Niestety – to już mniej przyjemne – moja klasa (III KM) ma wuef razem z klasą Rossa Wilcoxsa (III GL), a nad tyłoma chłopakami pan McNamara nie panuje absolutnie.

Szatnia cuchnie potem i ziemią. Jest podzielona na strefy. Najbardziej oddalona od drzwi jest strefa twardzieli. Strefa trędownych mieści się tuż przy drzwiach. Reszta ma się przebierać pośrodku. I ja zaliczam się właśnie do tej reszty, ale dzisiaj wszystkie wieszaki gdzieś wyparowały. Należący do trędownych: Carl Norrest, Floyd Chaceley i Nicholas Briar, udali, że też jestem w ich grupie i zrobili dla mnie miejsce. Wilcox, Gary Drake, Neal Brose i inni akurat okładali się po tyłkach, więc szybko się przebrałem i wbiegłem prosto w chłodny poranek. Przed biegiem pan McNamara zrobił nam rozgrzewkę. Zacząłem okrążyć bieżnię bez pośpiechu, starając się trzymać jak najdalej od bandy Rossa Wilcoxsa.

Jesień coraz smutniejsza, gnije i zachodzi mgłą. Pole zaraz za naszym boiskiem zbrązowiło niczym owsiane herbatniki. A barwy pola tuż za nim zmętniały jak woda w szklance, gdy

zanurza się pędzel, malując akwarelą. Czas wolno wymazywał Wzgórza Malvern. Gilbert Swinyard mówi, że naszą szkołę i więzienie Maze projektował ten sam architekt. Więzienie Maze jest w Irlandii Północnej, gdzie w zeszłym roku zmarł podczas strajku głodowego Bobby Sands z IRA.

W takie dni wierzę Gilbertowi Swinyardowi.

— Myślicie, że każdy z was ma warunki, żeby zostać środkowym napastnikiem Liverpoolu? Manchester United? Reprezentacji Anglii? – Pan McNamara przechadzał się w tę i z powrotem w swym czarno-pomarańczowym dresie Wolverhampton Wanderers. – Że starczy wam odwagi? Czy zacięcia? – Panu McNamarze z każdym krokiem podskakiwały loczki zaondulowane a la Kevin Keegan. – Tępaki! Spójrzcie na siebie! Wiecie, czego się nauczyłem na uniwersytecie Loughborough na temat związku między potem i sukcesem?

Ha! I tak wam powiem! Sukces w sporcie... i w życiu, chłopcy, również w życiu... równa się POT! Pot i sukces (Darren Croome głośno puścił bąka) równa się sukces i pot! Tak że dziś na boisku, chłopcy, macie mi utoczyć potu! Chcę tu widzieć trzysta procent potu! Dziś nie będziemy się bawili w wybieranie drużyn! Tylko: III KM kontra III GL! Mózgi kontra mięśnie! Prawdziwych mężczyzn zapraszam na czoło, słabeuszy na środkowe pole, kaleki na obronę, a świrów na bramkę... nie, nie, nic z tego, nie, żartowałem! Ruszać się! – Pan McNamara popędził nas gwizdkiem. – No, zwawo, chłopaki, szybciej, szybciej!

Nie wiem, czy sabotaż został zaplanowany, czy też po prostu tak wyszło. Gdy człowiek jest trędowaty, nikt mu niczego nigdy nie chce zdradzić. Dość prędko jednak wykryłem, że chłopaki z III KM i z III GL co chwila zmieniają drużyny na chybił trafił. Paul White (III GL) z dużej odległości strzelił samobója. Gavin Coley widowiskowo zanurkował, tyle że nie tam, gdzie trzeba. Kiedy Ross Wilcox sfaulował Oswalda Wyre'a (ze swojej drużyny) na naszym polu karnym, bramkę strzelił nie kto inny, tylko Neal Brose (z naszej drużyny). Pan McNamara chyba się połapał, że sobie z niego robią wielkie jaja. Ale może na swojej pierwszej

lekcji solo nie miał chęci się nas czepiać.

No i się zaczęło faulowanie.

Wayne Nashend i Christopher Twyford z dwu stron wskoczyli Carlowi Norrestowi na ramiona. Gnąc się pod ich ciężarem, Carl Norrest wrzasnął wniebogłosy.

— Proszę pana! – Wayne Nashend odskoczył pierwszy. – Norrest mi podłożył nogę! Czerwona kartka, proszę pana!

McNamara spojrział na zdeptanego i upapranego błotem Carla Norresta.

— Chłopaki, szkoda czasu!

Przez cały mecz starałem się trzymać piłki na tyle blisko, żeby mnie nie przyłapali na symulowaniu, a na tyle daleko, żebym jej nie musiał kopać. Ledwie zdążyłem się obejrzeć, kiedy ktoś podleciał ciężkim kłusem i dał mi mocnego kopa, aż się wygrzmociłem w błoto prosto na pysk.

— Najedź się, Taylor! – krzyknął Ross Wilcox, któż by inny.

— Glisty kochają glebę! – krzyknął Gary Drake, któż by inny.

Chciałem się jakoś przekopyrtnąć, ale mnie przysiedli z całej siły.

— Ej! – zagwizdał pan McNamara. – Ty tam!

Wtedy mnie puścili. Podniosłem się, roztrzęsiony klęską.

Ross Wilcox wskazał na siebie:

— Kto? Ja, proszę pana?

— Nie: obaj! – McNamara przybiegł do nas. (Wszyscy porzucili futbol, żeby popatrzeć na tę nową dyscyplinę). – W co wy tu, u licha, pogrywacie?

— Przyznaję, chcieliśmy go lekko przyblokować – odparł z uśmiechem Gary Drake.

— Piłka była z drugiej strony!

— Naprawdę, proszę pana – powiedział Ross Wilcox. – Myślałem właśnie, że ma piłkę. Ślepy jestem jak kret bez tych okularów...

(Wilcox nie nosi okularów).

— Zwaliłeś chłopaka z nóg według zasad rugby?

— Zdawało mi się, że gramy w rugby, proszę pana.

(Widownia zarechotała).

— Ho, ho, znalazł się dowcipniś!

— No nie, skąd, proszę pana! Teraz już będę wiedział, że to futbol. Ale jak blokowałem, zdawało mi się, że rugby.

— Ja też – Gary Drake zaczął podskakiwać w miejscu, jak przystało na atletę. – Ogarnął nas duch współzawodnictwa, proszę pana. No, tak nas poniosło. Pot równa się sukces!

— Słusznie! Raz-dwa do mostu, obaj, wybiegać głupie myśli!

— On nas namówił, proszę pana – Ross Wilcox wskazał palcem Darrena Croome'a. – Jeśli nie ukarze pan też jego, odpuści pan prowodyrowi...

Cep Darren Croome się cofnął.

— Wszyscy trzej! – tu znowu pan McNamara wykazał brak doświadczenia. – Do mostu i z powrotem! Start! A wam – zwrócił się do reszty – kto powiedział, że to koniec rozgrywki? No, już, już, ruszać się, zwawo!

Most to zwyczajna kładka łącząca kraniec szkolnego placu zabaw z wiejską drogą, która wiedzie aż do Upton nad Severnem. „Do mostu!” to standardowa kara, jaką wymierza nam pan Carver. Wyraźnie wszystko widać, tak że nauczyciel wie, czy skazańcy pokonali cały dystans. Pan McNamara z powrotem wziął się do sędziowania, więc nie mógł spostrzec, że Gary Drake, Ross Wilcox i Darren Croome polecili do mostu, tyle że – zamiast zawrócić – normalnie się ulotnili.

Wdechowo. Urwanie się ze szkoły w czasie lekcji to przestępstwo na tyle poważne, aby zostać wezwanym przed oblicze pana Nixona. A gdyby wmieszał się on w sprawę, do końca zajęć miałbym święty spokój.

Bez Gary'ego Drake'a i Rossa Wilcoksa nie było mowy o sabotażu – i mecz toczył się jak zwykle. III GL zdobyła trzy gole, a III KM cztery.

Pan McNamara przypomniał sobie o trzech chłopakach, wysłanych do mostu i z powrotem, dopiero po czterdziestu minutach, gdy pod ścianą magazynu ze sprzętem sportowym ścieraliśmy błocko z butów.

— Gdzie się, u diabła, podziały te trzy pajace?

Nie pisałem słowa.

— Gdzieście się, pajace, podziewali, u diabła?

Wilcox z Drake'em i Croome'em wrócili, ziejąc papierochowym dymem oraz miętówkami. Spojrzeli na pana McNamarę i po sobie, niby zakłopotani. Gary Drake odpowiedział:

— Na moście, proszę pana. Tam, gdzie nam pan kazał.

— Dwadzieścia minut w jedną stronę, proszę pana – dodał Ross Wilcox. – I dwadzieścia na powrót.

— Czy wy mnie, chłopcy, uważacie za kretyna?

— Ale skąd, proszę pana! – Ross Wilcox udał, że jest urażony. – Uczy nas pan wychowania fizycznego.

— Jak również pobierał pan nauki na uniwersytecie Loughborough – wtrącił Gary Drake. – Najznamienitszej w kraju sportowej uczelni.

— Oj, jeszcze się zdziwicie, chłopcy, co was za to czeka! – z wściekłości panu McNamarze pociemniała twarz i zapłonęły oczy. – Pod żadnym pozorem nie możecie bez pozwolenia opuszczać terenu szkoły!

— Ale przecież – odpowiedział Gary Drake – pan nam kazał.

— Nic podobnego!

— Kazał nam pan lecieć do mostu i z powrotem. Więc pobiegliśmy do mostu nad rzeką Severn. W Upton. Jak pan sobie życzył.

— Do Upton? Byliście nad rzeką! W Upton? (Pan McNamara oczyma duszy ujrzał nagłówek na pierwszej stronie „Gońca Malvern”: „PRAKTYKANT WYSYŁA TRZECH CHŁOPCÓW NA ŚMIERĆ PRZEZ UTONIĘCIE”). Debile, chodziło mi o kładkę, czyli mostek! Przy kortach tenisowych! Po cóż miałbym was ganiać aż do Upton?! Bez opieki!!!

Ross Wilcox nawet okiem nie mrugnął.

— Pot równa się sukces, proszę pana.

Pan McNamara widać postanowił obejść się remisem:

— Macie, chłopaki, masę problemów, z których największym jestem ja!

Kiedy już się schował w kanciapie pana Carvera, Ross Wilcox z Garym Drake'em zaczęli coś szeptać do twardzieli oraz tak zwanych pośrednich. Po chwili Wilcox zawołał:

— I raz, i dwa, i raz-dwa, i trzy-cztery!

Na co wszyscy z wyjątkiem nas, trędowatych, zaśpiewali na melodię *John Brown's Body*:

*Pan McNamara w dupsko bardzo lubi,
Pan McNamara w dupsko bardzo lubi,
Pan McNamara w dupsko bardzo lubi,
I ciebie z wielką chęcią przerznie tam – tam –
tamże!*

*McNamarze chwała, chwała!
W dupie Carvera siedzi jego pała!
Ojca nawet własnego przerznął, wałach!
I ciebie z wielką chęcią przerznie tam – tam –
tamże!*

Za trzecim bisem pieśń znacznie przybrała na sile. Pewno chłopaki stwierdzili: „Nie mogę stchórzyć, bo wyjdę na Jasona Taylora”. A może zbiorowy bunt ma to do siebie, że nie uznaje opornych i tak ich jakby wsysa? Może bunt to zjawisko tak wiekowe, jak myśliwy w pieczarze? Bunt przecież syci się krwią.

Drzwi przebieralni otwały się z trzaskiem.

Pieśń momentalnie udała, że nigdy się nie rozległa.

Drzwi odbiły się od gumowej blokady na ścianie – wałąc pana McNamarę w twarz.

Odgłos tłumionego śmiechu czterdziestu paru chłopaków mimo wszystko słyhać.

— Nie mogę zwyzywać was od świń – wrzasnął pan McNamara – bo świnia to zacne zwierzę!

— Oooooo! – zadrżały mury.

Wściekłość bywa straszna, ale też komiczna.

Zrobiło mi się żal pana McNamary. Jesteśmy tacy sami, w pewnym sensie.

— Który... – McNamara ugryzł się w język, by nie wypowiedzieć słowa, przez które straciłby pracę – ...gałgan

ma odwagę stanąć mi naprzeciw i powtórzyć obelgę? W tej chwili?

Tu zapadła długa i szydercza cisza.

— No, już! Śpiewać. Proszę ŚPIEWAĆ! – od tego krzyku pan McNamara zdał sobie pewnie całe gardło; rzecz jasna, zabrzmiało to gniewnie, ale według mnie też rozpaczliwie. Pan McNamara na pewno wyobrażał sobie jeszcze czterdzieści lat takiego piekła. Aż nagle, spojrzawszy po twarzach swoich dręczycieli, wymyślił nową strategię: – Ty!

Ku memu przerażeniu, było to skierowane do mnie.

Pan McNamara chyba sobie przypomniał, że to właśnie mnie próbowano wdeptać w błoto. I uznał, że ja właśnie zakapuję.

— Nazwiska.

Skurczyłem się jak pod spojrzeniem osiemdziesięciu diabolicznych ślepi.

Żelazna reguła brzmi: „Nie wolno podawać nazwisk, bo ktoś może się przez to znaleźć w tarapatkach, nawet jeżeli na to zasługuje”. Nauczyciele jej nie rozumieją.

McNamara skrzyżował ramiona.

— Czekam.

Mój głos zabrzmiał cicho jak chrobot pajęczka:

— Nic nie widziałem, proszę pana.

— Powtarzam: NAZWISKA! – pan McNamara zacisnął dłoń w pięść; ręka aż mu się trzęsała. Niewiele brakowało, a by mi przyładował. Wtem przebieralnia pogrążyła się w mroku. Jak podczas zaćmienia słońca.

— Czy to ten uczeń – pan Nixon zwrócił się do McNamary – jest w pańskiej sprawie głównym winowajcą, głównym podejrzanym czy krnąbrnym informatorem?

(W ciągu dziesięciu sekund miało się rozstrzygnąć, czy zostanie ze mnie miazga, czy też zyskam względny spokój).

— Mówi – pan McNamara z trudem przełknął ślinę, czując, że jego świetlana kariera lada moment może legnąć w gruzach – że „nie widział”, panie dyrektorze.

— Aż tak ślepi to oni nie są, zapewniam – splótłszy ręce

za plecami, pan Nixon postąpił parę kroków naprzód, a wystraszone bractwo skuliło się w ławkach. – Przed chwilą dzwoniłem do kolegi z Droitwich. Nagle zostałem zmuszony przeprosić go i przerwać rozmowę. Ciekawe, kto z was zgadnie dlaczego? (Wszyscy – nawet pan McNamara – wbili wzrok w zakurzoną podłogę. Jedno tylko spojrzenie pana Nixona groziło przejściem w stan lotny). Otóż zakończyłem tę rozmowę ze względu na dochodzące stąd infantylne ryki. Dosłownie przestałem słyszeć własne myśli. Nie obchodzi mnie jednak, kto był tu prowodyrem. Nie obchodzi mnie również, kto ryczał, kto nucił, a kto siedział cicho. Obchodzi mnie natomiast – i to bardzo – że pan McNamara, który jest u nas gościem, przekaże swoim przełożonym, nawiasem mówiąc, zasadnie, że kieruję jakąś chuligańską menażerią. I za tę zniewagę mojego dobrego imienia ukazę was wszystkich – pan Nixon uniósł podbródek o pół centymetra, aż się wzdrygnęliśmy („Panie dyrektorze, błagam! Ja nie mam z tym nic wspólnego!”). Wprawdzie nie miał zamiaru pytać nas o zdanie, ale też wszyscy mieliśmy dość oleju w głowie, aby się nie odezwać. – Wiedźcie, że tych astronomicznych pieniędzy nie płacą mi za prawość. Dostaję astronomiczną pensję, aby podtrzymywać poziom. Poziom, który właśnie – złowieszczo strzelił kostkami zaplecionych dłoni – wdeptaliście w błoto. W czasach bardziej oświeconych poczucia przyzwoitości nauczyłoby was solidne lanie. Ale że wielcy z Westminsteru pozbawili nas tego instrumentu, trzeba będzie pomyśleć nad bardziej uciążliwą karą – pan Nixon nacisnął kłamkę. – Czekam w starej sali gimnastycznej. Kwadrans po dwunastej. Spóźnialskich czeka tygodniowa koza. Nieobecni zostaną usunięci. To tyle.

Od września tego roku obiady jadamy w stołówce. Nad drzwiami jadalni przybito tabliczkę z napisem: „STOŁÓWKA RITZ SERWÓJE DANIA NAJWYRZSZEJ JAKOŚCI”, ale odór octu i smażenia daje po nosie nawet w szatni. Pod napisem uśmiechnięta świnka w czapce szefa kuchni niesie półmisek wędlin. W jadłospisie są frytki, fasolka, hamburgery, kiełbaski

i sadzone jajka. Na deser podają lody z gruszkami albo brzoskwiniami z puszek. Do picia – pepsi bez gazu, sok pomarańczowy barwy rzygów oraz letnia woda. W zeszłym tygodniu Clive Pike znalazł w hamburgerze połówkę krocionoga, i to jeszcze żywą. Co gorsza, nie udało mu się znaleźć drugiej.

Ledwie stanąłem w kolejce, zaraz zaczęli mi się przyglądać. Jacyś dwaj pierwszorocznicy nawet już nie próbowali tłumić śmiechu. Było wiadomo wszem i wobec, że to dzień mojej klęski. Nawet panie kucharki popatrywały na mnie z za lśniącego kontuaru jak czarownice. Coś się chyba stało. Nie miałem pojęcia, co, dopóki nie usiadłem z tacką przy stole trędowatych, koło Deana Morana.

— Yyy... masz coś na plecach, Jace...

Kiedy zdjąłem blezer, stołówką „Ritz” wstrząsnął wybuch śmiechu, potężny. Na plecach miałem dziesięć naklejek. Na każdej widniało słowo „GLISTA” wypisane innym kolorem i przez kogo innego. Postanowiłem zachowywać się jakby nigdy nic. Aby im tylko nie dać satysfakcji. Gdy rechot nieco ucichł, pozrywałem naklejki i pod stołem podarłem je na strzępy.

— Nie zwracaj uwagi na tych wałów – poradził mi Dean Moran i momentalnie dostał w policzek tłustą frytką. – Ale śmieszne! – wykrzyknął w stronę, z której wystrzelono pocisk.

— No – odkrzyknął Ant Little zza stołu Rossa Wilcoxsa. – Też tak uważamy.

W naszą stronę poleciały trzy czy cztery frytki. Do sali weszła pani Ronkswood, aby powstrzymać bombardowanie.

— Ej... – w przeciwieństwie do mnie Dean Moran umie ignorować takie rzeczy. – Już wiesz?

Z ponurą miną zacząłem zeskrobywać z widelca jakieś zaschnięte resztki.

— Ale co?

— O Debby Crombie.

— A co z Debby Crombie?

— No, przystąpiła do klubu, rozumiesz, co nie?

— Koszykówki?

— Do klubu! – szepnął Dean. – Ciężarówek!!!

— Debby Crombie jest w ciąży? Będzie miała dziecko?

— Mów ciszej! Wygląda to tak. Tracy Swinyard kumpluje się z rejestratorką ze szpitala w Upton. No i dwa dni temu chlały razem w „Czarnym Łabędziu”. Po jednym czy po pięciu głębszych Debby Crombie kazała Tracy Swinyard przysiąc na śmierć i życie i się jej zwierzyła. Tracy Swinyard wygadała mojej siostrze, a Kelly powiedziała mi to dzisiaj przy śniadaniu. Musiałem przysięgać na grób babci, że się nie wygada.

(Grób babci Morana zaśmiecają nie dotrzymane słowa).

— Kto jest ojcem?

— Do tego nie trzeba aż Sherlocka Holmesa. Po Tomie Yewie Debby Crombie nie chodziła z nikim, co nie?

— Ale przecież Tom Yew zginął w czerwcu.

— Aha, ale chyba w kwietniu był w Black Swan Green, co nie? Na przepustce. Więc pewnie wtedy wpompował jej w tyłek te kijanki...

— Czyli że ojciec dziecka Debby Crombie zmarł grubo przed jego urodzeniem, tak?

— Przecież to woła o pomstę do nieba! Isaac Pye powiedział, że na jej miejscu przerwałby tę ciążę, ale mama Dawn Madden mówi, że aborcja to zbrodnia. Tak czy owak, Debby Crombie powiedziała lekarzowi, że choćby nie wiadomo co, urodzi to dziecko. Według Kelly, na pewno pomogą jej w wychowaniu państwo Yewowie. To taka jakby częśćka Toma, więc chociaż trochę się pocieszą...

Świat co rusz zasuwa tego typu – smętny – dowcip.

„W życiu się tak nie uśmiełem” – wtrącił mój Nienarodzony Bliźniak.

Przełknąłem jajko oraz frytki, żeby zdążyć do starej sali gimnastycznej na dwunastą piętnaście.

Prawie cała nasza szkoła została zbudowana w ciągu minionych trzydziestu lat, ale jest też taka starsza część; ogólniak z epoki wiktoriańskiej – i stara sala gimnastyczna mieści się właśnie tam. W zasadzie już się z niej nie korzysta. W wietrzne

dni z dachu spadają dachówki. W styczniu niewiele brakowało, a dostałaby w łeb Lucy Sneads, ale jak na razie ofiar śmiertelnych nie było. Choć w starej sali gimnastycznej umarł jeden pierwszoroczny. Nękali go tak strasznie, że się powiesił na krawacie. Wysoko, tam, skąd zwisają liny gimnastyczne. Pete Redmarley zaklina się, że przed trzema laty, podczas burzy, widział go, jak tam wisi, nie całkiem jeszcze martwy. Chłopak – już ze złamanym karkiem – spazmatycznie rzucał głową i kopał nogami trzy metry nad ziemią. Był blady jak płótno, caluteńki, prócz czerwonego śladu wokół szyi, tam gdzie wżarł się krawat. Ale oczy jego obserwowały Pete’a Redmarleya. Od tego czasu Pete Redmarley nawet nie zagląda do starej sali gimnastycznej.

Nieważne. Więc nasza klasa i III GL czekały na dziedzińcu. Chciałem się podłączyć do rozmowy Christophera Twyforda, Neala Brose’a i Davida Ockeridge’a o *Brudnym Harrym*. *Brudny Harry* był w sobotę w telewizji. Jest tam taka scena, w której Clint Eastwood chce zastrzelić bandziora, ale nie wie, czy ma jeszcze nabój w magazynku.

— No – wciąłem się po chwili. – To była potęga.

Christopher Twyford i David Ockeridge spojrzeli wzrokiem mówiącym: „Guzik nas obchodzi, co ty o tym myślisz”.

— Nikt – oznajmił Neal Brose – już nie mówi „potęga”, Taylor.

Dziedzińcem przeszli: pan Nixon, pan Kempsey i pani Glynch. Szykowała się grubsza awantura. Krzesła w sali gimnastycznej ustawiono rzędami, jak przed egzaminem. Po lewej siadła III KM, a III GL po prawej.

— Czy ktoś – zaczął pan Nixon – uważa, że jest tutaj zbędny?

Równie dobrze mógłby spytać: „Czy ktoś ma ochotę strzelić sobie w rzepki kolanowe?”.

Nikt nie dał się podpuścić.

Pani Glynch przemawiała głównie do III GL:

— Zawiedliście ciało pedagogiczne, zawiedliście szkołę, jak również zawiedliście samych siebie...

Później pan Kempsey wziął w obroty naszą klasę.

— Uczę już dwadzieścia sześć lat, ale nie przypominam sobie

czegoś równie obmierzłego. Zachowaliście się jak banda chuliganów...

Trwało to do dwunastej trzydzieści.

Mrok rozjaśniały brudne prostokątne okna.

Oto jak wygląda nuda.

— Zostaniecie na miejscach – pouczył nas pan Nixon – do dzwonka o trzynastej. Nikomu nie wolno się ruszać. Nikomu nie wolno rozmawiać. Że co: że ktoś zechce nagle się załatwić?... Skoro chcieliście upokorzyć nauczyciela z mojej szkoły, sami teraz musicie wykazać się pokorą. Wyniesiecie się stąd dopiero po dzwonku. Będziecie zostawali w szkole do końca tygodnia, w porze lunchu. (Ze strachu nikt nawet nie jęknął). Że jaki niby sens ma owa kara bierna? Taki, by dotarło do was, że w naszej szkole nie toleruje się represjonowania przez większość kilku – czy choćby jednej osoby!

Po tych słowach pan dyrektor się oddalił. Pan Kempsey i pani Glynch zajęli się poprawianiem zadań. Ciszę w sali gimnastycznej mąciło tylko skrobanie po papierze, burczenie w naszych brzuchach, bzyczenie uwięzionych w reflektorkach much i dochodzące z oddali krzyki wolnych uczniów. Duża wskazówka wrogiego zegara drgała, drgała, drgała, drgała. Był on najprawdopodobniej ostatnią rzeczą na świecie, jaką widział tamten chłopak samobójca.

Dzięki karze, jaką nam wyznaczył pan dyrektor, przynajmniej przez parę dni Ross Wilcox będzie zmuszony dać mi spokój. Normalnie to każdy miałby cykora, gdyby mu kazano siedzieć w kozie aż pięć dni z rzędu... A może pan Nixon stwierdził, że go wyręczymy, bo w końcu sami ukarzymy prowodyrów? Ukradkiem spojrziałem na Rossa Wilcoxsa.

Ross Wilcox chyba się na mnie gapił już od dłuższej chwili.

„Spierdalaj” – pokazał mi palcami, dodając bezgłośnie:

Glisto.

— „Mam w ręku... – Jack odwrócił się gwałtownie. – Zamknij się!” – Kurde: „zabrał” coraz bliżej. – „Prosiaczek umilkł. Ralf...” – W panice postanowiłem się posłużyć metodą potykania, która

polega na tym, że literę, na której można się zająknąć, trzeba tak jakby wtopić w następującą po niej samogłoskę i wtedy wyraz jako-tako wychodzi. – „...z-z-z-abrał mu konchę i spojrzał na krąg chłopców”.

Zlany zimnym potem, spojrzałem na pana Monka, praktykanta, który uczy nas angielskiego. Pani Lippetts nigdy nie każe mi czytać na głos, tylko że pani Lippetts wyszła do pokoju nauczycielskiego – i widocznie nie powiedziała panu Monkowi, że tak się umówiliśmy.

— Dobrze – pan Monk starał się nie stracić cierpliwości. – Dalej.

— „Musimy wyznaczyć specjalną grupę do pilnowania ognia”. (Nie mam pojęcia, czemu wyrazy na „s”, po których jest spółgłoska, wypowiada się łatwiej niż te, gdzie następuje samogłoska). „Każdej chwili – przełknąłem ślinę – m-m-może pokazać się okręt – machnął ręką ku rozciągniętej linii horyzontu – i jeśli będziemy dawali sygnały, przyplynie i zabierze nas”. (Kat dał mi przeczytać „sygnały”, tak jak zwycięski bokser dla zabawy godzi się, aby pokonany przyłożył mu choć ze dwa razy). „I jeszcze jedna rzecz. Powinniśmy ustanowić więcej praw. Tam, gdzie jest koncha, tam jest zgromadzenie. Tak s-s-samo tu, jak na dole. – Wyrazili...” (Kurde, kurde, kurde. Teraz znów nie mogłem wypowiedzieć: „zgodę”). Yyy...

— „Zgodę” – dopowiedział pan Monk, zdumiony, że uczeń ze starszej klasy nie umie przeczytać tak prostego słowa.

Wbrew oczekiwaniu pana Monka, nie byłem aż tak głupi, aby to powtórzyć.

— „Prosiaczek otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale pochwycił w-w-wzrok Jacka i zamknął je z powrotem”. (Nie było szans, że ukryję jąkanie. Kat szykował się na wielki triumf. Tak że po prostu przy „wzroku” znów musiałem posłużyć się metodą uderzeniową. Wyrzucanie słowa za pomocą brutalnej siły to ostatnia deska ratunku, gdy twarz normalnie tężeje. A jeśli Kat zacznie przypadkiem wślaczać dany wyraz jeszcze mocniej, człowiek utyka i właśnie wtedy wychodzi na klasycznego jąkałę).

„Jack wyciągnął ręce po konchę i...” (duszność, jakby miało się na głowie plastikowy worek) „...w-w-wstał, ostrożnie trzymając delikatny przedmiot w czarnych od...” (uszy aż nabrzmiały mi z napięcia) „s-s-sadzy dłoniach”. (Zgadzam się z Ralfem. Musimy ustanowić prawa i szanować je. Ostatecznie nie jesteśmy przecież...)

— Przepraszam, proszę pana... – nie miałem wyboru. – Co tu jest napisane?

— „Dzikusami”?

— Dziękuję. – Pożałowałem, że nie starcza mi odwagi, by wetknąć sobie w gały dwa pióra kulkowe Pentel i grzmotnąć łbem o ławkę. Byle tylko się to już skończyło. – „Jesteśmy Anglikami, a Anglicy we wszystkim są najlepsi”. Yyy... „M-m-musimy więc robić to, co trzeba”.

Do klasy weszła pani Lippetts – i zareagowała momentalnie.

— Już wystarczy, Jason.

Nikt w klasie nawet nie pisnął, że „niby czemu Jason miałby się tak łatwo wykpić?”.

— Proszę pani – zgłosił się Gary Drake.

— Tak, Gary?

— Ten fragment jest genialny. Naprawdę, aż mnie ciarki przeszły. Pozwoli mi pani czytać dalej?

— Miło mi, Gary, że ci się podoba. Czytaj, proszę.

Gary Drake odchrząknął.

— „Ralf, podzielę chór – to znaczy moich myśliwych – na grupy i zajmiemy się podtrzymywaniem ognia”. – Odczytał Gary Drake z przesadną starannością, żeby to, co nastąpi, było odpowiednio wyraziste. – „Ta wielk-k-k-k-koduszność wznieciła burzę oklas-s-s-s-s-S-S-S-S-S-ków”... (Dopiął swego. Chłopacy już chichotali, a dziewczyny zaczęły popatrywać w moją stronę. Głowy o mało nie rozsadził mi wybuch sromotnego wstydu), „...a Jack uś-ś-ś-ś-śmiechnął się do...”^[6]

— Gary Drake’u!

Przybrał wyraz niewiniątka.

— Słucham, proszę pani?

Klasa spojrzała na Gary'ego Drake'a i na mnie. „Czy Taylor – szkolny jękała zaraz się rozbeczy?” Przypięto mi łatkę, której sobie nie odepnę nigdy w życiu.

— Czy sądzisz, że to zabawne? – odpowiedziała pani Lippetts.

— Przepraszam – Gary Drake uśmiechnął się bez uśmiechu. – Chyba skądś podłapałem to straszne jękanie...

Christopher Twyford i Leon Cutler zatrzęśli się, tłumiąc rechot.

— Wy lepiej siedźcie cicho! – i ucichli. Pani Lippetts nie jest naiwna. Gdyby teraz wysłała Gary'ego Drake'a do pana Nixona, o jego wygłupie zrobiłoby się głośno w całej szkole. O ile już nie jest. – To jedynie wyraz twojej nikczemnej, niedorzecznej i w najwyższym stopniu tępej słabości – upomniała Gary'ego Drake'a pani Lippetts.

Reszta słów ze stronicy czterdziestej pierwszej *Władcy much* zerwała się, bzycząc, i całutką twarz jakby mi obsiadły pszczoły.

Siódmą i ósmą godzinę zajęło wychowanie muzyczne z naszym wychowawcą, panem Kempseyem. Stałe miejsce obok Marka Badbury'ego zajął mi Alastair Nurton, bez słowa więc usiadłem z Carlem Norrestem, Władcą Trędowatych. Nicholas Briar i Floyd Chaceley są trędowaci od zarania, prawie już jak małżeństwo. Pan Kempsey wciąż był na nas wściekły za aferę McNamary. Gdy wyskandowaliśmy: „Dzień dobry, panie Kempsey” – cisnął w nas zeszytami, tak jak w *Goldfinger* Oddjob rzuca kapeluszem.

— Nie bardzo pojmuję, co „dobrego” ma być w dniu, w którym pogwałciliście naczelną zasadę państwowej szkoły średniej. Tę mianowicie, że domniemana śmietanka intelektualna winna jest swym przednim smakiem wzbogacać wyborną uczniowską dyscyplinę, nadawać jej aromat. Rozdaj podręczniki – nakazał Avril Bredon. – Rozdział trzeci. Czas nam powiesić i poćwiartować Ludwiga van Beethovena. (Na wychowaniu muzycznym właściwie się nie muzykuje. W tym semestrze nic tylko przepisujemy kawałki z *Żywotów słynnych kompozytorów*. No a pan Kempsey wyciąga z szafki gramofon

i puszcza płytę z największymi hitami przerabianego w danym tygodniu kompozytora, poprzedzając je niesamowicie elegancką zapowiedzią).

— Pamiętajcie – ostrzegł pan Kempsey – aby życiorys przepisać własnymi słowami.

Każdy nauczyciel przypomina o tych „własnych słowach”, czego nienawidzę. Autorzy książek ujmują wszystko bardzo zwięźle, bo w końcu na tym polega ich praca. Więc po co to rozgrzebywać? Tylko po to, żeby później składać na nowo, a bez sensu? Jak niby powiedzieć *capelmeister*, skoro wyrazem *capelmeister* posłużyć się nie wolno?

Na zajęciach z panem Kempseyem raczej nikt się za bardzo nie wychyla, ale dziś nastrój był taki, jakby ktoś umarł. Tylko jedna nowa uczennica, Holly Deblin, spytała, czy może na chwilę wyjść do gabinetu lekarskiego. Pan Kempsey wskazał jej drzwi i powiedział:

— Idź.

Dziewczyny z trzecich klas mogą wychodzić do gabinetu albo do toalety o wiele częściej niż chłopcy. Duncan Priest mówi, że ma to związek z miesiączką. Miesiączka jest jakby tajemnicą. Dziewczyny nigdy nie rozmawiają o niej przy chłopakach. Chłopcy rzadko robią sobie jaja z miesiączki, żeby się nie wydało, jak mało o niej wiedzą.

Najciekawsza w tym rozdziale *Żywotów słynnych kompozytorów* była postępująca głuchota Beethovena. Kompozytorzy tracili pół życia na wędrownościach po Niemczech – zbierając zamówienia od różnych arcybiskupów oraz arcyksiążąt. Drugą połowę spędzali chyba w kościele. (Chłopcy śpiewający w chórze kościelnym Bacha wiele lat po jego śmierci pakowali sobie kanapki w oryginalne rękopisy. Poza tym na temat muzyki w tym semestrze nie nauczyłem się nic więcej). Z żywotem Beethovena bez trudu uporałem się w ciągu czterdziestu minut, znacznie prędzej niż reszta klasy.

— Skomponowana w roku tysiąc siedemset osiemdziesiątym drugim *Sonata księżycowa* – oznajmił najwytworniejszy głos

na świecie – należy do ulubionych pozycji w całym repertuarze pianistycznym. Przywołuje obraz księżycy nad spokojnymi falami tuż po przejściu burzy.

Przy dźwiękach muzyki Beethovena zakiełkował we mnie wiersz. O tytule *Pamiętki*. Pożałowałem, że nie mogę go zapisać w brulionie, no ale w klasie, i to jeszcze w takim dniu, po prostu nie miałem dość śmiałości. (Więc nie zostało mi z niego prawie nic, tylko: „Promienie słońca na falach jak uśpione błyskotki”. Jeśli sobie człowiek czegoś od razu nie zapisze, to potem ma za swoje).

— Taylor – pan Kempsey spostrzegł, że od dłuższej chwili nie zajmuję się zadaniem. – Pójdiesz coś załatwić.

Podczas lekcji szkolne korytarze są trochę złowrogie. Tam, gdzie zwykle jest najgłośniejsze, panuje kamienna cisza. Tak jakby po wybuchu bomby nuklearnej wyparowało wszelkie życie, a budynek został nietknięty. Stłumione głosy, które się wtedy słyszy, nie dochodzą z klas, tylko z przestrzeni pomiędzy życiem a śmiercią. Najkrótsza trasa do pokoju nauczycielskiego wiodła przez dziedziniec, ale ja wybrałem dłuższą, przez starą salę gimnastyczną. Zazwyczaj załatwia się coś nauczycielom w jakby przejściowej porze, kiedy nie ma mowy, żeby się ktoś doczepił; jest to coś takiego, jak Free Parking w monopolu. Chciałem więc jak najbardziej rozciągnąć to sobie w czasie. Nogi tupotały po tej samej wytartej podłodze, po której kiedyś chłopcy fikali koziółki, zanim wysłano ich na śmierć przez zagazowanie podczas pierwszej wojny. Jedną ścianę starej sali gimnastycznej zastawia wielki stos krzeseł, ale za to na drugiej są drewniane drabinki, po których można się wspinać. Coś mnie podkusiło, aby wyrzeć przez okno na samej górze. Nie ryzykowałem wiele. Gdybym nagle usłyszał, że ktoś idzie, spokojnie bym zeskoczył na dół.

Choć gdy się już tam wyjdzie, odległość od podłogi wydaje się większa.

Nie myte latami szyby aż poszarzały z brudu.

Światło popołudnia przybrało ciemnopopielaty odcień.

Tak bardzo ciemny i tak popielaty, że deszcz po prostu nie

mógł nie spać. Wszechświat okrążyły dźwięki sonaty Beethovena. Na rurze odpływowej stłoczyły się gawrony, zapatrzone w śpiące przed głównym wejściem szkolne autobusy. Gawrony o minach zarozumiałych, znudzonych i złych jak gromada punków pod pomnikiem w Upton.

„Jak się kto urodzi Glistą – rzekł szyderczo Nienarodzony Bliźniak – zostanie Glistą już do końca życia”.

Zakłuło mnie za uszami od wzbierającej ulewy.

Piątek jeszcze się nie kończy, jasna sprawa. Gdy jednak dotrę do domu, weekend zacznie się kurczyć, z każdą minutą zapowiadając rychłe nadejście poniedziałku. I znów czeka mnie pięć dni jak dzisiejszy, gorszych od dzisiejszego, o wiele, wiele gorszych.

„Powieś się”.

— Masz szczęście, Taylor – rozległ się dziewczęcy głos i o mało nie runąłem na ziemię z wysokości czterech i pół metra, by się zmienić w kupę pogruchatanych piszczeli – że nie jestem nauczycielką na obchodzie...

Spojrzałem w dół, gdzie spoglądała w górę Holly Deblin.

— No, raczej.

— A co: nie masz lekcji?

— Kempsey wysłał mnie po gwizdek – zgramoliłem się na ziemię. Co prawda Holly Deblin to dziewczyna, ale jest mojego wzrostu. Nikt w szkole nie rzuca oszczepem tak daleko jak ona. – Bo dziś on pilnuje wsiadania do autobusu. Już się lepiej czujesz?

— Musiałam się na chwilę położyć. A ty? Dają ci popalić, co? Wilcox, Drake, Brose i inni...

Nie było sensu zaprzeczać, ale też potwierdzając, poczułbym się jeszcze gorzej.

— To kretyni, Taylor.

Mrok w starej sali gimnastycznej rozmiękczył sylwetkę Holly Deblin.

— Jasne, że kretyni, ale co mi z tego?

Czy wtedy usłyszałem pierwszy odgłos deszczu?

— Wcale nie jesteś glistą. Nie gódź się, żeby ci coś takiego

wmawiała banda kretynów.

Za zegarem, pod którym stają za karę nieposłuszni uczniowie, i za sekretariatem, skąd gospodarze klas przynoszą dziennik, jest długi korytarz prowadzący do pokoju nauczycielskiego. Zbliżając się tam, słabłem z każdym krokiem. Stalowe drzwi były dziś lekko uchylone. Spostrzegłem niskie krzesła. I czarne kalosze pana Whitlocka. Z wnętrza buchały kłęby papierosowego dymu, jak londyńska mgła za czasów Kuby Rozpruwacza. Tuż za drzwiami uła jest kącik, gdzie ważniejsi nauczyciele mają swoje biurka.

— Słucham? – pan Dunwoody od plastyki mrugnął na mnie smoczymi ślepiami. Nad jego ramieniem zwieszała się więdnąca chryzantema. W rękę trzymał oprawioną jasnoczerwono książkę Georges'a Bataille'a *Historia oka*. – Jak sugeruje tytuł – rzekł, widząc, że zwróciła moją uwagę – jest poświęcona historii optyki. Co cię tu sprowadza?

— Pan Kempsey przysłał mnie po swój gwizdek, proszę pana.

— Aha: „Gwizdnij, a przybędę, chłopcze”, tak?

— No, chyba, proszę pana. Powiedział, że leży na biurku. Na jakimś pilnym dokumencie.

— Czyżby – wetknąwszy sobie w czerwony nochal inhalator Wick, pan Dunwoody zaciągnął się potężnie – pan Kempsey chciał wybyć ze szkoły, póki mu jeszcze nie dolega serce? Do Snowdonii, pasać owce? Ze swym wiernym owczarkiem? „Ach, mieć tak mały domek w gór dziedzinie”? Czyżby z tego tytułu przysłał cię po swój gwizdek?

— Zdaje się, proszę pana, że będzie dziś pilnował wsiadania do autobusów.

— Końcowe ogniwo. Pod czułym wejrzeniem Baranka Bożego – po tych słowach pan Dunwoody wrócił do lektury *Historii oka*.

Ruszyłem przez pusty ul. Biurka upodabniają się do swoich właścicieli tak jak psy. Pan Inkberrow ma na biurku schludnie ułożone stosiki książek i papierów. Na biurku pana Whitlocka walają się tacki z niedojezdzonymi pestkami dyni i egzemplarze „Sporting Life”. Pan Kempsey ma w swym kąciku fotel obity

skórą, wyginaną lampkę do czytania jak mój tato i obrazek z Jezusem oświetlającym jakby tunel z bluszczu. Na biurku leżą: *Proste modlitwy w intencji złożonego świata*, *Thesaurus* Rogeta (na który tato Deana Morana mówi „Brontosaurus Rogera”) i Fenby’ego *Delius: As I knew him*. Gwizdek był dokładnie tam, gdzie go miałem szukać. A pod gwizdkiem – cienka kupka odbitek ksero z odbitek ksero. Wziąłem pierwszą z brzegu i złożoną wsunąłem do kieszeni blezera. Tak dla sportu.

Wbrew powszechnemu mniemaniu, uczniowie
tyranizujący kolegów ~~na ogół~~ na ogół
nie są tchórzami.

Szkolni tyrani to uczniowie wszelkiej maści.
Obserwuj ich. Gromadź informacje.

Uniknięcie jednego beznadziejnego konfliktu
nie stanowi o tchórzostwie.

Zabiegając o bezpieczeństwo i popularność,
stajesz się słaby i nadwrażliwy.

Co gorsze? Pogarda, bo masz donosicieli?
Cierpienie, jakie znoszą ofiary?

Być może prymitywów ukształtowała
prymitywna siła, której nie sprostasz.

Przebiegłość jako sprzymierzeniec.

Szacunek oparty na prawości możesz stracić
tylko na własne życzenie.

Nie śmieję się z tego, co nie uważasz za zabawne.

xxxx Nie popiera; zdania, z którym się nie zgadzasz.

Niezależni lgną do niezależnych.

Okres dojrzewania trwa tylko cztery lata.
Ty dożyjesz osiemdziesiątki.

— Czyżbyś poszukiwał igły w oceanie? – wyjrzał zza swego biurka pan Dunwoody. – Jak pewnie by to ujął członek społeczności azjatyckiej, zamiast „w stogu siana”?

Czyżby zauważył, że zwędziłem kartkę?

— Słucham?

— Perły przed wieprze? Czy gwizdek na biurku?

Machnąłem mu gwizdkiem przed oczyma.

— Właśnie go znalazłem, proszę pana...

— Z jakiej to przyczyny aż tak się ociągasz? Zrywem skrzydlatej mały niezwłocznie przekaż go prawowitemu właścicielowi. Prędziej!

Czekając w kolejce do autobusu do Black Swan Green, pierwszoklasiści grali w kasztany. W klasie pani Throckmorton byłem najzręczniejszym graczem. Ale trzecioroczni nie mogą grać w kasztany, bo to za bardzo pedalskie. Gra się albo w maimball, albo w nic. No, ale chociaż było na co popatrzeć. Ze strachu przed Wilcoxem nikt nawet się do mnie – czyli Szkolnego Jąkały, Jasona Glisty – nie odzywał. Po zapędzeniu do autobusu gromady z Birtsmorton, pan Kempsey zaczął gwizdkiem zwoływać dzieciaki z Black Swan Green. Ciekawe, czy specjalnie podłożył to ksero, licząc, że je zwinę. Kiedy człowiek stwierdza, że pan Kempsey jest w porządku, to on się nagle zachowuje jak ostatni pacan. A kiedy się myśli, że pan Kempsey to ostatni pacan, on wtedy zachowuje się całkiem fajnie.

Siadanie w trzecim rzędzie, licząc od przednich drzwi, jest dla chłopaka z trzeciej klasy stanowczo za bardzo dziewczynskie, ale siadanie w pobliżu bandy Wilcoxsa, w tyle, to najzwyczajniejsze szukanie guza. Chłopacy z warstwy średniej zgodnie ominęli puste miejsce przy mnie. Robin South z Gavinem Coleyem i Lee Biggsem nawet na mnie nie spojrzeli, a Oswald Wyre wypalił w moją stronę:

— Glista!

W popołudniowej mgle dzieciaki po drugiej stronie boiska, koło szopy z rowerami, zmieniły się w gromadę marionetkowych cieni.

— O, Jeeezu! – siadł ze mną Dean Moran. – Co za dzień!

— Spoko, Dean – z wdzięczności wobec niego poczułem się jeszcze gorzej.

— Wiesz, co ci powiem, Jace? Ten Murcot ma, cholera, nierówno pod sufitem! Przed chwilą, wiesz, byliśmy w stolarni, no i w pewnym momencie za oknem przeleciał samolot, a ten się drze na cały regulator: „Padnij! Sakramenckie Szkopy!”. Słowo daję, kazał się nam kłaść na ziemi! Myślisz, że już zdiadział?

— Kto wie.

Kierowca Norman Bates zapalił silnik i autobus ruszył. Dawn Madden z Andreą Bozard i jeszcze paroma dziewczynami zaczęły śpiewać: *The Lion Sleeps Tonight*. Gdy dojeżdżaliśmy do Welland Cross, otoczyła nas jeszcze gęstsza mgła.

— Chciałem cię zaprosić do domu na sobotę – powiedział Moran. – Tato kupił magnetowid od jednego gościa w pubie, w Tewkesbury.

Choć byłem pochłonięty własnymi kłopotami, wywarło to na mnie spore wrażenie:

— VHS czy Betamax?

— Jasne, że Betamax! VHS to przeżytek. Tylko że kiedy go wczoraj wyjęliśmy z pudła, okazało się, że w środku brak połowy części.

— Co na to twój ojciec?

— Zaraz pojechał autem do Tewkesbury, policzyć się z gościem, od którego kupił magnetowid. Tylko że on gdzieś wyparował.

— A może by w tym pubie ktoś coś wiedział?

— Nie. Pub zniknął tak samo.

— Jak to zniknął? Pub?

— No, nad wejściem kartka: „Koniec działalności”. Drzwi i okna pozamykane na kłódkę. I napis: „NA SPRZEDAŻ”. Tak znikają puby.

— Kurczę pieczone.

W zatoczce Danemoor Farm – mimo kopca żwiru, usypanego, by odstraszyć Cyganów – stało kilka przyczep. Nad ranem ich

tu nie było. Ale dzisiejszy ranek należał do innej epoki.

— Ale i tak możesz przyjść, jak chcesz. Mama ugotuje lunch. Trochę się powygłupiamy, co?

Wpierw jednak musiałem przeżyć wtorek, środę, czwartek i piątek.

— Dzięki.

Ross Wilcox i inni, przepychając się, wysiedli z autobusu i żaden nawet nie zerknął w moją stronę. Po drodze przez błonia stwierdziłem, że najgorszą część tego zasranego dnia już chyba mam za sobą.

— A gdzie ty się wybierasz, glisto jedna? – w cieniu dębu stał Ross Wilcox z Garym Drake’em, Antem Little’em, Wayne’em Nashendem i Darrenem Croome’em.

Omylili się, licząc, że ucieknę. Planeta Ziemia skurczyła się do rozmiarów (sporej) bańki mydlanej.

— Do domu – odpowiedziałem.

Wilcox splunął.

— A n-n-n-n-n-ie m-m-m-m-m-asz ochoty p-p-p-p-p-ogadać?

— Nie mam, dzięki.

— Jak tak, to, kurwa, zapomnij o pierdolonym, kurwa, domku w pierdolonym, kurwa, Kingfisher Meadows, ty, kurwa, pierdolona glisto!

Czekałem na kolejny ruch Wilcoksa.

Ale to nie on, tylko Wayne Nashend zaszedł mnie od tyłu i założył mi podwójnego nelsona. Wyrwali mi z ręki torbę Adidasa. Krzyk w stylu: „To moja torba!”, jest, jak wiadomo, bezsensowny. Podstawą było też opanowanie płaczu.

— Gdzieś podział meszek, Taylor? – spytał Ant Little, wgapiony w moją górną wargę. – W ogóle nic nie masz?

— Zgoliłem.

— „Zgoliłem” – powtórzył, naśladując mnie, Gary Drake. – Chcesz nam zaimponować?

— W szkole chodzi taki kawał, Taylor – odezwał się Wilcox. – Słyszałeś? „Znasz Jasona Taylora?”

— „N-n-n-n-n-ie – odpowiedział Gary Drake. – A-a-a-a-a-le r-

r-r-r-r-az w-w-w-w-w-depnałem w-w-w-w-w coś t-t-t-t-akiego!”

— Jesteś pośmiewiskiem, Taylor – splunął Ant Little. – Wszyscy, siurze jeden, równo z ciebie polewają!

— Do kina chodzi z mamusią! – zawołał Gary Drake. – Po co ty w ogóle żyjesz, Taylor? Powinniśmy cię powiesić na tym drzewie.

— No, odezwiże się – podszedł do mnie Ross Wilcox. – Glisto!

— Okropnie ci, Ross, śmierdzi z gęby.

— Co? – Wilcox wykrzywił się, wnerwiony. – CO?

Sam byłem wstrząśnięty tą ripostą. Ale już nie mogłem się wycofać.

— Nie chciałem cię obrażać, serio. Ale strasznie ci cuchnie z ust. Jakby zepsutą szynką. Nikt ci nic nie mówi, bo wszyscy się boją. Ale powinieneś częściej myć zęby albo ssać miętówki, bo to stan przewlekły.

Wilcox odczekał chwilę.

I przestawił mi szczękę dwoma ostrymi ciosami.

— A ty się niby mnie nie boisz?

Ból świetnie pomaga się skupić.

— Może to *halitosis*. Jeżeli tak, to w aptece w Upton z pewnością coś ci na to znajdą.

— Uważaj, bo ci łeb rozwałę, kutasie ty, bezjajowcu!

— Wiem, wiem. Z pomocą czterech koleżków.

— Sam, kurwa, własnoręcznie!

— Nie wątpię. Pamiętam, jak urządziłeś Granta Burcha.

Szkolny autobus jeszcze nie odjechał spod „Czarnego Łabędzia”. Norman Bates czasami przynosi Isaacowi Pye’owi jakieś zawiniątko, a Isaac Pye daje mu brązową kopertę. Nie żebym się spodziewał pomocy z ich strony...

— Należy się mu – słowa Rossa Wilcoxsa dźgały pierś jak sztylety – WYCIĄGANKO, gliście zafajdanej!

Wyciąganko polega na tym, że z całych sił podrywają człowieka w górę, łapiąc za gumę od gatek. Traci się grunt pod nogami i gatki tak strasznie się wrzynają w dupę, że z fiutka

i jajek zostaje miazga.

No i to właśnie mnie spotkało.

Tyle że wyciąganko ma sens wyłącznie, kiedy ofiara wyrywa się i piszczy. Wsparty na łbie Anta Little'a, jakoś przetrzymałem. Wyciąganko nawet tak bardzo nie boli, ale jest upokarzające. Napastnicy udawali, że się doskonale bawią, wyciąganko jednak okazało się robotą męczącą i wyjątkowo niewdzięczną. Wilcox z Nashendem huścili mną raz w dół, raz do góry, lecz majtki wcale nie rozdarły mnie na dwoje, a ledwo obtarły w kroku. Wreszcie zostałem rzucony na wilgotną trawę.

— To – przyrzekł Ross Wilcox, zadyszany – dopiero początek.

— Glliiiiiiisto! – zanucił, spowity mgłą, Gary Drake. – Gdzie masz torbę?

— No – Wayne Nashend dał mi kopa w tyłek, ledwo się podniosłem. – Może byś poszukał...

Z piekącym zadkiem pokuśtykałem w stronę Gary'ego Drake'a.

Szkolny autobus zaczął się gotować do odjazdu.

Sadystycznie wykrzywiony, Gary Drake zamachnął się moją torbą.

Widząc, co się święci, rzuciłem się do biegu.

Skreśliwszy w powietrzu idealny luk, torba Adidasa wylądowała na dachu autobusu.

Autobus wolno skierował się do skrzyżowania nieopodal sklepu pana Rhydda.

Zmieniając kurs, pogałem przez mokrą trawę, w nadziei, że torba spadnie sama.

A za mną śmiech, ta-ta-ta-ta, jak z karabinu maszynowego.

Niby półgębkiem, ale zawsze, uśmiechnęło się do mnie szczęście. Jadący od strony Wzgórz Malvern kombajn lekko zakorkował ruch uliczny. Udało mi się dobiec do autobusu, akurat gdy się zatrzymał na skrzyżowaniu koło sklepu Rhydda.

— W co ty mi tu pogrywasz? – warknął Norman Bates z szoferki.

— Chłopacy – tchu nie mogłem złapać – wrzucili na dach moją

torbę.

Twarze dzieciaków w autobusie rozjaśniło podniecenie.

— Jaki dach?

— Dach pana autobusu.

Norman Bates spojrzał na mnie tak, jakbym mu narobił do kanapki. Ale zaraz otworzył drzwiczki, o mało mnie nie zabijając, pomaszerował na sam koniec autobusu, wspiął się po drabince, chwycił torbę Adidasa, rzucił mi ją i prędko zlął na ziemię.

— Masz kumpli-wałów, słonko.

— Wcale się z nimi nie kumpluję.

— To czemu tak się dajesz ponieierać?

— Ja się nie daję. Jest ich pięciu. Dziesięciu. Nawet więcej.

Norman Bates pociągnął nosem.

— I pewnie tylko jeden Król Zasraniec, co?

— No, czasem i dwóch...

— Starczy, jak dasz radę jednemu. Musisz się zaopatrzyć w takie oto cudeńko – przed oczyma śmignął mi nagle zabójczy nóż myśliwski. – Przyczaisz się na Zasrańca – Norman Bates ściszył głos – i dziabniesz go parę razy w piętę. No, tak go trochę połaskoczesz. A jak się jeszcze raz przypieprzy, poprzebijaj mu opony w wózku – nóż Normana Batesa zdematerializował się w powietrzu. – Poszukaj w sklepach z militariami. Dasz dychę, ale nie żałuj, bo naprawdę warto.

— Przecież gdybym dziabnął Wilcoksa w piętę, wysłaliby mnie do poprawczaka.

— Obudźże się, kurwa, słonko! Życie to jeden wielki dom poprawczy.

Szlifierz

Jesień pachnie grzybami, jagody się marszczą, liście okrywa rdza, na niebie klucze wędrownych ptaków, wieczory zasnuwane dymem, a noce coraz zimniejsze. Jesień jakby umiera. A ja nawet nie spostrzegłem, kiedy zachorowała.

— Już jestem! – ryczę tak co dzień po przyjściu ze szkoły, na wypadek, gdyby mama albo tato wrócili wcześniej z Cheltenham czy innego Oksfordu.

Choć w sumie i tak jeszcze nigdy nie doczekałem się odpowiedzi.

Po wyjeździe Julii w domu zrobiło się sto razy bardziej pusto. Przed dwoma tygodniami pojechała z mamą do Edynburga. (Julia zdała egzamin na prawo jazdy. Za pierwszym razem, oczywiście). Drugą połowę lata spędziła u rodziców Ewana w Norfolk Broads, więc można by sądzić, że miałem dosyć czasu, aby się oswoić z brakiem siostry. Ale tu chodzi nie tylko o czyjąś obecność w domu, ale o słyszane ciągle: „zaraz wracam!”, o szczoteczkę do zębów tej osoby, o nie-noszone-w-tej-chwili jej płaszcze i kapelusze, o cały jej dobytek. Trudno mi uwierzyć, że aż tak tęsknię za siostrą, ale naprawdę tęsknię. Mama z Julią wyjechały wczesnym rankiem, bo do Szkocji jedzie się autem cały dzień. Machaliśmy im z tatą na pożegnanie. Datsun mamy skręcił w Kingfisher Meadows i zaraz się zatrzymał. Julia wyskoczyła, otworzyła bagażnik, pogrzebała w kartonie z płytami i przybiegła do nas. Aby mi wetknąć swój longplay *Ahhey Road*.

— Opiekuj się nim, Jace. W akademiku od razu

by mi porysowali – przytuliła mnie mocno.

Auto już dawno odjechało, a ja wciąż, długo, długo czułem zapach lakieru do włosów Julii.

Z szybkowaru na kuchence dolatywały gulaszowe wonie. (Mama zawsze zaczyna gotować wołowinę wczesnie rano, bo musi to trwać prawie cały dzień). Wycisnąłem sobie sok z grejfruta i odważyłem się wsunąć ostatnie ciasteczko Penguin, bo w puszcze zostały już tylko cytrynowe i orzechowo-imbrowe. Poszedłem na górę, żeby się przebrać ze szkolnego mundurka. W pokoju czekała mnie pierwsza z trzech niespodzianek.

Telewizor. Stał na biurku. A jeszcze rano go nie było. Na plakietce widniał napis: „PRZENOŚNY MONOCHROMATYCZNY ODBIORNIK TELEWIZYJNY FERGUSON. WYPRODUKOWANO W ANGLII”. (Tato mówi, że powinniśmy kupować krajowe produkty, bo inaczej wszyscy będą sobie musieli szukać pracy na Kontynencie). Lśniący i pachnący nowością telewizor. Obok spoczywała firmowa koperta z moim nazwiskiem. (Tato napisał je ołówkiem 2H, więc koperta nie nadawała się do ponownego użycia). Wewnątrz znalazłem kartkę ze skoroszytu, z listem napisanym zielonym długopisem.

DO JASONA

NASTAWIŁEM WSZYSTKIE 4 KANAŁY,
WIĘC WYSTARCZY TYLKO
Użyć PRZEŁĄCZNIKA WŁ.

TATA

Z jakiej to okazji? Wiadomo, że się ucieszyłem. W III KM tylko Clive Pike i Neal Brose mają w pokoju telewizor. Ale że teraz?... Urodziny mam dopiero w styczniu. Tato nigdy nie robi prezentów ot, tak sobie, bez powodu. Włączyłem telewizor, położyłem się na łóżku i obejrzałem *Space Sentinels* i *Take Hart*.

Oglądanie telewizji w łóżku to niby nic dziwnego, a jednak. Coś jakby jedzenie zupy ogonowej w wannie.

Tiwi trochę tłumi lęk związany ze szkołą. Dean dzisiaj zachorował, więc miejsce koło mnie, w autobusie, było wolne. Zajął je Ross Wilcox, udając najlepszego kumpla, abym sobie przypadkiem nie zapomniał, że wcale się nie kumplujemy. Uczepił się, żeby wyjął piórnik.

— T-t-t-t-t-aylor, w-w-w-w-w-eź p-p-p-p-p-ożycz k-k-k-k-k-atomierz. Ch-chc-chc-chc-ch-cę odrobić m-m-m-m-m-atmę, powaga. (Wcale się aż tak nie jąkam. Pani de Roo mówi, że zrobiliśmy wielkie postępy). Masz t-t-t-t-temperówkę, T-t-t-t-t-aylor?

— Nie – odpowiadałem w kółko, stanowczo i ze znudzeniem. – Nie.

Raz, w sali matematycznej, dorwał się do piórnika Floyda Chaceleya i całą zawartość wysypał na dziedziniec.

— Jak to: „n-n-n-ie”? A co robisz, kiedy ci się s-s-s-s-stępi o-o-o-o-o-łowek? – Pytania, przesywające, jedno za drugim, oto metoda Wilcoxsa. Cokolwiek mu się odpowie, wykręca to tak, że zawsze wychodzi się na totalnego głupka. Nie odpowiadając w ogóle, daje się Wilcoxowi przyzwolenie, aby delikwenta rozszarpał na sztuki. – P-p-p-p-p-odobno dziewczyny uważają, że t-t-t-t-t-woja j-j-j-j-j-ąkanina jest s-s-s-s-s-eksowna, w-w-w-w-w-iesz, T-t-t-t-t-aylor? – tu Oswald Wyre z Antem Little'em roześmiali się jak dwa szakale, jakby ich pan – wielki humorysta, ucieleśniał wszystkie kawały z *Monty Pythona*. Siła Wilcoxsa polega na tym, że on jakby wypowiada powszechny osąd o człowieku, a nie to, co sam myśli. – Z-z-z-z-z-łożę się, ź-ź-ź-ź-ź-e jak cię s-s-s-s-s-łyszają, z-z-z-z-z-araz sikają w m-m-m-m-m-ajtki!

W drugim rzędzie od frontu Ciapciak wyrzygał nagle ekstra-duże opakowanie Smarties, które pochłonał, żeby się pobawić kalkulatorem Anta Little'a. Fala tęczowej wymiociny bluznęła środkiem autobusu w takim tempie, że Wilcox po prostu musiał się odczepić. Wysiadłem przy Drugger's End, po czym skręciłem za świetlicą, kierując się ku plebanii. Sam. Droga do domu zawsze

tak się trochę ciągnie. Grafitowoszare niebo nad Świętym Gabrielem rozświetliły srebrzyste fajerwerki. Niezbyt pasowały do jesiennej pory, no, ale pewno kupił je u pana Rhydda czyjś starszy brat. Wciąż struty po ataku Wilcoxsa, nie miałem sił, by pozbierać ostatnie w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku wodniste jagody.

Zdaje się, że Wilcox zatruł mi też trochę radość z niesamowitego prezentu od taty. *John Craven's Newsround* była poświęcona „Mary Rose”. „Mary Rose” to okręt flagowy Henryka VIII, który przed czterema wiekami zatonął podczas sztormu. Niedawno wydobyto go z dna morza. Zdarzenie obserwowano cała Anglia. Ale wyciągnięte za pomocą dźwigów, okryte mułem chropowate bale w niczym nie przypominały olśniewającego galeonu z różnych malowideł. I teraz wszyscy mówią, że lepiej było wydać te pieniądze na szpitalne łóżka.

Ktoś zadzwonił do drzwi.

— Chłodno dziś – wychrypiał staruszek w tweedowej czapce. – Aż daje po kościach. – Był on drugą niespodzianką, jaka mnie spotkała tego dnia. Miał na sobie ubranie w nieokreślonym kolorze. I, prawdę powiedziawszy, sam też był jakiś bezbarwny. Zabezpieczyłem drzwi łańcuchem, bo tato mówi, że nawet w Black Swan Green trafiają się wariaci i zboczeńcy. Ubawiło to starszego pana. – Co, chowasz klejnoty koronne?

— Yyy... Nie.

— Nie bój się, bo ja żaden zbójca. Zastałem przypadkowo panią domu?

— Mamę? Nie. Jest w pracy. W Cheltenham.

— Wielka szkoda. Rok temu noże jej ostrzyłem. Na brzytwę, a dziś pewnikiem znowu tępe. Wiesz, że stępiony nóż jest bardzo niebezpieczny? Powie ci to każdy doktor – jego akcent jak gdyby muskał słowa. – Tępym ostrzem łatwo sobie można zrobić krzywdę. A wróci niedługo?

— Dopiero koło siódmej.

— Szkoda, szkoda, bo nie wiem, kiedy się tu znów pokażę. A może byś je przyniósł, co? Naostrzę elegancko. Zrobisz jej

niespodziankę. Mam tu osełkę i narzędzia – grzmotną ręką w wypchaną torbę. – Robota nie potrwa sekundy, a mama tak się ucieszy. Będzie się tobą chwalić w całej okolicy.

Wcale nie byłem tego taki pewny. Ale nie mam pojęcia, jak się wyprasza szlifierzy. W myśl jednej zasady nie wolno być niegrzecznym. Już zamknięcie mu drzwi przed nosem byłoby wyrazem chamstwa. No, ale i tak już złamałem inną, że „Nie wolno wdawać się w rozmowę z nieznanym”. Zasady powinny brzmieć o wiele bardziej ściśle.

— Mam tylko kieszonkowe, więc by mi nie starczyło, żeby panu...

— Jakoś się dogadamy, szefie. Widać, żeś chłopak z kulturą, a ja to cenię u młodych. O człowieku stanowią maniery. Mama cię jeszcze pochwali, że się umiesz potargować. Powiedz mi, ile masz tam, w śwince, a ja ci wtedy powiem, na ile starczy noży.

— Przepraszam – robiło się coraz mniej ciekawie. – Wolałbym wpierw zapytać mamę.

Z pozoru szlifierz miał przyjazną minę.

— Nigdy nie wchodzić w drogę babie! Zobaczą, może mi się uda zaglądnąć do was jutro czy pojutrze. Chyba że pan dziedzic jest przypadkiem w domu?

— Tato?

— Ano, tato.

— Wróci... – trudno wyczuć, bo ostatnio nieraz dzwoni, że utknął gdzieś w motelu – późno.

— Czym prędzej powinien się zatroszczyć o wasz podjazd – szlifierz przechylił głowę i wciągnął powietrze. – Asfalt macie cały popękany. Pewnikiem kładli go partacze. Przyjdzie zima, mrozy, deszczówka zamarznie w szczelinach i wysadzi asfalt... Na wiosnę tu się robi jak na księżycu! Warto by go zerwać i położyć jak trza. Załatwię to z braciszkiem, o, tak! (Strzelił palcami tak głośno, jak ten syntezytor we *Frustration*^[7]). Możesz to przekazać tacie?

— Okay.

— Słowo?

— Słowo. Może mi pan dać swój numer telefonu.

— Telefony? Kłamofony, po mojemu. Po ludzku to się mówi tylko oko w oko. – Szlifierz podniósł torbę z narzędziami i ruszył w swoją stronę. – Przekaż tacie! – Wiedział, że go obserwuję. – Jak słowo to słowo, zawracanie głowy!

— Jakież on hojny – stwierdziła mama o tacie, gdy jej powiedziałem o telewizorze.

Ale zabrzmiało to dziwnie lodowato. Słyszac auto taty na podjeździe, wyszedłem z garażu, by mu podziękować. On jednak, zamiast się ucieszyć, ledwo odbąknął pod nosem, jakby trochę speszony. Nie – prawie tak, jakby coś go gnębiło:

— Miło, że cię zadowolilem, Jason.

O wizycie szlifierza przypomniałem sobie dopiero, kiedy mama podała wołowinę.

— Szlifierz noży? – tato odsunął widelcem na bok jakąś chrząstkę. – Znów ta cygańska hołota. Czy to się kiedy zmieni? Dziwne, że ci nie chciał na ganku postawić tarota. A nie szukał złomu?... Jak się jeszcze raz pokaże, masz mu nie otwierać. Z takimi nie wolno wdawać się w rozmowy. Są gorsi od świadków Jehowy.

— Powiedział, że mógłby – ogarnęło mnie poczucie winy, że mu to obiecałem – przyjść i pogadać o podjeździe...

— A co nie tak z podjazdem?

— Wymaga naprawy; tak powiedział.

Tato się nachmurzył.

— I ty mu oczywiście wierzysz?

— Michaelu – wtrąciła się mama. – Jason ci tylko opowiada, o czym rozmawiali.

Wołowa chrząstka ma posmak flegmy. Jedyne znany mi prawdziwy Cygan był ze mną w klasie pani Throckmorton. Spokojny, nieśmiały chłopak. Już zapomniałem, jak miał na imię. Chyba od rana do nocy się obijał, bo z jego pustej ławki żartowała cała szkoła. Zamiast zielonego swetra, nosił czarny, a zamiast białej koszuli – popielatą, ale pani Throckmorton ani razu nie zwróciła mu uwagi. Pod szkolną bramę podwoziła go zawsze

ciężarówka z Bedford. Do dziś wydaje mi się ona tak ogromna jak nasza szkoła. Cygański chłopak wyskakiwał z szoferki. Jego tato wyglądał jak zapaśnik Giant Haystacks, tyle miał tatuaży na ramionach i barkach. Przez te tatuaże i groźne spojrzenie nikomu, ale to nikomu, ani Pete'owi Redmarleyowi, ani nawet Plutonowi Noakowi nigdy przez myśl nie przeszło, żeby się przyczepić do Cyganka. Który, notabene, siadywał sobie pod cedrem, nadając na fali pod tytułem „Spadać!”. Miał gdzieś kopanie puszki albo inne takie. Jak raz przyszedł do szkoły na mecz palanta, to tak walnął piłką, że przeleciała nad żywopłotem i wylądowała przy plebanii. A on, jakby nigdy nic, zaczął się przechadzać z rękoma w kieszeniach. Pani Throckmorton musiała mu przydzielić obliczanie punktacji, bo się nam skończyły piłki. Ale pod tablicą wyników też długo nie zabawiał.

Wcisnąłem do mięsa kroplę sosu HP.

— Kto to są Cyganie, tato?

— O co ci chodzi?

— No... skąd właściwie pochodzą?

— Przecież wiadomo, że z Egiptu.

— Czyli że to Afrykanie?

— Nie, teraz już nie. Wyemigrowali przed wiekami.

— Czemu nikt ich nie lubi?

— A czemu przyzwoici obywatele mieliby darzyć sympatią bandę obiboków, którzy nie przynoszą państwu ani grosza i na dodatek świadomie lekceważą wszelkie zasady planowania przestrzennego?

— Według mnie – mama posypała mięso pieprzem – oceniasz ich zbyt ostro, Michaelu.

— Zaraz zmieniałabyś zdanie, Heleno, gdybyś takiego poznała.

— Ten szlifierz doskonale się spisał w zeszłym roku.

— Tylko mi nie mów – tato zatrzymał widelec w połowie drogi – że znasz tego człowieka?

— A jakże? Od lat Black Swan Green odwiedza w październiku szlifierz. Musiałabym go zobaczyć, by stwierdzić, że to ten sam,

ale pewnie tak.

— Czy ty mu, żebrakowi, płacisz?

— A czy ty, Michaelu, pracujesz za darmo?

(Pytania to nie pytania. Pytania to pociski).

Tato hałaśliwie odłożył sztucce.

— Więc rok... ukrywałaś przede mną tę transakcję?

— Ukrywałam? – w ramach strategii zaskoczenia mama wydała ciche „hm”. – Oskarżasz mnie, że coś ukrywam? (Zrobiło mi się niedobrze. Tato posłał mamie spojrzenie pod tytułem: „Nie przy synu”. Mdłości przybrały na sile). Gdzież ja bym śmiała zaprzętać twój kierowniczy umysł czymś tak trywialnie przyziemnym?

— A ile – tato nie miał zamiaru się wycofać – zdarł z ciebie ten włóczęga?

— Zażądał jednego funta i tyle mu zapłaciłam. Za naostrzenie wszystkich noży, i to naostrzenie idealne. Funta. Czyli pensa więcej niż są warte te twoje mrożone pizze z Greenland.

— Nie wierzę, że dałaś się omamić Cyganowi. Uwiodły cię te... wozy kolorowe, konie, beztroski czar zamierzchłej Anglii? Na litość boską, Heleno! Przecież jak chcesz mieć ostrzarę, możesz ją sobie w każdej chwili kupić. Cyganie to spryciarze i nieroby. Dasz takiemu parę groszy, a potem dwadzieścia lat będziesz się musiała opędzać przed jego liczną rodziną! Zacznie się od noży, kryształowej kuli i asfaltu, a później nie dość, że obrobiją nam samochód i wyniosą wszystko z szopy, to jeszcze nam zaczną wciskać, co nakradli gdzie indziej.

Ostatnio kłótnie rodziców mają przyspieszone tempo.

Skończyłem.

— Mogę już iść do siebie?

Dziś czwartek, więc obejrzałem w pokoju „Top of the Pops” i „Tomorrow’s World”. Z kuchni dobiegało trzaskanie drzwi od kredensu. Włączyłem kasetę ze składanką, którą mi nagrała Julia z płyt Ewana. Pierwszą piosenką była *Words (Between The Lines Of Age)* Neila Younga. Neil Young śpiewa tak, jakby waliła się stodoła, ale piosenki ma genialne. W głowie zaczął

mi kiełkować wiersz zatytułowany *Glista*, o tym, dlaczego dzieciaki padają ofiarą kolegów. Wiersze to obiektywy, lustro i promienie rentgenowskie. Bazgrałem chwilę w zeszytcie (kiedy się udaje, że się szuka słów, po jakimś czasie same wyłażą jakby z gąszczu), ale wypisał mi się długopis, więc otworzyłem piórniki, aby sięgnąć po nowy.

W środku czekała mnie trzecia niespodzianka.

Obcięta skalpelem główka prawdziwej martwej myszy.

Ząbeczki, przymknięte oczka, wąsiki a la pani Potter, futerko w kolorze francuskiej musztardy, bordowy strup, kawałek kręgosłupka. Woniejące wybielaczem, spamem i strużynami z ołówka.

„Szybciej, włóżmy Taylorowi do piórnika. Ale będzie ubaw” – tak to przypuszczalnie wyglądało. Łeb myszki zwędzili pewnie na zajęciach z sekcji z panem Whitlockiem. Pan Whitlock zawsze wpierw straszy, że złodzieja mysich członków rozerwie na części, ale jak łyknie z piersiówki tej swojej specjalnej kawy, robi się senny i niewiele go obchodzi.

„No, Taylor, wyjmij ten piórniki”. Ross Wilcox musiał mi tę główkę włożyć własnoręcznie. Dawn Madden na pewno też była wtajemniczona. „W-w-w-w-w-yjmij p-p-p-p-piórniki, T-t-t-t-t-aylor”. (Wilcoxowi gały wyszły z orbit).

Owinałem główkę w skrawek srajpapieru.

Na dole tato czytał na kanapie „Daily Mail”. Mama siedziała przy stole nad swymi rachunkami.

- Dokąd się wybierasz?
- Do garażu. Pograć w rzutki.
- Co tam masz w chusteczce?
- Nic. Siąkałem nos.

Wsunąłem zawiniątko do kieszeni dzinsów. Mama już, już miała zamiar poddać je inspekcji, ale – dzięki Bogu – rozmyśliła się. Pod osłoną ciemności zakradłem się do alpinarium i wrzuciłem głowę między kamyki. Pewno na pożarcie mrówkom i łąsicom.

Ale mnie ci chłopacy nienawidzą.

Po jednej kolejce Na Okrągło zebrałem rzutki i wróciłem do domu. Tato oglądał w tiwi dyskusję o tym, czy Wielka Brytania powinna, czy też nie powinna mieć na swoim obszarze amerykańskich pocisków samosterujących dalekiego zasięgu. Pani Thatcher mówi, że tak – i cześć pieśni. Od czasu konfliktu na Falklandach nikt się jej nie sprzeciwia. Ktoś zadzwonił do drzwi, co w październikowe wieczory zdarza się raczej rzadko. Tato pomyślał pewnie, że wrócił ten Cygan.

— Zajmę się tym – rzucił, gwałtownie składając gazetę.

Mama prawie bezgłośnie prychnęła z niesmakiem.

Prędko, nim tato zdjął łańcuch, uplasowałem się na półpiętrze w celach obserwacyjnych.

— Nazywam się Samuel Swinyard. (Tato Gilberta Swinyarda). Mamy dom przy Druggers End. Zechce mi pan poświęcić chwilę?

— Naturalnie. Kupowałem u pana choinki. Michael Taylor – przedstawił się tato. – Czym mogę panu służyć?

— Mów mi: „Sam”. Otóż zbieram podpisy pod petycją. Może jeszcze nie wiesz, ale władze Malvern planują stworzyć w Black Swan Green specjalny plac dla Cyganów. Nie tymczasowo, a na stałe.

— To niepokojące wieści. Kiedy ogłosili?

— Otóż to, Michael. Nigdy! Spryciule chcą rzecz załatwić chyłkiem i po cichu, właśnie żeby się nikt z nas nie połapał! Obozowisko ma powstać na Hake's Lane, koło pieca na śmieci. Oj, sprytnie kombinują nasi panowie z Rady Malvern... Wiadomo, że u siebie na podwórku tych flejtuchów nie chcą. Wyznaczyli teren dla czterdziestu przyczep. Tak niby mówią, że czterdziestu, ale jak się do tego doda jeszcze krewnych i znajomych, zrobi się z tego setka. Co najmniej. Będzie jak w Kalkucie. Bez dwóch zdań.

— Gdzie mam się podpisać? – tato wziął skoroszyt i nagryzmolił „Taylor”. – O, właśnie, był u nas dziś taki... cygański... nicpoń. Około czwartej, akurat kiedy wszystkie żony z dziećmi siedzą po domach bez opieki.

— Czemu mnie to nie dziwi... Po Wellington Gardens też się kręcił. Jasne, że szukają łupu w zamożniejszych domach. Ale jak

sprawa z obozem się rozwinie, będziemy to mieli codziennie! A potem, kiedy już użebrzą swoje, skończy się: „Daj pan monetę”, i przejdą do metod dużo mniej wyszukanych... No, wiesz, o co chodzi.

— Mam nadzieję – tato oddał petycję – że znalazłeś więcej przeciwników, co, Sam?

— Tak. Na razie odmówiły tylko trzy osoby, pół-Cyganie. Od pastora usłyszałem najpierw, że woli nie mieszać się w taką „partyzantkę”, ale żonka szybko mu przypomniała, że przecież ona do kleru nie należy. Reszta, tak jak ty, Michael, podpisała raz-dwa. W środę jest w świetlicy nadzwyczajne zebranie. Trzeba się zastanowić, jak to wybić z głów tym palantom z Rady. Liczę, że się też pokażesz.

Dlaczego, no, dlaczego ja się nie zgodziłem? Czemu nie powiedziałem: „Proszę, oto moje kieszonkowe i niech pan sobie ostrzy, ile wlezie”...? Szlifierz mógł zrobić to na ganku. Wyjąłby swe narzędzia; pilniki, osełki, no i to całe koło (jakie?) zamachowe. Kucnąłby raźnie, pomarszczony jak chochlik, z gorejącymi oczyma. Jednym szponem rozpędziłby koło zamachowe, szybciej, szybciej, szybciej, ażby się stało prawie niewidzialne, a drugim zacząłby doń zbliżać ostrza, bliżej, bliżej, bliżej, coraz bliżej, aż w zetknięciu z krzemieniem posypałyby się iskry, trysnęły wściekle błękitnie, znacząc coca-colowo dżdżysty zmrok. Poczujęm woń gorącego metalu. Słuchałbym jego przenikliwych pisków. Kolejno, jeden za drugim, szlifierz załatwiłby wszystkie tępe noże. Wszyściutkie stępiełe ze starości ostrza byłyby jak nowo narodzone, ostrzejsze nawet niż świszczący nóż myśliwski Normana Batesa, zdolne ciąć mięsko, kości, godziny, strach: Jak mnie ci chłopacy nienawidzą. Zdolne w pył roznieść nawet: Co mi zrobią jutro?

Boże, jak ja żałuję, że nie chciałem mu zapłacić.

Pokazywanie się przy ludziach z obojgiem rodziców jest mocno pedalskie. Ale dziś do świetlicy wybrało się z rodzicami pełno ludzi, więc mogłem sobie odpuścić. Okna świetlicy Black Swan Green (wzniesionej w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym

drugim roku) lśniły maślaną żółcią. Z Kingfisher Meadows idzie się tam tylko trzy minuty, budynek stoi dosłownie o rzut beretem od podstawówki – która jeszcze niedawno wydawała mi się taka wielka... Czy są na świecie rzeczy, których wielkość nigdy się nie zmienia?

W świetlicy cuchnie papierosami, woskiem, kurzem, kalafiolem i farbą. Gdyby państwo Woolmere nie zajęli nam miejsc z przodu, musiałbym sterczeć z tatą z tyłu. Ostatnio taki straszny tłum był na jasełkach, w Boże Narodzenie, kiedy grałem parchatego urwisa z Betlejem. Światła sceny odbijały się w oczach widzów, niby w kocich. Przez Kata schrzałem parę kluczowych kwestii, tak że pani Throckmorton była wielce zniesmaczona. Ale i gra na ksylofonie, i pieśń „Czyś biały, czy skórę masz czarną, żółtą lub czerwoną, nawiedzić przyjdź w stajence najświętsze Dzieciątko” wyszły mi całkiem fajnie. Kiedy człowiek śpiewa, wcale się nie jąka. Julia miała wtedy aparat prostujący zgryz, jak Bużka ze *Szpiega, który mnie kochał*. Stwierdziła, że wypadłem naturalnie. Co nie było prawdą, ale sprawiło mi taką radość, że pamiętam to do dzisiaj.

Nieważne. Teraz – publikę ogarnęła taka histeria, jakby za parę sekund miała wybuchnąć wojna. Aż się kontury rozmazały, tak naczadzili papierochami. Przyszedł pan Yew, mama Colette Turbot, państwo Rhyddowie, rodzice Leona Cutlera, tato Anta Little'a – piekarz (który wciąż toczy walkę z sanepidem). Wszyscy tak kłapali jadaczkami, jakby się chcieli nawzajem zawrzeszczeć. Tato Granta Burcha opowiadał, jak to Cyganie kradną psy do walki, a później zjadają dowody.

— Tak się dzieje w Anglesey! – zawtórowała mama Andrei Bozard. – I tu też tak będzie!

Ross Wilcox siedział między swoim tatą, mechanikiem – i nową macochą. Pan Wilcox wygląda jak wyższa, chudsza i bardziej czerwonoooka wersja syna. Macocha Wilcoxsa cały czas kichała. Staralem się na nich nie patrzeć, tak jak się udaje przed samym sobą, że wcale nie ma się ochoty zaraz rzygnąć. No, ale popatrywałem. Na podium wraz z tatą Gilberta Swinyarda

zasiadali: żona pastora, Gwendolin Bendincks, oraz ten wychowawca z poprawczaka, Kit Harris, który mieszka z psami tuż przy ścieżce konnej. (Jemu to nikt by się nie poważył ukraść psiska). Kit Harris ma na czarnowłosej głowie siwe pasmo, więc dzieciaki nazywają go „Borsukiem”. Z kulisy wychynał nasz sąsiad, pan Castle, żeby sobie zająć ostatnie wolne krzesło. Triumfalnie ukłonił się tacie i panu Woolmere’owi. Tato i pan Woolmere się odkłonili. Pan Woolmere szepnął do taty:

— Proszę, jak staruszek Gerry nabrał dziś wigoru...

Do nóg stołu, na przedzie, przyklejono taśmą kawał tapety. Z napisem: „KOMITET PROTESTACYJNY DS. OBOZOWISKA”. Litery „K”, „P”, „DS” i „O” miały kolor krwi, a reszta była czarna.

Pan Castle powstał i uciszacze zaczęli uciszać kłapaczy. Raz w zeszłym roku grałem w nogę z Deanem Moranem i Robinem Southern, i Moran kopnął piłkę do ogrodu państwa Castle’ów, a jak poprosił o jej zwrot – pan Castle stwierdził, że zniszczyliśmy mu krzyżówkę róży wartą trzydzieści pięć funtów i odda piłkę, jeśli zapłacimy za krzew, czyli nigdy, bo wiadomo, że nastolatek trzydziestu funtów mieć nie może.

— Panie i panowie, mieszkańcy Black Swan Green. Już sam fakt, że stawiliście się tu tak licznie w ten jakże mroźny wieczór świadczy o poczuciu wspólnoty i zjednoczeniu wobec sprawy, jaką jest haniebna... bezwstydna decyzja podjęta przez wybranych przez nas członków rady, starających się działać w myśl – pan Castle odchrząknął – ustawy z roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego o polach kempingowych, a zamierzających tym samym zmienić naszą wioskę... dom nas tutaj wszystkich... w norę dla tak zwanych wędrowców, Cyganów, Romów, czy jak jeszcze w myśl najnowszych trendów określają ich „liberałowie” przez bardzo małe „l”. Fakt, iż ani jeden członek rady nie zadał sobie trudu, by pojawić się tutaj w dniu dzisiejszym, stanowi niezbyt budujący dowód (Isaac Pye, właściciel „Czarnego Łabędzia”, ryknął: „Bo przecież byśmy sukinkotów zaraz wykobzali na błonia!”), a pan Castle uśmiechnął się jak dobry wujek, w oczekiwaniu, aż umilkną śmiechy) ...

stanowi niezbyt budujący dowód na ich obłudę, tchórzostwo, jak również ewidentną słabość. (Tu rozległy się brawa, a pan Woolmere wrzasnął: „Dobrze powiedziane, Gerry!”). Zanim rozpoczniemy, komitet pragnie powitać pana Hughesa z „Gońca Malvern” (siedzący w pierwszym rzędzie facet z notesem kiwnął głową) za to, że zechciał nasze zebranie wcisnąć w swój napięty harmonogram. Liczymy, że zechce opisać skandaliczną decyzję, jakiej dopuścili się ci przestępcy z Rady Malvern, zgodnie z właściwymi swemu pismu zasadami fair play. (Zabrzmiało to bardziej jak groźba niż serdeczne powitanie). Otóż, apologeci Cyganów z całą pewnością zaczną jęczeć: „Cóż wam ci ludzie zawinili?”. Czasu by nie starczyło, żeby wszystko wyliczyć. Włóczą się. Kradną. Żyją wbrew wszelkim zasadom higieny. Zapadają na gruźlicę...

Nie dosłuchałem do końca, pochłonięty myślą o tym, jak bardzo mieszkańcy wioski chcą widzieć Cyganów wstrętnymi i potwornymi, aby tylko sami mogli przypisać sobie doskonałość.

— Nikt przecież nie wątpi, że Romowie muszą mieć stałe miejsce zamieszkania – Gwendolin Bendincks niby chwyciła się za serce. – Romowie też mają dzieci, tak jak my. Romowie chcą dla swych pociech jak najlepiej, tak jak my. Bóg mi świadkiem, że nie mam uprzedzeń wobec żadnej społeczności ludzkiej, bez względu na wszelkie „odmienności” koloru skóry czy wyznania, i jestem przekonana, że dotyczy to państwa zgromadzonych. Wszyscy jesteśmy chrześcijanami. Czy zapewniając Romom stałe miejsce zamieszkania, zdołamy ich nauczyć, jak wielka odpowiedzialność wiąże się z obywatelstwem? Jakże im uświadomić, że praworządność gwarantuje ich dzieciom przyszłość jaśniejszą od zebrania, handlu końmi i drobnych przestępstw? Oraz że jedzenie jeży jest zdecydowanie wbrew kulturze? – dramatyczna pauza. (Pomyślałem, jak to przywódcy państw zawsze umieją wyczuć, czego boją się ludzie, i zmienić ten strach w łuki, strzały, muszkiety, granaty oraz bomby atomowe, aby z nich korzystać, ile dusza zapagnie. Na tym polega siła). – No, ale czemu, pytam, czemu nasze władze sądzą,

że ów „projekt” należy zrealizować akurat w Black Swan Green? Wioska egzystuje w idealnej harmonii! Hordy wyrzutków społeczeństwa, a zwłaszcza, powiedzmy sobie, członków „rozbitych rodzin” zaleją nasze szkoły i gabinety lekarskie, my wszyscy zaś pogrzążymy się w chaosie! W nędzy! I w anarchii! Stałe pole kempingowe musi się, wobec tego, stworzyć w pobliżu większego miasta, żeby władze mogły panować nad Cyganami! Chodzi mi o miasto z pewną infrastrukturą. Worcester czy, jeszcze lepiej, Birmingham! Posłanie, jakie kierujemy do Rady Malvern, jest zwarte i silne: „Ani się ważcie zrzucać na nas swe troski. Możemy i prości, ale na wasze plewy nabrać się nie damy!” – Tu nastąpiła owacja na stojąco, w odpowiedzi na którą Gwendolin Bendincks uśmiechnęła się tak, jak zziębnięty na widok ogniska.

— Jestem cierpliwy – stanął w rozkroku Samuel Swinyard. – Cierpliwy i tolerancyjny. Pracuję na roli i jestem z tego dumny, a rolnika niełatwo jest wyprowadzić z równowagi. (Na sali dały się słyszeć wesołe pomruki). Nie mówię, że miałbym coś przeciwko stałemu polu na kemping dla wszystkich Cyganów, gdyby to chodziło o Cyganów czystej krwi. Tatuś mój, Abe, zatrudniał swego czasu kilku prawdziwych Cyganów przy żniwach. Umieli się oni przyłożyć do roboty. Ciemni jak Murzyni, a zęby mocne jak u konia... Jak przyszła powódź, to nawet u nas zimowali. Musiał ich stale mieć na oku. Szczwani byli niektórzy jak sam diabeł. W czasie wojny to gnoje przebierali się za baby i spierdalali do Irlandii, żeby tylko nie trafić do Normandii. Ale z Cyganami czystej krwi człowiek chociaż wiedział, na czym stoi. Występuję tu dzisiaj na tej scenie, bo całe to tałatajstwo, które się tytułuje Cyganami, to w ogólności bankruci i przestępcy, co nie odróżnią czystej krwi Cygana, choćby im dał po (Isaac Pye zakrzyknął: „Dupie, Sam, dupie!” – i w tyle sali wybuchła, jak pierdnięcie, gromka salwa śmiechu) nosie, Isaacu Pye, nosie! Beatnicy i hipisi, i druciarze; teraz to każdy chciałby być „Cyganem”, byle się tylko móc starać o jałmużnę! Niedouczone pasożyty liczą na pomoc socjalną. A teraz zachciewa im się

jeszcze kempingu ze spuszczaną wodą! Społeczni to są dla nich na każde zawołanie! Może bym i ja zaczął udawać Cygana, a też mi dadzą wszystko za darmo! Opłaca się mi tak urabiać? Bo jakbym tylko chciał...

Zaryczała syrena pożarowa.

Samuel Swinyard skrzywił się, wnerwiony. Bać się nie miał czego, bo prawdziwych alarmów nie ma nigdy; zdarzają się tylko ćwiczenia przeciwpożarowe. Jak choćby w naszej szkole przed tygodniem. Musieliśmy sprawnie opuścić klasę, wyjść w czasie lekcji francuskiego i ustawić się w szeregu na boisku. Pan Whitlock przyleciał z rykiem:

— Spalicie się na grzanki! Wszyscy! GRZANKI! Do końca życia będziecie kalekami!

Pan Carver ułożył ręce w megafon i wrzasnął:

— Przynajmniej raz Nicholas Briar nie będzie sam!

Ale teraz, w świetlicy, syrena wyła, wyła i wyła bez ustanku.

Wszyscy naokoło zaczęli pokrzykiwać: „Śmieszne!” i „Niechże jaki Einstein wyłączy to cholerstwo!”.

Gwendolin Bendincks szepnęła coś do pana Castle’a, który zwinął dłoń w trąbkę przy uchu, dopytując: „Co? Co?”. Gwendolin Bendincks powtórzyła. „Cooo?”. Kilka osób się zerwało i rozglądało z niepokojem.

W tyle eksplodowało chóralne „PALI SIĘ!”.

Świetlica w jednej chwili zabalgotowała paniką, niby maselnica.

Jak rój pszczół uniosły się pod sufit gorączkowe krzyki i piski. Poleciały krzesła. Parę nawet aż się odbiło od podłogi.

— Cyganie przyszli! Chcą nas puścić z dymem!

Nagle zgasło światło.

— Na dwór wszyscy! Na dwór!

W straszliwych ciemnościach tato przyciągnął mnie do siebie (suwak jego kurtki przyciął mi nochal) jak niemowlę. Siedzieliśmy tak w bezruchu, w samym środku rzędu. Poczujęm zapach dezodorantu spod jego pachy. Dostałem w kostkę czyimś butem. Zamrugęło jedno jedyne światło awaryjne. W poświacie zobaczyłem, jak pan Rhydd wali pięścią w drzwi

przeciwpożarowe.

— Zamknijcie! Do licha, zamknijcie!

Tato Wilcoxsa siłą przepychał się przez tłum.

— Rozwalcie szyby! Rozwalcie te cholerne szyby!

Tylko Kit Harris był spokojny. Kontemplował zgromadzonych jak pustelnik kontempluje leśną głuszę. Mama Colette Turbot krzyknęła, bo jej się zerwał sznur ogromniastych pereł, które momentalnie zostały rozniesione po całej podłodze.

— Miażdżysz mi rękę!

Ludzie padali i się podnosili niczym kręgle. Bezgłowy tłum to najniebezpieczniejsza ze wszystkich żywych istot.

— Nic się nie bój, Jason! – tato przycisnął mnie tak mocno, że o mało się nie udusiłem. – Trzymam cię, trzymam!

Dom Deana Morana to tak naprawdę zbite ze sobą dwie chatki w opłakanym stanie, tak stare, że do klopa trzeba chodzić na dwór. Zazwyczaj sikam na polu obok, bo tam jest porządniej. Dziś razem wysiedliśmy ze szkolnego autobusu przy Druggers End, bo chcieliśmy sobie pograć na Sinclairze ZX Spectrum 16k Deana. Ale jego siostra Kelly bez końca siedziała nad magnetofonem, więc nie dało się załadować żadnej gry. Kelly pracuje jako Pick'n Mix w supermarkecie Woolwortha w Malvern i od pewnego czasu lepiej jej nie wchodzić w drogę. Dean stwierdził więc, że podrasujemy Operację u niego w pokoju. Ściany ma wytapetowane plakatami West Bromwich Albion. Ciągłe spadają do niższej ligi, ale Dean z tatą kibicowali im od początku – i koniec. Operacja to taka gra, w której wyjmuje się kości z ciała pacjenta. Gdy dotknie się jego boku pincetą, odzywa się brzęczyk w nosie i nie można przyjąć honorarium. Chcieliśmy wymienić baterię na taką gigantkę, żeby przy dotknięciu boku gracz doznawał porażenia prądem. Całkiem wykończyliśmy i Operację, i pacjenta, ale Dean mówi, że gra znudziła go ze sto lat temu. Przed domem sporządziliśmy wariackie pole golfowe z desek, rur i starych podków – z zapuszczonego sadu, którym się kończy ogród Deana. Przegniły pniak pokrywały złowieszczo falbaniaste muchomory. Z dachu

klopa przyglądał się nam kot o księżycowo-szarej sierści. Znaleźliśmy dwa kije, lecz piłki nie udało się wyszukać nawet w szopie bez dna. Natknęliśmy się za to na połamane krosno oraz szczątki motocykla.

— A może – zaproponował Dean – zerkniemy sobie do studzienki?

Studnia jest zasłonięta pokrywą kosza na śmieci i jeszcze zabezpieczona kupą cegieł, żeby przypadkiem nie wpadła do niej siostra Deana, Maxine. Pomału, jedna za drugą, usunęliśmy wpierw te cegły.

— W bezwietrzne i bezksiężycowe noce można tu czasem usłyszeć głos tonącej dziewczynki.

— Akurat, Dean, już ci wierzę.

— Przysięgam na grób babci! W tej studni utopiła się dziewczynka. Nim przyszła pomoc, wciągnęło ją za halki i te inne...

Dean znał tyle szczegółów, że chyba raczej nie wciskał mi kitu.

— Kiedy?

Odrzucił ostatnią cegłówkę.

— W dawnych czasach.

Zapusciliśmy żurawia. Odbicie w grobowo nieruchomej tafli. I cisza, równie makabryczna.

— Jaką ma głębokość?

— Nie wiem – studnia wciąga każde słowo i wyrzuca je wielkim echem. – Raz uwiązaliśmy z Kelly żyłkę do sznura i spuściliśmy na dół. Po pięćdziesięciu metrach żyłka dalej się rozwijała...

Na samą myśl o upadku aż mi się zatrzęsły jajka.

Wokół studni zapadał wilgotny październikowy zmierzch.

— Mamo! – coś zakwiliło, a my w nogi. – NIE UMIEM PŁYWAĆ!

Zesrałem się. Normalnie się zesrałem.

Pan Moran zaśmiewał się jak w obłędzie.

— Tato! – jęknął Dean.

— Oj, przepraszam, chłopaki, nie mogłem się powstrzymać! –

pan Moran otarł łzy z oczu. – Wyszedłem sobie posadzić nowe żonkile, usłyszałem, co mówicie, no i nie mogłem się oprzeć!...

— Pewno, pewno – Dean z powrotem zakrył studnię. – Jakże by inaczej!

Tato Deana sporządził stół do ping-ponga, układając w poprzek kuchennego stołu ścianę z książek – grzbietami do góry. Za rakiety posłużyły nam książeczki Ladybird. Ja rozgrywałem *Elfami i szewcem*, a Dean – *Rumpelstiltskinem*. Wyglądaliśmy pewno jak szurnięci, zwłaszcza pan Moran, który grał rozpłaszczoną puszką Dr. Peppera. (Dr Pepper to gazowany syrop Benylin). Śmiechu przy tym było co niemiara. Zabawa sto razy fajniejsza od oglądania tiwi w moim przenośnym odbiorniku. Wyniki zapisywała siostrzyczka Deana, Maxine. Cała rodzina nazywa ją Mini Max. Graliśmy według zasady „Zwycięzca pozostaje”. Mama Deana wróciła z domu spokojnej starości przy Malvern Road, gdzie pracuje. Raz tylko spojrzała na nas, powiedziała: „Franku Moranie” – i rozpałała w piecu, z którego rozniósł się zapach prażonych fistaszków. Mój tato mówi, że prawdziwy piec w ogóle się nie opłaca, ale tato Deana powtarza tonem Tavisha McTavisha, że „Dom bez kociołka nie ma duszy”. Pani Moran upięła włosy drutem do robótek i ograła mnie 21:7, ale nie została z nami, tylko wzięła „Gońca Malvern” i odczytała na głos:

— „ZWĘGLONA ANARCHIA W ŚWIETLICY! Jak przekonali się w środę mieszkańcy Black Swan Green, dym bez ognia jest możliwy. Zwołane przez członków miejscowej społeczności zebranie inauguruje działalność Komitetu Protestacyjnego ds. Obozowiska, którego celem ma być walka z władzami pragnącymi stworzyć przy Hake’s Lane plac pod obóz cygański – przerwał alarm pożarowy. Ogarnięci popłochem uczestnicy zgromadzenia musieli salwować się ucieczką...”. Ojej, ojej. (W artykule właściwie nie było nic śmiesznego, ale pani Moran czytała go głosem młotowatej prezenterki wiadomości, więc ubaw był po pachy). „Na podium pospieszyły służby ratownicze, okazało się jednak, że przyczyną alarmu był dym wydobywający

się z opiekacza grzanek. Udzielono pomocy lekarskiej czworgu rannym. Naoczny świadek wydarzeń, zamieszkały przy Kingfisher Meadows Gerald Castle... – to chyba twój sąsiad, Jason – ...powiedział «Gońcowi»: «To istny cud, że nikt nie doznał trwałych okaleczeń ciała». Oj, przepraszam, nie powinnam się śmiać. To wcale nie jest zabawne. Widziałeś to, Jason?

— Tak. Poszliśmy z tatą. Świetlica była pełniuteńka. A państwo nie poszli?

Pan Moran jakby skamieniał.

— Sam Swinyard chciał ode mnie wydębić podpis, ale grzecznie odmówiłem – rozmowa przybierała niewłaściwy obrót. – Pewnie poziom debaty był imponujący...?

— No, w sumie wszyscy byli przeciw obozowi.

— A jakże! Ludzie mają gdzieś, że ta kreatura z Downing Street rozbija związki zawodowe, za które ginęli ich dziadowie! Ale jak tylko wyczują handlową konkurencję, zaraz im się ze strachu zachciewa rewolucji!

— Frank – pani Moran tym słowem jakby zaciągnęła ręczny hamulec.

— Nie wstydzę się przyznać Jasonowi, że w moich żyłach płynie cygańska krew! Miałem dziadka Cygana, wiesz, Jason? Dlatego nie poszliśmy na zebranie. Cyganie to nie anioły, ale źli też nie są. Absolutnie. Nie lepsi ani nie gorsi niż listonosz albo rolnik. Należy im się spokój i nic więcej.

Nie wiedziałem, co na to odpowiedzieć, więc tylko skinąłem głową.

— Gadaniem po próżnicy raczej się nie najesz – pani Moran wstała.

Pan Moran sięgnął po „Tydzień Krzyżówkowicza”. Na okładce „Tygodnia Krzyżówkowicza” są panie w bikini, ale w środku już więcej golizny się nie znajdzie. Maxine, Dean i ja odłożyliśmy „raketki”, gdy kuchnia wypełniła się wonią bekonu i grzybów. Pomogłem Deanowi nakryć do stołu, aby trochę odciągnąć powrót do domu. U Moranów szuflada na sztuce nie jest podzielona tak metodycznie jak nasza. Panuje w niej wielki

nieład. – Przekąsisz coś z nami, prawda, Jason? – pani Moran obierała kartofle. – Kelly dzwoniła z pracy, że ktoś tam obchodzi urodziny i wybierają się do knajpy, więc mamy dziś przy stole wolne miejsce.

— No, już – zachęcił tato Deana. – Zadzwońże do mamy.

— Lepiej nie – szczerze mówiąc, miałem ogromną ochotę zostać, ale mama strasznie się piekli, jeśli nie ustalę z nią wiele tygodni naprzód, że wybieram się do kogoś na obiad czy kolację. Tato też zachowuje się jak policjant, jakby nie mógł się na mnie tylko trochę poboczyć i po sprawie. Mimo że ostatnio sam jada w Oksfordzie częściej niż w domu. – Dziękuję za zaproszenie.

Zmierzch wyssał z ziemi całą mgłę. Za tydzień cofa się zegary. Mama miała niedługo wrócić z Cheltenham, ale mnie się w ogóle nie spieszyło. Poszedłem więc dłuższą trasą, koło sklepu pana Rhydda. Gdyby mi się udało obejść wylot Wellington Gardens, może uniknąłbym spotkania z bandą Rossa Wilcoksa... Gdy jednak mijałem bramę cmentarną Świętego Gabriela, z ogrodu Colette Turbot dobiegły mnie krzyki chłopaków. Niedobrze.

Wręcz fatalnie. Ujrzałem Rossa Wilcoksa we własnej osobie, Gary’ego Drake’a i jeszcze dziesięciu albo i piętnastu innych. Byli też wśród nich starsi, jak Pete Redmarley oraz bracia Tookeyowie. Rogorzała bitwa. Na kasztany i, w charakterze ciężkiej artylerii, dzikie jabłka i opadłe gruszki. Amunicję donoszono w podwiniętych nad brzuchami swetrach. Nad uchem przeleciał mi ze świstem zabłąkany kasztan. Dawniej bez zastanowienia przyłączyłbym się do najpopularniejszych chłopaków, ale co dawniej, to nie teraz. Istniało spore prawdopodobieństwo, że usłyszę: „B-b-b-b-b-rać T-t-t-t-t-aylora!”, i obie armie skierują ogień w moją stronę. Gdybym się rzucił do ucieczki, zaraz nastąpiłoby polowanie na lisa z gonitwą po całej wiosce. Głównym łowcą byłby Wilcox, a lisem oczywiście ja.

Czym prędzej więc wśliznąłem się pod obrośniętą bluszczem wiatę na przystanku. Kiedyś zatrzymywały się tutaj autobusy do Malvern i Tewkesbury, ale dla oszczędności prawie wszystkie

odwołano. Wiatę przejęły zakochane parki i grafficiarze. Od ścianki co chwila odbijały się owocowe kule. Wtem dotarło do mnie, że na własne życzenie znalazłem się w pułapce. Pędziła ku mnie armia Pete'a Redmarleya; tuż za nią – wznosząc wojenne okrzyki – banda Rossa Wilcoxsa. Trzy metry dalej Ciapciak efektownie dostał w głowę kwaśnym jabłkiem. Dotrą tutaj w sekundzie i zaraz mnie nakryją! Co jest o wiele gorsze, niż gdybym się na nich natknął przez przypadek.

Starłszy jabłko z oka, Ciapciak spojrzał na mnie.

Przerażony, że mnie wyda, dałem mu znak, aby siedział cicho.

Ciapciak wyszczerzył się, rozanielony, i dał mi znak, że „ani mru-mru”.

Wyskoczyłem z wiaty – i pędem przez Malvern Road. Nie miałem czasu szukać drogi, tak że improwizowałem. Gnając gdzie oczy poniosą, wrąbałem się w gęstwą ostrokrzewu. No i całe szczęście. Wpadłem między kłujące liście, ale podrapana szyja i podrapany tyłek to nic w porównaniu z bólem, jaki sprawia upokorzenie. I – cud nad cudami – nikt nie trąbił za mną: „Jason Taylor!”. Działania wojenne trwały. Nieopodal mej kryjówki Simon Sinton szeptem wydawał rozkazy sam sobie. Wiata, którą opuściłem przed dwudziestoma sekundami, została zarekwirowana jako bunkier.

— To boli, Croome, tłuku jeden!

— Tak? Zabolało Robinka? Aleś ty biedny! Tak mi przykro!

— Ej, no, chłopaki! Pokażmy im, kto tu rządzi!

— Wybić ich! Zmasakrować! Wrzucić do rowu! Zakopać!

Pete Redmarley zebrał rozproszone wojsko. Bitwa wciąż była zacięta, lecz nikt w zasadzie nie wygrywał. Powietrze zgęstniało od pocisków i krzyków rannych. Wayne Nashend począł szukać amunicji zaledwie kilka stóp ode mnie. Walki najwidoczniej przeniosły się do lasu. By więc ocalić skórę, musiałem się jeszcze bardziej w nim zagłębić.

W przyjaznym gąszczu mijałem kurtynę za kurtyną, niby we śnie. Paprocie gładziły mi czoło i smyrały po kieszeniach. „Nikt nie wie, że tu jesteś” – mruczały drzewa, szykując się

do zimy.

Chłopak, którego się czepiają, udaje niewidzialnego, aby się nie rzucać w oczy i uniknąć napaści. Jakaś udaje niewidzialnego, by uniknąć przymusu wypowiedzenia słów, które są dla niego trudne. Dzieciak, którego rodzice się kłócą, udaje niewidzialnego, żeby ich nie prowokować do nowej utarczki. Czyli że jestem Chłopcem Niewidzialnym z Trzech Powodów. I ostatnio sam rzadko widuję prawdziwego Jasona Taylora, chyba że przy pisaniu wiersza albo czasem przed lustrem, albo tuż przed zaśnięciem. Ale w lesie Jason Taylor nie udaje. Ściągną gałęzi, kościste korzenie, ścieżki, które jakby nie istnieją, szańce wzniesione przez borsuki, albo i przez Rzymian, staw, który z nadejściem stycznia pokryje się lodem, drewniane pudełko na cygara przybite potajemnie do jaworu, gdzie kiedyś chciało się budować szałas, cisza wśród ptasich skrzydeł i łamanych patyków, zębate orlice, przeróżne miejsca, jakie można odkryć tylko w pojedynkę. Czas w lesie jest starszy niż w zegarach – i prawdziwszy. W lesie szaleją Duchy Niebyłego, sklepy z papeterią i pogmatwane gwiazdy. W lesie nie potrzeba płotów ani granic. Stanowi je sam las. „Nie bój się. W ciemności widać lepiej”. Chciałbym zajmować się drzewami. Druidzi dawno wymarli, a leśnicy wciąż istnieją. Zostać leśnikiem we Francji. Bo które drzewo obchodzi, że człowiek nie umie się wygadać?

Druidyczne uczucie, jakiego doznaję w lesie, jest tak podniecające, że zaraz muszę sobie walnąć kupę, więc za pomocą płaskiego kamienia wykopałem dołek pod krzakiem o pięściastych liściach. Spuściłem gacie i kucnąłem. Klawo tak srać na polu, jak jaskiniowiec, kapitalnie. Rozluźniasz się i walisz, a ściółka ledwie zaszeleści. Na kucanego sra się łatwiej niż w klopie. Poza tym na powietrzu kupa jest bardziej zwarta i bardziej paruje. (Boję się tylko, że wleci mi do dupy mucha mięsna i w jelicie grubym złoży jajka. Że wylęgną się tam larwy i dostaną do mózgu. Mój kuzyn Hugo mówi, że przytrafiło się to jednemu chłopakowi z Ameryki, nazwiskiem Akron Ohio).

— Czy to normalne – zapytałem, ale niezbyt głośno – żeby tak

ze sobą gadać w lesie?

Jakiś ptak – tak blisko, jakby mi przycupnął w zagłębieniu ucha – zaczął koncert na flecie w porzuconym słoju. Całym sobą zapragnąłem posiąść coś tak niedostępnego. Ach, gdyby można było wśliznąć się w tę chwilę, do tego słoja, i już tam tak zostać... Niestety, musiałem się poruszyć, bo ścierpły mi łydki. Nieuchwytny ptak przeląkł się i zniknął w tunelu gałązek i terażniejszości.

Ledwie skończyłem podcierać tyłek pięściastymi liśćmi, z kępy paproci wylazł potężny brytan, wielki jak niedźwiedź, brunatno-biały wilk.

Myślałem, że padnę.

Ale wilk spokojnie wziął w zęby moją torbę Adidasa i potruchtał ścieżką w swoją stronę.

„To tylko pies – stwierdził roztrzęsiony Robal. – Okay. Już sobie poszedł i nic nam nie grozi”.

Z mych trzewi dobył się starczy jęk. Przepadły trzy podręczniki i sześć zeszytów, w tym zeszyt do biologii! Co powiem nauczycielom? „Nie mogę oddać zadania, bo mi je pies porwał”. Pan Nixon zaraz chwyciłby laskę, aby mnie ukarać za brak oryginalności.

Zerwałem się stanowczo za późno, żeby wszcząć pościg za złodziejem, a na dodatek zaplątałem się w dyndający pas i rozpięte spodnie. Jak Flip i Flap rymnąłem na pysk. Zgniłe liście w gaciach i gałązka w nosie...

Nie pozostało mi nic innego, jak podążyć za psem, z nadzieją, że jego białawy korpus mignie mi gdzieś w końcu na tle leśnej czerni. Pan Whitlock zadręczyłby mnie swą ironią. Wściekłość pani Coscombe byłaby nie do wytrzymania. A niedowierzenie pana Inkberrowa niezłomne jak jego metrowa linijka. Kurde, kurde, kurde. Nie dość, że wszyscy chłopacy mówią o mnie „beznadziejny przypadek”, to teraz jeszcze nauczyciele uznają mnie za trutnia. „Na co się było włóczyć po lesie o tej porze?”

Sowa? W tym miejscu była taka pochyła polanka; pamiętam z czasów, kiedy bawiłem się w lesie w wojnę z chłopakami ze wsi.

Traktowaliśmy tę zabawę bardzo serio, braliśmy jeńców, robiliśmy zawieszenie broni i wystawialiśmy flagi (skarpetki na kij), które musiał zdobywać przeciwnik, a zasady walki stanowiły połączenie berka z judo. No, w każdym razie było to o wiele bardziej wyszukane niż udawanie pierwszej wojny na Malvern Road. Kiedy feldmarszałek dobierał sobie ludzi, zawsze wpierw padało na mnie, bo jak chodzi o spryt i umiejętność wspinania się po drzewach nie miałem sobie równych. Przepajne to były zabawy. Nie to, co sport w szkole. W sporcie nie można być kimś innym. Dzisiaj nikt już się nie bawi w wojnę. My byliśmy ostatni. Prócz okolicy nad jeziorem, gdzie wyprowadza się psy, z każdą porą roku ludzie wydeptują w lesie coraz to nowe ścieżki. Wejścia do lasu albo zagrodzono drutem, albo zarosły jeżynami. Gałęzie zostawione samym sobie gęstnieją i robią się cierniste. Dziś nikt nie pozwala dzieciom ganiać tam po zmroku, jak za moich czasów. Niedawno w Gloucestershire zamordowali gazeciarza; chłopaka nazwiskiem Carl Bridgewater. Gloucestershire jest o rzut beretem. Policja znalazła ciało właśnie w takim lesie.

Na myśl o Carlu Bridgewaterze ogarnął mnie lekki strach. Lekki. Morderca pewnie pozbył się zwłok w lesie, ale musiałby być skończonym kretynem, żeby tu się czaić na ofiary. Las Black Swan Green to nie Sherwood ani Wietnam. Chcąc teraz dotrzeć do domu, powinienem albo się wycofać, albo iść przed siebie, aż wyjdę na pola. Bułka z masłem.

Mhm, tylko że bez szkolnej torby Adidasa.

Dwa razy spostrzegłem białą plamę i pomyślałem: „Pies!”.

Za pierwszym była to srebrzysta brzoza. Za drugim – reklamówka.

Beznadziejna sytuacja.

Stałem nad krawędzią starego kamieniołomu. Odkąd przestaliśmy bawić się w wojnę, całkiem o nim zapomniałem. Stromizna nie była aż taka straszna, ale też nikt by nie chciał się tam po niej sturlać. Na dnie – coś jak trójboczny basen z drogą wiodącą w stronę Hakes Lane. A może Pig Lane? Zdumiony

ujrzałem w dole światła i usłyszałem głosy. Stało tam, jak wyliczyłem, pięć albo sześć przyczep kempingowych plus domy na kółkach, samochód ciężarowy, wóz do przewozu koni, furgonetka Hillman i motocykl z przyczepą. Dyszał i sapał generator. „Cyganie – pomyślałem. – Na pewno”. U stóp osypiska kamieni pod nawisem siedziało wokół ognia siedem czy osiem postaci. Z psami.

Ani śladu wilka, który mnie obrabował, i ani śladu mojej torby Adidasa. Ale oczywiście było wielce prawdopodobne, że znajdę ją właśnie tutaj, a nie w lesie. Ciekawe tylko, jak chłopak z Kingfisher Meadows, z domu o czterech sypialniach i podwójnych szybach marki Everest miałby się zbliżyć do gromady Cyganów i oskarżyć ich psy o kradzież swego mienia?

Musiałem.

Jak to: „czemu?”. Przecież wziąłem udział w zebraniu Komitetu Protestacyjnego ds. Obozowiska. Że nie wspomnę o torbie. By jednak nie zarzucili mi, że ich szpieguję, postanowiłem wejść do obozu drogą główną.

— Chcesz nas tak szpiegować do nocy?

Jeśli przez tatę Deana Morana mogłem się zesrać pięciokrotnie, wstrząs wywołany tym pytaniem rozdarł mi wąpia chyba z dziesięć razy. W zakrzepłym mroku stał przede mną facet ze złamanym nosem.

— Nie... – tak, zdaje się, zacząłem błagać go o łaskę. – Tylko może... – ale nie udało mi się już dokończyć, bo postąpiłem krok do tyłu.

Pustka.

Kamienie, śliska gleba, zjazd po niej i turlanie („Ciesz się, jak tylko złamiesz nogę” – szepnął Nienarodzony Bliźniak), turlanie, turlanie („Kuźwa!” i „Uwaga!”, i „UWAGA!” – krzyki ludzkich istot), turlanie, turlanie (kostka w kubku) w dół i jeszcze niżej (obóz, ognisko, obojczyki) i ciężki wydech z płuc, gdy wreszcie zatrzymałem się bez ruchu.

Pół metra ode mnie zaciekle ujadanie psów.

— WON, WON, GŁUPIE GNOJKI!

Strumienie pyłu i kamyków w końcu mnie dognały.

— Aaa – odezwał się schrypły głos – skąd on, u licha, zleciał?

Doznałem takiego uczucia, jak ktoś w tiwi, kiedy budzi się w szpitalu i widzi nad sobą rozmyte kształty twarzy – ale ze względu na ciemności było to straszniejsze. Bolało mnie dwadzieścia części ciała. Ból był nie jak od topora, a jak od skrobaczki do butów, stwierdziłem więc, że dam radę powstać z ziemi. W oczach kłębiło się jak w kończącej cykl pralce.

— Chłopak się ześliznął, zleciał! – usłyszałem wiele głosów. – Chłopak zleciał!

W świetle ogniska pojawiły się kolejne twarze. Jeśli nie wrogie, to z pewnością podejrzliwe.

Jakiś starzec przemówił w obcym języku.

— Jeszcze nie do grobu! Nie spadł ci on w przepaść!

— Nic mi nie jest – żwir zatykał usta. – W porządku...

Ktoś tuż obok spytał:

— Możesz się podnieść, chłopcze?

Spróbowałem, lecz ziemia wciąż jeszcze się trzęsła.

— Chwieje się na nogach – oznajmił ochrypły. – Posiedź sobie chwilkę przy ognisku. A niech mi kto pomoże, raz-dwa...

Wsparty na dwu silnych ramionach, powlokłem się do ogniska. Tylko parę kroków. Z przyczepy, skąd dobiegało „Midlands Today”, wyszły matka z córką w fartuchach. Obie najwidoczniej twarde jak ze stali. Jedna tuliła do piersi niemowlę. Zbiegli się chłopacy. Sto razy bardziej walnięci i odważniejsi niż ktokolwiek z moich rówieśników; nie dorównałby im nawet sam Ross Wilcox. Widać, że nie straszne im były deszcze, chłody, naparzanki, koledzy-sadyści, terminowe odrabianie zadań ani nic w tym stylu.

Jeden nastolatek był tak pochłonięty ciosaniem jakiejś bryły, że nawet nie zerknął w moją stronę. Nóż jego błyskał w świetle nocy. Spod kędzierzawej czupryny prawie nie było widać twarzy.

Schrypnięty okazał się szlifierzem. Dodało mi to otuchy, ale tylko trochę. Wtedy spokojnie stał pod drzwiami, no ale teraz

to przecież całkiem co innego.

— Przepraszam, że... Dzięki, chyba lepiej już pójde.

— Ja go przyłapałem, Bax! – z osypiska zjechał na tyłku Chłopiec z Rozkwaszonym Nosem. – Ale zleciał sam! Ja go nie popchnąłem! A zasłużył! Przyszedł tu, gnój jeden, na przeszpiegi!

Szlifierz popatrzył na mnie.

— Spokojnie, szefie, spokojnie, nie masz się co tak spieszyć.

— Może to, yyy... (Kat przyblokował „zabrzm”) się wydać dziwne, ale byłem w lesie za Świętym Gabrielem... no, kościołem... i kiedy (Kat przyblokował „siedziałem”) odpoczywałem, zjawił się (Boże, jakie to żalosne) pies, olbrzymi, porwał mi torbę, no i uciekł. (Ani śladu współczucia na obliczach zgromadzonych). Miałem tam wszystkie zeszyty i podręczniki. – Za sprawą Kata dukałem słowa jak kłamczuch. – Później poszedłem za tym psem, to znaczy, miałem taki zamiar, ale zrobiło się ciemno, i ta droga, taka ścieżka doprowadziła mnie... – wskazałem krawędź urwiska – tutaj. Widziałem was z góry, ale nie szpiegowałem. (Nawet niemowlę spojrzało na mnie z powątpiewaniem). Chciałem tylko odzyskać swoją torbę, naprawdę.

Ciosacz dalej ciosał.

— A po coś w ogóle wybrał się do lasu? – spytała jakaś kobieta.

— Musiałem się schować – sens mogła mieć jedynie nieprzyjemna prawda.

— Schować? – zainteresowała się jej córka. – Przed kim?

— Przed grupą chłopaków. Ze wsi.

— Coś im zrobił? – zapytał Chłopiec z Rozkwaszonym Nosem.

— Nic. Nie lubią mnie i tyle.

— Czemuż to?

— Skąd mam wiedzieć?

— Jasne, że wiesz!

Jasne, że tak.

— Bo do nich nie należę. Koniec. Kropka.

Nagle poczułem na dłoni ciepły śluz. Zębaty mieszaniec charta z owczarkiem szkockim uniósł łeb, aby mi się przyjrzeć.

Gość z bokobrodami i włosami zaczesanymi na brylantynie prychnął do starszego:

— Bax, żebyś ty się widział! Jakby ten chłopak zleciał prosto z nieba!

— Diabelnie się przeląłem, a co! – starszy cisnął w ogień puszkę po piwie. – Wcale się nie wstydzę, Clemie Ostler. Myślałem, że to jaki demon z cmentarza. Albo że kto z gadziów zrzuca piecyk czy lodówkę, jak wtedy tam w Pershore. Ja do tych huncwotów (Cyganie albo zniekształcają słowa, albo wymyślają nowe) jakoś nie mam serca. Chyłkiem się taki (kiwnął na mnie) podkradnie, to i jak mu wierzyć?...

— Nie grzeczniej – zwrócił się do mnie szlifierz – by to było spytać się o torbę, skoroś myślał, że ją mamy?

— Tyś pewno myślał, że cię nadziejemy na szpikulec i upieczemy żywcem, nie? – założone ręce kobiety były grubaśne jak kable. – Bo przecie wiadomo, że Cygan lubi sobie wrzucić w garnek kawał dorodnego gadzia...?

Ponuro wzruszyłem ramionami. Ciosacz nadal ciosał. Drzewny dym i opary tłuszczu, wonie ciał i papierosów, kiełbasek z fasolką i słodko-kwaśnego nawozu. Ci ludzie mają w życiu więcej luzu ode mnie, ale za to moje życie jest sto razy łatwiejsze i prawdopodobnie potrwa dłużej.

— Przypuśćmy – odezwał się niski gość, usadowiony na tronie ze starych opon – że ci pomogę znaleźć torbę? Co byś mi dał w zamian?

— Ma pan moją torbę?

— Jak śmiesz oskarżać wujka?! – wybuchnął Chłopiec z Rozkwaszonym Nosem.

— Daj spokój, Al – ziewnął szlifierz. – Widać, że chłopak nie ma złych zamiarów. Ale mógłby sobie zaskarbić krzywą zaufania, jakby nam powiedział, czy ta szopka w świetlicy w zeszłą środę to o „stały teren”, który rada chce budować przy Hakes Lane. Pół Black Swan Green tam było, stłoczeni jak sardynki. W życiu czegoś takiego nie widziałem.

Uczciwość i wyznanie są nader często równoznaczne.

— Tak, o to.

Szlifierz pochylił się do tyłu, zadowolony, jakby w tej chwili wygrał zakład.

— Tyś tam też był, racja? – zapytał gość nazwiskiem Clem Ostler.

Stanowczo za długo zwlekałem z każdą odpowiedzią.

— Bo mnie zabrał tato. Ale zebranie przerwano w połowie, bo...

— Wiecie o nas wszystko – zniecierpliwiła się córka. – Nie?

— Niewiele – odparłem, by się nie narazić.

— Gadziowie – Clem Ostler zmrużył oczy – wiedzą o nas tyle, co szczur narznął. A jeszcze mniej ich tak zwani specjaliści.

Staruszek Bax przytaknął.

— Wattsonie się tak wprowadzili na „stały teren” w Sevenoaks. Czysze, spisy, listy, dyrektory... Takie to dobrodziejstwo losu! Domy dla ubogich, tyle że na kółkach.

— W tym cały durny dowcip! – szlifierz pogrzebał w ognisku. – Chcą nas na siłę uszczęśliwić. Cały raban przez to nowe prawo, aż człowieka żalność bierze.

Chłopiec z Rozkwaszonym Nosem spytał:

— A co to za nowe prawo, wujku?

— Chodzi o to, że jak rada nie stworzy tylu stałych terenów, ile mają przydzielone, wedle ustawy możemy obozować, gdzie dusza zapagnie. Ale jak zrobią normę, wtedy rząd ma prawo nas wywalić z każdego terenu, który nie jest stały. Po to ten cyrk z Hakes Lane; nie, że oni nagle tacy dobrzy.

— O tym gadali na zebraniu – skrzywiła się na mnie matka. – Prawda?

— Wpierw nas tu uwiążą – Clem Ostler nie dopuścił mnie do głosu – poupychają dzieci po tych swoich szkołach, wszystkich nas tak przerobią, cobyśmy im służyli. I mieszkać do tego każą w domach z cegły, w ciasnocie. Zmiotą z powierzchni ziemi, jak chciał Adolf Hitler. Nooo, nie tak samo; pomału, w białych rękawiczkach, ale i tak się nas pozbędą.

— „Asymilacja” – Chłopiec z Rozkwaszonym Nosem spojrział

na mnie z wściekłością. – Tak to chyba nazywają pracownicy opieki społecznej, co nie?

— Nie wiem – znów wzruszyłem ramionami.

— Dziwisz się, że Cygan zna takie trudne słowo? Nie kojarzysz mnie, co? A ja cię pamiętam aż za dobrze. Te gały każdego spamiętają. Chodziliśmy do jednej szkółki we wsi... Nauczycielka nazywała się Frogmartin, Figmortin czy jakoś tak... Wtedy też się jąkałeś, co nie? Bawiliśmy się w kata.

— Alan Wall – przywołałem w pamięci nazwisko cygańskiego chłopca.

— Tak się nazywam, jękalcu, i lepiej sobie uważaj.

„Jękalec” brzmiało znacznie lepiej niż „szpieg”.

— Najbardziej – matka zapaliła papierosa – mnie drażni, że gadziowie wymyślają nam od flejtuchów, gdy oni załatwiają się i kąpią w jednej izbie! I wszyscy używają tych samych łyżek i kubków, i kąpią się w jednej wodzie, i nie wyrzucają śmieci na wiatry i deszcze, na łaskę natury, o, nie! Trzymają swoje brudy w pudłach, aż zgniją! – wzdrygnęła się. – Pod własnym dachem!

— Sypiają ze zwierzakami – Clem Ostler pogmerał w ogniu. – Już pies umie napaskudzić, a co dopiero kot! Pchły, futro i kupa kurzu, i co, że śpi taki z gadziem w jednym łóżku! No, nie tak jest, jękalec?

Byłem pochłonięty myślą o tym, jak bardzo Cyganie chcą widzieć innych wstrętnymi i potwornymi, aby tylko sami mogli przypisać sobie doskonałość.

— Jasne, że są tacy, którym zwierzak na łóżku nie przeszkadza, ale...

— To jeszcze nic – Bax splunął w płomień. – Gadziowie ostatnio nie żenią się na całe życie. Tylko się co rusz rozwodzą, tak jak zmieniają samochody, choć sobie przed ołtarzem obiecują cuda. (Z zebranych wokół ogniska nie przytaknął tylko ciosacz. Stwierdziłem, że jest albo niemy, albo głuchy). Jak ten rzeźnik z Worcester, co rozwiódł się z Becky Smith, gdy to i owo jej obwisło...

— Gadziowie parzą się jak psy – ciągnął Ostler. – Dla nich

to bez różnicy, po ślubie czy bez ślubu, żywy, trup, a co im tam szkodzi... Byle gdzie, o każdej porze dnia i nocy, w aucie, w parku, na śmietniku, wszędzie. A nas wyzywają, żeśmy „aspołeczni”.

Wszyscy chyba się zmówili, żeby na mnie spojrzeć.

— Czy ktoś... – nie miałem nic do stracenia – ...nie widział mojej szkolnej torby? Byłbym bardzo wdzięczny.

— Mhm, teraz to się nazywa „szkolna torba”, tak? – Oponiarz najwyraźniej się ze mną droczył. – „Szkolna torba”?

— Dość się chłopak wymęczył – mruknął szlifierz.

Oponiarz podniósł moją zgubę.

— Taka? (Z radości i ulgi aż mnie zatchnęło). Weź ją sobie, proszę bardzo! Z książek nigdy nie nauczysz się radości życia.

Torba powędrowała z rąk do rąk – i w końcu ją odzyskałem.

„Dzięki” – rzucił sucho Robal. – „Dzięki”.

— Fritz różne rzeczy przynosi, jemu to bez różnicy. – Oponiarz gwizdnął i z mroku w sekundzie wyskoczył wilk-złodziej. – Psisko mego brata, tak, Fritz? Opiekuję się nim, póki brat nie wyrwie się z mieszkania w Kiddminster. Szybki jak chart, a mądry jak collie, prawda, Fritz? Oj, będę ja za tobą tęsknił... Przesadzi każdą furtkę, bażanta tłustego przyniesie czy zająca; jemu niestraszny znak, że „wstęp wzbroniony”, prawda, Fritz?

Ciosacz wstał. Wszyscy zgromadzeni spojrzeli na niego z uwagą.

Rzucił mi jakąś ciężką bryłkę. Złapałem.

Bryłka była z gumy i pochodziła chyba z opony ciągnika. Wyrzeźbił z niej głowę wielkości grejpfruta. Trochę w stylu voodoo, ale niesamowitą! Pewnie zaraz by ją chapnęła taka galeria jak mamy. Oczy przepastne, w głębokich oczodołach. Usta jak ziejąca rana. Nozdrza rozdęte jak u przerażonego konia. Gdyby strach nie był uczuciem, a przedmiotem, wyglądałby jak ta głowa.

— Jimmy – Alan Wall przyjrzał się rzeźbie. – Jesteś mistrzem.

Jimmy Ciosacz odbąknął coś, uszczęśliwiony.

— Spotkał cię wielki zaszczyt – oznajmiła kobieta. – Jimmy nie

rzeźbi dla byle gadzia, co tak do obozu spadnie z nieba, wiesz?

— Dziękuję – podziękowałem Jimmy’emu. – Nikomu nie oddam.

Jimmy skrył się pod czupryną.

— To on, Jimmy? – Clem Ostler miał na myśli mnie. – Jak się wyróżnął? Tak wyglądał przy upadku?

Ale Jimmy już był za przyczepą.

Spojrzałem na szlifierza.

— Mogę odejść?

Szlifierz rozłożył ręce:

— Nikt cię tu nie więzi.

— Ale masz im powiedzieć – Alan Wall wskazał wioskę – że my nie złodzieje, choć tak o nas myślą.

— Chłopak by się tylko nagadał po próznicy, ażby jeszcze pękł – stwierdziła córka. – Nikt nie dałby wiary. Nie chcieliby uwierzyć.

Cyganie zwrócili się ku mnie – jakby Jason Taylor był ambasadorem krainy domów z cegły, drucianych ogrodzeń i pośredników w handlu nieruchomościami.

— Boją się was. I was nie rozumieją, macie rację. Gdyby tak... Albo... Na dobry początek mogliby tu trochę posiedzieć. Tak po prostu. Ogrzać się przy ognisku i zwyczajnie was posłuchać. To by był początek.

Potężny wybuch iskier rozjaśnił okalające kamieniołom sosny i musnął twarz księżycy.

— Wiesz, czym jest ogień? – szlifierz zakaszłał jak przed śmiercią. – Ogień to słońce, które się wyrwało z lasu.

Gęsi Jarmark

Wszystko, co ryczał Dean, zagłuszała ta kapitalna piosenka *Olive's Salami* zespołu Elvis Costello and the Attractions, więc musiałem odrykiwać: „Co mówisz?”. Dean na to: „Nic nie słyszę!”, i tak w kółko, aż przyszedł właściciel lunaparku i klepinięciem w ramię wyegzekwował od niego należne dziesięć pensów. W tej samej chwili na zrysowanym torze, pod moim samochodzikiem, spostrzegłem jakiś matowy kwadrat.

Matowy kwadrat okazał się portfelem. Miałem zamiar natychmiast oddać go bileterowi, ale się otworzył, ukazując zdjęcie Rossa Wilcoxsa z Dawn Madden. W pozie Johna Travolty i Olivii „Bomby Neutronowej” Newton-John z plakatu *Grease*. (Tylko że w tle, zamiast słonecznej Ameryki, widniały jakieś zamazane chaszczce w Wellington Gardens).

Portfel Rossa Wilcoxsa pękał w szwach od banknotów. Na oko było w nim co najmniej pięćdziesiąt funtów. Czyli: poważna sprawa. Ja w życiu nie miałem tyle forsy naraz. Wetknąwszy sobie portfel między kolana, sprawdziłem, czy przypadkiem ktoś mnie nie przyfilował. Dean ryczał teraz swoje do Floyda Chaceleya, a chłopaki w kolejce mieli mnie głęboko w nosie.

Oskarżyciel – a) zwrócił uwagę na fakt, iż pieniądze nie należą do mnie, i – b) podkreślił, jak bardzo przerazi się Ross Wilcox, gdy dotrze doń, że stracił całe swoje mienie. Obrońca przedstawił jako dowody rzeczowe – a) odciętą mysia główkę z mojego piórnika; b) wykonane na licznych tablicach wizerunki mnie z własnym fiutkiem w ustach oraz – c) wieczne: „Ej, Glista! C-c-c-c-co s-s-s-s-

słyszeć u logopedy?”.

Sędzia ogłosił wyrok w ćwierć sekundy. Wetknąłem portfel Rossa Wilcoxsa do kieszeni, stwierdzając, że nie czas teraz na liczenie majątku.

Gość od samochodzików dał znak swemu niewolnikowi w budce, który pociągnął za dźwignię – i wszyscy chłopacy na torze zakrzyknęli: „WRESZCIE!”. Drażki zakwitły skrami, gdy, rżąc, pojazdy obudziły się do życia, a Elvis Costello zmienił się w Spandau Ballet i wkoło rozbłysły olśniewające oranże, cytryny i limety. Moran walnął mnie w bok, wyjąc jak Zielony Goblin na Spidermana. Skręciłem kierownicę, żeby mu oddać, ale grzmotnąłem Clive’a Pike’a. Clive Pike chciał dołożyć mnie i tak w kółko, całutkie pięć minut skręcania, zawirowań i grzmocenia, jak w Niebie! Akurat, gdy odłączono prąd i chłopacy chórem zaryczeli: „Jeszcze trochę!”, wtarabanił się we mnie samochodzik Wonderwoman.

— Ups! – zaśmiała się zza kierownicy Holly Deblin.

— Czekaj, to ci pokażę! – zakrzyknąłem.

— O, ja nieszczęsna – odkrzyknęła Holly Deblin.

Portfel Rossa Wilcoxsa przyjemnie połaskotał udo.

Samochodziki są przefajne, po prostu przefajowe.

— Dobrze wy wiecie, czemu was nie wpuszczę! – właściciel warknął na Rossa Wilcoxsa, który stał przed bramą. Towarzyszyła mu Dawn Madden w dżinsach z jaszczurzej skórki i bluzce z futrem wokół szyi. Do ust wiśniowej barwy wsunęła połamany listek miętowej gumy Wrigley’s. – Nie strugać mi tu teraz niewiniątek!

— Ale on na pewno leży gdzieś na torze! – cudowny był to widok: Ross Wilcox w rozpacz. – Musi tam być!

— Jak się przeskakuje z auta do auta, to jasne, że coś wyleci! Mam gdzieś, czy prąd by was pokopał, mnie zależy tylko i wyłącznie na koncesji!

— Niech pan nam chociaż da popatrzeć! – spróbowała Dawn Madden. – Tato go zamorduje!

— A co mnie to obchodzi, hę?

— Pół minuty! – Wilcox dostał histerii. – Błagam!

— A ja ci mówię, że robota czeka i nie mam zamiaru się z wami certolić ani chwili dłużej!

Niewolnik wpuścił kolejną grupę chłopaków. Jego pan, właściciel, zamknął bramę tak gwałtownie, że niewiele brakowało, a byłby Wilcoxowi przytrzasnął palucha. „Ciach!” W godzinie rozpaczy największy z trzeciorocznych twardzieli Black Swan Green zaczął się rozglądać w poszukiwaniu sprzymierzeńca. Wokół jednak nie było nikogo z jego znajomych. Na Gęsi Jarmark przybywają ludzie z Tewkesbury, Malvern i Pershore, z całutkiej okolicy.

Dawn Madden chciała położyć Wilcoxowi rękę na ramieniu.

Wilcox odepchnął rękę Dawn i się od niej odwrócił.

Zraniona Dawn Madden szepnęła coś do Wilcoxsa.

— Właśnie, że to jest koniec świata, tępa krowo! – odszczeknął Wilcox.

W ten sposób do Dawn Madden zwracać się nie wolno. Chwilę patrzyła w przestrzeń, rozsierzona. Następnie zadała Wilcoxowi druzgocący cios w oko. Ja z Deanem aż podskoczyliśmy na ten widok.

— Aua! – Dean był cały w skowronkach.

Wstrząśnięty Ross Wilcox cały aż się pomarszczył.

— Ostrzegałam cię, jełopie! – rozszalała furia, Dawn Madden wyszczerzyła zębiska i rozcapierzyła szpony. – Ostrzegałam! Teraz sobie poszukasz naprawdę tępej krowy!

Ross Wilcox nieśmiało podniósł dłoń, by zbadać rozwalone oko.

— Rzucam cię! – z tymi słowy Dawn Madden obróciła się i odeszła.

— DAWN! – Ross Wilcox wydarł się za nią jak na filmie.

Dawn Madden tylko się obejrzała, poraziła Wilcoxsa tysiącwoltowym:

— Spierdalaj! – i zginęła w tłumie.

Wilcox zerknął w naszą stronę, ale w ogóle nas nie zauważył – choć portfel u mnie w kieszeni od dłuższego czasu jękliwie

wzywał swego pana: „Ratuj! Ratuj!”. Nastąpiła wariacka pogoń za eks-dziewczyną. Po kilku krokach Wilcox przystanął. Obrócił się. Pomacał oko, zdaje się, żeby sprawdzić, czy mu przypadkiem nie leci krew. Znowu się obrócił – i zaraz go wessała czarna dziura między Czaszą Zerowej Grawitacji Kapitana Ekstazy a straganem „Wygraj Smurfa”.

— Ach, me serce krwawi – westchnął rozanielony Dean. – Niebo się otwiera. Chodźmy poszukać Kelly. Obiecałem, że trochę popilnujemy Maxine.

— Ej! Ej! Głucholku! – zawołał ktoś, kiedy mijaliśmy strzelnicę rzutek, na której ZDOBĄDŹ MNIEJ NIŻ 20 PUNKTÓW I SAM WYBIERZ NAGRODĘ! Był to Alan Wall. – Pamiętasz mnie? I wujka Clema?

— Jasne że pamiętam. Co ty tutaj robisz?

— Jak myślisz, kto prowadzi targi?

— Cyganie?

— To wszystko należy do Wattsów. Od lat.

Deanowi bardzo to zaimponowało.

— To Dean, a to jego siostrzyczka Maxine.

Alan Wall tylko kiwnął głową na Deana. Clem Ostler uroczyście wręczył Maxine prezent w postaci lśniącego wiatraczka.

Dean upomniał małą:

— No, powiedz „dziękuję”.

Maxine podziękowała i zaczęła dmuchać w skrzydła wiatraczka.

Alan Wall zapytał:

— Macie ochotę trochę sobie pocelować?

— Zwą mnie „Mistrzu” – oznajmił Dean, wyciągając z kieszeni dwie dziesięciopensówki, by podać je Clemowi. – Jedna za mnie, a druga za Jace’a.

Ale Clem Ostler nie przyjął monet.

— Chłopcy, nigdy nie odmawiajcie, kiedy stawia Cygan. Bo skurczą się wam jądra. Nie żartuję. O ile nie odpadną.

Za pierwszym rzutem Dean zdobył osiem punktów,

a za drugim – dziesięć. Za trzecim schrzanił sprawę, trafiając podwójną szesnastkę. Już, już miałem wycelować, gdy mnie powstrzymało:

— Co to, niańczymy dzidzię?

Gary Drake z Antem Little'em i Darrenem Croome'em.

Moran jakby się wzdrygnął. Maxine jakby przywiedła.

„Wetknijcie im te rzutki – zachęcił Nienarodzony Bliźniak – prosto w gały!”

— Owszem. A co ci, kurwa, do tego?

Tego Gary Drake się nie spodziewał. (Wprawdzie człowiek walczy za pomocą słów, ale też walka ujawnia, czy się ich boi, czy też nie).

— No, to już – Gary Drake prędko oprzytomniał. – Rzucajcie. Pokażcie, na co was stać.

Gdybym teraz rzucił, wyglądałoby to tak, jakbym był mu posłuszny. Gdybym nie rzucił, wyszedłbym na totalnego wała. Nie miałem więc innego wyjścia, jak tylko starać się wyeliminować Gary'ego Drake'a. Postanowiłem wycelować w potrójną dwudziestkę tak uważnie, aby w efekcie odrobinę chybić i zdobyć jedynekę albo piątkę. Za pierwszym razem zdobyłem piątkę. I prędko, nim Gary Drake zdążył mnie rozproszyć, rzuciłem raz jeszcze, trafiając podwójną piątkę.

Za ostatnim rzutem strzałka wbiła się w jedyneczkę.

Clem Ostler zakrzyknął niby mały chłopiec:

— Zwycięzca!

— Rzeczywiście! – rzekł z drwiną Ant Little. – Urodzony zwycięzca!

— Urodzone pośmiewisko – Darren Croome wysmarkał się do czysta.

— A wy mieliście przedtem aż pięć kolejek – zwrócił mu uwagę Clem Ostler. – I za każdym razem klapa, racja?

Gary Drake nie miał śmiałości odszczeknąć pracownikowi wesołego miasteczka, żeby się odwalił. W wesołym miasteczku obowiązują całkiem inne prawa.

— Jak chcesz – powiedziałem do Maxine – możesz sobie coś

wybrać.

Maxine spojrzała na Deana. Dean przytaknął:

— Skoro Jace się zgadza.

— Szkoda, Taylor, że nie wygrywa się tu kolegów – Gary Drake nie byłby sobą, gdyby mnie na koniec nie uraził.

— Mnie wielu nie potrzeba.

— Wielu? – ironia Gary’ego Drake’a jest gruba jak włosie szczotki klozetowej. – Chyba żadnych.

— Nie, mam ich pod dostatkiem.

— Aha – złośliwie wtrącił Ant Little. – Ciekawe tylko, kogo?

Oprócz Dupnego Kumpla Barana...?

Kiedy mówi się prawdę, słowa rażą wroga jak ciężka artyleria.

— Ty ich raczej nie znasz.

— P-p-p-p-p-ewnie, T-t-t-t-taylor – Gary Drake uciekł się do nabijania. – Dlatego że twoi k-k-k-kkoledzy istnieją, k-k-k-kkurwa, tylko w twojej w-w-w-w-wyobraźni!

Ant Little z Darrenem Croome’em prychnęli jak na komendę.

Gdybym się wdał w bójkę z Garym Drake’em, prawdopodobnie bym poległ.

Gdybym się wycofał, wyszłoby na to samo.

Ale czasem tak bywa, że wsparcie przychodzi z otoczenia...

— Chłopak, który w stodole Strenshama koło ścieżki konnej – Alan Wall spojrzał koso na Gary’ego Drake’a – urządza zawody w waleniu konia, nie ma prawa nikogo przezywać „dupnym kumplem”, nie sądzisz?

Wszyscy, łącznie z Maxine, wbiliśmy wzrok w Gary’ego Drake’a.

— A ty, zasrańcu – odparował Gary Drake – coś za jeden?!

Chuderlawy Clem Ostler zarechotał jak tłusta starucha.

— Zasrańcu?! – Alan Wall był od nas starszy tylko o rok, ale bez trudu mógłby zrobić z Gary’ego Drake’a omlet. – Chodź tu i to powtórz.

— Coś ci się przywidziało! W życiu nie byłem w stodole Strenshama!

— No, chyba że moje gały mają zwidy! – Alan Wall dotknął

skroni. – Raz wieczór, ze dwa tygodnie temu, widziałem cię z tym dryblasem z Birtsmorton. Siedzieliście na stryszku z sianem nad mlecznymi krowami z Herefordshire...

— Upiliśmy się! I to było tak dla jaj! Nie mam zamiaru dłużej słuchać – Gary Drake się cofnął – jakiegoś, kurwa, Cyganiora...

Alan Wall przesadził kontuar. Nawet nie zdążył dotknąć nogą ziemi, a Gary’ego Drake’a już nie było.

— Kolegujcie się z nim? – Alan Wall postąpił w kierunku Anta Little’a i Darrena Croome’a. – No, jak?

Ant Little z Darrenem Croome’em wykonali krok do tyłu, jak przed zaczajonym lampartem.

— Niespecjalnie...

— A milusi ET – Maxine stanęła na paluszkach i wskazała przytulankę. – Mogłabym dostać milusiego ET?

— Mój tata – powiedział Clem Ostler – zwał się w kręgach bokserów zawodowych Rudym Reksem. Nie był rudy ani nie zajmował się polityką, a zwyczajnie mu się podobało, jak to brzmi. Rudy Rex walczył na Gęsim Jarmarku. Czterdzieści lat temu z okładem. W owych czasach żyło się ciężko a skromnie. Rodzice jeździli za staruszką Mercy’ego Wattsa po Dolinie Evesham i Dolinie Sevem i handlowali końmi z innymi Romami, farmerami albo hodowcami. Że na jarmarku da się co nieco zarobić, goście nie żałowali grosza, no i obstawiali walki. Zawsze gdzieś się znalazła jaka pusta stodoła, no i się wystawiało czatowników, gdybyśmy przypadkiem nie mogli się wypłacić, i tata wyzywał do walki każdego, kto się tylko zgłosił. Jak chodzi o posturę, tata nie był najtęższym z siedmiu braci, ale, no, rozumiesz, właśnie przez to rozmaici goście stawiali niebotyczne pieniądze, żeby go położyć do parteru albo mu chociaż krwi utoczyć. Tata wcale nie wyglądał na atletę. Ale, wiercie mi, chłopcy, Rudy Rex znosił ciosy niczym głaz! Tak one po nim spływały, jak gówno przelatuje przez wnętrza kaczk. A wtedy nie używało się rękawic! Chłop walczył gołymi rękami, taki był obyczaj. Z dzieciństwa najlepiej utkwily mi w pamięci właśnie walki taty. Teraz to taki bokser zostałby zawodowcem

wagi ciężkiej albo policjantem oddziałów prewencyjnych, no ale to były inne czasy. Pewnej zimy... – na moment Clema Ostlera zagłuszyły świeże wrzaski dolatujące od strony Latających Filizanek Wielkiego Silvestra – pewnej zimy doszła nas wieść o gigancie z Walii. Oj, wierz mi, był drań kolosem, mierzył on sobie grubo ponad dwa metry. Urodzony w Anglesey, takie też przybrał miano. Starczyło raz je wypowiedzieć, a nikt nie miał wątpliwości, że to chodzi o niego. Boksowaniem, mówili, zgarniał kupę szmalu, a metodę obrał taką, że miażdżył czapy przeciwników jak skorupki jajek. Pewien kowal z Cheshire, McMahon się nazywał, ledwie po połowie rundy z Angleseyem oddał ducha. Innemu znów trzeba było wsadzić w czaszkę metalowe płytki; trzech albo czterech wspięli się na ring sprawni, w formie, a później ich stamtąd wyniesiono kalekami – i to już do śmierci. Anglesey strasznie pyszczył, że gdy tylko tu przybędzie, weźmie się za Rudego Reksa. Że tu, na Gęsim Jarmarku w Black Swan Green, zrobi z niego miazgę, obedrze ze skóry, powiąże sznurem, uwędzi i sprzeda świniarzom. No i jak przyszliśmy do naszej starej chorowalni na Świńskiej uliczce – jego ludzie już tam byli. Trwali niewzruszeni do końca walki. Nagroda wynosiła aż dwadzieścia gwinei! Zgarnąć to wszystko miał ostatni, który mu się oprze. Onegdaj to taka forsa była nie do pomyślenia.

— No i co zrobił pana tata? – spytał Dean.

— Bokser zawodowy nie może się wycofać, i tak samo Cygan. Każdy musi dbać o dobre imię. Wujkowie chcieli zrobić zrzutkę, ale mój tata się nie zgodził. I jeszcze się umówił z Angleseyem, że stawką będzie cały nasz dobytek. Wszystko! Przyczepa... czyli: dom, pamiętasz?... porcelana Crown Derby, łóżka, psy wraz z pchłami, wszyściuteńko. Jakby ojciec przegrał, bylibyśmy udupieni. Ani gdzie się podziać, ani co zjeść, ani gdzie się przespać...

— I co się stało? – zapytałem.

— No, jakże? Anglesey nie mógł się powstrzymać, żeby Rudego Reksa powalić i zmieść z powierzchni ziemi! Tego

wieczoru, przed walką, w stodole zebrały się prawdziwe tłumy. Cyganie przybyli z Dorset, z Kent, było tam pół Walii. A walka?! Ludzkie słowa tego nie opiszą! Bax i my, starsi, do dziś dnia pamiętamy każdy cios. Tata i Anglesej stłukli się na marmoladę. Te błazny, co to ich teraz pokazują w telewizji, choć mają i rękawice, i lekarzy, i sędziów – przy tacie i Angleseju baliby się nawet pisać. Tata cały w strzępach, nie żartuję. Ledwo widział na oczy. Ale wierzcie mi, chłopcy, że dał z siebie wszystko. Ziemia w stodole była czerwieńsza niż w rzeźni. Na koniec przestali się okładać. Bo już tylko mieli siłę stać. Aż tata zachwiał się na nogach, przywarł do Angleseya, uniósł lewą rękę, gdyż prawą ruszać nijak nie mógł, i zrobił coś takiego... – Clem Ostler umieścił mi palec wskazujący między oczami i lekko, leciutko mnie pchnął. – Walijski chojrak zwał się jak kłoda! BUM! Tak to wyglądało. Od tej pory mój ojciec zaprzestał boksowania. Musiał. Zbyt wielkie odniósł rany i stracił wolę walki. Za swą wygraną kupił karuzelę. Wkrótce też został szefem Gęsiego Jarmarku i całkiem nieźle mu się wiodło. Ostatni raz widzieliśmy się w Chepstow, w umieralni. Zmarł parę dni później. Płuca mu tak opuchły, że bez przerwy kaszlał... Spytałem się go wtedy: „Tato, po co ci to było? Czemuś się zgodził walczyć o naszą przyczepę, a nie o pieniądze, tak jak zwykle?”

Dean i ja w napięciu czekaliśmy na odpowiedź.

— „Synku, gdybym się bił o forszę”, odparł tata, „przegrałbym z tym walijskim draniem”. Walka o pieniądze to za mało. On dobrze o tym wiedział. Jedynie walcząc o wszystko, co mu było drogie, o mamę, dom i rodzinę... tylko dzięki temu mógł jakoś znieść cierpienie. Tak że, no, rozumiecie; czujecie, o co chodzi, chłopcy?...

Morze ludzi porwało mnie z Deanem aż przed „Czarnego Łabędzia”, gdzie na kamiennych grzybkach siedzieli przycupnięci pan Broadwas i dwa zalane draby z chorobliwie wyszczerzonymi czarnymi zębami. Dean spojrzał nerwowo na filiżankę swego taty.

— To kawa, synu! – tato Deana uniósł naczynie, aby

mu pokazać, co jest w środku. – Z piersióweczki! Świeża i gorąca, w sam raz na taki chłodny wieczór. – Zwrócił się do pana Broadwasa. – Żonka mi go świetnie wyszkoliła.

— Oboje – pan Broadwas przemawia wolno, jak rośliny – będziecie mieli z niego pociechę.

— Długo – Isaac Pye taszczył do baru skrzynkę piwa z furgonetki – tym razem posiedzisz o suchym pysku, Franku Moranie?

— Dłużej nie dam rady – tato Deana nie odpowiedział na jego porozumiewawczy uśmiech.

— Cóż to, lampart zrzuca skórę?

— Nie mówię o skórze, Isaacu, a o piciu. Są tacy, którym alkohol służy. Dobrze im, jak popiją, w życiu się układa... A dla mnie to jest choroba. Lekarz mi wytłumaczył, co dawno sam wiedziałem. Od kwietnia nie biorę kropli do ust.

— Aha! Więc tym razem to od kwietnia?

— Tak – tato Deana skrzywił się na właściciela pubu. – Skończyłem w kwietniu.

— No, skoro tak mówisz... – Isaac Pye ruszył w swoją stronę. – Ale pamiętaj, że do mnie, do lokalu, nie wolno wnosić własnych napojów wysokowych.

— Bez obawy! – ryknął tato Deana tak głośno, jakby chciał tym rykiem uprawomocnić swoje słowa. – Bez obawy!

Lustrzane sale to na ogół straszna cienizna i oprócz luster, które pogrubiają albo wychudzają, w zasadzie nie ma tam nic specjalnego. Ale w tych lustrach człowiek przetapiał się w mutanta. W pomieszczeniu co chwila zapalały się i gasły punkowce. Byłem sam.

O ile coś takiego jest możliwe w lustrzanej sali. Wyjąłem portfel Wilcoxsa, by przeliczyć gotówkę, ale zaraz stwierdziłem, że lepiej to zrobić w jakimś bezpieczniejszym miejscu.

— Maxine! – zawołałem. – Jesteś?

Ledwie postąpiłem krok, żeby podjąć poszukiwania, z głębi pierwszego zwierciadła wychynął ku mnie afrykański wojownik o zamkniętej w żelaznych pierścieniach i żyrafio wydłużonej szyi.

Uszy miał kłapciate i coś mu z nich ciekło. Widok jak ze snu.

„Czy można – spytał Afrykanin – zmienić się w kogo innego?”

— Właśnie. Oto jest pytanie.

Gdzieś jakby zachrobotąło.

— Maxine? Wychodź, Maxine! Wcale mnie to nie śmieszy!

W drugim lustrze stał galaretowaty sześcian. Sama twarz, bez tułowia, z dyndającymi w rogach wyrostkami kończyn. Nadawszy policzki, powiększyłem go prawie dwukrotnie.

„Nie – odezwał się sześcian. – Zmienić można jedynie zewnętrzną powłokę. Wnętrze musi pozostać niezmienione, by móc przeobrazić się zewnętrznie. Aby zaś zmienić wnętrze, potrzeba jeszcze większej wewnętrzności, która – aby się mogła przeobrazić – potrzebuje z kolei wnętrza tej większej wewnętrzności. I tak dalej, w nieskończoność. Pojmujesz, o co mi chodzi?”

— Pojmuję.

Ucho musnęło nagle niewidzialny ptak.

— Maxine? To nie jest śmieszne, Maxine.

W trzecim zwierciadle siedział Robal. Moja talia i nogi skurczyły się w ogonek. A klatka piersiowa i głowa rozlały w wielki migotliwy glut.

„Nie słuchaj ich. Ross Wilcox z Garym Drake'em i Nealem Brose'em czepiają się nas, bo ty się wyróżniasz. Gdybyś miał odpowiednią fryzurę i ubranie i gdybyś się odpowiednio wyrażał, jak również – zadawał z właściwymi ludźmi, byłoby idealnie. Popularność polega na śledzeniu prognozy pogody”.

— Zawsze byłem ciekaw, jak wyglądasz.

Lustro czwarte zawierało Jasona Taylora do góry nogami.

„Właściwie na co ci ten cały Robal?”

Na lekcjach z panią Throckmorton wyobrażałem sobie, że ludzie na półkuli południowej chodzą po ziemi właśnie w taki sposób. Ruch nogą poruszył w lustrze rękę. A przy wymachu ręki zamachnęła się lustrzana noga.

„No a co powiesz na ciebie zewnętrznego – zaproponowałem do góry nogami – który równocześnie byłby tobą wewnętrznym?”

Nie chciałbyś stać się Jednym? Jak cię polubią jako Jedno, świetnie. A jak nie, to trudno. Starania o akceptację ciebie zewnętrznego to katorga, Jasonie. Przez nie stajesz się słabeuszem. To nudziarstwo”.

— Nudziarstwo – zgodziłem się ze sobą do góry nogami. – Nudziarstwo. Nudziarstwo.

— A ja się nie nudzę! – wyskoczył na mnie puchaty ET.

Oto w lustrzanej sali doznałem zatrzymania akcji serca.

— Wariaci rozmawiają sami z sobą – zmarszczyła brewki Maxine. – Ty też jesteś wariat?

Koło stoiska z jabłkami na patyku w polewie toffi gawędziły Kelly Moran i Debby Crombie. Jako niewątpliwie najbogatszy chłopak w całych Trzech Hrabstwach, kupiłem po jabłku Deanowi i Maxine oraz sobie. Nagryzienie pancerza z toffi wymaga sporej wprawy. Zęby się odbijają. Jedyne sposoby to raz a porządnie walnąć w toffi kłami. A następnie – podważyć, zatapiając w nim siekacze.

Debby Crombie wygląda, jakby pod swetrem miała piłkę do rugby. Wszyscy we wsi wiedzą, że nosi dziecko Toma Yewa.

— A ten ET nieprawdziwy – zagadnęła do Maxine. – Nie tak?

— Właśnie że prawdziwy – odparła mała. – Na imię mu Geoffrey.

— ET Geoffrey. Szykownie.

— Dziękuję.

— Mam dla was bardzo miłe wieści – Kelly zwróciła się do mnie i Deana. – Angela Bullock słyszała od samej Dawn Madden, że Dawn rzuciła waszego kumpla, Kochasia Wilcoxsa, a w dodatku...

Dean zachichotał:

— Dopiero co okropnie się pożarli, widzieliśmy!

— Ale posłuchajcie, mam coś ciekawszego – z radości Kelly aż pisnęła. – Wilcox zgubił portfel z paroma setkami funtów!

(Nad Gęsim Jarmarkiem zapłonął poskręcany neonowy chiński smok długości półtora kilometra – i ugryzł mnie w kieszeń dzinsów. Na szczęście, nikt się nie zorientował).

— Setki funtów? – Dean rozdziawił usta. – A gdzie to się stało?

— Tutaj! Teraz! Na Gęsim Jarmarku! Naturalnie Diana Turbot nie umie trzymać języka za zębami, więc szuka go w tej chwili pół wsi. Może i już się znalazł. Tylko ciekawe, kto by chciał oddać tyle forsy takiemu dupkowi jak Wilcox?

— Co drugi chłopak w Black Swan Green – odpowiedział Dean Moran – należy do jego bandy.

— To jeszcze nie znaczy, że go lubią.

— A niby po co – głos mi drżał – Wilcox nosi przy sobie setki funtów?

— No, bo to jest taki cały łańcuch nieszczęść! Podobno wasz kumpel Ross po szkole robił coś w garażu swojego starego, gdy nagle zatrzymało się tam jakieś auto. Puk, puk, my z Urzędu Skarbowego. Gordon Wilcox od lat nie płacił podatków. Jak byli u nich ostatnim razem, pogonił ich lutownicą, ale teraz wzięli sobie do pomocy jednego gliniarza z Upton. Tyle że zanim dotarli do gabinetu, Gordon Wilcox otworzył sejf, wyciągnął wszystko i dał młodemu, żeby wyniósł z domu. Co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr, rozumiecie. Ale stary Wilcox popełnił duży błąd! Bo Wilcox zatrzymał forszę, no nie? Chciał zaimponować dziewczynie... Jak to się mówi, Debby? Swoim wyposażeniem. A przy okazji może chciał coś sobie uszczknąć, może nie. Nigdy się tego nie dowiemy, bo portfel Wilcoksa wyparował.

— I co teraz robi?

— Z tego, co mi wiadomo od Angeli Bullock, ostatnio siedział i palił na przystanku.

— Ze strachu pewnie sra w gacie – odezwała się Debby Crombie. – Gordon Wilcox ma świra. Zieje złością.

— Jak to – dotąd nigdy jeszcze nie rozmawiałem z Debby Crombie – zieje złością?

— Chyba wiesz – włączyła się Kelly – dlaczego mama Rossa Wilcoksa ich zostawiła?

Dotarło do niej, że ma syna – diabła.

— No?

— Zgubiła znaczki pocztowe.

— Znaczki?

— Pięć identycznych znaczków, zwykłych. I to przelało czarę goryczy. Jason, żebym tu nie wstała z miejsca, pobił ją tak strasznie, że w szpitalu przez tydzień musieli ją karmić przez rurkę.

— A czemu właściwie – czarna dziura znów nieco się powiększyła – go nie przytknęli?

— Nie było świadków, a adwokat spryciarz zeznał, że w kółko rzucała się ze schodów, w dodatku – tak się szczęśliwie zbiegło – zaczęła wariować. No, i sędzia uznał ją za „osobę nie w pełni władz umysłowych”.

— Skoro facet tak się wnerwił – Debby Crombie kurczowo ścisnęła piłkę do rugby – o parę marnych znaczków, to wyobrażacie sobie, co zrobi teraz?! Rossa Wilcoxsa nikt nie cierpi, wiadomo, ale ja nawet największemu wrogowi nie życzyłabym starcia z jego starym.

— Juhuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuuu! – Dean zjechał ze zjeżdżalni Ali Baby pierwszy. Ledwie wsunąłem sobie pod pupę podkładkę, na niebie ponad Welland eksplodowały sztuczne ognie. Wprawdzie Noc Guya Fawkesa^[8] przypada dopiero jutro, ale tym z Welland zawsze tak się spieszy. Łodygi wspięły się w górę i w zwolnionym... tempie z trzaskiem buchnęły astringentami. Ulewy srebra, złota i purpury. I zaraz, niemal w sekundzie, stłumione bach... bach... bach... bach... Płatki ognia spadały i wędły popielato. Co prawda dużych wystrzelili tylko pięć czy sześć, ale za to były precyzyjne.

Na schodach wieży panowała głucha cisza.

Przycupnięty na brzegu zjeżdżalni, zabrałem się do liczenia forsy Wilcoxsa. Mojej forsy. W portfelu nie było pięcio- ani dziesięciofuntówek, tylko same banknoty dwudziestofuntowe. W życiu nie miałem w ręku banknotu o tym nominale. Pięć, dziesięć, piętnaście – odliczałem te dwudziestki...

Trzydzieści królowych Elżbiet. Zblakłych w gwiazdnej poświacie.

— SZEŚĆ... – zakrzyknąłem – SET – po cichu – FUNTÓW.

Wolałem nie wyobrażać sobie, jak upiornie potoczyłoby się moje życie, gdyby ktoś, obojętne kto, się o tym dowiedział. Postanowiłem więc zawinąć banknoty w folię, włożyć je do pudełka na drugie śniadanie i jak najstaranniej ukryć. Najbezpieczniej byłoby gdzieś w lesie. Aby się nie narażać, powinienem wrzucić portfel do Severnu. Szkoda. Bo za portfel służy mi tylko taki woreczek na zamek, byle co. Porządnie obwąchałem portfel Wilcoxsa, celem wchłonięcia jego atomów. Ach, gdybym tak jeszcze mógł się nawdychać trochę atomów Dawn Madden!

Obserwując z góry Gęsi Jarmark, stwierdziłem, że jest dosłownie magiczny. Bo dzięki niemu moja słabość przeobraża się w siłę, a błonia zmieniają się jakby w podwodne królestwo. Spod Czarodziejskiej Góry jak bańki mydlane dolatywały dźwięki *Miasta duchów* The Specials, od strony Latających Filizanek dobiegało *Waterloo* Abby, a z karuzeli z wiszącymi siodełkami – muzyka z *Różowej pantery*. W „Czarnym Łabędziu” był taki tłok, że aż wylewały się zeń wnętrzności. W dali, wśród bezmiaru pól, unosiły się w powietrzu wioski. Hanley Castle, Blackmore End, Brotheridge Green. Worcester wyglądało jak zgnieciona na płasko galaktyka.

A co było w tym wszystkim najfajniejsze? Oto w końcu mogłem zrobić z Wilcoxsa miazgę. Rękami jego taty. Niby cóż w tym złego? Po makabrze, jaką co rusz gotował mi Wilcox. Żaden z nich nigdy się o tym nie dowie. Zemsta doskonała! Poza tym Kelly przesadza. Nie ma na świecie ojca, który by tak potwornie sprzął rodzzonego syna.

Na schodach wieży rozległy się kroki. Pospiesznie wepchnąłem majątek do kieszeni, usadowiłem się na zrysowanej podkładce i – gdy ześlizgiwałem się z krawędzi – zaświtał mi w głowie przewspaniały pomysł. Przecież za te sześćset funtów mógłbym kupić omegę.

Tego wieczoru, mijając kolejne zakręty, czułem się jak arcymistrz zjeżdżalni.

— Hej – zagadnął Dean, gdy przeciskaliśmy się przez tłum

koło frytkami. – To chyba nie twój tato, co nie?

„Niemożliwe” – pomyślałem, ale okazało się to prawdą. Tato nie przebrał się jeszcze z palta à la Colombo i służbowego garnituru. Brwi miał zmarszczone tak zacięcie, jakby czym prędzej potrzebował bardzo długiego urlopu. Drewnianym widelczykiem jadł frytki z gazetowego rożka. Są sny, w których prawdziwi ludzie występują w niewłaściwych miejscach – i tak właśnie to wyglądało. Tato spostrzegł nas, zanim zdążyłem dojść, czemu wolałbym się z nim nie spotkać.

— Czołem, chłopaki.

— Dobry wieczór panu – odparł Dean nerwowo.

Nie widzieli się od czerwca, od pamiętnej afery z panem Blake'em.

— No, co tam, Dean, jak ramię?

— Dobrze – Dean poruszył ręką. – Jestem zdrow jak ryba.

— Bardzo miło mi to słyszeć.

— Cześć, tato – nie mam pojęcia, czemu też byłem zdenerwowany. – Co tu robisz?

— Nie wiedziałem, Jason, że bez twojego pozwolenia mam tu wstęp wzbroniony.

— Nie, nie, nie o to mi chodziło...

Tato silił się na uśmiech, ale minę miał zboląłą.

— Wiem, wiem. Co ja tutaj robię? – nadział frytkę na widelczyk i podmuchał. – Ano, jechałem do domu. I posłyszałem ten harmider – jego głos brzmiał jakoś inaczej. Delikatniej. – No, jakże bym mógł opuścić Gęsi Jarmark? Pomyślałem, że zrobię sobie spacer. I poczułem to – machnął rożkiem. – Czy wy wiecie, że po jedenastu latach pobytu w Black Swan Green jestem na Gęsim Jarmarku pierwszy raz. Bez przerwy myślałem, żeby was tu zabrać, ciebie z Julią, gdy byliście mali. Ale za każdym razem wypadało mi coś ważniejszego. Tak ważnego, że całkiem już wyleciało mi z pamięci.

— A, mama dzwoniła z Cheltenham. Żebym ci powiedział, że w lodówce jest zimny quiche. Zostawiłem ci kartkę w kuchni, na stole.

— To bardzo ładnie z twojej strony, dzięki – tato zajrzał we frytki, jakby w nadziei, że coś mu one rozstrzygną. – Ej, a wyście jedli? Dean, masz na coś ochotę?

— Kanapkę i jogurt wiśniowy – o jabłku na patyku nie wspomniałem, bo tato mógłby to uznać za rozrzutność. – Jeszcze w domu.

— A ja trzy Amerykańskie Pysznościowe Hot Dogi – Dean poklepał się po brzuchu. – Szczerze panu polecam, naprawdę.

— Świetnie – tato złapał się za głowę jakby z bólu.

— Świetnie. A, masz tu trochę, yyy... – Wsunął mi do ręki dwie nowiutkie monety jednofuntowe. (Przed godziną dwa funty byłyby niebotyczną sumą. A teraz to zaledwie jedna trzechsetna moich zasobów).

— Dzięki, tato. Chciałbyś... yyy... nooo...?

— Z rozkoszą, ale mam mnóstwo papierkowej roboty. Plany na przyszłość. Nie cierpiące zwłoki sprawy. Tu nie ma: zmiłuj się. Fajno cię widzieć, Dean. Jason ma w pokoju telewizor, o czym już pewnie dawno wiesz. Odwiedź nas, zapraszam, to sobie coś pooglądacie! Niechże się... no, wiecie, na coś przyda...

— Bardzo panu dziękuję.

Tato cisnął rozek do zatłuszczonego śmietnika – i poszedł.

„Kto wie – podszeptał mój Nienarodzony Bliźniak – może go już więcej nie zobaczysz?”

— Tato!

Podbiegłem do niego i spojrzałem mu prosto w oczy. O, zdaje się, że niedługo dorównam mu wzrostem.

— Jak będę dorosły, chciałbym zostać leśnikiem – nie wiem, skąd mi się to teraz wzięło. Jak chodzi o moje plany, tato zawsze do czegoś się przyczepi...

— Leśnikiem?

— No, tak – przytaknąłem. – Chciałbym się zajmować lasem.

— Mmm – tato prawie się uśmiechnął. – To odpowiedzialna praca, Jason.

— Mhm. Wiesz, na przykład we Francji...

— Będziesz się musiał bardzo pilnie uczyć – tato zrobił minę

pod tytułem: „Mogło być znacznie gorzej”. – Bez wiedzy o przyrodzie nie ma o czym marzyć.

— Dam sobie radę, tato.

— Wiem.

Tej rozmowy z tatą nie zapomnę nigdy. Jestem przekonany. A tato? Kto wie, czy dzisiejszy Gęsi Jarmark nie wyleci mu z pamięci jako jeszcze jedna z tryliona spraw, o których nie ma czasu choćby i pomyśleć?

— O co chodzi – spytał Moran – z tym telewizorem?

— Działa tylko, kiedy się trzyma antenę, tak że siedzi się za blisko ekranu, żeby coś obejrzeć. Zaczekaj chwilę, dobra? Odleję się pod laskiem.

Pocwałowałem przez błonia i w sekundzie Gęsi Jarmark został w tyle. Sześćset funtów szterlingów: 6000 batoników Mars, 110 płyt długogrających, 1200 książek w miękkiej oprawie, 5 rowerów Raleigh Grifter, 1/4 Mini, 3 domowe konsole Atari. Ciuchy, na których widok Dawn Madden zgodzi się ze mną zatańczyć na gwiazdkowej dyskotece w świetlicy. Martensy i dżinsowe kurtki. Wąskie skórzane krawaty z nadrukowaną klawiaturą. Łososiowe koszule. Wykonany przez śnieżnowłosych szwajcarskich mistrzów w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym roku zegarek Omega Seamaster de Ville...

Stara wiata na przystanku – smoliście czarna pustka.

„A nie mówiłem? – rzekł Robal. – Już go nie ma. Wracaj. Chciałeś – i wystarczy”.

W czerni woniało świeżym papierosem.

— Wilcox?

— Spieprzaj – Wilcox zapalił zapałkę i na ćwierć sekundy zamajaczył mi w ciemnościach. Pod nosem miał chyba ślady startej krwi.

— Właśnie coś znalazłem.

— Co mnie to – Wilcox nie zrozumiał – kurwa mać, obchodzi?

— Powinno; należy do ciebie.

Szarpnął się jak pies na smyczy.

— Cooo?

Wygrzebałem portfel i mu pokazałem.

Wilcox przyskoczył ku mnie i porwał swoją własność.

— Gdzie?

— Przy samochodzikach.

Wilcox chciał mnie rozszarpać.

— Kiedy?

— Pięć minut temu. Zaklinował się między deskami, na torze.

— Jak coś sobie wzięłeś – drżącymi paluchami wziął się do liczenia swych dwudziestek – to, kurwa, Taylor, już nie żyjesz!

— Ależ, Ross, daj spokój. Naprawdę nie ma o czym mówić. Też byś się tak zachował, jasna sprawa – Ross Wilcox był zbyt pochłonięty przeliczaniem majątku, tak że prawie mnie nie słuchał. – Gdybym chciał ci coś podwędzić, raczej bym ci go nie oddał, prawda?

Wilcox dobrnął do trzydziestu. I głęboko westchnąwszy, uzmysłowił sobie, że widzę, jak wielkiej doznał ulgi.

— No, co, mam cię pocałować w dupę? – warknął. – Mam ci teraz powiedzieć, jaki jestem wdzięczny?

Jak zwykle nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

Biedakowi.

Facet na Latających Filiżankach Wielkiego Silvestra zabezpieczył wyściełane pręty, żebyśmy ja, Dean, Floyd Chaceley i Clive Pike nie zostali wyrzuceni na orbitę okołozemską.

— To pan jest – spytał Dean sarkastycznie – Wielki Silvestro?

— Nie. Silvestro zmarł przed miesiącem. Przywaliły go Latające Spodki. Było o tym we wszystkich dziennikach w Derby, bo tam zdarzył się wypadek. Dziewięciu chłopców w waszym wieku i Silvestra... przygwoździło, zgmiotło, zmieliło i wypluło – facet pokręcił głową, zniesmaczony. – Żeby zidentyfikować zwłoki, policja musiała wezwać cały zespół dentystów. Z kubłami i chochlami. Zgadnijcie, co spowodowało wywrotkę karuzeli. W życiu byście nie zgadli. Ktoś dobrze nie dokręcił jednej śruby. Jednej śrubki. Rutyna, rozumiecie. No, ale tak to się dzieje, kiedy za mało płacą. Dobra. Możecie jechać.

Kiwnął na pomocnika, który nacisnął ogromniastą dźwignię.

Z głośników huknęła piosenka z tekstem: „Hej! (HEJ!) Ty! (TY!) Spadaj z mojej chmury!”, i uniesione hydraulicznymi mackami monstrualne filizanki poszybowały między chmury. Wznosząc się, Floyd Chaceley, Clive Pike, Dean Moran i ja chórem wydaliśmy melodyjne:

— Ooooooooooooooooooooooooooooo!

Dotknąłem obwisłej kieszeni. Oprócz dwudziestu ośmiu funtów w Szkolnej Kasie Oszczędności, zostały mi tylko te dwa funty od taty. Być może zrobiłem głupstwo, oddając forszę Wilcokowski, no ale przynajmniej nie musiałem się zastanawiać, czy powinienem.

Latające Filizanki Wielkiego Silvestra rozhuśtały się przy akompaniamencie dzikich wrzasków. Wspomnienia rozpierchły się bezładnie. Przepełniona misa czerni wychlusnęła Gęsi Jarmark w przestrzeń międzygwiazdną. Po lewej Clive Pike z nieľudzko wybaľuszonymi oczyma i twarzą sfaľdowaną od grawitacji. (HEJ! HEJ!). Wezbrana czerń Gęsiego Jarmarku rozlewa się w nocne otchłanie. Z prawej Floyd Chaceley, który się nigdy nie uśmiecha, śmieje się jak szatan wśród obłoków. Krzyki gonią własne ogony jak wzruszone tygrysy w *Little Black Sambo*. (ZOBACZ! ZOBACZ!) Listopadowa noc i Gęsi Jarmark napędzają się wzajemnie. „Odwaga to śmiertelny strach, który się pokonuje mimo wszystko”. Naprzeciwko Dean Moran z zaciśniętymi oczyma i rozwartymi ustami, z których wypełza kobra, coraz dłuższa lśniąca kobra półstrawionych jabłek w toffi, cukrowej waty i trzech godnych polecenia Amerykańskich Pysznościowych Hot Dogów. („SPADAJ Z MOJEJ CHMURY!”) Coś niesamowitego, że taki ogrom jedzenia wciąż wydobywa się z żoľadka Deana, cudem nie trafia mnie w policzek i pnie się w górę, wreszcie bluzga i się przeobraża w miliard rzygowych kul, bombardując pasażerów Latających Filizanek zmarłego Wielkiego Silvestra (tak że dopiero teraz mają powód do wrzasku) – oraz tysiąc i jednego niewinnego cywila, których coś tu przyniosło o najmniej właściwej porze.

Gdy w końcu spoczęliśmy na ziemi, potężna maszyna

jęknęła jak Żelazny Człowiek. Głowy nam wirowały, ale już coraz wolniej. Ludzie darli się jeszcze w połowie drogi przez błonia, co uznałem za lekką przesadę.

— Hormony – stwierdził nadzorca karuzeli, zaglądnąwszy do naszej filizanki. – Obmierzłe syfiaste hormony. Ern! – ryknął na pomocnika. – Przynieście mopa! Znowu się ktoś zrzygał!

Dopiero po chwili uzmysłowiłem sobie, że te wrzaski dochodzą z daleka. Aż z krzyżówki koło sklepu pana Rhydda.

Ross Wilcox musiał wrócić na Gęsi Jarmark w poszukiwaniu Dawn Madden tuż po moim odejściu. (Pewne luki w całej historii uzupełniła siostra Deana, Kelly. Akurat ten szczegół usłyszała od Andrei Bozard, której Wilcox o mało nie stratował w biegu). Ross Wilcox bez wątpienia czuł się i ocalony, i przeklęty, w równym stopniu. Jak Chrystus, gdy odwalił głaz, a wszystkim się wydawało, że jest nieboszczykiem. „Jasne, tato, proszę – mógł powiedzieć. – Oto pieniądze. Miałem je przy sobie na wypadek, gdyby te świnię chciały się wedrzeć do domu”. Najpierw odszukać Dawn Madden, przyznać, że straszny z niego palant i przypieczętować przeprosiny czułym pocałunkiem, aby jego życie znów toczyło się z górki. W chwili, gdy mnie i Deana zabezpieczano w filizance Silvestra, Wilcox spytał Lucy Sneads, czy nie widziała gdzieś Dawn Madden. Lucy Sneads, która, jak ją coś napadnie, bywa wyjątkowo podła, ale też posiada pewne poczucie odpowiedzialności, udzieliła mu informacji, że Dawn jest „Tam. Pod tym dębem. W land-roverze”. Tylko dwie osoby widziały oblicze Wilcoxsa, kiedy uniósł klapę bagażnika w blasku świateł karuzeli Mary Poppins. Pierwszą była Dawn Madden – obejmująca nogami plecy drugiego świadka, Granta Burcha. Ross Wilcox pewnie miał minę foki tuż przed zaszlachtowaniem. Ruth Redmarley doniosła Kelly, że widziała, jak Wilcox zatraskuje klapę, wyje jak najęty: „SUKA! SUKA!”, i grzmoci land-rover pięścią. Później zobaczyła jeszcze, jak wskakuje na suzuki brata Granta Burcha (tego, co należał kiedyś do Toma Yewa) i – że też Grant Burch postawił motor koło jeepa, z kluczykiem w stacyjce (ach, kto by się odważył buchnąć mu go sprzed nosa?! – włącza

zapłon. Gdyby nie to, że Wilcox – ze względu na brata oraz ojca – miał w życiu sporo do czynienia z motorami, myśl o kradzieży suzuki nigdy nie powstałaby mu w głowie. No i Grant może jakimś cudem wciągnąłby spodnie, aby powstrzymać bieg wypadków. Robin South mówi, że gdy Wilcox ruszył motorem poprzez błonia, dojrzał na tylnym siodełku Toma Yewa, ale Robin South jest taki porypany, że to nie może być prawdą. Z kolei Avril Bredon widziała, jak suzuki z prędkością co najmniej osiemdziesięciu kilometrów na godzinę wpada w błocko koło drogi głównej – a Avril raczej nie kłamie. Policja uwierzyła w jej zeznania. Motor wpadł w poślizg, ściał kawał pomnika i Ross Wilcox przekoziółkował nad krzyżówką. Jakies dwie dziewczyny z ogólniaka w Chase dzwoniły do rodziców z budki przy sklepie pana Rhydda. Ich nazwisk dowiemy się dopiero w przyszłym tygodniu, z nowego numeru „Gońca Malvern”. Ale najostatniejszą z osób, które widziały Rossa Wilcoksa, okazała się wracająca ze świetlicy, z rozgrywek bingo, wdowa po Arthurze Eveshamie. Przedziwnym zrzędzeniem nie dostała żadną z kończyn Rossa. To ona przyklęła nad Rossem, by sprawdzić, czy jeszcze żyje, i ona słyszała, jak Ross, wypluwając tonę krwi i zębów, warczy: „Chyba zgubiłem trampek... Niech go pani przypilnuje”. I również ona, widząc, że noga Rossa kończy się w kolanie, obejrzała się za siebie... na upačkaną różowymi glutami drogę. W tej chwili pomagają jej wsiąść do drugiej karetki. Widzicie, jak twarz jej się zapadła w mrugającym zimnym świetle?

Dyskoteka

Pierwsza zasada brzmi: „Bądź czujny”. Starczy, że raz się człowiek zgapi, choć na chwilę – i potem kończy jak Steve McQueen w *Wielkiej ucieczce*, na drucie kolczastym. Dlatego też na dzisiejszych zajęciach z obróbki metali skupiłem się na znamionach pana Murcota, tak jakby od tego zależało moje życie. Ma dwa podłużne pod brodą, w kształcie Nowej Zelandii.

— Dzień dobry, chłopcy! – trzasnął talerzami. – Niech Bóg ma Królową w swej opiece!

— Dzień dobry panu! – wyskandowaliśmy i, zwróciwszy się w stronę pałacu Buckingham, oddaliśmy cześć władczyni. – Niech Bóg ma Królową w swej opiece!

Neal Brose, stojący przy imadle, które ma na spólkę z Garym Drake’em, obejrzał się na mnie. „Nie myśl sobie, Robalu – ostrzegły jego oczy – że już zapomniałem”.

— Co się tyczy zadania, chłopcy – połowa naszej klasy to dziewczyny, ale pan Murcot zawsze się tak do nas zwraca, chyba że coś przeskrobiemy. Wtedy wszyscy nagle jesteśmy „dziewczynami”. – Dziś ostatnia lekcja w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku. Jeśli więc nie ukończycie swych projektów w dniu dzisiejszym, czeka was dożywotnia deportacja do kolonii.

Zadanie w tym semestrze polegało na zaprojektowaniu oraz wykonaniu jakiejś skrobaczki do butów.

Ja chciałem zrobić taką, którą bym mógł wygrzebywać błoto spomiędzy bolców na podeszwach butów do gry w nogę.

Odczekałem z dziesięć minut, aż Neal Brose zajmie się wiertarką.

Serce biło jak w obłędzie, już jednak postanowiłem.

Z czarnej torby Slazenger Neala Brose'a wyciągnąłem napędzany energią słoneczną szkolny kalkulator marki Casio. To najdroższy kalkulator ze wszystkich, jakie sprzedaje sieć WH Smith. Clemny dreszcz emocji, jakiej doznaje kajakarz, który miast walczyć z prądem, wiosłuje szaleńczo prosto ku Niagarze... Wyjąłem cenny kalkulator ze specjalnego etui.

Przyfilowała mnie Holly Deblin. Akurat wiązała sobie włosy, żeby nie zaplątały się w tokarkę. (Pan Murcot uwielbia snuć gawędy o makabrycznych zgonach, których przez te wszystkie lata naoglądał się bez liku).

„Zdaje się, że nas lubi – szepnął Nienarodzony Bliźniak. – Poślij jej całusa”.

Umieściłem kalkulator w imadle. Spostrzegł to też Leon Cutler, ale nawet okiem nie mrugnął ze zdumienia. „Bądź czujny”. Mocno przykręciłem tę taką niby-rączkę. Wydając błagalne piski, obudowa pękła. Wtedy napałem na rączkę całym swym ciężarem. Szkielet Gary'ego Drake'a, czaszka Neala Brose'a, kręgosłup Wayne'a Nashenda, ich przyszłość, nawet dusze. Jeszcze mocniej. Obudowa poszła, strzeliły obwody i na podłogę posypały się odłamki. Tak oto kalkulator grubości centymetra zamienił się w kalkulator trzymilimetrowy. Został sproszkowany. W sali rozległy się okrzyki.

Zasada druga brzmi: „Działaj konsekwentnie”.

Innymi zasadami nie warto zawracać sobie głowy.

Wpadłem w nurt cudownie szumiącego wodospadu.

— Jak mi wiadomo od pana Kempseya – pan Nixon splótł palce w piramidkę – twój ojciec właśnie stracił pracę?...

„Stracił”. Praca to nie portfel, który gubi się ot, tak, przez nieuwagę. W szkole nie puściłem pary z ust na ten temat. No, ale faktycznie. Tato wszedł do swego biura w Oksfordzie o ósmej pięćdziesiąt pięć, a kwadrans po dziewiątej został wyprowadzony z budynku przez strażnika. „Trzeba nam zacisnąć pasa – mówi

Margaret Thatcher, choć sama tego nie robi. – Nie ma innego wyjścia”. Dyrekcja firmy Greenland Supermarkets zwolniła tatę, ponieważ w zestawieniu kosztów brakowało dwudziestu funtów. Po jedenastu latach. Dzięki temu, jak powiedziała mama przez telefon do cioci Alice, nie zapłacą tacie ani pensa odprawy. To Danny Lawlor pomógł Craigowi Saltowi go wywalić, dodała na koniec. A dla mnie, w zeszłym roku na wakacjach, był przemiły. No, ale uprzejmość pewnie nie ma nic wspólnego z dobrocią. Danny jeździ teraz roverem 3500 taty.

— Jason! – huknął pan Kempsey.

— Y... – bez wątpienia tonąłem w silosie gówna. – Słucham, proszę pana.

— Pan Nixon zadał ci pytanie.

— Tak. Tato został zwolniony w dzień Gęsiego Jarmarku. Yyy... przed kilkoma tygodniami.

— Zatem spotkało go nieszczęście – pan Nixon ma oczy jak wiwisektor. – Ale nieszczęścia to rzecz powszechna, Taylor, oraz względna. Pomyśl tylko, co przeżywa Nick Yew. Albo Ross Wilcox. Sądzisz, że pomożesz ojcu, niszcząc własność kolegi?

— Nie, proszę pana – krzesło krnąbrnego ucznia było tak niskie, że pan Nixon mógłby spokojnie pozbawić je tych krótkich nówek. – Zniszczenie kalkulatora Brose’a nie ma nic wspólnego ze zwolnieniem taty.

— Co zatem – pan Nixon się pochylił – było powodem tego czynu?

„Działaj konsekwentnie”.

— Jego „lekcje popularności”, proszę pana.

Pan Nixon spojrział na pana Kempseya w nadziei, że on mu to wyjaśni.

— Lekcje popularności? – pan Kempsey odchrząknął, zbity z tropu. – Neala Brose’a?

— Brose – Kat przyblokował „Neala”, ale to i dobrze – kazał mnie, Floydowi Chaceleyowi, Nicholasowi Briarowi i Clive’owi Pike’owi płacić sobie za lekcje popularności funta tygodniowo. A ja się nie zgodziłem. Więc wziął sobie do pomocy Wayne’a

Nashenda i Anta Little'a, żeby mi pokazać, co mnie czeka, jeśli nie zdobędę większej „popularności”.

— I jakąż to metodą – pan Nixon przybrał surowszy ton, a to dobry znak – perswazji posłużyli się owi chłopcy?

Nie musiałem niczego wyolbrzymiać.

— W poniedziałek opróżnili mi torbę, wysypując zawartość na schody, pod gabinetem chemicznym. We wtorek, na wuefie z panem Carverem, obrzucali mnie ziemią. Dziś rano w szatni Brose, Little i Wayne Nashend grozili, że po lekcjach mi dokopią.

— Chcesz powiedzieć – panu Kempseyowi przyjemnie podniosła się temperatura – że Neal Brose wymusza od was jakiś haracz? Bezkarnie, pod moim nosem?

— Czy „wymuszanie” znaczy – wiedziałem doskonale – „bicie za odmowę podzielenia się pieniędzmi”, proszę pana?

Dotąd pan Kempsey sądził, że Neal Brose pierdzi słońcem, księżycem i gwiazdami.

— Można by to tak ująć. (W ten sposób odpowiedziałby każdy nauczyciel). Czy masz jakieś dowody?

— A o jakie dowody („Postępuj chytrze”) panu chodzi? – Los był mi tak przychylny, że ze śmiertelną powagą dodałem: – Ukryty mikrofon?

— Hmmm...

— Czy Chaceley, Pike i Briar – przejął sprawę pan Nixon – potwierdzą twoje słowa?

— Zależy, kogo się bardziej wystraszą; pana czy Brose'a.

— Zapewniam cię, Taylor, że mnie przelękną się jak nigdy.

— Oczernianie kolegi to bardzo poważne przewinienie, Taylor – pan Kempsey wciąż nie dawał się przekonać.

— Cieszy mnie, że tak pan sądzi.

— Mnie natomiast nie cieszy – pan Nixon nie był skłonny zmieniać przesłuchania w zwykłą pogawędkę – że zamiast przyjść i mnie o tym wszystkim powiadomić, wolałeś zniszczyć własność swego domniemanego prześladowcy.

Słowo „domniemany” uprzytomniło mi, że sąd jeszcze się nie zakończył.

— Angażując w coś takiego nauczyciela, człowiek wychodzi na kapusia, proszę pana.

— Nie angażując natomiast, wychodzi na zwykłego osła, Taylor.

Robał aż się cały skręcił, takie to było niesprawiedliwe.

— Nie przewidziałem, co się zdarzy – bezwzględnie trzeba się trzymać prawdy i godnie stawiać czoło konsekwencjom. – Chciałem tylko pokazać Brose'owi, że się go nie boję.

Gdyby nuda miała zapach, pachniałaby zapewne jak schowek na artykuły piśmiennicze. Kurz, papier, ciepłe rury, od rana do nocy, tak przez całą zimę. Czyste zeszyty na metalowych półkach. Stosy *Zabić drozda, Romea i Julii, Moonfleet*. Schowek służy też jako koza dla takich nędznych przypadków jak ja. Oprócz matowej szyby w drzwiach, oświetla go tylko brunatna żarówka. Pan Kempsey szorstkim tonem kazał mi zająć się pracą domową, dopóki mnie nie wezwą, ale – chociaż raz – tak się złożyło, że wszystko już miałem odrobione. W żołądku zachrobotał nowy wiersz. I tak już dostatecznie pogrążony, bez namysłu Chapmanem z półki zeszyt w sztywnej oprawie, aby trochę popisać. Ale przy pierwszej linijce stwierdziłem, że to wcale nie wiersz. Tylko... jakby wyznanie. Zaczynało się to tak:

Wszystko, co ryczał Dean, zagłuszała ta kapitalna piosenka „Olive's Salami” zespołu Elvis Costello and the Attractions, więc musiałem odryknąć: „Co mówisz?”. Dean na to: „Nic nie słysz!” i tak w kółko, aż przyszedł właściciel lunaparku i klepiącieniem w ramię wyegzekwował od mojego matczyne dźwierżące pensów. W tej samej chwili na zrysonowanym torze, pod moim samochodem, spostarzęgiem jakiś matowy kwadrat.

i potem szło dalej. Kiedy rozległ się dzwonek na poranną przerwę, miałem zapełnione aż trzy strony. Dobieranie słów sprawia, że czas płynie przez wąskie rury, ale za to szybciej. Płatanina cieni za matową szybą. Co chwila ktoś przybiegał do pokoju nauczycielskiego, żeby sobie zapalić albo wypić kawę. Żarty i stłumione śmiechy, pospieszne rozmowy. Nikt po mnie nie przyszedł. Wszyscy trzecioroczni pewnie już gadają o moim postępkach. Cała szkoła gada. Podobno od obmawiania czerwienieją uszy, ale mnie wtedy coś tak jakby buczy w wąpiach. „Jason Taylor? Skądże. Jason Taylor? Jasne. Rany, naprawdę wsypał? Kogo?” Pisanie zagłusza to buczenie. Zadzwonił dzwonek na lekcję i ciemne sylwetki znowu się rozbiegły. Nadal nikt po mnie nie przychodził. W świecie żywych pan Nixon wydzwaniał już pewnie do rodziców. Do dzisiejszego wieczora byłoby to dosyć trudne. Tato wybrał się do Oksfordu, by spotkać się ze „znajomymi” w sprawie pracy. Ci z Greenland odebrali mu nawet automatyczną sekretarkę. Za ścianą szumiała kserokopiarka, cicho, cicho, cicho.

Raptem drzwi się otworzyły, stłamsiłem jednak dreszcz strachu. Do schowka weszło dwóch szczawików z drugiej klasy, po stos *Jabłeczніка z różą*. (My w zeszłym roku też to czytaliśmy. Przy jednej scenie chłopakom tak stawały, że aż to było słycać).

— To prawda, Taylor? – wyższy szczawik zwrócił się do mnie w taki sposób, jakbym nadal tkwił w swym Robalim okresie.

— A co ci do tego – odrzekłem po chwili – kurwa?

Udało mi się powiedzieć to tak okropnym tonem, że drugoroczny rozsypał swoją działkę książek. Niższemu też się rozsypały, kiedy się schylił, żeby tamtemu pomóc.

Klasnąłem w dłonie, bardzo wolno.

— Jestem wprost zbulwersowany – zwrócił się do całej klasy III KM pan Kempsey, którego ksywka wprawdzie brzmi „Polly”, ale gdy się aż tak rozgniewa, lepiej z nim nie zadzierać – że zastraszanie kolegów nie jest sprawą świeżą. Zaczęło się to przed wieloma tygodniami.

III KM skryła się za parawanem grobowej ciszy.

— TYGODNIAMI!

III KM podskoczyła.

— A żadne z was nie pomyślało, żeby się z tym do mnie zwrócić! Aż mnie obrzydzenie bierze. Wstręt i przerażenie. Tak, przerażenie, nie inaczej. Za pięć lat pójdziecie do wyborów! Macie być elitą! I jacy z was wyrosną obywatele tego kraju? Policjanci? Nauczyciele? Prawnicy? Sędziowie? „Wiedziałem, że to ohydne, ale to nie moja sprawa, proszę pana”. „Wolałbym, proszę pana, żeby to kto inny puścił farbę”. „Bałem się, że jak się wygadam, to przyczepią się do mnie, proszę pana”. Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeżeli przyszłość Anglii mają tworzyć tacy jak wy, ludzie pozbawieni kręgosłupa!

Oto ja, Jason Taylor, jestem kablem.

— Zdecydowanie nie pochwalam sposobu, w jaki Taylor zwrócił mi uwagę na ten odrażający proceder, no, ale przynajmniej się na to zdobył. Nieco mniej chwalebnie zachowali się Chaceley, Pike i Briar, którzy przemówili dopiero pod przymusem. Wszyscy powinniście się wstydzić, że gdyby nie pochopny czyn Taylora, sprawa być może nigdy nie ujrzałaby dziennego światła.

Jak jeden mąż obrócili głowy w moją stronę wszyscy chłopacy z pierwszych ławek, lecz ja postanowiłem zaatakować tylko

Gary'ego Drake'a.

— Cóż to, Gary? (Tego popołudnia Kat dał mi przepustkę. Czasem mam wrażenie, jakby też chciał się zapisać na „warsztaty” pani de Roo). Nagle, po trzech latach, zapomniałeś, jak wyglądam?

Jak na komendę, wszyscy skierowali wzrok na Gary'ego Drake'a. I na pana Kempseya. Za przerywanie wychowawca powinien otworzyć do mnie ogień – ale nie otworzył.

— Drake!

— Tak, proszę pana?

— Jedynie głupiec, Drake, udaje brak zrozumienia.

Gary Drake najwyraźniej poczuł się niezręcznie.

— Słucham?

— Powtarzasz się, Drake.

Gary Drake dostał naganę (hura! hura!). Wayne Nashend z Antem Little zostali zawieszeni w prawach ucznia. Jak dobrze pójdzie, pan Nixon wydali ze szkoły Neala Brose'a.

Tak że teraz dopiero będą chcieli mi dokopać.

Na angielskim Neal Brose normalnie siedzi z przodu, a tu nagle CIACH! – przeniósł się do środka.

„Nie masz się co obcyndalać – zachęcił Nienarodzony Bliźniak. – Siadaj na jego miejscu. Zasłużył sobie, drań jeden”.

I tak też zrobiłem. David Ockeridge, który zawsze siedzi z Nealem Brose'em, natychmiast przesiadł się na sam tył. Ale, co najdziwniejsze, na krześle obok mnie położył torbę Clive Pike.

— Siedzi tu kto? – Cuchnie mu z ust serowo-cebulowymi chrupkami, no, ale kto by się tym przejmował?

Zrobiłem minę pod tytułem: „Wolne”.

Gdy skandowaliśmy: „Dobry wieczór pani” – napotkałem spojrzenie pani Lippetts. Tak przebiegłe i prędkie, jakby go nie było, ale było.

— Siadajcie – nakazała klasie. – Proszę wyjąć piórniki. Dzisiaj, moi drodzy zdolni a pojętni, popiszemy sobie trochę. Temat wypracowania brzmi następująco...

Wyciągnęliśmy przybory, a pani Lippetts napisała na tablicy:

SEKRET

Śliski chrobot kredy zawsze dodaje mi otuchy.

— Tamsin, bądź tak łaskawa...

— „Sekret”, proszę pani – odczytała Tamsin Murrell.

— Dziękuję. Ale co to znaczy?

Po lunchu nikt nie rozkręca się od razu.

— Czy sekret jest przedmiotem widzialnym? Dotykalnym?

Zgłosiła się Avril Bredon.

— Avril?

— Sekret to pewna informacja, o której nie każdy wie.

— Świetnie. Pewna informacja, o której nie każdy wie.

Informacja o... kim? O was? O innej osobie czy osobach? Może o czymś?

Po chwili ciszy odezwało się parę osób naraz:

— O wszystkim, co pani wymieniła.

— Zgoda. A teraz zastanówcie się, czy sekret nieprawdziwy to też sekret?

Pytanie było dość zawile. Pani Lippetts napisała na tablicy:

PANI LIPPETTS TO NANCY REAGAN

Dziewczyny wybuchnęły śmiechem.

— Czy gdybym kazała wam zostać po lekcjach i oznajmiła to szeptem, bez świadków, a z najwyższą powagą, uznalibyście to za sekret? Duncan?

Duncan Priest zgłosił się najszybciej.

— Zadzwońbym do wariatkowa, proszę pani. I zarezerwował miękko wyściełony pokój. Od podłogi aż po sufit – niewielki fan club Duncana zarechotał. – Bo to nie jest sekret, proszę pani! Tylko bredzenie totalnego świra.

— Dziękuję, ująłeś to zwięźle i nad wyraz melodyjnie. Jak mówi Duncan, „sekretu” na wskroś fałszywego nie można traktować jak sekretu. Gdyby powszechnie uwierzono, że jestem Nancy Reagan, zapewne miałabym kłopoty, niemniej trudno byłoby nam uznać to za „sekret”, prawda? To raczej zbiorowe

złudzenie. Czy ktoś z was wie, co oznacza „zbiorowe złudzenie”? Alastair?

— Podobno wielu Amerykanów sądzi, że Elvis Presley żyje nadal.

— Znakomity przykład. A teraz zdradzę wam swój osobisty sekret, który jest prawdą. Troszkę się krępuję, więc bądźcie tak mili i nie rozgłaszajcie go na przerwie...

PANI LIPPETTS MORDUJE SIEKIERĄ

Teraz wybuchnęli śmiechem prawie wszyscy chłopcy.

— Ciii! Zakopałam ofiary pod autostradą M50. Więc nie ma dowodów. Nikt nic nie podejrzewa. Czy jednak ten sekret to faktycznie sekret? Skoro nikt, absolutnie nikt niczego się nie domyśla?

Klasa umilkła, zaintrygowana.

— Tak... – wybąkało parę osób, a inni w tej samej chwili: – Nieee.

— Gdyby rzeczywiście była pani morderczynią – zgłosił się Clive Pike – pani by o tym wiedziała, no więc nie można powiedzieć, że nikt nic nie wie.

— Ale przecież pani mogłaby być morderczynią chorą na schizofrenię – oświecił go Duncan Priest – która zapomina popełnione zbrodnie. Mogłaby za nieodrobienie zadania domowego zwyczajnie... posiekać cię na kawałki, rach-ciach i już, wrzucić cię do klopa, spuścić wodę, na krótko stracić przytomność i zbudzić się jako łagodna nauczycielka angielskiego, pani Lippetts... zawołać: „Znów krew na ubraniu? Przedziwne, że zawsze zdarza mi się to przy pełni. No cóż, pora włączyć pralkę”. W takim wypadku byłby to sekret, o którym nie wie nikt, prawda?

— Dziękuję, Duncan, to bardzo sugestywny obraz. Pomyślcie jednak o wszystkich zbrodniach, jakie popełniono w Dolinie Severn od, powiedzmy, na przykład, czasów imperium rzymskiego. O tych wszystkich ofiarach i zabójcach, którzy dawno pomarli i obrócili się w popiół. Czy takie akty przemocy,

o których, uwaga, zapomniano przed tysiącem lat, też nazwalibyśmy „sekretemi”? Proszę, Holly.

— To nie sekrety, proszę pani – odpowiedziała Holly Deblin. – Tylko... zaginione wieści, informacje.

— Naturalnie. A zatem sekret powołują ludzie, to znaczy: musi się o nim wiedzieć albo przynajmniej powinien zostać zapisany, tak? Wymaga, że tak powiem, nadzoru, przechowania. Emma Ramping! O czym tak szepczesz z Abigail?

— Słucham?

— Emmo, proszę, żebyś wstała.

Patykowata Emma Ramping wstała, zmieszana.

— Usiłuję przeprowadzić lekcję. O czym mówiłaś do Abigail?

Dla niepoznaki Emma Ramping przybrała minę niewiniątka.

— Czyżby to było coś, o czym nie wszyscy wiedzą?

— Tak, proszę pani.

— Głośniej, Emmo, tak, by usłyszała cała klasa!

— Tak, proszę pani.

— Mhm. Chciałaś powierzyć Abigail jakiś sekret, prawda?

Emma Ramping przytaknęła niechętnie.

— No, to sobie wybrałaś idealną porę. Może więc zechcesz podzielić się tym też z nami? Proszę: głośno i wyraźnie.

Speszona Emma Ramping lekko się zaczerwieniła.

— Emmo, zawrzyjmy układ: dam ci spokój, jeśli powiesz tylko, dlaczego tak chętnie dzielisz się sekretem z Abigail, a przed nami chcesz go ukryć.

— Bo... Nie chcę, żeby wszyscy się o tym dowiedzieli, proszę pani.

— Emma powiedziała coś istotnego na temat sekretów – teraz pani Lippetts zwróciła się do klasy. – Dziękuję ci, Emmo, siadaj i nie grzesz więcej. Jak więc można spalić sekret?

Do odpowiedzi wyrwał się Leon Cutler.

— Zdradzając go ludziom.

— Tak, Leonie. Ale ilu? Emma zdradziła sekret Abigail, ale go w ten sposób nie spaliła, prawda? Ile osób musi się dowiedzieć, żeby sekret stał się byłym sekretem?

— Tyle – odezwał się Duncan Priest – żeby pani trafiła na krzesło elektryczne. Znaczy: za mordowanie siekierą.

— Kto potrafiłby uogólnić tę, jakże lotną, myśl Duncana? Ilu osób trzeba, żeby spalić sekret? Tak, Davidzie?

— Tylu – odparł po namyśle David Ockeridge – ilu trzeba, proszę pani.

— Trzeba do czego? Avril?

— Do tego, aby zmienić – Avril Bredon zmarszczyła brwi – no, treść sekretu, proszę pani.

— Rozumujecie bardzo trafnie – pochwaliła nas pani Lippetts. – Tak że jeszcze chyba nie grozi nam upadek... Gdyby Emma podzieliła się z nami tym, co mówiła Abigail, sekret zostałby spalony. Jeżeli moje zbrodnie opiszą w „Gońcu Malvern”, też zostanę, no, spalona... pod warunkiem, że w ławie przysięgłych zasiądzie Duncan. Różne są tu proporcje, ale zasada taka sama. Ale znacznie bardziej ciekawi mnie, co odpowiecie na kolejną kwestię, ponieważ sama nie bardzo umiem ją rozstrzygnąć. Jakie sekrety powinno się upubliczniać? A jakich nie?

Teraz jakoś nikt nie kwapił się do odpowiedzi.

Już po raz pięćdziesiąty albo i setny w tym dniu przypomniał mi się Ross Wilcox.

— Kto z was wie, co znaczy to słowo?

ETYKA

Mgła kredy podąża szlakiem pojęć.

Kiedyś sprawdziłem sobie to słowo. W *Kronikach Thomasa Covenanta Niedowiarka* pojawia się bez przerwy. Oznacza moralność. Ale pierwszy zgłosił się Mark Badbury.

— Słucham cię, Marku.

— Odpowiedź mieści się w tym, co pani przed chwilą powiedziała. Etyka dotyczy tego, co wolno, a czego nie wolno.

— Wyśmienita odpowiedź, Marku. W Grecji Sokratesa uznaliby cię za świetnego retoryka. Czy rozgłaszanie sekretów, wszystkich, jest etyczne?

Duncan Priest odchrząknął.

— Jak chodzi o pani sekret, to zdecydowanie. Żeby zapobiec dalszym pani zbrodniom na nieletnich.

— Brawo, Duncan! A czy rozgłosilibyście coś takiego?

**BATMAN NAPRAWDĘ NAZYWA SIĘ
BRUCE WAYNE**

Chłopacy wydali pomruk zachwyty.

— Jeżeli ten sekret wyjdzie na jaw, co zrobi każdy szanujący się przestępca? Christopher?

— Wysadzą rezydencję Bruce'a Wayne'a, proszę pani – westchnął Christopher Twyford. – Nastąpi koniec herosa w czarnej oponczy.

— I ludzkość poniesie wielką stratę, tak? Zatem w pewnych przypadkach etycznie jest nie zdradzać sekretu. Proszę, Nicholasie?

— Tak samo było z ustawą o tajemnicy państwowej – Nicholas Briar w klasie prawie zawsze siedzi cicho. – Podczas wojny o Wyspy Falklandzkie.

— Znakomicie, Nicholas. Rozwiążcie języki topią transatlantyki... A teraz pomyślcie chwilę o swoich sekretach. (Związek między portfelem Rossa Wilcoksa i utratą nogi. Rozwalona omega po dziadku. Madame Crommelynck). Co tak nagle umilkliście? Wobec tego, czy każdy z waszych sekretów polega na wyborze pomiędzy: „Tak, powinno się to wyjawić” a „Nie, tego wyjawić nie można”? Czy może istnieje jeszcze inna kategoria, nie całkiem oczywista, by tak to etycznie ująć? Sekrety osobiste, dotyczące tylko was? Banalne? Albo też złożone, grożące zbyt niejasnymi konsekwencjami?

— Tak, tak, TAK, pewnie, JASNE, oczywiście.

Pani Lippetts wyjęła z pudełka świeży kawałek kredy.

— Z wiekiem człowiek nabywa coraz więcej takich właśnie niejasnych sekretów. Nie mniej. I oswaja się z nimi. Kto z was wie, dlaczego piszę to słowo...?

REPUTACJA

— Jason?

III KM zmieniła się w jeden wielki radioteleskop, wycelowany w klasowego kapusia.

— Reputacja to coś, co się traci, ujawniając sekret, proszę pani. Gdyby udowodniono, że jest pani morderczynią, pani reputacja ległaby w gruzach. Bruce Wayne jako facet, co nie skrzywdzi nawet muchy, też by zaraz stracił reputację. Podobnie z Nealem Brose'em, prawda? (Skoro mogę rozchrzanić kalkulator napędzany energią słoneczną, to zasada, że powinienem czuć się winny, bo zakapowałem chłopaka i przeze mnie wydała go ze szkoły, jest do bani. Zresztą wszystkie zasady są bez sensu). Też miał wielki sekret, prawda? Znali go Wayne Nashend, Anthony Little i jeszcze paru... – po mojej lewej Gary Drake wbił wzrok w przestrzeń. – Ale teraz, kiedy sekret Neala Brose'a wyszedł na jaw, jego reputacja jako...

Ku zdumieniu klasy, pani Lippetts odpowiedziała:

— Złotego chłopca?

— O, tak. Wyborne określenie, proszę pani. (Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów udało mi się rozbawić ze trzy, cztery osoby). Zostało to zniszczone. I zniszczył sobie reputację... szkolnego twardziela, któremu lepiej nie wchodzić w drogę. Pozbawiony reputacji, która służyła jako przykrywka sekretu, Neal Brose ma... całkowicie... totalnie...

„No, powiedz – szturchnął mnie Nienarodzony Bliźniak. – Miejże odwagę”.

— ...przekichane, proszę pani.

Ta przeraźliwa cisza to moja robota. Osiągnąłem to słowami. Wyłącznie słowami. Zdarzają się takie dni, gdy pani Lippetts wprost ubóstwia swoją pracę.

Mózg o mało mi się nie zlasował od kombinowania, jak rodzice zareagują na to, co dzisiaj zrobiłem, aby więc chociaż trochę się od tego oderwać, wydobyłem z kredensu choinkę. Oraz puszkę po czekoladkach Quality Street z ozdobami. Już dwudziesty

grudnia, a rodzice nawet nie wspominają o Gwiazdce. Mama pracuje w galerii przez siedem dni w tygodniu, a tato stale jeździ na rozmowy w sprawie pracy, prowadzące do kolejnych rozmów w sprawie pracy. Złożyłem drzewko i porozwieszałem lampki. Kiedy byłem mały, tato kupował prawdziwe drzewka od taty Gilberta Swinyarda. Tę sztuczną choinkę mama kupiła przed dwoma laty w Debenhams w Worcester. Gdy zacząłem jęczeć, że w ogóle nie pachnie, mama zwróciła mi uwagę, że przecież nie ja odkurzam i nie ja zbieram szpilki z dywanu. Co prawda, to prawda. Większość tych ozdób na choinkę jest starsza ode mnie. Bibułka, w którą są pozawijanie, też jest przedpotopowa. Wszystkie te oszronione błyskotki rodzice pokupowali na swe pierwsze (i ostatnie) wspólne święta beze mnie i Julii. Rozśpiewany cynowy chórzysta z szeroko rozwartą buzią. Wesoła rodzina drewnianych bałwanków. (Wtedy jeszcze nie wszystko było plastikowe). Najgrubszy Święty Mikołaj w Laponii. Cenny anioł po prababci. Cenny anioł jest zrobiony z dmuchanego szkła – i podobno prababcia dostała go od węgierskiego księcia z jednym okiem, na balu w Wiedniu, tuż przed pierwszą wojną światową.

„Podepcz go – zachęcił Nienarodzony Bliźniak. – Chrupnąłby jak batonik Crunchie”.

— Nic z tego – odpowiedziałem.

Zadzwoił telefon.

— Słucham?

Szumy, stuki.

— Jace? Tu Julia. Już dawno nie gadaliśmy.

— Co to za odgłosy? Śnieżyca?

— Oddzwoń. Zaraz mi się skończą monety.

Wykręciłem jej numer. Było słychać dużo lepiej.

— Heja. Jeszcze nie śnieżyca, ale strasznie zimno. Jest mama?

— Nie. W galerii.

— Mmm...

W słuchawce łomot Joy Division.

— Co u ciebie?

- Kompletnie nic.
- Kompletnie nic to już coś. Co u ciebie, Julio?
- Yyy... nic takiego. Jak rano wróciłam do akademika, zastałam wiadomość od mamy. Wczoraj do mnie dzwoniła?
- Może. Co to za wiadomość?
- „Natychmiast zadzwoń do domu”. Tyle że nasz dobroduszny portier nie wpadł na to, żeby zapisać czas rozmowy. Dzwoniłam do galerii w porze lunchu, ale Agnes powiedziała, że mama jest u adwokata. Później dzwoniłam znowu, ale jeszcze nie wróciła. Wobec tego stwierdziłam, że pogadam z tobą. Ale nie ma się czym martwić.
- U adwokata...?
- Pewno w interesach. Tato w domu?
- W Oksfordzie, na rozmowie w sprawie pracy.
- Aha. No tak. Jasne. A... wiesz, trzyma się jakoś?
- No... mniej więcej. W każdym razie już się nie zamyka w gabinecie. W zeszłym tygodniu rozpałił w ogrodzie ognisko z teczek i papierów Greenland. Pomagaliśmy mu z Moranem. Oblał je benzyną! Pożar prawie jak w *Płonącym wieżowcu*! No, a parę dni temu zadzwoił adwokat Craiga Salta, że po południu przyjadą zabrać cały sprzęt komputerowy i – jeśli tato odmówi współpracy – będą zmuszeni go zaskarżyć.
- A co tato?
- Gdy podjechała furgonetka, wywalił twardy dysk przez okno. U mnie.
- Jak to? Z góry?
- Właśnie. A jak grzmotnął monitorem! Żebyś ty to słyszała! Powiedział gościowi od transportu: „Przekaż Craigowi Saltowi serdeczne pozdrowienia!”.
- Jeeezu! Czy go pogięło?
- Poza tym – maluje. Pierwszy na liście przebojów znalazł się twój pokój.
- Wiem, mama mówiła...
- A masz coś przeciwko?
- Nieee, no co ty. Wiadomo, że nie będą się tam do mnie

modlili w nieskończoność... Choć z drugiej strony człowiek sobie to i owo uświadamia. „Masz osiemnaście lat, więc droga wolna. A za trzydzieści lat, jak ci czas pozwoli, odwiedź nas w domu starców”. Nie, Jace, to jakieś chore; w ogóle się tym nie zajmuj.

— Ale będziesz w święta?

— Pojutrze. Stian mnie przywiezie. Jego rodzice mają posiadłość w Dorset.

— Stan?

— Nie, Stian. To Norweg, pisze doktorat o mowie delfinów. Nie wspomniałam o nim w ostatnim liście?

Julia wie doskonale, o czym „wspomina” w listach.

— O rany. I rozmawiacie tym językiem?

— Pracuje nad takim oprogramowaniem, że pewnie niedługo będzie to możliwe przez komputer.

— A co się stało z Ewanem?

— Ewan jest uroczy, ale ja tu, a on w Durham, tak że... No, dałam sobie z nim spokój. Na dłuższą metę nic by z tego nie wyszło.

— Hm – ale miał srebrne MG. – Lubiłem Ewana.

— Głowa do góry! Stian ma porsche.

— Rety, Julia! Które? GT?

— Nie wiem! Czarne. Co nam dadzą na Gwiazdkę?

— Pewnie smarties – to taki nasz rodzinny kawał z brodą. – Nie sprawdzałem.

— Akurat! Ty zawsze zaglądasz do prezentów.

— Nie zaglądałem, powaga. Najprawdopodobniej talony na płyty i na książki. Ja o nic nie poprosiłem. Ze względu na, rozumiesz... pracę taty. Oni ode mnie też nic nie chcą. A kto puszczał swoje gwiazdkowe płyty w listopadzie, a mnie kazał stać na czatach, żeby nas nie nakryli, gdy wrócą z zakupów?

— Pamiętasz, jak raz się zgapiłeś? Przyłapali mnie z Kate, przebrane w ślubne sukienki mamy i tańczące *Knowing Me, Knowing You*. A skoro o tym mowa; ktoś jeszcze chodzi na naszą porażającą oryginalną gwiazdkową dyskotekę?

— Mhm. Zaraz się zacznie. Za jakąś godzinę.

- Wybierasz się z kimś?
- Idzie Dean Moran. I parę osób z mojej klasy.
- Ej! Ja ci mówię o swoim życiu uczuciowym.

Wciąż się nie umiem przyzwyczać do rozmów z Julią o dziewczynach.

— Bo ty je masz. Spodobała mi się jedna taka, ale... (pomaga najdroższemu uczyć się chodzić z protezą)... nie jest zainteresowana.

— Jej strata. Biedaku.

— Może to dziwne, ale kiedy ją widziałem w szkole tydzień temu, to jakby...

— Czar prysnął?

— Mhm. Jak bańka mydlana. Czemu się tak dzieje?

— Braciszku, zabij mnie! Nie wiem. Arystofanes, Dante, Shakespeare, Burt Bacharach... od nich też byś się tego nie dowiedział.

— Sam nie wiem, czy pójdę na tę dyskotekę.

— A to niby czemu?

„Bo przeze mnie Ant Little i Wayne Nashend zostali zawieszani w prawach ucznia, a Neala Brose’a wydalono dziś ze szkoły – i wiele wskazuje na to, że ich spotkam”.

— Jakoś nie mam nastroju na świąteczne tańce.

— Bzdura! Masz iść! Tylko w butach, nie w trampkach. Wypastuj. Do tego te czarne džinsy z Regenfs Arcade. I musztardowy sweter w serek, o ile nie jest w praniu. Pod spód – prosta biała koszula. Bez żadnych napisów, bo to pospolite. Nic pastelowego ani sportowego. Nawet mowy nie ma o tym kiczowatym krawacie. Za uszami – kropla givenchy taty. Żaden brut. Już płyn do mycia naczyń jest bardziej seksowny. Zwęź mamie trochę pianki i podnieś lekko grzywkę, żebyś nie wyglądał szczeniacko. Tańcz do upadłego i niech ci szczęście sprzyja!

— Okay. – Jeżeli nie pójdę, Brose, Little i Nashend zwyciężą. – Aleś ty despotyczna.

— A czyś ty kiedy widział niedespotycznego prawnika? Czeka tu kolejka, tak że muszę kończyć. Powiedz mamie, że dzwoniłam.

I że czekam na wiadomość. Na razie.

Szarpany paskudnym zimnym wiatrem, ja, Jason Taylor, szkolny kapuś, pomału zbliżałem się do Brose'a, Little'a i Nashenda. Za domem pani Throckmorton, niby arka, majaczyła w polarnym mroku świetlica. Okna skrzyły się już kolorami dyskoteki. Michael Fish powiedział, że nad Wyspami Brytyjskimi przemieszcza się teraz front niskiego ciśnienia znad Uralu. Ural to taki sowiecki odpowiednik kanionu Colorado. W głębi ziemi u podnóża gór kryją się tam pociski międzykontynentalne i schrony przeciwoatomowe. A miasta, w których prowadzi się badania, są tajne do tego stopnia, że w ogóle nie mają nazw ani nie widać ich na mapie. Pomyśleć, że gdzieś tam, w ogrodzonej drutem kolczastym strażnicy, kuli się przed tym samym mroźnym wiatrem żołnierz Armii Czerwonej... Kto wie, czy przed sekundą nie wciągnąłem w płuca tlenu, którym on oddychał.

Julia przedłużyła rozmowę, żeby oderwać moje myśli od jakiegoś problemu.

W holu stali: Pluton Noak, Gilbert Swinyard i Pete Redmarley. Nie przepadają za mną zbyt, odkąd przyjęli mnie do Strachów i zaraz, na drugi dzień, wywalili. Nie czepiają się, tylko po prostu udają, że nie istnieję. Normalnie to było bardzo fajnie. Dziś jednak przyszedł z nimi taki jeden starszy koleś. Zarośnięty, ponury, w brązowej skórzanej kurtce i koszuli do rugby Ali Blacks. Pluton Noak szturchnął go i wskazał na mnie. Drogę ucieczki zastawiła grupa dziewczuch, ale rugbista i tak już ruszył w moją stronę.

— To ten?

— Aha! – dognął go Pluton Noak. – Ten.

W holu zapadła głucha cisza.

— Mam dla ciebie nowinę – rugbista chwycił mnie za palto z taką siłą, że puściły szwy. Cały aż ział obrzydzeniem. – Czepiałeś się dziś chłopaka, którego czepiać się nie wolno – zęby miał zaciśnięte, tylko wargi drgały. – Ty porypany, bezjajowy, bezmózgi, zasrany, zaszczany, zafajdany, zaślapijony...

— Josh – Pluton Noak szarpnął go za rękę. – Josh! To nie Neal

Brose. To Taylor.

Josh spiorunował wzrokiem Plutona Noaka.

— Nie Neal Brose?

— Nie. Taylor.

Oparty o drzwi klopa Pete Redmarley podrzucił i złapał ustami minstrela.

— Ten – spojrzał na niego wściekle Josh – Taylor?

Pete Redmarley schrupał minstrela.

— Mhm.

— Ty jesteś ten Taylor – Josh puścił połę mojego płaszcza – który zakapował tych mini-Krayów, co doili mojego brata z forsy?

— Kto – głos mi się załamał – jest twoim bratem?

— Floyd Chaceley.

Łagodny Floyd Chaceley ma potężnego brata.

— No, to jestem.

— Dobra robota, Taylor – Josh musnął połą płaszcza. – Ale jeśli ktoś z was – zebrani w holu zadrżeli pod jego mściwym spojrzeniem – zna Brose’a, Little’a i Nashenda, niech im zaraz powie, że tu jestem. I czekam. Chciałbym zamienić z nimi słówko.

W środku parę osób już tańczyło w rytm *Video Killed The Radio Star*. Prawie wszyscy chłopacy skupili się w jednym końcu sali, bo przecież taniec nie jest cool. Po przeciwnej stronie – dziewczyny, też z tego powodu. Dyskoteki to dość złożona sprawa. Gdy wyjdzie się na parkiet zbyt wcześnie, wszyscy patrzą na człowieka jak na największego wała, a znów jak się nie zacznie tańczyć przy hicie, co podrywa każdego – patrzą jak na najgorszego smutasa. Przy okienku, gdzie sprzedają słodczyce i napoje w puszkach, Dean rozmawiał z Floydem Chaceleyem.

— Przed chwilą poznałem twojego brata – zagadnąłem. – Reeety, wolałbym go nie spotkać, jak naprawdę jest wkurzony.

— Brata przyrodniego – dzięki mnie Floyd składał dziś Nixonowi zeznania w sprawie Neala Brose’a. I bez wątplenia mnie nie cierpiał. – Taaa, facet jest w porządku. Szkoda, żeś go nie widział wcześniej, jak groził, że podpali dom Brose’a.

Pozazdrościłem Floydowi, że już ma załatwione porachunki z rodzicami.

— To pewno Nashend i Little też się dziś nie pokażą – Dean dał mi gryza curly-wurly. Floyd postawił mi pepsi. – Patrzcie na Andreę Bozard! – Dean wskazał dziewczynę, która na lekcjach u pani Throckmorton udawała kucyka i plotła gniazda z żółdziemi zamiast jajek. – O tam, w spódniczce ra-ra!

— No i? – spytał Floyd.

— Niezła lufa – Dean wystawił język jak zdyszane psisko – co nie?

Przy dźwiękach *Frigging In The Rigging Sex Pistols* w szalonym pogo na środek wleciała banda punków z Upton. Steve, starszy brat Oswalda Wyre'a, tak przygrzmocił łbem w ścianę, że tato Philipa Phelps'a musiał go odwieźć do Worcester, do szpitala, aby przypadkowo nie zapadł w śpiączkę. A że zaraz potem wstało do tańca kilku chłopców, didżej puścił *Prince Charming Adam and the Ants*. *Prince Charming* tańczy się tak, jak Adam Ant w teledysku. Wszyscy ustawiają się rzędem i, krzyżując w powietrzu nadgarstki, kroczą naprzód w takt muzyki. Tyle że każdy chciał być Adamem, który tańczy nieco z przodu, i ludzie nabrali takiego przyspieszenia jak na mistrzostwach świata w sprincie. Następna poszła *The Lunatics (Have Taken Over The Asylum)* Fun Boy Three, która zupełnie nie nadaje się do tańca, chyba że się jest Ciapciakiem. Ciapciak, zdaje się, usłyszał w tej piosence jakiś niesłyszalny tajemniczy rytm.

— Ciapciak-paralitik! – wrzasnął Robin South.

Ciapciak nawet nie spostrzegł, że jest sam na parkiecie.

Wpływ sekretu na życie to coś niesamowitego. Aby go nie zdradzić, człowiek kłamie i stara się kierować rozmowę na całkiem inne tory; boi się, żeby go ktoś nie odkrył i nie wygadał innym; myśli, że włada swym sekretem, ale czy tak naprawdę to nie sekret włada człowiekiem? Może więc to wariaci kształtują psychiatrów, a nie odwrotnie...

W kłopie natknąłem się na Gary'ego Drake'a.

Jeszcze niedawno byłbym zamarł, ale po tym, co się dziś

zdarzyło, nawet nie mrugnąłem okiem.

— Spoko? – odezwał się Gary Drake, który jeszcze niedawno zaczęłyby szydzić, że znów nie mogę znaleźć fiutka, a teraz nagle pozdrowił mnie jako osobę zasługującą na szacunek.

Przez uchylone okno sączył się grudniowy ziąb.

„Taaa” – odparłem śmiertelnie znudzonym ruchem głowy.

Wrzący strumień moczu poderwał w górę niedopałki.

Do rytmu *Do The Locomotion* dziewczyny utworzyły w tańcu jakby poskręcaną ciuchcią. Później było *Oops Upside Your Head*, które tańczy się tak, jakby się wiosłowało łodzią. Zdecydowanie nie dla chłopców. Nie to, co *House Of Fun Madness*. *House Of Fun* mówi o kupowaniu prezerwatyw, ale ci z BBC jej nie zdjęli, bo oni są zdolni dostrzec ukryty sens dopiero, kiedy w ciężkich bólach wykryje go ostatni bęcwał świata. Ciapciak zaczął tańczyć, jakby go prąd pokopał, co reszta natychmiast podchwyciła dla jaj, lecz wkrótce się okazało, że ten jego taniec jest nawet całkiem fajny. (Każdy wielki wynalazca ma w sobie coś z Ciapciaka). Potem zabrzmiało *Once In A Lifetime Talking Heads* – właśnie taki hit, jakiego nie wypada nie zatańczyć, więc Dean, Floyd i ja tańczyliśmy. Didżej włączył stroboskop. Ale na krótkie serie, bo od stroboskopu pęka mózg. Taniec przypomina spacer główną ulicą w godzinach szczytu albo sto milionów różnych innych rzeczy. Dopóki się o nim nie myśli, jest okay. W stroboskopowej burzy, pośród nocnej gęstwy karków oraz ramion ujrzałem Holly Deblin. Wykonując taniec hinduskiej bogini, Holly Deblin kołysała się, ale równocześnie jakby strzepywała dłońmi. Chyba mnie dostrzegła w swojej nocnej gęstwie, bo chyba się uśmiechnęła. (Chyba to nie to samo, co na pewno, ale brzmi sto razy lepiej, niż wcale nie). Później było *I Feel Love* Donny Summer. John Tookey chciał zademonstrować ostatni krzyk mody z Nowego Jorku zwany „break-dance”, ale, wirując wokół własnej osi, stracił panowanie nad ciałem i rymnął w grupkę dziewczyn, które poprzewracały się jak kręgle. Tylko dzięki swoim kumplom uniknął ran od damskich obcasów. Przy dźwiękach *Jealous Guy* Bryana Ferry’ego Lee Biggs przygruchał sobie Angelę Bullock.

Poszli się całować w rogu sali, a tuż obok stanął Duncan Priest, naśladować rodzącą krowę. Część osób wybuchnęła śmiechem – ale też z zazdrości. Angela Bullock nosi czarny biustonosz. Następnie, przy *To Cut A Long Story Short* Spandau Ballet, Alastair Nurton przygruchał sobie Tracey Impney, koloskę, która wielbi gotyk. Kiedy zabrzmiało *Are „Friends” Electric* Gary’ego Numana i Tubeway Army – Colin Pole z Markiem Badburym odtańczyli taniec szklanych robotów.

— Kapitalna piosenka! – ryknął mi do ucha Dean. – Niesamowicie futurystyczna. Gary Numan ma kolegę o imieniu „Pięć”! Po prostu genialne!

Taniec to mózg, a tancerze to zaledwie jego komórki. Tańczący myśli, że panuje nad każdym krokiem, ale tak naprawdę to przestrzega pradawnych reguł, zasad. Przy *Three Times A Lady* parkiet opustoszał i zostało tylko kilka czulących się par, szczęśliwych, że inni się im przyglądają, i kilka osób, które w pocałunkach zapomniały o bożym świecie. Jak chodzi o wybór sympatii, ludzie teraz już nie byli tak wybredni jak na początku. Paul White przygruchał sobie Lucy Sneads. Didżej puścił *Come On Eileen* Dexys Midnight Runners. Dyskoteka to też trochę jakby ogród zoologiczny. Niektóre zwierzęta stają się bardziej dzikie niż za dnia, inne znów robią się fajniejsze, jeszcze inne pozują, inne znów są bardziej nieśmiałe, albo też seksowniejsze. Holly Deblin najwidoczniej poszła już do domu.

— Sądziłem, że wyszłaś.

W mroku jarzył się kosmicznozielony neon z napisem „WYJŚCIE”.

— A ja, że ty wyszedłeś.

Podłoga ze sklejki drżała od dyskotekowych rytmów. Za podestem jest kanciapka na krzesła. Z czymś w rodzaju wielkiej półki pod sufitem. Przechowuje się tam blaty stołów do tenisa, a ja wiem, gdzie trzymają drabinę.

— Nie. Tańczyłem z Deanem Moranem.

— Niemożliwe! – Holly Deblin wdzięcznie udała zazdrość. – A co takiego ma Dean Moran, czego ja nie mam? Dobrze się

całuje?

Moran! Ohyda!

„Ohyda” to ostatnie słowo, jakie wypowiedziałem w życiu, nigdy przedtem nie całując się z dziewczyną. Zawsze bałem się całowania, ale to wcale nie jest takie trudne. Usta wiedzą, co robić, jak morskie anemony. Całowanie wprawia w ruch wirowy, jak Latające Filizanki. Wciąga się w płuca tlen, którym oddycha dziewczyna.

Tyle że czasem można się stuknąć zębami.

— Oj, przepraszam – cofnęła się Holly Deblin.

— Okay, można przykleić jakby co.

Holly Deblin mierzwiła mi fryzurę. Nigdy nie pieściłem czegoś równie miękkiego jak skóra na jej szyi. Zgodziła się na to. Niewiarygodne. Pozwoliła. Holly Deblin pachnie perfumierią w domu towarowym, środkiem lipca i cynamonowymi tictakami. Mój kuzyn Hugo twierdzi, że całował się (i nie tylko) z trzydziestoma dziewczynami, a teraz pewnie dobił już do pięćdziesięciu, ale tak naprawdę liczy się tylko ten pierwszy pocałunek.

— A! – powiedziała Holly Deblin. – Zwędziłam trochę jemiioły. Zobacz.

— Strasznie pognieciona i...

Podczas mojego drugiego w życiu pocałunku język Holly Deblin zwiedzał moje usta jak spłoszona nornica. Można by sądzić, że to coś obrzydliwego, a tymczasem jest tak wilgotno-tajemne, że od razu nabrałem ochoty na rewizytę. Ten pocałunek się urwał, bo zapomniałem o oddychaniu.

— To, co teraz leci – wydyszałem – ten utwór... Trochę hipisowski, ale piękny.

Słowa typu „piękny” przy chłopakach są zakazane, a przy dziewczynach nie.

— #9dream. John Lennon. Album *Walls and Bridges*. Tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt cztery.

— Jeśli chcesz mi tym zaimponować, to trafiłaś w dychę.

— Mój brat pracuje w wytwórni Revolver Records.

Ma niezliczone zbiory płyt długogrających. Skąd wiesz o tej kryjówce?

— O tej? Kiedyś grywałem tu w tenisa stołowego, wiesz, na kółku. Myślałem, że dziś zamkną. Ale, jak widać, byłem w błędzie.

— Najwidoczniej – Holly Deblin wsunęła mi ręce pod sweter. Przez lata – od Julii i Kate Alfrick – nasłuchiwałem się o wędrujących dłoniach tyle, że teraz przytomnie nie odwzajemniłem tej pieśczoły. Wtem Holly Deblin zadrżała. Nie z zimna, tylko ze śmiechu.

— Co? – przeląknęłem się, że robię coś nie tak. – Co?

— Mina Neala Brose’a dziś rano na zajęciach...

— Aaa. Całe przedpołudnie mam jakieś zamazane. W ogóle cały ten dzień.

— Gary Drake odciągnął Brose’a od wiertarki, no i pokazał mu, co robisz. Z początku do niego nie dotarło. Że przedmiot, który unicestwiasz za pomocą imadła, to jego kalkulator. Połapał się po dłuższej chwili. Drań z niego i wazeliniarz, ale głupi nie jest. Wiedział aż za dobrze, do czego to prowadzi. Czuł, że nabijasz go w butelkę. Od samego początku.

Bawiłem się grzechocącymi koralami Holly Deblin.

— Mnie też zdumiałeś – dodała.

Nie miałem zamiaru jej poganiać.

— Bo chociaż zawsze cię lubiłam, Taylor, sądziłam, że jesteś...
– ani jednym słowem nie chciała zranić moich uczuć.

— Chodzącym workiem treningowym?

Holly Deblin wsparła podbródek na mej piersi.

— Tak – podbródek trochę uwierał. – Co to się stało, Taylor?
No, rozumiesz, z tobą.

— Różne takie... – gdy ona mówi mi „Taylor”, brzmi to prawie jak „Jasonie”. Wciąż jednak brak mi śmiałości, by zwracać się do niej po imieniu czy nazwisku. – W tym roku. Ale, wiesz, jakoś nie mam ochoty gadać o Nealu Brosie. Może kiedy indziej? – zsunąłem plecionkę z jej nadgarstka i wsunąłem sobie na rękę.

— Złodziej. Sam się możesz postarać o eleganckie dodatki.

— Właśnie się postarałem. O pierwszy w moich zbiorach.

Holly Deblin chwyciła mnie za nieco zbyt duże uszy i przyciągnęła wargi do swych warg. Nasz trzeci pocałunek trwał całutkie *Planet Earth* Duran Duran. Holly Deblin powiodła moją dłoń ku swemu bijącemu sercu lat czternaście.

— Cześć, Jason – w blasku choinkowych lampek i piecyka gazowego salon wyglądał jak grota Świętego Mikołaja. Telewizor był wyłączony. Tato siedział w obłoku gumy owocowej. Ale z tonu jego głosu wywnioskowałem, że już wie o Nealu Brosie i zmienionym w wafelek casio. – Jak się bawiłeś?

— Nieźle. (Tato miał w nosie dyskotekę). A co tam w Oksfordzie?

— Oksford jak Oksford. Jason, musimy sobie uciąć małą pogawędkę.

Wieszając czarną parkę, czułem się jak skazaniec. „Mała pogawędkę” zwykle polega na tym, że ja siedzę, a tato się na mnie rzuca, ale Holly Deblin najwyraźniej zmieniła mi w głowie instalację elektryczną.

— Mógłbym zacząć, tato?

— Dobrze – tato sprawiał wrażenie spokojnego, ale i wulkan jest spokojny, nim rozsadzi górę. – Słucham.

— Chcę ci powiedzieć o dwu sprawach. Bardzo ważnych.

— Jednej się domyślam. O ile mi wiadomo, w szkole działo się dziś bardzo ciekawie...

— Tak, o tym też.

— Dzwonił pan Kempsey. W kwestii wydalenia ucznia.

— Neala Brose’a, wiem... Odkupię mu ten kalkulator.

— Nie będzie to konieczne – tato był zbyt wyczerpany, aby się zacząć pieklić. – Rano posłałem jego ojcu czek. On też zadzwonił. Chodzi mi o ojca... Prawdę powiedziawszy, zadzwonił, żeby mnie przeprosić. (A to niespodzianka). Powiedział, że nie muszę zwracać mu pieniędzy. Ale i tak zwrócę. Co zrobi z czekiem, to już jego sprawa. To jednak jeszcze nie koniec...

— Tak?

— Być może matka zechce tu wtrącić swoje trzy grosze, ale...

– tato wzruszył ramionami – pan Kempsey opowiedział mi o przypadkach tyranizowania uczniów. Szkoda, że nie zdobyłeś się na to, żeby nas o tym powiadomić, no, ale chyba nie powinienem mieć ci tego za złe, co?

Przypomniał mi się telefon Julii.

— Jest mama?

— Mama... – tatę jakby coś dręczyło – ...śpi dzisiaj u Agnes.

— W Cheltenham? (Przecież to bez sensu. Mama nigdy nie śpi poza domem, chyba że u cioci Alice).

— Mieli prywatny pokaz, no i się to przeciągnęło.

— Nie wspominała o tym przy śniadaniu.

— A ta druga sprawa, o której miałeś mi powiedzieć?

W tej chwili śmignął mi przed oczyma cały ubiegły rok.

— No, mów. Na pewno nie jest to tak straszne, jak może ci się wydaje.

„Właśnie, że jest”.

— W styczniu... (Kat przyblokował „zeszłego”) ...yyy, rok temu, byłem na ślizgawce w lesie. Wygłupialiśmy się z chłopakami... Założyłem zegarek po dziadku. Omegę... (Kat przyblokował „Seamaster”). – Opowiadanie okazało się dużo gorsze od setki nocnych koszmarów na ten temat. – Zegarek, który kupił (Boże, teraz znów nie mogłem wypowiedzieć „stacjonując”) w Adenie. Ale się przewróciłem – już nie było odwrotu – i go rozwaliłem na kawałki. Cały rok próbowałem go odkupić, słowo daję... A identyczny model, który w końcu znalazłem, kosztował około dziewięciuset funtów. No a ja nie mam tyle forsy, wiadomo.

W twarzy taty nie drgnął ani jeden muskuł.

— Jest mi bardzo przykro. Postąpiłem idiotycznie. Wynosząc go z domu.

W ćwierć sekundy spokój taty pryśnie i zostanie unicestwiony.

— A, nieważne. (Dorośli nieraz tak mówią, kiedy coś jest najważniejsze). To tylko zegarek. Nikomu nie stała się krzywda, nie to, co przeżył ten biedny chłopak, Ross Wilcox. Ani nikt nie umarł. Na drugi raz uważaj, jak weźmiesz do ręki coś kruchego.

I już. Zostało coś z tej omegi?

— Właściwie tylko pasek i koperta.

— Nie wyrzucaj tego. Może znajdziesz zegarmistrza, który by umiał wprawić mechanizm z innej omegi tego typu. Nigdy nic nie wiadomo. Jak będziesz się opiekował tysiącarowym rezerwatem przyrody w dolinie Loary.

— Więc nic... nie zrobisz? Znaczą: mnie.

Tato wzruszył ramionami.

— I tak już dosyć przeszedłeś.

W życiu nie śmiałybym przypuszczać, że skończy się to tak dobrze.

— Tato, miałeś mi powiedzieć coś ważnego.

— Ładnie ozdobiłeś choinkę – Tato przełknął ślinę.

— Dzięki.

— Tobie dzięki – tato łyknął kawy i skrzywił się. – Zapomniałem o słodziku. Mógłbyś mi go przynieść z kuchni, skarbie?

„Skarbie”? Tato nie zwracał się do mnie w ten sposób od wieków.

— Jasne.

Poszedłem do kuchni. Było tam upiornie zimno. W poczuciu ulgi nabrałem wigoru. Ze słodzikiem taty, łyżeczką oraz spodkiem w ręku wróciłem do salonu.

— Dzięki. Usiądź jeszcze.

Tato wpstryknął w wir neski malutką pastylkę, zamieszał i ujął w dłonie filizankę ze spodkiem.

— Czasami... – niezręczność tego „czasami” puchła, puchła i puchła. – Czasami tak się dzieje, że człowiek kocha dwie osoby naraz, każdą w inny sposób – już samo mówienie było dla taty nadludzkim wysiłkiem. – Rozumiesz?

Pokręciłem głową. Może i mógłbym domyślić się czegoś ze spojrzenia taty, ale on wbił wzrok w kawę. Pochyliła się do przodu. Łokcie wsparł na ławie.

— Matka i ja... – głos taty zmienił się potwornie, jak gównianemu aktorowi w jakimś gównianym tasiemcu. – Matka

i ja... – tato cały się trzęsie; tato nie trzęsie się nigdy! Filizanka i spodek zaczynają brzęczeć, więc tato je odstawia. Ale nie podnosząc oczu. – Matka i ja...

Styczniowy człowiek

— Jak widać, brał nawet dla niej pożyczki!

Zgadlibyście, kogo miała na myśli Gwendolin Bendincks?

— Pożyczki? – zapiszczała pani Rhydd. – Pożyczki?

Niby czemu miałbym chować się ze wstydu? Nic złego nie zrobiłem. Czy to moja wina, że nie spostrzegli, jak przeglądam „Smash Hits” za piramidą puszek psiej karmy?

— Pożyczki. Na kwotę dwudziestu... tysięcy... funtów.

— Można by za to kupić domek! Na co jej aż dwadzieścia tysięcy funtów?

— Polly Nurton mówi, że ona prowadzi w Oksfordzie jakąś firmę wyposażenia biurowego, która zaopatruje Greenland... rzecz jasna, supermarkety, a nie wioskę. Nie sprytnie to sobie wykombinowali?

Pani Rhydd nie zrozumiała.

— No, wie pani, on tam pracuje jako dyrektor okręgowy. Yyy, pracował. Bo go wywalili dwa miesiące temu. Nie zdziwiłabym się, gdyby miało to związek z tym całym... romanssem. Polly Nurton, jak pani doskonale wie, nie lubi owijać w bawełnę. Powiedziała, że żadna szanująca się firma nie chce mieć w kierownictwie cudzołożnika. Pewnie załatwił jej kontrakt z Greenland lata temu, kiedy się zaczął ten... związek.

— Myśli pani, że... to trwa aż tyle czasu?

— Ależ naturalnie! Pierwszą... niedyskrecję popełnili lata

temu. Przyznał się wtedy Helenie i przysiągł, że z tym skończy. Helena mu wybaczyła. Dla dobra rodziny. Każdy by tak postąpił. No, ale, wie pani (ludzie wypowiadają to słowo szeptem, żeby im nie przyniosło pecha), „rozwód”. To krok radykalny. Kto wie, czy się przez te lata spotykali, czy nie. Tego już Polly Nurton nie wiedziała, a ja nie mam zamiaru wtykać nosa w nie swoje sprawy. Ale... starczy raz się sparzyć, żeby już potem zawsze dmuchać na zimne.

— Oj, racja to, moja pani. Wielka racja.

— Ale Polly wie na pewno, że kiedy w zeszłym roku podupadł jej interes... tuż po tym, jak mąż zabrał się i poszedł w siną dal, a ją zostawił z małym dzieckiem... bo pewnie, że tak powiem, wyczuł, że źle się dzieje w państwie szwedzkim... zwróciła się do byłego kochasia.

— To hucpiara!

— W styczniu ubiegłego roku. Polly twierdzi, że miała załamanie czy coś takiego. Może miała, może nie miała. W każdym razie wydzwaniała do niego od świtu do nocy. No, mówię pani, cyrk na kółkach! Wreszcie pożyczył niebotyczną kwotę, a żonie słowem nie pisnął, że zastawia jej dom!

— Współczuje pani biednej Taylorowej, prawda?

— A jakże! Zorientowała się dopiero, wertując wyciąg z jego konta. W taki to sposób dowiedziała się, że jej własny dom poszedł w zastaw, coś okropnego, mówię pani! Wyobraża sobie pani, co to za uczucie, dać się tak naciągnąć? Zdradzić! Jak na ironię, galeria Heleny w Cheltenham nie może się opędzić od klientów... W przyszłym miesiącu będzie o galerii w „Home and Country”.

— Na mój gust – wybuchnęła pani Rhydd – to ona się zachowuje jak pospolita ulicz...

Spostrzegłszy mnie, straciła dech jak wyrzucona z wody ryba. Odłożyłem na miejsce „Smash Hits” i podszedłem do kontuaru. Mam już wyćwiczone, jak udawać obojętność.

— Witam! Jesteś Jason, racja? – Gwendolin Bendincks podkręciła uśmiech na fuli. – Pewno już mnie nie pamiętasz,

starej baby? Poznaliśmy się rok temu, na plebanii.

— Pamiętam.

— Idę o zakład, że mówi tak każdej dziewczynie! (Pani Rhydd wykazała się przyzwoitością, przybierając wyraz zażenowania). Dziś wieczór, mówili w radio, ostro nam przysypie. Cudnie, prawda? Pojeździsz sobie na saneczkach, wybudujesz igloo, porzucasz śnieżkami.

— Co u was... – pani Rhydd zaczęła się bawić cenną strzelbą – ...nowego, mój skarbeczku? Wyprowadzacie się dzisiaj, tak?

— Ludzie od przewozu ładują teraz cięższe meble. Mama ze swoją szefową, moją siostrą i Kate Alfrick kończą już pakować różne drobiazgi, tak że kazały mi przelecieć się po wsi i... (Przez Kata nie wypowiedziałem: „pożegnać”).

— Rzec Black Swan Green *au revoir* – z porozumiewawczym uśmiechem wcięła się Gwendolin Bendincks. – Odwiedzisz nas niedługo, prawda? Do Cheltenham chyba nie aż tak daleko...?

— Chyba nie.

— Jesteś nadzwyczajnie dzielny, Jason – klasnęła w ręce, jakby łapiąc konika polnego. – Ale pamiętaj, proszę, że jeśli tylko ja i Francis... to znaczy: pastor... moglibyśmy ci jakoś pomóc, drzwi u nas zawsze masz otwarte. Powiesz to mamie?

— Jasne. – „Znam studnię, w której możesz się utopić”. – Jasne.

— Witam cię, Błękitku – z zaplecza wyszedł pan Rhydd. – Czym mogę służyć?

— Poproszę ćwierć funta rabarbarowo-mlecznych i ćwierć imbiru w cukrze. Od imbiru w cukrze pocą mi się dziąsła, ale mama go uwielbia.

— Już podaję, Błękitku – pan Rhydd wspiał się po drabinie, by sięgnąć po słoje.

— W Cheltenham jest bosko – Gwendolin Bendincks nie skończyła mnie rozpracowywać. – Stare uzdrowiska mają niepowtarzalny klimat. Duży ten dom, co mama wynajmuje, Jason?

— Jeszcze nie widziałem.

— A ojciec chce mieć swą siedzibę w Oksfordzie, tak? (Przytaknąłem). Podobno nie ma szczęścia z pracą, tak? (Przytaknąłem). W Boże Narodzenie firmy nie działają, tak że nic dziwnego. No, ale Oksford to jeszcze nie koniec świata, prawda, moja pani? – zwróciła się do pani Rhydd. – I wkrótce pojedziesz się zobaczyć z tatą, prawda?

— Na razie... nie wiadomo.

— Pośpiech niewskazany; bardzo to roztropne. Pewnie już nie możesz się doczekać nowej szkoły! Jak ja to mówię: „Obcy jest po prostu nie poznanym przyjacielem”. (Guzik prawda! Nigdy nie poznałem Rozpruwacza z Yorkshire, a z niego to byłby przyjaciel, że ho, ho). Więc dom przy Kingfisher Meadows formalnie wystawiony na sprzedaż?

— Pewno niedługo.

— Pytam się, bo przenieśliśmy się z plebanią do bungalowu przy Upton Road, ale to tak „tymczasowo”. Poproś mamę, żeby jej agent dał znać Francisowi, zanim gdzieś się ogłosicie. Wiem, że mama woli załatwiać interesy ze swoim, a nie z byle kim. Pamiętasz tych koszmarnych Crommelyncków, którzy zwalili się nam na łeb? Tak że wspomnij o tym przy okazji, dobrze? Przynajmniej, że powiesz mamie. No, jak? Słowo skauta?

— Jasne. Obiecuję. (Za czterdzieści lat, nie prędzej). Słowo skauta.

— Służę ci, Błękitku – pan Rhydd zawinął torebki.

— Dziękuję... – zacząłem grzebać po kieszeniach.

— Nie, nie. Dzisiaj na koszt firmy – pan Rhydd ma przeraźliwie spuchniętą twarz, ale twarz i mina to nieraz dwie całkiem różne rzeczy. – Pożegnalny gościniec.

— Dzięki.

— To dopiero niespodzianka! – zawyła Gwendolin Bendincks.

— Właśnie: dopiero niespodzianka – rzekła stanowczo pani Rhydd.

— Najlepszego – pan Rhydd zacisnął moje palce na papierowych torebkach. – I wielkie dzięki, chłopcze.

Black Swan Green zmieniło się dzisiaj w Wioskę Umarłych,

bo w tiwi – *Moonraker*. Podobno ostatni Bond z udziałem Rogera Moore’a. Nasz telewizor stoi gdzieś w samym tyle meblowozu. Normalnie to poszedłbym na film do Deana, ale on wybiera się z tatą do Białołistnego Dębu, w odwiedziny do babci. Nogi poniosły mnie nad jezioro w lesie. Miło ze strony pana Rhydda, że sprezentował mi rabarbarowo-mleczne, ale dziś cukierki smakowały kwaśno-plastykowo. Musiałem wypluć.

Zimą las jest taki kruchy.

Myśli przemykają po gałązkach.

Wczoraj tato przyszedł zabrać resztę swoich rzeczy. Mama spakowała je do winylowych worków i zostawiła w garażu, bo potrzebuje wszystkich walizek, i pojechała z Julią do Cheltenham. Przysiadłszy na skrzyni, oglądałem *Happy Days* w przenośnym telewizorku. (Dopóki Hugo nie oświecił mnie, że *Happy Days* rozgrywa się w latach pięćdziesiątych, zawsze mi się wydawało, że to się dzieje we współczesnej Ameryce). Na podjeździe zaparkował nieznany samochód. Przez okno salonu ujrzałem błękitnego jak niebo volkswagena jetę. Od strony pasażera wysiadł tato.

Nie widziałem się z nim od pamiętnego wieczoru pocałunków z Holly Deblin, kiedy mi oznajmił, że rozstaje się z mamą. Czyli pełne dwa tygodnie. Trochę pogadaliśmy przez telefon w Boże Narodzenie, które spędziłem z mamą u cioci Alice – było to jednak straszne, straszne, straszne. Co miałem mu powiedzieć? „Dziękuję za zestaw Meccano dla zaawansowanych i longplay Jean Michela Jarre’a”? (To właśnie powiedziałem). Mama nie rozmawiała z tatą ani też nie spytała, co mówił.

Na widok błękitnego jak niebo volkswagena jetty Robal syknął mi w ucho:

„Kryj się! Zwiewaj!”.

— Cześć, tato.

— O! – tato miał minę alpinisty, w chwili gdy mu pęka lina. – Jason... Nie przypuszczałem, że... – tato chciał powiedzieć „będziesz w domu”, ale zmienił zdanie. – Nie słyszałem cię.

— Usłyszałem samochód. – Jakże by inaczej. – Mama w pracy.

– Tato wiedział.

— Zostawiła mi parę rzeczy. Chciałem tylko je odebrać.

— No, mówiła.

Do garażu wkroczył księżycowo szary kot i zaraz usadowił się na poduszce z ziemniaków.

— Aaa... – zaczął tato. – Co u Julii?

Pewno miał na myśli: „Czy mnie nienawidzi?”. Ale Julia też by nie wiedziała, co na to odpowiedzieć.

— ...nieźle.

— Świetnie. Dobra. Pozdrów ją ode mnie.

— Okay. – A może sam byś ją pozdrowił? – Jak minęły święta?

— Yyy... fajnie. Spokojnie – tato spojrział na piramidę czarnych worków na śmieci. – Koszmarnie. Z wiadomych powodów. A tobie?

— Też koszmarnie. Tato, zapuszczasz brodę?

— Nie, tylko się nie... Może. Nie wiem. Krewni z Richmond zdrowi?

— Ciocia Alice jak zwykle, cały czas pytowała, że... no, wiesz.

— Jasne.

— Alex bawił się komputerem BBC. Hugo, jak to on, przymilny. Nigel dla sportu rozwiązywał równania kwadratowe. Wujek Brian... – Trudno było dokończyć zdanie o wujku.

— ...spił się jak bela i paplał o mnie, tak?

— Tato, czy wujek Brian jest idiotą?

— Czasem faktycznie się tak zachowuje – tacie jakby coś się rozwiązało. Wygląda mizernie i smutno, ale jest zdecydowanie spokojniejszy. – Ale to jeszcze o niczym nie świadczy. Lepiej nie osądzać ludzi tak kategorycznie. Chyba że stało się coś, o czym nie wiem. Tak?

O, tak.

Najgorsze, że zachowując się miło w stosunku do taty, nie czułem się lojalny wobec mamy. Choćby nie wiem jak często powtarzali: „Oboje nadal cię kochamy”, trzeba podjąć wybór. Słowa typu: „alimenty” i „najkorzystniej”, jednak zapadają w pamięć.

W błękitnej jak niebo jecie ktoś siedział.

— To... – nie miałem pojęcia, jak ją nazwać.

— Tak, Cynthia mnie podwiozła. Chciałaby się z tobą przywitać, jeśli... (struny paniki szarpnął jakiś obłąkany gitarzysta) ...nie masz nic przeciwko temu – głos taty załamał się błagalnie. – Dobrze?

— Okay. – Nie miałem ochoty. – Okay.

Przed pieczarą garażu siąpił prawie niewidzialny deszczyk. Zanim zdążyłem podejść do samochodu, Cynthia już wysiadła. Nie jest cycatą zdzirą ani nawet złą wiedźmą. Jest zdecydowanie bardziej rozczochrana i dużo bardziej myszowata od mamy. Ma piwne oczy i ścięte na pazia brązowe włosy. W ogóle nie wygląda na macochę. Którą niebawem zostanie.

— Cześć, Jason – kobieta, z którą tato postanowił spędzić resztę życia, spojrzała na mnie tak, jakbym celował do niej z rewolweru. – Na imię mi Cynthia.

— Cześć. Na imię mi Jason – zabrzmiało to prze-, prze-, prze-, przedziwnie. Żadne z nas nie zdobyło się na uścisk dłoni. Na tylnej szybie jetty była naklejka: „NIEMOWLĘ W SAMOCHODZIE”. – Ma pani dzidziusia?

— Milly już raczkuje – głos mamy brzmi bardziej elegancko. – Camilla. Milusia. Jej ojciec... mój były mąż... my... No cóż, wypisał się, jak to mówią.

— Rozumiem.

Tato przyglądał się swojej przyszłej żonie i jednemu synowi ze swego byłego garażu.

— Cóż, Jason – Cynthia uśmiechnęła się smutno. – Odwiedzaj nas, kiedy tylko zechcesz. Z Cheltenham jeździ bezpośredni pociąg do Oksfordu – mówi z dwa razy ciszej od mamy. – Tato bardzo tego pragnie. Naprawdę zależy mu na tym. Mnie też. Mamy duży dom. I strumyk w ogrodzie. Na pewno znajdziemy dla ciebie... (Chciała powiedzieć: „jakiś pokój”). Yyy... zawsze będziesz u nas mile widzianym gościem.

Stać mnie było tylko na skinienie głowy.

— Kiedy ci przypasuje – Cynthia zerknęła na tatę.

— Długo... – zacząłem, nagle przerażony, że nie mam nic do powiedzenia.

— Jeśli... – zaczęła Cynthia równocześnie.

— Nie, nie: proszę...

— Nie, nie: mów, Jason, słucham.

— Długo (dotąd żaden dorosły nie dał mi pierwszeństwa głosu) pani zna tatę? – Chciałem, by zabrzmiało to beztrosko, a wyszło jakieś gestapo.

— Od dzieciństwa – Cynthia starała się, jak mogła, aby to zabrzmiało neutralnie. – Oboje dorastaliśmy w Derbyshire.

A więc dłużej niż mamę. Gdyby tato najpierw ożenił się nie z mamą, tylko z tą całą Cynthią, to czy urodziłbym się im ja, czy ktoś kompletnie inny? Czy może ten dzieciak byłby mną do połowy?

Drętwieję na samą myśl o tych wszystkich Nienarodzonych Bliźniętach.

Nad jeziorem w lesie przypomniałem sobie Brytyjskie Buldogi na zamarzniętej tafli w styczniu zeszłego roku. Dwudziestu, trzydziestu chłopaków na ślizgawce, piszcząca czereda... W pewnej chwili rozgrywkę przerwał nam Tom Yew na swym suzuki; gramolił się pod górę tu, na tej ścieżce, gdzie ja teraz. I usiadł na tej samej ławce, na której go teraz wspominałem. Dziś Tom Yew leży w grobie na wzgórzu bez jednego drzewka, pośród wysp, o których istnieniu wtedy nie mieliśmy zielonego pojęcia. Ocalałe części suzuki służą teraz pewnie do naprawy innych motorów tego typu. No bo przecież nic w świecie nie może się toczyć własnym biegiem. Kres nieustannie powołuje nowe życie. Wierzby płaczą liśćmi. Liście wpadają do jeziora, aby się rozpuścić w szlamie, którego przybywa. Właściwie po co to wszystko? Mama z tatą zakochali się w sobie i spółdzili Julię, a potem mnie. Raptem się odkochują, Julia przeprowadza się do Edynburga, mama do Cheltenham, a tato z Cynthią do Oksfordu. Świat bez przerwy niszczy to, co stale stwarza.

Ale niby dlaczego świat miałby być sensowny?

We śnie parę kroków przed sobą ujrzałem łódź rybacką, oranż

na ciemnoszklistych falach. Naprzeciw mnie siedział Ciapciak z wędką w dłoni. Ciapciak ze snu wyglądał – i nawet cuchnął – tak realistycznie, że stwierdziłem, iż chyba jednak mi się nie śni.

— Aaa, to ty, Mervyn? Rety, przyśniło mi się...

— Obudź no się, sztywne prosię.

— ...coś. Dawno tu jesteś?

— Obudź no się, sztywne prosię.

Casio oznajmił mi, że spałem zaledwie dziesięć minut.

— Pewnie...

— Niedługo spadnie śnieg. Zrobi się lepko i w ogóle. Szkolny autobus utknie w zaspie.

Przeciągnąłem się, aż strzeliło w stawach.

— Nie oglądasz *Moonraker*! – Stawy powróciły na właściwe miejsce.

Ciapciak spojrzał na mnie tak żałośnie, jakbym to ja był etatowym wsiowym przygłupem.

— Tu nie ma tiwi. Wędkuję. Przyszedłem zobaczyć łabędzia.

— W Black Swan Green nie ma łabędzi. Ludzie tylko sobie tak żartują.

— Gnije w kroku – Ciapciak wsadził sobie rękę do majtek i porządnie podrapał się po jajkach. – Gnije w kroku.

Na gałęzi ostrokrzewu przysiadł rudzik, w pozie niby ze świątecznej kartki.

— A... jaką największą rybę złapałeś w tym jeziorze, co, Merv?

— Gównu złapałem. Nic tu nie ma. Ja łowię koło wysepki, tam, gdzie się tak zwęża, co nie?

— To jaką największą rybę złapałeś tam, gdzie się tak zwęża?

— Też gównu złapałem tam, gdzie się tak zwęża.

— Mhm.

Ciapciak zmrużył oczy.

— Raz mi się trafił ogromniasty lin. Upiekłem skurczybyka u nas w ogrodzie, na patyku. Gały miał najsmaczniejsze. Zeszłej wiosny. Albo i przedzeszłej. Albo jeszcze przedzeszłej.

Gdzieś przejechała karetka, wyciem syreny burząc leśną ciszę.

— Myślisz – spytałem Ciapciaka – że ktoś umarł?

— Debby Crombie jedzie do szpitala. Wyskoczy z niej dzidzia. Gawrony krakały... krakały... wciąż krakały, jak starzec, który nie pamięta, po co wyszedł na górę.

— Dzisiaj wyjeżdżam z Black Swan Green.

— Na razie.

— Oj, chyba nic z tego.

Ciapciak uniósł nogę i wygrzmocił bąka tak donośnie, że przerażony rudzik zerwał się z gałęzi ostrokrzewu.

Pomarańczowy spławik bez ruchu unosił się na wodzie.

— Pamiętasz, Merv, jak w zeszłym roku znalazłeś tu przemarzną kitkę?

— Nie lubię kit-katów. Tylko śmietankowe jajka i twiksy.

Pomarańczowy spławik bez ruchu unosił się na wodzie.

— A masz ochotę na rabarbarowo-mleczne?

— Nie – Ciapciak wepchnął torebkę do kieszeni palta. – Niezbyt.

Stworzenie śmignęło nam nad głowami tak blisko, że gdybym się na tej ławce nie skulił ze strachu, musnąłbym je opuszkami palców. Nie od razu spostrzegłem, co to takiego. Szybowiec... Trudno było mi rozpoznać kształty. Concorde... spadły na ziemię anioł mutant...

Łabędź ześlizgnął się z wysoka, by ujrzeć swe odbicie.

Wodna toń się wzburzyła, ukazując mu łabędzia.

Tuż przed upadkiem olbrzymi ptak rozcapierzył skrzydła, pedałując zawzięcie łapami jak w kreskówce. Na moment zawisł w powietrzu i po pas grzmotnął w wodę. Kaczki chciały go odegnąć, ale łabędzie widzą to tylko, na co mają ochotę. Łabędzica (tak, tak) pokręciła głową identycznie jak tato po długiej jeździe samochodem.

Gdyby łabędzie nie istniały, na pewno byłyby istotami z baśni.

Już się rozluźniłem. Ciapciak nie mrugnął nawet okiem.

Pomarańczowy spławik rozhuśtał się na falkach.

— Przepraszam cię, Mervyn. Miałeś rację.

Nigdy do końca nie wiadomo, na co patrzy Ciapciak.

Ktoś popodcinał dzikie krzewy wokół Domu w Lesie.

Na nieprzywykłym do światła trawniku leżały, ułożone starannie, gałęzie bez liści. Drzwi od frontu były uchylone i z wnętrza dochodził warkot jakiejś maszynerii. Wtem umilkł. W opryskanym farbą tranzystorze Nottingham Forest grał z West Bromwich. Rozległo się walenie młotem.

Ktoś całkiem zmasakrował ogrodową ścieżkę.

— Jest tu kto?

Walenie przybrało na sile.

— Jest tu kto?

W holu stanął robotnik w wieku taty, ale bardziej muskularny, z młotem kowalskim w jednej ręce oraz dłutem w drugiej.

— Co chciałeś, synku?

— Yyy... nie chcę... yyy... panu przeszkadzać.

Robotnik wykonał gest pod tytułem „Chwila-moment” i wyłączył radio.

— Przepraszam – powiedziałem.

— Nie ma sprawy. Chłopaki Cloughiego, cholera, dali plamę. Słuchać tego nie mogę – akcent miał nie z tej ziemi. – No, muszę odpocząć. Zakładanie izolacji to zabójstwo. Nie wiem, co mnie napadło, że sam się do tego wziąłem. – Usiadł na najniższym stopniu, odkręcił termos i nalał sobie kawy. – No, jak ci mogę pomóc?

— Tutaj... mieszka tu może jedna starsza pani?

— Moja teściowa? Pani Gretton?

— Bardzo stara. W czerni. Z białymi włosami.

— Ano tak. Babka z rodziny Addamsów.

— Aha. Jakby.

— Przeniosła się do naszej babuni, niedaleko. Znasz ją, synku?

— ...(Kat przyblokował „pewnie”) ...może zabrzmi to trochę dziwnie, ale rok temu zraniłem się w kostkę. Gdy jezioro w lesie było zamrożone. Pod wieczór. Przykuśtykałem tutaj znad jeziora i zastukałem do drzwi...

— Aaa, więc to ty? – robotnik rozpromienił się, zaskoczony. – Zrobiła ci, noo, jakżesiętomówi... gorący okład, prawda?

— Tak. Bardzo mi pomógł.

— No, jakże! Mnie parę lat temu opatrzyła nadgarstek. Cud! Natychmiast przeszło. Patrz, a ja z żonką sądziliśmy, że cię wymyśliła.

— Wymyśliła; jak to?

— Do samego wylewu... wiecznie żyła jakby w bajce. Myśleliśmy, że jesteś jednym z tych jej – dokończył głosem z filmu grozy – chłopców, co potopili się w jeziorze.

— Rozumiem. Spała już, kiedy wychodziłem, no i...

— Cała ona! No i pewnie jeszcze trzymała cię pod kluczem?

— Prawdę mówiąc, tak, więc nie mogłem jej podziękować za opatrzenie kostki.

— Teraz jej podziękuj, jak chcesz – robotnik jakby wsysał kawę, żeby się nie poparzyć. – Nie ręczę, czy cię pamięta ani czy co powie, ale czuje się dziś całkiem nieźle. Widzisz ten żółty dom, o, tam, za drzewami? To nasz.

— A... mnie się wydawało, że z lasu... wszędzie tak daleko.

— Stąd? Nieee! Jesteśmy między Pig Lane i kamieniołomem. Gdzie jesienią obozują Cyganie. Las ma nie więcej jak parę akrów. Ze dwa, trzy wzniesienia, góra. To nie puszcza amazońska. Nawet nie Las Sherwood.

— We wsi jest taki jeden chłopak, Ross Wilcox... I w zeszłym roku też się ślizgał, gdy mnie pani znalazła nieopodal swego domu...

Twarze wiekowych ludzi są mapetowate, bezpłciowe i niemal przezroczyście.

Z trzaskiem włączył się termostat i rozszumiał grzejnik.

— Już, już – zamruczała pani Gretton. – Już, już...

— Nikt o tym nie wie. Nie powiedziałem nawet Deanowi, a to mój najlepszy kumpel.

W żółtym pokoju pachniało ciastem, kryptą i dywanem.

— Na Gęsim Jarmarku, w listopadzie, znalazłem portfel Wilcoksa. Z kupą forsy. Naprawdę, była tego cała kupa. Poznałem, że jego, bo w środku było zdjęcie. Powinna pani wiedzieć, że Wilcox cały zeszły rok nie dawał mi spokoju. Nieraz

sobie myślałem... że mnie wykończy ten sadysta. No i zatrzymałem portfel.

— Więc tak – mruknęła pani Gretton. – Więc tak...

— Wilcox dostał szau. Ale te pieniądze należały do jego taty, a jego tato jest kopnięty. No i ze strachu przed nim Wilcox poprztykał się ze swoją dziewczyną. A przez to dziewczyna Wilcoksa przygruchała sobie Granta Burcha. Przez co z kolei Ross Wilcox buchnął motor Grantowi Burchowi. Właściwie jego bratu. Wskoczył, dodał gazu i wpadł w poślizg na krzyżówce. Stracił – mogłem to wyjawić tylko szeptem – pół nogi. Nogę. Rozumie pani? Przeze mnie. Gdybym... oddał portfel, Ross Wilcox dalej by chodził. Już kuśtykanie o skręconej kostce do pani dawnego domu było makabryczne. A Ross Wilcox... noga kończy się... kikutem.

— Pora spać – zamruczała pani Gretton. – Pora spać...

Okno wychodziło na podwórze i dom, gdzie mieszka robotnik Joe z rodziną. Przyczłapał pies o urodzie krokodyla, z wielgachnym biustonoszem w pysku.

— Ziggy! Ziggy! – wyleciała za nim zdyszana, wściekła olbrzymka. – Chodź tu!

— Ziggy! Ziggy! – za olbrzymką wyleciało dwoje małych dzieci. – Chodź tu!

Czy pod tą starczą powłoką kryła się bystra pani Gretton, zdolna wysłuchać mnie i osądzić?

— Czasami mam ochotę wrazić sobie w skronie oszczep, aby tylko móc się pozbyć dręczącego poczucia winy. Az drugiej strony myślę, że gdyby Wilcox nie był takim palantem, z pewnością oddałbym ten cały portfel. Gdyby to chodziło o kogo innego, no, może z wyjątkiem Neala Brose'a, podszedłbym normalnie, no i, wiadomo... „Ej, chyba coś upuściłeś, idioto”. Bez zbędnych ceregieli. Więc... Wilcox chyba też zawinił, prawda? I gdyby konsekwencje konsekwencji naszych czynów zależały wyłącznie od nas samych, no to przecież by nigdy nie można było wyjść z domu, prawda? Czyli nie jestem winien, że Wilcox stracił nogę. A jednak jestem. Jestem. Jestem.

— Po dziurki w nosie – wymamrotała pani Gretton. – Po dziurki w nosie...

Olbrzymka dzierżyła w ręku koniec biustonosza. Drugi trzymał Ziggy.

Rozanielone maluchy aż piszczały.

Przemawiając do pani Gretton, nie zająknąłem się ani razu. Czyżby więc jąkanie nie było sprawką Kata? Tylko tej drugiej osoby? Która sobie coś ubzdurzyła? I może dlatego bez świadków czytam doskonale, tak jak i przy psie czy koniu, albo sobie, pod nosem...? (Podobnie było z panią Gretton, która pewno coś słyszała, lecz z pewnością nie mnie). Może kiedy słucha mnie człowiek, włącza się jakby lont, jak w *Tomie i Jerry*, gdy któreś podpali laskę dynamitu...? Może to jest tak, że do wybuchu dochodzi, kiedy się zbyt długo zwleka z danym słowem...? A może ssssssssssssssssyk lontu potęguje stres jąkały...? Może gdyby się dało wypalanie lontu przedłużać w nieskończoność, eksplozja nie następowałaby wcale? Tylko w jaki sposób?

Gdybym miał w głębokim poważaniu, że ten, do kogo mówię, się niecierpliwi. Niechby sobie poczekał. Dwie sekundy? Parę minut? Otóż nie, dwa lata. Kiedy tak rozmyślałem w żółtym pokoju pani Gretton, wydawało się to oczywiste. Gdybym mógł osiągnąć taki stan beztroski, Kat zdjąłby lepki paluch z moich warg.

Termostat wyłączył się z trzaskiem i grzejnik przestał szumieć.

— Wieki to trwało – mruknęła pani Gretton. – Wieki trwało.

We framugę zastukał robotnik Joe.

— No i jak: w porządku?

Tuż nad moją parką wisiało czarno-białe zdjęcie łodzi podwodnej w oblodzonym porcie. Załoga wyległa na pokład, oddając honory. Starych ludzi zawsze otaczają stare fotografie. Zasunąłem zamek.

— To jej brat, Lou – oznajmił Joe. – W pierwszym rzędzie, o, tu, z prawej – pokazał splekanym palcem. – Widzisz? – Na zdjęciu widoczny był ledwie zarys jego nosa.

— Brat? – zacząłem kojarzyć. – Pani Gretton upominała, żebym nie zbudził jej brata.

— Kiedy? Teraz?

— Nie, przed rokiem, w styczniu.

— Oj, to chyba byś się go już nie dobudził. W czterdziestym pierwszym łódź podwodną zatopił niemiecki niszczyciel, koło Orkneys. Biedaczka – kiwnięciem wskazał panią Gretton – do dziś dnia nie może się z tym pogodzić.

— O, Boże. Coś straszego...

— Wojna – widać dalsze wyjaśnienia, według Joego, były zbędne. – Wojna.

Młody marynarz tonął w oceanie bieli.

Choć z jego perspektywy to my się topiliśmy.

— Muszę lecieć.

— Jasne. A ja muszę się zająć izolacją.

Ścieżka do Domu w Lesie, zmrożona, skrzypiała pod nogami. Znalazłem skończenie doskonałą szyszkę. Niebo zasnuły chmury: zaraz się rozpada.

— Skąd jesteś, Joe?

— Ja? Jeszcze nie poznałeś po akcencie?

— No, słyszę, że raczej nie z Worcestershire, ale...

Podkręcił akcent na fuli.

— Jestem Birmal, kolego.

— Birmal?

— Mhm. Znaczy się: z Birmingham.

— Aaa, więc Birmal to znaczy.

— Tak oto się wyjaśniła – na pożegnanie Joe machnął dziobatymi kombinerkami – kolejna wielka tajemnica życia.

— NIEŻYWY!

Pewno się przesłyszałem. Bo niby kto i po co miałyby wykrzykiwać coś takiego w lesie? No, ale „pokrzywy!” ani „grzyby!” raczej chyba też nie. W miejscu, gdzie ścieżyna do Domu w Lesie styka się z drogą nad jezioro, usłyszałem tupot. Ktoś pędził w moją stronę. Aby mu zejść z widoku, wcisnąłem się między dwie rosochate sosny.

— NIEŻYWY! – cięło leśną gęstwę niby strzała.

Wtem przeleciał koło mnie Grant Burch jak poparzony. To nie on tak wrzeszczał. Siny z przerażenia. Kto mógłby mu napędzić aż takiego stracha? Tato Rossa Wilcoksa? Pluton Noak? Nie miałem szans go spytać, takie przybrał tempo.

— BURCH, JESTEŚ NIEŻYWY!

Zza zakrętu wyskoczył Philip Phelps. Takim to go jeszcze nie widziałem. Ten Philip Phelps był zacięty i aż fioletowy z furii, którą mógł zaspokoić tylko widok rozszarpanego ciała Burcha.

— NIEEEŻYYYYYWY!

Philip Phelps ostatnio sporo podrósł. Zauważyłem to dopiero, gdy, rycząc, przecwałował koło mojej kryjówki.

W sekundzie chłopców wraz z furia wchłonęła leśna cisza.

Nigdy nie dowiem się, czym też Grant Burch zdołał wyprowadzić z równowagi potulnego Philipa Phelpsa. Nie zobaczę ich więcej.

Życie jest jak dyrektor, który wciąż wytyka błędy. Ale nie tak mistycznie ani jak czynił Chrystus. Tylko w takim sensie, że potykając się na schodach zawsze w jednym miejscu, człowiek w końcu zacznie uważać na wyszczerbiony stopień. Wszelkie ludzkie porażki, nadmierne samolubstwo, obojętność i tak dalej – to właśnie taka jakby niedostrzegalna wyrwa w schodach.

I albo trzeba bez przerwy ponosić konsekwencje swego błędu, albo się go dostrzeże i prędko naprawi. Szkopuł w tym, że gdy człowiek już sobie uświadomi istnienie wyszczerbionego stopnia i stwierdzi: „Mmm! Jak widać, życie nie jest aż tak posrane” – BUM! – nagle leci na łeb, potknąwszy się na kolejnym niewidocznym schodku.

I wciąż objawiają się nowe.

Puszka po bulionie OXO jest schowana pod obłuzowaną deską podłogową. Tam, gdzie do niedawna stało łóżko. Wyjąłem ją ostatni raz i przysiadłem na oknie. Pani Throckmorton mówiła, że gdy kruki opuszczą Tower, twierdza legnie w gruzach. Puszka OXO to mityczny kruk domu przy Kingfisher Meadows 9 w Black Swan Green, w Worcestershire. (Dom raczej się nie zawali, ale

wprowadzą się tutaj nowi lokatorzy, których syn uzna ten pokój za swą własność i nigdy, ale to przenigdy, nawet o mnie nie pomyśli. Jak ja nigdy się nie zastanawiałem, kto mieszkał tu przed nami). Podczas drugiej wojny światowej puszka OXO przebyła z dziadkiem podróż do Singapuru i z powrotem. Nieraz przystawiałem do niej ucho, nasłuchując zgiełku chińskich rikszy, japońskich myśliwców i monsunowego wiatru, gdy roznosi w proch wioskę na palach. Trochę się trzeba wysilić, aby ściągnąć wieczko. Dziadek przechowywał w puszcze listy oraz tytoń. A teraz kryje się w niej *Lytoceras fimbriatum*, należący kiedyś do taty młoteczek do badań geologicznych, niedopałek jedyne go w moim życiu papierosa, *Le Grand Meaulnes* po francusku (ze świąteczną kartką od madame Crommelynck, przyslaną z – nie ujętego w *Atlasie świata* wydanym przez „The Timesa” – górskiego miasteczka w Patagonii, z podpisem: „Mme Crommelynck wraz z Kamerdynerem”), odłupany nos Jimmy’ego Cartera, oblicze wyrzeźbione w gumie, plecionka na rękę zwędzona dziewczynie, z którą przeżyłem pierwszy w życiu pocałunek, i szczątki omegi seamaster, kupionej przez dziadka w Adenie przed moim narodzeniem. Przydałyby się może jakieś zdjęcia, ale przedmioty są o wiele lepsze, bo stanowią przecież część tamtych zdarzeń.

Mebłowóz ożył i z warkotem powlókł się Kingfisher Meadows w stronę szosy. Mama i Yasmin Morton-Bagot wpakowały ostatnie pudło do maminego datsuna. Tato nazwał kiedyś Yasmin Morton-Bagot żyłętą i może coś w tym jest, choć żyłety są twarde jak Hell’s Angels. Julia upchnęła kosz na pranie, zwinięty sznur do bielizny i torbę z wieszakami do alfy romeo Yasmin Morton-Bagot.

Pięć minut do odjazdu – pomyślałem.

Firanka w oknie sypialni pana Castle’a drgnęła. Oblicze pani Castle za szybą wyglądało jak martwe. Pani Castle przyglądała się mamie, Julii oraz Yasmin Morton-Bagot.

Ale ma wielkie gały.

Widząc, że ją obserwuję, jak piskorz dała nura za firankę.

Julia odebrała mój sygnał telepatyczny i spojrzała w górę.
Prawie jej pomachałem.

— Mam rozkaz cię pojmać – w pokoju rozległy się kroki siostry – żywego czy umarłego. Lada moment spadnie śnieg. W radiu podawali, że autostradą M5 przemierzają się kry lodu i wełniste mamuty, więc musimy się zbierać.

— Okay – nie ruszyłem się z okiennej grzędę.

— Bez dywanów i zasłon strasznie tu głoś niesie, prawda?

— Taaa – jakby dom był nagi. – Faktycznie – gadaliśmy po cichu, a brzmiało to jak wodogrzmoty, i nawet światło dzienne zrobiło się ciut bielsze.

— Zawsze ci zazdrościłam tego pokoju – Julia wyjrzała przez okno. Tak w sumie to ta jej nowa fryzura jest całkiem twarzowa. – Można filować na sąsiadów. Podglądać Woolmere'ów i Castle'ów.

— A ja zazdrościłam tobie.

— Co? Gnieździłam się na tym strychu jak jakaś wiktoriańska pomywaczka!

— Ale stamtąd widać i ścieżkę konną, i Wzgórza Malvern.

— Zawsze jak była burza, myślałam, że dach się zerwie, jak w *Czarnoksiężniku z Krainy Oz*. Okropność!

— Trudno mi to sobie wyobrazić.

Julia bawiła się platynowym naszyjnikiem z delfinkiem od Stiana.

— Co?

— Nie wierzę, żebyś ty się w ogóle bała czegoś w życiu.

— Hmmm, widzisz, braciszku, to tylko pozory. Bez przerwy coś mnie przeraża... Patrz, co za głupota. Nie trzeba się było od razu zamienić pokojami?

Pytanie rozbrzmiało echem w najdalszych zakamarkach domu, lecz żadna odpowiedź nie nadeszła.

Prawo, by tu przebywać, słabnie z każdą sekundą.

Kilka śnieżynek spadło na bagnisty skrawek ziemi koło cieplarni taty. Byłej cieplarni taty.

— Jak się nazywa ta zabawa – Julia wbiła wzrok w podłogę – w którą, no, pamiętasz, bawiliśmy się w dzieciństwie?

Opowiadałam Stianowi... Goniliśmy się wokół domu i wygrywała ta osoba, która dopędziła drugą?

— „Wkoło-wkoło-domu”.

— Właśnie! Bardzo trafna nazwa – Julia robiła wszystko, żeby mnie jakoś pocieszyć.

— No – udawałem, że świetnie jej to wychodzi. – Raz schowałaś się za cysterną i pół godziny patrzyłaś, jak się uganiam w kółko jak skończony pacan.

— Aż tyle to nie trwało. Dogoniłeś mnie w dwadzieścia minut.

Julia to ma dobrze. W poniedziałek przyjedzie po nią wdechowy chłopak; Julia da susa do czarnego porsche i śmigną do Edynburga. A ja w tym czasie będę w nowej szkole w nowym mieście jako Ten Nowy, Którego Rodzice Właśnie Się Rozwodzą. I nawet nie mam jeszcze porządnego mundurka.

— Jason...

— Hm?

— Wiesz może, czemu Eliot Bolivar przestał pisać wiersze do gazetki parafialnej?

Jeszcze pół roku temu śmiertelnie by mnie tym przeraziła, dziś jednak pytanie zabrzmiało bardzo serio. Czyżby chciała mnie podpuścić? Niemożliwe. Od kiedy wie? Zresztą, kto by się tym przejmował?

— Ukradkiem cisnął poematy w ogień, gdy tato palił swoje dokumenty z Greenland. Powiedział mi, że w płomieniach każdy jeden zmieni się w arcydzieło.

— Ufam – Julia zagryzła paznokiec – że mimo wszystko nie zrezygnował z pisania. Ma niezaprzeczalny talent literacki. Jak go znowu spotkasz, powiedz, że uważam, że powinien dalej pisać, dobrze?

— Okay.

Yasmin Morton-Bagot pogmerała w schowku i wyciągnęła mapę.

— Przedziwnie – zabębniłem palcami w puszkę OXO – tak opuszczać dom bez taty. No, wiesz, powinien się tu teraz krzątać,

wyłączać bojler, wodę, gaz... – Ten rozwód przypomina scenę z filmów katastroficznych, kiedy pomału pęka asfalt jezdni i pod czyimiś stopami otwiera się otchłań. Tym kimś jestem ja. Po jednej stronie – mama z Julią; po drugiej – tato i Cynthia. Jeśli się nie zdecyduję, gdzie uciekać, runę w bezdenną czernią. – ... sprawdzać, czy okna pozamykane, tak na wszelki wypadek, no i wszystkie zamki... Jak przed wyjazdem do Oban albo do parku narodowego.

Ani raz nie zapłakałem, że się rozwodzą. Teraz też nie zapłacę.

Nigdy, kurde, w życiu! Za parę dni kończę czternaście lat.

— Ostatecznie – tą swoją delikatnością Julia tylko pogarsza sprawę – wszystko się ułoży, wiesz, Jace?

— Póki co, chyba się jednak nie układa.

— Bo to nie ostateczność.

Przekład dedykuję Urszuli Kiebzak

PŁ

Od Autora

Osoby, którym pragnę podziękować za inspirację, to: Nadeem Aslam, Eleanor Bailey, Jocasta Brownlee, Amber Burlinson, Evan Camfield, Lynn Cannici, Tadhg Casey, Stuart Coughlan, Louise Dennys, Walter Donohue, Maveeda Duncan i jej córka, David Ebershoff, Keith Gray, Rodney Hall, Ian Jack, Henry Jeffreys, Sharon Klein, pracownicy Księgarni Kerra w Clonakilty, Hari Kunzru, Morąg i Tim Jossowie, Toby Litt, Jynne Martin, Jan Montefiore, Lawrence Norfolk, Jonathan Pegg, Nick Rowley, Shaheeda Sabir, Michael Schellenberg, Eleanor Simmons, Rory i Dianę Snookesowie, Doug Stewart, Carole Welch. Białogłowie z Hay-on-Wye dziękuję za radę, aby zachować królika, który jednak umknął z ostatecznej wersji książki.

Specjalne podziękowania składam Rodzicom oraz Keiko.

Nieco inna wersja rozdziału pierwszego ukazała się przed laty w *Granta* 81. Rozdział drugi w innej formie został opublikowany w *New Writing* nakładem oficyny Picador. Pracując nad rozdziałem piątym, korzystałem z informacji zawartych w *The Battle for the Falklands* Maksa Hastingsa i Simona Jenkinsa (Pan Books, 1997). W rozdziale ósmym przywołuję *Le Grand Meaulnes* Alain-Fourniera (Librarie Fayard, 1971). W rozdziale dziewiątym umieściłem cytaty z *Władcy much* Williama Goldinga (Faber & Faber, 1954). Rozmaite szczegóły zaczerpnąłem ze wspomnień Andrew Collinsa *Where Did It All Go Right?* (Ebury Press, 2003).

Przypisy

[1] John Barleycorn – angielska i szkocka personifikacja jęczmienia jako zboża, z którego produkuje się napoje alkoholowe; uosobienie tych napojów – tytułowy bohater pieśni ludowej, poematu R. Burnsa (1786) oraz powieści autobiograficznej J. Londona (1913) (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] Chodzi o gwiazdy rocka: wokalistę Meata Loafa i grupę Def Leppard, ale mama Jasona przekręca te nazwy.

[3] Tłum. Aleksandra Kowal.

[4] Nazwisko „Taylor” w języku angielskim czyta się jak „krawiec” („tailor”).

[5] Magazyn poświęcony muzyce rockowej.

[6] Fragment *Władcy much* Williama Goldinga w tłumaczeniu Waława Niepokólczyckiego.

[7] Chodzi o utwór duetu Soft Cell z płyty *Non-Stop Erotic Cabaret*.

[8] Angielskie święto ludowe, obchodzone hucznie 5 XI w rocznicę wykrycia spisku Guya Fawkesa, będącego próbą wysadzenia w powietrze parlamentu (1605). Tradycją jest palenie kukły wyobrażającej spiskowca, pokaz ogni sztucznych, festyny.

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Styczniowy człowiek](#)

[Kat](#)

[Rodzina](#)

[Ścieżka konna](#)

[Głazy](#)

[Strachy](#)

[Solarium](#)

[Pamiętki](#)

[Glista](#)

[Szlifierz](#)

[Gęsi Jarmark](#)

[Dyskoteka](#)

[Styczniowy człowiek](#)

[Dedykacja](#)

[Od Autora](#)

[Przypisy](#)